

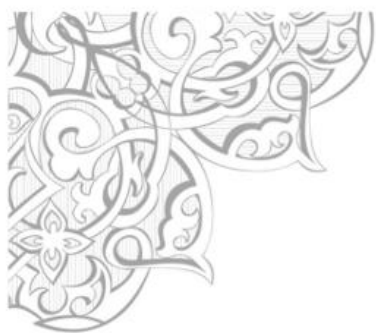


DEMET
ALTINYELEKLIOĞLU

SULTAN

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI OKRZYKNIĘTEJ
TURECKĄ PHILIPPA GREGORY

 WIELKA LITERA



DEMET
ALTINYELEKLIÖĞLU
UŁTAN

Z tureckiego przełożyły
Justyna Byszewska, Anna Banasiak



 WIELKA LITERA



Dla Nermin Mollaođlu

Podziękowania

Chcę się z wami podzielić wdzięcznością, jaką czuję wobec mojego kochanego męża, Ceyhana Altınyeleklioğlu, za jego nieocenioną pomoc. Nie każdy pisarz może czerpać z wszechstronnej wiedzy i kultury, którymi dzielił się ze mną mój mąż, dając mi rady i wskazówki, będące dla mnie ogromnym wsparciem. Dziękuję, Ceyhan. Dobrze, że jesteś.

Książkę tę zadedykowałam mojej wspaniałej agentce, Nermin Mollaoğlu, właścicielce Agencji „Kalem”. Podczas pracy przy tłumaczeniach książek wielokrotnie spotkałam się z instytucją agenta, jednak w Turcji nie jest ona jeszcze popularna. Jeśli gdzieś funkcjonowała, ja o niej nie wiedziałam; mam nadzieję, że inni pisarze również się do niej szybko przekonają. Zalety współpracy z agencją, która ma jasno postawione cele i określone priorytety, odkryłam po tym, gdy poznałam Nermin. „Kalem” jest pierwszą i jedyną znaną mi agencją literacką w Turcji. Z punktu widzenia niewielu osób wykonujących ten zawód w naszym kraju oraz osób korzystających z usług świadczonych przez tego typu instytucje, łatwiej nam będzie docenić sukces, jaki odniosła Agencja „Kalem”. Nermin, która wprowadziła mnie do rodziny Wydawnictwa İnkılapi i poznała z panią Senem Davis, doświadczonym wydawcą, jest cenionym fachowcem w tej dziedzinie zarówno w kraju, jak i za granicą, a dla pisarza jest wspaniałym przyjacielem. Ta książka powstała dzięki niej. I jej została zadedykowana. Dziękuję, Nermin.

Winna jestem podziękowania każdemu, kto miał swój udział w redakcji i wydaniu książki, ale przede wszystkim chciałabym podziękować wydawcy, Senem Davis, która pod skrzydłami Wydawnictwa İnkılap dającego zarówno w przeszłości, jak i dziś poczucie bezpieczeństwa, z energią i entuzjazmem wykonuje pracę na najwyższym poziomie, a dla mnie jest przede wszystkim najbliższym przyjacielem.

Od Autorki

W serii książek o sułtankach skupiłam się przede wszystkim na kobietach mieszkających w Pałacu oraz na życiu, jakie prowadzą w haremie. Jednak cały czas zastanawiałam się nad tymi, którym kobiety te dawały życie, których nie odstępowały na krok i w których, chroniąc ich za wszelką cenę, próbowały obudzić aspiracje sięgające sułtańskiego tronu – nad shehzade^[1].

Które elementy najbardziej wpływały na edukację i sposób postrzegania świata przez shehzade, synów kobiet z haremu? Mieli tego samego ojca, jednak ich matki pochodziły z różnych stron świata. Gdy dorastali, ojciec zaczynał postrzegać ich jako konkurentów, jako zagrożenie – jaki los ich wtedy czekał? Czy za często kończącymi się dramatem kłótniami braci o tron stały tylko męskie ambicje sięgnięcia po władzę? Czy wstępowali na tę drogę jedynie z powodu odziedziczonych po ojcu aspiracji?

Jaki wpływ na taki stan rzeczy miały ich matki, żony i faworyty, które nieustannie rywalizowały ze swoimi konkurentkami? Do czego mógł prowadzić instykt matki, pragnącej chronić swojego niemającego prawa do tronu syna, któremu zagraża śmierć?

Prześladowany przez los shehzade Dżem, który nie stał się, a raczej nie mógł stać się sułtanem, ale jednocześnie został uznany przez społeczeństwo i potomnych za godnego tronu, był pierwszy na mojej liście. Sprzeciwił się władzy swojego brata, ale przegrał i przez trzynaście lat tułał się po świecie, wечно uciekając. Co doprowadziło do tego, że Dżem stał się obiektem międzynarodowych intryg?

Czy było to spowodowane ambicją, chęcią dorównania wielkością swojemu ojcu, sułtanowi Mehmedowi Zdobywcy, który zapoczątkował nową epokę? A może przyczyną był stworzony przez jego ojca kodeks prawny, dopuszczający mordowanie swoich dzieci i rodzeństwa w imię zapewnienia jedności władzy i państwa, który już w dzieciństwie wywołał w Dżemie głęboką traumę i sprawił, że cały czas żył w strachu przed śmiercią?

A może były to kobiety? Ambicje matki i kobiet obecnych w jego życiu? Co było powodem, który przypieczętował los Dżema, do dziś uznawanego za zdrajcę przez żyjących członków dynastii osmańskiej?

Było wiele znaków zapytania, które pojawiały się w mojej głowie.

Czy gdyby Dżem się nie zbuntował, Bajazyd naprawdę kazałby udusić swojego młodszego brata, tak jak nakazywał to dekret wydany przez jego ojca?

Czy mężczyzna, który nie zrezygnował nigdy ze swojego prawdziwego „ja” i z tego, w co wierzył, mimo że los poniewierał nim, rzucając go na pastwę przeznaczenia,

i że nie było skarbu, stanowiska ani tronu, którego nie zaproponowali mu królowie i papież, aby użyć go do własnych celów, naprawdę był zdrajcą?

Czy historia potoczyłaby się inaczej, gdyby zamiast Bajazyda na tronie zasiadł Dżem?

Powieść *Sułtan* narodziła się z poszukiwania odpowiedzi na te wszystkie pytania. W trakcie lektury tej książki wyruszyście w podróż po życiu opisanym obiektywnie oraz zgodnie z wydarzeniami historycznymi i odpowiedź na te pytania według własnego sumienia.

Tak jak robię to za każdym razem, chcę podkreślić, że nie jest to powieść historyczna. Jestem autorką książek beletrystycznych, których temat został zaczerpnięty z historii. Wierzę, że tak jak w innych moich powieściach, tak samo w tej w żaden sposób nie przeinaczyłam wydarzeń historycznych. Jednak naturalnym prawem autora jest wkładanie słów w usta bohatera, kreowanie jego myśli, emocji i ambicji. Taka jest właśnie definicja beletrystyki.

Znajdziecie w tej powieści wiele postaci oczernionych przez historię, będziecie świadkami, jak się kształtują i zmieniają ich losy, jednak bez zniekształcania rzeczywistości.

Natomiast uwielbiana przeze mnie Ferimah jest postacią w całości stworzoną przeze mnie.

Zakończenie powieści zostało wymyślone, a jego źródłem były historyczne niejasności.

^[1] Szezhade (tur. *Şehzade*) – tytuł nadawany synom sułtana (jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczek).

To, że Dżem nie zasiadł na tronie Imperium Osmańskiego, jest dla świata chrześcijańskiego łaską od Boga.

Sanuta – francuski polityk tamtych czasów

Góra stanęła w płomieniach. Wydobywała z siebie przeraźliwe krzyki, wrzeszczała. Góra zaczęła iść. Dziesiątki tysięcy ludzi płynęło w dół, jakby wezbrana rzeka wystąpiła z brzegów. Konie z przesytymi ciałami jeźdźców na grzbietach gnały przed siebie w szaleńczym pędzie. Ranione, przewracały się i spadały ze zbocza, porywając za sobą kolejne setki ciał, które czekało takie samo przeznaczenie – śmierć. Płonęły błękitne chorągwie. Ciała zabitych żołnierzy piętrzyły się na wojskowych wozach, które, przewracając się, zrywały z koni uprzęże. Przerazone zwierzęta pędziły co sił w nogach i próbując się uwolnić, rozbijały drewniane wozy o skały. Wylatujące w powietrze koła spadały na ziemię i roztrzaskiwały głowy tych, którzy myśleli, że udało im się uratować.

Były tam tysiące ludzi, tysiące koni, a wszyscy pożerani przez płomienie wydostające się z góry przypominającej gorejącą pochodnię.

Nie ma w tym żadnego kłamstwa. Góra płonęła.

Góra płakała.

Góra krzyczała.

Góra szła...

Zgniatała wszystko, co stanęło na jej drodze.

Była tam też mała dziewczynka. Stała przed górą. A ta ruszyła wprost na nią. Zbliżała się coraz bardziej... Była tuż, tuż.

Krzyki mocniej rozdzierały serce dziewczynki niż jej uszy.

– Tato – zawołała nagle. Ale nikt nie usłyszał jej głosu.

Mężczyzna, który był jej ojcem, zgubił hełm. Jego peleryna była podarta. Dzida złamana. Tarcza leżała na ziemi. Dziewczynka znów krzyknęła:

– Tato!

Ale on jej nie słyszał. Góra zagłuszała głos dziewczynki. Wszędzie panował przeraźliwy hałas, który powstał z krzyków żołnierzy, rżenia koni i trzasków rozlatujących się wozów.

Nagle pojawiła się jakaś kobieta. Sprawiała wrażenie szalonej. Biegąc to w prawo, to w lewo, szukała kogoś.

– Uciekaj! – rozległ się krzyk mężczyzny.

Kobieta miała rozwiane, poplątane włosy. W jej oczach dostrzec można było coś więcej niż tylko strach. Coś, czego jeszcze nigdy nie widział. Oznaki nieszczęścia i rozpacz.

– Uciekaj! – krzyczał, próbując przedostać się wozem pełnym ludzkich ciał. – Uciekaj! Ratuj się!

Kobieta wyciągnęła ręce w jego kierunku.

– Nie ma! Nie ma naszej córki!

Ale ona tam była. Ukryła się pod jednym z przewróconych wozów, żeby nie zostać zmiażdżona. „Jestem tutaj” – powiedziała w myślach dziewczynka, jednak wiedziała, że nie będą w stanie jej usłyszeć. Gdyby wyszła z kryjówki i starała się pobiec w ich kierunku, zostałaby zdeptana przez pędzące konie.

– Jedź! – krzyczał mężczyzna do woźnicy. – Jedź! Jedź!

Ten uderzył lejcami, a konie gwałtownie ruszyły z miejsca.

– Uciekaj! – krzyczał mężczyzna do kobiety, której sylwetka powoli ginęła w chmurze pyłu, unoszącej się za odjeżdżającym wozem. – Uciekaj i ratuj się. Gdy góra zacznie iść, nie wolno stać przed nią. Uciekaj!

Z gardła kobiety wydobył się ostatni krzyk:

– Periszehr! Periszehr!

Zaczepiła o coś nogą i upadła na ziemię. Jej ciało zniknęło pod kołami wozów i nogami uciekających w popłochu ludzi.



KSIĘGA I



Kastamonu, Góry Isfendiyar

1471

Podsunał palcem do góry kavuk^[2], który całkiem się przechylił. Ale nic to nie pomogło. Kilka sekund później znów spadł mu z czoła i tym razem zsunął się aż na brwi.

Nie cierpiał go nosić. Przede wszystkim strasznie mu ciążył. Poza tym, kiedy szedł, nakrycie głowy co chwilę zsuwało się to na lewo, to na prawo; musiał bardzo uważać, żeby nie spadło mu z głowy – strach przed takim wstydem na oczach mieszkańców posiadłości cały czas trzymał go w napięciu.

Zupełnie inną torturą była jazda konna. Mogli przynajmniej pozwolić mu wsiadać na konia bez kavuku. Ale nie, wszyscy, a zwłaszcza jego matka, grożąc mu palcem, stawiali sprawę jasno, mówiąc: „To przecież nie przystoi!”.

– Oczywiście, to nieodpowiednie! – Opiekunki zrywały się na równe nogi. – Szehzade miałby chodzić z gołą głową... I to shehzade sułtana Mehmeda... Niech Bóg strzeże! To rzecz nie do przyjęcia.

– Dlaczego miałyby to być rzecz nie do przyjęcia?

Wymieniali oczywiście tysiące powodów, które go jednak nie przekonywały.

Postanowił porozmawiać o tym z subaszy^[3]. On był w końcu żołnierzem i chyba jedyną osobą, która mogłaby zrozumieć to, jak niewygodne jest chodzenie w kavuku.

– Subaszy, jest mi niewygodnie, kiedy jadę na koniu. Przy każdym kroku zwierzęcia kavuk przechyla się raz na jedną, raz na drugą stronę. A kiedy go trzymam, to ani nie mogę sięgnąć do kołczanu, ani naciągnąć strzały. Gdyby to było tylko takie małe takke^[4], które noszą stajenni...

Mężczyzna ze zdziwienia prawie upuścił miecz, który właśnie chował do pochwy.

– Nigdy! – podniósł głos subaszy. Później przyszło mu na myśl, że osoba, z którą rozmawia, nie jest żołnierzem wykonującym jego rozkazy, tylko synem sułtana.

– Efendi^[5] – rzekł. – Chciałem powiedzieć, że to nie przystoi.

– Dlaczego?

– Szezhade nie będzie chodził ubrany jak pasterze... – Subaszy musiał wyobrazić sobie taką scenę, ponieważ ze strachem przymknął nieco oczy.

A on zrobił to, co od dziecka robił za każdym razem, gdy się złościł – z całej siły tupnął nogą.

– Nie obchodzi mnie to. Kiedy będziemy wyjeżdżać na polowanie, nie będę wkładał kavuka; to mój rozkaz. Niech wszyscy postępują według niego.

– Ależ mój shezhade, mój drogi shezhade – zaczął błagać subaszy. – Niech Allah strzeże, jakby to doszło do sułtana! Powiedziałby, że każe jego synowi chodzić z odkrytą głową jak jakiemuś pasterzowi! Jeśli się rozzłości, jeśli każe ściąć mi głowę...

– Ja cię ochronię.

Ale wiedział, że zdałoby się to na nic.

Miał dopiero dwanaście lat. Był oczywiście synem sułtana Mehmeda, zdobywcy Konstantynopola, ale do niczego się nie mieszał. Od dwóch lat zarządzał sandżakiem^[6]. W Kastamonu miał tytuł pana, sandżakbeja^[7], ale ani opiekunki, ani subaszy, ani nawet stajenni nie liczyli się z jego zdaniem, a posłuchać miałby go ojciec?

Niech się dzieje, co chce. Nienawidził nosić kavuka. To już postanowione. Któregoś dnia miał się od niego uwolnić.

Ale czy chodziło tylko o nakrycie głowy? Musiał nosić też płaszcz z futra, który był tak długi, że aż ciągnął się po ziemi. Jego też nienawidził. Kiedy szedł, ciągle plątał mu się między nogami.

Co gorsze, kiedy wsiadał na konia, zanim zdążył przerzucić nogę przez grzbiet zwierzęcia, musiał kilka razy poprawiać płaszcz. A stajenni i ziomkowie, którzy nie musieli dźwigać na plecach ciężkich płaszczy, w chwili gdy włożyli stopę w strzemię, jednym skokiem znajdowali się na koniu. Tyle że oni nosili najczęściej luźne szarawary, nic więcej.

Dla niego wyskok ze strzemienia był niemożliwy. Nie był jeszcze wystarczająco wysoki. Chociaż valide^[8] ciągle zwracała się do niego „mój shezhade wysoki i smukły jak cyprys”, jego nogi jeszcze nie sięgały strzemion. Specjalnie dla niego opuszczano je jak najniżej.

Ale to nie wystarczało. Potrzeba było całej celebracji, żeby mógł wsiąść na konia.

Najpierw zwierzę podprowadzane było do miejsca z małymi schodkami i trzymane przez stajennych za wodze, by stało nieruchomo. Dopiero wtedy mógł usiąść na jego grzbiecie, a specjalnie do tego wyszkoleni pomagierzy przytrzymywali długi płaszcz, gdy sadowił się w siodle, by później z niezwykłą starannością rozkładać go na zadzie konia, co miało sprawiać, że szezade będzie wyglądać dostojnie.

Ale on ani w Nowym Pałacu, ani tutaj, nie widział, żeby jakieś dziecko w jego wieku nosiło na ramionach taki płaszcz.

– Valide, nie życzę sobie, żeby mi to wkładano, kiedy wyjeżdżamy na polowanie.

Na każdą tego typu skargę jego matka miała gotową odpowiedź:

– To nie przystoi, mój Stepowy Kwiatuszku. Ty nie jesteś zwykłym dzieckiem, jesteś szezade.

Stepowy Kwiatuszku!

Ale skoro był szezade, to czy innym przystoi zwracanie się w ten sposób do syna sułtana? Było to jednak ulubione określenie jego matki. Odkąd tylko pamiętał, mówiła do niego właśnie w ten sposób.

– Ja jestem polnym kwiatem, a ty stepowym.

Ale kiedy upierał się, że pojedzie na polowanie na niedźwiedzia, wszyscy, w tym opiekunki, służący i stajenni, zaczęli nagle krzyczeć:

– Polowanie na niedźwiedzia? Ależ szezade, jesteś jeszcze dzieckiem, panie!

„To kim ja w końcu jestem?” – rozmyślał nocami Dżem. – „Jestem szezade, czy jestem jeszcze dzieckiem?” Właściwie wcale nie obchodziło go to, że jest synem sułtana. Przecież jeśli już nim był, to wszyscy powinni go słuchać. A jeśli jest tylko dzieckiem, to powinien ubierać się tak jak one, biegać, bawić się, śmiać się do rozpuku, powinien być dzielny i sprytny, a nie ciągnąć za sobą cały oddział służących zważających na każdy jego krok i co chwilę powtarzających: „Ach, szezade”, „Niech szezade uważa”, „Zaraz się, panie, przewrócisz”. Powinien być wolny. Przynajmniej, kiedy wyrusza w góry, które tak kocha. Powinien być wolny, kiedy goni jelenie, kiedy wyciąga strzałę z kołczanu i kiedy naciąga ją na cięciwie.

Ale tak nie było. Pewnej nocy szepnął do matki:

– Czuję się jak ktoś wzięty w niewolę.

Ale ta natychmiast go uciszyła.

– Ciii, mój szehzade.

Jednak tej nocy szehzade nie miał zamiaru być cicho.

– Gdybym nie był synem sułtana, czy mógłbym zachowywać się tak, jak tylko moja dusza zapragnie? – Wyczekując odpowiedzi, wbił wzrok w błękitne oczy matki. – To znaczy, valide, czy mógłbym ubierać się tak, jak bym chciał, spacerować tam, gdzie bym chciał, czy mógłbym wskoczyć na grzbiet Pioruna i popędzić w góry?

Tym razem matka starała się go uciszyć, kładąc mu palec na ustach.

– A gdybyś ty nie była matką szehzade, mogłabyś pojechać w góry i robić, co ci się żywnie podoba?

Valide, która zawsze miała na wszystko odpowiedź, tym razem milczała i spuściła smutno głowę. „To chyba jest odpowiedź” – pomyślał Dżem. Wpatrywał się w matkę ciemnymi oczami i dalej drażył temat:

– Powiedz mi, czy miałbym więcej swobody? Czy byłbym wolny?

Valide rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy nikt nie przysłuchuje się ich rozmowie.

– Nie wiem – wyszeptała. – Chyba byłbyś wolny.

– W takim razie nie chcę być już szehzade. Przy pierwszej okazji powiem ojcu...

Matka spojrzała na niego przerażona i powiedziała:

– Szehzade nie wolno ani myśleć, ani mówić o takich rzeczach.

Chociaż on nie wspomniał jeszcze nikomu o głosie, który słyszy już od miesięcy. Słyszał go w środku głowy. Był tak blisko, wydawał mu się taki żywy i donośny – jakby ktoś mówił wprost do jego ucha:

– Chodź – brzmiał głos. – Chodź i uratuj mnie. Tutaj jestem, synu sułtana, chodź. Pośpiesz się.

Słyszał go prawie każdej nocy. Czasami podskakiwał, wyrwany ze snu, i krzyczał: „Kto tam? Czy to opiekunka?”.

Ale nikogo nie było.

Nie odważył się nikomu powiedzieć o tym głosie.

Jednak tamtej nocy miał zamiar porozmawiać o tym z matką. Zrezygnował, kiedy dostrzegł w jej oczach rosnący z każdą sekundą strach. Co takiego mogłoby się stać, jeśli jej powie? Pewnie od razu odparłaby, że „szezade nie wolno ani myśleć, ani mówić o takich rzeczach” albo że „szezade nie może słyszeć jakichś tam głosów, dobrze, mój kochany?”.

To była pierwsza noc, kiedy Dżem pomyślał: „Mam rację”. To było życie, w którym zdecydowano za niego, o czym będzie myślał, a o czym nie, o czym będzie mógł mówić, a o czym nie, jak będzie się ubierać, a jak nie. Tak jak w życiu niewolnika.

Zawsze nadchodzi dzień, w którym niewolnicy wywieszają powstańczy sztandar.

Zupełnie nie miał już ochoty polować na gajele, jelenie czy sarny. Nie był w stanie patrzeć w oczy zwierzętom, które zaraz miała przeszyć wystrzelona przez niego strzała. Myślał o wilkach. Nocami wychodził na dziedziniec i słuchał ich wycia, które dochodziło z lasu.

Jakby wiedziały, że tu jest, i go wzywały.

– Nie unosź się dumą, mój shezade.

Ale nie dbał o to. Czy nie powtarzali mu ciągle: „Jesteś jeszcze dzieckiem”? Niech więc tak uważają. On myślał inaczej.

Jeśli był na tyle dojrzały, na ile mu się wydawało, powinien sam stawić czoła wilkom. Wilki były silne. Nie znały strachu. Były cwane. Nie były bezbronne jak jelenie. Były zabójcami. Stając nieustraszony twarzą w twarz ze śmiercią, mógł udowodnić, że nie jest już dzieckiem.

Odkąd pamiętał, pobierał nauki jazdy konnej i łucznictwa. Minał rok od czasu, kiedy nauczyciel oznajmił mu: „Shezade, nie jesteś już nowicjuszem”. Oczywiście, że nim nie był. Nie zdarzyło się, żeby wystrzelona przez niego strzała nie dosięgnęła i nie powaliła celu. Nie było w posiadłości mężczyzny, który potrafiłby strzelić dalej od niego. Nie miał więc powodu bać się wilków. Bez mrugnięcia okiem powinien wyjąć strzałę z kołczanu, naciągnąć ją na cięciwie i wystrzelić.

– Dżem – powiedział sam do siebie w nocy, gdy podniecony powziętym postanowieniem nie mógł spać, przewracając się z boku na bok. – Jeśli syn sułtana Mehmeda Zdobywcy ma udowodnić swoją odwagę, zrobi to właśnie w ten sposób. A nie

tak, jak to było do tej pory – robiąc wszystko, by na oczach ludzi nie spadł mu z głowy kavuk, czy grzecznie powtarzając wyuczone na pamięć zdania.

Wilki czekały na niego. I był jeszcze ten głos. Ten, który go wołał i prosił o pomoc. Ten, który krzychał: „Pośpiesz się!”.

– Nadchodzę – wyszeptał Dżem w stronę lasu. – Poczekajcie, już nadchodzę.

*

Był to dzień, w którym Stepowy Kwiat miał wywiesić powstańczy sztandar. Jeśli jego plan się powiedzie, zasmakuje wolności.

Wczesnie rano, jeszcze zanim nastał świt, cały orszak wyruszył na polowanie. Na jego czele jechał mężczyzna, którego nazywano „tropicielem”. Zaraz za nim, na grzbiecie Pioruna, jechał Dżem. Wprawdzie sam trzymał wodze, ale mimo to nic nie było proste. Za każdym razem, gdy dosiadał konia, po obu jego stronach jechali stajenni, trzymając przymocowane do wędzidła Pioruna liny.

Dżem wiedział, że koń tęsknił za wolnością tak samo jak on. Wiele razy szeptał mu do ucha: „Musisz być cierpliwy. Wytrzymaj. Bliski jest czas, kiedy będziemy wolni i popędzimy przed siebie”.

W końcu nastał ten dzień. Albo zwiedzie dziś cały orszak na manowce, ucieknie do lasu i wyzwie wilki na pojedynek, albo przez resztę życia ktoś będzie mu mówił, co ma robić i jak się zachowywać – tak jak robili to teraz stajenni ściskający liny.

Przytrzymując ręką kavuk, odwrócił się i spojrzał na orszak. Z tyłu, po prawej stronie, jechał subaszy, a obok niego drugi dowódca. Natomiast po lewej kołysał się w siodle, młodszy nawet od opiekunek Dżema, Sulejman Czelebi^[9]. Widząc jego znudzony wyraz twarzy, Dżem nie miał wątpliwości, że przez myśl przechodzi mu pytanie: „Co ja robię o tej porze w środku lasu?”. Dalej jechało także około trzydziestu mężczyzn z całego sandżaku Kastamonu, którego Dżem był panem, oraz tyle samo stajennych i służących.

„Jak sobie z nimi wszystkimi dam radę?” – pomyślał zmartwiony chłopiec.

Graniczyło to z cudem, ale musiał spróbować. Skoro był jeszcze dzieckiem, mógł sobie pozwolić na taką niesforność.

Kiedy wyjechali z doliny i skręcili w stronę gór, jego serce z podniecenia niemal zamarło. Gdy zaczęli zbliżać się do Czerwonej Skały, ścieżka urwała się. Nie było nawet

wydeptanego śladu. Od tej chwili, przedzierając się przez drzewa lekko przyprószone śniegiem, musieli jechać jeden za drugim. To był właśnie moment, na który czekał.

W pewnej chwili zaczął lawirować między drzewami i ruszył w stronę zaśnieżonego zbocza, na północ od Czerwonej Skały. Serce biło mu coraz szybciej.

Całymi dniami planował każde posunięcie. Orszak nie będzie mógł za nim nadążyć, więc kiedy dotrą do buków, krzyknie do konia: „Hajda!”. Dwaj stajenni po jego bokach oczywiście nie będą spodziewać się ucieczki. Piorun gwałtownie ruszy z miejsca, by wyrwać im z rąk przytrzymujące go liny, i razem ruszą ku wolności.

Wiedział, że po chwili osłupienia wszyscy rzucą się w pogoń za nimi. Najbardziej potrzebował właśnie tych kilku sekund zaskoczenia. Kiedy wszyscy będą przekonani, że Piorun się spłoszył i pędzi w głąb lasu, on schowa się w pobliżu Czerwonej Skały, w małej chatce, o której istnieniu, miał nadzieję, nie wiedział nikt poza nim.

Członkowie orszaku będą godzinami nawoływać: „Szezhade, gdzie jesteś?”, ale czy, gdy wrócą do posiadłości po długich, bezowocnych poszukiwaniach, znajdą odwagę, by przyznać, że stracili z oczu syna sułtana Mehmeda, tego nie wiedział. Ani o to nie dbał.

Szezhade rzuci z głowy kavuk, samotnie zdobędzie las i zmierzy się z wilkami. Gdy wróci do posiadłości, rzuci ciało zabitego zwierzęcia na środek dziedzińca i z dumą zsiądzie z grzbietu konia.

*

Wszystko poszło zgodnie z planem. Gdy dotarli do miejsca, gdzie gałęzie gęsto rosnących buków zaczynały się splatać, Dżem uniósł się w strzemionach i krzyknął:

– Hajda!

Piorun stanął dęba tak, jakby czekając na ten właśnie moment. Wszyscy wpadli w przerażenie, widząc zwierzę wierzgające w powietrzu przednimi nogami. Gdy Dżem zsunął się na tył siodła, kavuk przechylił się i spadł mu z głowy. Jego serce z radości mocniej zabiło.

– Hajda! – wykrzyknął znowu chłopak. Piorun ruszył tak gwałtownie, że jeden ze stajennych wypuścił z rąk linę. Koń wyciągnął się jak strzała i wśród krzyków, przekleństw i gróźb próbujących go zatrzymać mężczyźni pomknął w stronę wolności.

– Trzymajcie go! – Głos subaszy z każdą chwilą był coraz słabiej słyszalny. – Łapcie go! Jeśli nie znajdziemy shezhade, wszystkich was każę powiesić, nim sam schylę

głowę przed katem!

Drugi ze stajennych nie dawał za wygraną. Poganiał swojego konia i próbował zbliżyć się do pędzącego Pioruna. Dżem opuścił nieco wodze i jeszcze mocniej ścisnął łydkami boki wierzchowca. Stajenny chwycił mocniej linę, jednak nie dał rady zatrzymać cwałującego Pioruna.

Nareszcie byli wolni. Grzywa konia oraz gęste, czarne, wyswobodzone spod nakrycia głowy włosy Dżema powiewały na wietrze.

Znalezienie chatki zajęło im dosłownie kilka minut. Z ukrycia nasłuchiwali, jak cały orszak przejeżdża obok, wzbijając w powietrze tumany śniegu i krzyząc:

– Szehzade! Panie, zatrzymaj się! Przeklęte zwierzę!

Kiedy zorientują się, że Dżem został daleko za nimi, będzie już za późno.

Dotrze do miejsca, gdzie nikt go nie znajdzie.

Miejsca, do którego wzywały go wilki.

^[2] Kavuk – męskie nakrycie głowy wykonane z filcu lub grubego sukna, noszone aż do wprowadzenia fezu przez sułtana Mahmuda w 1828 r.; istniało wiele typów kavuku o różnych kształtach, owinięte były one na różne sposoby długim pasem tkaniny lub cienkim szalem.

^[3] Subaszy (tur. *subaşı*) – dowódca sipahiów (kawalerzystów) z jednej jednostki administracyjnej, pełniący także obowiązki dowódcy policji.

^[4] Takke – małe, półkoliste nakrycie głowy.

^[5] Efendi – tytuł nadawany osobom wykształconym, dostojnikom, duchownym oraz oficerom wojskowym.

^[6] Sandżak (tur. *sancak*) – chorągiew, jednostka wojskowo-administracyjna zarządzana przez sandżakbeja w randze paszy; sandżak stanowił część ejaletu, czyli prowincji.

^[7] Sandżakbej (tur. *sancakbeyi*) – dowódca wojskowy i administracyjny sandżaku.

^[8] Valide – tytuł matki sułtana bądź następcy tronu.

^[9] Czelebi (tur. *çelebi*) – tytuł używany prawie we wszystkich okresach Imperium Osmańskiego; źródła nie podają jednoznacznie jego pochodzenia, w imperium nadawano je osobom wykształconym, uczonym, skrybom i osobom nobilitowanym, a w pierwszych latach istnienia państwa także synom sułtana.

Cichutko zaśmiał się pod nosem. Wyciągnął rękę i pogłaskał konia po szyi. Schylił się i wyszeptał mu do ucha:

– Posłuchaj. Posłuchaj wiatru.

Piorun, jakby rozumiejąc jego słowa, zastrzygł uszami. Obaj słuchali świszczących między górkami grzbietami porywów wiatru.

– Nie ma tu żadnego innego dźwięku. Ani krzyków subaszy, ani nawoływań stajennych, ani stukotu kopyt... Zauważyłeś? W końcu jesteśmy sami. Ty, ja i wiatr.

Piorun parsknął radośnie.

– Chodź, idziemy – powiedział Dżem.

Poruszył lekko wodzami, a koń ruszył, ostrożnie stawiając każdy krok. Upojeni wolnością powoli przemieszczali się między drzewami. Chłopiec stracił poczucie czasu. Chcąc oszacować, która jest mniej więcej godzina, podniósł głowę i spojrzał w niebo. Niewiele zobaczył poza gęstwiną drzew, miał jednak wrażenie, że zaczyna się ściemniać.

Czy był już wieczór?

„Ależ skąd!” – pomyślał. – „Żaden wieczór, po prostu w lesie jest ciemno. Tylko spójrz, przez splecione gałęzie drzew nie dociera tu słońce”.

Czy naprawdę tak było?

Od ucieczki minęła godzina, a może dwie? Czas tak szybko pędził.

– Mniejsza o to – powiedział Dżem do siebie. – Ale gdzie jest w takim razie Czerwona Skała?

Stanął w strzemionach i rozejrzał się na wszystkie strony.

Las. W gęstwinie drzew nie mógł nic dostrzec.

Dobrze, ale jak miał teraz znaleźć drogę powrotną?

Nagle usłyszał głos:

– Powrót?

Dżem zdziwił się. Głos rozbrzmiewający w jego głowie był tak realny, że chłopiec rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy ktoś koło niego nie stoi.

Nikogo oczywiście nie było. Tylko on i Piorun.

– Powrót? – powtórzył głos. Dżem znał go. Był też pewien, że nie jest to jego własny głos. Nie rozmawiał sam ze sobą. Ale słyszał go całkiem wyraźnie:

– Z pustymi rękami? Wrócisz do domu z pustymi rękami?

Miał rację. Na co ta cała ucieczka, jeśli nie wróci, niosąc pierwszego zabitego przez siebie wilka? Kto uwierzy, że nie jest już dzieckiem? Kto powie, że „szezade wdał się w ojca”? Kto szepnie ludziom, że tak jak ojciec ma duszę zdobywcy? Kto z szacunkiem pokiwa głową i przyzna: „Macie rację, shezade sam zdobył góry İsfendiyar, zabił rdzawego wilka i rzucił nam jego ciało pod nogi”.

Powrót z pustymi rękami byłby zupełną porażką.

Jakby odpowiadając głosowi, rzekł nagle:

– Dobrze, ale co mam zrobić? Tyle czasu już tu jestem, a nie widziałem nawet jednego wilka.

Dżem poczuł nagle, że budzi się w nim jakieś dziwne uczucie. Na początku nie wiedział, czym ono było. A może to strach? Wzruszył ramionami. Nie miał się czego bać. Był synem samego sultana Mehmeda Zdobywcy. Nie wiedział, co to strach. Nie powinien wiedzieć. Czym więc były te kłębiące się w nim emocje?

Podenerwowaniem?

Gdzie był orszak? Powinni go już znaleźć. Ale nie było słyhać nawet najcichszego głosu nawoływania.

Nie wiedział ani ile minęło czasu, ani gdzie się znajdował.

Jechał w stronę nawołującego głosu i nagle znalazł się w zupełnie nieznannej części lasu. Pnie drzew jeden po drugim wystrzeliwały z białych oparów. Co gorsza, z każdym krokiem mgła stawała się coraz gęstsza i spowijała nawet wysokie szczyty gór. Ich też zaraz pochłonie. Nikt ich wtedy nie odnajdzie.

Dżem pociągnął nagle za wodze.

– Stój! – wyrzucił z siebie niezadowolony.

Piorun od razu wykonał polecenie i natychmiast się zatrzymał. Chłopak dopiero teraz zauważył, że od jakiegoś czasu koń z każdym krokiem coraz niechętniej podążał w głąb lasu. A do tego co chwilę strzygł uszami, nasłuchując, co dzieje się dookoła, i parskał niespokojnie.

– Co się stało? – wyszeptał Dżem. – Zmęczyłeś się? Czujesz jakiś zapach?

– Nie zatrzymuj się.

Znowu ten głos. Tym razem dochodził z przodu. Ale przecież nikogo tam nie było. A nawet jeśli był, to spowijała go gęsta mgła. Dżem nie mógł się zdecydować, co robić.

– Musisz iść dalej, mój synu. – Tym razem głos brzmiał głośno jak dzwon. – Nie rezygnuj. Nie powinieneś teraz rezygnować. Chodź!

Kto go wołał?

– Chodź, Dżem, chodź! Chodź, synu. Nawet nie próbuj rezygnować. Idź przed siebie. Nie zatrzymuj się!

Poczuł, że bezwiednie coraz mocniej ściska kolanami siodło. Koń niechętnie zrobił kilka kroków. I nagle się zatrzymał. Podniósł głowę, zaczął uważnie nasłuchiwać. Nie słuchał chłopca, który kazał mu iść dalej. Kopytami zaparł się w śniegu. Zdenerwowany zaczął szybciej oddychać i parskać przez rozszerzone nozdrza.

Piorun coś usłyszał. A raczej czegoś się przestraszył.

Kiedy Dżem, próbując go uspokoić, głaskał konia po szyi, również usłyszał przerażający dźwięk.

– Uuuuuuu! Uuuuuuu!

Przeraźliwe, rozdzierające leśną ciszę wycie sprawiło, że z gardła Dżema wydobył się krzyk:

– Wilk! To musi być wilk!

„Nareszcie cię znalazłem” – pomyślał usatysfakcjonowany.

Uczucie strachu, które kilka chwil temu zaczęło ogarniać chłopca, zniknęło w jednej sekundzie. „To chyba teraz powinienem się bać. Mam przed sobą wilka. Albo

nawet całe stado wilków” – mnóstwo myśli kłębiło się w jego głowie.

Gdyby chodziło o coś innego, zawróciłby, tak jak chciał to zrobić przestraszony Piorun.

Ale on nie mógł uciec. Nie powinien. Nie mógł stać się bohaterem plotek o synu wielkiego sułtana Mehmeda Zdobywcy, który przestraszył się wilka i stchórzył. Tak jak ojciec na grzbiecie konia zdobył mury niewiernego Bizancjum, tak on powinien z pomocą Pioruna odebrać życie wilkowi. Miesiącami o tym marzył. Dla tej jednej chwili rzucał się w ramiona niebezpieczeństwa.

We mgle i w coraz większych ciemnościach nie mógł nic dostrzec, ale wilk musiał być gdzieś przed nimi. To stamtąd dochodziło wycie... Spośród drzew.

Zmusił konia, by ruszył naprzód.

Ale ten coraz bardziej się opierał. Stał dęba. Zarżał.

Wilk na rzenie konia odpowiedział jeszcze bardziej przeraźliwym wyciem:

– Uuuuuu!

Włosy zjeżyły się Dżemowi na głowie. Kiedy przerażony Piorun znów stanął dęba, nerwowo rzucając się to w prawo, to w lewo, chłopak poczuł, że zsuwa się z grzbietu zwierzęcia. Wysłuchał w swoim życiu wystarczająco dużo historii o wilkach, żeby zdawać sobie sprawę, że jeśli spadnie, a koń ucieknie, nie będzie miał szans na ratunek. W tamtej chwili pomocne okazały się zapaśnicze zdolności, które posiadał podczas licznych nauk. Gdy poczuł, że ciężko będzie się utrzymać, z całej siły uwiesił się na wodzach. Okropny ból ramion nie miał w tym momencie żadnego znaczenia. Tak samo jak jęki konia, który nie mógł wytrzymać z bólu.

I właśnie wtedy stało się coś najmniej spodziewanego.

W jednej chwili mgła zniknęła. Las się rozjaśnił, a drzewa rozstąpiły. Zobaczył ich przed sobą.

Starca oraz stojącego za nim rdzawego wilka, w którego oczach błyskały płomienie.

*

Miał wrażenie, że starzec nie zdaje sobie sprawy z obecności zwierzęcia. Bił od

niego blask, a z sięgającej do piersi białej brody wychodziły promienie światła. Podniósł ramiona i patrzył na nich, jakby od dawna na nich czekał i wiedział, że przybędą, że zdążą na czas.

Dżem znów usłyszał ten głos.

– Przyszedłeś, mój synu... Zdażyłeś... Przyszedłeś do mnie.

To było coś niewyobrażalnego. Nie widział, żeby usta starca się poruszały, ale mógłby przysiąc, że słyszał jego głos. Czy to właśnie ten starzec wzywał go każdej nocy przez tyle miesięcy?

Piorun w jednej chwili się uspokoił. Spuścił głowę i zaczął kopytem grzebać w ziemi.

Dżemowi zaparło dech w piersi, nie wiedział, co powiedzieć.

„Wilk!” – pomyślał. – „Za tobą stoi wilk”. Nie był pewien, czy wypowiedział te słowa na głos.

Starzec wciąż stał z rozpostartymi ramionami. Spomiędzy gałęzi spływało na niego światło, jednak Dżem nie mógł zlokalizować źródła, z którego dochodziło. Czy to światło dzienne? Gdzie podziały się ciemności, które utwierdzały go w przekonaniu, że zapadła już noc?

Nawet brwi i rzęsy starca były bielusieńkie. Z jego twarzy bił spokój, a usta układały się w lekki uśmiech dający poczucie bezpieczeństwa oraz szczęścia.

Mimo czającego się zagrożenia Dżem był spokojny, a nawet czuł się pewnie.

– Witaj, sułtański synu – odezwał się głos w głowie chłopaka. – Mam ci coś do powiedzenia.

– Starcze! – odparł w końcu. – Wilk...

Ale on nie zareagował. Albo nie usłyszał.

Wilk zaczął powoli się zbliżać. Nagle zatrzymał się i wbił wzrok w Dżema.

„Zupełnie jak w baśniach” – przeszło chłopcu przez myśl w tamtej chwili.

„Szatan przybywa na świat pod postacią wilka. To właśnie dlatego w oczach wilków można dostrzec piekielne płomienie” – przypomniał sobie ciągle powtarzane

opowieści. Nie wierzył im. Ale teraz pierwszy raz stanął oko w oko z wilkiem, a źrenice zwierzęcia płonęły żywym ogniem.

Piekielne płomienie!

Jeśli tak, to za starcem stał i pokazywał ostre zęby sam szatan!

– Derwiszu^[10]... – zawołał Dżem. A przynajmniej myślał, że krzyczy. – Za tobą jest wilk!

– A przede mną stoisz ty, sułtański synu.

– Mój Boże! – powiedział sam do siebie. – Rozmawia ze mną...

Jednak było już za późno na słowa.

Wilk zawył przeraźliwie i ruszył do ataku.

Dżem szybko jak błyskawica sięgnął do zawieszzonego na plecach kołczanu. Wzdrygnął się przerażony. Miał tylko jedną strzałę. Pozostałe musiały wypaść, kiedy koń stawał dęba. Wilk szybko zbliżał się do starca i szykował do skoku, a on miał tylko jedną jedyną szansę. Jeśli chybi i strzała nie dosięgnie bestii, śmierć czeka i derwisza, i jego samego.

– Nie wahaj się, sułtański synu – odezwał się głos w jego głowie. – Nie wstrzymuj ręki. Rób to, czego tak bardzo pragnąłeś.

Tak właśnie postąpił. Wyciągnął strzałę z kołczanu i naciągnął na cięciwie. Wystrzelił. Strzała przeszła gardło bestii.

Szatan wydał z siebie ostatni krzyk i padł u stóp derwisza.

*

– Udało ci się. – Z uśmiechem powiedział derwisz. Tym razem jego usta poruszały się, a głos nie był tylko dźwiękiem w głowie chłopca. – Przybyłeś, znalazłeś go i zabiłeś. Uratowałeś mnie. Teraz czas na nagrodę.

– Nagrodę?

– Tak, na nagrodę, sułtański synu. To, co mam ci do powiedzenia, jest cenniejsze niż złoto.

– Nazywasz mnie „sułtańskim synem”, ale kim ty jesteś?

Starzec zaśmiał się.

– Nie ma znaczenia, kim ja jestem. Ważne, kim będziesz ty. Albo kim się nie staniesz!

– Nic nie rozumiem z tej zagadki. Jak to się stało, że słyszałem twój głos z tak daleka? Cóż to wszystko znaczy? Co to za nagroda cenniejsza niż złoto, skoro nie mogę rozszyfrować jej znaczenia?

– Mam mało czasu, mój synu, a jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia. Nie dopuszczaj do swojego serca dumy i rządzy. Nie ulegaj swoim ambicjom. Nie pozwól, by mącili ci w głowie, żeby stłumili w tobie zapał i żeby zbrukali twą duszę.

Nagle oczy starca zamarły i przybrały niebieskawą barwę lodu. Dżem wzdrygnął się.

– Nie pozwól, by pragnienie wstąpienia na tron zawładnęło twoim sercem.

Tron? Dżem nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Oczy mężczyzny ożyły tak szybko, jak przed chwilą zamarły. Jego spojrzenie znów promieniało.

– Nie martw się. Jestem daleko od tronu, a tron daleko ode mnie. Pewnie wiesz, że przede mną jest jeszcze dwóch kandydatów. Nigdy nawet przez chwilę się nie zastanawiałem, czy kiedyś przyjdzie moja kolej.

– To dobrze – odetchnął starzec – bo szatan szepcze człowiekowi do ucha różne rzeczy. Musisz wiedzieć, że tak jak każdy sługa, masz w sobie i dobro, i zło. Z jednej strony możesz słyszeć głosy aniołów, lecz z drugiej zawsze dochodzić cię będą podszepty demonów. Będą zachodzić ci drogę, mącić ci w głowie, mówić, że masz do tego prawo. Ale to prawo należy do Allaha, synu. I do tego, komu On je podaruje. Mówię ci – nie możesz ulec szatanowi. To moja ostatnia rada.

Starzec odwrócił się i zaczął się oddalać, ale wyglądało to, jakby nie stawiał kroków, tylko unosił się nad ziemią. Był już daleko, kiedy Dżem nagle zapytał:

– A jeśli ulegnę? Tego mi nie powiedziałaś. Co się stanie, jeśli ulegnę?

Derwisz odwrócił się gwałtownie. Podniósł długą laskę, którą trzymał w ręku,

i wskazał nią martwego wilka ze strzałą w gardle.

– Wilk wróci!

Wszystko zmieniło się tak nagle, jak się pojawiło. Mężczyzna zniknął pomiędzy drzewami. Cały las znów zatopił się w ciemnościach i gęstej mgle.

Gdyby nie leżący na ziemi wilk, Dżem nie uwierzyłby w to, co się wydarzyło. We wszystko to, co widział i słyszał.

Przez krótki czas stał bez ruchu.

Chwilę później usłyszał krzyki.

– Szehzade!

„Przyszli!” – przeszło mu przez myśl. Poczł ukłucie szczęścia. Znaleźli go.

– Mój panie, gdzie jesteś?

Był to głos Sulejmana Czelebiego.

– Znajdźcie go. Albo wszystkich was powieszę za uszy! – gorączkował się subaszy.

– Tu jestem! Podążajcie za moim głosem!

Sen, koszmar, a może prawdziwe wydarzenia – pragnął, żeby wszystko, czego tutaj doświadczył, dobiegło końca.

Nagle zobaczył kilkunastu mężczyzn w panice rozglądających się między drzewami.

– Niech będą dzięki! – Sulejman Czelebi skierował konia w stronę Dżema. Podjechał do nich także subaszy.

– Szehzade, ależ nas wystraszyłeś. Przez chwilę myśleliśmy, że cię straciliśmy.

Dżem nie potrafił ukryć zdziwienia:

– Przez chwilę?

„Jaką chwilę!” – pomyślał. – „Ja tu godzinami podbijam las!”

– Od jak dawna mnie szukacie?

Sulejman Czelebi i subaszy spojrzeli po sobie.

– Niedługo – odparł subaszy. – Kilka, może kilkanaście minut.

Wtedy mężczyzna zauważył leżącego na ziemi wilka.

– Szehzade! – krzyknął. Zeskoczył z konia i podbiegł do zwierzęcia. Popatrzył na strzałę.

– Ależ to twoja strzała, panie! – powiedział i odwrócił się do stojących wokół mężczyzn. – To strzała shehzade Dżema. To on zabił rdzawego wilka jednym strzałem. To właśnie syn sułtana Mehmeda. Patrzcie i dobrze zapamiętajcie tę chwilę. Nawet jeśli jest dzieckiem, to właśnie shehzade naszego pana!

Inni dowódcy nie chcieli być gorsi w pochwałach:

– Dajcie zwłoki tej bestii, rzućcie je na tył siodła naszego shehzade, niech mieszkańcy na własne oczy zobaczą, jakim dzielnym chłopakiem jest nasz pan. Niech zrozumieją, jakim bohaterem jest syn naszego sułtana.

Podniosły się oklaski.

Piorun nie zrobił nawet pięciu kroków, gdy Dżem ujrzał Czerwoną Skałę.

^[10] Derwisz – członek muzułmańskiego bractwa religijnego o charakterze mistycznym; także żebrzący, ascetyczny, wędrowny mnich muzułmański.

*Kastamonu, posiadłość shehzade Dżema**Zima 1472*

Flaga sułtana Mehmeda powiewała na wietrze razem ze sztandarami shehzade Dżema, które obwieszczały jego panowanie w prowincji.

Wieża przeciwnego zamku spowita była mgłą. Nie był to dobry znak. Zbliżała się zawierucha. Niedługo wiatr przywieje ciemne chmury i rozpęta się piekło. Zawsze tak było.

Najpierw mgła unosiła się aż do wieży zamku. Później przychodziła burza. Godzinami wyła i niszczyła wszystko, co stało na jej drodze, by nagle ustać w jednej chwili. Niebo się przejaśniało.

Całe Kastamonu spowite było wtedy niepokojącą ciszą, której Dżem nie cierpiał. Coś się w niej kryło. Niebezpieczeństwo. Zdrada. Śmierć.

Niemal od razu rozpętała się wichura. Śnieg brał w niewolę góry, doliny, zbocza, pokrywając je grubą warstwą, której nie pokonaliby ani ludzie, ani zwierzęta. Wszystko pozostawione było na pastwę wilków.

Co robił tutaj, u stóp tej góry? Kiedy sułtan Mehmed Zdobywca wysłał syna jako zarządcę prowincji, on, jako jego opiekun, nie miał wyboru.

Osmański porządek był dla niego nie do pojęcia.

– Jak dziesięcioletnie dziecko może sprawować władzę nad całą prowincją? – wymamrotał do siebie. – Dlaczego wysyłają dzieci, które bez opiekuna nie potrafią nawet przejść przez dziedziniec, z daleka od pałacu i jeszcze się chwają, że są wielkimi panami?

Przeraził się. Już za samą taką myśl można stracić głowę.

– Siedz cicho – skarcił sam siebie. – Uważasz, że jesteś mądrzejszy od samego sułtana? W Imperium Osmańskim jest taki porządek i już. Wszyscy synowie sułtańscy muszą opuścić stolicę i tyle. Czy coś byś zrobił, gdybyś wiedział, dlaczego odsyłają ich z pałacu?

Właściwie to znał odpowiedź na to pytanie. Ze strachu. Sułtanat bał się własnych

dzieci. Wszyscy pamiętali, co stało się po śmierci sułtana Bajazyda, którego pokonał Timur^[11]. Musieli coś zrobić, żeby państwo po raz kolejny nie zostało bez władcy, żeby bracia, wujowie, stryjowie i kuzyni nie walczyli między sobą o prawo do tronu.

Oficjalnie shehzade byli delegowani z pałacu do prowincji po to, by pod okiem opiekunów i nauczycieli przyswoili sobie sposoby sprawowania władzy. Ale oczywiście wcale nie o to chodziło. Nauka polegała jedynie na obserwacji. Młodych shehzade odsyłano, żeby nie nadstawiali uszu i nie słuchali złych podszeptów. A do takich należało zainteresowanie ich tronem.

Kto znajduje się blisko władzy, zaczyna mieć na nią ochotę.

Dobrze, ale czemu on był winny? Tylko dlatego, że jest opiekunem shehzade Dżema, już od czterech lat siedzi tutaj, u podnóża przeklętej góry, w zapyziałej posiadłości.

„Ach, gdyby shehzade był chociaż warty tego tytułu i tej pozycji!” – pomyślał w duchu. Właściwie to kiedyś zgubił się na chwilę w lesie i ku zdziwieniu wszystkich sam jedną strzałą powalił rdzawego wilka; do tej pory nie wiadomo, jak udało mu się tego dokonać. Jaka władza, jaki tron? Nie w głowie mu takie sprawy. Jedynym jego zajęciem jest chodzenie z kartką w rękę i układanie rymów! Albo polowanie – łuk i strzały, to mu wystarcza. Nie dba o jutro.

Na szczęście myślał o tym jego opiekun. Ileż to razy biegł za nim, wołając: „Uważaj, shehzade!”.

Dżem tylko się śmiał. Nie interesował go sułtanat.

Ale on wiedział, że zbliża się niebezpieczeństwo. Każdego dnia stawało się coraz realniejsze, wypełzało gdzieś z ciemności.

Poczuł ucisk w klatce piersiowej. Wszyscy mieszkańcy posiadłości shehzade w prowincji Kastamonu zdawali sobie sprawę z zagrożenia.

Wszyscy oprócz Dżema.

*

Przypomniał sobie dzień, w którym wszyscy zbledli, usłyszawszy słowa posłańca ze Stambułu:

– Sułtan Mehmed pragnie cię ujrzeć, panie, w stolicy. Trzeba natychmiast ruszyć

w drogę.

Jemu też zrobiło się wtedy słabo. Jednak shehzade z uśmiechem na ustach odpowiedział:

– Oczywiście.

Dlaczego sułtan wezwał syna? I to tak pilnie? Może chciał go spytać: „Dlaczego zebrałeś w prowincji tysiąc żołnierzy, zamiast utrzymywać tylko pięciuset obrońców?”. Ale przecież dzieciak nie miał o tym zielonego pojęcia. To był pomysł jego i Burhanettina Czelebiego. Wiedzieli, że któregoś dnia shehzade przydadzą się żołnierze.

Kiedy Dżem czytał rozkaz wydany przez ojca, nagle pobladł i niemal krzyknął. Nawet teraz wspomnienie tej chwili wystarczało, żeby jego wnętrze zapłonęło.

Zastanowił się, dlaczego chłopak zaczął się trząść już na dźwięk pierwszego słowa:

– Mój ojciec...

„Ach tak! Ma przed sobą własny wyrok śmierci!” – pomyślał.

Dżem był zmartwiony, zamyślony i zaniepokojony.

– ...wzywa mnie na ceremonię.

Co? Przez jego piskliwy głos wszyscy sądzili, że tylko się przesłyszeli.

– Na ceremonię, shehzade?

– Ojciec podjął decyzję o moim obrzezaniu.

Tamtego dnia nie spełniły się jego obawy. Ale wiedział, że kiedyś ta chwila musi nadejść. Może przybyłby nie posłaniec, lecz od razu kat.

Gdyby powiedział mu o tym, gdyby wtedy wzbudził w nim jakieś podejrzenia, na nic by się to nie zdało. Mógł przewidzieć jego odpowiedź:

– Ależ ty jesteś nieufny. Przecież nie zrobiłem nic złego. Nie dopuszczam do swojego serca dumy i rządu. Nie ulegam swoim ambicjom. Nie pozwalam, by mącili mi w głowie, żeby stłumili we mnie mój zapał i żeby zbrukali moją duszę. Dlaczego w takim razie ojciec miałby mnie ukarać?

Co to za słowa? Kto uczył ich trzynastoletniego chłopaka? „Historia, mój shehzade,

jest po to, by wyciągać z niej lekcje na przyszłość” – mimo przykładów, które mu przytaczali, on cały czas myślał, że aby schylić głowę przed katem, musiałby zgrzeszyć lub źle postąpić.

„To przecież jeszcze dziecko...” – wzdychał najczęściej. – „Nie zdaje sobie sprawy, że nawet jedno niewłaściwe zdanie może być powodem do stracenia tego, kto je wypowiedział”.

W drodze siedział jak na szpilkach, spokojnie i głęboko odetchnął dopiero wtedy, gdy upewnił się, że syn sułtana naprawdę jedzie na ceremonię obrzezania.

Stolica wyglądała zupełnie inaczej niż w dniu jego wyjazdu. Sułtan Mehmed przeprowadził się do Nowego Pałacu na szczycie wzgórza. Wszystko było świeże i przepełnione blaskiem. Nie panowały tam ciemności, jak w starym pałacu, pozostałości po niewiernym bizantyjskim władcy. Coś jednak budziło zastanowienie. Dźwięk! W pałacu nie słychać było żadnych dźwięków. Na każdym kroku czaiła się paraliżująca cisza. Gdyby nie uwijający się wszędzie niezliczeni służący, można by uwierzyć, że nikt tu nie mieszka. By nie zakłócić spokoju sułtana, prawie ze sobą nie rozmawiali, nawet nie szeptali, mogli porozumiewać się tylko wzrokiem.

Nawet uroczystość obrzezania szezade Dżema odbyła się na placu At Pazarı, żeby przypadkiem spokój pałacu nie został zmacony.

Jednak najbardziej przerażały go plotki krążące w tej ciszy. Praktycznie za każdą z kolumn stało po kilka osób szepczących coś między sobą. Za fasadą spokojnych uśmiechów dostrzec można było ślady niepokoju, pretensji, złośliwości, zawiści i strachu.

Jego także ktoś wciągnął w cień jednej ze ścian.

– Przeznaczenie – westchnął mężczyzna z udawanym smutkiem w głosie. – Kto by pomyślał, że nasz sułtan okaże się być taki sam jak jego ojciec, czyż nie, czelebi?

Nie zrozumiał podtekstu kryjącego się w tych słowach, więc odpowiedział:

– Oczywiście. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Nasz pan jest tak samo wielkim zdobywcą jak jego ojciec. Jeden zwyciężył pod Mohaczem, drugi zdobył Konstantynopol.

Nie potrafił wyrzucić z pamięci widoku przebiegłego uśmiešku, który pojawił się w tamtej chwili na twarzy mężczyzny.

– Nawet chorują na te same choroby.

Ze zdziwieniem spojrzął na niego.

– Choroby?

– O niczym nie wiesz? Nasz pan, tak jak jego ojciec, choruje na podagrę.

A niech to! Czy to może być prawda? Sułtan miał dopiero czterdzieści jeden lat.

Gdy plotka jak trucizna rozprzestrzeniła się w jego myślach, spojrzął z daleka na sułtana i wtedy zrozumiał, że mężczyzna ma rację. Sułtan Mehmed poruszał się z trudem. Widać było, że cierpi.

Plotkarz, nie odrywając od niego wzroku, kontynuował:

– Ze wszystkich stron świata przybywają najlepsi lekarze. Sporządzają mnóstwo różnych mikstur, by uleczyć naszego pana, ale to wszystko na próżno... Ah, czelebi, niech Allah da mu jak najdłuższe życie, ale...

To, co miało nastąpić po „ale”, zwiastowało tragedię. Strach zaczął w nim wzbierać, kiedy zrozumiał, że w stolicy zaczęto kalkulować, kto wstąpi na tron po Mehmedzie. Skryta rywalizacja między paszami^[12] okazała się być faktem. Część z nich stawiała na najstarszego shehzade Mustafę, a część na Bajazyda. Nikt nawet nie wymienił imienia najmłodszego, jego shehzade.

– Dżem? Postradałeś zmysły, czelebi? To jeszcze dziecko.

– Czy można powierzyć państwo komuś, kto nawet nie stał się mężczyzną, kto nie obcował z kobietą?

Oczywiście, że nie można. Ale co będzie, gdy sułtan umrze?

Ależ jak to, wielki sułtan Mehmed Zdobywca miałby umrzeć? Oczywiście. Czy jest ktoś, kto uchroni się przed Azrailem^[13]?

– Niech Allah da mu długie życie. Panie, pobłogosław go długim życiem w zdrowiu.

Trudno mu było się przyznać nawet przed sobą, wiedział jednak, że to życzenie bardziej niż życia sułtana dotyczyło jego własnego. Ponieważ po śmierci Mehmeda po raz pierwszy miał zostać zastosowany dekret o bratobójstwie.

*

– A co to, Sulejmanie Czelebi, znowu masz jakieś lisy w głowie, ha?

Siedział przed płonącym na kominku ogniem i dopiero pytanie przyjaciela wyrwało go z zamyślenia.

– Lisy? Jakie lisy, Burhanettin Czelebi?

Burhanettin Czelebi także był opiekunem i nauczycielem shehzade Dżema. Jego okrągłą jak księżyc twarz okalała czarna broda, a ciemne oczy były dość małe w porównaniu ze szlachetnym nosem. Wszystko to jednak nadrabiał intelektem. Burhanettin, tak jak on, utknął u podnóży gór.

– No już, mów... Od godziny siedzisz wpatrzony w okno. Przecież nie liczysz chyba cegieł w ścianach. Myślisz o naszym shehzade, prawda?

Sulejmanowi prawie się wymknęło: „O jakim shehzade? Martwię się o własne życie”.

Burhanettin wstał i przysiadł się do niego. Przez chwilę bez słowa patrzyli na zewnątrz. Ciszę przerwał Sulejman.

– Nadchodzi czas na śnieg.

Burhanettin odwrócił się i spojrzał na niego ze smutkiem. Jego małe, czarne oczy zdradzały zaniepokojenie. Przysunął się bliżej i powiedział:

– A potem na śmierć.

[11] Bajazyd I Błyskawica panował w latach 1389–1402; po porażce zadanej Osmanom przez wojska tatarskie pod wodzą Timura, Anatolia została splądrowana, a imperium rozpadło się na kilka państweczek rządzonych przez rywalizujących ze sobą członków dynastii osmańskiej.

[12] Pasza (tur. *paşa*) – tytuł najwyższych dostojników w administracji i wojsku.

[13] Azrail – anioł śmierci w islamie.

Śmierć!

Nie wiedział, czy to oddech Burhanettina, który poczuł na sobie, czy powiew nadchodzącej śmierci, ale Sulejman wzdrygnął się nagle i poczuł przejmujący chłód.

– Powiedziałaś „śmierć”, Burhanettin?

– Nie udawaj, Sulejmanie. – Aż się zasapał. – Ty też na pewno często wracasz myślami do dekretu. Trudno przesypiać noce, gdy uświadomisz sobie jego konsekwencje.

Chciał zaprotestować, ale Burhanettin szeptem kontynuował:

– Boję się. Szezhade jest poza układem. Kiedy sułtan umrze, jego bracia go zabiją. Tak mówi prawo ustanowione przez Mehmeda. Dżem może zajmować się pisaniem wierszy i graniem na harfie, ale prawo to prawo. Rozlew braterskiej krwi dla dobra państwa jest dopuszczalny i już. Myślisz, że ktoś, kto jest w stanie zamordować własnego brata, będzie się litował nad nami? Nas też... – Głos mu się załamał. – Ja... – jękał się Burhanettin. Ręką dotknął szyi. W jego oczach widać było przerażenie. – Tego właśnie się boję. – Jednym ruchem pociągnął ręką jak nożem. – Boję się, że stracę głowę.

„To tak jak ja...” – pomyślał Sulejman. Pokiwał głową.

Nocami, gdy do wschodu słońca było jeszcze dużo czasu, leżał i nie spuszczać wzroku z wejścia do komnaty, wyobrażał sobie, jak drzwi do pokoju shezhade Dżema powoli się otwierają i wchodzi kaci trzymający w rękach topory z zastrzonymi obiema krawędziami. Widział, jak Dżem się z nimi mocuje, słyszał jego krzyki. A później... Później... Przed oczami stawał mu obraz zakrwawionej głowy leżącej na posadzce.

Mój Boże!

Ile razy Sulejman podskakiwał na łóżku przerażony tymi wyobrażeniami.

Był zlany potem. Wydawało mu się, że słyszy odgłosy kroków zbliżających się do jego drzwi, skradających się katów. Serce niemal wyrывało mu się z piersi. „Uspokój się” – próbował przekonać sam siebie. – „To tylko sen”.

– A co tobie do tego? – wymamrotał. – Jeśli zabiją shezhade, co tobie do tego? Nie ty zdecydowałaś, że będziesz jego opiekunem. Dlaczego nie mieliby się ulitować nad tobą? Niech wygnają cię z pałacu, to wystarczy.

Jednak wiedział, że tak się nie stanie. Zdobywca tronu musiał pozbyć się

wszystkich – i braci, i opiekunów, i nauczycieli. Miał wydać wyrok nawet na malutkie dzieci, żeby nikt w przyszłości mu nie zagroził.

Jak mógł więc mieć nadzieję, że jego głowa pozostanie na właściwym miejscu?

Obaj podskoczyli przestraszeni hałasem za ich plecami.

– A niech to! – bąknął Burhanettin Czelebi.

Drewno w kominku się przewróciło. Kawalki zwały się jeden na drugi, a czerwone iskry zatańczyły wokół.

– Nadchodzi czas na śnieg – westchnął znów Sulejman Czelebi. Przypomniawszy sobie jednak, że przed chwilą wypowiedział te same słowa, na które Burhanettin odparł: „A potem na śmierć”, więc od razu dodał: – Robi się zimno. Wrzućmy do pieca jeszcze trochę drewna.

Burhanettina w ogóle to nie obchodziło. Zamyślony, patrzył na strzelające w górę iskry, podczas gdy Sulejman dokładał do pieca.

– Wiesz co? – zapytał. – Nasz shehzade nie ma w tej grze żadnych szans.

Podzielał jego zdanie, jednak wolał nie wypowiadać takich myśli na głos.

– Kiedy sułtan Mehmed odejdzie na wieczny spoczynek, na tronie zasiądzie jego najstarszy syn, Mustafa. Ma poparcie wśród ulemów^[14].

– W wojsku też ma wielu sprzymierzeńców.

– To prawda. Nie wiem, czy słyszałeś, ale podobno wielki wezyr^[15], Veli Mahmud Pasza, mówi, że go zna, wie, jaki jest, i że to jego właśnie poprze. Nasz sułtan miał dwie misje. Jedną z nich było oczywiście zdobycie Konstantynopola. Druga jest równie ważna – pozostawienie państwa w rękach syna, który będzie kontynuował jego dzieło. Niech Allah da długie życie i naszemu shehzade, i naszemu panu Mustafie.

I co? Mówił to przy wszystkich. Kto to słyszał, żeby na shehzade mówić „nasz pan”?

– To na pewno dotrze do sułtana.

– I właśnie w tym rzecz. Na pewno mu o tym donoszą. Każdy, kto mówi coś takiego, musi pożegnać się z życiem. Ale sułtana to nie obchodzi.

Burhanettin Czelebi rozejrzał się dookoła, sprawdzał, czy przypadkiem nie kręcił się w pobliżu ktoś niepożądany.

– Poza tym... – kontynuował – dali mi do zrozumienia, że to sam sułtan Mehmed kazał wielkiemu wezyrowi rozgłaszać te plotki. I czelebi, i Bajazyd, i nasz shehzade zostali już skreśleni.

Sulejman tylko pokiwał głową.

– Widziałeś Mustafę, kiedy pojechaliście na ceremonię obrzezania?

Oczywiście, że widział. Wyglądał zupełnie jak jego ojciec. Taka sama postawa, zmarszczone brwi i duże, ciemne oczy, których spojrzenie paliło i niszczyło. Było pewne, że w dniu, w którym wstąpi na tron, co do słowa zrealizuje wolę ojca, każdą literę zapisaną w nowym prawie. Co możemy zrobić? Pokajać się? Dla dobra państwa nawet rozlew braterskiej krwi jest dozwolony.

– Słyszałem, że Mehmed Pasza z Rumelii i Gedik Ahmed Pasza mają dobre relacje z shehzade Bajazydem. Mówi się, że Gedik Pasza bardzo ceni także Dżema.

Burhanettin zaśmiał się.

– Owszem, tak mówią. Ale gdzie Rumelia, a gdzie stolica imperium? Myślisz, że to jedno i to samo? Dziś jest tak, a jutro wszystko może się obrócić o sto osiemdziesiąt stopni.

Na chwilę zapadła cisza.

– Wiesz, że nasz shehzade o to nie dba – westchnął Burhanettin. – Nie potrafi w to uwierzyć, Sulejman. Może nie rozumie tego? Nie wydaje mi się. Jest bystry. Ale nie dociera do niego, że gdy tylko coś stanie się jego ojcu, bracia nie będą się zastanawiać i każą go zamordować z zimną krwią. Czyżby nie wiedział, że uchwalono dekret o bratobójstwie?

– Na pewno go zna – powiedział Sulejman. – Tyle razy czytaliśmy dekret wspólnie. Paragraf po paragrafie. Tylko słuchał.

– A tobie oczywiście nie przeszło przez gardło i nie byłeś w stanie powiedzieć mu wprost, jaki czeka go los i że bracia nie pozostawią go przy życiu.

– Jak mógłbym z nim o tym rozmawiać? Ale przyrzekam, wie na pewno. Po prostu nic go to nie obchodzi. Nauczył się od kogoś takiego powiedzenia...

– Wiem, wiem – przerwał mu, śmiejąc się, Burhanettin. – „Nie dopuszczę do swojego serca dumy i rządu i nie ulegnę ambicjom, nie pozwolę, by mącili mi w głowie, żeby stłumili we mnie zapał i żeby zbrukali moją duszę”.

– Jest jeszcze ciąg dalszy, czelebi – powiedział Sulejman. – Zaraz, jak to szło... Aha. „Prawo należy do Allaha oraz do tego, komu On je podaruje”. Czy to są słowa, które zazwyczaj przychodzą do głowy trzynasto-, czternastoletniemu chłopcu, Burhanettin? Czasami coś podejrzewam. Czy jest ktoś, kto bez naszej wiedzy daje shehzade jakieś rady i go poucza?

– Przecież nie rozmawia z nikim oprócz swojej matki, ciebie i mnie.

– Są jeszcze wiersze. Wiesz, co myślę? Może on zdaje sobie sprawę z nadchodzącego niebezpieczeństwa i żeby odsunąć te myśli od siebie, poświęca się poezji i polowaniom?

Burhanettin pokiwał głową.

– Wie, że nie zdoła uniknąć swojego przeznaczenia.

– Wiadomo, że nie może uciec, ale trzeba przecież przedsięwziąć jakieś środki zapobiegawcze. Właściwie to nie jest już dzieckiem. W pałacu aga^[16] haremu Mestan podszedł do mnie i powiedział: „Co tam słyhać, opiekunie, czy nasz shehzade ma już za sobą pierwszą noc z kobietą?”. A co ja mogę wiedzieć? Popatrzyłem tylko na niego, a on mówił dalej: „Odczekaj ze dwa miesiące po obrzezaniu. Potem wyślij mu kilka dziewcząt. Nasz pan słyszał podobno, że młodsza córka beja İsfendiyar jest całkiem ładna”. Potem odwrócił się i poszedł.

Burhanettin znów pokiwał głową.

– Posłaliśmy mu dziewczynę, tak jak kazał nasz pan. I co się stało? Nic. Chłopak to jeszcze dziecko, tak samo jak ona.

– Co będzie teraz? Trzeba mu jakoś uświadomić niebezpieczeństwo. I sprawić, by posiadał kobiety. Jeśli ktoś rozpuści plotkę, że shehzade nie zadaje się z kobietami...

– Czyżby valide nie rozmawiała z nim na takie tematy?

Gdy tylko Sulejman usłyszał imię Çiçek Hatun, oblał się rumieńcem.

– Raz poruszyłem z nią tę sprawę.

Burhanettin zorientował się, że Sulejman nie ma ochoty drażnić tego tematu, mimo

to naciskał:

– No i co? Zdenerwowała się?

– Powiedziała: „Zajmij się swoimi sprawami!”.

– Na takie jak ona nie ma mocnych. Szczególnie, jeśli bywały w pałacu, a nie daj Boże, wkupiły się w łaski sułtana. A jak jeszcze mają z nim syna... – Burhanettin zamilkł na chwilę. – Trzeba było chociaż porozmawiać z nią o dekrecie. Mogłeś jej przekazać, że wszyscy boją się o los naszego szezade po śmierci sułtana i że bracia nie darują mu życia.

– Nie mogłem przecież powiedzieć tego wszystkiego tak wprost. Ale Çiçek Hatun zrozumiała, do czego zmierzam. Zamarła na kilka sekund.

– Chociaż tyle. Przynajmniej wie, że życie jej i szezade jest zagrożone.

Sulejman nie mógł się powstrzymać i zaczął się śmiać.

– No i czego rechociesz? Powiedziałem coś nie tak?

– Nie, nie. Mnie też się wydawało, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa...

– Ale?

– Moje słowa tylko ją rozwścieczyły. Tupnęła nogą i wstała.

– Na Allaha!

– Dokładnie. Wykrzyczała mi prosto w twarz: „Życie ci niemiłe, czelebi? Czy słyszysz sam siebie? Wątpisz w sprawiedliwość naszego pana, w jego bezgraniczną miłość do synów? Myślisz, że sułtan odszedłby bez pozostawienia testamentu gwarantującego bezpieczeństwo każdego szezade?”.

– Jakiego testamentu? Prawo, które ustanowił, jest jego największą spuścizną. Dlaczego miałby teraz zmieniać swoją wolę?

Sulejman spojrzał na niego przenikliwie.

– Co takiego? – spytał Burhanettin, nie mogąc odgadnąć znaczenia tego dziwnego wzroku. – Powiedz.

– Czasami myślę... Skoro valide jest taka spokojna... Tak mi się wtedy wydaje... Może niepotrzebnie się obawiamy? Może ona wie coś, czego my nie wiemy? Mówi z taką

pewnością siebie...

– Nie plec bzdur – rzucił Burhanettin Czelebi. – To niemożliwe. Przecież na własne oczy widziałeś, co dzieje się w stolicy, sam wszystko słyszałeś. Historia nie może się powtórzyć. Dla przyszłości i jedności Imperium Osmańskiego nie jest ważne, ile i czyich istnień trzeba będzie poświęcić. Czy władca, który nie lituje się nad własnymi dziećmi, zlituje się nad takimi jak ja i ty?

– Mam jeszcze pewną nadzieję... – westchnął Sulejman.

Burhanettin odwrócił się w jego stronę wyraźnie zdenerwowany:

– Dla nas jest tylko jedna nadzieja na ratunek. Zdobyć poparcie dla szehzade i w tajemnicy porozumieć się z sąsiadującymi okręgami. Z Ak Kojunlu^[17], Kara Kojunlu^[18], z Mamelukami^[19], a nawet z rumelijskim niewiernym władcą Trabzonu; musimy zdobyć ich zaufanie i poparcie. W stolicy trzeba wystarać się o protekcję wezyrów. Jest nam potrzebnych tysiące żołnierzy gotowych pójść za Dżemem.

Sulejman poczuł coś jeszcze gorszego niż strach, który opanował go przed chwilą. Kiedy patrzył przez okno, wzdrygnął się na myśl o nadchodzącym niebezpieczeństwie, do którego dołączyła obawa przed śmiercią. Zdumienie nie pozwalało mu sprzeciwić się rozmówcy.

Burhanettin wcale nie mówił o nadziei, ale o śmierci. To, co nazywał szansą, było w istocie buntem przeciwko imperium. A buntowników czekała właśnie śmierć.

^[14] Ulema – muzułmański teolog i uczonec.

^[15] Wielki wezyr – dostojnik państwowy, najważniejszy z ministrów sułtana; posiadał pełnomocnictwo sułtana i mógł być odwołany tylko przez niego.

^[16] Aga (tur. *ağa*) – tytuł urzędników i dowódców wojskowych; później właściciel ziemski, bogacz.

^[17] Ak Kojunlu (tur. *Akkoyunlular*) – federacja mongolskich i tureckich plemion, zamieszkująca Mezopotamię, Azerbejdżan, Kaukaz i część Persji w latach 1378–1508. Wygrała walkę o dominację z plemionami Kara Kojunlu w 1469 roku.

^[18] Kara Kojunlu (tur. *Karakoyunlular*) – turkmeńska federacja plemienna, od połowy XIV wieku do roku 1469 tworząca państwo, u szczytu potęgi obejmujące część wschodniej Anatolii, Dżezirę, Irak i większość Iranu.

^[19] Mamelucy – dynastia panująca w Egipcie w latach 1250–1517.

Stambuł, Nowy Pałac – Kryty Bazar

1472

Miał szczęście. Ilu niewolników, ilu jeńców mogło to o sobie powiedzieć? On mógł. W dodatku czuł się wybrańcem.

Miał szczęście, ponieważ Osmanowie zaatakowali statek Geneviz, na którym pracował jako służący. Miał szczęście, ponieważ go porwali i sprzedali. Miał szczęście, ponieważ kupiła go osoba o kobiecym głosie, który dosłyszał po dłuższej chwili, jadąc zamknięty w wozie. Miał szczęście, ponieważ kobieta, na którą mówili Kethüda Kalfa^[20], zawiozła go do pałacu, a w dodatku pracowała w haremie.

Kiedy zobaczył otaczające go dziewczęta, jedną piękniejszą od drugiej, pomyślał: „Maryjo, matko naszego Zbawcy, czyżbym trafił do raju? Czy te piękności to hurysy?”

Zawsze dziękował Bogu za to, że stworzył go tak przystojnym. Tamtego dnia jeszcze wyraźniej zrozumiał, jak wielkim błogosławieństwem była jego uroda. Piękne niewolnice przywożone ze wszystkich stron świata śmiały się i szeptały między sobą, widząc go choćby z daleka.

Kto wie, co by zrobiły, gdyby mogły się do niego zbliżyć.

Zawsze, gdy dochodził do tego momentu wspomnień, odczuwał palące od wewnątrz uczucie bólu, wstydu i upokorzenia.

Od tamtych wydarzeń upłynęły już cztery lata. Mimo to wciąż widywał w snach straszną scenę. Kiedy, leżąc w jednym z tonących w ciemnościach pokoi na tyłach haremu, marzył o przyjemnościach, które go czekają, drzwi nagle się otworzyły i zaatakowali go czterej mężczyźni o posturze olbrzymów. Na próżno próbował się bronić. Położyli go na dużym kamieniu, a jeden z nich wcisnął mu w usta kawałek szmaty, żeby krzyki nie niosły się po całym pałacu. Związali mu ręce i nogi. Cały czas słyszał ich śmiechy, kiedy opuszczali mu spodnie. Gdy zrozumiał ich zamiary, chciał wrzeszczeć, błagać o litość, jednak nikt go nie słyszał. Z przerażonych oczu płynęły mu łzy.

Widać, że mieli wprawę w wykonywaniu tego typu zadań. Przywiązali mu do przyrodzenia jedwabną nić i w jednej chwili zacisnęli.

Przepęłnił go ból nie do opisania.

Boże! Do tamtego dnia nie znał tak poniżającego, uwłaczającego bólu.

Nie był już mężczyzną.

Uroda, którą uważał za dar od Boga, była odtąd bez znaczenia, tak samo jak fakt, że znajdował się w haremie i otaczały go piękne dziewczęta. Co miałyby z nim teraz robić? Gdy wyjęli mu z ust szmatę, z jego gardła wydobył się przeraźliwy krzyk, wyrażający coś więcej niż tylko ból po utracie męskości: nienawiść, żal, chęć zemsty! Ktoś musi zapłacić za ten ból.

Nie wiedział, jak długo leżał na kamieniu. Jedyne, czego był pewny, to że nie została mu już ani jedna łza. Gdy ból zaczął powoli ustępować, spróbował się podnieść. Jedwabna nić znajdowała się w jego dłoni.

Pamiętał, jak dotarł do siedziby eunuchów. Położył się na wyznaczonym miejscu do spania. Miał ochotę wbić paznokcie w ciało i otworzył zaciskaną z całej siły dłoń.

Jedwabna nić odcisnęła znamię we wnętrzu jego dłoni.

Jak gdyby wyryte zostało jego nowe przeznaczenie.

– Wielki Jezu... – pomyślał. – Wybacz mi, ale muszę złamać twoje przykazania. Nie oczekuj ode mnie, że nadstawię drugi policzek. Przrzekam, że za to zapłacę.

Tylko jak? Jego jedyną bronią były paznokcie, o których bezużyteczności przekonał się na zakrwawionym dziedzińcu. Był samotny i bezbronny w olbrzymim pałacu. W jaki sposób mógłby zemścić się na tych, którzy odebrali mu męskosc? Tego nie wiedział, ale był pewny, że musi to zrobić.

Kilka tygodni później, mimo tragedii, która go spotkała, znów poczuł, że ma jednak szczęście. Było to niepokojące uczucie. Okazało się, że człowiek jest w stanie przewyciężyć wszystko.

– Nie! – syknął do siebie. – Nie jesteś już nawet mężczyzną. Zapomnisz o przysiędze zemsty, którą złożyłeś?

Nie może zapomnieć. Codziennie czuł, że czegoś mu brakuje. Przysięga nie dawała o sobie zapomnieć. Słyszał jej głos: „Jestem w twojej głowie, w twoim sercu. Pamiętaj o mnie”.

Wywiesił flagę zemsty i był pewien, że będzie powiewać na wietrze, dopóki on nie

wyda ostatniego tchnienia.

Zdecydował, że wykorzysta w tym celu swoją szczęśliwą gwiazdę. Wszyscy go lubili, a gdy zaczął się uczyć tureckiego, mieszkający w pałacu zawsze witali go uśmiechem.

„Przecież żyjesz w świecie, którego dawniej nie byłbyś nawet w stanie sobie wyobrazić” – próbował tłumić emocje. – „Po kryjomu próbujesz rzadkich win. Jedwabie, atłasy, złoto, srebro, kamienie szlachetne – to wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Wystarczy znaleźć okazję. Czego więcej byś chciał?”

Służył najpiękniejszym na świecie kobietom, które mimo że nie mógł im się już do niczego przydać, wciąż wzdychały na widok jego pięknych oczu. Wiedziały, że nie jest dla nich zagrożeniem, dlatego bezwstydnie się przed nim wylegiwały, psociły i nie protestowały nawet wtedy, gdy wchodził do damskiej części hamamu^[21].

Czym to wszystko nazwać, jeśli nie szansą?

W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że gdyby resztę życia spędził na tym przeklętym statku, jego los nie byłby wcale lepszy.

Zemsta nie mogła czekać.

Pod poduszką jednego z czterech olbrzymów znaleziono grzebień wysadzany rubinami. Nikt nie podejrzewał, że to on go tam zostawił. Nawet nie przyszło im to do głowy. Mężczyźnie odcięto ramiona i wrzucono go do morza z przywiązaniem do szyi kamieniem.

Sześć miesięcy później kolejny z nich wpadł w pułapkę. Wystarczyło szepnąć tu i ówdzie, że groźbami wyłudzał od dziewcząt pieniądze. Plotka od razu rozniosła się po haremie, a wszystko ułatwiły dziewczyny, które z przerażeniem zauważyły zniknięcie biżuterii i drobnych monet. „Groził nam. Bardzo się bałyśmy. Przychodził do nas po pieniądze i cenne kamienie” – zeznania nie pozostawiały cienia wątpliwości, a gdy przysięgły na Boga, że mówią prawdę, mężczyzna został stracony.

Po kryjomu śledził sługę, który niósł w worku głowę straceńca. Wyszedł przez drzwi, o których istnieniu aż do tamtego dnia nie miał pojęcia. Mężczyzna szedł chwilę wzdłuż muru. Potem rozchylił worek i wyrzucił jego zawartość. Do momentu, kiedy się oddalił, on stał schowany za drzewem i obserwował, jak zakrwawiona głowa toczy się po ziemi. Usta zamarły otwarte, jakby miał się wydobyć z nich ostatni krzyk. Jedno oko wypadło z oczodołu i pozostawiło krwawą dziurę. Poczekał, aż nikogo nie będzie w pobliżu, i wyszedł z ukrycia. Kiedy zbliżał się do leżącej na ziemi głowy, z emocji cały się trząsł.

– No dalej – syknął, kopiąc głowę. – Przeklnij sobie, tak jak wtedy!

Kolejne kopnięcie.

– Śmieję się, że „już na nic ci się nie przyda”!

Kolejne kopnięcie.

– Gdzie masz ręce, którymi mnie policzkowałeś? A nogi, którymi katowałeś mnie do nieprzytomności?

Kolejne kopnięcie.

W pamięci utkwił mu widok zakrwawionej głowy, która sturlała się po zboczu i zatrzymała w błotnistej kałuży; uczucie zaspokożenia, które wtedy czuł, było nie do opisanego.

Jakże łatwe było zabijanie!

Zrozumiał, że nie był bezbronny. Spryt i intelekt wystarczały, by pozbyć się wrogów.

Wracając do pałacu, zauważył, że chęć zemsty zapłonęła w nim jeszcze mocniej. Skoro wszystko było takie proste, powinien wykorzystać rozum do osiągnięcia większych celów i zysków.

Zemsta też powinna być surowsza. Powinien policzyć się z systemem, przez który ci czterej mogli wykonać swoje zadanie.

Kiedy przekraczał bramę dziedzińca, zrozumiał, że jego celem jest już nie tylko znalezienie sposobu na pozbycie się pozostałych dwóch mężczyzn. Wtedy po raz pierwszy usłyszał ten głos.

– Zostałeś wybrany!

Głos był na tyle silny, że rozejrzał się dookoła.

– Kto mówi?

Na dziedzińcu nikogo nie było.

Gdy dotarł do haremu, miał gęsią skórę. Bóg do niego przemówił.

Nie usłyszał nawet szeptów dziewcząt patrzących na niego z zainteresowaniem.

– Hej! – zawołała jedna z nich. – Co ci się stało? Z kim rozmawiasz? Do kogo powiedziałeś: „Czekam na rozkazy”?

Oddalił się. Cały czas słyszał głos.

– Zostałeś wybrany!

Dlaczego Bóg wybrał właśnie jego?

*

Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Któregoś dnia został wysłany po tkaniny dla dziewcząt z haremu; na bazarze przyczepił się do niego brzuchaty kupiec o okrągłej brodzie. Przez chwilę stał koło niego i zachwalał tkaniny, wołając do przechodniów. Nagle odwrócił się do niego i zagadał płynnie po włosku:

– Skąd pochodzisz?

Był tak zaskoczony słowami w ojczystym języku, że bez chwili zastanowienia odparł:

– Z Wenecji.

Tym razem spojrzał na kupca.

– Rozmawiaj ze mną bez nawiązywania kontaktu wzrokowego. Jak masz na imię?

– Angiello. Ale w haremie nazywają mnie Ahver.

Pierwszego dnia w haremie usłyszał krzyk dobiegający z piętra:

– Aaa! Chodźcie tu, dziewczyny! Tylko spójrzcie na te oczy!

Wszystkie znajdujące się w pobliżu dziewczęta przewieszane przez barierkę patrzyły na niego, śmiały się i mówiły coś w niezrozumiałym języku. Jedna z nich pokazała na niego palcem i krzyknęła:

– To Ahver!

Aga haremu zaczął się złościć:

– Co tu się dzieje? Co to za hałas? – Klaszcząc w dłonie, kazał dziewczętom się rozejść. Wracając do swoich zajęć, powtarzały jednak:

– Ahver! Ahver! Ahver!

Wszyscy zaczęli go tak nazywać. Kilka dni później dowiedział się, że jeden ze służących też jest Włochem, i zapytał go:

– Co oznacza „Ahver”?

– Ach, twoje nowe imię. Oznacza kogoś o pięknych oczach.

Kupiec, jakby nie dosłyszał, wyszeptał:

– Angiello... Czy cały czas wierzysz w Boga?

Co miał mu odpowiedzieć? Czy miało sens tłumaczenie, że tak samo jak męskości, pozbawili go również wiary? Jednak w głębi duszy nie stał się muzułmaninem. Nocami ciągle modlił się do Maryi i Jezusa.

Wyciągnął z kieszeni medalik i odpowiedział:

– Tak, oczywiście.

Mężczyzna zajął się obsłużeniem trzech kobiet przechodzących przed stoiskiem, które zainteresowały się tkaniną przewieszoną przez jego ramię. Pod niebiosa wychwalał jakość swoich materiałów.

– Popatrzcie! – powiedział. – Tylko spójrzcie. Jedwab z Damaszku. Nikt takiego nie ma. Dotknijcie go!

Gdy kobiety odeszły, kupiec wyszeptał:

– Wenecjaninie, czy jesteś gotowy, by służyć Bogu?

Serce zaczęło mu mocniej bić. Ta potajemna szeptanina stawała się niebezpieczna. Kim był ten mężczyzna? Kto w takim tłumie i hałasie zainteresowałby się ich rozmową? Dlaczego tak bardzo uważał, żeby nikt nie zobaczył ani nie usłyszał ich rozmowy? Wyglądał, jakby nawet nie poruszał ustami. I skąd go znał? A może był to tajny sprawdzian? Czyżby wystawiali na próbę jego wierność?

– A w jaki sposób mógłby służyć Bogu zwykły pałacowy służący?

Przeszedł kilka kroków, upewniając się jednak, że cały czas stoi za mężczyzną. Prezentujący przechodniom tkaniny kupiec powiedział:

– W bardzo prosty i zyskowny sposób. – Jego usta znów się nie poruszyły. Schylił się do stojącego przed nim worka z przyprawami. Nabrał na łyżeczkę odrobinę proszku i powąchał go. Zapytał właściciela stoiska o cenę.

– Poproszę dziesięć dirhemów^[22] – powiedział i sięgnął ręką do sakiewki. Angiello dojrzał osmańską monetę pomiędzy dwoma pulchnymi palcami mężczyzny. Gdy sprzedawca odważył przyprawę, kupiec wyszeptał:

– Wiadomości. Święty Kościół potrzebuje wiadomości. Z pałacu.

Przez chwilę myślał, że się dusi.

Szpiegostwo!

Święty Pan chciał, by został szpiegiem.

Gdy próbował dobrać odpowiednie słowa, pulchny kupiec rzekł:

– Rzym jest hojny, Angiello. Żadnego ze swoich służących nie pozostawia bez wynagrodzenia.

Na twarzy mężczyzny pojawił się szeroki, ale zarazem wymuszony uśmiech.

– Potrafisz bez problemu wydostać się z pałacu?

– Nie zawsze. Czasami.

– Świetnie.

Kupiec zbliżył twarz do jego ucha.

– W każdy czwartek, Angiello – wyszeptał – przy fontannie na początku tej drogi będzie czekać ktoś w zielonym nakryciu głowy i żółtym pasie. Przekaż mu wiadomość i odejdz. Mów zwięźle. Nic nie zapisuj. Tylko słowa.

Później objął go i z jeszcze większym uśmiechem podał mu do ręki jeden z jedwabiów.

– Już, nie krępuj się. Spójrz tylko na ten chiński jedwab, godny wyłącznie dam mieszkających w pałacu. Dla ciebie mogę trochę zejść z ceny, piękny chłopcze.

Angiello wziął do ręki tkaninę i poczuł, jak mężczyzna wciska mu coś w dłoń.

– Mówiłem. – Puścił do niego oko. – Bóg jest hojny.

Nie miał szansy zareagować – mężczyzna wmieszał się w tłum i w jednej chwili zniknął mu z oczu.

Angiello stał tak przez chwilę, zupełnie oszołomiony. To właśnie była odpowiedź. Już wiedział, dlaczego został wybrany przez Boga.

Jego los nie był dziełem przypadku. Taka była wola Pana. Wszystko działa się według Jego planu.

Atak na statek Geneviz. Targ niewolników. Sprzedaż do pałacu. Praca w haremie i wreszcie odebranie męskości.

Był kimś wyjątkowym. Został wybrany. Miał zadanie do wykonania: służyć Bogu! Na dłoni naznaczonej piętnem zakrwawionej jedwabnej nici leżała moneta, którą dał mu kupiec. Musi teraz uważać, żeby nie przegapić żadnego czwartku.

Wszystko, co dojdzie do jego uszu i co zobaczy, ma wyszeptać mężczyźnie czekającemu przy fontannie.

Ciekawe, czy za każdym razem będzie miał coś do przekazania.

– Może się udać – powiedział do siebie. – Trzeba uważnie słuchać, przyglądać się i używać rozumu.

*

Znalezienie mężczyzny w zielonym nakryciu głowy okazało się prostym zadaniem. Uścisnął go, jakby byli starymi znajomymi i latami się nie widzieli.

– Mówią, że czas wielkiego wezyra dobiegł końca.

Mężczyzna już na wstępie wcisnął mu w dłoń „hójność Boga”.

– Mehmed Pasza z Rumelii? Podobno sułtan bardzo go ceni.

Wzruszył ramionami.

– A teraz mówią co innego. Podobno nowy wielki wezyr İshak Pasza codziennie na niego donosi. Okazało się, że Mehmed Pasza sam na sam, bez wiedzy sułtana, spotkał się z posłańcem Ak Kojunlu, który przybył do Stambułu.

Po tych słowach odszedł.

W kolejny czwartek nie udało mu się wyjść z pałacu. Mężczyzna na próżno czekał, trzymając w dłoni sakiewkę z monetami.

Gdy spotkali się w kolejnym tygodniu, przekazał wiadomość:

– Mehmed Pasza został stracony.

Z boskiej sakiewki wypadły tym razem trzy monety. Panu Rzymu musiała spodobać się taka nowina.

„Zobaczymy, jak mnie wynagrodzi, kiedy usłyszysz dzisiejsze wieści” – zaśmiał się pod nosem, idąc w stronę bramy pałacu. Gdy jeden ze strażników zobaczył go zmierzającego chwiejnym krokiem w stronę posterunku, zawołał:

– Ooo, a gdzież to się nasz Ahver wybiera? – Patrzył na niego z przyklejonym do twarzy szelmowskim uśmiechem. – Odbierać życie czy je dawać?

„Głupek” – pomyślał. – „Gdybyś tylko wiedział, jak ważną jestem osobą...” Ale nie dał niczego po sobie poznać.

– Ależ przystojniaku, ja brzydzę się krwawymi utarczkami. – Uśmiechnął się, mijając go. – Kiedy zobaczyłem, że stoisz na straży, pomyślałem, że przyjdę i pokiwam się trochę przed moim agą.

Nawet wełniane nakrycie głowy w kształcie stożka, które janczar^[23] miał na głowie, trzęsło się, gdy ten śmiał się ukontentowany.

– Dokąd miałbym się wybierać? Te dziewczyny wpędzą mnie do grobu. Wczoraj jedna zażyczyła sobie jedwab, kolejna wenecki aksamit... Kethüda Kalfa z samego rana poderwała wszystkich na nogi, krzycząc: „Niech ktoś pójdzie i to wszystko kupi!”. No i kto to niby ma zrobić? Oczywiście, że Ahver.

Janczar zarechotał.

– Wiesz co? – powiedział nagle. – Cały czas dziwię się, jak to robicie, że wasze

wąsy są takie spiczaste.

Dwóch innych strażników wybuchło śmiechem i odparło z przekąsem:

– Przyjdź kiedyś, to cię nauczymy!

Gdy dotarł do fontanny, mężczyzna już na niego czekał. Uścisnęli się, a kilka monet niepostrzeżenie zmieniło właściciela. Kiedy usłyszał wieści, wzdrygnął się.

– Jesteś pewien? To bardzo ważne.

– Jest w haremie dziewczyna o imieniu Firdevs. Podobno sułtan w nocy powiedział do niej: „Czeka nas rozłąka, Firdevs. I to bardzo długa. Będę za tobą tęsknił”. Dziewczyna z samego rana, zalewając się łzami, opowiedziała to koleżankom. Sam słyszałem.

– Powiedział, że czeka ich rozłąka, ha?

– Tak. I to bardzo długa...

Angiello, nie dając mężczyźnie szansy na zadanie kolejnych pytań, odwrócił się i odszedł. Niech już tam w Rzymie zastanawiają się, co to może oznaczać.

*

Rozwiązanie zagadki „długiego rozstania” nie zajęło Rzymowi zbyt wiele czasu. Mężczyzna w zielonym nakryciu głowy po odejściu Angiella niemal biegiem rzucił się w dół wzniesienia, dotarł do Haliça^[24] i wskoczył na łódź. Nad Stambułem zapadał już zmrok.

– Zabieraj się do wiosł – zawołał do sternika. Z pośpiechu nawet nie usiadł, tylko stał całą drogę. Gdy zbliżyli się do brzegu, od razu wyskoczył. Zaczął wbiegać na strome wzgórze, na którym znajdowała się ogromna wieża. Zatrzymał się w ostatniej chwili, widząc zapadlisko. Przechodnie myśleli, że zmęczony musi złapać trochę tchu; on jednak rozglądał się, sprawdzając, czy ktoś go obserwuje. Nikogo nie było, zniknął więc w zapadlinie.

Po nastaniu zmierzchu znów się ukazał. Tym razem, zamiast zielonego nakrycia głowy, miał na sobie długą, czarną pelerynę, której kaptur zasłaniał całą jego twarz.

Zbiegł ze wzgórza, a gdy dotarł do wybrzeża, skręcił w lewo. Zwolnił nieco, zbliżając się do wielkiego kamiennego budynku, którego okna wychodziły na ciemniejące o tej porze dnia morze. Przez ogromne okna nie wydostawał się na zewnątrz nawet jeden

promień światła. Wyciągnął rękę w stronę kołatki z brązu. Drzwi otworzyły się, zanim zdążył zapukać. Wślizgnął się do środka i usłyszał tylko trzask zamykanych za nim żelaznych drzwi.

Chwilę później stał już przed mężczyzną, który zlecił mu spotkania z Angiello. Był to Massimo Galliari, wenecki ambasador w stroju kupca, z którym Ahver rozmawiał na targu.

Gdy Galliari go słuchał, był tak skupiony, że ani razu się nie poruszył.

Przerwał mu tylko raz.

– Powiedział, że w najbliższym czasie czeka ich rozłąka, tak? Chłopak dokładnie tak ci powiedział?

– Dokładnie tak. Ma to być bardzo długa rozłąka.

Galliari zamilkł. Po wysłuchaniu wiadomości przez chwilę przyglądał się zdobieniom na suficie. Wstał z fotela i podszedł do gobelinu, który w całości pokrywał jedną ze ścian. Spojrzał na wspaniałość Canal Grande, najdłuższej weneckiej cieśniny wytkanej na gobelinie.

„A więc rozłąka... Rozłąka jest zła” – pomyślał. Za każdym razem, gdy przyglądał się temu gobelinowi, budziła się w nim pałaca tęsknota.

– Pogoda się zmienia, Duce – wyszeptał, nie spuszczać wzroku z gobelinu. Jak gdyby zwracał się do weneckiej Duce, którą widział teraz siedzącą w pałacu. – Pogoda się zmienia. Obawiam się, że nadchodzi sztorm. Rzym powinien dowiedzieć się o tym od ciebie, Wenecjo.

[20] Kalfa – nadzorczyńni nad białymi niewolnicami w haremie.

[21] Hamam – łaźnia muzułmańska.

[22] Dirhem – jednostka wagi pierwotnie ustalona w Arabii jako 2/3 drachmy attyckiej; wynosiła 3,25 grama.

[23] Janczarzy (tur. *yeniçeri*, „nowe wojsko”) – oddziały piechoty stanowiące trzon armii osmańskiej od XV do XIX wieku.

[24] Haliç – jedna z dzielnic Stambułu.

Kastamonu, posiadłość shehzade Dżema

1473

Dzień dopiero się budził. Światło wpadające przez okno do jej pokoju, zanim nocne ciemności zmieniły się w promienie słońca, mieniło się na granatowo, szaro, żółto, a nawet na różowo. Poczwała na sobie ciężar jedwabnej kołdry.

Przewróciła się z boku na bok. Nie wiedziała, który to już raz tej nocy. Miała nadzieję, że uda jej się zasnąć, kiedy odwróci się do ściany, a światło wpadające do pokoju oraz pełzające po nim cienie drzew nie będą jej rozpraszać. Nic to jednak nie dało. Wbiła wzrok w ścianę i leżała. Przed oczami migwały jej kłębiące się w głowie obrazy z przeszłości. Dersaadet^[25]... Nowy Pałac... Mehmed...

Myśl o Mehmedzie zawsze sprawiała, że łzy stawały jej w oczach.

Tak było i tym razem.

Ostatni raz widziała sułtana podczas ceremonii obrzezania ich syna i to tylko przelotnie.

Gdy przyszedł odwiedzić ją w specjalnie przygotowanym pokoju, znów przypomniała sobie, że boi się spojrzeć w ciemne oczy ojcu swojego dziecka. Nigdy nie potrafiła się na to zdobyć. Czuła, że są jak wzburzone oceany, które targane nawałnicami zlewają się w jedno z niebem. Jak dawniej, skłoniła się przed nim bez przelotnego nawet spojrzenia.

– Mój panie. Uszczęśliwiliście waszą słu... słu... – Ze zdenerwowania zaczęła się jąkać. – Waszą sługę.

Poczwała, że zbliża się do niej, gdy usłyszała lekki szelest kroków na perskim dywanie. Serce waliło jej jak szalone.

Wydało się, że znów widzi ich sylwetki ukształtowane przez promienie światła tańczące na ścianie. Dotknął jej podbródka. Boże, jego ręce były tak piękne i delikatne. Nie pojmowała, jak taka wytworna dłoń mogła dźwigać miecz. Znów zobaczyła, jak Mehmed długimi, lecz silnymi palcami podnosi jej podbródek.

– Çiçek...

Ach ten głos! Głos, którego nie mogła wymazać z pamięci; głos, który czarował ją, otulał ciepłem, brał ją w ramiona i który sprawiał, że zapominała o całym bożym świecie. Mówili, że krzyk Mehmeda wywoływał we wrogu paniczny strach, ona jednak nigdy w to nie wierzyła. Głos sułtana potrafił ugasić największy pożar w jej duszy.

– Nic się nie zmieniłaś. Jesteś tak samo piękna, jak w dniu, w którym cię ujrzałem, Çiçek.

Było to absolutne kłamstwo.

– Mój panie, wasza służba...

A niech to, znów się zająknęła.

Mehmed wiedział, że działo się tak, gdy była zdenerwowana.

– Dzięki tobie mój ród został pobłogosławiony męskim potomkiem, a ty dalej będziesz mówiła o sobie „sługa”, Çiçek Hatun^[26]? Jesteś matką mojego syna.

– Mój sułtanie... ja... ja...

Słowa znów się urwały. „Ja... ja...” – to wszystko, na co było ją stać. Tamtego dnia, stojąc przed Mehmedem, poczuła się niewyobrażalnie głupio i żałośnie. Kiedyś to uczucie było jej obce. Ale teraz... Po tylu latach... Po wyjeździe ze Stambułu do Kastamonu, gdzie jej syn, Dżem, miał uczyć się, jak rządzić i administrować, dystans pomiędzy nimi był już zbyt duży. Przecież w pałacowym haremie mieszkały dziesiątki przywożonych ze wszystkich stron świata przepięknych dziewcząt, z którymi nie mogła konkurować.

Jej miejsce zostało określone. Çiçek zrozumiała to właśnie tamtego dnia, kiedy prawil jej komplementy. Była jego dawną kochanką, która wydała na świat jego syna. To wszystko. Nie mogła się zbliżyć do swojego mężczyzny bardziej niż w dniu tamtej wizyty, a jego zapach czuła jedynie z daleka. Nie pozostało nic więcej, jak życie ukrytymi w najgłębszym zakamarku serca wspomnieniami, powracającymi w bezsenne noce, takie jak ta.

Nie chciała się przed jego obliczem jękać ani trząść ze strachu jak jakaś nowicjuszka. Nic jednak nie mogła na to poradzić. Taka już była.

Nie potrafiła tego zrozumieć, dlaczego tak bardzo się go bała.

On jest sułtanem, ale ona też przecież była kiedyś serbską księżniczką. Została wysłana do Stambułu jako znak pokoju między dwoma państwami. Była piękna.

Mówiono, że nie ma na świecie mężczyzny, którego nie mogłyby zniewolić jej niebieskozielone oczy. Wiedziała, że to prawda. Wielki sułtan Mehmed Zdobywca, który pokonał Cesarstwo Wschodniorzymskie, w jednej chwili poddał się jej urokowi.

Promienie wędrujące po pokoju jakby odgrywały na ścianie scenę, kiedy po raz pierwszy została wysłana do komnaty sułtana.

Serce biło jej tak samo mocno, jak tamtego wieczoru. Nie wiedziała, co ma zrobić, jak się zachować i co powiedzieć. Oczywiście tysiące razy powtarzano jej, jak ma postępować w obecności sułtana, jednak wszystkie te wskazówki puszczała mimo uszu.

– Nie bój się – powtarzała przygotowująca ją kobieta.

Ale to nie było takie proste. Od chwili, gdy dowiedziała się, że zostanie wysłana do Stambułu, próbowała wyobrazić sobie osmańskiego sułtana, któremu miała być przedstawiona. Na pewno był strasznie brzydki. Niski, przysadzisty, gburowaty barbarzyńca z sumiastymi wąsami, który tylko wywija mieczem. Czym sułtan mógł różnić się od swoich żołnierzy? Chyba tylko wyszywaną kamieniami szlachetnymi odzieżą.

Oczami wyobraźni widziała otwierające się drzwi jego komnaty. Weszła. A gdzie sułtan? Mężczyzna stojący naprzeciwko niej musiał być jednym z dziesiątek jego służących. Był młody i przystojny. Miał na sobie zwyczajne ubranie, które nie mogło się równać z bogactwami zdobywcy Cesarstwa Bizantyjskiego.

Nie miał na głowie saryka^[27], a jego włosy były krótko obcięte. Broda zupełnie nie przypominała tej, którą nosili sułtani – długiej, sięgającej niemal do piersi, brudnej i poskręcanej. Na jego ubraniu nie dostrzegła ani rubinów, ani brylantów... Miał na sobie zapinaną na guziki koszulę bez kołnierzyka i szarawary – tak, jak wszyscy Osmanowie. Wyróżniały go jedynie szarawary utkane z czystego jedwabiu. Musiał być wyższym w hierarchii służącym. Zaraz pewnie się oddali i przekaże sułtanowi wiadomość, że przybyła.

Uśmiechnął się do niej.

Mimo że była teraz tylko dziewczyną z haremu, księżniczka nie powinna uśmiechać się do pałacowej służby.

Nawet dokładnie mu się nie przyjrzała, ale czuła, że on uważnie bada każdy szczegół jej twarzy.

– Sułtan zażyczył sobie mojej obecności – wymamrotała po serbsku. W haremie próbowała nauczyć się kilku słów po turecku, ale wszystko wyparowało jej z głowy. –

Czy to ty przekażesz mu wiadomość o moim przyjściu?

Ale mężczyzna nie spuszczał z niej wzroku.

– Dobrodošli. Dobro večē.

Çiçek Hatun zachichotała, cały czas leżąc jeszcze w łóżku.

Bardzo zdziwiła się, słysząc powitanie w jej ojczystym języku. W pałacu mogło się to jednak zdarzyć. Mieszkali tam ludzie mówiący wieloma językami, pochodzący z różnych stron świata. Spotkała mnóstwo osób mówiących językami, o których istnieniu nie miała do tej pory nawet pojęcia. Dla nikogo nie stanowiło to przeszkody i wszyscy umieli się porozumieć. Mimo to nie spodziewała się, że służący w komnacie sułtana zwróci się do niej po serbsku.

– Dobro večē.

Starła się, by jej głos nie zdradzał emocji. Przecież księżniczka nie powinna spoufalać się ze służącym sułtana tylko dlatego, że był przystojny i że ton jego głosu zrobił na niej wrażenie.

– Gdzie jest sułtan? Nie widzę go.

– Tutaj.

Nie widziała jego twarzy, stojąc z opuszczoną głową, ale jego głos zdradzał, że lekko się uśmiechnął.

– Tutaj?

– Tak... Stoi przed tobą.

Wielki Jezu! Oniemiała.

– Ty... ty... jesteś sułtanem?

Kątem oka próbowała zmierzyć wzrokiem mężczyznę, którego wzięła za służącego. Patrzył na nią. Jego twarz wyrażała cechy trudne do określenia. Przeróżający, ale zarazem pieszczotliwy. Przyjazny, ale zdystansowany. Ostrożny, ale jednak śmiały. Wrażliwy, ale namiętny.

– Tak mówią.

Sułtan Mehmed już nie ukrywał rozbawienia jej zdziwieniem.

„Głupia, głupia, głupia księżniczka!” – złościła się na siebie w myślach. Skompromitowała się przed obliczem sułtana. A co gorsze, nawet nie ukloniła się, ponieważ uważała go za kogoś niegodnego bycia władcą.

Natychmiast dygnęła, próbowała naprędce się skłonić. Nie potrafiła powstrzymać wstydu.

– Mój panie... Proszę mi... wyb... wybaczyć...

Gdy się wyprostowała, pierwszy raz spojrzeli sobie w oczy. Mój Boże, patrzył na nią jak orzeł; jego szlachetnie zakrzywiony nos przypominał jej właśnie to zwierzę. Istotnie, to z powodu nosa nie potrafiła bliżej określić jego twarzy.

Mehmed nie mógł oderwać od niej oczu. Stali bez ruchu naprzeciwko siebie, kiedy sułtan przerwał niezręczną ciszę:

– Jak masz na imię?

– Ad... Adrianna, mój panie.

Zmarkotniała, gdy zobaczyła, jak z niezadowoleniem kiwa głową.

– To niedobrze... – Wykonał szybki ruch ręką i kazał jej do siebie podejść.

Bała się, że kiedy się zbliży, Mehmed usłyszy, jak szybko bije jej serce.

– Przypominasz kwiaty, które wiosną rozkwitają na łąkach. Powinnaś nazywać się Çiçek^[28].

„Święta Mario...” – pomyślała. Głos sułtana był jeszcze słodszy, jeszcze bardziej czarujący i robił ogromne wrażenie. Czy to ten wrażliwy mężczyzna był władcą wojującym mieczem? Tym, który zrównał z ziemią mury Konstantynopola i podbił całe cesarstwo?

– Ale kwiaty więdną – odpowiedziała po cichu.

Wciąż leżąc, dotknęła dłonią swojego policzka. Ach, ten ich pierwszy pocałunek.

– Skądże – wyszeptał Mehmed. – Ty przez całe życie pozostaniesz świeża, jak dopiero co zerwany kwiat. Na wiosnę, w lecie, jesienią i nawet zimą, Çiçek.

Tamtej nocy pierwszy raz byli ze sobą. O poranku, który nastął po tej wspaniałej nocy, była już Çiçek Hatun.

Być może podczas spotkania na ceremonii Mehmed przypomniał sobie ich pierwszą wspólnie spędzoną noc i chciał jej schlebić, mówiąc, że cały czas jest piękna.

Ona jednak zdawała sobie sprawę, że nie była to już prawda. Jeszcze dosadniej zrozumiała to, widząc dziewczęta w haremie.

Serce zabolalo ją tak samo mocno, jak tamtego dnia. Gładziła swój policzek. Przesunęła palcami po powiekach i brzegach oczu. Nie, jej skóra nie była jeszcze pomarszczona. Nie była też jednak bez skazy i wiedziała, że jest to zapowiedź zmarszczek.

Chciała wstać i zrzucić z siebie kołdrę, pozbyć się w ten sposób myśli, koszmarów i strachu. Zrezygnowała jednak i znów przewróciła się na drugi bok. Tym razem zaczęła wpatrywać się w okno. Nocne ciemności zdążyły już przejść z granatu w szarość. Gdy spojrzała na tańczące po ścianach cienie drzew, zorientowała się, że na zewnątrz jest wichura. Musiało być też lodowato.

Zdawała sobie sprawę, że nie jest już świeżym, polnym kwiatem. Kiedy po latach ujrzała swojego mężczyznę, wiedziała, że on też nie jest już tym Mehmedem, co kiedyś.

Gdy go ujrzała, pomyślała: „Mehmed jest chory”. Od tamtej chwili nie mogła przestać o tym myśleć. Codziennie słyszała kołaczący się w myślach głos: „Sułtan jest chory”.

Zrozumiała to, kiedy odwiedził ją podczas ostatniego pobytu w Stambule. Chodzenie przychodziło mu z trudem. Nie podnosząc nóg, szurał nimi po jedwabnym dywanie. Starał się z tym nie zdradzać, jednak ona zrozumiała, że sułtan Mehmed już nie stapał po ziemi tak mocno jak kiedyś.

Çiçek zmrużyła oczy. Próbowwała zasnąć. Tak bardzo tęskniła za spokojnym snem, kiedy o niczym nie myślała i niczego się nie bała. Starła się oczyścić umysł, odciąć się od wspomnień, nic to jednak nie dawało. Tak jakby jej ciało odmawiało snu.

W ciemnym pokoju usłyszała szept:

– Mój panie, ty też dobrze wyglądasz.

To było kłamstwo. Przecież nie mogła zapytać wprost: „Czy sułtan jest chory?”.

Mehmed uśmiechnął się lekko.

– Ach, nie jest tak źle, Çiçek. Nie chcę umrzeć, zanim nie położę słońca obok półksiężyca.

Słońce obok półksiężyca!

Noc, kiedy usłyszała te słowa po raz pierwszy, znów stanęła jej przed oczami.

Lata temu, kiedy zmęczeni miłością kładli się na łóżku, Çiçek opierała głowę o pierś Mehmeda, a on wpatrywał się w ozdobiony złotymi gwiazdami sufit i odpływał do krainy marzeń. Leżała tak i w ciszy próbowała odgadnąć, jakie myśli kłębią mu się w głowie.

„Nie wolno pytać sułtana, o czym myśli!” – strofowano ją zawsze. – „Nawet nie próbuj tego robić. Jeśli chcesz o coś zapytać naszego pana, musisz być cierpliwa. Jeżeli będzie chciał się czymś z tobą podzielić, powie ci o tym. Choćby miał milczeć przez całą wieczność, tobie nie wolno o nic pytać”.

Na szczęście Mehmed nie zamierzał milczeć.

– Wiesz co, mój Polny Kwiatku? – szepnął tamtej nocy. – Nie chcę umrzeć, zanim nie położę słońca obok półksiężyca.

*

Co to mogło oznaczać? Nic z tego nie rozumiała, ale kiedy usłyszała słowo „umierać”, natychmiast się wyprostowała.

– Umierać, mój panie? Niech Allah strzeże. Śmierć nie może cię osiągnąć, sułtanie.

Poczuła na włosach dotyk dłoni Mehmeda, tak samo, jak tamtej nocy.

– Sułtanowie też umierają, Çiçek Hatun. Nawet prorok Salomon musiał pożegnać się ze światem; myślisz, że mnie to ominie?

– Niech Allah da sułtanowi jak najdłuższe życie, a jego władza niech będzie wieczna. Modlitwy wiernych sług są zawsze z tobą, mój panie.

Mehmed nagrodził ją pocałunkiem w policzek.

– Mimo wszystko uważam, że sułtan Zdobywca nie powinien umierać, nie

położywszy słońca obok półksiężyca. – Oparł się na łokciach i spojrzał na nią. – Wiesz, co oznaczają te słowa? Czym jest słońce, a czym półksiężyc i jak to wszystko rozumieć?

Oczywiście, że nie wiedziała.

– Wybacz, panie, swojej służce.

– Półksiężyc to oczywiście Imperium Osmańskie. Po zdobyciu Bizancjum jego blask stał się jeszcze większy. Jednak nic nie jest w stanie zastąpić blasku słońca. A Osmanom nie wystarczy półksiężyc.

Çiçek przypomniała sobie, że kiedy to mówił po raz pierwszy, dotykała palcami jego ust, a on delikatnie całował opuszki jej palców. Poczowała ucisk w żołądku.

– No dobrze, Çiçek Hatun. Jeśli półksiężyc to Imperium Osmańskie, czym jest słońce?

Oczy Çiçek zaszły mgłą.

– Wybacz, panie, swojej służce. Obawiam się, że i tego egzaminu nie uda mi się zdać.

Ale Mehmed nie słyszał jej słów. Zapatrzył się w jakiś punkt na ścianie i zamyślił. Gdy Çiçek spojrzała mu w oczy, pierwszy raz zobaczyła w nich przerażające płomienie. To dlatego od tej pory bała się w nie patrzeć.

– Słońce to... Rzym, Çiçek. Obawiam się, że jeśli umrę, zanim uda mi się położyć słońce obok półksiężyca, blask naszego państwa będzie przygaszony. Koronę Zachodniego Rzymu powinienem położyć obok korony Wschodniego Rzymu – tylko wtedy podbój zostanie zakończony. Tylko wtedy nasze państwo stanie się światowym imperium.

Ojciec jej syna i mężczyzna jej życia, sułtan Mehmed, wciąż próbował położyć słońce obok półksiężyca. Mimo że z trudem chodził, co i rusz organizował kolejne wojenne wyprawy. Wszystko po to, by zrealizować swoje marzenie.

Podczas wizyty w Stambule, gdzie odbyła się ceremonia obrzezania Dżema, Mehmed spędził z nią aż godzinę. Dało to do zrozumienia osobom mieszkającym w pałacu, że sułtan cały czas cenił kobietę, która kiedyś była jego faworytą. A co mieliby sobie myśleć? Oczywiście, że cały czas o nią dbał. Była matką małego shehzade. Była kwiatem sułtana Mehmeda.

Nie wspominali dawnych czasów, ale była taka podniecona, szczęśliwa, a zarazem

melancholijna, że w tamtej chwili nie rozumiała jego słów.

Gdy odszedł, zapatrzyła się przez zakratowane okno w samotne, ciemniejące morze i poczuła w sobie jakąś dziwną pustkę, nagle w jej głowie zaczęły dzwonić słowa wypowiedziane przez sułtana: „Nie chcę umrzeć, zanim nie położę słońca obok półksiężyca”.

Mój Boże! Czy głos łamał mu się, kiedy to mówił?

Było pewne, że Mehmed myślał o śmierci.

Do tej pory Çiçek nigdy nie myślała, że ojciec jej syna może umrzeć. Śmierć jakoś do niego nie pasowała.

Leżąc teraz na łóżku, znów stanął jej przed oczami tamten dzień i znów zobaczyła, z jaką trudnością przychodziło Mehmedowi chodzenie, i jak cierpi, próbując to ukryć.

A jeśli jego śmierć była bliska?

Jeśli stracimy wielkiego sułtana Mehmeda Zdobywcę?

Oczywiście nie dbała o słońce i półksiężyc. Nie myślała też o tym, co czeka ją. Ale co stanie się z Dżemem?

Jeśli Mehmed umrze, Dżem nie ma szans na przeżycie, jego bracia na to nie pozwolą.

Sułtan był chory. Powinna chronić swojego syna. Tymczasem Dżem z niczego nie zdawał sobie sprawy. Żył tutaj jak pan, spełniając swoje zachcianki. Çiçek poczuła, jakby leżała na kolcach. „Nawet to mu nie wychodzi. Nie widzi nikogo i niczego poza sarnami i jeleniami!”

Nie obchodziła go też piękna i delikatna jak wierzbowe gałązki Dilrüba. Minęło już kilka miesięcy, odkąd przybyła do posiadłości, a Dżem nawet porządnie jej się nie przyjrzał. Zaczęła nawet podejrzewać, że jej syn ugania się po lesie za jeleniami tylko dlatego, że nie chce spędzać z dziewczyną więcej czasu.

No dobrze, ale czemu miałby to robić? Czyżby mu się nie spodobała? Czy to było w ogóle możliwe?

„Nigdy” – coś jej podpowiadało. – „Dilrüba to anioł!”

Faktycznie, dziewczyna była chyba jeszcze piękniejsza niż anioł. Zdobywała

ludzkie serca dokładnie tak, jak wskazywało na to jej imię^[29]. Wzrokiem potrafiła stopić góry, a jej głos był niczym dźwięk płynącego wartko strumienia. Ludzie mieszkający w posiadłości próbowali nie dać po sobie poznać, jednak Çiçek to dostrzegała. Kiedy wychodziła na dziedziniec, wszyscy mężczyźni, czy to młodzi, czy starzy, przystojni czy brzydki, nie mogli oderwać od niej wzroku. Oślepiła ich. Pokojówki i służące zazdrościły jej urody. Nie była zadufana w sobie, nie wywyższała się z powodu swojego pochodzenia. Skradła serca wszystkich nie tylko swoją urodą, ale także dobrocią i uprzejmością.

Dilruba nie obchodziła jedynie Dżema.

Westchnęła. To, że jej syn nie interesował się tak piękną dziewczyną, sprowadzało na nią czarne myśli.

– Boże... – wyszeptała. – Mam w życiu tyle rzeczy, o które muszę się martwić i o których muszę myśleć.

Jednak przede wszystkim musiała martwić się o życie Dżema. Nie mogła zapomnieć słów Kethüdy, którą odwiedziła w haremie przy okazji pobytu w Stambule.

– Mam już dość plotek, Çiçek Haseki^[30]. Co chwilę wymyślają coś nowego. A to, że nasz sułtan jest chory... A to znów, że ustąpi i przekaze władzę shehzade, tak jak wcześniej jego ojciec dwa razy przekazywał mu tron. Co jeszcze wymyślą?

Kethüda ją lubiła. Narzekając na plotkarzy, tak naprawdę próbowała ją ostrzec.

Słowa kobiety jak ostrze noża wbiły jej się w serce. Sułtan miał zrezygnować z tronu i przekazać władzę shehzade. Oczywiście shehzade Mustafie...

A później...

A później nadejść miała śmierć. I dla Bajazyda, i dla jej jedynego syna. A Dżem nawet nie zdawał sobie sprawy z nadchodzącego niebezpieczeństwa.

Było coś jeszcze, co spędzało jej sen z powiek.

Abdullah, którego wysłała do stolicy, żeby miał oko na wszystko, co tam się dzieje, nie dawał żadnego znaku życia. Od jego wyjazdu minęły już trzy miesiące, a nie otrzymała nawet jednej wiadomości. Czyżby po drodze zaatakowały go dzikie zwierzęta? Może padł łupem jakichś rzezimieszków? Albo, co gorsza, rozszarpały go stambulskie wilki?

Çiçek nie mogła wytrzymać ani minuty dłużej. Zrzuciła z siebie kołdrę i wstała.

– Gülizar! – zawołała do pogrążonej jeszcze we śnie służącej. – Przygotuj moje ubranie. Wychodzę na dwór, muszę się przewietrzyć. Duszę się.

[25] Dersaadet – inna nazwa Stambułu.

[26] Hatun – kobieta, pani, dama; tytuł nadawany kobietom na wysokich stanowiskach.

[27] Saryk (tur. *sarık*) – nakrycie głowy podobne do kavuka; powstaje przez zawinięcie na filcu długiego pasa materiału, najczęściej jedwabiu.

[28] Çiçek (tur.) – kwiat.

[29] Dilrüba (tur.) – zdobywająca serce.

[30] Haseki – ulubiona nałożnica sułtana, faworyta.

Była w posiadłości jeszcze jedna osoba, która się dusiła. Dilruba!

Çiçek Hatun zobaczyła dziewczynę, gdy tylko wyszła na dziedziniec. Wyglądało na to, że ją też opuścił sen.

Dilruba była córką İsmaila Beja İsfendiyaroğlu, który przyjął zwierzchnictwo Imperium Osmańskiego. Bej İsmail był dzielnym, ale dość dziwnym człowiekiem. Odrzucił wszystkie proponowane przez sułtana tytuły i przywileje. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale oczywistym było, iż nie chciał uchodzić za człowieka na usługach Osmanów. Zamiast zostać bejlerbejem^[31] Anatolii, poprosił Mehmeda o przydzielenie mu stanowiska w Rumelii^[32], a sułtan nie potrafił mu odmówić.

İsmail zabrał ze sobą wszystkich członków rodziny, wszystkich służących, stajennych rzemieślników i przeniósł się do Rumelii.

Zostawił tylko jedną osobę: swoją córkę Dilrubę.

Nikt nie wiedział, dlaczego tak postąpił. Nie wiadomo, czy porzucił ją ojciec, czy to sam sułtan uważał, że lepiej jest mieć u siebie córkę beja jako pewnego rodzaju zakładnika. Fakty były takie, że po wyjeździe İsmaila do Rumelii Mehmed wysłał Dilrubę tutaj, do Kastamonu.

Çiçek nie rozumiała postępowania Mehmeda, ale sułtan nie zrobiłby niczego bez powodu. Coś musiało nim kierować. Kto wie, może jemu tak samo jak jej spodobała się ta piękna dziewczyna i uważał, że byłaby odpowiednia dla najmłodszego syna? Dżem jednak nie zaprzętał sobie głowy takimi rzeczami.

Dilruba na pewno zdawała sobie sprawę z jego braku zainteresowania. Çiçek była pewna, że dziewczyna przypominała cię samej siebie także z innych powodów. Nie rozumiała, dlaczego rodzina ją tutaj zostawiła i wyjechała tak daleko, że nie miała pewności, czy jeszcze się kiedyś zobaczą; miała rację, uznając to za ujmę na honorze.

Çiçek westchnęła. Dobrze znała uczucie rozłąki. Nie powiedzieli jej, że jedzie na dwór osmański. Nie zapytali, czy zgadza się na to, żeby umieścić ją w haremie sułtana, który podbił Konstantynopol.

„Dobrze, że nie zapytali” – pomyślała. Gdyby spytali ją: „Czy pojedziesz?”, poderwałaby się z miejsca i podniosła wszystkich na nogi, krzyząc: „Co? Nigdy! Nigdy! Prędzej umrę, niż tam pojedę!”.

Skąd mogła wiedzieć, że urodzi sułtanowi syna i będzie żyła w świecie, którego

wcześniej nawet nie potrafiła sobie wyobrazić? Ale kiedy Dżem skończył dziesięć lat, Çiçek obudziła się ze snu. Małego shehzade, który ledwo mógł wsiąść na konia, wysłali do prowincji, by uczył się zarządzać; jej powiedzieli tylko: „Ty też jedziesz”. Mehmed nawet nie zapytał: „Nie chcesz tu ze mną zostać, Kwiatuszku?”. Tydzień później była już na wygnaniu.

Dziewczyna tak się zamyśliła, że nie zauważyła nawet, jak Çiçek do niej podeszła. „Biedactwo!” – pomyślała. – „Na pewno zastanawia się, co tu w ogóle robi...”

– Dilrüba?

Dziewczyna aż podskoczyła. Przycisnęła rękę do piersi i odwróciła się w jej stronę.

– Valide? – Zakłopotana, delikatnie schyliła się i pozdrowiła ją. – Ach... proszę mi wybaczyć.

– Nie chciałam cię przestraszyć.

Dilrüba znów lekko dygnęła i próbowała się uśmiechnąć.

– Ależ nie. To ja się zamyśliłam.

„Oczywiście, że się zamyśliłaś” – powiedziała do siebie Çiçek Hatun. Kto wie, jakie myśli kłębiły się w jej głowie. Nagle zauważyła, że dziewczyna się trzęsie, a jej różowe policzki zsiniały. Zmarzła. I to bardzo.

Kobieta zdjęła z ramion płaszcz chwilę wcześniej podany jej przez Gülizar i okryła nim Dilrübe.

– Czego tutaj szukasz z samego rana, moja piękna? I to na tym zimnie? Popatrz na swoje ręce – całkiem zsiniały!

Dilrüba z wdzięcznością spojrzała na matkę shehzade. Poczowała ciepło powoli ogarniające jej ciało i znów spróbowała się uśmiechnąć. Później zakłopotana spuściła oczy i powiedziała cicho:

– Ja... Czekam na shehzade.

Çiçek Hatun za wszelką cenę próbowała nie dać po sobie poznać zaskoczenia, jednak z ust jej mimowolnie wyrwały się słowa:

– Na shehzade?

– Aha. – Pokiwała głową Dilruba. – Wieczorem słyszałam, jak stajenni mówili, że szehzade dziś z samego rana ma wybrać się na polowanie. A ja... Miałam nadzieję, że uda mi się go zobaczyć...

Zawstydziała się, aż jej cichnący głos całkowicie umilkł. Nie dała rady dokończyć zdania.

Çiçek poczuła, jak wzrasta w niej gniew. To nie zdarzało się zbyt często, ale kiedy dała się ponieść złości, nic innego nie miało znaczenia.

Z powodu braku zainteresowania, a nawet gburowatości Dżema biedna dziewczyna o jego planach musiała dowiadywać się od stajennych. A żeby go zobaczyć i móc się pokazać...

Zatrzymała się. Dwie ostatnie myśli mocno ją zastanowiły.

Żeby móc się pokazać...

Mój Boże, Dżema zupełnie nie obchodziło, czy Dilruba na niego czeka, ale ona o świcie, w mroźną pogodę stała z nadzieją, że ujrzy go chociaż przez chwilę.

„O matko!” – pomyślała. – „Chyba się w nim zakochała...”

Çiçek Hatun wzięła Dilrübę pod ramię i rzekła:

– Chodź, inaczej zupełnie zamarzniesz. Zobaczysz się z szehzade tego wieczoru. Nie teraz.

Zauważyła, że gdy szły w kierunku jej pokoju, dziewczyna patrzyła na nią pełnym nadziei wzrokiem. „Ach, szalona dziewczyno!” – przeszło jej przez myśl. – „Wybrałaś najtrudniejszą z miłości”.

– Dalej, dalej – ponaglała ją. – Idź i ogrzej się. Chyba nie chcesz stanąć przed szehzade cała zsiniała.

Poczekwała, aż Dilruba zniknie za drzwiami. Później żwawo pomaszerowała w stronę części posiadłości przeznaczonych tylko dla mężczyzn.

„Nadszedł czas, Çiçek – pomyślała. – Nadszedł czas. Idź i obudź swojego syna. Koniec z bujaniem w obłokach”.

*

Wejście do pokoju Dżema było zatłoczone. Wszyscy, którzy mieli brać udział w orszaku wyruszającym na polowanie, dawno już wstali albo w ogóle nie kładli się spać, i czekali na shehzade przed jego apartamentami. Część osób mających mu towarzyszyć zebrała się już pewnie na dziedzińcu znajdującym się koło stajni.

To, że matka shehzade tak wcześnie rano się tu pojawiła i szła w ich stronę wyraźnie zdenerwowana, nie zwiastowało niczego dobrego. Czego kobieta mogła szukać w części domu dostępnej tylko dla mężczyzn, nawet jeśli była to valide?

Ale matka Dżema nie przypominała innych kobiet. Była jedyna w swoim rodzaju. Kiedyś musiała być bardzo piękna. W końcu zdobycie przychylności, a później serca samego sultana Mehmeda na pewno nie należało do prostych zadań. Musiała posiadać wszystkie te wspaniałe cechy, które jej przypisywano, ponieważ aż do urodzenia syna cieszyła się względami sultana.

Niektórzy, kłaniając się, pozdrawiali ją; byli też tacy, którzy się na to nie odważyli. Inni, bojąc się, że valide się zdenerwuje albo abdest^[33] pójdzie na marne przez spoglądanie na kobietę, odwracali się w stronę ścian.

Çiçek nie obchodził żaden z nich. Maszerując w stronę pokoju syna, cały czas powtarzała w myślach te same zdania: „Nadszedł czas. Idź i obudź swojego syna. Koniec z bujaniem w obłokach”.

Strażnik stojący przy drzwiach nie wiedział, jak ma postąpić. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał przeszkodzić jej w wejściu do środka, jednak kiedy zobaczył wyraz twarzy matki shehzade, natychmiast się odsunął. Był tak zaskoczony, że nie przyszło mu nawet do głowy, by otworzyć jej drzwi. Çiçek sama pociągnęła za klamkę.

Wewnątrz było tak samo tłoczno, jak przed drzwiami. Służący Dżema ze zdenerwowaniem biegali w tę i z powrotem po korytarzu prowadzącym do jego sypialni. Co chwilę ktoś wchodził i wychodził. Jedni wybiegali, trzymając w rękach jego nocne ubranie, inni spieszyli się, by jak najszybciej przynieść muienne okrycie.

Gdy ujrzeli Çiçek Hatun, ich ruchy jakby spowolniły. Poganiał ich dochodzący z sypialni, z każdym dniem coraz niższy, głos Dżema.

– Ile jeszcze będę czekał? Gdzie są moje buty...

Gdy służący niosący buty zobaczył wchodzącą do pokoju valide, zamarł i dopiero głos Dżema wyrwał go z osłupienia. Kiedy biegł w stronę sypialni, znów dał się słyszeć strofujący głos shehzade:

– Nie, dzisiaj nie włożę tych z sarniej skóry.

– Dzisiaj w ogóle nie włożysz butów, kochany synu – powiedziała pod nosem Çiçek, ale służący nie zwrócił uwagi na jej słowa i w panice zaczął przeszukiwać garderobę w poszukiwaniu innej pary.

Nie przejęła się panującym w pokoju chaosem. Nie zwracając uwagi na biegających nerwowo służących, skierowała się w stronę siedziska znajdującego się koło okna. Klasnęła w dłonie.

– Proszę powiedzieć mojemu synowi, że jestem tutaj.

Jeden ze służących popędził do sypialni Dżema, by przekazać mu wiadomość.

W jednej chwili wszyscy umilkli. Zapanowała taka cisza, że Çiçek usłyszała dochodzący z głębi sypialni zdziwiony głos syna:

– Jak to valide jest tutaj? O tej porze? Przecież dopiero świta.

Nikt się nie odezwał, ale Çiçek wiedziała, że wszyscy znajdujący się w sypialni schylili głowy w pokłonie.

Usłyszała odgłosy kroków. „Nadchodzi” – pomyślała. – „Nie daj za wygraną, Çiçek. Nie będzie dziś żadnego polowania. Śmierć puka do naszych drzwi. Musisz mu to wszystko otwarcie powiedzieć”.

Postanowiła, że tak zrobi. A wieczorem wezwie Diltrübę.

Nie było innego wyjścia.

Jeśli on jest shehzade, Çiçek była jego valide.

*

Wszystko poszło po jej myśli. Kiedy zostali sami, powiedziała:

– Nie wyjeżdżaj dzisiaj na polowanie, mój Stepowy Kwiecie.

Jednak on natychmiast zaprotestował:

– Ależ, valide!

„Mój Boże, jak bardzo jest podobny do swojego ojca” – westchnęła, gdy zobaczyła zmarszczone czarne brwi syna. Kiedy Mehmed się rozgniewał, miał dokładnie taki sam wyraz twarzy.

– Wszyscy są już gotowi, valide. Czekają na mnie.

– Każ im odejść. Mamy kilka spraw do omówienia.

– To może wieczorem... Nie, do wieczora nie wrócimy. Porozmawiamy jutro wieczorem.

– Dżem...

Jej głos zabrzmiał jak uderzenie szpicrutą.

Szehzade był tak zaskoczony jej reakcją, że przez chwilę siedział zupełnie oniemiały. Po chwili ocknął się:

– Valide... Ja...

– Wiem – przerwała mu Çiçek. – Ty jesteś shehzade, syn wielkiego sułtana Mehmeda Zdobywcy.

Dżem słuchał słów matki, co chwilę potakując. „W takim razie to moje zdanie się tutaj liczy” – pomyślał.

– Ale – kontynuowała Çiçek – jeśli ty jesteś shehzade, ja jestem twoją valide. Jeśli jesteś synem sułtana Mehmeda, ja jestem wierną służką, która zdobyła względy naszego pana. Przyzwyczaiałam się, że jak już zacznę mówić, to nawet nasz pan mi nie przerywa. Usiądź więc teraz koło mnie i wysłuchaj tego, co mam do powiedzenia, najjaśniejszy shehzade.

Dżem patrzył tylko zdziwiony; wyczuwał w głosie matki i lekką groźbę, i delikatną kpinę.

– Valide – jęknął. Po jego głosie poznała, że opór został złamany.

– Synu, lubisz zabijać, prawda?

– Słucham? Nie rozumiem.

– Zapytałam, czy lubisz zabijać. Jesteś ogromnym miłośnikiem polowań, więc chyba musisz lubić zabijanie.

Çiçek zobaczyła, że Dżem szykuje się do wykonania jakiegoś ruchu, ale nie dała mu na to szansy:

– A umieranie? Ciekawe, czy spodobałoby ci się też umieranie?

Dżem poderwał się na równe nogi.

– Umieranie? – Spojrzał matce w oczy. – Valide, co oznacza ta zagadka i to tak wcześnie rano?

– Siadaj. – Çiçek Hatun wskazała mu miejsce koło siebie. Kiedy Dżem zastanawiał się, czy usiąść, kontynuowała: – Nasz pan jest chory. Po stolicy krążą już nawet plotki, że władza zostanie przekazana twojemu bratu, Mustafie.

Dżem wzruszył ramionami, co mogło oznaczać jedynie: „No i co z tego?”.

– Ty wierzysz w takie pogłoski, valide?

– Nie. Ale musimy mieć się na baczności, mój synu. Gotowość działa na naszą korzyść.

Dżem wyprostował się i z dumą powiedział:

– Ja znam swojego ojca, valide. Sułtan Zdobywca nie opuści tronu. Ja też słyszałem, że nie czuje się najlepiej, ale powiedzieli mi, że nie jest z nim aż tak bardzo źle.

– Powiedzieli? Kto ci powiedział?

Dżem uśmiechnął się lekko.

– Są tacy, którzy i mnie przynoszą wieści. Nawet jeśli to prawda, tron należy się Mustafie.

Çiçek Hatun wyprostowała się ze złością.

– Nie obchodzi mnie, komu się należy. – Wiedziała, że pałacowa etykieta tego nie pochwała, ale przysunęła się do niego bardzo blisko. – Zaczynaj słuchać, mój shehzade – wyszeptała. – Mnie interesuje tylko to, co Mustafa zrobi po wstąpieniu na tron.

Spojrzał na nią pytająco.

– Jak to co zrobi?

– Każe cię zabić. Tak samo jak Bajazyda.

– Valide! – rozległ się krzyk Dżema. – Chcesz powiedzieć, że mój własny brat mnie zabije?

Utkwiła w nim wzrok.

– To nie ja tak mówię... Tak stanowi dekret... Kodeks prawa...

Nie dokończyła zdania, gdy nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich nauczyciel Dżema, Burhanettin. Nie mógł złapać tchu.

– Szezhade! – wydusił z siebie w końcu. – Ktoś nadjeżdża!

– Jak to? Kto?

Mężczyzna nie miał zamiaru czekać, aż jego oddech nieco się uspokoi. Był nie tylko zaaferowany, ale też przestraszony. Trzęsły mu się usta.

– Janczarzy... Kapykułowie^[34] i cały oddział spahisów^[35]!

„I kaci...” – przeszło przez myśl Çiçek Hatun. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. – „Spóźniłaś się!” – krzyczał głos w jej głowie. – „Spóźniłaś się, Çiçek. Czas upłynął. Śmierć zapukała do twoich drzwi”.

[31] Bejlerbej (tur. *beylerbeyi*) – gubernator, namiestnik prowincji, ejaletu; dosłownie „bej nad bejami”.

[32] Rumelia – azjatycka część Imperium Osmańskiego.

[33] Abdest – nazwa rytualnego obmycia przed przystąpieniem do każdej z pięciu codziennych modlitw; ogranicza się do niektórych części ciała i różni się od rytualnej, oczyszczającej kąpieli.

[34] Kapykułowie (tur. *kapıkulları*) – „słudzy dworu”, nazwa wojsk pieszych i kawalerii pozostających w służbie sułtana.

[35] Spahisi (tur. *sipahiler*) – feudalne oddziały nieregularnej jazdy tureckiej za czasów Imperium Osmańskiego; zwani byli także timariotami, jako lennicy niewielkich posiadłości ziemskich zwanych „timar”.

Rzym, pałac papieża Sykstusa IV

1473

Marmurowy salon pogrążony był w ciemnościach. Paliły się jedynie trzy świece w wysokim świeczniku z brązu, stojącym za tronem, na którym siedział Francesco della Rovere. Jego czarna sylwetka odznaczająca się w rozmigotanym świetle świec na poprzecinanym zielonymi żyłkami marmurze wyglądała jak stwór z innego świata.

Gdy Rovere poruszył głowę, sylwetka na ścianie również drgnęła. Jego niepokój narastał. Bał się już nawet własnego cienia. Próbował wyrzucić z głowy słowo, które miał na końcu języka. Papieżowi nie wypadało nawet myśleć: „A niech to szlag trafi!”, a co dopiero wypowiadać takie zdanie głośno.

Francesco della Rovere pochodzący z Genui był jedynym członkiem rodziny, któremu tak dobrze się powodziło. Jeszcze jako dziecko zdał sobie sprawę, że służba Bogu otwiera bramy nieba nie tylko po śmierci, ale także w świecie doczesnym. Kiedy oświadczył wszystkim: „Postanowiłem zostać papieżem”, najbardziej rozbawiony tym wyznaniem był jego ojciec. Matka, zagorzała katoliczka, uciszyła go tylko: „Cicho. To grzech”.

Ale Francesco był zdecydowany. Poświęcił się i kroczył raz obraną drogą. Został księdzem, szybko zajmując coraz wyższe stanowiska w hierarchii zakonu franciszkańskiego, do którego dołączył.

Bóg był hojny. Najpierw dał mu klucz do bram niebiańskich tu, na ziemi. W miarę jak rósł jego brzuch, powiększał się również jego majątek. Kiedy został wybrany na biskupa Rzymu, był jednym z najpulchniejszych i najbogatszych osób w kościele. Na drodze do osiągnięcia celu, który przed laty tak rozbawił ojca, stała już tylko jedna przeszkoda. Wenecjanin Pietro Barbo, który po wyborze na tron Piotrowy przyjął imię Pawła II.

Już na samo wspomnienie Pietra Barbo Rovere robił się niespokojny. Miał w pamięci dni, gdy patrzył mu w oczy i błagał, by ten w końcu umarł; nawet teraz aż cały się w środku gotował. Musiał umrzeć, żeby Francesco mógł zostać papieżem. Jednak niestety się na to nie zanosilo.

Francesco della Rovere przyszło na myśl, że mógłby tę śmierć jakoś przyspieszyć. Sporządził plan, ale nie musiał wprowadzać go w życie. Bóg nie chciał, by na tronie

Jezusa dłużej zasiadał Wenecjanin.

Barbo umarł nagle. Jedyłą rzeczą, którą Francesco musiał się zająć, było zachęcenie kardynałów, by na niego zagłosowali. I tak też zrobił. Oczywiście, kilku głosów nie udało mu się kupić. Dwóch kardynałów, których nie przekonały nawet groźby, nagle zachorowało. Jeden z nich umarł dwa dni przed głosowaniem. Kardynał wybrany na jego miejsce swój głos oddał rzecz jasna na Rovere.

W dniu, w którym z komina wydobył się biały dym obwieszczający wybór papieża, Francesco był już Sykstusem IV.

Święty Ojciec wszystkich chrześcijan.

Bóg, który pobłogosławił go niebem na ziemi, nie zamierzał przecież zamknąć przed nim bram niebiańskich po drugiej stronie.

– Właściwie to nie bardzo dbam o Królestwo Boże – wymamrotał. W końcu miał umrzeć i tyle. Jego ciało po śmierci wypełnią jakimiś miksturami i pochowają na podziemnym cmentarzu. Nie będzie miało wtedy znaczenia, gdzie znajdzie się dusza.

Zsunął się niżej na krześle. Cię padający na ścianę również się poruszył.

– Od dnia wyboru na papieża nie siedziałeś na tym tronie tak spokojnie, Francesco – powiedział sam do siebie. – Bóg nie przestaje cię sprawdzać.

Musiał uporać się z kłopotami sprowadzonymi na niego przez króla Aragonii, Ferdynanda, oraz królową Kastylii, Izabelę. W Hiszpanii roiło się od niewiernych i od Żydów. Jakby Hiszpanom nie wystarczało, że od niemal tysiąca lat walczą z Maurami, sprowadzili na siebie kolejne nieszczęście w postaci dwulicowych Żydów, którzy podobno rzekli się swojej wiary. Lud Ferdynanda i Izabeli żył w biedzie, gdy tymczasem Żydzi z Sewilli i Walencji każdego dnia coraz bardziej się bogacili. Skutek był taki, że król i królowa pieniądze na walkę z muzułmanami musieli pożyczać od żydowskich lichwiarzy.

Gdyby tylko o to chodziło, nie przejmowałby się ani Ferdynandem, ani Izabelą. Jednak pojawił się mężczyzna o imieniu Tomás de Torquemada, który skomplikował całą sytuację. Twierdził, że dziesiątki tysięcy Żydów, którzy zmienili wyznanie na chrześcijańskie, kłamało, w domowym zaciszu dalej praktykując judaizm. Torquemada zarzucał im, że chcą jedynie zdegenerować kościół i zabijać uczciwych chrześcijan; zaczął podburzać przeciwko nim społeczeństwo. Żydzi powinni zostać osądzeni, ukarani i wydaleny z Hiszpanii, nieważne, w jaki sposób miałyby się to odbyć.

Król i królowa przez jakiś czas opierali się radykalnym poglądom Torquemady,

jednak kiedy sytuacja wymknęła się spod kontroli, poprosili go o zgodę i upoważnienie na utworzenie sądów inkwizycyjnych.

Francesco oczywiście się zgodził. Jak mógłby nie zareagować na zarzut o degenerację kościoła?

Dręczyła go jednak zupełnie inna sprawa. Przeklęty testament papieża Mikołaja V! Zapisana w nim była zemsta, której spełnienie było jednoznaczne ze śmiercią.

Według testamentu zabicie sułtana Mehmeda, który zrównał z ziemią Cesarstwo Bizantyjskie, spoczywało na barkach wszystkich kolejnych papieży. Żaden z trzech poprzedników Francesco nie zdołał wypełnić ostatniej woli Mikołaja V. Bóg musiał czuwać nad tureckim sułtanem, któremu podarował Konstantynopol oraz koronę Wschodniego Rzymu. Dziesiątki razy udało mu się uniknąć śmierci. Za każdym razem pojmano niedoszłych zabójców. Żadna trucizna, żadna zasadzka nie dały rady pokonać Mehmeda. Testament cały czas ciążył nad Francesco i odbierał mu chęć do życia.

Papież obawiał się, że szukając zemsty, rozwścieczy tylko Osmanów i posmakuje ich gniewu. Wciąż żywe było wspomnienie trwogi, jaką wywołał najazd Hunów pod wodzą Attyli. Koszmar ten trwał już tysiąc lat i kościół w żaden sposób nie mógł się z niego otrząsnąć. Attyla był „Biczem Bożym”. Bóg wysłał go, by chrześcijanie, którzy zбочyli ze ścieżki wiary, nawrócili się. Ściągnięcie na siebie kolejnego bicia byłoby czymś kompletnie nierozsądnym.

Jednak wszyscy chrześcijańscy władcy oczekiwali od niego wypełnienia testamentu. Mimo że zupełnie się do tego nie kwapił, udało mu się w pobliżu sułtańskiego pałacu umieścić kilku szpiegów. Oczywiście nie szczędził pieniędzy i wysiłków na środki zapobiegawcze – nie mogło się wydać, że szpiegdy zostali wysłani przez Rzym. Ich milczenie wynagradzano sownicie.

Jednak nie przynosiło to żadnych rezultatów.

Za każdym razem, gdy przypominał sobie o testamencie Mikołaja V, w myślach wyzywał poprzednika: „Zniedołężniały strzec!”. Podobno Florentyńczycy zawsze sprawiali kłopoty, a to właśnie Tomasso Parantucelli de Sarsana z Florencji został papieżem Mikołajem V.

Francesco uważał, że Tomasso był tylko głupcem, który chciał pokazać swoją potęgę, koronując Fryderyka III Habsburga na świętego cesarza rzymskiego.

– Kiedy wiadomość o zdobyciu Konstantynopola dotarła do Rzymu, trzeba było szukać pomocy, a nie rozpaczać nad jego losem – pomstował. Tomasso nawet nie kiwnął palcem. Czy jednak chodziło tylko o to? Przecież ani jedno z europejskich państw, które

teraz domagały się zemsty, nic wtedy nie zrobiło.

Żadne oprócz Genui! Do ostatniej chwili trwała u boku Bizancjum. Nie żeby Francesco della Rovere jakoś się z tym obnosił, taka była po prostu prawda.

Zdarzało się jednak, że poczynania Tomasso Parantucelli i innych krajów uważał za całkiem rozsądne. Może wydawało im się, że po upadku Konstantynopola rozwiąże się problem rozłamu chrześcijaństwa. Przecież Turcy z całą pewnością nie mieli zamiaru tolerować prawosławia. Muzułmański sułtan na pewno w pierwszej kolejności straci Patriarchę Konstantynopola. Nie mógłby wyrządzić chrześcijaństwu większej przysługi. Po upadku cesarstwa na czele kościoła zostałyby tylko Rzym.

– Ale się nie udało – syknął Francesco. Sułtan zamiast zlikwidować patriarchę, pozwolił mu dalej działać. Prawosławie ma się dobrze i w dalszym ciągu panuje rozłam. Chrześcijaństwo znów ma dwie stolice: Rzym i Islambol!

– Mój Boże... – westchnął. Zmieniła się jedynie nazwa Konstantynopola. Centrum połowy świata chrześcijańskiego znajdowało się w mieście z islamem w nazwie!

Westchnął znudzony. Każdego ranka ze wzrokiem wbitym w sufit i przymrużonymi oczyma słuchał wiadomości o nowych podbojach Osmanów. Widząc go w takiej pozycji, wszyscy myśleli, że papież oczekuje jakiegoś znaku od Boga. Wyglądał tak majestatycznie. On tymczasem powtarzał wtedy w myślach: „Proszę bardzo, niech Osmanowie uganiają się po Europie za bezmyślnymi królami”. Po upadku jednego królestwa zawsze wyrastało nowe. Ale jeśli upadnie Rzym, z powierzchni ziemi zniknie również chrześcijaństwo.

*

Z zamyślenia wyrwało go zgrzytnięcie metalu. Ogromne drzwi na przeciwległej ścianie wyłożonej marmurem, wydającej się nie mieć końca sali powoli się otworzyły.

– Wasza Świątobliwość... Mój panie...

Rovere od razu podciągnął się i wyprostował. Przyjął wyraz twarzy godny papieża Sykstusa IV. Krzyknął w stronę pogrążonej w ciemnościach komnaty:

– Co się dzieje, o co chodzi?

Przybył biskup Rzymu Giovanni Battista Cybo. Chociaż nienawidził go bardziej niż grzechu, był chociaż Genuńczykiem. Francesco urodził się w Celle, a Cybo – w Genevo. Giovanni patrzył na niego takim samym wzrokiem, jakim on spoglądał kiedyś

na Pietro Barbo, zastanawiając się, kiedy w końcu umrze.

Ale Rovere nie miał zamiaru żegnać się z ziemskim padolem.

Usłyszał głos dochodzący z ciemności:

– Najświętszy panie.

– O co chodzi, Cybo?

– Nadeszły wieści, panie.

„A niech to!” – pomyślał Rovere. Wieści oznaczały kłopoty. Miał ich już serdecznie dość. Chciał w spokoju żyć w niebie, które stworzył na ziemi. Wśród złota i klejnotów.

– Wieści?

Mężczyzna w czerwonej szacie w jednej chwili wyłonił się z ciemności. Zawsze fascynowało to Francesco. Jego przyjście zapowiadał tylko głos, kroki pozostawały bezszelestne. Buty kryjące się pod długą szatą jeszcze nigdy go nie zdradziły. Ile to razy Francesco zastanawiał się, czy mężczyzna faktycznie dotyka stopami ziemi.

Począł, aż Cybo podejdzie i ukloni się.

– Od kogo? Czyżby królowa Izabela znów skarżyła się na Torquemadę? A może odwrotnie?

Gdy Giovanni Battista Cybo wyprostował się, na jego twarzy malował się chytry uśmiezek.

– Nie. – Pokręcił głową.

– To od kogo?

Cybo zbliżył się do ustawionego na podwyższeniu tronu, na którym siedział Rovere. Stawiając stopę na pierwszym stopniu, przysunął się do niego i powiedział:

– Od Krawca.

Niewiele brakowało, a Francesco krzyknąłby: „Od Krawca?”. Był to pseudonim jednego ze szpiegów, których umieścił w Konstantynopolu. Już dwa lata nie dawał znaku życia. Skoro w końcu wysłał wiadomość, musiała być bardzo ważna. Spełniły się jego

obawy.

– Boże – westchnął. – Uwolnij mnie od tego fatum.

Pulchne dłonie Cybo zniknęły w fałdach szaty. Gdy z powrotem je wyciągnął, trzymał w nich małe pudełeczko. Próbował je otworzyć, ale pokrywka za nic nie chciała ustąpić.

– Na litość Boską, ojcze. Daj mi to.

Wyciągnął rękę, wziął od niego pudełko i otworzył jednym ruchem. Rozwijając znajdujący się w środku mały rulonik, zbliżył się do świecznika. Przez chwilę przyglądał się wiadomości.

Już na widok dwóch pierwszych słów, jego oczy zapłonęły.

Kupiec z Buchary...

„Wielki Jezu, wszyscy święci!” – pomyślał. Szpiedzy z Konstantynopola w swoich wiadomościach kupcem z Buchary nazywali sułtana Mehmeda.

Ze strachu nie mógł dalej czytać. Chwilę później przełamał się.

Kupiec z Buchary powiedział, że tym razem rozłąka potrwa długo.

W głowie miał mętlik. Zrozumiał „kupca z Buchary”, ale co oznaczał ciąg dalszy? Rozłąka tym razem potrwa długo...

A co mi do tego?

Nie odrywając wzroku od wiadomości, zwrócił się do Cybo:

– Czytałeś to?

Nikt oprócz niego nie miał prawa czytać tajnych wiadomości, których adresatem był papież. Codzienne jednak dostarczali mu setki nic nie znaczących pism, dlatego dał biskupowi Rzymu stosowne upoważnienie. Papież zamiast zajmować się papierzyskami, powinien modlić się i mieć otwarty umysł, by móc odczytywać znaki dane przez Boga.

Giovanni znów pokiwał głową, tym razem przytakując.

– Co to oznacza?

Cybo posłał mu spojrzenie pełne niedowierzania, jak mógł nie zrozumieć, ale Rovere zupełnie się tym nie przejął.

Biskup wszedł o jeden stopień wyżej. Prawie zrównał się z papieżem. Zbliżył się jeszcze bardziej.

– Mój panie... – zaczął. – Skoro mówi o rozłące, oznacza to, że kupiec wyrusza w drogę.

– W drogę?

– Tak... W drogę... To znaczy... – Gdy pękaty Cybo przysunął się jeszcze bliżej, tak że czuć było wydobywający się z jego ust zapach czosnku zmieszany z wonią wina, Francesco przeszedł dreszcz.

– Kupiec udaje się na wyprawę, Wasza Świątobliwość.

Co?

Właśnie tego się obawiał. Sułtan znów szedł na wojnę. Francesco zamyślił się na chwilę.

– Dokąd? Dokąd się wybiera? Żeby tylko nie...

– Proszę się nie martwić, Wasza Świątobliwość – wyszeptał Cybo. – Kupiec wyrusza w drogę, ale na Wschód.

– Skąd to wiesz?

– Ponieważ nie zabiera ze sobą ludzi z europejskiej części imperium.

– Co z tego? Może potajemnie...

– Jestem pewny – nie ustępował Cybo. – Potwierdzają to informacje, które do mnie dotarły. Kupiec wybiera się na Wschód. Dopóki nie załatwi tam swoich spraw, nie ruszy na Zachód.

Francesco della Rovere odetchnął z ulgą. Zatem papież Syks-tus IV nie ma się czym martwić. Dopóki kupiec nie odwraca się w stronę Zachodu, może się wyprawiać gdzie tylko chce.

– W takim razie nie musimy nic robić z tą informacją, prawda, ojczy?

Giovanni przygryzł usta, by nie dać po sobie poznać zaskoczenia krótkowzrocznością i wąskimi horyzontami papieża. To właśnie przez głupców takich jak on chrześcijaństwo cofało się krok po kroku.

– Uważam, Wasza Świątobliwość, że powinno się wykorzystać taką sytuację – stwierdził.

– W jaki sposób, Cybo?

– To okazja, mój panie... Kiedy kupiec wyprawi się na Wschód, my...

Mój Boże! Co on wygaduje! Nie nauczył się jeszcze, że w Rzymie nawet ściany mają uszy?

– Zamilcz, ojciec – syknął Rovere, nadając obliczu znowu wyraz godny papieża Sykstusa IV. – Jestem tu, żeby wzmacniać potęgę Rzymu. Nie po to, by obrócić go w popiół.

– Ależ mój panie... – Cybo nie dawał za wygraną. – To doskonała okazja.

Gdy zorientował się, że powiedział to trochę za głośno, szeptem kontynuował:

– W czasie gdy kupiec z Buchary będzie walczył na Wschodzie, wy, Wasza Świątobliwość, możecie wznieść sztandar z krzyżem i zmienić bieg historii. Jeśli w całej Europie ogłosimy wieść o jego wyprawie na Wschód, wszyscy królowie powstaną i dołączą do naszej misji. Może uda się wypełnić testament i Wasza Świątobliwość zapisze się w historii jako największy z papieży...

– Cybo!

Jego głos zabrzmiał jak świst. Biskup zamilkł.

Papież spoglądał na niego rozwścieczonymi oczami.

– Najpierw musimy być pewni, że kupiec rzeczywiście wybiera się na Wschód.

– Jestem przekonany, mój panie... Duce za każdym razem sprawdza informacje wysłane z Konstantynopola przez naszego człowieka w różnych źródłach i potwierdza je w oddzielnym raporcie. Zresztą kupiec nie wezwał nawet karawan ulokowanych na Zachodzie.

„Co to za określenie!” – pomyślał Francesco della Rovere. Nic nie złościło go bardziej od tych zaszyfrowanych słów. Karawany kupca ulokowane na Zachodzie... Czyli

wojsko sultana Mehmeda stacjonujące w Europie.

– Ach, no tak – skwitował papież głosem zdradzającym lekką drwinę. – Karawany kupca ulokowane na Zachodzie.

Zamilkł i spojrzał kpiąco na Cybo. Żeby go zdenerwować, kaszlał zdecydowanie dłużej, niż miał potrzebę.

– Karawany kupca ulokowane na Zachodzie w zupełności wystarczą, żeby nas zmiażdżyć. Nie bierzesz tego pod uwagę? Kiedy będziemy zajęci karawanami, kupiec wejdzie do Rzymu i zrówna go z ziemią, Cybo... Co wtedy zrobię? Też mam zostawić testament?

Kastamonu,

posiadłość shehzade Dżema

Ludność Kastamonu rzuciła się do murów okalających budynki, by zobaczyć nadjeżdżających żołnierzy i sprawdzić, co się dzieje.

Jako pierwszy wybiegł jej syn.

Çiçek z trudem podniosła się z siedziska. Powłócząc nogami, wyszła na korytarz. Nie była pewna, czy wytrzyma przyjazd żołnierzy. Z zewnątrz dochodziły krzyki i odgłos podkutych kopyt cwałujących po zmarzniętej ziemi.

– Jest ich cała setka! – krzyknął ktoś. – Sto osób!

– Sto? Chyba nie umiesz więcej zliczyć, aga! Samych kapykułów jest ponad stu!

– Skąd miałem wiedzieć? Z daleka tak to wyglądało.

Ponad stu kapykułów! A oprócz tego oczywiście janczarzy i spahisi.

Mój Boże, czyżby całe wojsko zaatakowało syna sułtana?

Głos w jej głowie zaprzeczył: „Nie! Mehmed nie zrobiłby tego. Ale w takim razie... Matko... Czyżby sułtan zmarł?”.

Serce Çiçek Hatun w jednej chwili zaczął trawić pożar. Oprócz śmierci własnej lękała się o mężczyznę, którego kochała.

Nie mogła sobie tego wyperswadować i powtarzała w myślach: „Nie. Mehmed nie może umrzeć. Nie może. Jest jeszcze młody. Nie położył jeszcze słońca obok półksiężycy!”.

A może spełniły się słowa Kethüdy i sułtan przekazał tron swojemu najstarszemu shehzade, Mustafie. Może powinno się go już tytułować „sułtan Mustafa”? Czy to on nasłał na własnego brata cały oddział wojska?

Mój Boże!

Çiçek przyspieszyła kroku i szła, podpierając się ręką o ścianę. „Uspokój się” – karciała samą siebie w myślach. Najważniejsze w tej chwili to zachować zimną krew. Powinna być spokojna, żeby móc dobrze ocenić sytuację. Wtedy być może znajdzie sposób, by ocalić i swojego syna, i siebie.

Gdy pozbierała myśli, zauważyła w orszaku coś dziwnego. Zadaniem kapykułów była ochrona sultana, ale jego przecież tutaj nie było. Kogo lub co mieli w takim razie ochraniać? Skoro wysłano oddział janczarów, po co towarzyszyli im jeszcze spahisowie?

Gdy wychodziła zza rogu, wpadła na Dilrübę, która gdy usłyszała krzyki i rozmowy, wyszła ze swojego pokoju. Była blada jak ściana.

– Valide – powiedziała na jej widok. – Co tu się dzieje?

Nawet nie starała się jej uspokoić. Wzięła ją za rękę i odrzekła:

– Nie bój się.

Sama jednak aż trzęsła się z przerażenia.

– Całe wojsko, valide... maszeruje na nas.

Pokręciła głową. Wchodząc po schodkach prowadzących na mur, usłyszała głos nauczyciela shehzade, Sulejmana Czelebiego:

– Hej! Spójrzcie na to! Dwa proporce!

Dwa proporce?

Czelebiemu musiało się coś przywidzieć. Tylko bejlerbej miał prawo używać dwóch proporców. Ale co miałby tu robić? Czyżby Mustafa umieścił go na czele wojska, które miało zabić jego brata?

Weszła na mur szybkimi krokami, przemierzając po kolei wszystkie stopnie, i nie zorientowała się nawet, że cały czas trzyma za rękę i ciągnie za sobą Dilrübę. Od razu skierowała spojrzenie na przestrzeń między lasem a górą. Szara chmura pyłu zmieszanego z dymem przesłaniała widok. Na początku nie mogła nic dostrzec, jednak chwilę później zaczęła odróżniać odzianych w różnokolorowe szaty jeźdźców na koniach w błyszczących uprzężach. Z przodu, na kruczoczarnym wierzchowcu jechał sipahi trzymający proporce.

Mężczyzna stojący obok jej syna odezwał się:

– To bejlerbej Anatolii.

Çiçek Hatun przezwyciężyła strach, który w żelaznym uścisku trzymał jej serce, i w końcu odważyła się spojrzeć w kierunku shehzade, wpatzonego w nadjeżdżający oddział żołnierzy.

Piękną twarz Dżema wykrzywiło przerażenie.

– Wezwij opiekunów mojego syna – rozkazała nieodstępującej jej na krok Gülizar. – Nie czas na przedstawienie, trzeba działać.

*

To był istny cud! Bóg usłyszał wszystkie jej błagania. Nieważne, w jakim języku go prosiła.

Czekała na śmierć, a odnalazła życie.

Obawiała się, że do drzwi jej syna zapukają kaci, tymczasem przybył do nich bejlerbej Anatolii Hüsrev Pasza, przywożąc list od wielkiego wezyra Veli Mahmuda Paszy.

Wiedziała, że Hüsreva Pasza przekaże jej list dopiero wtedy, kiedy zostanie należycie ugoszczony przez Dżema. Ale jak wytrwać do tego momentu? Przez cały dzień trzymała się blisko Dileruby. Próbowwała zabić ciągnące się godziny, spędzając czas z dziewczyną i ich dwórkami. Nic to jednak nie pomagało i miała wrażenie, że czas się zatrzymał.

Skoro wielki wezyr do ochrony listu zaangażował dwustu żołnierzy i samego bejlerbeja Anatolii, z pewnością chciał przekazać bardzo ważną wiadomość. O co mogło chodzić?

Jej serce zamierało tamtego dnia chyba z tysiąc razy. Gdy tylko drzwi się otwierały, z nadzieją patrzyła na wchodzące służące i czekała, aż któraś wypowie te słowa: „Jego wysokość shehzade...”.

Stało się to dopiero po wieczornym wezwaniu na modlitwę.

– Jego wysokość shehzade prosi valide o...

– Proszę, niech wchodzi, niech wchodzi.

Dilruba wstała razem ze wszystkimi towarzyszącymi im kobietami, by zostawić matkę i syna sam na sam.

Çiçek złapała dziewczynę za nadgarstek i posadziła ją obok siebie. Przecież dała jej słowo, że tego wieczoru ujrzy shehzade.

Kobietą kierowały wielkie emocje i nie zauważyła, że Dżem, wchodząc do pokoju, spojrzał dziewczynie w oczy i przystanął na chwilę. Nie zwróciła również uwagi na rumieniec, który oblał białe policzki Dilruby.

– Mam nadzieję, że to dobre wieści, mój synu.

– Owszem, valide... Twoje obawy okazały się niesłuszne.

– Oby tak było.

Dżem nie patrzył na nią, tylko na siedzącą obok niej Dilrubę.

Çiçek poczuła w środku uścisk zadowolenia. Nie była to jednak odpowiednia pora.

– Co wielki wezyr chciał przekazać mojemu synowi?

Chłopak wyciągnął zza pasa i podał jej rulonik pergaminu, na którym zauważyła olbrzymią, czerwoną pieczęć.

Boże, Boże, Boże!

To była JEGO pieczęć!

Çiçek rozpoznałaby ją zawsze i wszędzie – pieczęć sułtana Mehmeda.

Wielki wezyr Veli Mahmud Pasza wysłał list opieczętowany sygnaturą sułtana.

Wzięła do ręki pergamin i kiedy zgodnie z etykietą przyłożyła czerwony wosk najpierw do ust, a potem do czoła, dostrzegła, że Dilruba bliska jest omdlenia ze zdenerwowania. Dżem przez cały czas się w nią wpatrywał.

„To nie jest odpowiednia pora, nie teraz” – powtarzała w myślach Çiçek. – „Do tego wieczoru nie zauważyłeś jej urody, mój piękny shehzade?”

Gdy odwijala pergamin, ręce jej się trzęsły, ale nie zważała na to.

Po kilku grzecznych zdaniach i pozdrowieniach, wielki wezyr Veli Mahmud Pasza

wyjaśnił, że napisanie tego listu zlecił mu sam jego wysokość sułtan. Na rozkaz swojego ojca Dżem miał jak najszybciej udać się do Dersaadet i objąć urząd wielkiego wezyra, czyli namiestnika państwa.

Boże!

Urząd namiestnika...

Çiçek osłupiała.

Ale dlaczego?

Z jakiego powodu sułtan uznał za stosowne upoważnić kogoś do wykonywania obowiązków wielkiego wezyra, skoro ten nie rezygnuje z urzędu? A może... Czy była to pułapka zastawiona na Dżema, żeby zwabić go do stolicy? Czy dwustu żołnierzy miało doprowadzić shehzade do Islambolu jako więźnia?

Na chwilę straciła jasność umysłu.

Była zła na siebie, że od razu myśli negatywnie. Przecież po rozmowie z Hüsre'em Paszą Dżem nie wyglądał na zdenerwowanego, a jak tylko przestąpił próg, zapewnił, że jej obawy były bezpodstawne.

Pośród pełnych szacunku oficjalnych formułek dostrzegła kilka słów:

Później jego wysokość shehzade będzie musiał przenieść się do pałacu w Edirne.

Pałac w Edirne... W takim razie... Çiçek Hatun w tamtej chwili rozwikłała zagadkę. „Mehmed wyrusza na wyprawę” – pomyślała. Może zamierzał nawet położyć słońce koło półksiężyca. Wielki wezyr na pewno pojedzie razem z nim, a sułtan nie chce pozostawić państwa w rękach najstarszego syna, Mustafy, ani Bajazyda i jego szalonej, niezdolnej matki. Aż do powrotu Mehmeda z wyprawy wojennej władza nad Imperium Osmańskim miała spocząć w rękach jej jedyne go syna, Dżema.

Nagle łzy strumieniami popłynęły po jej policzkach.

– Dilruba – wyszeptała. Dziewczyna oderwała wzrok od Dżema i spojrzała na nią dopiero, gdy po raz trzeci wypowiadała jej imię. Widząc łzy w oczach kobiety, ze smutkiem i zdenerwowaniem dotknęła dłonią piersi i powiedziała:

– Valide, płaczesz, pani.

Machnęła ręką.

– Nic nie szkodzi. To ze szczęścia. Powiedz Gülizar, żeby przyniosła nam coś do picia. Ty też nie trać czasu, szykuj się. Dersaadet na nas czeka.

*Pałac w Edirne**Lipiec 1473*

Było gorąco jak w piekle. Przez otwarte okna do olbrzymiego pokoju nie wpadał nawet najśłabszy powiew wiatru. Jedna z kobiet towarzyszących Çiçek Hatun, Bereket, płynnie machała wielkim wachlarzem, próbując zapewnić jej choć trochę ochłody. Jednak poruszone wachlarzem ze strusich piór powietrze, gdy docierało do Çiçek, było już gorące.

Dilrüba wstała z gracją, w dłoniach trzymając materiał, który wyszywała, i usadowiła się na poduszkach siedziska w nogach matki shehzade. „Och, jak dobrze” – pomyślała, czując na twarzy powiew powietrza wywołany ruchem wachlarza. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła?

Spojrzała na Çiçek Hatun. Dziergała koronkę, przekładając szydełko przez nie zakreconą wokół palca, ale duchem była nieobecna.

– Kiedy po raz ostatni nadeszła wiadomość od sułtańskiego wojska? – rozmyślała w tym czasie Çiçek. – Pięć czy dziesięć dni temu?

Na początku marca przybyła do Dersaadet pełna nadziei. Mehmed miał powitać ją i syna, prawić Çiçek komplementy, a później posadzić Dżema na kolanach i powiedzieć: „Słuchaj, mój synu”. Jednak nic takiego się nie stało. Prawie nic.

Tuż po przekroczeniu bramy Nowego Pałacu zauważyła, że czegoś brakuje. Kapykułowie? Gdzie podziali się kapykułowie?

Wyjrzała przez zakratowane okno powozu i rozejrzała się wokół, ale żadnego z nich nie było w pobliżu.

Nie oznaczało to nic dobrego. Jeśli nie było kapykułów, nie było też sułtana.

Kiedy jadący na przedzie wóz shehzade oraz jego doradcy skręcił w prawo, ona, Dilrüba oraz towarzyszące im dwórki podążyły dobrze znaną, kamienistą drogą. Oczywiście wieźli je do haremu.

Gdy wysiadła z powozu, przywitała ją Kethüda Kalfa.

Kłaniając się jej, cały czas tarła jedną dłonią o drugą. Çiçek od razu wyczuła, że kobieta jest zdenerwowana. Na pierwszy rzut oka było widać, że dostała do wykonania zadanie, którego wolałaby się nie podejmować.

– Witajcie, Çiçek Haseki. Przynosicie pokój.

– Dziękuję, Kethüdo. Stęskniłam się za tobą.

Ewidentnie coś ją dręczyło. Jak najszybciej musi się dowiedzieć, co to takiego. Gdy skierowały się w stronę drzwi, z uśmiechem spojrzała na idącą krok za nią kobietę i szepnęła:

– Chociaż tak naprawdę stęskniłam się za sułtanem.

– Naszego pana nie ma w pałacu.

Co?

Tego się nie spodziewała. Co to miało znaczyć? Obejrzała się w jej stronę. Kethüda wyglądała, jakby wyrzucając z siebie naprędce wiadomość, pozbyła się ogromnego ciężaru. W głowie Çiçek pojawiły się dziesiątki znaków zapytania.

– Czyżbym się spóźniła, Kethüda? Czy popełniłam jakiś błąd, który rozgniewał naszego pana? Dlaczego ukarał mnie i mojego syna, pozbawiając nas szansy na spotkanie z nim? Gdybym wiedziała chociaż, co zrobiłam źle, uklęknęłam i całowałabym jego szatę, błagając o wybaczenie.

Kethüda unikała jej wzroku. Mimo że Çiçek była kiedyś faworytą sułtana, kobieta bała się mówić o swoim władcy w ten sposób. Puściła jej pytania mimo uszu.

– Nasz pan jest w Gebze.

– W Gebze?

– Tak. W obozie wojskowym. Wyjechał cztery dni temu.

A ona snuła takie marzenia! Sułtan miał odwiedzić ich apartamenty, spotkać się z Dzemem, mianować go zastępcą wielkiego wezyra i udzielić mu rad. Kto wie, może wieczorami zasiadaliby razem do wieczerzy?

Tymczasem sułtan Mehmed nie tylko wyjechał z pałacu, ale udał się do Gebze oddalonego o dzień drogi. Nie mógł poczekać jeszcze kilka dni?

Nie kryła rozczarowania, które Kethüda wyczytała z wyrazu jej twarzy. Ze smutkiem spuściła głowę. Çiçek dostrzegła, że kobieta przez chwilę jakby chciała wziąć ją za rękę, ale zamiast tego się odsunęła.

– Nasz sułtan... – zaczęła szeptem, wahając się, czy powinna dalej mówić – poprosił, bym przekazała ci, pani, że musi nadzorować wojsko stacjonujące w Gebze. Powiedział: „Niech Çiçek Hatun wypoczywa w pałacu wedle własnego życzenia. Do Edirne pojedą trochę później”. – Kobieta zamilkła na chwilę. – Kazał też przekazać, że jak tylko będzie to możliwe, przyjedzie w odwiedziny.

Çiçek od razu zorientowała się, że było to jedno wielkie kłamstwo, które Kethüda Kalfa wymyśliła naprędce, widząc jak jest załamana i chcąc jej dodać otuchy.

Ona jednak myślała już o czymś zupełnie innym. Tłumiony niegdyś strach znów zaczął się budzić.

– Jak to, Kethüda Kalfa? Czyżby sułtan nie chciał spotkać się z synem, któremu powierzył funkcję wielkiego wezyra?

Starła się, by w jej głosie nie brzmiał zżerający ją od środka strach, ale nie była pewna, czy jej się to udało. Na twarzy Kethüdy cały czas malował się dziwny, tajemniczy wyraz. Wydawało jej się, że kobieta chce powiedzieć coś jeszcze, ale się boi.

W końcu nachyliła się do jej ucha i wyszeptała:

– Słyszałam, jak rozmawiali, Çiçek Haseki. Nie wiem, naprawdę nie wiem, czy to prawda. W piątek zawiozą shehzade do Gebze. Ma się tam spotkać z sułtanem Mehmedem i shehzade Mustafą.

Mustafa? Mustafa u boku sułtana Mehmeda?

Çiçek mimo woli musiała podeprzeć się na jednej z kolumn. Dilrüba i Gülizar od razu do niej podbiegły.

Mustafa, tak?

Okazało się więc, że Mehmed nie zrezygnował z Mustafy, jak się jej wydawało. Tylko Bóg jeden wie, czy tak samo było z Bajazydem... A może... A może...

Çiçek Hatun nie miała już żadnych wątpliwości, że, przybywając do stolicy pod pretekstem objęcia przez Dżema urzędu namiestnika, oboje wpadli w pułapkę. W dodatku to ona sama rzuciła na pożarcie lwom i tygrysom swojego ukochanego shehzade, o którego tak się martwiła.

Na szczęście nikt oprócz niej niczego nie podejrzewał. Dżem powtarzał tylko: „Skoro mój ojciec chce spotkać się ze mną w towarzystwie żołnierzy, to pojedę tam i ucałuję jego dłoń”^[36]. Jej syn żył w innym świecie. Bujał w obłokach i pisał wiersze, zachwycając się urodą Dilrūby. Piękna dziewczyna też najwyraźniej uważała, że znajduje się w świecie ze snów i marzeń. Wyglądała, jakby miała dostać skrzydeł i odlecieć. Kiedy usłyszała, że razem z nimi wyrusza do stolicy, podbiegła do Çiçek i ucałowała ją w policzek. Tamtego dnia znów się ożywiła. Nie miała pojęcia, jakie niebezpieczeństwa czekały się na nich za rogiem i jak często stawać będą na krawędzi przepaści. Pragnęła jedynie przebywać w towarzystwie Dżema.

Również dwóch nauczycieli shehzade, którzy do tej pory byli równie podejrzliwi jak ona, przewyciężyło swoją sceptycyzność. Wprawdzie Sulejman Czelebi na wieść o podróży shehzade Mustafy do Gebze trochę się zaniepokoił, jednak Burhanettin Czelebi przekonywał, że sułtan, pozostawiając państwo w rękach Dżema na czas trwania wyprawy wojennej, przekazał swoim dwóm starszym synom wiadomość: „Wasz brat jest dla mnie skarbem, jedną z trzech podpór imperium”. To właśnie chce im powiedzieć – przekonywał Burhanettin Czelebi.

Życie miało pozostać dla Çiçek Hatun utrapieniem, dopóki Dżem nie wróci cały i zdrowy. Sułtan Mehmed przysłał po niego Gedika Ahmeda Paszę oraz agę janczarów. Dowodziło to, jak bardzo cenił swojego małego shehzade, nie wystarczyło jednak, by choć trochę uspokoić Çiçek Hatun. Nie cierpiała Gedika Ahmeda Paszy. Był Albańczykiem. Słyszała, że urodził się we Wlorze. Serbowie nigdy nie darzyli się z Albańczykami sympatią. Był niezwykle wysokim mężczyzną. Nikt nie widział, żeby Gedik Pasza kiedykolwiek się uśmiechał. Gdy Çiçek dowiedziała się, że to on przyjedzie po jej syna, wpadła w panikę. Pomogły dopiero zapewnienia, że w ostatnim czasie Gedik Pasza zalicza się do najbliższych i najważniejszych współpracowników sułtana, ale mimo to przez cztery dni i noce umierała z niepokoju. Nie zmrużyła oka.

– Nawet na jawie widzę koszmary, a co dopiero, kiedy zasnę – mówiła do siebie.

„Prowadzimy cię do ojca” – mówił Gedik Pasza i zapraszał Dżema do jurty. Gdy ten wchodził, pasza był za jego plecami. A potem w środku...

Nawet na wspomnienie tych snów zimny pot spływał jej po skroni.

Gdy przyszła wiadomość o powrocie Dżema, rozłożyła ręce i dziękowała Bogu.

Nie zapytała go, o czym rozmawiał z ojcem. On także nie podjął tematu. Powiedziała tylko:

– Mam nadzieję, że twój brat shehzade cieszy się dobrym zdrowiem.

Dżem przytaknął. Çiçek rzecz jasna nie obchodziło samopoczucie shehzade Mustafy, ale miała nadzieję, że rozmowa rozwinie się i usłyszy coś więcej. Nic jednak z tego nie wyszło.

Sułtan Mehmed nie przybył do Nowego Pałacu, żeby ją odwiedzić. Na początku kwietnia wyruszył na wyprawę. Ale przecież już w dniu przyjazdu wiedziała, że było to tylko kłamstwo wymyślone przez Kethüde. Czy pożegnanie dawnej faworyty było stosownym powodem powrotu sułtana, który wyruszył w drogę ze swym wojskiem?

– Aj!

Okrzyk bólu, który wydała z siebie Çiçek, w jednej chwili podniósł na nogi wycieńczone gorącem dwórki oraz Dilrübę.

– Moja pani! – zawołała Dilrüba i przysunęła się do niej. Gdy zorientowała się, że nic poważnego się nie stało, powróciła do swojego świata marzeń.

– A niech to – wymamrotała Çiçek Hatun, widząc kroplę krwi na palcu wskazującym. – Szydełko wbiło mi się w palec. Gülizar, weź ode mnie koronkę, żeby się nie zabrudziła.

Dwórki zaczęły się krzątać. Dilrüba zupełnie nie zwracała na nie uwagi. Zamyśliła się. Jedna z dziewcząt mrugnęła do Gülizar i powiedziała:

– Kto wie, gdzie błądzi myślami, abla^[37].

*

W tym czasie myśli Dilrüby krążyły gdzieś między niebem a piekłem. Zastanawiała się, jakim cudem z posiadłości, w której przeżywała męki piekielne, dostała się do tego nieba na Ziemi.

Chociaż podczas gorącego lata Edirne i sam pałac nie różniły się zbyt od piekła, ona naprawdę czuła się tu jak w raj.

W jednej chwili jej życie się zmieniło, a cierpienia dobiegły końca. Była szczęśliwa.

Shehzade, który całymi miesiącami jej nie zauważał, w końcu dostrzegł jej obecność.

Podczas podróży z Kastamonu do Dersaadet shehzade Dżem codziennie po kilka razy podjeżdżał koniem do wozu, którym jechała, i rozmawiali ze sobą, choć często sprowadzało się to do krótkiej wymiany zdań.

– Jak się masz, córko beja?

– Modłę się za pana, shehzade.

– Czy masz jakieś życzenie, córko beja?

Któregoś dnia zdenerwowała się:

– Imię waszej sługi to Dilrüba, shehzade.

Przypomniała sobie, jak Dżem zaśmiał się wtedy pod nosem. Nie zdawała sobie sprawy, że sama także uśmiechnęła się na to wspomnienie, a inne dwórki wymieniły spojrzenia i zachichotały.

By móc jej się lepiej przyjrzeć, shehzade zbliżył się do wozu i powiedział:

– Dobrze. Zatem ja na imię mam Dżem.

Ścisnął konia łdkami; zwierzę przyśpieszyło i oddalił się od wozu.

– A poza tym... – zawołał – nie jesteś moją sługą!

Od tamtego dnia Dilrüba bujała w obłokach.

Ale przecież nie tylko ona, wszyscy byli szczęśliwi. Ciemne chmury, które przysłoniły oblicze Çiçek Hatun, podczas podróży zastąpił spokojny uśmiech. Nawet dwaj posępni nauczyciele shehzade czerpali przyjemność z konnej podróży. Wieczorami podczas postoju na odpoczynek siadali wokół ogniska, a Burhanettin Czelebi śpiewał ludowe piosenki. Chociaż miał głos gorszy od skrzeku wrony, jego piosenki ogrzewały duszę.

Kochana, ach kochana, gdybym tak w ramiona mógł wziąć cię,

Tęsknota opanowała mą duszę, nie zapomnij mnie.

Dilrüba czuła się jak motyl. Tak jak on chciała tańczyć na płatkach kwiatów i śpiewać piosenki.

Wszystko było w porządku.

Czar trochę jakby przysł, kiedy po przyjeździe dowiedzieli się, że sułtana nie ma w pałacu, ona się tym jednak nie przejmowała. Przecież sam sułtan nie czekałby akurat na nich.

Stolica Imperium Osmańskiego zupełnie ją oczarowała. Po latach mieszkania w otoczeniu gór i lasów zobaczyła Islambol. Zrozumiała wtedy, dlaczego cały świat stanął na równe nogi, gdy ojciec Dżema zdobył miasto. Islambol był skarbem – niebem, które zstąpiło na Ziemię.

Przebywając w tym kawałku nieba na Ziemi, Dilruba mogła codziennie spotykać się z synem sułtana, dla którego biło jej serce. Do niczego między nimi nie doszło, ani razu nie zostali nawet sam na sam. Wystarczało jej jednak, że mogli się widywać.

Jedynym zajęciem Dżema było czytanie jej wierszy, które ostatnio napisał. W wersach recytowanych drżącym z podniecenia głosem szukała śladów nawiązania do jej osoby, a gdy je znalazła, cieszyła się jak szalona.

Ach, piękna wybranko mego serca,

Tobie oddam swą duszę, zawsze tak będzie.

Gdy słuchała jego poezji, miała w brzuchu motyle. Czy to ona była ukochaną, dla której Dżem był w stanie poświęcić życie?

– Czy podobało ci się, córko beja?

– Szezhade dał mi słowo. Miał nie nazywać mnie „córka beja”.

– Podoba mi się, kiedy się złościś.

– Czyż jest pan aż tak bez serca?

– Nie, ale kiedy wpadasz w gniew, jesteś taka piękna, Dilrubo.

– Aha, czyli żeby wyglądać pięknie, muszę się zezłościć?

W takich sytuacjach Dżem zawsze się stresował.

– Nie, nie to miałem na myśli. Ty zawsze jesteś piękna. I to bardzo.

– Naprawdę?

Dżem natychmiast przytaknął.

– Przysięgam na Allaha, że tak właśnie jest.

– W takim razie wyjaśnij mi, panie, kim jest ta kochanka z twojego wiersza, starająca się o miłość?

Dżem patrzył przed siebie.

– To ja. – Nie była pewna, czy powiedziała to na głos.

Wstydziła się wciąż zadawać mu to pytanie. Odpowiedź znajdowała przecież w spojrzeniu shehzade. Dilruba w ciemnych oczach Dżema widziała siebie.

*

Çiçek Hatun trzymała w górze palec, w który ukłuła się szydełkiem, i kontynuowała robienie koronki. Zupełnie się zamyśliła i nie zauważyła nawet, kiedy Dilruba, zmęczona upałem, przysiadła w jej nogach. Nie podnosząc głowy, zawołała w stronę miejsca, które chwilę wcześniej zajmowała dziewczyna:

– Dilruba?

Nie zwróciła uwagi na brak odpowiedzi. Minęło już prawie pięć miesięcy ich pobytu w Edirne. Wiedziała, że sułtan Mehmed na początku kwietnia wyruszył wraz z wojskiem na wyprawę. Ostatnią wiadomość otrzymali dwadzieścia dni temu i od tamtej pory nie przybył do pałacu ani jeden wysłannik. Nie było nawet wiadomo, gdzie się teraz znajdują. Mimo milczenia, kontynuowała:

– Ile dni już minęło?

Dilruba dalej nie reagowała. Tym razem Gülizar nie wytrzymała i delikatnie ją szturchnęła. Dziewczyna spojrzała na nią, jakby wyrwana ze snu. Gülizar, mrugając, dała jej znak.

Od razu się pozbierała i zdenerwowana zapytała:

– Słucham, valide?

– Co? – Çiçek podskoczyła, gdy zorientowała się, że dziewczyna spoczęła na siedzisku obok niej. Zdziwiła się.

– Ach, kiedy zdążyłaś zmienić miejsce? Nie zauważyłam cię. Chyba się zamysliłam.

Rozważania, obawy, radości; obie dusiły w sobie mieszane uczucia.

– To tak jak ja, valide. – Zawstydzila się. – Proszę mi wybaczyć. Pytałaś, pani, o coś?

Dwórki próbowały stłumić śmiech. Çiçek Hatun posłała im piorunujące spojrzenie, pod wpływem którego wszystkie nagle ucichły.

– Tak. – Jej głos zdradzał zadumę. – Ile dni już minęło?

– Ile dni?

– Od ostatniej wiadomości wysłanej przez naszego sułtana. Ile dni już minęło?

Dilrüba oblała się rumieńcem. W ogóle nie liczyła dni.

[36] Ucałowanie dłoni i przyłożenie jej do czoła jest w Turcji oznaką szacunku wobec osób starszych i doświadczonych.

[37] Ablā – starsza siostra; wyrażenie używane jako zwrot grzecznościowy oznaczający szacunek mówiącego do osób od niego starszych.

Wrzesień 1473

– O co chodzi? – Zdenerwowany szehzade Dżem chodził w tę i z powrotem po swoim pokoju w pałacu w Edirne.

Burhanettin Czelebi wiedział, co ma na myśli Dżem, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Proszę wybaczyć, szehzade. O co, panie, pytałeś?

Chłopak skrzyżował ręce z przodu, przechylił głowę na bok i lustrował wzrokiem swoich nauczycieli. „Udaje!” – pomyślał Burnahettin. Zarówno jego, jak i Sulejmana już od wielu dni nawiedzały czarne myśli. Ciągłe szeptali między sobą, próbując z niczym się przed nim nie zdradzić.

– Sulejmanie, mam złe przeczucia. Niech Allah sprawi, żeby się nie spełniły.

– Ach, Burhanettin. Nocami nie mogę zmrużyć oka. Tak, tak. Niech Allah strzeże... Bo jak nie, to...

Oczywiście nie kończył zdania.

Burhanettin próbował robić wrażenie podenerwowanego i przestraszonego.

– Cicho, cicho. Niech Allah strzeże przed tym, o czym myślę.

– Ach! – wzdychał Sulejman. – Co stałoby się z Al-Osman^[38]?

Burhanettin nachylał się wtedy i szeptał:

– Nie martw się teraz o Al-Osman.

Później uśmiechali się, sprawiając wrażenie, że tematem ich rozmowy były jakieś błahostki. Następnie, jak gdyby chcieli, aby ich rozmowa doszła do uszu Dżema, podnosili głos:

– A jaki los czeka naszego niewinnego szehzade, czelebi? Nawet nie liczy jeszcze piętnastu wiosen.

– O czym ciągle między sobą szepczecie, agowie, co? Powiedzcie, ja też chętnie

się dowiem. – Z irytacją wyrzucał z siebie Dżem.

– Sprawy matematyki i geometrii, shehzade. Nie chcieliśmy cię, panie, niepokoić.

Było to olbrzymie kłamstwo, ale wyglądał na przekonanego.

– A niech tam! – obruszał się od razu. – Matematykę i geometrię zostawiam wam. Wystarczą mi wiersze, nie mam siły zajmować się wszystkim.

Dostrzegł ich ukradkowe spojrzenia. Wiedzieli, że on także nie mówi prawdy. Przynajmniej jego kłamstwo nie było tak poważne. Dwóch nauczycieli doskonale zdawało sobie sprawę z tego, że słyszał dokładnie wszystko to, co chcieli, żeby do niego trafiło. Mimo starań nie potrafili ukryć zadowolenia z tego powodu.

Jednak tym razem Dżem nie miał ochoty na ich gierki. Od czterdziestu dni nie mieli żadnych wieści od osmańskiego wojska, nie wiedzieli nawet, gdzie się aktualnie znajduje.

Dżem wyciągnął palec wskazujący w stronę Sulejmana Czelebiego i zaczął się do niego zbliżać. Stał przed nauczycielem i trzy razy uderzył go palcem w pierś.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co pytałem. Koniec z gierkami.

W jednej chwili odwrócił się i tym razem jako cel obrał Burhanettina Czelebiego:

– Ciebie też to dotyczy. Zadałem dość oczywiste pytanie: o co chodzi?

Burhanettin, który uważał się za mądrzejszego od Sulejmana i bardziej od niego opanowanego, przybliżył się do Dżema i powiedział:

– Ależ shehzade, nigdy, ale to nigdy nie prowadzilibyśmy żadnych gier! Jednak nasze wątpliwości...

– Wątpliwości?!

Nawet Dżem wydawał się zaskoczony stanowczością i gniewem, które wyrażał jego głos. Obaj nauczyciele cofnęli się.

– Wątpliwości? Ile to już dni minęło? Od ilu dni nie otrzymaliśmy wieści?

Sulejman bez zastanowienia odpowiedział:

– Czterdzieści.

Burhanettin poparł go, potakując.

– Prawda... To już czterdzieści. Całe czterdzieści dni.

– Ja też umiem liczyć. I wiem, że jutro minie dzień czterdziesty pierwszy. Sytuacja wygląda następująco. Od tego czasu nie otrzymaliśmy żadnych wiadomości ani od mego ojca, sułtana Mehmeda, ani od mych braci, Mustafy i Bajazyda. Nie mamy też wieści o sytuacji naszego bohaterskiego wojska.

Dżem przypomniał sobie, jak jego matka oburzała się, kiedy używał słowa „bracia”. Gdy był jeszcze małym dzieckiem, któregoś dnia jasno dała mu do zrozumienia, że tego nie pochwała:

– Szezhade, jesteś moim jedynym synem, własnym mlekiem wykarmiłam tylko ciebie. Mustafa i Bajazyd nie są moimi dziećmi. To synowie innych kobiet. Nie są więc twoimi braćmi. Chcę, żebyś to wiedział.

Ale gdy przyszło co do czego, wszyscy mówili o nich, że są braćmi. Mieli przecież tego samego ojca.

Obaj nauczyciele spuścili głowy i wpatrywali się w posadzkę. Bali się, że Dżem wyczyta w ich oczach zadowolenie.

– Z drugiej strony sułtan nie będzie zajmował się codziennie wysyłaniem wiadomości do syna, któremu powierzył państwo, kiedy ma na głowie walkę z Uzun Hasanem, przywódcą Ak Kojunlu.

Sulejman i Burhanettin słuchali go, co chwilę potakując.

– Valide też jest niespokojna. Kiedy dziś rano poszedłem ją odwiedzić w jej komnatach, od razu zapytała o wiadomości od sułtana. Ona też liczy dni. Wiecie, że moja matka nigdy nie owija w bawełnę.

Oczami wyobraźni zobaczył znów zarumienioną ze złości twarz valide i zdawało mu się, że usłyszał jej głos:

– Czyż nie zostałeś mianowany pełniącym obowiązki wielkiego wezyra, mój synu? Jesteś odpowiedzialny za państwo, ale dowódca nie przesyła ci wiadomości o tym, gdzie znajduje się wojsko i w jakiej jest sytuacji. Do czego to podobne? Czyżby Al-Osman lekceważyło wielkiego wezyra? Skoro państwo milczy, ty zadaj pytanie.

No dobrze, ale kogo miał zapytać? Nie miał pojęcia. Bezsilną złość wyładowywał na nauczycielach. Wpatrując się w nich, kontynuował:

– Powiedzmy, że Bajazyd, który dowodzi prawym skrzydłem armii, i Mustafa, który dowodzi jej drugim, lewym skrzydłem, nie mają ani czasu, ani głowy do tego, żeby myśleć o swoim małym braciszku. Dobrze... To mogę zrozumieć. Ale dlaczego wielki wezyr, inni wezyrowie, paszowie czy kapykułowie nie wyślą żadnej wiadomości?

Obaj milczeli, ze złością tupnął więc nogą o podłogę.

– Powiedzcie coś! Czy nie powinno tak właśnie być? Czy kiedy armia wyrusza na wyprawę, nie mamy prawa wiedzieć o jej zwycięstwach i porażkach?

– Macie, panie – wymamrotali, kiwając głowami.

– W takim razie, co to wszystko znaczy? Dokładnie czterdzieści dni. Całe czterdzieści... Ile to już czasu, wiedząc, że wszystko słyszę, ukradkiem szepczecie między sobą: „A co będzie z naszym niewinnym shehzade?”. Mówcie! Jeśli dalej będziecie milczeć, jeszcze bardziej się rozgniewam!

Shehzade Dżem, grożąc im, starał się, by jego głos był grubszy i bardziej stanowczy, jednak nie był pewien, na ile mu się to udało.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Nadszedł moment, na który czekali. Z jednej strony Çiçek Hatun, z drugiej oni dwaj, po długich staraniach w końcu dali radę zainteresować rozkochanego w córce beja Dżema sprawami państwa. Mogli teraz przejść do drugiej fazy planu, który zakładał nakłonienie go do działania.

– Święta racja, mój shehzade – zaczął Burhanettin. – Czterdzieści dni... Nie wiemy nawet, czy wojna się już zaczęła. Zdecydowanie powinniśmy do tego czasu otrzymać jakąś wiadomość.

Sulejman chciał coś dodać, ale Dżem nie dał mu szansy.

– Ale nie otrzymaliśmy jej. Więc pytam się: skoro od czterdziestu dni nie przybył żaden posłaniec, jakie mam w tej sytuacji zadanie do spełnienia jako pełniący obowiązki wielkiego wezyra?

Burhanettin z udawanym zamyśleniem i wątpliwościami odpowiedział mu:

– Mamy jeden pomysł, ale...

Nie dokończył zdania i umilkł. Spojrzał na Sulejmana, który cały czas wahał się, czy powinien to powiedzieć. Dżem od razu wyłapał ich spojrzenia.

– Co tak patrzycie po sobie? Jaki to pomysł?

– Rozważaliśmy z Burhanettinem Czelebim, shehzade... – zaczął Sulejman. – Czterdzieści dni to bardzo długo. W tym czasie powinna przyjść jakaś wiadomość. Ale skoro nie nadeszła, to może mamy do czynienia z jakąś nadzwyczajną sytuacją?

– Najważniejsze w tym momencie jest milczenie wielkiego wezyra, Mahmuda Paszy – kontynuował myśl Burhanettin. – To on powierzył panu sułtańską pieczęć. Jest jeszcze Gedik Ahmed Pasza. Od niego też nie ma wieści.

Cierpliwość Dżema się wyczerpała.

– Mów wprost! – powiedział podniesionym głosem. – Wyduś to z siebie w końcu.

Na odwagę zdobył się Sulejman Czelebi:

– Tak sobie myśleliśmy... – Właściwie to nie oni, tylko Çiçek Hatun. – Skoro sytuacja wygląda tak, a nie inaczej, to może shehzade powinien zwołać dywan^[39]?

Przechadzający się w stronę okna Dżem nie mógł uwierzyć własnym uszom. Z prędkością błyskawicy odwrócił się w ich kierunku.

– Dywan?!

Obaj byli przygotowani na taką reakcję. Burhanettin schylił głowę.

– Oczywiście jeśli shehzade uzna taki ruch za potrzebny i stosowny. Jednak w sytuacji, w której się znaleźliśmy, nie jest nawet pewne, kto stoi na czele państwa i kto jest jego wielkim wezyrem... Nie mówiąc o pozostałych, shehzade...

– Czy ty słyszysz, co mówisz? – oburzył się Dżem. – Zwoływanie dywanu należy do zadań urzędującego sułtana.

Burhanettin spojrział na Sulejmana, jakby chciał mu powiedzieć: „No pomóż mi!”. Zbolałym głosem odezwał się:

– Taka jest konieczność.

– Jaka konieczność?

Burhanettin przysunął się do Dżema.

– Shehzade... – wyszeptał mu do ucha. – Ta cisza nie oznacza nic dobrego... Boimy

się, że panowanie naszego sułtana mogło dobiec końca.

Dżem aż podskoczył. Patrzył na nich zdziwiony, a jego wzrok zdradzał strach i gniew. Z tego poruszenia nie zauważył nawet, że obaj odetchnęli z ulgą. W końcu to powiedzieli.

– Niech Allah strzeże. Co wam przyszło do głowy?

Schylili się z pokorą.

– Wszyscy mieszkańcy pałacu też się tego obawiają, nie tylko my. Pytaliśmy również, jakie nastroje panują w stolicy. Islambol także opanował strach. Ludzie wychodzą na ulice, krzycząc, że żądają powrotu sułtana.

– Oczywiście modlimy się o zdrowie, powodzenie i zwycięstwa naszego sułtana, shehzade, ale jeżeli stanie się najgorsze... Czyż nie musimy przedsięwziąć środków zapobiegawczych?

„Ma rację” – pomyślał Dżem. Ta cisza była zastanawiająca. Ktoś przecież powinien wysłać wiadomość czy to do niego, czy do stolicy.

– Ale czy dobrym pomysłem będzie zwołanie dywanu? Nie można zrobić nic innego?

Zrozumieli, że opór shehzade zaczyna się łamać, więc Burhanettin bez chwili zastanowienia odpowiedział:

– Nie. Rozmowa o dalszych działaniach powinna się odbyć właśnie na posiedzeniu dywanu.

Dżem głęboko się zamyślił. Złączył z tyłu ręce i zdenerwowany zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem. Później, kiedy rozmyślał nad tym, jaką decyzję podjąłby jego ojciec, rozplótł dłonie i rozłożył je na boki.

– A kogo wezwiemy na spotkanie dywanu? Wszyscy wezyrowie, paszowie, agowie i bejlerbejowie Al-Osman razem z moim ojcem udali się na wyprawę.

– W stolicy zostało kilku wezyrów. Tak samo jak janczarzy, którzy ukończyli już aktywną służbę. Do tego doświadczeni kapitanowie zajmujący wysokie stanowiska w marynarce oraz wielu ulemów. Jest jeszcze oczywiście szejchulislam^[40] Molla Hüsrev Pasza.

To imię specjalnie wymienił na samym końcu. Jego przybycie na dywan mogło

bowiem zniechęcić Dżema.

– Hodża^[41] Efendi nie wyjechał razem z moim ojcem?

– Jest już w podeszłym wieku, shehzade. Sami słyszeliśmy, jak pomimo nalegań sułtana powiedział, że Dersaadet będzie go potrzebować pod jego nieobecność.

Dżem pokiwał głową zamyślony. Jeśli nie ma żadnego innego środka zapobiegawczego, nie mógł nic zrobić. Na dywanie zapytał tych wszystkich uczonych, czy podjął dobrą decyzję; jeśli zaprzeczą, to po prostu odeśle ich do domów i dalej będą czekać na jakieś wieści.

– Ech – wymamrotał chwilę później. – Skoro nie mam innego wyjścia...

Burhanettin ze wszystkich sił starał się ukryć zadowolenie.

– Shehzade... – zaczął przyciszonym głosem. – Jest jeszcze pewna drobna sprawa.

Dżem spojrzał na niego. Czy to znaczy, że właśnie podjęta przez niego decyzja była nieistotna? Zwołanie dywanu oznaczało tylko jedno.

„To ja jestem sułtanem”.

Nie miał pewności, czy jako najmłodszy shehzade mógł tak powiedzieć, ale skoro w kraju zabrakło i sułtana, i następcy tronu... Może był jakiś inny powód, dla którego nie przychodziły żadne informacje o sytuacji wojska. Wiele było tych „może”. Nawet jeśli tylko jedno z nich okazałoby się prawdziwe, zwołanie dywanu oznaczało bunt, który zawsze przynosił zgubę tym, którzy go wzniecili.

– O co chodzi? – wydusił zirytowanym i przestraszonym głosem.

Tym razem odezwał się Sulejman Czelebi:

– Na pewno shehzade wie, że zebrania dywanu odbywają się w stolicy.

– To znaczy, że muszę wybrać się do Dersaadet. To masz na myśli?

Obaj nauczyciele schylili głowy na znak potwierdzenia słów Dżema. Wyglądali, jakby kłaniali się przed sułtanem, a nie przed shehzade.

Chłopak wstał i podszedł do okna. Długo patrzył w dal, później odwrócił się do dwóch hodżów oczekujących na jego rozkazy:

– Rozpocznijcie przygotowania. Powiadomcie wszystkich, którzy powinni pojawić się na zebraniu dywanu. Mam nadzieję, że do tego czasu otrzymamy pomyślną wiadomość od mojego ojca.

– Na to liczymy, nasz panie – odpowiedzieli Burhanettin i Sulejman, kłaniając się przy tym aż do ziemi.

Nie było potrzeby rozpoczynać żadnych przygotowań. Pewni, że przekonają Dżema do swoich racji, już dawno wszystkich wezwali. Z wyjątkiem szejchulislama Molly Hüsreva.

Dżem nie zauważył nawet, że dwaj nauczyciele zaczęli zwracać się do niego „nasz panie”.

Czuł, że w jego życiu nastąpił jakiś wstrząs.

Miał wrażenie, że to, do czego się przyzwyczaił i co kochał, nigdy nie będzie już takie samo.

Zamyślony wyszedł z pokoju i skierował się prosto do komnaty swojej matki. Tak jak przypuszczał, zastał tam również Dilrübę, siedzącą w jej nogach z robótką w ręku. Patrząc w jej błyszczące oczy, odezwał się:

– Zdecydowaliśmy, że pojedziemy nad rzekę trochę się ochłodzić. Zjemy tam wieczorny posiłek. Pomyśleliśmy, że będziesz chciała się z nami wybrać, Dilrübö.

Çiçek Hatun nie uchwyciła odpowiedzi dziewczyny, nie dostrzegła też, czy była zadowolona. Nie uszła jednak jej uwadze zmiana, jaka zaszła w zachowaniu, postawie i spojrzeniu syna.

Jakby nagle stał się o dziesięć lat starszy.

– Mój shehzade... – wyszeptała zasmuconym głosem. – Czy coś się dzieje?

Dżem, nie spuszczać wzroku z Dilrübę, odpowiedział:

– Zdecydowałem się zwołać dywan, valide.

Gdyby nie odwrócił się i nie wyszedł, zobaczyłby malujący się na jej twarzy wyraz zwycięstwa.

*

Nawet się nie zorientował, że czas spędzony nad rzeką minął tak szybko. Rozmowy z jego dwoma nauczycielami, wiersze, które czytał, wpatrując się w Dilrübę, cała ta sprawa ze zwołaniem dywanu – wszystko wyleciało mu z głowy. Jedyne, co pamiętał, to właśnie piękne oczy dziewczyny i rzeka, odbijająca blask księżyca.

Wieczorem, gdy kładł się do łóżka, usłyszał głos, od którego aż się wzdrygnął.

– Nie pozwól, by pragnienie wstąpienia na tron zawładnęło twoim sercem!

Po całym ciele przeszły mu ciarki. Był to głos starca o siwych włosach, którego na Czerwonej Skale uratował przed wilkiem.

Zupełnie zapomniał o jego cennych radach.

– Szatan... – brzmiał w jego głowie głos starca. – Szatan szepcze człowiekowi do ucha różne rzeczy. Musisz wiedzieć, że tak jak każdy sługa, masz w sobie i dobro, i zło. Z jednej strony możesz słyszeć głosy aniołów, ale z drugiej zawsze dochodzić cię będą podszepty demonów. Będą zachodzić ci drogę, mącić w głowie, mówić, że masz do tego prawo. Ale to prawo należy do Allaha, synu, i do tego, komu on je podaruje. Moja ostatnia rada brzmi – nie możesz ulec szatanowi.

Chłopak poczuł, że cały się trzęsie. „Czyżbyś uległ dzisiaj szatanowi, Dżem?” – pytał w myślach sam siebie. Przypomniał sobie ostatnie pytanie, które tamtego dnia zadał oddalającemu się w głąb lasu starcowi:

– A jeśli ulegnę? Co się stanie, jeśli mu ulegnę?

Znów zobaczył jasną twarz starca. Długą laską, którą trzymał w ręku, wskazywał na wilka, którego Dżem zabił. Tak samo jak wtedy, głos odezwał się:

– Wilk wróci!

Wiedział, że na pewno już nie zaśnie. Wstał. Dziesiątki razy przeszedł cały pokój wzdłuż i wszerz, godzinami wpatrywał się w okno i obserwował księżyc, który najpierw wspinał się po niebie, a później zaczął znikać.

– Gdzie jesteś, ojcze? – wzdychał. – Gdzie jesteś? Dlaczego mnie zostawiłeś? Tak bardzo cię teraz potrzebuję.

Począł czekać, jakby odpowiedź na jego pytania miała skądś nadejść. Nic jednak nie usłyszał.

Już prawie świtało. Oglądał chmury zmieniające kolor z granatowego na szary, a następnie nabierające lekko różowego odcienia. Później w jednej chwili niebo stało się złotożółte.

Westchnął ze smutkiem. Natychmiast musi powstrzymać Sulejmana i Burhanettina. Popęłnił błąd. Nie powinien zwoływać dywanu.

– A co innego możesz zrobić, Dżem?

Zdziwił się. Głos był zupełnie inny, podstępny i trochę tajemniczy.

– Jeśli coś się stało twojemu ojcu i twoim braciom, to przecież nie możesz zostawić państwa bez władcy. Jeśli nie dziś, to kiedy? Czy to nie ty jesteś szehzade Dżem, syn Mehmeda Zdobywcy, który zabił rdzawego wilka?

– To ja – wyszeptał. – To ja jestem szehzade Dżem, syn Mehmeda Zdobywcy, to ja zabiłem rdzawego wilka. A jeśli wilk wróci?

Usłyszał śmiech.

– Jaki wilk, Dżem? To ty jesteś teraz wilkiem, Dżemie z rodu Osmana. Prawo należy do ciebie. Wyrwij je im, jest twoje.

[38] Al-Osman – inna nazwa Imperium Osmańskiego.

[39] Dywan – rada przyboczna sułtana pełniąca funkcję swoistego rządu.

[40] Szejchulislam (tur. *şeyh ül-islam*) – w Imperium Osmańskim tytuł nadawany wielkiemu muftiemu – prawnikowi i teologowi, wydającemu oficjalne interpretacje dotyczące życia prywatnego i państwowego związanego z islamem; swoje decyzje ogłasza w formie fatwy, czyli urzędowego pouczenia, dokumentu.

[41] Hodża (tur. *hoca*) – tytuł grzecznościowy stosowany w odniesieniu do nauczycieli i duchownych.

*Otlukbeli**11 sierpnia 1473*

Jeśli piekło faktycznie znajdowało się siedem pięter nad nieboskłonem, tamtego dnia zstąpiło na Ziemię. Była jeszcze noc, a prawdziwy upał miał nadejść, gdy słońce wszędzie nad górami. Wilgotna mgła unosząca się znad strumieni położonych na dnie wąziutkiej doliny przylepiała się do wszystkiego. Zamiast przynieść lekkie orzeźwienie, powietrze stawało się coraz cięższe. Najczęściej tuż przed świtem mgła robiła się jeszcze gęstsza. Dwie armie rozmieszczone w dolinach pomiędzy wzgórzami znikwały zatopione we mgle.

I tak nikt nie spał. Pojedynczy szczęśliwcy zapadali w bardzo płytki sen. Ale to wcale nie gorąco, wilgoć, jadowite węże czy robactwo spędzały sen z powiek żołnierzom gotowym skoczyć przeciwnikowi do gardła. Sto tysięcy osmańskich wojowników i niemal tyle samo Ak Kojunlu wiedziało, że wraz ze wschodem słońca w dolinie rozpęta się istne piekło.

Tego ranka wszyscy mieli być świadkami, jak słońce wstaje zza purpurowych gór i wznosi się wysoko ponad ich głowy. Jednak nikt nie miał pewności, czy ujrzy jego zachód.

Ani sułtan Mehmed, ani przywódca Ak Kojunlu Uzun Hasan.

Kiedy słońce schowa się za horyzontem, cały świat będzie należał albo do zdobywcy Konstantynopola Mehmeda, albo do Hasana, snującego plany o stworzeniu państwa, o którym nawet Timurydom się nie śniło; marzenia jednego z dwóch tureckich władców pochodzących z tego samego rodu, z tej samej krwi, miały zostać rozbite w pył.

Wezyrowie i paszowie zebrali się na naradę wojenną i czekali na niego. Sułtan Mehmed z wydzielonej części namiotu usłyszał ich szepty. Podciągnął zasłonę przedzielającą namiot. Miał na sobie kolczugę, założoną na cienką koszulę, na głowie zaś hełm, obwiązany cienkim materiałem. Przypasał również miecz, który towarzyszył mu w wyprawach wojennych aż od zdobycia Konstantynopola.

Spojrzał na swoich doradców zebranych wokół stołu nad planami rozmieszczenia wojsk. Przewodził im wielki wezyr, Mahmud Pasza. Obok niego stał Gedik Ahmed Pasza. Obaj byli Albańczykami. Pozostali oficerowie i paszowie tak jak on przywdziali zbroje. Kiedy go zobaczyli, zaczęli się kłaniać, by wyrazić szacunek i pozdrowić go, on jednak,

podniósłszy rękę, powstrzymał ich.

Nauczył się tego od swojego ojca. Któregoś dnia sułtan Murat powiedział do niego:

– Zobacz, synu. Przyjdzie taki dzień, kiedy będziesz musiał stanąć na równi ze swoimi ludźmi. Ponieważ wszyscy, którzy znajdują się między życiem a śmiercią, są władcami. Chcę, żebyś to wiedział. Na wojnie wszyscy są towarzyszami drogi, którzy razem giną, a jeśli Allah pozwoli, także współnikami w zwycięstwie. Tak musisz postępować.

Podszedł do stołu. Rozłożono na nim plan, w którym uwzględnione zostały przekazane przez żołnierzy informacje dotyczące rozmieszczenia wojsk Uzun Hasana. Oddziały Ak Kojunlu zaznaczono na niebiesko, a oddziały osmańskie na czerwono. Przez cały miniony dzień przestawiał kolorowe znaczniki.

Wezyrowie patrzyli teraz na ostateczną wersję planu, nad którym tak długo pracował.

Gedik Ahmed Pasza, spoglądając na rozmieszczenie sił po obu stronach, powiedział:

– Mój panie, sądząc po tym, co tutaj widzimy, Hasan wierzy w swoją konnicę.

– To dlatego, że gdy dołączyły do niego wojska beja Kara Kojunlu, siła jego konnicy wzrosła prawie dwukrotnie – dodał Davut Pasza.

Wielki wezyr Mahmud Pasza od razu mu odpowiedział:

– Hasan kazał cofnąć się mocno oddziałom kawalerzystów znajdującym się na skrzydłach. Na ich miejsce wysłał siły wspomagające.

Sułtan Mehmed pokiwał głową.

– Zgadza się.

– Pierwszy atak zostanie przeprowadzony przez piechotę. Kiedy nasi żołnierze będą już wyczerpani, z trzech stron nastąpi atak kawalerii. Przeprowadzą manewr oskrzydłający i zdławią nas w samym środku. Taki mają plan.

Był tego samego zdania. Czubek ostrza trzymanego w dłoni sztyletu wbił w mapę.

– Jego wyliczenia nie sprawdzą się.

Wezyrowie zamienili się w słuch. Tym razem czubek wskazywał na góry.

– To góra Karakulak, to Doğanaslan, a to nasze wzgórze Kalecik. W tym momencie między tymi trzema górami znajduje się ponad dwieście tysięcy ludzi i co najmniej tyle samo zwierząt. Nie wspominając już o wozach z zaopatrzeniem i amunicją. Do tego są też rzeki i strumienie... Jak w takich warunkach Hasan przeprowadzi atak z użyciem kawalerii?

Wezyrowie słuchali, kiwając głowami.

– Hasan ma więcej koni niż my, ale na pewno nie ma tylu kul armatnich.

– Bardzo ufa swojej kawalerii – wymamrotał pod nosem zatroskany wielki wezyr Mahmud Pasza. – Tak bardzo jej ufa, że błędnie rozmieścił armaty. Chce chyba ostrzelać nie nas, a góry.

Gedik Ahmed Pasza, nie zapominając o tym, że znajduje się w obecności sułtana, próbował stłumić śmiech.

– Tak, najwyraźniej taki właśnie ma plan. Hasan jest wysoki, ale za to brakuje mu rozumu^[42].

Davut Pasza też musiał coś dodać:

– Nie wyciągnął lekcji z naszego podboju Konstantynopola.

Sułtan pokiwał głową.

– Oczywiście nie ma pojęcia o naszych nowych kulach armatnich. Są mniejsze, ale za to szybsze. Przekona się, kiedy na niego spadną.

Wszyscy wyrazili swoje zdanie, a sułtan ich wysłuchał.

– A teraz... – wyprostował się nad mapą – poczekajmy, niech Hasan zaatakuje pierwszy. Zobaczmy, na co go stać.

Spojrzeniem zlustrował twarze wezyrów, by zorientować się, co myślą o tym planie.

Wszyscy słuchali go z wyraźnym szacunkiem.

– Ale... – kontynuował – na moich żołnierzy spadnie bardzo trudne i odpowiedzialne zadanie. Musimy stawić tak silny opór, żeby Hasan sam się wykończył,

próbując zmęczyć nas atakiem piechoty. Nie możemy się cofnąć. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Wszyscy się skłonili. Mehmed znów powstrzymał ich ruchem dłoni. Zbliżył się do każdego z wezyrów, do każdego paszy i spojrzął im głęboko w oczy. Wszyscy czujnie mu się przyglądali, mimo ogromnego zmęczenia i braku snu. Nawet najstarsi z nich aż drżeli z ekscytacji. Poczuł, że przepelnia go zaufanie.

– Niech wasza wojna okaże się zwycięska – powiedział. – Jutro czeka nas trudne zadanie. Macie moje błogosławieństwo.

– Niech wojna będzie zwycięska, sułtanie.

Oczy Mahmuda Paszy zaszyły łzami. Mehmed poczuł, że kłębi się w nim mnóstwo emocji.

– Czas na spoczynek.

Patrzył, jak wezyrowie i paszowie wychodzą z namiotu i oddalają się. Wiedział, że żaden z nich się nie obejrzy.

*

Kiedy sułtan Mehmed jeszcze przed świtem wyszedł z namiotu, wszyscy już czekali na niego w rzędzie razem ze swoimi końmi.

Chorągwie i proporce łopotały na wietrze, przynosząc powiewy coraz to gorętszego powietrza.

Trzech stajennych podprowadziło konia przed wejście do namiotu. Kiedy Śmiałek go zobaczył, próbował stanąć dęba. Sułtan pogłaskał go po czole. Zwierzę jakby przeczuwało nadchodzące zdarzenia. Kopytem zaczęło grzebać w ziemi i energicznie dyszeć.

– Spokojnie – wyszeptał mu do ucha. Na dźwięk głosu właściciela Śmiałek z zadowoleniem zaczął przeżuwać wędzidło. – Prawie wszystko jest już za nami, Śmiałku. Już tak niewiele zostało.

Koń z podnieceniem zaczął machać głową w górę i w dół. Jeden ze stajennych dał mu kostkę cukru, którą dotąd ścisnął w dłoni.

Sułtan rozejrzał się wokół. Góra wznosząca się za oddziałem dowodzonym przez

wezyrów zupełnie zniknęła w porannych ciemnościach i gęstej mgle. Widział jednak zarys uformowanych oddziałów. Byli to dzielni mężczyźni, którzy towarzyszyli mu w wielu zwycięstwach. Ponieważ przestrzegł ich, by zachowali kompletną ciszę, w unoszącej się mgle wyglądali teraz jak zjawy. Ale wiedział, że gdy nadejdzie właściwy moment, każdy z nich wydobędzie z siebie ryk lwa.

Włożył nogę w strzemień i wskoczył na konia. Wezyrowie i paszowie również wsiedli na konie i w równych odstępach ustawili się po obu jego stronach.

– Moja prawa strono! – odezwał się do Mahmuda Paszy. – Czy shehzade jest gotowy?

Mahmud Pasza nie zwlekał z odpowiedzią:

– Shehzade Mustafa znajduje się w Durudere, mój panie. Pierwszego ataku Hasana spodziewamy się właśnie tam.

– Moja lewa strono! – krzyknął władca. – Co z moim shehzade?

Odpowiedział mu Gedik Pasza.

– Po wczorajszej naradzie pojechałem do niego, sułtanie. Shehzade Bajazyd rozmieścił oddziały na lewym skrzydle. Będzie czekał na znak.

Sułtan Mehmed pokiwał głową. Spojrzał na różowiejące chmury wznoszące się nad górami.

– Dalej, Hasanie – westchnął. – Jestem Mehmed, syn sułtana Murada, zdobywca Konstantynopola. Kiedy przybyli do mnie twoi posłańcy z żądaniem dwóch tysięcy dukatów, zamiast wyrwać im języki, rozkazałem im: „Idźcie i powiedzcie swojemu władcy, że za rok przybędę i spłacę wszystkie swoje długi!”. Przybyłem więc, Hasanie. Jestem tutaj. A ty? Gdzie jesteś? Ak Kojunlu, Kara Kojunlu... Pokaż się!

*

Uzun Hasan, przywódca Ak Kojunlu, nie kazał im długo czekać. Zaraz po porannym wezwaniu na modlitwę, przy dźwiękach bębnów i rogów, łucznicy z prawego skrzydła, dowodzonego przez jego syna Zeynela Mirzę, zaatakowali lewe skrzydło armii osmańskiej pod dowództwem shehzade Mustafy. Zanim zdążyli się zorientować, spod gór ruszyła na nich piechota Ak Kojunlu oraz Kara Kojunlu.

Jednak wydarzyło się coś, czego Uzun Hasan się nie spodziewał. Janczarzy,

kapykułowie i azabowie^[43] przybyli z Rumelii okazali się twardsi i wytrzymalsi od górskich skał płonących od żaru lejącego się z nieba.

Żołnierz o imieniu Orucz z Sivasu, który walczył w oddziale dowodzonym przez szehzade Mustafę, jednym uderzeniem zwałił z konia syna Uzun Hasana, Zeynela Mirzę. Wskoczył na niego i odciął mu głowę. W tym momencie losy bitwy się odwróciły. Wojsko Ak Kojunlu, widząc głowę Mirzy wbitą na pal, straciło morale.

W deszczu strzał i kul armatnich próba odwrotu nie miała szans powodzenia. Kawalerzyści, czekający na rozkaz do ataku, w panice zaczęli się rozpierzchać.

Zanim nastąpiło południe, Uzun Hasan z pomocą kilku żołnierzy uciekł z pola walki i ratował się ucieczką przed Osmanami. Całe wojsko, które w różnokolorowych strojach przybyło do Otlukbeli z nadzieją na zwycięstwo, w ciągu kilku godzin zostało zmiażdżone.

Gedik Ahmed Pasza podjechał do sułtana Mehmeda, który z grzbietu konia obserwował pole walki.

– Mój panie, Hasan opuścił swoich żołnierzy i ucieka w popłochu. Czy mamy wysłać za nim pościg?

Mehmed, nie spuszczać wzroku z krwawej sceny, machnął ręką na znak, by odpuścić.

– Nie stanowi żadnego zagrożenia dla Al-Osman.

Uzun Hasan naprawdę pędził na złamanie karku. Drogę do Bagbartu^[44], która konno zajmuje trzy dni, pokonał w jeden dzień. Z jego ponad studwudziestotysięcznej armii uratowała się garstka żołnierzy. Zgubił koronę, rozdarł kaftan, był cały w pyle i krwi. Bagbartu, gdzie miały czekać jego żona i córka, wyglądało jak w dniu sądu ostatecznego. Uciekający żołdacy, szukając zemsty na Osmanach, podpalali wszystko, co stało na ich drodze. Nawet wspaniała jurta, w której Uzun Hasan pozostawił rodzinę, stała w płomieniach.

Kiedy zobaczył żonę biegnącą w jego stronę, nie zsiadając z konia, krzyknął:

– Uciekajcie!

Pogrążona w rozpacz Szahbanu rzuciła się w stronę męża. Miała rozwiane włosy, a łzy pozostawiły na jej policzkach czarne smugi. Uderzała dłońmi raz o ziemię, raz o kolana.

Władca pokonanych, Ak Kojunlu, się zdziwił. Nie wiedział, co powiedzieć. Do głowy przychodziło mu tylko:

– Uciekaj!

– Nie ma naszej córki! Nie ma Periszehr!

Za ich plecami pędziły setki koni, biegły tysiące ludzi. Hasanowi wydawało się, że góra powstała i podążyła w jego stronę. Jeśli się zatrzyma, zmiażdży go lub zginie zdeptany przez własnych żołnierzy.

– Ratuj się, kobieto! Ona też na pewno uciekła! Uciekaj!

Nie dodał nic więcej. Nie odwrócił się i nie spojrzął w jej stronę. Popędzając konia, ruszył przed siebie.

*

Tamtego wieczoru stało się coś niezwykłego. W miejsce piekielnego gorąca pojawił się chłodny wiatr znad Morza Czarnego, jak gdyby chciał pogratulować zmęczonym wojownikom zwycięstwa. Płomienie ognisk rozpalonych przez upojonych triumfem wojowników wesoło tańczyły w nocnych ciemnościach, rozwiewane wiatrem.

Sułtan Mehmed jadł posiłek w swoim namiocie, w tym samym czasie razem z wezyrami podsumowując całą bitwę.

Nagle przed namiotem dały się słyszeć odgłosy kopyt. Sułtan podniósł głowę i z zaciekawionym wzrokiem spojrzął w stronę wejścia.

– Kto to może być? Idźcie sprawdzić. Jeśli to nasi zwycięzcy shehzade, niech wejdą. Muszę ich ucałować.

Gedik Ahmed Pasza wstał. Nie byli to synowie sułtana, ale posłaniec. Zeskoczył z konia i ciągnąc za wodze, próbował go uspokoić. Widać było, że mają za sobą długą drogę.

Po krótkiej rozmowie z posłańcem Gedik Ahmed Pasza wrócił do namiotu. Sułtan od razu zauważył, że mężczyzna spochmurniał.

– O co chodzi, Gedik? Jakies złe wieści?

Pasza wyglądał na zaskoczonego. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą

usłyszał. Zastanawiał się, jak wyjaśni to sułtanowi.

– Panie... – wymamrotał zamyślony. – To posłaniec.

– Posłaniec? Z którego skrzydła? Jest jakiś problem?

„I to jaki...” – pomyślał Gedik Ahmed Pasza. – „Bardzo duży problem”.

– No już, powiedz. Czemu milczysz?

Pasza podszedł do sułtana najbliżej, jak pozwalała etykieta. Schylił się i wyszeptał mu do ucha wiadomość. Wszyscy inni odwrócili głowy, żeby przypadkiem czegoś nie usłyszeć.

– Paszo, co ty wygadujesz? – Sułtan nagle się poderwał.

Gedik pokiwał głową na znak, że wiadomości są prawdziwe, ale sułtan Mehmed wciąż był wzburzony.

– Posłuchaj, paszo, jeśli coś przekręcasz...

– Ależ panie. Wiadomość przekazana przez posłańca brzmi dokładnie tak.

– A kto ją wysłał? Kto?

– Hüsrev Molla, sułtanie.

Gdy tylko usłyszał imię szejchulislama, jego twarz wykrzywił gniew.

– A więc Hüsrev Molla, tak?

Wyzbył się wszelkich wątpliwości. Hüsrev Molla nie odważyłby się kłamać. Założył ręce do tyłu i zdenerwowany zaczął chodzić po namiocie w tę i z powrotem.

Gedik Ahmed Pasza dał znak, żeby wszyscy wyszli. Sułtan w zamyśleniu nawet nie zauważył, kiedy się skłonili i wycofali. Gdy pasza zastanawiał się, czy też powinien się oddalić, ten odezwał się:

– Gedik, czy Hüsrev Molla nie próbował jakoś zapobiec tej sytuacji?

– Nie, mój panie. Hüsrev Molla zdecydował, że lepiej będzie w tych okolicznościach wysłać wiadomość. Według niego próba sprzeciwu mogłaby się skończyć tragedią.

Mehmed zatrzymał się przed paszą. Podniósł głowę i spojrzał mu prosto w twarz.

– Ma rację – wyszeptał. – Dobrze postąpił.

Z roztargnienia nie zauważył wyjścia paszy z namiotu. Wszedł do prywatnej, wydzielonej w jurcie części i usiadł na dywanie. Chwilę później powiedział sam do siebie:

– No spójrzcie tylko. Al-Osman ma dwóch sułtanów, a ja nic o tym nie wiem.

Gdyby ktoś zobaczył wzbierający w oczach Mehmeda gniew, zacząłby się trząść ze strachu.

[42] Przydomek władcy Ak Kojunlu „uzun” po turecku oznacza „wysoki” lub „długi”.

[43] Azab – piechota składająca się głównie z rzemieślników i wieśniaków; jej utrzymanie opłacali mieszkańcy kraju z podatku proporcjonalnego do dochodów; najczęściej szła w pierwszej linii.

[44] Bagbart – Bayburt, miasto obecnie położone w Turcji.

Stambuł, Nowy Pałac

Październik 1473

– Hodžo!

Cisza.

Dżem zawołał trochę głośniej:

– Hodžo! Sulejmanie Czelebi!

Poczekał chwilę. Znowu cisza.

– Burhanettin Czelebi!

Także brak odpowiedzi.

Tylko czekający na zewnątrz służący uchylił drzwi i zapytał:

– Szehzade?

Dżem odprawił go ruchem dłoni.

Chłopiec szybko zniknął. Drzwi po cichu się zamknęły.

Postanowił zawołać raz jeszcze.

– Burhanettin Czelebi! Sulejmanie Czelebi! Gdzie się podziewacie? Czyżby dopadła was śmierć?

Od razu porzucił tę myśl. „Kontroluj swoje ruchy” – pomyślał. – „Nie jesteś już dzieckiem. Nikt nie traktuje cię jak dziecka”.

Nie mógł uwierzyć, jak wielka zmiana zaszła w postawie jego nauczycieli, odkąd przeprowadzili się z Edirne do Nowego Pałacu. Zarówno Burhanettin, jak i Sulejman stali się zupełnie innymi osobami. Zaczęli zachowywać się jak wezyrowie. Wierzyli, że Dżem mianuje ich na to stanowisko, kiedy już zasiądzie na tronie.

„Ma to sens” – pomyślał, wpatrując się w drzwi. – „Kiedy już zostanę władcą, będzie to chyba właściwe posunięcie. Komu innemu mógłbym powierzyć takie stanowiska?”

Właściwie to bawiły go ich wzajemne relacje. Obaj krzyżowali ręce na piersi, jak robią to wezyrowie w obecności sułtana. Chodzili, przechylając w lewo głowy. Mało mówili, patrzyli rozmytym wzrokiem, jakby zajmowały ich bardzo głębokie i poważne myśli. Naśladowali wszystko, co podpatrzyli u wezyrów jego ojca.

Zmiany, które zaszły w ich zachowaniu, uważał za całkiem zabawne. Nie był jednak świadomy, że między dwoma przyjaciółmi rozpoczęła się brutalna rywalizacja.

Któregoś dnia, aby trochę się z nimi posprzeczać, Dżem powiedział:

– Zobaczymy, któremu z was powierzę sułtańską pieczęć.

Nie dostrzegł płomieni gniewu, które w jednej chwili zapłonęły w ich oczach.

Dżem starał się czerpać przyjemność z bycia prawie sułtanem. By zapomnieć o dręczących go zmartwieniach, chciał się bawić i śmiać. Miłość do Dilrūby rozkwitała z każdym dniem, musiał jednak przyznać, że aż kręciło mu się w głowie od ulotnych spojrzeń dziewcząt z haremu ojca. Ukrywał to jednak przed innymi. Większość czasu spędzał ze swoimi nauczycielami, żeby Dilrūba nie była zazdrosna i nie smuciła się, że wyrzucił ją ze swojego serca.

– Jesteś jeszcze młody – powiedział do Sulejmana innego dnia. – Burhanettin ma większe doświadczenie, wiele już widział i wiele przeżył. Co ty na to? Może to on powinien zostać wielkim wezyrem?

Oczekiwał, że potwierdzi słuszność jego decyzji, zdziwił się więc, widząc, jak nauczyciel wije się niczym wąż gotowy zaatakować:

– Szezhade, czyż wiedza i mądrość są przymiotami wieku? Kiedy człowiek się starzeje, jego umysł traci jasność, przestaje widzieć i słyszeć.

Pomyślał, że Sulejman tylko żartuje, dlatego zaśmiał się pod nosem. Bawił się całą tą sytuacją, pomyślał więc: „Dobry człowiek ten Sulejman, na żart odpowiada żartem”.

„Teraz nie czas na zabawę” – usłyszał w głowie głos. Coś szło nie tak.

Wyczuwał to. Tylko co to mogło być? Może fakt, że Hüsrev Molla nie uczestniczył w dywanach? Czy coś innego?

Tamtego ranka obudził się zdenerwowany, nie wiedział jednak, dlaczego. Czuł nieokreślony niepokój. Przed spotkaniem chciał zasięgnąć rady u swoich nauczycieli.

Może oni znali źródło tego niepokoju. W jego głowie kłębiły się różne myśli.

Sprawy dyskutowane na dywanach puszczał mimo uszu. Wzrokiem szukał Hüsreva Molly.

Nie ma, nie ma, nie ma.

Nieobecność na pierwszym dywanie usprawiedliwił chorobą.

A drugie i trzecie spotkanie?

Szejhulislam nie przybył na żadne z nich. Starali się nic po sobie nie pokazywać, ale między kapykułami krążyły już plotki.

– Jak się miewa Hüsreva Molla? Nie możemy się z nim zobaczyć, czy coś się stało?

Było oczywiste, że coś jest nie tak.

Valide również niepokoiły jego niekończące się choroby. Uważała, że trzeba się dowiedzieć, o co chodzi.

– Powinieneś go odwiedzić, shehzade. Może potrzebuje pomocy albo uwagi.

Matka miała rację. Podejrzana była ta choroba shejhulislama. Wysłał do Hüsreva Molly Sulejmana Czelebiego z prośbą o wybaczenie dla shehzade, jeśli postąpił źle.

Nauczyciel co do litery powtórzył słowa, które wbiła mu do głowy valide.

– Panie, shehzade prosi o pozwolenie na wizytę w następnym tygodniu. To wina jego młodości i niedoświadczenia.

Czy shehzade, który niedługo zostanie sułtanem, mógł wyrazić się grzeczniej?

Hüsrev Molla odpowiedział Sulejmanowi:

– Niech nie robi sobie kłopotu. Jestem już stary, ciągle choruję i nie domagam. Shehzade Dżem ma teraz inne zajęcia. Szkoda jego czasu na składanie mi wizyt.

O ile jego wiadomość była uprzejma, o tyle odpowiedź Hüsreva Molly raziła szorstkością.

Czy tak powinno odpowiadać się szehzade, który odlicza dni do wstąpienia na tron? bez ogródek powiedział: „Niech nie przychodzi”. W dodatku używał jedynie tytułu „szehzade”, żadnych dodatkowych oznak szacunku. Valide i nauczyciele uznali słowa „ma teraz inne zajęcia” za lekceważące. Dżem przyznał im rację.

Ale przecież to właśnie szejchulislam był jednym z tych, którzy, wobec braku wieści od sułtana, uznali zwołanie dywanu za dobry pomysł. Zarówno Sulejman, jak i Burhanettin na Allaha zarzekali się, że powiedział: „To będzie właściwe rozwiązanie. Państwo potrzebuje władcy”.

– Ależ szehzade, czy proponowalibyśmy zwołanie dywanu bez zgody hodży szejchulislama? – oburzali się.

Skoro wydał zgodę, co mogła oznaczać wymówka w postaci choroby?

Jego nauczycieli nigdzie nie było.

– Gdzież oni się podziewają? – burknął pod nosem i westchnął. Nagle usłyszał w głowie świdrujący głos:

– Korzystają z pozycji przyszytych wezyrów, Dżem. A jak myślisz? Na ciebie spadnie odpowiedzialność za państwo, a oni się będą bawić.

Ta myśl tylko go podburzyła.

– Sulejman! – wrzasnął. – Burhanettin Czelebi! Gdzie jesteście? Zapadliście się pod ziemię?

Nie oczekiwał odpowiedzi, ale się pomylił. Ktoś biegł w stronę jego komnaty.

– W końcu – westchnął. – W końcu ktoś usłyszał moje wołanie.

Dżem wstał i usiadł obok niskiego pulpitu, przy którym czytał książki i pisał wiersze. Czuł, że ze złości wybuchnie, bez względu na to, kto pojawi się w drzwiach.

*

– Szehzade?

Burhanettin Czelebi w pośpiechu wślizgnął się do środka.

– Gdzie byłeś? – zapytał Dżem dużo głośniej, niż zamierzał. Skoro oni stroili się w piórka wezyrów, on mógł reagować jak przystało na sułtana. Powinien zachować się dokładnie jak władca, którego służący nie pojawili się na zawołanie.

– Szezhade... Ja... To znaczy...

– Nie tłumacz się. Nie mogę się doprosić ani ciebie, ani Sulejmana. Cóż to za haniebne zachowanie.

Mężczyzna schylił się niemal do samej ziemi.

Dżem wstał. Splótł ręce na plecach i zbliżył się do Burhanettina.

– Nie wiem, co was tak zajmuje, ale skoro przed zebraniem dywanu nie mogę zasięgnąć opinii moich nauczycieli i zapytać ich o zdanie, to do czego wy się w ogóle nadajecie?

Twarz Burhanettina Czelebiego najpierw oblała się płonącym rumieńcem, a potem w jednej chwili niesamowicie zbladła.

– Panie, proszę mi wybaczyć, ja...

– Cisza. Mamy mało czasu. Nie każmy członkom dywanu czekać zbyt długo.

Dżem zamilkł. Wahał się, czy powinien zadać to pytanie.

– Czy, przechodząc, widziałeś, kto przybył na zebranie?

Po ostrej reprymendzie Burhanettin odważył się jedynie na kiwnięcie głową.

– Czy był pośród nich szejchulislam?

Burhanettin stał cały czas schylony i wpatrywał się w podłogę. Nie musiał nawet sprawdzać. Wiedział, że Hüsreva Molly tam nie było.

Kiedy wybrali się po radę do szejchulislama, pomysł zwołania dywanu skwitował jednym zdaniem:

– Nawet się nie ważcie, tylko sprowadzicie na nas kłopoty.

– Minał już miesiąc od wyjazdu sułtana.

– Co z tego? Jest wojna. Nie można przewidzieć, kiedy się zacznie, a kiedy

skończy.

– Nie wiadomo też, czy sułtan zwyciężył, czy poległ. Tak czy inaczej, Al-Osman zostało bez władcy.

– Niech Allah strzeże, czelebi. Co to za pomysły? Państwo pozostaje bez władcy tylko wtedy, kiedy sułtan udaje się na wieczny spoczynek. Ten czas jeszcze nie nadszedł.

– A jeśli stało się to, o czym hodża wspomniał? Jeśli naszemu panu coś się przytrafiło?

– Jest jeszcze następca tronu, zapomniałeś, Burhanettinie?

– Czy to nie ty, hodžo, mówiłeś, że niezbadane są wyroki Allaha? A jeśli cała trójka...? Jeden z nich powinien wysłać nam jakąś wiadomość. To już prawie czterdzieści dni; nie ma wieści ani od sułtana, ani od żadnego shehzade.

– Co w związku z tym?

– Właśnie przybyliśmy się hodży poradzić. Nie ma sułtana. Nie ma jego dwóch najstarszych synów. Jest za to shehzade Dżem.

Hüsrev Molla poderwał się i zaniepokojony zapytał:

– Coś się stało shehzade?

– Nie, nie, z nim wszystko w porządku. Chcieliśmy zapytać, czy w takiej sytuacji shehzade Dżem powinien zwołać dywan i przejąć władzę w państwie?

Hüsrev Molla po raz pierwszy na chwilę zamilkł i zamyślił się.

– Jeśli rzeczywiście wygląda to tak, jak przedstawiliście.

– Czy w tych okolicznościach zwołanie dywanu przez najmłodszego shehzade będzie właściwe, hodžo?

– W takiej sytuacji...

– Czy jeśli w takiej sytuacji dywan się zbierze, będziecie w nim uczestniczyć, hodžo?

– Jeśli sprawy tak się mają, Burhanettin. Niech Allah ma nas wszystkich w opiece.

Nie słuchając, co miał jeszcze do powiedzenia, wyszli i od razu udali się do Dżema, by donieść mu o zgodzie szejchulislama na zwołanie dywanu i wzięcie w nim udziału.

Właściwie nie było to kłamstwem. W takiej sytuacji...

Z pewnością wszystkie okoliczności zbiegły się dokładnie tak, jak przedstawili to hodży. Gdyby było inaczej, gdzie podziwiałby się sułtan i jego dwaj synowie przez ponad czterdzieści dni?

– A wielki wezyr? Dlaczego on nie przekazuje nam wieści? – zapytał od razu Dżem. – Mój ojciec, moi bracia, wielki wezyr... To chyba niemożliwe, żeby wszyscy stracili życie...? Żądam odpowiedzi!

Szezhade czasami zadawał pytania i używał słów, których Burhanettin i Sulejman naprawdę się nie spodziewali i nie wiedzieli, jak na nie reagować. Zdawali sobie sprawę, że Dżem przestał być już małym dzieckiem, ale mimo wszystko bardzo ich to zaskakiwało.

Na szczęście tamtego dnia Sulejman zdołał się pozbierać i odpowiedział:

– Masz rację, mój shezhade. Niech Allah ma wszystkich w swej opiece. Jeśli jednak stało się to, czego wszyscy się obawiamy, czy wielki wezyr lękałby się o wybuch zamieszek i z tej przyczyny jak najdłużej ukrywał tę smutną wiadomość?

Całkiem sensowne. Mogło tak być. Na pewno trzeba było rozważyć taką możliwość. Jednak nieobecność Hüsreva hodży na wszystkich zebraniach dywanu zaczęła być zastanawiająca. Dżem coraz częściej żałował, że nie wstrzymał się z podjęciem tak radykalnej i brzemiennej w skutki decyzji. Co się stało, to się nie odstanie. Nie było już drogi powrotnej.

Spodobało mu się to, że wrócił do Dersaadet, że czekał na objęcie tronu, że wszyscy wezyrowie i paszowie wezwani na dywan kłaniali się przed nim. Wewnętrzny głos podpowiadał mu: „To ty jesteś teraz głową Al-Osman. Siła i władza są po twojej stronie. Niech wszyscy okazują ci szacunek!”.

Musiało to być pragnienie wstąpienia na tron, o którym mówił derwisz, gdy ukazał się Dżemowi dwa lata wcześniej. Starzec chciał, by tłumił je w sobie, a on zrobił coś zupełnie przeciwnego. Poczul smak władzy.

– Ruszaj – burknął do Burhanettina Czelebiego.

*

Tamtego dnia rozpoczął spotkanie tymi samymi pytaniami, co zawsze:

– Agowie, czy otrzymaliście jakieś wieści od naszych wojsk?

Nikt się nie odezwał. Nie przybył żadnej posłaniec. Starszy mężczyzna siedzący z brzegu – nawet nie znał jeszcze jego imienia – wstał i wystąpił krok do przodu.

– Szezhade – powiedział. – Dzisiaj piątek. Dowiedziałem się, że Hüsrev Molla...

Gdy do Dżema dotarło imię szejchulislama, zamienił się w słuch.

– Hodża zażyczył sobie, by dzisiaj we wszystkich meczetach i miejscach modlitw podczas kazania wspomniany został nasz władca, sułtan Mehmed Zdobywca. Niech każdy obywatel Al-Osman pomodli się o zdrowie i powodzenie naszego pana, naszych shezhade i wszystkich żołnierzy osmańskiej armii. Uważam, że my tutaj zebrani również powinniśmy spełnić swój obowiązek.

Po sali przeszedł pomruk zadowolenia.

– Racja, racja! Modlitwa jest właściwa.

Burhanettin Czelebi wyczuł jednak w głosach poparcia pewne zagrożenie.

– Hüsrev Molla... – Mężczyzna odchrząknął i kontynuował: – Jak we wszystkim, teraz również ma rację. Powinniśmy modlić się za naszego sułtana, za naszych shezhade oraz za naszych żołnierzy. Pomódlmy się do Allaha w tej Sali, w której cały czas słysząc jeszcze echo słów naszego najjaśniejszego pana.

Zgromadzeni znów go poparli. Na przód wysunął się jeszcze jeden mężczyzna i rozłożył ręce do modlitwy:

– Mój Panie...

Teraz już wszyscy podnieśli dłonie i razem z nim recytowali modlitwę.

– Chronź naszego sułtana i wszystkich naszych żołnierzy.

– Amin^[45].

– Niech im się powodzi.

– Amin.

– Spraw Panie, by nasi żołnierze zwyciężyli.

– Amin.

– Panie, przyjmij do nieba tych, którzy zostali męczennikami.

– Amin.

– Naszych bohaterskich weteranów wróć nam w zdrowiu.

– Amin.

Dżem również rozłożył ręce i prosił razem ze wszystkimi. Nagle zdał sobie sprawę, że słowa modlitwy nie wywołują w nim emocji. Nawet nie odpowiadał „Amin”. Poczł w sercu uścisk.

„Cóż to za okrutne przeznaczenie. Nie jestem nawet w stanie pomodlić się za życie mojego ojca i braci” – pomyślał.

Ich życie oznaczało bowiem jego koniec.

[45] Amin – amen.

Nowy Pałac, ogrody

Październik 1473

Słońce chyliło się ku zachodowi.

Wilgotny wiatr rozwał jej włosy. Çiçek Hatun przeszedł dreszcz. O tej porze dnia jesienne podmuchy były już bardzo chłodne. Mimowolnie zaczęła drzeć. Nieodstępująca jej na krok Gülizar zrozumiała, że pani przemarzła na kość. Od razu położyła jej na ramionach wełniany szal, który na wszelki wypadek zawsze miała przy sobie. Çiçek uśmiechem nagrodziła swoją dwórkę. Otuliła się i zdecydowała, że przejdzie jeszcze kawałek.

Zima była już bardzo blisko. Kobieta spojrzała na wzgórza po drugiej stronie cieśniny. Sosnowy las wciąż pozostawał zielony, natomiast buki, akacje, kasztany, orzechy i inne drzewa, których nazw nie знаła, już dawno zgubiły liście. Nawet najmniejszy podmuch wiatru wzbijał w powietrze suche i pożółkłe listowie.

Jesień zawsze wzbudzała w niej smutek – nawet kiedy była jeszcze dzieckiem. Widok umierającej przyrody powodował niewytłumaczalne przygnębienie, choć wiedziała przecież, że na wiosnę znów wszystko obudzi się do życia.

Nagle w jej głowie zaczęło krążyć pewne pytanie, który po cichu szeptał jakiś obcy głos:

– Czy wiatr przeznaczenia będzie nami targał tak samo jak tymi zeschniętymi liśćmi?

Poczuła narastający niepokój.

– Dlaczego? – powiedziała sama do siebie. – Dlaczego w ogóle pomyślałaś o czymś takim, Çiçek? Skąd przyszło ci to do głowy?

Nie miała pojęcia. Przeszła jeszcze kilka kroków, powłócząc nogami po białych kamykach, którymi wysypane były ścieżki.

W głębi serca czuła, o co chodzi. Była zaniepokojona. Nawet sama przed sobą nie potrafiła się do tego przyznać, ale bała się. Nie wszystko szło dobrze. Nie wiedziała, co jest tego powodem, jednak miała pewne przeczucia.

Czy nie powinna być szczęśliwa, zadowolona i roześmiana? Mieszkała w Nowym Pałacu razem ze swoim shehzade. To, że Dżem nie widział świata poza Dilrübą, nie miało znaczenia. Byli świadkami jakiegoś cudu. Wszystkie dręczące ich w Kastamonu obawy okazały się próżne. A jej shehzade... Już prawie siedział na osmańskim tronie. Odliczano dni do momentu, kiedy przypasa miecz i zostanie sułtanem. Zostało jeszcze kilka tygodni, to wszystko.

Wciąż nie było wieści od sułtana Mehmeda, jego dwóch synów ani od wojska. Jakby w jednej chwili wszystko i wszyscy zniknęli z ich życia. Do głowy przychodziło jej tylko jedno wyjaśnienie tak długiego braku wieści od władcy: coś musiało mu się stać. Nie było już sułtana Mehmeda, niezwykłego wojownika, jej jedynej miłości, mężczyzny jej życia, ojca jej syna. Już od dawna nie byli razem, ale jej wystarczało, że wiedziała o kolejnej wyprawie Mehmeda na grzbiecie Śmiałka. Ale teraz... Okazało się, że śmierć odebrała jej go już na zawsze.

Çiçek Hatun na tę myśl poczuła jeszcze bardziej dojmujący chłód. Skuliła się i objęła ramionami.

– Valide – szepnęła stojąca za nią Gülizar. – Zmarzłaś, pani. Jeśli chcesz, pani, możemy już wracać.

Miała rację. Przemarzła. Ale nie miała ochoty wracać.

Robiła, co w jej mocy, żeby, przebywając w haremie, nie widywać się z mieszkającymi tam kobietami, nowymi faworytami sułtana. Jednak trudno było tego uniknąć.

Nikt lepiej niż ona nie rozumiał strachu dziewcząt, które nie wiedziały, co je tutaj czeka. Ich oczy mówiły: „Co z nami będzie? Co z nami teraz zrobią? Czy sprzedadzą nas na targu niewolników?”.

Spojrzenia rzucane Çiçek przez nowe faworyty sułtana przebijały ją na wylot jak strzały.

Gdyby tylko mogły, rozerwałyby ją na strzępy. Sułtan i jego dwaj synowie zaginęli, a wielkie państwo Al-Osman znajdowało się w rękach Çiçek i jej shehzade, który niedługo miał zostać sułtanem.

Çiçek była pewna, że kiedy dziewczęta z haremu zastanawiały się, jak wpaść w oko Dżemowi, plotkowały również o Dilrübie: „Ależ kochana, ta dziewczyna z gór zupełnie zawróciła mu w głowie. Nie zwraca uwagi na żadną inną!”.

Miały rację. Dziewczyna, która by go zdobyła, uratowałaby się z haremu,

a wszystkie inne musiałyby wynieść się z pałacu i kto wie, co by je potem spotkało. Pożegnanie z pałacowym życiem na pewno nie było łatwe. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy lepiej niż ona.

Opuściła pałac jako stara faworyta sułtana, a jednak udało jej się tu wrócić. „Stara faworyta” już niedługo odejdzie w zapomnienie, a w jej miejsce narodzi się valide sułtana Dżema.

Valide Çiçek Sultan^[46]!

Już na samą myśl o tym wzdrygnęła się i poczuła rozplywające się po ciele ciepło.

Skąd więc ten wewnętrzny niepokój? Czego się obawiała?

– To wszystko przez Hüsreva Mollę.

– Słucham, valide? Prosiłaś, pani, o coś?

Çiçek była zupełnie zdziwiona pytaniem Gülizar.

– Nie. Nic nie mówiłam. Skąd w ogóle taki pomysł?

– Musiałam się przesłyszeć. Wydawało mi się, że czegoś sobie, pani, zażyczyłaś.

Wtedy zrozumiała, że musiała wypowiedzieć głośno kłębiące się w jej głowie myśli.

– Właśnie tak to jest... – wymamrotała. – To przez niego nie mogę zaznać spokoju.

Hüsrev Molla nie wziął udziału w żadnym zebraniu dywanu. Wysłał Dżemowi jednozdaniową wiadomość: „Z powodu mojej choroby nie mogę przybyć i proszę Jego Wysokość Szezhade o wybaczenie”.

Çiçek ani na chwilę nie uwierzyła w jego chorobę. Dywan, na którym nie był obecny szejchulislam, uznawano za nieważny. To on wydawał fatwy^[47], oceniając, czy decyzje podjęte przez dywan są zgodne z prawem.

Hüsrev Molla nie mógł wyzdrowieć i wydać stosownej fatwy. W takiej sytuacji wstąpienie Dżema na tron opóźniało się.

*

– Valide!

Çiçek Hatun nie usłyszała, że ktoś ją woła. Wszyscy oprócz niej odwrócili się w stronę, z której dochodził głos. Szehzade Dżem z dziedzińca haremu wbiegł do ogrodu i starając się podtrzymywać długi płaszcz, który plątał mu się między nogami, gnał w ich kierunku. Był zdenerwowany i biegł ile sił w nogach. Zdezorientowani służący próbowali dotrzymać mu kroku.

– Valide...

Çiçek pochłonięta własnymi myślami znów nie usłyszała. Zastanawiała się, jak przekonać Hüstreva Mollę do ich racji. Jeśli trzeba będzie, pójdzie go błagać na kolanach. A jeśli nie da się przekonać? „Czy wtedy odważysz się zrobić to, co trzeba, Çiçek?” – w myślach zapytała samą siebie. – „Czy będziesz w stanie postawić mu ultimatum: jeśli nie zejdziesz z drogi shehzade, to ja usunę cię już na zawsze?” Nie była pewna, czy to dobre posunięcie.

– Valide!

Gülizar, widząc, że Çiçek dalej nie słyszy zbliżającego się syna, głośno odchrząknęła.

– Valide, shehzade przybywa.

– Co? Jak to?

Dopiero wtedy do jej uszu dobiegły odgłosy kroków na wysypanych kamyczkami alejkach ogrodów. Gdy zza krzaków róż ujrzała biegnącego Dżema, zaskoczyła ją pewna myśl.

„Dziwne...” – pomyślała. – „Nie ma z nim Dilrüby. Przecież przez cały dzień praktycznie się nie rozstawali”.

Nagle dostrzegła malującą się na twarzy shehzade panikę.

– Mój Stepowy Kwiecie – zwróciła się do niego. – Czy coś się stało?

Gdy Dżem do niej podbiegł, nie mógł złapać tchu.

– Vali... de... Woj... – nie dokończył.

Dopiero po zaczerpnięciu kilku głębszych oddechów dał radę powiedzieć:

– Wojsko. Wojsko wraca, valide.

*

Dżem cały czas nie mógł złapać tchu. Jego twarz była blada jak ściana. Wydawał się zdziwiony zupełnym brakiem reakcji ze strony matki.

– Nie słyszałaś, valide? Wojsko... Wojsko wróciło.

Nagle w ogrodzie zapanowała radosna atmosfera. Wszyscy pobiegli w stronę brzegu morza. Çiçek chciała coś powiedzieć, jednak słowa więzły jej w gardle. Patrzyła, lecz nie widziała. Słyszała, lecz nie słuchała.

Szezhade Dżem, widząc, że matka stoi jak zaklęta, podszedł do niej i potrząsnął nią.

– Valide! – mówił coraz bardziej podniesionym głosem. – Nie słyszysz? Wrócili...

„Jak to wrócili?” – pomyślała. – „Kto wrócił? Sułtan Mehmed? Czyżby mój sułtan wrócił?”

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że Dżem się w nią wpatruje; w jego oczach dostrzegła płomienie. Poczula, że syn potrząsa jej ramionami i usłyszała jego pełny paniki krzyk.

– Kto? – Mimowolnie zapytała Çiçek. – Kto wrócił, mój shezhade?

– Jak to kto? – syknął w odpowiedzi. – Jak to kto?!

Ze zdziwieniem popatrzyła na syna. „Co on znowu wygaduje?” – pomyślała. Powoli wszystko zaczynało do niej docierać. Świat na chwilę stanął w miejscu, a teraz znów zaczynał się kręcić. Dżem powiedział, że wojsko wróciło.

Mój Boże!

Rozbudzona w jej sercu radość w jednej chwili jak stłuczone szkło rozpadła się na malusieńkie kawałeczki. Miała się cieszyć czy rozpaczać?

Ich powrót, dla niej tak szczęśliwy, dla Dżema i wielu innych oznaczał śmierć. Jeżeli Mehmed zginął i wojsko wraca bez niego, sułtanem został Mustafa albo Bajazyd. Nie miało znaczenia, który z nich. W imię zachowania jedności państwa obaj przyślą po Dżema katów. Szczególnie po zwołaniu dywanu.

A jeśli wszyscy trzej zginęli na wyprawie? Taki cud był jedynym ratunkiem dla Dżema, który tylko wtedy mógłby zasiąść na tronie.

Wzruszyła ramionami. W tej chwili władza była ostatnią rzeczą, o którą by dbała. Życie jej syna było ważniejsze niż tron.

Miała wrażenie, że tych kilka sekund ciągnęło się godzinami.

– Nie mogę w to uwierzyć – wyszeptała zdziwiona, czując, że ogarnia ją coraz większa panika.

– Nie wierzysz, valide? – zapytał Dżem.

Tym razem w jego głosie można było wyczuć gniew. Złapał ją za ramię i pociągnął.

– Wyjdź z altany i spójrz na wzgórze! Patrz, patrz!

Spojrzała i oniemiała.

Znajdujące się dokładnie naprzeciw nich drogi, prowadzące z sosnowego lasu na wzgórze do brzegu morza, płonęły dziesiątkami tysięcy pochodni zmierzających w dół, do portu. Od rytmicznego dźwięku setek bębnow trzęsła się ziemia.

W bębny uderzano tylko wtedy, gdy przybywał sułtan. Kto to był tym razem?

– Boże!

– Tak, Boże – odparł Dżem, jakby chcąc zemścić się na matce. – Powiem tylko jedno, valide: niech Allah nam dopomoże.

Nagle przestała dostrzegać pochodnie. Nie wytrzymała. Po jej policzkach popłynęły dwa cienkie strumienie. Dżem po raz pierwszy chyba był świadkiem jej łez. Gülizar, widząc smutek swojej pani, również zapłakała.

Szhezade bezsilnie spojrzał na obie kobiety. Chciał coś powiedzieć, ale nie dał rady. Co można dodać w takiej sytuacji? Na wszystko było już za późno. Poczul, że łzy matki stłumiły ogarniający go gniew. Jakiż popełniła grzech? Wszystko, co czyniła, robiła dla niego.

„To ty sam jesteś winien” – pomyślał. – „Ty wezwałeś wilka!”

*

Powódź pochodni nie miała końca. Płomieniami zajęło się również morze, do którego powoli zaczęli docierać.

Çiçek poczuła, że tli się w niej jeszcze jakaś nadzieja.

– A jeśli wszyscy trzej zginęli, shehzade?

– Wszyscy trzej?

– Tak! Dlaczego by nie? To byłby cud.

Dżem uśmiechnął się smutno.

– Cuda się nie zdarzają, valide.

Jednak sam nie do końca wierzył we własne słowa. Bo czym, jak nie cudem, była jego przygoda przy Czerwonej Skale? Jak to się stało, że cała wioska zniknęła? Czym był w takim razie wzywający go głos? Jakim sposobem nagle pojawił się przed nim derwisz? Jak dał radę jedną strzałą zabić wilka, który szykował się do ataku na starca? Jak starcowi o białej brodzie udało się zniknąć, gdy skończył go pouczać? Skoro to wszystko nie było cudem, jak to inaczej nazwać? A to, że ciało zabitego wilka wrzucono na konia i zawieszono do posiadłości? Wszystko wydarzyło się naprawdę.

Dlaczego więc tym razem nie stał się cud, o który jego matka całymi nocami modliła się do Allaha i na który tak czekała? Jednak Dżem nie był pewien, czy chciał, by ten cud się wydarzył.

Nagle jego wzrok spoczął na drugim brzegu cieśniny.

– Valide, popatrz!

Çiçek Hatun spojrzała w kierunku wskazywanym przez jej syna.

Od brzegu odbiła łódź, którą z czterech stron oświetlały pochodnie. Była to łódź sułtana. Używał jej, kiedy chciał razem z koniem przedostać się na drugi brzeg.

Oboje stali wpatrzeni w dal. Kto jest teraz sułtanem? Nie miało to chyba większego znaczenia. Nadciągała śmierć.

Łódź wypływała coraz dalej. Pochodnie na czerwono oświetlały morze i skąpaną w ciemnościach Wieżę Leandra. Na obu burtach żwawo wiosłowali umięśnieni

mężczyźni. Wykonali manewr w lewo. Kierowali się do pałacu.

Çiçek dostrzegła go w tamtej chwili, pośród tłumu żołnierzy i mnóstwa powiewających chorągwi. Poznała go pomimo dużej odległości.

Śmiałek!

Mój Boże, mój Boże... To on... To on, Mehmed!

Sułtan Mehmed Zdobywca siedzący na swym koniu wyglądał jak posąg.

Odwróciła się. Wzrokiem szukała Dżema, ale ten gdzieś zniknął.

– Szezhade?

Nie była pewna, czy z jej ust wydobywa się szept, czy krzyk. Przed oczami widziała ciemność. Płomienie pochodni na wzgórzu falowały niczym morze. Z daleka, z bardzo daleka usłyszała nawoływanie.

– Pani Çiçek!

Zdażyła jeszcze zobaczyć zaniepokojoną Gülizar biegnącą w jej kierunku. Upadła. Nie wiedziała, czy obejmujące ją ramiona należały do służącej, czy do śmierci.

^[46] Sultan – tytuł używany po imieniu, noszony przez syna (żonę, matkę i córkę) sułtana lub sułtanki.

^[47] Fatwa – oficjalne pouczenie, wydawane jedynie na piśmie przez uczonego teologa, rozstrzygające kontrowersję prawną lub teologiczną.

Komnata shehzade Dżema

Dżem był sam. W pokoju panowały niemal całkowite ciemności. Paliła się tylko jedna świeczka.

Czuł, jakby wszystko wyparowało mu z głowy. Nie był w stanie myśleć o niczym.

– Coś... – błagał. – Boże, podpowiedz mi jakieś rozwiązanie, które uratuje moje życie.

Od razu odezwał się głos.

– Nie ma żadnego rozwiązania! Wilk wrócił, Dżem. Ty go wezwałeś.

Rozpoznał głos starca, którego uratował przed zwierzęciem.

– Nie pleć bzdur. Nie ma żadnego wilka. Uspokój się. Jesteś Dżem, syn sułtana Mehmeda Zdobywcy. Pomyśl lepiej, co powiesz swojemu ojcu, jak cię do siebie wezwie.

Co mógł mu powiedzieć? „Popełniłem błąd, ojcze”. „Nie otrzymywałem od was wiadomości, więc pomyślałem, że...” Takie tłumaczenie się byłoby daremne.

A jeśli pobiegnie i padnie mu do stóp? Nie, sułtan na pewno nie byłby zadowolony, widząc syna w takim stanie. Winny czy niewinny, grzeszny czy nie, był dzieckiem, które wysłuchało podszeptów szatana. Dla sułtana nie miałyby to jednak znaczenia.

– Mój syn, nawet jeśli błaga o oszczędzenie życia, nikomu nie będzie padał do stóp.

Jeśli trzeba było zapłacić za swoje czyny, wziąć odpowiedzialność, jego syn powinien to zrobić.

Dżem za wszelką cenę próbował pokonać strach.

– Jestem gotowy ponieść konsekwencje swoich czynów – wyszeptał. Wyprostował się. – Jeśli czeka mnie śmierć, niech tak się stanie. Jeśli ceną ma być moje życie, niech przyjdą i mi je odbiorą! Poświęcę je dla mojego ojca. Jestem gotów umrzeć.

Wzdrygnął się. Wcale nie był gotów. Podskakiwał ze strachu przy każdym najcichszym odgłosie dochodzącym zza drzwi. Po czole zaczął mu spływać pot. Nie chciał umierać.

Przecież nie zdążył jeszcze zasmakować życia. Miał dopiero czternaście czy piętnaście lat. Zgoda, polował na jelenie i sarny, zabił w lesie olbrzymiego wilka, ale nie przeszedł nawet próby męskości, nie zbliżył się do żadnej kobiety. Czyż sprawiedliwym było umieranie w tak młodym wieku tylko po to, by w kraju panowała jedność władzy?

Czy naprawdę chciał, żeby jego ojciec zginął? Serce podpowiadało mu, że nie. Rozum natomiast mówił: „Nie chciałbyś tego, ale...”; po „ale” następowała śmierć.

Jeśli będzie błagał ojca, czy ten go oszczędzi? Raczej nie. Dżem już niemal słyszał jego głos:

– Ach, synu, czemu to zrobiłeś? Mogłeś przewidzieć, jakie będą tego skutki. Jeśli teraz daruję ci życie, narażę się na plotki. Co to za władca, którego nie słucha jego własny syn? Kiedy chodzi o władzę, więzy krwi nie mają znaczenia, Dżem. Ktoś, kto toleruje deprawację i niezgodę we własnej rodzinie, nie zasługuje na miano sułtana.

Dżem wstał. Założył z tyłu ręce i podszedł do ściany, na którą padał jego cień. Zatrzymał się. Cień również stanął w miejscu.

– Trzęsiesz się? – spytał głos w jego głowie.

Cień aż cały dygotał.

Starął się trzymać prosto i nie dać po sobie niczego poznać, ale się bał. Usłyszał stukot dochodzący zza drzwi. Czyżby to szli po niego kaci?

Odkąd wrócił do swojego pokoju, zadał sobie to pytanie chyba już czterdzieści albo pięćdziesiąt razy. Za każdym razem, gdy usłyszał na korytarzu odgłos kroków.

Czy to kaci?

Serce waliło mu jak szalone. Usiadł na rogu rozłożonego na podłodze dywanu. Wzrok wbił w drzwi. Za chwilę miały się powoli uchylić, a do środka wejdą olbrzymi mężczyźni z łańcuchami i linami w rękach.

Co miał zrobić? Poddać się i pozwolić zakuć w kajdany? A może błagać ich w niebogłosość o litość? Czy kiedy będą próbowali go złapać, powinien krzyknąć: „Jestem niewinny” albo „Zaprowadźcie mnie do mego ojca. On nie podniesie ręki na swojego małego synka. Błagam, zabierzcie mnie do sułtana Mehmeda”? Czy tak miały wyglądać jego ostatnie chwile? Oczywiście nikt by go nie słuchał.

Kiedy zostawił matkę w ogrodzie i biegł w kierunku cypla Sarayburnu^[48], czterech

olbrzymich kapykułów zaszło mu drogę i powiedziało:

– Wstęp do tej części pałacu jest zabroniony!

Zabroniony?

– Nie poznajesz mnie? Jestem szehzade Dżem. Sprawuję urząd naczelnika.

– Wielki wezyr powrócił. Naczelnik nie jest już potrzebny.

Dżem podszedł i próbował się przecisnąć.

– Cóż to za prawo, które zabrania przywitać nam naszego ojca, wielkiego sułtana?

Widocznie takie prawo właśnie zaczęło obowiązywać.

W tamtej chwili Dżem po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z pewnego rodzaju targiem dusz, a jego własna zostanie zlicytowana jako pierwsza.

Kapykułowie wzięli go pod ramiona i zaprowadzili do pokoju.

„Może w takim razie powinienem nazywać się więzieniem?” – pomyślał. Mężczyźni wyszli, drzwi się za nimi zatrzasnęły i więcej nikt nie wchodził. Bał się podejść i je uchylić.

Przymknął oczy. Siedział tak przez chwilę. Kiedy z powrotem je otworzył, w wyobraźni toczył walkę z katami, którzy po niego przyszli. Był silny, był mocny. Pokonał pierwszego, pokonał drugiego. A potem? Kto wie, ilu jeszcze by się na niego rzuciło. W końcu opadłby z sił, a któryś z nich zarzuciłby mu na kark linę. Mimowolnie dotknął szyi. Wziął głęboki oddech.

Teraz pewnie położyliby go na dywanie, na którym siedział i zaciągnęliby pętlę. Włókna zaciskającej się liny przecięłyby jego skórę, zgmiotłyby kości i z każdą sekundą do jego płuc dochodziłoby coraz mniej tlenu. Powietrze... Powietrze... Rzucaliby się, walcząc o ostatni oddech. Związaliby go jeszcze mocniej, spętaliby mu nogi, żeby go powstrzymać. Stawałby się coraz słabszy... Wszystko skończyłoby się wraz z jego ostatnim szarpnięciem.

Zaczął nasłuchiwać. Odgłosy kroków zbliżały się. W każdej części ciała czuł pulsującą krew. W głowie rozległ się krzyk: „Dżem, są już pod drzwiami! Przyszli!”.

Wbił wzrok w miejsce, gdzie powinna się znajdować klamka. W ciemnościach nie mógł jej dostrzec. „Przecież kiedy drzwi się otworzą, do środka i tak wpadnie światło

z korytarza” – pomyślał.

Usłyszał szept, ale nie mógł zrozumieć, o czym rozmawiali. Serce waliło mu jak młot. Wstrzymał oddech.

Co? Czyżby odeszli? Odgłosy kroków zaczęły się oddalać, a może tak mu się tylko zdawało? Nie, nie, dźwięki były coraz cichsze.

Poszli! Poszli!

W głowie usłyszał wołanie: „Zostałem oszczędzony! Mój ojciec darował mi życie!”. Poczł, jak odpuszcza żelazna obręcz, która zacisnęła mu się na piersi.

„Zostałeś uratowany, Dżem”.

Ale czy naprawdę? Czy już nic mu nie groziło? Jak długo miało to trwać?

W takim razie nie byli to kaci, chyba że... szli odebrać życie komuś innemu.

*

– Mówiłem ci – wymamrotał Burhanettin Czelebi. – Mielśmy nie wracać do pałacu.

Chodzący po pokoju w tę i z powrotem Sulejman Czelebi przystanął i spojrzł na niego.

– A co mieliśmy w takim razie zrobić?

– Trzeba było znaleźć jakieś rozwiązanie i uciec, Sulejmanie.

– Uciec? A niby dokąd?

– Skąd mam wiedzieć? Pewnie znalazłaby się jakaś kryjówka w tym ogromnym kraju, a kiedy sułtanowi przeszłaby złość...

– Oszalałeś, przyjacielu. Przed Mehmedem nie zdołali uciec ani Rzymianie, ani Ak Kojunlu, ani Kara Kojunlu, a mielibyśmy uciec my, dwaj biedni czelebi. Wystrzeliliby za nami kilka strzał, a potem wrzucili nas do morza zaraz przy Sarayburnu.

Burhanettin machnął tylko ręką i zdenerwowany wstał. Również zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem, jakby chciał krokami zmierzyć jego szerokość.

– A teraz jest lepiej? Utknęliśmy tutaj i czekamy, aż przyjdą i nas zabiją.

Sulejman Czelebi podszedł do okna i wyrztał na zewnątrz.

– Gdybyśmy uciekli, oznaczałoby to przyznanie się do winy. Za to teraz...

– Teraz co? Czekamy, aż przyjdą po nas kaci.

– Zaraz, zaraz, w czym zawiniliśmy? Co takiego uczyniliśmy, jaki grzech popełniliśmy? Zapytają nas przecież, dlaczego tak postąpiliśmy. Ale cóż my takiego złego zrobiliśmy, Burhanettinie? Czy mówienie głośno o tym, że państwo nie powinno pozostać bez władcy, jest przewinieniem i grzechem?

– No i komu chcesz to wszystko opowiedzieć?

– Sułtanowi.

– Myślisz, że Mehmed nie ma nic lepszego do roboty niż wysłuchiwanie usprawiedliwień nauczycieli swojego syna, którzy w dodatku sprowadzili go na złą drogę?

– Właśnie tak myślę, Burhanettinie. Przecież to sułtan Mehmed. Czy odbierze komuś życie, zanim go wysłucha i upewni się, że jest winny? Poza tym, jeśli my zawiniliśmy, to shehzade również. A matka Dżema? Czy ich też każe zabić?

W jednej sekundzie opanowanego przed chwilą Sulejmana Czelebiego zastąpił trzęsący się ze strachu mężczyzna. Oczy otworzył tak szeroko, że niemal wyszły z orbit. Zdobył się jedynie na szept:

– Matko...

– Cicho.

– Czy... Czy ktoś się zbliża?

Tym razem Burhanettin jeszcze kategoryczniej go uciszył.

– Ciii.

Powoli podszedł do drzwi i przyłożył ucho. Nasłuchiwał.

Sulejman nie mógł powstrzymać trzęsących się jak galareta nóg.

– I co? – jęknął. Żałował. Wszystkiego. „Burhanettin miał rację” – pomyślał. – „Powinniśmy byli uciec, kiedy była okazja. Może przegapiliśmy naszą jedyną szansę... A teraz...”.

Kiedy chwilę później Burhanettin zbliżył się do niego, nie miał już siły ustać na nogach. Osunął się na ziemię.

– Co usłyszałeś, Burhanettinie?

Ten wzruszył tylko ramionami.

– Nic takiego – powiedział, chociaż wyraz jego twarzy temu przeczył.

– Niczego przede mną nie ukrywaj. Ktoś tam jest, prawda?

Burhanettin nie zamierzał mu odpowiedzieć.

– Pamiętasz, czy kapykułowie, którzy nas tutaj przyprowadzili, zaryglowali drzwi od zewnątrz?

– Nie – odrzekł Sulejman po krótkiej chwili zawahania. – Nie słyszałem dźwięku zamka.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien. – Pokiwał głową.

Burhanettin Czelebi przez chwilę nawet nie drgnął.

– Cicho – ostrzegł Sulejmana. Znow podszedł do drzwi. Przyłożył do nich ucho i słuchał uważnie.

Delikatnie położył dłoń na klamce. Na razie na nią nie naciskał, przez dłuższą chwilę trwając w bezruchu. Sulejman ze zdenerwowania ledwie mógł złapać oddech. Wzrok wbił w dłoń Burhanettina, który nacisnął na klamkę, delikatnie ją obniżając. Potem mężczyzna chwilę zaczekał. Klamka jeszcze trochę się obniżyła. Burhanettin znow zaczął. Nasłuchiwał.

– Burhanettinie – jęknął Sulejman, jakby się dusił. – Naciśnij w końcu tę klamkę, żeby kat nie musiał już się z tobą użerać.

W tym momencie Burhanettin zdecydowanym ruchem otworzył drzwi.

„Mój Boże!” – obydwu przeszły przez myśl te same słowa.

Przed drzwiami nikogo nie było.

Sulejman nagle się ożywił. Od razu zbliżył się do drzwi. Wychylił się i rozejrzał to w jedną, to w drugą stronę korytarza.

Pusto.

– Czyli jednak nie jesteśmy więźniami, Burhanettinie – wyszeptał zadowolony Sulejman. W jednej chwili zapomniał, że jeszcze przed sekundą był bliski omdlenia. – Widzisz, niepotrzebnie tak się bałeś.

– Uciekajmy.

– Nie musimy. Gdybyśmy byli winni, postawiliby przecież przed naszymi drzwiami strażników. Zobacz, nikogo nie ma. – Zamilkł na chwilę. – Czy ci nie mówiłem, Burhanettinie – radośnie kontynuował – że na naszego władcę mówią sułtan Mehmed Zdobywca. Zrozumiał, że jesteśmy niewinni. Możemy iść, dokąd chcemy i kiedy chcemy.

Burhanettin wyszedł na korytarz i syknął:

– Chodźmy w takim razie.

Sulejman zatrzymał się na chwilę.

– Dobrze, chodźmy. Tylko dokąd?

– Sprawdźmy, jak czuje się shehzade. A później... – zakręcił ręką w powietrzu – zobaczymy, gdzie nas poniesie. Nie wiem, jak ty, ale ja nie zamierzam dłużej tutaj zabawić, Sulejmanie.

Pokonali długi korytarz, nie wydając nawet najmniejszego dźwięku. Odliczyli drzwi i przy czwartych skręcili w prawo. Później trzeba było pójść w lewo, stamtąd na dziedziniec, na końcu zaś wejść do części pałacu przeznaczonej dla sułtana i pierwszym korytarzem dojść do komnaty shehzade Dżema.

Skręcili w prawo. Minęli trzecie drzwi i już mieli skręcać w lewo, kiedy Burhanettin nagle się zatrzymał i powiedział:

– Dlaczego w tym korytarzu jest tak ciemno?

Nie paliła się nawet jedna pochodnia.

– Zawróćmy. Spróbujemy pójść w drugą stronę.

Głos Sulejmana drżał.

– Nie możemy wrócić – zaprotestował Burhanettin. – Nic nie poradzimy na ciemności. Podejźmy do ściany i będziemy się kierować wzdłuż niej. Dojdziemy do piątych drzwi po lewej i już.

Nie czekał na odpowiedź towarzysza i od razu zaczął przesuwać się do przodu, trzymając rękę na ścianie.

– Poczekaj – wyszeptał Sulejman. – Już idę.

Minęli pierwsze i drugie drzwi. Oczy przyzwyczyły się już do ciemności. Od trzecich drzwi dzieliły ich dwa lub trzy kroki.

Sulejman pierwszy poczuł oddech. Zamarł. Plecami oparł się o ścianę.

– Ktoś tu jest – wyszeptał. – Ktoś czai się w ciemnościach.

Burhanettin Czelebi nie miał okazji odpowiedzieć. Przy trzecich drzwiach rzuciło się na niego siedem budzących grozę duchów. Jako pierwszemu zarzucono mu na szyję pętlę.

Sulejman odwrócił się i próbował uciec, słysząc krzyki i błagania swojego przyjaciela, kiedy mężczyźni zaciskali linę na jego karku. Było już jednak za późno. Olbrzymi kat złapał go za szyję. Ostatnim dźwiękiem, który usłyszał, był przerażający chrzest miażdżonego umięśnionym ramieniem kata jabłka Adama.

[48] Sarayburnu – przylądek oddzielający w Stambule Złoty Róg od Morza Marmara.

Harem

Kiedy Çiçek Hatun rozchyliła powieki, ujrzała dość jeszcze rozmyty wizerunek dziewczyny. Była to Dilrüba. Patrzyła na nią swoimi pięknymi, dużymi oczyma.

– Niech będą dzięki – wyszeptała. – Dochodzi do siebie.

Leżała we własnym łóżku.

– Dżem... – wymamrotała, próbując się podnieść. W karku poczuła straszny ból. Jęknęła i z powrotem opadła na poduszki.

– Valide – szepnęła Dilrüba. – Podajcie jej wody!

Czuła w ustach okropny posmak. „Co oni mi podali?” – pomyślała. Serce zaczęło jej walić jak szalone. – „A może próbowali mnie otruć? Tak szybko wydano wyrok?”

Mimo rosnącego z każdą sekundą strachu wypięła kilka łyków ze szklanki podanej przez dziewczynę.

Starając się, by w jej głosie nie brzmiał strach, szepnęła:

– Czy zemdlałam? Zrobiło mi się czarno przed oczami.

Dilrüba pokiwała głową.

– Wystraszyłaś nas, pani.

– Kto przyniósł mnie do mojej komnaty? – zapytała, choć właściwie próbowała dowiedzieć się czegoś zupełnie innego.

– Gülizar abla.

– Czy wezwaliście lekarza?

Zobaczyła nieznaną sylwetkę.

– Ach, czyż jest jakiś lekarz lepszy od Gülizar?

Gülizar podeszła do niej. Uklękła przy łóżku. Była blada. Bała się, jednak starała

nie dać tego po sobie poznać. „W pewnym sensie ma rację” – pomyślała Çiçek. Jeśli sułtan postanowi pozbawić ją życia, to samo spotka Gülizar. Nawet jeśli okażą dziewczynie łaskę, ona sama targnie się na swoje życie. Była tego pewna.

Kto wie, ilu jeszcze ludzi drżało teraz o swój los. Tamtej nocy w pałacu była tylko jedna osoba, której głowy nie zaprzętały takie myśli: sułtan Mehmed. Jej mężczyzna, ojciec jej syna. Może właśnie w tej chwili wydawał na nich wyrok śmierci.

Śmierć?

Już sama myśl o niej wystarczyła, by umysł Çiçek zaczął budzić się z letargu.

– Mój shehzade – wyszeptała, gdy z pomocą dwóch dziewcząt udało jej się usiąść na łóżku. – Dżem... Gdzie jest Dżem? Kiedy byłam w ogrodzie, był tuż obok mnie. Potem nagle zniknął. Dżem! Gdzie jest mój syn?

Dilruba nic nie powiedziała.

Gülizar schyliła się i szepnęła jej do ucha:

– Jest w swojej komnacie.

Nie dała rady zapytać, jak się miewa; bała się odpowiedzi. Jednak dziewczyna знаła ją dobrze i wiedziała, jakie myśli kłębią się teraz w głowie Çiçek.

– Ma się dobrze.

– Czy ktoś z nim jest?

Gülizar pokręciła przecząco głową.

– Czy jacyś wezyrowie go odwiedzali?

Dziewczyna znów bezgłośnie dała do zrozumienia, że nic takiego się nie wydarzyło.

– A jego bracia?

– Nikt.

Wtedy zrozumiała. Do momentu podjęcia przez Mehmeda decyzji nikt nie mógł nawet zapukać do drzwi Dżema ani jej własnych.

– Czy został uwięziony?

Zapadła cisza. Gülizar nic nie powiedziała. Dilrüba zaczęła cicho łkać.

– Przy jego drzwiach postawili strażnika.

– Ach, tak. Mój shehzade jest więźniem.

Po chwili do głowy przyszedł jej pewien pomysł.

– Może poszłabyś go odwiedzić, Dilrüba? Na pewno cię teraz potrzebuje.

Dziewczyna patrzyła przed siebie.

– Poszłam – wyszeptała.

– No i? Jak Dżem się miewa?

– Nie wpuścili mnie do środka... – zaczęła szlochać Dilrüba.

Rozgniewana Çiçek Hatun w jednej sekundzie wstała z łóżka.

– Gülizar! Podaj mi ubranie! – rozkazała.

– Ależ valide...

– Żadnego sprzeciwu. Chyba nie zabronią mi wstępu do komnaty mojego syna. Co takiego niby się stało? Dlaczego shehzade jest więźniem? Czy zgrzeszył, czy zrobił coś nie tak? Jak miał postąpić, skoro przez ponad czterdzieści dni nie przyszła od sułtana żadna wiadomość? Od kiedy troska o Al-Osman jest winą? Jeśli zadaniem shehzade nie jest ochrona państwa pod nieobecność sułtana, to co nim jest?

Dilrübie i Gülizar nie wystarczyło siły, żeby ją zatrzymać.

– Valide, proszę tego nie robić.

Ale ona ich nie słuchała. Pójdzie, zobaczy się ze swoim shehzade i zostanie przy nim. Niech się dzieje, co chce, ale ona nie zostawi go samego. Byli razem, kiedy go rodziła. I będą razem również w chwili śmierci.

W momencie gdy Çiçek jednym pchnięciem otworzyła duże, ciężkie drzwi, strażnicy zagrodzili jej drogę, krzyżując przed nią włócznie.

Gülizar pociągnęła ją w bok i próbowała zamknąć pokój.

– Nie chciałaś nas, pani, słuchać... Nas też stąd nie wypuszczają.

*

Çiçek Hatun nie mogła tego pojąć. O co w tym wszystkim chodzi?

Poczuła na twarzy wypieki, a jej policzki zaczerwieniły się.

„Czyli nas też nie wypuszczają? Co to ma niby znaczyć?” – pomyślała ze złością. – „Cóż za arogancja! Żeby pod drzwiami kobiety sułtana Mehmeda kręcili się jacyś ludzie!”

„Przestań!” – usłyszała huczący z tyłu głowy głos. – „Za kogo ty się uważasz? Za Polny Kwiatek sułtana? Obudź się, kobieto! Jesteś nikim!”

„Nie, wcale nie jestem nikim” – pomyślała, jakby w odpowiedzi. – „Czy to przystoi stawiać straż pod drzwiami Çiçek Hatun, która zdobyła względy sułtana i urodziła mu zdrowego jak ryba i silnego syna?”

„A czego się spodziewałaś?” – syknął tym razem głos. – „Twój syn to buntownik, tak samo jak ty. Jak mogliby nie postawić straży przed komnatą kogoś, kto podnosi rękę na jedność władzy w Al-Osman? Jesteś winowajczynią, która czekała na wiadomość o śmierci sułtana”.

Nagle usłyszała przeraźliwy kobiecy krzyk.

– Puśćcie mnie!

Çiçek wzdrygnęła się. Kto to był? Czyżby ona sama? Nie poznała własnego głosu. Jedynie krzyk szaleńca lub gazeli próbującej się wyrwać z rąk myśliwych mógł być tak dziki i bezpretensjonalny.

Jednym szarpnięciem wyswobodziła się z uścisku próbujących ją powstrzymać Gülizar i Dilrüby.

– Nie zniosę tego. Nie mogę tu siedzieć i czekać na śmierć.

Skierowała się w stronę wyjścia.

– Muszę natychmiast zobaczyć się z naszym panem.

Kiedy Gülizar zrozumiała, co zamierza Çiçek, w te pędy pobiegła do drzwi. Oparła się o nie plecami i rozłożyła ramiona.

– Moja piękna valide, proszę tego nie robić. Nie wypuszczą pani.

– Zejdź mi z drogi!

– Çiçek valide...

– Nie ma już Çiçek. Çiçek umarła. Jestem uwięzioną serbską księżniczką Adrianną!

Dilrüba schowała twarz w dłoniach i płakała.

Çiçek Hatun energicznie podeszła do Gülizar, która cały czas próbowała ją zatrzymać.

– Powiedziałam, żebyś zesła mi z drogi!

Złapała ją za włosy i pchnęła w bok. Słyszac wrzask dziewczyny, na chwilę przystanęła. Spojrzała na wyrwane włosy, które ścisnęła w dłoni. Potem chwyciła za olbrzymie skrzydła drzwi.

– Wychodzę – zagrzmiała, ogłaszając swoje postanowienie również strażnikom po drugiej stronie. – Nawet nie próbujcie mnie zatrzymać. Zatrzymać mnie może tylko śmierć!

Çiçek popchnęła drzwi najmocniej, jak potrafiła, uchylając je. Nie zdążyła zakryć dłonią ust, z których wyrwał się krzyk.

– O Boże!

Po raz pierwszy od wielu lat zwróciła się do Boga w swoim ojczystym języku. Przepętniały ją mieszane uczucia – zdziwienie, radość i strach.

– To ty! – Przycisnęła rękę do piersi. – Ty!

Komnata Çiçek Hatun

Naprzeciwko, pomiędzy dwoma kapykułami, którzy bali się nawet oddychać, stał i spoglądał na nią sułtan Mehmed.

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszyło. Jakby czas stanął w miejscu. Chociaż i Çiçek, i Mehmed zdawali sobie sprawę, że świat się nie zatrzymał.

Znajdowali się w pałacu, gdzie pod fasadą bogactwa i wspaniałości kryły się niebezpieczne pułapki. Nikt nigdy nie wiedział, z której strony nadsięgnie niebezpieczeństwo; kto jest przyjacielem, a kto wrogiem.

A czas upływał nieubłaganie, zarówno jej, jak i jemu odbierając wiele rzeczy. Mimo starań Mehmeda, jego niegdyś wyprostowana i majestatyczna sylwetka była teraz przygarbiona. Gdy szedł, twarz wykrzywiał grymas bólu. Çiçek od dawna już nie patrzyła w lustro. Właściwie dlaczego miałaby to robić? Czy jej uroda cokolwiek jeszcze znaczyła? Dla kogo miała pięknie wyglądać?

Czuła, że spoglądają na nią ciemne oczy mężczyzny, w którym kiedyś się zakochała. Choć nie były już tak żywe jak dawniej, cały czas budziły w niej lekki strach.

„Jest zły” – pomyślała. – „I to bardzo”.

Mehmed wykonał ruch ręką i Dilruba razem z Gülizar zniknęły im z oczu. Obie zalewały się łzami. Jedna z bólu, a druga z obawy o swoje życie.

– Ktoś tu przed chwilą mówił o Adriannie?

Co takiego? Çiçek zdziwiła się. Mehmed wpatrywał się w jej oczy. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że mężczyzna naprzeciw niej jest sułtanem. Stała przed obliczem wzburzonego władcy, który gotów był wydać wyrok śmierci na nią i na jej syna. Dygnęła i chciała go pozdrowić.

– Czyżbym źle usłyszał? – nie odpuszczał. – Czyżby jakaś kobieta przed chwilą krzyknęła tutaj: „Ja jestem Adrianna”?

Mehmed zrobił kilka kroków w jej kierunku. Çiçek przesunęła się na bok i ukloniła.

Sułtan doszedł do połowy pokoju, splótł ręce na plecach i zawrócił.

– Kim jest ta Adrianna? Znam ją?

Głos sułtana nie zdradzał emocji.

Oczywiście dobrze wiedział, kim jest Adrianna i kto przed chwilą krzyknął w złości te słowa po drugiej stronie drzwi. Dlaczego w takim razie zadawał to pytanie?

Çiçek poczuła, że nagle opuścił ją strach. Chociaż być może towarzyszył jej przez cały czas, ukryty gdzieś bardzo głęboko. Nie będzie dygać i kłaniać się. Przed sułtanem Mehmedem stanie dumna i wyprostowana. Nie będzie błagać o łaskę.

Mimo że między nimi wszystko dawno się skończyło, była jego kobietą, matką jego syna. Zachowywała się, jak przystało na kobietę sułtana i matkę szezade.

Podniosła głowę. Wyprostowała się. Mehmed spojrzał jej głęboko w oczy, którymi próbowała go przewiercić.

– To ja. Ja jestem Adrianna, sułtanie Mehmedzie. Jestem serbską księżniczką Adrianną.

Na twarzy sułtana nie drgnął nawet jeden mięsień. Przybliżył się do niej dwa kroki.

– A matka mojego szezade? Gdzie ona jest?

Staął przed nią. Złapał dłonią brodę Çiçek i delikatnie przekręcił jej głowę najpierw w prawo, a później w lewo. Jednocześnie palcem wskazującym głaskał jej policzek.

Çiçek poczuła, jak ugięły się pod nią nogi. Dokładnie to samo zrobił ich pierwszej wspólnej nocy i we wszystkie kolejne.

– Gdzież w takim razie podziewa się piękność, której dałem na imię Çiçek? Co się z nią stało? – Jego głos był miękki jak aksamit.

W oczach Çiçek Hatun zaczęły zbierać się łzy. „Nie!” – pomyślała, próbując się sprzeciwić. – „Nie teraz. A niech to! Nawet nie waż się płakać. Nie, kiedy on tu stoi”.

Mehmed cofnął dłoń. Znow obie ręce założył z tyłu na biodrach.

– A może? – powiedział zamyślonym głosem, kiedy podchodził do okna. – A może pod moją nieobecność, gdy szezade ogłosił się sułtanem, ona również mianowała się królową?

„No i masz” – usłyszała w głowie głos. – „Zaczyna się nasz sąd”.

Były to bardzo bolesne i niebezpieczne słowa. Może powinna w tej chwili rzucić mu się do stóp i błagać o wybaczenie dla siebie i swojego syna? Nie, nie zrobi tego. Podjęła już decyzję. Skoro została kiedyś jego kobietą, do końca będzie się odpowiednio zachowywać.

– My... – zaczęła dumnie Çiçek. Jej głos był zimny jak lód. – Nie widzieliśmy tutaj żadnej królowej zdrajczynie.

Mehmed stał odwrócony do niej plecami. Nawet nie drgnął. Nie wiedziała, czy jej słowa wywarły na nim jakieś wrażenie i nie dbała o to. W końcu zrozumiała, że nie może żyć jak tchórz. Trzeba przewyciężyć swój strach. To właśnie miała zamiar zrobić.

– Kobieta, którą widziałam, nie miała innego wyjścia, była pełna obaw. Chciała poradzić się, poro...

Mehmed nagle odwrócił głowę i spojrzał na nią ponad swoim ramieniem.

– Obawy? Czego obawiała się ta kobieta?

– Bała się o swoich mężczyzn.

– O mężczyzn, tak? A kim oni są?

– Pierwszym jest mężczyzna, którego kocha i za którego mogłaby umrzeć.

– Czyli miłość do tego mężczyzny kończy się wraz ze śmiercią, tak?

Co? Çiçek poczuła, że strach, który próbowała w sobie zdławić i schować jak najgłębiej, zaczął znów przejmować nad nią kontrolę. Od razu schyliła głowę.

– Jestem pewna, że miłość mężczyzny do tej kobiety też skończyłaby się wraz ze śmiercią.

Sułtan Mehmed tylko wbijał w nią wzrok.

Çiçek Hatun zdawała sobie sprawę, że może tego nie wytrzymać. Sytuacja zaczęła się robić niebezpieczna. Nie wiedziała, co się stanie, gdy górę wezmą wzbierające w niej emocje. Powinien przemawiać przez nią rozum, a nie uczucia.

„Co próbujesz osiągnąć, Mehmedzie?” – pytała w myślach samą siebie. – „Co ma znaczyć to dziwne przesłuchanie? Wymierz mi karę i już. Po co te tortury?”

– A drugi?

Çiçek została wyrwana z zamyślenia.

– Słucham, sułtanie?

– Zapytałem o drugiego.

Oprócz oschłości w jego głosie wyczuła coś jeszcze, jakąś nieznaną nutę.

– Powiedziałaś, że kobieta bała się o swoich mężczyzn. Jednym był ten, którego kochała. To już wiemy.

Çiçek zrozumiała, co jeszcze brzmiało w jego głosie: groźba. Czyżby początkowa życzliwość okazała się zwodnicza? Czy sułtan miał wybuchnąć niczym wulkan?

„Niech mu będzie” – przeszło jej przez myśl. Nie ukloni się. Tak jak on będzie stała wyprostowana.

– Drugi to dar od jej mężczyzny.

– Mężczyzna coś jej podarował?

– Tak. Syna. Dzielnego bohatera.

Sułtan Mehmed przeszedł kilka kroków. Jego twarz wykrzywiła się w bólu powodowanym chorobą. Kiedy usiadł na dywanie, udało mu się głęboko odetchnąć.

– No dobrze, ale dlaczego kobieta bała się o swoich mężczyzn?

Nadeszła chwila, w której miała zmierzyć się ze swoim przeznaczeniem. Wiedziała, że odpowiedź, której udzieli sułtanowi, zadecyduje o życiu wielu osób.

– Nie otrzymywała wieści od swojego mężczyzny. Nie było pewne, czy w ogóle jeszcze żyje. Nie mogła pograć się w żałobie. Jeśli żył, mogłoby to spowodować na niego gniew Boga, który przysłałby po niego Azraila.

– A jej syn? Przecież syn kobiety był u jej boku. Dlaczego lękała się o niego?

Çiçek bez chwili zawahania odpowiedziała:

– Oczywiście lękała się o jego życie. Gdyby coś stało się mężczyźnie, bała się, że

jej syn zostanie bezbronny, że spotka go nieszczęście i że zamordują go z zimną krwią. A potem...

– Jest coś jeszcze?

Nadszedł moment, kiedy nie już mogła owijać w bawełnę i musiała powiedzieć wprost.

– Kobieta obawiała się również, że Al-Osman pozostanie bez władcy.

Mehmed wstał, a na jego twarzy malował się tajemniczy uśmiech.

– A więc chodzi o państwo, tak? Czyli kobieta obawiała się również o państwo.

Çiçek milczała. Nie przejęła się drwiną ukrytą w jego głosie. Spojrzała tylko na niego i dostrzegła zboląły wyraz twarzy sułtana.

– Kobieta uparła się – kontynuował Mehmed – żeby znaleźć państwu jakiegoś władcę, czyż nie?

Jego głos przeciął powietrze niczym pejcz:

– Czy ta kobieta nie zdawała sobie sprawy, że naraziła na niebezpieczeństwo życie syna, o którego tak się bała?

Çiçek zdecydowała mu się postawić. Płynąca w jej żyłach serbska krew pulsowała coraz szybciej.

– A co miała zrobić? – Jej głos był tak samo podniesiony jak jego. Nawet gdyby była niewinna, już za samo postawienie się wielkiemu sułtanowi Mehmedowi, za podniesienie głosu w jego obecności mogła zostać skazana na śmierć. Przynajmniej nie będą plotkować, że „padła do stóp sułtanowi i błagała o łaskę”. Nie była jedną z niezliczonych niewolnic i dziewcząt z haremu. Była księżniczką i miała umrzeć jak księżniczka – z podniesioną głową.

Podeszła. Zatrzymała się tuż przed nim i, wpatrując się w jego oczy, próbowała wyczytać w nich odpowiedź. Nie myślała, że sprawy przybiorą taki obrót. Nie czuła żadnego strachu. Nawet serce biło jej powoli, nie przyspieszyło ani trochę.

– A co miała zrobić? – powtórzyła przez zaciśnięte zęby. Była bliska wybuchu.

Mehmed odwrócił wzrok. Popatrzył na boki.

– Mogła poczekać.

– Jak długo? Jak długo miała czekać? Miesiąc, dwa, a może rok? Jak długo miała czekać, sułtanie? Aż ktoś przyjdzie i udusi jej syna? Aż pałac zostanie zaatakowany przez buntowników? A może aż do momentu, kiedy jeden z synów jej mężczyzny przyjdzie i każe zabić swojego brata? Jak długo miała czekać?

Sułtan nic nie powiedział.

Stało się to, czego się obawiała. Straciła wszelkie zahamowania. Nawet gdyby chciała, nie mogła się już zatrzymać, nie mogła zamilknąć. Nieważne, jaki miał być jej koniec, musiała wypowiedzieć najistotniejsze w tym momencie słowa:

– Szehzade jest niewinny, sułtanie Mehmedzie. – Jej głos był twardy jak kamień.

– Wiem.

Çiçek tak się zapamiętała, że nie usłyszała jego odpowiedzi.

– Czyż nie wpoili mu do głowy, że „wilki przejmują państwo, które pozostanie bez władcy”?

– Tak.

– Właśnie. On wyszedł wilkom naprzeciw. Sam... – Zabrakło jej tchu. – Sam nie wpadł na ten pomysł, doradzali mu to jego nauczyciele i agowie...

– Wiem.

Çiçek znów nie usłyszała.

– Poza tym... – syknęła. – Skąd pomysł, że twój syn będzie władał całym państwem? Plotka, że koronował się na drugiego sułtana, jest kłamstwem, oszczerstwem i grzechem. Dywan się zebrał, to prawda, ale shehzade ani razu nie zasiadł na miejscu swojego ojca. A potem...

Mehmed dotknął jej ramion i potrząsnął nią.

– Wiem, Çiçek.

Dopiero w tamtej chwili dotarło do niej, że sułtan już kilka razy odpowiedział: „Wiem”.

– Wiesz o tym?

– Tak. Hüsrev Molla opowiedział mi, jak to się stało, kto wszystko zaplanował i podburzał mojego syna przeciwko mnie.

„Święta Mario!” – pomyślała Çiçek i zaczęła drżeć. Czy się nie przesłyszała? Czy nie kiełkowała w niej płonna nadzieja? Starala nie dać po sobie poznać zadowolenia i podniecenia.

– Rozmawiałaś z shehzade, panie? Czy ucałował twoją dłoń?

Sułtan rozłożył ramiona na boki.

– Nie było takiej potrzeby. Wystarczy mi poręczenie Hodży Efendiego.

– A zatem?

– W takim razie, Çiçek Hatun, bunt powinien zostać stłumiony. Winni muszą ponieść karę. Nasz syn popełnił błąd i powinien za niego zapłacić, nawet jeżeli oznaczałoby to jego śmierć.

Çiçek poczuła, jak budząca się w niej nadzieja rozpada się na drobne kawałeczki. Nogi się pod nią ugięły, a do oczu napłynęły łzy. Odwróciła się do sułtana plecami, by ten nie dostrzegł, że złamał jej opór.

– A ja... – kontynuował sułtan. – Podjąłem decyzję. Zarządziłem, że ci, którzy podnieśli rękę na jedność państwa, stracą życie.

Było jej już wszystko jedno. Nawet nie starała się powstrzymać przeraźliwego krzyku, który wydobył się z jej gardła. Włożyła w niego całą siłę.

– Neeee! Nie! Neeee!

– I to już koniec. Sprawa została zamknięta. Winni zostali ukarani.

– Dzeeem!

Çiçek padła do stóp sułtana i złapała się kurczowo jego szaty. Zaczęła uderzać rękami o kolana.

– Dzeeeeeem! Mój shehzade! Mój nieszczęśliwy synu!

Nie panowała nad emocjami. Znów złapała za brzeg jego sukni, tym razem chcąc

ją rozerwać.

– Coś ty zrobił? Jak mogłeś? Mój Boże, jak mogłeś? Mehmed, zabiłeś niewinnego! Zabiłeś bezgrzesznego!

Sułtan schylił się i próbował podnieść ją z ziemi i uspokoić. Jednak gdy Çiçek zauważyła, że wyciąga do niej ręce, odskoczyła jak oparzona.

– Twoje ręce! Nie dotykaj mnie! Mój Boże, mój Boże, Mehmed, twoje ręce. Masz na rękach krew swojego syna! No dalej, wezwij katów, każ im ściąć również księżniczkę Adriannę!

Mehmed popchnął ją lekko w tył.

– Nie podniosłbym ręki na niewinnego – powiedział ostro. – Wczoraj również nie podniosłem. Ani dzisiaj, ani jutro. Tylko winny musi zapłacić za swoje czyny.

Odszedł kilka kroków od skulonej na podłodze Çiçek.

– To nie Dżem stracił życie, Çiçek Hatun, tylko ci, którzy męcili mu w głowie i namawiali do złego.

Kobieta nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Szybko wstała i podbiegła do sułtana.

– A więc żyje? Dżem... Dżem żyje?

Na twarzy Mehmeda malował się dziwny uśmiech.

– Spójrz – odparł, wyciągając dłonie w jej stronę. – Moje ręce są czyste. Niech będą dzięki, nie ma na nich krwi mojego syna.

Çiçek w dziękczynnym geście przytuliła do piersi dłonie sułtana. Zaczęła całować jego palce.

– Mój panie... Mój panie... Mój sułtanie...

– Chcę powiedzieć, że... – wyszeptał Mehmed. – Szehzade w oczach swojej matki może być niewinny. Jednak w świetle prawa jest winien. Musi zostać ukarany.

Puściła ręce sułtana. Znow zebrały się nad nią ciemne chmury. Wszystko rozpadło się na kawałki.

– Ale... Teraz...

– Ty też jesteś winna. Nie ochroniłaś szehzade przed pułapką ambicji. Ty też zostaniesz ukarana, Çiçek Hatun.

Spojrzała na niego ostro.

– Panie, odbierz życie mnie, ale zlituj się nad Dżemem!

Sułtan Mehmed skierował się do drzwi.

– Jutro o wschodzie słońca z naszego pałacu wyjadą dwie osoby – powiedział spokojnie. – Jedną z nich będzie mój Polny Kwiat... A drugą mój szehzade. Wielki wezyr powrócił z wyprawy, więc nic nie stoi już na przeszkodzie, żeby namiestnik szehzade Dżem wrócił do swojego sandżaku.

Çiçek próbowała pozbierać myśli.

– Czyli wysyłasz... – Tylko tyle udało jej się wyszeptać.

– Çiçek Hatun uda się razem ze swoim szehzade.

Była zaskoczona.

– Nie spotkasz się ze swoim synem?

Sułtan udał, że jej nie słyszy.

– Bądź dobrą opiekunką dla szehzade, Çiçek. Mówią, że córka İsfendiyaroğlu jest całkiem ładna. Słyszałem też, że mój syn najpierw trzymał się od niej z daleka, ale teraz nawet pisze wiersze dla pięknej Dilrüby Hatun.

Çiçek poczuła, jak krew znów zaczyna krążyć w jej żyłach, a policzki nabierają koloru. W jej ciele zadziało się coś niezwykłego. Wracła do życia.

– Tak właśnie jest, sułtanie – wymamrotała. – Prawie się ze sobą nie rozstają.

Nie wiedziała, czy sułtan Mehmed usłyszał, co powiedziała.

– Szehzade... – kontynuował. – Jest może jeszcze zbyt młody na rządzenie państwem, ale jest wystarczająco dorosły, żeby zasmakować miłości.

Chciała coś powiedzieć, jednak słowa utknęły jej w gardle. Nie dała rady wydać z siebie najmniejszego dźwięku.

– Pamiętaj. Niewinnym nie zawsze udaje się ujść cało, Çiçek Hatun.

Sułtan odwrócił się, zrobił dwa kroki do przodu i zastukał w drzwi, których dwa potężne skrzydła niemal natychmiast się otworzyły. Ujrzała dwóch strażników z włóczniami w dłoniach.

Mehmed stanął w progu.

– Jest coś jeszcze – powiedział spokojnie. – Kimkolwiek jest ta Adrianna, ja jej nie znam. Jeśli istnieje jakaś księżniczka, która zdobyła moje serce, to tylko piękny Polny Kwiat, matka mojego shehzade. Taką ją znam, tak ją nazywam i taką ją kocham.

Wyszedł, nie dając jej szansy na odpowiedź. Być może udał się położyć słońce koło półksiężycy. Çiçek wiedziała, że widzi go po raz ostatni. Bezwiednie podniosła rękę i pomachała w jego stronę.

– Bądź szczęśliwy, sułtanie Mehmedzie – wyszeptała. – Żegnaj, mój kochany.

Drzwi się zamknęły.

Stała na środku pokoju.

– Matko Mario... – wymamrotała. – Matko Mario...

Nie dała rady powiedzieć nic więcej. W jednej chwili zbierające się od jakiegoś czasu w jej oczach łzy popłynęły po policzkach.

Harem, komnaty dla nowo przybyłych

Przez metalowe kraty starała się wyrzeć na zewnątrz. Wiedziała, że to bezcelowe, jednak spróbowała jeszcze raz.

– A niech to!

Oczywiście nie udało się. Nie dlatego, żeby była niska; po prostu okno znajdowało się zbyt wysoko nawet dla postawnego mężczyzny. Jak na dziewczynkę w swoim wieku była nawet sporego wzrostu. Kilka razy słyszała, jak jej matka mówiła do ojca: „Wdała się w ciebie ta dziewczyna. Tylko spójrz, jaka wysoka!”.

Nie pamiętała, czy ojciec jakoś zareagował, czy w ogóle go to obchodziło. Chyba nie. Gdyby coś powiedział, na pewno by usłyszała. Nie pamiętała, czy kiedykolwiek na nią spojrzął i czy się do niej odezwał. Może nigdy.

Okna wychodzące na dziedziniec były wmurowane tak wysoko z dość oczywistych powodów – żeby nikt nie uciekł. Nie wiedziała, co planowali inni. Nie dbała o to. Ona nie zamierzała uciekać. Miała do wykonania zadanie.

Zresztą nawet jeśli by chciała, dokąd mogłaby uciec? Zostanie złapana, jeszcze zanim zdąży minąć mury dziedzińca, a później będą tylko uderzenia jedno za drugim spadające na jej plecy. Aga haremu na pewno wymierzyłby srogą karę. Dziesięć czy dwadzieścia batów? A może pięćdziesiąt?

Jeńcy pojmani w czasie wojny, w przeciwieństwie do trafiających do haremu niewolnic, nie byli w stanie uchronić się przed biciem. Zawsze znajdowali jakiś pretekst. Dlaczego krzywo niesiesz tacę? Jeden bat. Źle złożyłaś materac, na którym śpisz. Trzy baty. A to co? Masz brudne paznokcie. Pięć batów.

Ci, którzy je biczowali, tak samo byli służącymi. Jediną różnicą między biczowanym a biczującym była ich pozycja w hierarchii. Czasem zastanawiała się, dlaczego tak mocno biją. Nasuwała jej się tylko jedna odpowiedź. Robią to samo, co kiedyś robiono z nimi.

Ile miesięcy minęło, odkąd jest w pałacu? Dwa? A może trzy? Najwyżej trzy. Nie widziała, żeby ktoś bił inne niewolnice. Może robili to po kryjomu, ale było to mało prawdopodobne. Taka dziewczyna mogła przyciągnąć uwagę sułtana. Co by powiedzieli, gdyby władca zapragnął jej w swoim łożu? „Proszę sułtana, trzeba poczekać, aż zagoją się rany od naszych batów”? Tak by odpowiedzieli?

One miały inne kary, nieważne, jak wysoką zajmowały pozycję w hierarchii. Czasami były nawet sroższe od batów.

Czekanie w nieskończoność na uznanie. Łzy wylewane w poduszkę każdej nocy: „Tym razem też się nie spodobałam. Jutro... Może jutro mnie dostrzeże”. Znów rozczarowanie. Zасыpianie ze strachem, że się zestarzeją, zanim sułtan zwróci na nie uwagę. Płaszczanie się przed wszystkimi, od agi haremu po Kethüde Kalfę, odźwiernego sułtana oraz wielu innych pracowników pałacu i wciskanie im w dłoń kilka z trudem zaoszczędzonych monet. Może zechce je chociaż jakiś pasza, wezyr czy aga.

Cofnęła się kilka kroków i starała się zorientować, czy na dworze jest jasno. Za metalowymi kratami trwała ciemność. Panowanie nocy jeszcze się nie skończyło.

Nagle przypomniała sobie, że kiedyś w ogóle nie lubiła nocy. Teraz je uwielbiała. Noc była jej schronieniem, czasem spotkań ze wspomnieniami i marzeniami. Wtedy w końcu mogła poczuć się swobodnie.

Odeszła od okna i zwinęła się na swoim materacu. Od razu poczuła w lędźwiach chłód twardej kamiennej posadzki. Właściwie nie poczułaby różnicy, kładąc się na gołej podłodze. Przedmiot, który nazywała materacem, przypominał tak naprawdę wielką, wypłowiałą sakwę.

Na początku wszystko ją bolało. Nie mogąc wytrzymać z bólu, przewracała się z boku na bok. Męczyło ją to bardziej niż całodzienna praca. Zimno przenikało do wnętrza jej ciała. Być może teraz też bolały ją kości i dalej marzła, ale nic już nie czuła. Wiele razy pytała samą siebie, dlaczego. Dlaczego nie odczuwała bólu? Z przyzwyczajenia? A może umarły w niej wszystkie emocje?

Spojrzała na inne dziewczęta skulone na materacach, ułożonych jedna obok drugiej pod ścianą. Były tak bezradne i tak samotne. Co gorsza, nie różniły się niczym od martwych ciał. Jedyne przejawy ich życia, unoszące się w rytm oddechów klatki piersiowej, skrywała ciemność. Wyglądały jak rzucone pod ścianę zwłoki.

Czasem tylko któraś z nich wzdychała. Inna łkała w jakimś obcym języku. Może zwracała się do swojej matki? A może do ukochanego? Nie rozumiała, co mówią. Nie miało to żadnego znaczenia. Wszystkie przygniatał ciężar tęsknoty i bólu.

Na górze, w pomieszczeniach niewolnic z haremu, załkało jakieś niemowlę. Usłyszała kobietę próbującą je uciszyć. Potem do jej uszu doszedł płacz dziewczyny. Każdej nocy dało się słyszeć szlochy i jęki, chociaż płacz był czymś zakazanym jako oznaka słabości i powód do gnębienia. Co gorsza, często łzy dziewcząt uważano za niewdzięczność: „Spójrz na nią tylko! Zamiast cieszyć się, że jest w haremie, siedzi

i rozpacza!”.

Tylko ona nie płakała. Przymknęła tego nie robić. I dotrzymała słowa.

Nagle usłyszała na kamiennej posadzce odgłos kroków. Ktoś szedł korytarzem. Mogła to być jedna z dziewcząt pracujących w kuchni. Budzili je dużo wcześniej niż pozostałe, ale nawet na nie było jeszcze za wcześnie.

Nadstawiła uszu. Nie. Odgłos kroków stawał się coraz wyraźniejszy. Był coraz bliżej. Ucichł przed pokojem, w którym spała. Przed kratą, która służyła za drzwi, ktoś stał.

– Dziewczyno!

Skuliła się na posłaniu. O kogo chodziło? O którą dziewczynę? Może o nią? Udała, że nie słyszy.

– Do ciebie mówię! Wstawaj!

Tym razem głos był dużo donośniejszy, przypominał krzyk. Czy ta dziewczyna nie miała imienia? Na pewno miała, ale nie można było go używać. Zwracanie się po imieniu do niewolnika nadawało mu osobowość. Imieniem wszystkich niewolnic leżących na podłodze była „dziewczyna”.

– Chodź tu, dziewczyno.

– Szybciej, dziewczyno.

– Dziewczyno... Dziewczyno... Dziewczyno!

Do mężczyzn zwracali się za to: „Hej!” albo „Spójrz!”.

Nocną ciszę przerwał szczepek metalu.

„Klucz!” – pomyślała. – „Otwiera drzwi!”

*

Wszystkie dziewięć dziewcząt, z którymi dzieliła izbę, obudziło się. Patrząc po sobie ze strachem, próbowały zorientować się, którą z nich wołano.

– No już, wstawaj! Głucha jesteś?

Udawanie snu było już w tym momencie niemożliwe.

Klucz przekręcił się w zamku i drzwi otworzyły się z chrzęstem. Spomiędzy rzęs zobaczyła olbrzymi cień, który wypełnił całe wnętrze pokoju. Choć nie widziała twarzy kobiety, od razu ją poznała. Była to kalfa Kethüda Sümbül. Każdy od razu wiedział, gdy znajdowała się na dziedzińcu. Była tak wysoka i tak gruba, że płytki, którymi był wyłożony, drgały i wydawały dźwięki przy każdym jej kroku.

– Dziewczyno! No już, wstawaj!

Kobieta popchnęła ją.

Czyli to ona była „dziewczyną”. Odwróciła się i zobaczyła, że jej towarzyszki zaczęły spokojniej oddychać.

– Już wstałam, kalfo. Ale czy nie jest jeszcze za wcześnie?

– Nie jest. Weź swoją sakwę. Odchodzisz stąd.

Nie mogła pojąć, co do niej mówi. Odruchowo wzięła małą sakiewkę, której używała jako poduszki. Kiedy wstawiała, w głowie dźwięczały jej słowa wypowiedziane przez Sümbül: „Odchodzisz stąd”.

„Nie!” – pomyślała. – „Nie możesz nigdzie pójść. Masz tu zadanie do wykonania”.

Wypuściła z ręki sakiewkę. Odwróciła się w stronę kobiety.

– Jak to odchodzę, kalfo? Dokąd?

Tym razem Sümbül się zdenerwowała. Kto to w ogóle widział, żeby jakaś niewolnica ją przepytowała. Kopnęła dziewczynę w tułów.

– Patrzcie, jaka niewychowana. Jeżeli powiedziałam, że masz wstać, to masz to zrobić. Odchodzisz stąd, to wszystko.

Kolejne pytania oznaczałyby więcej kopniaków. Wzięła do ręki sakiewkę.

„Już ja bym wiedziała, jak ci odszczeknąć” – pomyślała.

Ciało Sümbül było tak duże, jak mały był jej rozum. Sama miała zwyczaj mawiać, że zmieściłby się tam cały świat.

Spojrzała prosto w ciemne oczy kobiety i lekko się uśmiechnęła.

– Proszę, niech się kochana kalfa nie gniewa. Jestem jeszcze zaspana, nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Zresztą skąd ty mogłabyś wiedzieć? Przecież nie powiedzieliby tobie, dokąd mnie zabierają.

Sümbül popchnęła ją w kierunku drzwi.

– Oczywiście, że nie powiedzieli, ale Sümbül i tak wie.

Kiedy wyszły, odwróciła się, zamknęła trzeszczące, metalowe drzwi, włożyła klucz do zamka i przekręciła go.

– Wy tu pośpijcie jeszcze trochę – zwróciła się do reszty dziewcząt. – A ty już, ruszaj się.

– Na pewno nie wiesz, dokąd mnie zabierają.

W jednej chwili poczuła na swojej głowie wielką dłoń kobiety, która pociągnęła ją za włosy. Jej krzyk przerwał nocną ciszę, panującą jeszcze w budynku. Sümbül, cały czas trzymając dziewczynę za włosy, przysunęła ją do swojej twarzy. Wargi i oczy kobiety przypominały potwory z legend. Znalazła się tuż obok nosa i ust kobiety, które przypominały jej jedynie potwory, o których opowiadano w legendach. Ogromny ból sprawił, że nawet obrzydliwy zapach wydobywający się z ust kobiety okazał się być do zniesienia.

– W końcu się od ciebie uwolnię. Jedziesz baaardzo, baaardzo daleko.

Zamilkła na chwilę i spojrzała jej w oczy.

– Daleko od pałacu, blisko piekła.

Ręką przed chwilą zaciśniętą na włosach dziewczyny, teraz raz po raz uderzała ją w plecy, pchając ją do przodu. Dziewczyna nie dbała o to. Przynajmniej Sümbül puściła jej włosy.

„Nie udało się” – westchnęła w myślach. – „Nie wykonałam zadania. Słyszałaś, co powiedziała ta wiedźma? Daleko od pałacu, blisko piekła. Zapomnij o swojej przysiędze. Nie dasz rady jej wypełnić!”

Wyszły na dziedziniec. Głęboko odetchnęła mroźnym, nocnym powietrzem.

„Dokąd mnie zabierają?” – pomyślała.

Zbliżyły się do obrośniętego bluszczem muru. Sümbül otworzyła ukryte pomiędzy liśćmi metalowe drzwi, których dziewczyna w pierwszej chwili nie zauważyła. Ciągnąc ją za sobą, przeszła na drugą stronę.

Mój Boże!

Wszystko płonęło! Dokładnie jak w jej koszmarach, wszędzie szalały płomienie.

Ponad stu konnych trzymało w rękach pochodnie, które pomalowały noc na szkarłatny kolor.

Szybkim krokiem podszedł do nich mężczyzna w hełmie, z którego wystawał wąski i cienki kawałek metalu, sięgający od czoła aż do nosa właściciela. Dziewczynie wydało się, że mężczyzna ma zeza.

– Masz – powiedziała, popychając ją w stronę mężczyzny. – Powiesz, że wybrała ją Kethüda Kalfa.

Zerknęła na dziewczynę i powiedziała:

– Tej nocy zostają zesłane trzy osoby.

Mężczyzna w hełmie zmrużył zezowate oczy. Kiedy pokiwał głową, jego czarne, gęste wąsy poruszyły się, jednak z ust nie padły żadne słowa.

Trzy? Wysyłali więc też innych niewolników?

Kobieta cały czas się jej przyglądała. Dziewczyna nie wiedziała, czym zasłużyła sobie na wrogie spojrzenia pełne niechęci i urazy. Może Sümbül rozgniewały drwiny i sugestie, że nie zna miejsca przeznaczenia swojej podopiecznej? Nie, to chyba było niemożliwe. Kethüda Kalfa była po prostu wrogiem ludzi.

– Pomieszkasz trochę w górach, w lesie z niedźwiedziami i wilkami, to dopiero zobaczysz, co to znaczy się buntować.

W głowie dziewczyny powstał jeszcze większy mętlik. Odsyłali ją daleko, ale nie wiedziała dokąd. Z pałacu miało wyjechać trzech niewolników. „Zesłanie?” – pytała samą siebie. – „Jakie zesłanie? Przecież tutaj też nie jestem z własnej woli. Czy niewolnik może zostać zesłany? Dla mnie teraz każde miejsce oznacza więzienie!”

Sümbül gadała pewnie jakieś głupstwa. Ale jeśli było w tym ziarno prawdy, to kim były pozostałe dwie osoby? Nie miała pojęcia.

I jeszcze te docinki o buntowaniu się. Jaki bunt? Kto się zbuntował? Ona? Nic na ten temat nie wiedziała.

Góry... Niedźwiedzie... Wilki. Kolejna zagadka. To znaczy, że zamierzali wywieźć ją daleko stąd, gdzieś w góry. W takim razie Sümbül miała rację. Miejsce, do którego zabierali dziewczynę, znajdowało się daleko od pałacu, a blisko piekła.

Żeby nadążyć za stawiającym bardzo duże kroki strażnikiem, musiała niemalże biec.

– Przestań, idź spokojnie – burknął.

Spojrzała na niego kątem oka. Zbliźali się do konnych trzymających pochodnie. Płomienie odbijały się w jego oczach, sprawiając wrażenie, że trawi je pożar. Znowu nie mogła się powstrzymać.

– Mogę o coś zapytać?

Spodziewała się, że zostanie skarcona, ale strażnik, który nawet na chwilę się nie zatrzymał, odpowiedział jej:

– Pytaj.

– Sümbül Kalfa wspomniała o trzech zesłańcach. Kim są pozostałe dwie osoby?

– Nie słuchaj takich bzdur. Nie ma żadnych zesłańców.

– A ja to co? Przecież wysyłacie mnie gdzieś daleko.

– Szezhade dostał rozkaz powrotu do swojego sandzaku. Niedługo razem z valide wyruszy w drogę. Sułtan polecił, żeby spośród pojmanych dziewcząt przydzielić shezhade jeszcze kilka służących. Kethüda Kalfa wybrała ciebie.

Nagle jej serce mocniej zabiło. Czyli została włączona do służby shezhade? W takim razie jeszcze nie wszystko stracone. Nic się nie kończyło. Przysięga nie zostanie złamana.

Poczuła, że opanowujące jej wewnątrz piekielne cierpienie znowu zmienia się w niebiańską błogość. Jej ciało przeszedł dreszcz. W chwili gdy myślała, że już wszystko skończone, Allah otwierał przed nią inne drzwi.

– Dziękuję, panie.

Strażnik po raz pierwszy odwrócił się i spojrzał na nią z góry.

– Za co?

Miała zamiar odpowiedzieć: „Za to, że uratowałeś mnie, panie, od śmierci”. Jednak odrzekła tylko:

– Właściwie to za nic szczególnego. – Uśmiechnęła się. – Za odpowiedź.

Dotarli do miejsca, w którym oczekiwała konnica. Trochę dalej stało osiem wielkich wozów. Służący i pomagierzy uwijali się, nosząc bagaże. Zauważyła, że zza jednego z wozów wyszła kobieta, zmierzając w ich kierunku.

– Pozdrów ją – wyszeptał strażnik.

– Kto to?

– To główna dwórka Çiçek Hatun.

Spojrzała na niego obojętnym wzrokiem. Wargi strażnika poruszyły się. Uśmiechnął się, jednak nie dostrzegła tego – wąsy całkowicie zasłaniały jego usta.

– Ty oczywiście nie znasz Çiçek Hatun. To matka naszego shehzade.

Nie spytała już, kim jest shehzade. „To nieistotne” – pomyślała. – „Jest synem sultana Mehmeda, a jego matka to jedna z kobiet władcy. Nic więcej nie musisz wiedzieć”.

Kobieta podeszła do nich.

– To ona? – zapytała.

Mężczyzna pokiwał głową i coś wymamrotał.

Wyciągnęła w jej stronę gładką, pięknie pachnącą dłoń. Wzięła ją za brodę i lekko uniosła. Zapach kobiety obudził w dziewczynie mnóstwo wspomnień, ukrytych w najdalszych zakamarkach pamięci.

– Mam na imię Gülizar. A ty jak się nazywasz?

Zdziwiła się. Naprawdę miała powiedzieć, jakie imię dla siebie wybrała? Czyżby nie mieli już wołać na nią po prostu „dziewczyna”?

Spojrzała na kobietę spod posklejanej od brudu grzywki. Miała taki piękny uśmiech.

– Na imię mam...

Nie dała rady dokończyć zdania.

Mój Boże! Ktoś akurat przejeżdżał dokładnie za plecami Gülizar. Ktoś... Ktoś... Ktoś, kto wyglądał jak wspaniała postać z legend. Siedział na grzbiecie konia czystej krwi arabskiej. Otoczony pochodniami wyglądał, jakby stanął w płomieniach. Koń i jeździec przypominali przybyszów z innego świata. Coś tak magicznego nie mogło powstać na ziemskim padole. Mężczyzna siedział wyprostowany w siodle. Był szczupły, ale nie mizerny, o szerokich barkach. Światło pochodni malowało na czerwono jego biały kaftan oraz kavuk, zsunięty aż na brwi. Czyżby je zmarszczył? Nie miała pewności, ale uważała, że zupełnie by to do niego nie pasowało. A może było to tylko wrażenie potęgowane tysiącem drżących płomieni? Długie, gęste i ciemne brody wywoływały u niej strach, nienawidziła ich. Tymczasem jego policzki pokryte były delikatnym zarostem. Rudawobrazowy zarost. Broda z płomieni. Mimo to była przekonana, że w rzeczywistości jest czarna.

„Boże” – przeszło jej przez myśl. Nie pamiętała, czy w całym swoim życiu widziała kogoś tak wspaniałego i tak dostojnego. Jeździł pomiędzy konnymi, co jakiś czas głaszcząc szyję swojego wierzchowca. Poczowała, że brak jej tchu.

Gülizar zorientowała się, w którą stronę patrzy dziewczyna.

– Szezhade... – wyszeptała.

– Szezhade? – Obawiała się, że kobieta w jakiś sposób usłyszy głos jej serca.

– Jak ma na imię?

– Dżem. Szezhade Dżem.

Gdyby nie zaschło jej w ustach, na pewno odpowiedziałaby: „Nie, to Płomienisty Książę”.

– A ty? Nie powiedziałaś, jak się nazywasz.

W jednej chwili z jej ust niczym ptak wyfrunęło imię, które dla siebie wybrała:

– Ferimah.

– Nie mamy czasu, Ferimah. – Kobieta zmieniła nagle sposób bycia. – Natychmiast zabierzcie ją i wykapcie, ale już. Nie traćcie czasu. Dajcie jej też coś do ubrania. A potem...

Kąpiel? Dalej już nie słuchała. Nic nie miało znaczenia, nawet przysięga. Kąpiel! Pobiegnęła za dziewczyną, którą przydzieliła jej kobieta o różnym zapachu.

Płomienisty Książę nie może zobaczyć jej w takim stanie.

*

Kiedy po jakimś czasie wyszła na dziedziniec, orszak szykował się już do odjazdu. Ktoś krzyknął z miejsca, gdzie stali janczarzy:

– Dalej!

Gülizar i inne dwórki machały do niej na znak, żeby się pośpieszyła. Kiedy biegła w ich stronę, nagle wszystko się zatrzymało, by po chwili zniknąć. Na ogromnym dziedzińcu zostały tylko dwie osoby.

Ona i Płomienisty Książę!

Zaparło jej dech w piersiach. Zamarła i stała tak pośrodku podwórza. W świetle dziennym widziała go dużo wyraźniej. Nie, nie miał zmarszczonych brwi. Jego broda była czarna, nie rudawobrazowa. Czyżby jego oczy nie były czarne, tylko piwne? Nie, nie, to tylko promienie słońca. Ach, jaki był przystojny!

Na jego głowie spoczywał kavuk owinięty białym jedwabiem. Płomienisty Książę siedział wyprostowany na grzbiecie swojego konia. W lewym ręku trzymał poprzątkane złotą nicią wodze. Prawą rękę zgiął w łokciu i położył na łydce.

Nie zauważył jej. Przejechał przed nią i nawet nie spojrzał. Ona jednak nie spuszczała wzroku ze swojego Płomienistego Księcia.

– Ferimah!

Nie przejęła się wołaniem. Jej szehzade odjeżdżał. Ale ona była na jego usługach. Kto wie, ile jeszcze razy mieli się minąć, ile razy miał jej nie zauważyć.

– Ferimah, do ciebie mówię, dziewczyno!

Ktoś złapał ją za nadgarstek i zaczął ciągnąć. To była Gülizar.

– Czyś ty oszalała? Co ty wyprawiasz? Nie wolno tak się wpatrywać w jego wysokość shehzade! No już, ruszaj się, idziemy.

Kiedy wóz, do którego ją wsadziła, ruszył, rytmicznie podskakując na kamieniach, którymi był wyłożony dziedziniec, Ferimah westchnęła w myślach: „Ach, losie! Jak mogłeś mi to zrobić? Dlaczego bawisz się ze mną? Jak mogłeś zastawić na mnie taką pułapkę?”.

*Kastamonu**Luty 1474*

Było okropnie zimno. Martwił się i lękał. Jego serce znów przepelniał strach o życie. Jednak tym razem nie o swoje; bał się straty osoby, która obudziła w nim radość życia.

Szezhade Dżem dokładniej zawinął się w futro, które narzucił na kaftan. Po opuszczeniu stolicy wyruszyli w długą, przerywaną wieloma postojami drogę i dopiero po dwóch miesiącach udało im się dotrzeć do sandzaku. Bardzo często musieli się zatrzymywać. Dilruba zachorowała.

Dziewczyna chudła w oczach, a on nic nie mógł na to poradzić. Przez całą drogę Gülizar i inne dwórki próbowały wszelkich sposobów, by jej ulżyć; parzyły zioła, przyrządzały lekarstwa z korzeni i nasion, chwyciły się wszystkiego, ale na próżno. Każdego dnia czuła się coraz gorzej.

Nadzieja, że to zmęczenie spowodowane podróżą, przysła zaraz po dotarciu do sandzaku. Jakby Dilruba, wciągając do płuc powietrze z rodzinnych stron, jeszcze bardziej podupadała na zdrowiu. Podczas podróży codziennie z pomocą dwórek robiła przynajmniej kilka kroków, a później próbowała zasnąć w wozie, który podskakiwał rytmicznie na kamiennej drodze.

Po powrocie do posiadłości przestała wychodzić ze swojego pokoju. Spoglądała jedynie ze specjalnie ułożonego siedziska na pogrążone w śniegu góry, otoczone sosnowymi, bukowymi i grabowymi lasami.

Całymi dniami siedziała zamyślona, a kiedy trochę jej się polepszało, szeptała tylko:

– Mój shezhade. Gdzie jest mój shezhade?

– Moja droga – odpowiadał, szepcząc jej do ucha. – Tu jestem.

– Wybacz mi, shezhade. Nie chciałam...

Nie miała siły, żeby powiedzieć coś więcej. Dusił ją okropny kaszel.

Któregoś dnia Dżem poszedł do matki i powiedział:

– Tak być nie może. Dilerüba stała się więźniem we własnym pokoju. Wyciągnę ją stamtąd.

– Mój Boże, dokąd?

– W góry, valide. W góry. Aż do Czerwonej Skały.

– Ależ, shehzade...

– Proszę, nie sprzeciwiaj się, valide. Zobacysz. Góry wrócą jej życie.

Kazał przygotować dla niej specjalny wóz, dodatkowo obity, by nie przepuszczał zimna. Od środka został wyłożony filcami, zakryto wszystkie szczeliny. Na koła założono kilka warstw płóciennych worków, aby zminimalizować trzęsienie się wozu podczas jazdy. Kiedy wszystko było już gotowe, któregoś poranka Dżem uchylił drzwi do pokoju Dilerüby.

Ukrywał przed nią wszystkie przygotowania, żeby za bardzo się nie ekscytowała.

Dilerüba siedziała przy oknie na warstwie miękkich poduszek, a jedna ze służących czesała jej włosy. Kiedy Dżem wszedł do środka, dziewczyna poderwała się na równe nogi i wypuściła z dłoni grzebień z różanego drzewa. Dilerüba aż podskoczyła. Dżema poniosły emocje.

– Uważaj! Co ty wyprawiasz? Przestraszyłaś swoją panią.

Dilerüba całe swoje siły włożyła w powitalny uśmiech.

– Proszę wybaczyć, shehzade.

Gniew trochę mu przeszedł, jednak kiedy zauważył, że dziewczyna cały czas się na niego patrzy, skarcił ją:

– No już, już. Zejdź mi z oczu.

Później schylił się i wziął Dilerübę na ręce.

– Shehzade!

Zarzuciła mu ramiona na szyję. Podniecenie sprawiło, że jej policzki znów się zaróżowiły, jednak tylko na chwilę.

– Mój panie, co to ma znaczyć?

– Zabieram cię stąd.

– Matko, czyżby znowu jakieś zesłanie? Dokąd?

– Do Czerwonej Skały. W góry.

Wydawało się, że Dilruba w jednej chwili wyzdrowiała. Rękę przycisnęła do piersi.

– Czy shehzade powiedział, że zabiera mnie w góry? W moje góry? – zasypała go pytaniami.

– Tak, w twoje góry, Dilruba. W nasze góry.

Służąca chciała wziąć ją od niego, ale Dżem się nie zgodził. Dilruba ze szczęścia dostała skrzydeł. Kiedy wyszli na dziedziniec, pomachała do innych dziewcząt, mówiąc:

– Jedziemy! Mój shehzade zabiera mnie na wycieczkę.

Dżem jechał na Piorunie tuż koło wozu. Co jakiś czas odsłaniał zasłonkę wiszącą w oknie i dopytywał:

– Jak się czujesz?

Dilruba czuła się dobrze. Uśmiechała się.

– Jestem bardzo szczęśliwa, shehzade.

Miała zamiar jeszcze coś powiedzieć, jednak zrezygnowała.

– Coś jeszcze, Dilrubo? Nie krępuj się.

– Mam jedną małą skargę. – W tamtej chwili na jej twarzy zagościł ten psotny, niesforny, dziecięcy wyraz, który tak uwielbiał. – Przez tę filcową zbroję nie mogę wyglądać na zewnątrz, nic nie widzę. Chciałabym trochę je rozchylić.

– Ale na zewnątrz jest zimno. Zmarzniesz.

– Nie pozwolę jej zmarznąć – odezwała się służąca, która upuściła grzebień. Skuliła się przy nogach swojej pani i wbiła w niego wzrok.

– Dobrze ją okryję, proszę się nie martwić, shehzade.

Miała rację. Zadbął o to, aby wyciągnąć ją z więzienia, jakim stała się dla niej posiadłość, ale na co to wszystko? Nie mogła niczego zobaczyć. Wóz obłożony filcem stał się kolejną fortecą.

– Ech – wymamrotał. – Zatrzymajmy się na chwilę, niech podniosą filce z jednej strony.

Kiedy pociągnął za wodze, dając Piorunowi znak do skrętu, nagle zatrzymał się i zawołał do służącej:

– Hej, ty! Jeśli ona zmarznie, poniesiesz tego konsekwencje. Pamiętaj o tym, służąc swojej pani.

Kiedy zatrzymali się na kawałku wolnej przestrzeni tuż przed Czerwoną Skałą, Dilruba miała ochotę skakać z radości. Z jednej strony zdjęli filcowe koce aż do połowy wozu. Pisnęła z zadowolenia:

– Mój Boże, jak pięknie.

Drzewa wyglądały jak przykryte puchową pierzyną. Do ich uszu dochodził cichy szum strumienia w dolinie nieopodal.

Dilruba rozglądała się dookoła i klaskała w dłonie, jakby pierwszy raz widziała ten widok.

– Dziękuję – szeptała. – Dziękuję, że mogłam zobaczyć to piękno raz jeszcze.

Dżem myślał, że dziewczyna dziękuje samej sobie. Kiedy zrozumie, że to pożegnanie, będzie już za późno. W tamtej chwili z grzbietu konia obserwował, czy służąca wystarczająco dokładnie otuliła Dilrubę.

– Ej, okryj jej też głowę. Nie może zmarznąć. Zapnij jej futro.

– Shehzade. – Dilruba słodko się do niego uśmiechała. Tak samo jak w ostatnie dni przed wyjazdem do Edirne. – Nie martw się, nie jest mi zimno. Tak w ogóle, dlaczego siedzisz na koniu? Usiądź obok mnie, proszę.

Jechali obok siebie, a Dżem trzymał w dłoniach jej ręce. Czuł, jak się trzęsą. Wiedział jednak, że nie z powodu zimna.

Dilruba była szczęśliwa. Na jej twarz powrócił kolor, jej oczy znów były żywe,

a kiedy zaczął prószyć śnieg, klaszcząc w dłonie, wołała:

– Spójrz, Dżem!

Chwilę później, kiedy zorientowała się, że zwróciła się do niego po imieniu, zawstydzona wyszeptała:

– Wybacz mi, shehzade. Na widok śniegu...

Oboje się zaśmiali. Uśmiech zagościł na ich twarzach pierwszy raz od wielu tygodni.

– Czy pomożesz mi, shehzade? Chciałabym dotknąć śniegu.

Kiedy Dżem starał się trzymać ją za ramię, służąca przytrzymała jej nogi. Oboje w tym samym momencie pomogli delikatnie jej się wychylić. Diltrüba wyciągnęła rękę. Nabrała śniegu w dłoń. Krzyczała z radości, kiedy białe płatki osiadały na jej twarzy i włosach.

Potem nagle wzdrygnęła się, a jej twarz pobladła. Dżem rozkazał służącej:

– Natychmiast ją przykryj. Ruszaj się, bez ociągania.

Dziewczyna dokładnie otuliła Diltrübę skórzanymi okryciami.

– Nie bój się, shehzade. – Diltrüba próbowała się uśmiechnąć. Nie była w stanie podnieść głowy z poduszki. – Już po wszystkim. Już dobrze.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, rytmicznie kołyszącym się wozem, jednak nie spuszczając z siebie wzroku.

Chwilę później Diltrüba odezwała się szeptem:

– No i jak? Czy shehzade ćwiczy serbski?

– Serbski?

– Tak. Czy Nada nie miała pomóc shehzade w nauce serbskiego?

Dżem dopiero w tamtej chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo Diltrüba była zazdrosna o Nadę.

Z zamyślenia wyrwał go wierzchowiec, miarowo uderzający kopytem o ziemię.

Dżem spojrział na subaszego, który jechał koło niego. Policzki mężczyzny zaczerwieniły się od zimna.

– Allah pomaga tym, co przemierzają drogi, shehzade. Na pewno dotrzemy.

„Czy aby na pewno tak jest?” – przeszło Dżemowi przez myśl. – „Może i pomaga, ale dlaczego w takim razie piękna Dilruba zaniemogła?”

Po powrocie z Czerwonej Skały stan dziewczyny się pogorszył. Była bardzo chora, a gorączka jej nie opuszczała.

Za każdym razem, gdy przychodził ją odwiedzić, matka wzdychała:

– Ach, shehzade. Po co było ją biedną wyciągać w te góry?

To musiał być zły sen. Na pewno. Koszmar, z którego obudzi się i usłyszy śmiech Dilruby dochodzący z dziedzińca.

Jednak wiedział, że tak się nie stanie.

Luty 1475

Wszystko tak dobrze się zaczęło, jak w szczęśliwym śnie.

Przed wszystkim Dżem nie spodziewał się, że ojciec daruje mu życie. Zwłaszcza gdy dowiedział się od jednego ze swoich zaufanych ludzi, że Burhanettin Czelebi i Sulejman Czelebi zostali zamordowani tej samej nocy, której sułtan Mehmed wrócił do Nowego Pałacu. Odcięto im głowy i ułożono na murach pałacu.

– Szezhade, kaci nawet nie włożyli ich ciał do płóciennych worków – opowiadał mężczyzna, cały się trzęsąc. – Kopali je, a kiedy doszli do Sarayburnu, wrzucili do wody.

Myślał, że czeka go taki sam los. Jedyna różnica polegała na tym, że jego zabiliby bez rozlewu krwi. Zostałby uduszony. Potem pochowaliby go na dziedzińcu jednego z meczetów pod zwykłym, nagrobnym kamieniem. Czy napisaliby na nim: „Szezhade Dżem, syn sułtana Mehmeda Zdobywcy”, tego nie wiedział. Śmierć była blisko.

Kiedy drzwi się otworzyły, Dżem spodziewał się zobaczyć w nich katów. Nie zamierzał ich błagać. Bał się śmierci, jednak nie mógł dopuścić, by później powiedzieli jego ojcu: „Gdybyśmy nie założyli mu pętli na szyję, szezhade i tak by umarł, tyle że ze strachu”.

W drzwiach nie ukazała mu się śmierć, tylko jego valide wraz z Dilrübą. Obie świergotały ze szczęścia jak ptaszki.

– Przynosimy dobre wieści, szezhade!

Czyli został oszczędzony.

Dilrüba nie potrafiła się powstrzymać, pokonała wstyd i rzuciła się Dżemowi na szyję. Pierwszy raz ich ciała się dotknęły. Pierwszy raz poczuli promieniujące z nich ciepło, pierwszy raz usłyszeli przyspieszone bicie swoich serc.

Valide była podenerwowana.

– Chodźmy – powtarzała ciągle. – Szkoda czasu. O świcie wyruszamy w drogę.

– Zaraz, valide, dokąd? W jaką drogę?

Odpowiedziała mu Dilrüba:

– Do Kastamonu, shehzade. W nasze góry.

Jeszcze przed świtem ustawiono na dziedzińcu na tyłach haremu osiem wozów, jeden za drugim. Zebrano oddział janczarów oraz tyle samo spahisów i dwie mangi^[49] kapykułów.

Kiedy Dżem zobaczył dwudziestu w pełni uzbrojonych kapykułów, od razu zaczął być podejrzliwy. Czyżby kara, której uniknął w pałacu, miała zostać wymierzona na górskich drogach? Niech się dzieje co chce, Dżem był szczęśliwy, że opuszcza pałac. Jeden z ośmiu wozów został przygotowany specjalnie dla niego. Wszyscy jednak wiedzieli, że przez całą drogę Dżem nawet na chwilę nie zsiądzie z grzbietu Pioruna. Kolejny wóz miała do dyspozycji valide, inny przeznaczony był dla Dilrübę. Dwa inne zajmowały dwórki. Pozostałe trzy aż po sufit wypełniały skrzynie z zapasami jedzenia i picia.

Dżem nie pamiętał, czy widział kiedyś swoją matkę bardziej szczęśliwą niż tamtego ranka. A przynajmniej w ostatnich miesiącach. Valide wyglądała przepięknie w czerwonej poświacie palących się pochodni, która tłumiała granatową ciemność nocy powoli przechodzącej w dzień. Biegała od wozu do wozu, co chwilę o coś pytała lub rozkazywała. Co jakiś czas wołała też: „Gülizar! Niczego nie zapomnieliśmy, prawda?”.

„Ciekawe, czy mój ojciec po kryjomu się temu wszystkiemu przygląda” – pomyślał Dżem. Był niemal pewien, że tak. – „Oznacza to, że po raz kolejny zakochał się w Çiçek Hatun”.

A on sam? Kiedy tamtego ranka ujrzał Dilrübę, aż zaparło mu dech w piersi.

Gdy wyszła na dziedziniec, gaszono właśnie pochodnie. Słońce ukazało się na horyzoncie, malując cały Bosfor najpierw na różowawo, a potem na żółtozłoto. Dilrübę przypominała anioła unoszącego się nad morskimi falami. Jej twarz zdobił uśmiech.

„Nie myśl teraz o tym, co robi twój ojciec” – skarcił się Dżem w tamtej chwili. – „Powinieneś zastanowić się nad sobą. Za każdym razem, gdy widzisz Dilrübę, coraz bardziej się w niej zadurzasz”.

Kiedy przed nim przechodziła, podniosła głowę i spojrzała na Dżema.

– Shehzade.

Dilrübę oglądała przygotowania do odjazdu, stojąc obok jego matki. Jednak Dżem wyczuł, że coś jest nie tak. Jeszcze nie potrafił tego określić, ale uśmiech nagle zniknął z jej twarzy. Czyżby już tamtego ranka dopadła ją choroba?

Przy drugim boku Çiçek Hatun stała jakaś inna dziewczyna. Nigdy wcześniej jej nie widział.

– Szezhade!

Kiedy Dżem zeskoczył z Pioruna i szedł w kierunku valide, chciał się dowiedzieć, dlaczego Dilruba wyglądała tak źle.

– Valide?

– Jesteśmy gotowe. Możemy wyruszyć w drogę, kiedy tylko rozkażesz. Chcę jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Ja również, valide.

Jego wzrok spoczął na Dilrubie. Próbowła się uśmiechnąć, jednak Dżem zauważył, że było to wymuszone.

– Pozwól, że przedstawię ci moją nową dwórkę.

Çiçek Hatun wskazała na stojącą obok dziewczynę.

– To jest Nada.

Dziewczyna ukloniła się i pozdrowiła go.

– Szezhade.

– Nada...

„Popełniłeś w tym momencie olbrzymi błąd, Dżem” – pomyślał. – „Myślisz, że postąpiłeś właściwie, najpierw uśmiechając się do tej dziewczyny, a potem odwracając się do Dilruby?”

– Wiesz, że „Nada” po serbsku znaczy „nadzieja”?

– Nie, mój shezhade. Jednak dzięki tobie teraz już wiem.

Cały czas słyszał jej głos. Tak bardzo zraniony i pełen urazy. Chciał tylko wyjaśnić znaczenie imienia dwórki. Nie miał zamiaru zranić ani zasmucić Dilruby.

Wyrzuty sumienia, które nie opuszczały go od tamtego ranka, znów dały o sobie

znać.

„Ach, gdybym zachował się inaczej” – wzdychał w duchu. Jego żal nie miał już teraz żadnego znaczenia. Gdyby to tylko chodziło o tamto pierwsze spotkanie. Nie mógł przestać spoglądać na Nadę. Może to właśnie wtedy serce Dilrûby zostało zatrute zazdrością.

„Ale co mogłem zrobić?” – pomyślał Dżem. – „Nada to dziewczyna, na którą nie sposób nie patrzeć. Różowiutkie policzki. Wąska talia. Szczupła i wysoka niczym cyprys”.

Jego Dilrûba też była piękna. Więcej niż tylko piękna. Ale w Nadzie było coś niezwykłego, co przyciągało Dżema.

„Nie szukaj usprawiedliwienia” – grzmiał głos w jego głowie. – „Patrzenie na Nadę w obecności Dilrûby było bardzo niestosowne. Gdyby twoja matka nie odchrząknęła znacząco, kto wie, jak długo byś się jej przyglądał”.

– Nasz sułtan... – zaczęła jego matka. – Przysłał Nadę jako dar dla Çiçek Hatun. Zeszłej nocy przyprowadziła ją Kethüda Kalfa. Dopiero co skończyła czternaście lat. Pomyślałam też, że może pomóc ci w nauce serbskiego. Zostało nam przydzielone jeszcze kilka dziewcząt, ale w tym całym zamieszaniu nie zdążyłam ich jeszcze obejrzeć. Gülizar się nimi zajmuje.

Zanim słońce wyszło zza rozciągającego się przed nimi wzgórza, Dżem podniósł prawą rękę i krzyknął:

– Dalej! Ruszamy w drogę!

Kiedy Piorun powoli kroczył przed siebie, pozdrawiali go po kolei wszyscy janczarowie, spahisowie, strażnicy pałacowi, służący i pomagierzy. Ponieważ spoglądał w okna, zastanawiając się, za którym z nich stoi jego ojciec, nie zauważył jednej ze służących, która zatrzymała się i rozmarzonym wzrokiem przyglądała mu się od stóp do głów. Nie usłyszał też, jak Gülizar upomniała ją:

– Co ty wyprawiasz? Nie wolno tak patrzeć na shehzade!

*

Dżem, gdy tylko przekroczył próg dziedzińca, zrozumiał, co się stało.

W jednej chwili zeskoczył z konia i popędził schodami na górę.

– Dilrüba! Dilrübaaa!

Wszędzie było pełno zasmuconych ludzi. Gülizar usiadła w kącie i płakała. Kiedy chciał wejść do pokoju Dilrüby, Çiçek Hatun zastąpiła mu drogę.

– Nie wchodź. Przyjmij moje wyrazy współczucia.

Dżem oparł głowę na framudze drzwi i stał tak przez chwilę.

– Biedactwo! Widać takie było jej przeznaczenie. Nic na to nie poradzimy. Nie można odejść razem ze zmarłym.

– Można, valide. Można.

– Bądź dzielny – wyszeptwała Çiçek Hatun. – Oczy wszystkich skierowane są na ciebie. Jesteś shehzade.

„A co mnie obchodzi twój shehzade?” – pomyślał Dżem, nic jednak nie odpowiedział.

– Ach, shehzade. Po co ciągnąłeś to biedactwo w góry? – dodała Çiçek i odeszła.

„Mój Boże” – westchnął w myślach. – „Czyżby moja matka miała rację? Czy to przeze mnie umarła?”

– Proszę się nie przejmować, shehzade.

Co takiego? Dżem odwrócił się w stronę wejścia do pokoju.

Zobaczył służącą Dilrüby, tę, która najpierw upuściła grzebień, a potem była przy niej tamtego dnia w górach.

– Coś ty powiedziała?

– Proszę się nie przejmować słowami valide.

Już miał ją skarcić i przypomnieć jej, gdzie jest miejsce służby, ale najpierw spojrzał w jej oczy. Były jak chmury pełne deszczu.

– To ty – wymamrotał zaskoczony.

– Dobrze, że shehzade zabrał ją w góry. Była szczęśliwa.

– Byłaś przy niej?

Dziewczyna spuściła głowę.

– Czy... Czy cierpiała? Czy... Czy wspominała coś o mnie?

Dziewczyna zrobiła krok w jego stronę. Po policzku spłynęła jej łza.

– Powiedziała: „Przekaż mojemu szehzade, żeby zabrał mnie do Czerwonej Skały. Chcę już na zawsze patrzeć stamtąd na dolinę”.

Dżem poczuł, że głos uwiązł mu w gardle. Odwrócił się plecami do dziewczyny.

– Jak masz na imię?

– Ferimah.

Odwrócił się znowu i przed długą chwilę przyglądał się jej uważnie. Później zapytał:

– Komu służysz?

– Pańskiej matce. Kiedy ona zachorowała...

– Od tej chwili będziesz służyć mnie.

Przeszedł obok i chciał wejść do pokoju Dilrüby.

Ferimah zrobiła coś, na co niewiele osób by się odważyło. Stanęła mu na drodze.

– Proszę tego nie robić. Niech w pańskiej pamięci pozostanie na zawsze piękna.

Dżem próbował coś powiedzieć, ale nie udało mu się wydobyć z siebie ani słowa. Niemal pędem ruszył przez korytarz. Kiedy przechodził obok Nady, ta zwróciła się do niego:

– Szehzade.

Nie zatrzymał się. Miał mnóstwo pracy.

*

Wszystko zostało zorganizowane tak, jak życzyła sobie tego Dilrüba. Następnego dnia wyruszyła w drogę wozem, w którym wcześniej, radując się szczęściem, czytali wiersze. Tym razem wóz był otwarty ze wszystkich stron. Wszyscy uważali, że obecność Ferimah będzie nie na miejscu, ale nie mogli jej przekonać, że nie powinna jechać. Dziewczyna uczepiła się Dżema.

– Zostawcie ją, niech jedzie. Dlaczego miałyby to być nie na miejscu? Nie wszyscy mogą towarzyszyć tym, których kochają. – Dżem zamknął usta niezadowolonym.

Kazał wykopać grób Dilrüby w miejscu, z którego rozciągał się widok na całą dolinę. Wziął ją na ręce i złożył w ziemi. Poczł się jak w dniu, kiedy przyjechali tu razem. Teraz wszystko było inne. Ramiona Dilrüby nie oplatały już jego szyi.

Kiedy mieli zasypać jej grób, zaczął prószyć lekki, biały puch.

– Stójcie! – krzyknął Dżem. – Zaczekajcie, niech otuli ją śnieg.

Kiedy wrócił do posiadłości, przepełniało go cierpienie. Już nigdy nie miał pozbyć się bólu wypełniającego jego serce.

– Szezhade! – Nada podeszła do niego.

Był jak czarna chmura tuż przed ulewą.

– Co? – syknął. – O co chodzi?

Kiedy zaczął wbiegać po schodach, Ferimah ledwo mogła za nim nadążyć. Wszedł do swojego pokoju.

– Wina! – krzyknął do dziewczyny. – Niech przyniosą mi wina!

Nikt jeszcze nie widział tu czegoś takiego. Jednak Çiçek Hatun powiedziała:

– Przynieście. Złagodzi jego ból.

Ferimah, która, pędząc za służącymi, wybiegła z komnaty, nie zauważyła, jak Çiçek Hatun daje Gülizar znak.

– Tylko to pomoże mu zapomnieć – wyszeptła. – Powiedz dziewczynie, że ma to się stać dziś w nocy. Miejmy to już za sobą.

Gülizar chciała coś powiedzieć, jednak Çiçek ją uciszyła.

– Nie protestuj, Gülizar. Ma być tak, jak powiedziałam.

*

Gdy zastawiono stolik przed siedziskiem Dżema, Ferimah wzięła dzban i naląła wina do kielicha. Trzymając go obiema dłońmi, podała Dżemowi.

– Szehzade.

Dżem przyglądał jej się przez chwilę, zanim sięgnął po kielich. Opróżnił go duszkiem i oddał dziewczynie. Gdy ta znów napelniała go winem, powiedział:

– Idź już i połóż się spać. Chcę zostać sam.

Kiedy shehzade pił trzeci kielich z rzędu, schyliła głowę i skierowała się do drzwi. Zamykając je za sobą, odwróciła się i jeszcze raz na niego spojrzała.

„Nigdy nie zostaniesz sam, Płomienisty Książę” – pomyślała. – „Tak postanowiłam. Złamię wszystkie przysięgi, narażę się na wieczne przekleństwo, będę się smażyć w piekle, ale nie zostawię cię, synu sułtana Mehmeda... Nigdy”.

Gdy Dżem zauważył, że dziewczyna cały czas spogląda na niego przez szparę w drzwiach, machnął ręką na znak, żeby poszła, i krzyknął:

– Idź stąd. Powiedziałem wyraźnie, że chcę zostać sam.

Dziewczyna zniknęła.

Dżem jednak nie został sam. Gdy w środku nocy uchyliły się drzwi komnaty, pomyślał, że pod wpływem wina coś mu się przywidziało. W progu stała kobieca postać. Szczupła i piękna.

– Dilrüba – jęknął Dżem. – Dilrüba?

– Nada – padła odpowiedź.

Dżem próbował się podnieść i usiąść, jednak nie dał rady.

Najpierw z ramion zsunęła jedwabną podomkę. Później rozsznurowała lnianą szatę. Zupełnie naga zbliżyła się do Dżema.

On jednak myślami był zupełnie gdzie indziej.

Na dworze śnieg padał dużymi płatkami.

^[49] Manga – oddział wojskowy liczący dziesięciu żołnierzy.

Nowy Pałac, Kubbealti^[50]

Grudzień 1480

Wezyrowie w ciszy rozchodzili się jeden po drugim. Jak zawsze, wielki wezyr Mehmed Pasza z Karamanu został do samego końca. Znajdował sobie jakieś zajęcie i czekał, by być na posterunku, gdyby jakieś dodatkowe zarządzenie sułtana wymagało potwierdzenia. Ukradkiem spojrzął na władcę. W sercu poczuł ukłucie.

„Ach, wielki sułtanie Mehmedzie” – pomyślał. – „Jak to się stało, że przyszło nam oglądać cię w tym stanie?”

Mimo usilnych starań i pozorów, wszyscy wiedzieli, że cierpi. Ukrywanie bólu nic nie dawało, zdradzały go oczy.

„Popełniliśmy wielki błąd” – wymamrotał w myślach.

Żaden lekarz nie mógł równać się z perskimi medykami. Jednak po zwycięstwie w Otlukbeli i pokonaniu przywódcy Ak Kojunlu Uzun Hasana Mehmed przegonił ich wszystkich z pałacu. Obawiano się, że mogą zaszkodzić sułtanowi. Ich miejsce zajęli żydowski medycy, którzy w coraz większej liczbie napływali do pałacu. Skoro Persowie mogli skrzywdzić władcę, równie dobrze mogli to zrobić Żydzi.

„W tym rzecz” – westchnął. – „Kto wie, czyj to był pomysł? Najpierw przybył z Wenecji doktor o imieniu Maestro Lacapo. Wszyscy wychwalali umiejętności Żyda; podobno stawiał na nogi nawet tych, którym nie wróżono już nic oprócz śmierci. Minęły całe lata, odkąd Lacapo przybył do pałacu, a nie ulżył sułtanowi ani odrobinę”.

Mehmed Pasza skrzywił się.

„Nikt nie ma korzyści z obecności tego Żyda, oprócz niego samego, oczywiście” – pomyślał. – „Od razu przeszedł na islam, przyjął imię Yahya, a sułtan dał mu tytuł paszy. Zaczął bywać w towarzystwie i korzystał z życia, ale żaden z przygotowanych przez niego leków nie uzdrowił sułtana. Jakby jego jednego było mało, przybył z Wenecji kolejny żydowski medyk o imieniu Valco. Niewiele różnił się od Yahyi”.

„Nie” – pomyślał chwilę później Mehmed Pasza. – „Nie bądź niesprawiedliwy. Giaur Valco nie ma przynajmniej takiego wielkiego brzucha jak Yahya”.

Siedzący na dywanie sułtan poruszył się. Jeden z łokci położył na kolanie, a skroń podparł na dłoni.

Myśli!

Za każdym razem, kiedy sułtan Mehmed przybierał taką pozycję, oznaczało to, że pogrąża się w bardzo głębokich rozmyślaniach. Planuje podboje albo stara się przewidzieć strategię wroga. Była też jeszcze jedna możliwość, ale nikt nie przyznałby się, że po głowie krąży mu podobna ewentualność. Sułtan Mehmed mógł zastanawiać się nad losem Al-Osman, kiedy jego już zabraknie.

Nagła śmierć shehzade Mustafy bardzo nim wstrząsnęła. Wiązał z nim ogromne nadzieje. Wychował go, by stał się wielkim zdobywcą, tak samo jak on. Kiedy zmarł, wszystkie plany przepadły. Shehzade Bajazyd nie mógł się nawet równać ze swoim bratem. W bitwie pod Otlukbeli wziął udział wyłącznie na rozkaz ojca, ale praktycznie nie wystawił nosa ze swojej jurty. Do stolicy dochodziły wieści, że w całym sandżaku Amasji ani razu nie widziano Bajazyda jadącego na koniu. Oczywiście sułtan o wszystkim wiedział. Shehzade niemal każdą minutę spędzał na modlitwie, aż zaczęto nazywać go „Pobożnym z Amasji”.

Wielki wezyr westchnął. W porównaniu z bratem Dżem był silniejszy, pełen życia i ambicji, jednak niewystarczająco dojrzały. Błąd, który popełnił, zajmując stanowisko namiestnika, bardzo zasmucił sułtana. Mimo to wybaczył mu, zrzucając winę na jego młody wiek.

Sułtan wpadał w zamyślenie zawsze, kiedy zastanawiał się nad przyszłością Al-Osman po jego śmierci. Wezyr był niemal pewien, że po głowie krążą mu smutne słowa: „Ach, Mustafo, ach, mój dzielny shehzade! Co tak ważnego miałeś do zrobienia, że zostawiłeś swojego biednego ojca? Ach, gdybym to ja mógł odejść zamiast ciebie”.

Mehmed Pasza kątem oka spojrzał na siedzącego w bezruchu sułtana. Kiedy zorientował się, że władca o nic więcej go nie poprosi, skrzyżował ręce na piersi, dłonie kładąc na ramionach, głowę zaś przechylił na prawe ramię i skierował się do drzwi.

– Wezyrze?

Natychmiast się zatrzymał.

– Zostań.

Wielki wezyr Mehmed Pasza z Karamanu skłonił się, dając znak, że jest gotów na przyjęcie rozkazu.

– Zbliż się.

Cały czas schylony, zrobił kilka kroków w stronę sułtana.

– Usiądź.

Mehmed Pasza zdziwił się.

– Ależ, mój sułtanie, to nie wypada.

Było to coś nie do pomyślenia. Zwykli ludzie nie mogli tak po prostu siadać przed obliczem władcy.

– Usiądź!

Tym razem jego głos zabrzmiał bardzo stanowczo.

– Mam ci coś do powiedzenia.

Pasza ukląkł na kolanach tuż przed sułtanem. Mehmed przysunął się do niego i wyszeptał mu do ucha:

– Kiedy otrzymałeś ostatnią wiadomość od Gedika?

Nie musiał się zastanawiać.

– Nie minął jeszcze miesiąc, sułtanie.

– Mówiłeś, że czym jest teraz zajęty?

– Na Adriatyku...

Sułtan słuchał go, kiwając głową.

– To dzięki Gedikowi Ahmedowi Paszy wenecka flota nawet nie ma szans wpłynąć na Morze Śródziemne. Nasze oddziały stacjonują na wybrzeżu Włoch i Albanii...

Sułtan Mehmed nagle podniósł rękę, dając znak, by zamilkł.

– Wyślij wiadomość, wezryze. Powiedz, że nadeszła pora, by wykonać moje wcześniejsze polecenia. Niech podejmie stosowne działania.

Sułtan przysunął się bliżej i jeszcze ciszej dodał:

– Niech każe dorobić do buta obcas. Tylko żeby był wytrzymały!

Wielki wezyr podniósł głowę i skrępowany spojrzął sułtanowi w twarz.

– Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, sułtanie. Oznacza to, że nadszedł czas, by położyć słońce koło półksiężyca.

Sułtan uśmiechnął się lekko.

– Ale! – Wydawał się zapomnieć o bólu. – Obcas musi być na tyle mocny, żeby dał radę donieść nas aż do samego słońca.

Wielki wezyr kiwnął głową kilka razy.

– Chciałbym, żebyśmy pod koniec marca odetchnęli od zgiełku miasta. Niech rozpoczną przygotowania, tylko żeby nikt się nie zorientował. Musimy dotrzeć do Gebze.

Przerzucenie wojsk do Gebze oznaczało wymarsz na wyprawę. Wezyr już dawno zrozumiał, że kompas sułtana tym razem wskaże na zachód.

– Sułtanie... Czy... Czy wezwać z Amasji shehzade Bajazyda, żeby objął stanowisko namiestnika?

– Nie! Ani się waż! – Sułtan podniósł rękę. – Poprzednio popełniłem błąd. Niech obaj shehzade zostaną tam, gdzie są. Nie będzie żadnego namiestnika. Tylko trzy osoby będą wiedziały o wszystkim. Ty, ja i Gedik.

– Jak rozkażesz, najjaśniejszy panie.

Wielki wezyr Mehmed Pasza z Karamanu wyszedł. Był już pewien. Sułtan Mehmed nie pozwoli, by shehzade Bajazyd zbliżył się do stolicy.

„Çiçek Hatun bardzo by się ucieszyła z takiej informacji” – pomyślał. – „Ale nie ma potrzeby jej o tym mówić. Przynajmniej na razie”.

– Ach, sułtanie Mehmedzie – westchnął po wyjściu z sali obrad. – Twoje dni wypełnia cierpienie, ty jednak cały czas myślisz o podbojach. Musisz koniecznie położyć słońce koło półksiężyca. Niech Allah będzie twoim pomocnikiem.

*

Angiello z Vincenzy, piękny służący z haremu znany pod imieniem Ahver, w pośpiechu wyszedł z pałacu. Od pośpiesznego chodu niemal plątały mu się nogi, jednak nie zdecydował się biec, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Kiedy oddalił się poza zasięg wzroku strażników stojących przy bramie, pomknął ile sił w nogach. Jeżeli wiadomość, którą miał zamiar dziś przekazać, nie postawi na baczność władców w Europie, będą sami sobie winni.

Kiedy zobaczył mężczyznę w zielonym nakryciu głowy, nie był już w stanie złapać tchu.

– Gdzie ty się podziewasz, co? Sterczę tu godzinami.

Za wszelką cenę próbował uspokoić oddech.

– Myślisz... że... Myślisz, że to tak łatwo? Że to takie proste wydostać się z pałacu?

– Ile to już czasu minęło, odkąd przekazałeś wiadomość, która była cokolwiek warta? Jak tak dalej pójdzie, poszukamy sobie innego informatora.

Ahver w jednej chwili odwrócił się do niego.

– Dobrze. Znajdźcie sobie kogoś innego. Zobaczymy, czy przekaże wam wieści, z którymi ja dzisiaj przychodzę.

Wykonał ruch, jakby miał zamiar odejść. Mężczyzna w zielonym nakryciu głowy zdawał sobie sprawę z gry pozorów, ale mimo wszystko przyjął pojednawczą postawę:

– Poczekaj, kochany. Niech najpierw usłyszę, co masz do powiedzenia.

– Nie, nie. Znajdźcie sobie innego szpiega. Z mojej strony to już koniec.

– Ach, nie unoś się tak. Obsypaliśmy cię pieniędzmi. Czego chcesz jeszcze? Stałeś się chyba w pałacu najbogatszą osobą po sułtanie.

Ahver parsknął śmiechem.

– Tak uważasz?

– Jaką to wiadomość masz do przekazania?

– Najpierw... – Otworzył dłoń i wyciągnął ją w kierunku mężczyzny. – Życzyłbym

sobie, żebyś dołożył się jeszcze do mojego bogactwa.

Niby mimochodem mężczyzna wcisnął mu w dłoń trzy srebrne monety.

– Czyżby to było srebro? Niestety. Tym razem żądam trzech złotych monet.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Złotych, tak?

– Złotych. Trzy złote monety. To i tak wyraz mojej dobrej woli. Nie powinienem schodzić poniżej pięciu.

Mężczyzna odwrócił się. Wyciągnął sakiewkę ukrytą przy fontannie, wyjął z niej trzy złote monety i położył Ahverowi na dłoni. Kiedy ten nachylał się, przysuwając usta do ucha mężczyzny, poczuł na nadgarstku stalowy uścisk.

– Co to za wiadomość?

– Wielka wyprawa...

– I ty to nazywasz informacją? W dodatku żądasz za nią takiego bogactwa? Każda wyprawa wojenna Osmanów jest wielka.

– Tym razem będzie inaczej.

– Poprzednio z twojej winy Rzym został zaalarmowany. Z rozkazu papieża wszyscy królowie w Europie podnieśli wojska w stan gotowości. Zebrano ogromne armie. Pieniądze płynęły strumieniami. I co? Mehmed wyprawił się na Wschód, nie na Zachód.

Ahver nagle przyjął wyraz twarzy Angiella z Vincenzy.

– To już są sprawy waszego wielkiego pana – syknął, jeszcze bardziej przybliżając się do twarzy mężczyzny. – Nie obchodzi mnie Zachód ani Wschód. Skoro już zebrali takie wielkie armie, dlaczego nie zaatakowali Osmanów, co? Czy twój pan siedzący w Rzymie w ogóle nie myśli?

– Zamknij się, bo inaczej źle się to dla ciebie skończy. Co to za wyprawa?

– Morska. Osmańska flota jest już na morzu.

Mężczyzna zarechotał.

– To już wiemy. Zajmują wybrzeża Adriatyku. Wenecja ze strachu zaproponowała im zawarcie umowy.

Ahver zaśmiał się pod nosem.

– Teraz pojawią się w zupełnie innym miejscu.

– Jak to?

– Na miejscu króla Neapolu, natychmiast wysłałbym do Otranto wszystkich żołnierzy, jakich posiadam.

Mężczyzna w zielonym nakryciu głowy ze zdumienia aż wypuścił z dłoni sakiewkę. Gdy się po nią schylał, nagle złapał Ahvera za kołnierz i przyciągnął do siebie.

– Czy to potwierdzona informacja? Kto jest twoim źródłem?

Ahver uśmiechnął się.

– Medyk z przekłutym uchem.

Mężczyzna potrząsnął nim.

– Jeśli ta wiadomość okaże się nieprawdziwa, wykończę cię. Nawet gdybyś schował się w najgłębszych zakamarkach pałacu, znajdę cię i wykończę.

^[50] Kubbealtı – miejsce w pałacu, w którym wezyrowie oraz sułtan zbierali się na radę dywanu; dosłownie oznacza „pod kopułą”.

Rzym, pałac papieża

– Rozejść się! Z drogi!

Ludzie i zwierzęta w pośpiechu uciekali na boki. Nawet pulchne świnie o zakręconych ogonach chowały się przestraszone. Czterech kawalerzystów, trzymających rozpostartą na pikach granatowo-żółtą flagę Neapolu, wjechało przez Bramę Nike do Rzymu. Mężczyzna na przedzie nie przestawał krzyczeć:

– Z drogi! Zróbcie miejsce dla posłańca króla Neapolu, Ferdynanda!

Jak tylko czterej mężczyźni znaleźli się przed wejściem do pałacu papieża Sykstusa IV, jadący na przodzie zeskoczył z konia, by nie tracić ani sekundy. Podtrzymując przypasany do bioder miecz, wbiegł na schody.

– Panie! Turcy! Turcy! – krzyczał, próbując złapać oddech.

Była to najbardziej przerażająca wiadomość, jaką Rzym mógł otrzymać. Tragedia, której nadejścia obawiano się każdego dnia przez ponad tysiąc lat, od momentu, kiedy władca Hunów, Attyła, splądrował Wieczne Miasto.

– Turcy nadchodzą! – Krzyk posłańca zlewał się z odgłosem stukających o marmurową posadzkę ostróg i odbijał się od ścian, krążąc po pałacu niczym echo. – Turcy! Turcy nadchodzą!

Kardynałowie, którzy w małych grupkach stali na korytarzu i rozmawiali, zaczęli panikować.

– Turcy?

Podtrzymując długie czerwone szaty, przerażeni biegali to w jedną, to w drugą stronę.

– Turcy?

– Gdzie?

– Wielki Jezu!

Papież, który właśnie zasięgał konsultacji architektów, rzeźbiarzy i malarzy

zaangażowanych w budowę Kaplicy Sykstyńskiej, nagle pobladł.

– Turcy? Czy ktoś krzyczy, że nadchodzą Turcy?

Francesco della Rovere z Genui opadł na skrzynię.

– Turcy? Kto rozgłasza takie informacje?

– Przybył posłaniec, Wasza Świątobliwość.

– Posłaniec króla Neapolu – dodał ktoś inny.

Papież poczuł, że brakuje mu tchu.

– Neapolu? – Z jego gardła wydobył się krzyk.

Mój Boże, Neapol! To tak niedaleko od Rzymu. Przecież to wrota prowadzące do całej Italii. I to właśnie stamtąd przybywa posłaniec z wiadomością o nadejściu Turków!

– Przyprowadźcie go – wyszeptał. – Przeprowadźcie go tutaj. Natychmiast. Ruszać się!

Nie było potrzeby po niego posyłać. Mężczyzna, lawirując między materiałami przygotowanymi do budowy, podszedł do papieża i padł mu do stóp.

– Wasza Świątobliwość.

– Daruj sobie – parsknął Sykstus. – Mów, o co chodzi.

– Turcy... – Posłaniec ledwo mógł złapać oddech.

Kiedy wszyscy czekali, aż wydobędzie z siebie kolejne słowa, papież zdenerwował się:

– To już słyszeliśmy. Powiedz, co jeszcze wiesz. Gdzie są?

– Otranto... Turcy są w Otranto. Setki statków.

– Co?

– Jego wysokość król Ferdynand rozkazał, żebym natychmiast przekazał tę wiadomość Waszej Świątobliwości. Potrzebna nam pomoc. Kiedy wyjeżdżałem z zamku, tureccy żołnierze zmiierzali już do naszych brzegów.

Francesco della Rovere poczuł uścisk w sercu.

„Dokładnie tak, jak się tego spodziewałem” – pomyślał. – „Nadchodzą z południa, od strony morza. Attyla z furią zaatakował Rzym od północy. Zdobywca Konstantynopola atakował od południa. Chyba że...” Inna możliwość, o której pomyślał papież, przypawiła go o dreszcze.

– Północ... – wymamrotał. – Jak wygląda sytuacja na północy?

Nikt się nie odezwał.

– A niech to szlag! – powiedział Rovere podniesionym głosem. – Nie ma żadnych wieści od diuka Wenecji? Czyżby zawarł umowę z Osmanami i zdradził Rzym?

Posłaniec nie miał zamiaru tego słuchać. Nie obchodziły go Wenecja ani Rzym.

– Wasza Świątobliwość – odezwał się, próbując przypomnieć o swoim istnieniu. – Otranto... Natychmiast potrzebna nam pomoc.

Papież wstał, podpierając się na ramieniu przybysza.

– Twierdza Otranto jest wytrzymała. Nie jest tak łatwo zniszczyć jej mury i baszty. Niech broni się sama, zanim my będziemy gotowi.

– Obrona? – zaśmiał się posłaniec. – Wasza Świątobliwość, większość żołnierzy i mieszkańców Otranto uciekła z miasta. Widziałem na własne oczy. Została garstka rycerzy. Nie wydaje mi się, żeby wytrwali zbyt długo.

Sykstus IV ze złością rozejrzał się dookoła.

– Słyszeliście? Podobno uciekli. Kiedy Bóg zesłał na Rzym Bicz Boży, także wszyscy uciekli. – Podniósł lekko swoją szatę. – W takim razie nie pozostaje nam nic poza modlitwą. Módlmy się, bracia.

Kiedy szedł w stronę swojego pałacu, w korytarzu dźwięczało echo jego przepelnionego złością głosu:

– A niech to! Całymi tonami rozdaję złoto, ale nikt nawet nie kiwnie palcem. Gdzie podziali się moi szpiedzy z Konstantynopola? Dlaczego jeszcze nie posłali do diabła tego całego Mehmeda? Na co jeszcze czekają? Aż dotrze tutaj i zetnie mi głowę?

Konya, pałac Karaman

Maj 1481

– Babciu valide!

Głos dziecka wyrwał Çiçek Hatun ze snu. Aż podskoczyła.

– O co chodzi? Co się dzieje?

Gülizar zaśmiała się.

– Oğuz Han. Znow wsadzili go na grzbiet kucyka. Chcą ci, pani, pokazać, jak bardzo urósł.

– Tylko żeby mój wnuk nie spadł i czegoś sobie nie zrobił.

– Proszę się nie martwić, nic mu nie będzie. Dwórki na niego uważają. Nada nie odstępkuje kucyka na krok i cały czas trzyma Oğuz Hana za rękę. Nie wiem, czy kiedy dorośnie, będzie trzymał w ręku wodze chętniej od dłoni matki.

Çiçek zaśmiała się pod nosem.

„Gülizar, mężczyźni zawsze koniec końców czegoś się trzymają” – pomyślała.

Zmrużyła oczy.

Nie mogła uwierzyć, że czas tak szybko płynie, a życie tak bardzo się zmieniło. Tamtego zimowego dnia w Kastamonu, kiedy umarła Dilrüba, sądziła, że wszystko się skończyło. Przede wszystkim dla Dżema. Dopiero po jej śmierci zrozumiał, że kochał ją do szaleństwa.

Widocznie takie było przeznaczenie. Biedna Dilrüba odeszła, zanim odważyła się wziąć jej syna za rękę. Jednak tej samej nocy dłoń Dżema złączyła się z dłonią innej kobiety – Nady.

Możliwe, że Oğuz Han był owocem właśnie tamtej nocy. Z każdym dniem stawał się coraz bardziej podobny do Dżema.

– Gülizar – wyszeptała. – Dobrze, że tamtego dnia podjęłam słuszną decyzję.

Dwórka pokiwała głową.

– Dziewczyna też okazała się charakterna – odpowiedziała.

Nie miały pojęcia, że siedząca w kącie Ferimah niepostrzeżenie przysłuchuje się ich rozmowie. Nawet gdyby się zorientowały, że dziewczyna je podsłuchuje, nie przyszłoby im do głowy, że w tamtej chwili pomyślała: „Rzeczywiście, charakterna żmija”.

– Taaak... – kontynuowała przerwane zdanie Çiçek Hatun. – Widocznie taka była wola Allaha. Zobacz, dzięki temu pobłogosławił mnie wnukiem, który nawet na minutę nie zapomina o swojej babci valide!

Gdy się głębiej zastanowić, można dostrzec wiele rzeczy.

Najpierw odeszła Dilrüba, a Dżem, chcąc ulżyć sobie w cierpieniu, schronił się w ramionach Nady. Ona, jako jego valide, nie miała na co narzekać. W końcu na świat przyszedł wnuk, kolejny członek jej rodu.

Później stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Nagle zmarł najstarszy szehzade Mustafa. Sułtan Mehmed przeniósł wtedy Dżema z Kastamonu do sandżaku Karaman, nagradzając go po czasie wygnania. Oznaczało to, że naprawdę wybaczył swojemu synowi.

Po latach spędzonych w górach w Kastamonu, w pałacu Karaman w Konyi Çiçek od samego początku czuła się jak w niebie. Z pewnością nikt nie cieszył się z przeprowadzki bardziej od niej.

Dżem uwolnił się od bolesnych wspomnień. Nie mógł już jeździć do Czerwonej Skały i, spoglądając w stronę doliny, całymi dniami wysiadywać przy grobie Dilrüby. Musiał zacząć patrzeć przed siebie. Powinien zwrócić twarz ku przyszłości.

Bajazyd był następcą tronu, Dżem był zaś drugi w kolejności. Gdyby Mehmedowi coś się stało, to starszy z braci zostałby sułtanem.

Od czasu wydarzeń w Edirne Çiçek w ogóle nie rozmawiała z synem na ten temat. Wtedy był jeszcze dzieckiem. Można uznać, że podrostek nie wyrządzi nikomu krzywdy, ale Dżem stał się już dorosłym mężczyzną. Niezależnie od opinii matki, musiał postrzegać Bajazyda jako zagrożenie. Dwaj bracia byli teraz wrogami. Czy Dżem zdawał sobie z tego sprawę? Na szczęście miał Nadę. Dziewczyna, jakby wyczytując z oczu Çiçek wszystkie kłębiące się w jej głowie myśli, każdej nocy bez wytchnienia ostrzegała ukochanego przed

nadchodzącym niebezpieczeństwem.

– Nie możesz siedzieć z założonymi rękami, shehzade.

– A kto tak uważa?

– Zamykasz się w komnacie z derwiszem i tą służącą. Całymi godzinami o czymś rozmawiacie. Może mój umysł nie jest zbyt tęgi, ale moje oczy potrafią widzieć bardzo wiele. Jesteś w niebezpieczeństwie, tak jak my wszyscy. Kiedy twój ojciec umrze, Bajazyd nie pozostawi nikogo z nas przy życiu. Nawet naszego syna, Oğuz Hana – i zaczynała płakać.

Ile razy Çiçek słyszała, jak Dżem przeciwstawiał się jej, pytając:

– Co mam w takim razie zrobić, Nado? Mam pójść i go zabić, zanim on podniesie rękę na mnie?

– Właśnie tak – wyszeptała dziewczyna tamtej nocy. – Jeśli będzie to konieczne, to tak. Ale są przedtem inne rzeczy do zrobienia. Żołnierze z sandżaku nie wystarczą do obrony, kiedy zostaniemy zaatakowani. Potrzebujemy ich znacznie więcej. A później...

Tym, co miało nastąpić później, zajmowała się już Çiçek. Potajemnie kontaktowała się z bejami Anatolii, którzy uznawali zwierzchnictwo Osmanów. Wydelegowała posłańców do Ramazanoğlu Ömer Beja, a nawet do mameluckiego sułtana Kayıtbaya, który przybył aż do Anatolii, żeby stłumić powstanie Dulkadiroğlu Szehsuvar Beja. Obsypała ich prezentami. Ömer Bej znajdował się w dość nieciekawym położeniu – z jednej strony Osmanowie, z drugiej Mamelucy. Jednak jako obeznany i doświadczony przywódca zdawał sobie sprawę, że słabość Osmanów bardzo ucieszyłaby Mameluków. Wysłał do Çiçek Hatun wiadomość: „Nie możemy siedzieć z założonymi rękami, musimy walczyć”. Nie było jednak pewne, kiedy i z kim.

Posłaniec, którego wysłała do Kairu do Kayıtbaya, został bardzo dobrze przyjęty i ugoszczony. Kiedy wrócił do Konyi, zrelacjonował swoją wizytę:

– Gdy powiedziałem, że shehzade Dżem oraz jego valide przesyłają pozdrowienia i wyrazy szacunku, sułtan Kayıtbay podszedł i pocałował moją rękę, po czym przyłożył ją do czoła.

Oznaczało to, że przyjął pozdrowienia i uznał oficjalne poselstwo.

Jednak posłaniec najważniejszą wiadomość zostawił na koniec:

– „Jeśli któregoś dnia Çiçek Hatun będzie potrzebowała pomocy przyjaciela,

zawsze jesteśmy gotowi przyjąć ją i shehzade”. Kayıtbay polecił przekazać mojej pani i shehzade, że przyjaźń wymaga wzajemności.

Shehzade Dżem kręcił nosem na taką odpowiedź, ale Çiçek była innego zdania niż syn, który nie rozumiał jeszcze, że politycy nie wyrażają się do końca jasno i używają pogmatwanego języka. Dla niego istniały tylko dwie odpowiedzi: „tak” albo „nie”. Wiele czasu musiało jeszcze upłynąć, by zrozumiał, że „tak” często oznacza „nie”, a „nie” bywa odpowiedzią pozytywną.

Stosunek sułtana był przychylny. Kayıtbay wyraził to nie tylko słowami, ale również szacunkiem okazanym posłańcowi oraz prezentami wysłanymi w rewanżu. Wielki sułtan Kayıtbay nie powiedziałaby przecież: „Niech shehzade się nie martwi. Jesteśmy razem z nim”.

Dżem sprawiał wrażenie, jakby to wszystko w ogóle go nie obchodziło, ale załączki pomysłów, które Nada niczym nasiona zasiała w jego umyśle, powoli zaczynały kiełkować. Któregoś dnia zapytał:

– Valide, według ciebie do stolicy bliżej jest z Karamanu czy z Amasji?

– Dlaczego pytasz, shehzade?

Jej syn miał tajemniczy wyraz twarzy i w odpowiedzi tylko zaśmiał się pod nosem.

Kiedy jakiś czas później Çiçek zastanawiała się, jaki będzie finał tej sprawy, nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła kipiąca ze złości Nada.

– Valide, mam już tego dosyć. – Ze wzburzenia jej głos aż drżał.

Çiçek najpierw spojrzała na Gülizar, a później odezwała się:

– Co się stało?

Nada już miała odpowiedzieć, kiedy zauważyła obecność Ferimah. Tupnęła głośno i podeszła do niej, biorąc się pod boki.

– Co ty tu jeszcze robisz?

Gdy Çiçek i Gülizar wymieniały spojrzenia, zastanawiając się, jak zareagować, Nada schyliła się w stronę dziewczyny i powiedziała:

– No idź! Ten obłąkany derwisz znów tu jest! Znów zamykają się w ciemnym pokoju. Nie może cię zabraknąć. Shehzade i tak cię szukał. Biegnij! Już cię tu nie ma!

Ferimah nic nie powiedziała, tylko spojrzała na Çiçek Hatun.

– Zatem – wyszeptwała, nie wiedząc, co jeszcze dodać – jeśli chcesz, to idź. Szehzade może cię potrzebować.

Nada nienawidziła tej dziewczyny tak samo jak derwisza zwanego Ebu heyr Rumi, którego Dżem spotkał w Karamanie.

– Znowu on, valide.

Nada spoczęła na siedzisku naprzeciwko Çiçek.

– To już przesada. O czym tak można rozprawiać całymi godzinami? Któregoś dnia spytałam, co takiego opowiada ten derwisz. I wiecie, co shehzade odpowiedział?

Çiçek wiedziała.

– Legendy – odpowiedział jej syn. – Derwisz opowiada mi legendy.

– Legendy – burknęła Nada. – Derwisz opowiada mu legendy, a mój shehzade ich słucha, macie pojęcie? Mój shehzade słucha jakichś bajek! I w dodatku zabiera ze sobą służącą.

– Może ona tylko im służy?

– Nic z tych rzeczy. Mnóstwo innych służących przynosi do pokoju jedzenie i napoje. Ona tylko siedzi obok i patrzy się na nich, nic więcej. A poza tym...

– Co takiego, Nada?

– Mam wątpliwości co do tego mężczyzny. Kim on jest? Może to szpieg Bajazyda?

– Ach! – Çiçek i Gülizar aż się wzdrygnęły. – Szpieg?

– Może służąca też jest szpiegiem? Razem z derwiszem chce uśpić czujność shehzade, który powinien skupić się na przyszłości. Zupełnie odpłynął w świat legend, a powinien przecież myśleć o żołnierzach, o uzbrojeniu...

Niewiele brakowało, by się rozpląkała.

– Spróbuj się uspokoić – wyszeptwała Çiçek. – Masz rację, zamiast tracić czas na błahostki, powinien zająć się poważnymi sprawami, ale...

Nada ze zdenerwowania zaczęła miętosić w palcach okrycie siedziska.

– Co on widzi w tych legendach?

Çiçek zadała Dżemowi to samo pytanie.

– Szezhade, całymi godzinami słuchasz opowieści derwisza. Na Allaha, czego w nich szukasz?

– Siebie, valide. Dowiaduję się wiele o sobie.

Patrzyła na niego oniemiała. Dżema rozbawiła jej reakcja.

– Człowiek powinien znać siebie samego. Skąd pochodzi? Z jakiego rodu, z jakiej krwi?

To było już zupełnie dziwaczne. Czyżby nie znał swojego rodu? Był synem sułtana Mehmeda Zdobywcy, syna Murada, oraz serbskiej księżniczki, Çiçek Hatun. Czego więcej mógł się dowiedzieć?

– Co jeszcze?

– Oprócz tego... Uczę się historii naszej ziemi. Dowiaduję się, jak wcześniej wyglądały Al-Osman i Rumelia, co się tu kiedyś wydarzyło.

Çiçek ucieszyła się, słysząc te słowa. Ziemia, państwo... To były właściwe tematy.

Od Dżema nie udało jej się wyciągnąć nic więcej, więc do ściany przycisnęła Ferimah:

– Zawsze siedzisz tam z nimi. Co ten derwisz opowiada przez tyle godzin?

– Legendy.

Znów te legendy! Zaśmiała się, jakby słyszała to pierwszy raz, i udała zdziwienie.

– Chyba się już zestarzałam. Dorosły mężczyzna słucha bajek? Co to za opowieść, która ciągnie się całymi tygodniami?

– Dawno temu żył mężczyzna o imieniu Sarı Saltuk. Nie wiem, czy był on świętym, emirem czy sułtanem. Derwisz opowiada o jego bohaterskich czynach, a shezhade się przysłuchuje.

– A co takiego zrobił ten Saltuk?

– Podczas podboju Anatolii i Rumelii...

To zupełnie wystarczało Çiçek. Dalszy ciąg nie miał znaczenia. Anatolia... Rumelia... Podbój... To były magiczne słowa, które mogły zahipnotyzować shehzade i sprawić, by poszedł po rozum do głowy. To oznaczało, że jej syn zajmował się czymś jeszcze poza polowaniami i spędzaniem upojnych chwil z Nadą. Widocznie dziewczyna nie zdawała sobie z tego sprawy. W końcu myśli shehzade zaczęły krążyć wokół państwa i władzy.

– Wygląda na to, że derwisz ma duży wpływ na mojego syna.

Ferimah uśmiechnęła się.

– Nawet imię twego wnuka, pani, było zainspirowane opowieściami derwisza. W legendzie o Sari Saltuku występuje postać Oğuz Hana.

Çiçek jakby znów słyszała słowa Dżema, które wypowiedział w dniu narodzin syna:

– Postanowiłem, że nazwę go Oğuz Han, valide. Niech Allah da mu długie życie. Niech będzie tak wspaniały, jak jego przodek, wojowniczy i sprawiedliwy Oğuz. Niech jego imię trwa i nie znika z tego świata.

Kiedy Çiçek Hatun odwróciła głowę, jej wzrok napotkał spojrzenie Ferimah. Próbowała odczytać, o czym teraz myśli dziewczyna. Nada się złościła, ale Dżem podjął dobrą decyzję, zatrzymując ją przy sobie. Çiçek przez długi czas podejrzewała, że między nimi było coś więcej; wysłała nawet Gülizar, żeby ich śledziła, ale nic podobnego się nie okazało.

– Przyrzekam na Allaha, że między nimi nic się nie wydarzyło. Dziewczyna jest bardzo mądra. Shehzade chyba uważa, że zmarła powierzyła ją jego opiece.

– A zatem? – zwróciła się do Ferimah tamtego dnia. – Uważasz, że te legendy przydadzą się na coś shehzade?

Dziewczyna podniosła głowę i odwzajemniła spojrzenie Çiçek.

– Moja babcia mawiała, że w każdej legendzie jest ziarno prawdy. Nie wolno się śmiać, że to tylko bajki. Z każdej legendy można wyciągnąć lekcję. Poza tym opowieści derwisza to coś więcej niż tylko legenda. Wszystko to miało miejsce. Dawno temu, ale

jednak się wydarzyło. W ten sposób, słuchając opowieści, poznajemy przeszłość. Uczymy się historii państwa, dynastii i rodu. Szezhade mówi, że legenda o Sarı Saltuku nie powinna być przeznaczona wyłącznie dla jego uszu. Każdy powinien ją usłyszeć. I ma rację. Jeśli nie będzie przekazywana z ust do ust, któregoś dnia zostanie zapomniana.

– Co począć? Legenda zawsze ma krótki żywot.

– Nie tym razem.

– Jak mam to rozumieć?

– Spisujemy ją. Derwisz opowiada, ja notuję, a shezhade poprawia moje błędy.

Czyli to była tajemnica trwających całymi godzinami schadzek. Jej jedyny syn, jej shezhade, dla którego robiła wszystko, żeby został sułtanem i rządził Al-Osman, razem ze służącą spisywał legendy.

Spojrzała na Nadę, która cały czas miętosiła w palcach okrycie siedziska.

„Może dziewczyna ma rację?” – przeszło jej przez myśl. – „Czyżby usypiali czujność shezhade?”

„Ależ skąd” – po chwili wyrzuciła z głowy ten pomysł. – „Nadę zaślepiła ambicja. Za to Ferimah jest bystrzejsza niż niejeden uczoney. Jedna z nich wiedziała, czego pożąda jej syn, druga pomagała mu zdobywać wiedzę”.

Gülizar miała rację mówiąc, że ta służąca to mądra dziewczyna. Rozum Ferimah był potrzebny zarówno jej, jak i Dżemowi. Chociaż było w niej coś dziwnego, coś więcej niż tylko rozum. Çiçek to czuła, ale nie potrafiła bliżej tego określić.

Ferimah była w oczach Nady tylko zwykłą służką. Nie mogła znieść, że dziewczyna zbliżyła się do jej mężczyzny. Nawet sama przed sobą nie potrafiła się przyznać, że jest zwyczajnie zazdrosna. Była kobietą shezhade Dżema. Nie mogła poniżać się zawiścią o jakąś tam służącą, nawet wyjątkowo piękną.

– Co możemy zrobić? – westchnęła Çiçek Hatun, starając się wyglądać na bezsilną. – Powinnaś dalej urabiać shezhade na tematy, o których rozmawialiśmy.

Później zrobiła coś, czego sama po sobie by się nie spodziewała. Puściła do Nady oko.

– Mówią, że to legendy, ale derwisz opowiada naszemu shezhade o czymś zupełnie innym.

Nada patrzyła na nią zdziwiona.

– Jak to? O czymś innym?

Çiçek Hatun przyłożyła palec do ust.

– O tajnych sprawach – wyszeptała i znów mrugnęła. – Bądź spokojna.

– Ach – westchnęła Nada z niezadowoleniem. – Skoro tak...

Wstała i skierowała się w stronę drzwi. Nagle odwróciła się.

– Ale tę służącą...

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi, nie kończąc zdania.

Gdy valide i jej dwórka zostały sam na sam, spojrzały po sobie. Gülizar przygryzła dolną wargę, by powstrzymać się od śmiechu. Çiçek Hatun uniosła ramiona i westchnęła. Kobieta zawsze pozostanie kobietą. Czy to w haremie Nowego Pałacu, czy w Karamanie. Nie miała głowy do ich wzajemnych animozji.

*

Çiçek Hatun pozornie znajdowała się w swojej komnacie, jednak myślami była w Stambule. Czekwała na wieści.

Gülizar próbowała ją czymś zająć, ale uwagę valide coraz bardziej przykuwała Ferimah, która ostatnio dużo więcej czasu spędzała przy niej niż przy jej synu. Próbowała to maskować, ale uwagi Çiçek nic nie umknęło – dziewczyna śledziła każdy jej ruch. Nawet teraz, gdy siedziała i udawała, że zwija nić, kobieta miała wrażenie, że ta rejestruje każdy jej gest, każdy szept. Gdyby ledwie kiwnęła palcem, Ferimah wystrzeliłaby z miejsca, gotowa na rozkazy swej pani.

Powoli ona także, tak samo jak Nada, nabierała co do dziewczyny podejrzeń.

„Może faktycznie jest szpiegiem?” – zastanawiała się.

No dobrze, tylko czyim?

Bajazyda? Raczej nie. Jego matki? To było bardziej prawdopodobne. Nie wiedziała, czy to akurat Ferimah, ale była pewna, że Gülbahar ma w pałacu w Karamanie

jednego czy dwóch szpiegów, którzy bezzwłocznie informowali o wszystkim swoją panią.

Dziewczynę podarował jej sułtan. Może więc Ferimah była szpiegiem Mehmeda? Sama śmiała się w duchu z tej myśli. Czy wielki sułtan Mehmed Zdobywca wysłałby szpiega, żeby śledził szezade i jego dawną faworytę?

Podobno w marcu sułtan wyruszył do Gebze. Miał powiedzieć: „Żołnierze nie mogą siedzieć beczynnie. Przeprowadzimy w polu ćwiczenia, niech się trochę rozruszają”. Çiçek ani przez chwilę w to nie wierzyła. Tym razem Mehmed zamierzał położyć słońce koło półksiężyca.

Mimo to wiadomość, która przyszła od jej ludzi w Dersaadet, przeczyła tym przypuszczeniom: „Sułtan coraz bardziej niedomaga. Choroba postępuje, a żadne leki nie działają. Nasz pan praktycznie w ogóle nie może już chodzić”.

Do głowy przychodziła Çiçek jeszcze jedna możliwość. Może sułtan specjalnie rozpowszechniał takie informacje? Jak miałyby zdobyć słońce i położyć je koło półksiężyca, skoro nawet nie mógł chodzić?

Dawniej poczułaby w sercu ból na wieść o tak trudnej sytuacji. Jednak po trzech nocach spędzonych w Nowym Pałacu w oczekiwaniu na śmierć, pozbyła się takich uczuć. Czasami tylko wzywała go w myślach: „Sułtanie Mehmedzie! Nie ubolewaj nad tym, że nie udało ci się położyć słońca koło półksiężyca! Hej, zdobywco Konstantynopola! Nie zajmuj się teraz podbojami, zostaw je dla naszego syna”.

– Słucham? Coś mówiłaś, pani?

Ferimah szeroko otworzyła oczy, które przypominały czarne ziarenka na bielusińskim śniegu, i utkwiała w niej wzrok.

– Co? Nie, nic nie mówiłam.

– Wydawało mi się, że wspomniałaś, pani, coś o słońcu i półksiężycu.

Çiçek natychmiast się pozbierała. Została przyłapana. Najwyraźniej wypowiedziała swoje myśli na głos.

– Jakże znowu słońce!

Nagle zdecydowała, że przetestuje dziewczynę raz jeszcze.

– Docierają do nas wieści, że choroba naszego pana coraz bardziej postępuje.

Ferimah nic nie odpowiedziała.

– To dlatego tak się martwię. Cała jestem w strachu.

Dziewczyna tym razem tylko spojrzała jej w twarz.

– Nie wiadomo, co przyniesie jutro – kontynuowała Çiçek. – Nie mam pojęcia, jakim człowiekiem jest shehzade Bajazyd. Wiem tyle, co wszyscy. A jeśli chodzi o jego valide... Nie ufam tej kobiecie. Boję się, że gdy tylko jej syn wstąpi na tron, zacznie mu mącić w głowie i dla „zachowania jedności państwa” każe wysłać katów, którzy następnego dnia zapukają do naszych drzwi. Niech Allah strzeże mojego shehzade...

Ferimah zareagowała, jakby ukuła się igłą.

– Ach, wypłuj te słowa, moja pani. Niech Allah strzeże!

Panika dziewczyny zdziwiła nawet samą Çiçek. Spodziewała się zupełnie innej reakcji. Ona jednak... Ona jednak pokazała, że o przyszłość i życie Dżema obawia się dużo bardziej niż Nada.

„No, no, no” – pomyślała Çiçek. – „Po raz pierwszy się odsłoniłaś, Ferimah”.

Rzuciła jeszcze jedną przynętę.

– Tron powinien przypaść w udziale temu, kto ma przewagę, czyż nie? Jak to możliwe, że prawo do rządzenia należy się komuś, bo urodził się kilka lat wcześniej? To nie do pomyślenia! Tak ma wyglądać sprawiedliwość? Czy nie jest słuszne, żeby władzę oddać temu, kto jest mądry i ma wiedzę?

Zamilkła i nachyliła się w stronę Ferimah.

– Rozumiesz, co mam na myśli, prawda?

Oczywiście, że zrozumiała. I to bardzo dobrze.

– Zawsze powtarzam to naszemu shehzade – wyszeptała do ucha Çiçek. – Kto czeka, zostaje z niczym. Prawo nie jest dane, trzeba po nie sięgnąć.

Zawarły milczący pakt. Od tej pory Çiçek miała sprzymierzeńców w pałacu w Konyi. Serbską synową, dzięki której valide miała przeciągnąć na swoją stronę świat chrześcijański. Derwisza, który uczył shehzade Dżema o jego korzeniach i o Al-Osman. I tajemniczą służącą o czarnych oczach.

Oczywiście nie byli to wszyscy. Najważniejszym sprzymierzeńcem pozostawał wielki wezyr Mehmed Pasza z Karamanu, który nie odstępował sułtana na krok. To on przywiózł Dżema do pałacu w Konyi.

– Taka jest wola Allaha, Çiçek Hatun – powiedział pasza, odjeżdżając. – Ten, kto zasiądzie na tronie Al-Osman, przybędzie z Karamanu. Czekaliśmy na szehzade Mustafę, ale okazało się, że błogosławieństwo spłynęło na kogoś innego.

Cóż więcej mógł powiedzieć?

*Gebze, koszary armii osmańskiej**3 maja 1481*

Pomimo tłoku, który panował w jurcie sułtana Mehmeda rozstawionej na wzgórzu ponad równiną Gebze, wokół panowała absolutna cisza. Wezyrowie, paszowie i agowie stali z założonymi rękami i spuszczoneymi głowami. Na ich twarzach malował się strach.

Bali się spojrzeć nawet na jedwabie i tiule oddzielające prywatną część jurty sułtana. Wielki wezyr Mehmed Pasza z Karamanu i medycy czuwali przy władcy. Yahya Pasza, medyk, któremu wciąż ufał sułtan, jego pomocnik, Valco Efendi, oraz wielu innych lekarzy głowiło się nad składem leku, który skutecznie ulżyłby Mehmedowi w nasilających się bólach.

Jednak nic nie przynosiło rezultatów. Po popołudniowym wezwaniu na modlitwę stan sułtana pogorszył się. Co jakiś czas wydawał z siebie jęki, na które wszyscy zebrani w jurcie byli w stanie zareagować jedynie bezsilnymi spojrzeciami.

Nie było chyba nikogo, kto nie słyszałby o chorobie sułtana. Żołnierze także wiedzieli. Wszyscy widzieli, jak zdjęto go z konia i na rękach zaniesiono do namiotu. Mimo to szeptali między sobą:

– Zobaczycie, sułtan Mehmed Zdobywca zwycięży nawet śmierć i znów stanie na czele swojej zwycięskiej armii. Znowu wyruszymy z nim na podbój.

Mimo wszystko wielki wezyr ostrzegł pozostałych wezyrów, paszów i agów:

– Wojsko nie może się dowiedzieć, że stan naszego pana się pogorszył!

– Potrzebna mu jest modlitwa żołnierzy – wyszeptał aga janczarów. – Allah wysłucha modlitw tych, którzy są gotowi oddać za niego życie.

Nie pozostało nic oprócz modlitwy.

Wielki wezyr Mehmed Pasza na chwilę oddalił się od sułtana i przeszedł do części jurty, gdzie pozostali czekali zniecierpliwieni.

Bejlerbej Anatolii, Abdullah, od razu zbliżył się do niego.

– Wielki wezyr, czas podjąć środki zapobiegawcze – wyszeptał mu wprost do ucha. – Niech Allah da sułtanowi jak najdłuższe życie, jednak...

Mehmed Pasza z Karamanu dobrze wiedział, co bejlerbej rozumie przez „środki zapobiegawcze”. Był teściem shehzade Bajazyda. Bajazyd miał z córką Abdullaha, Nigar Hatun, trójkę dzieci, w tym syna. Sułtan Mehmed zażyczył sobie, by syn jego shehzade, Korkut, mieszkał w pałacu w Stambule. Wielki wezyr wiedział, że sułtanem nie kierowała raczej miłość do wnuka. Trzymał Korkuta jako pewnego rodzaju zakładnika, jeżeli Bajazyd pod pretekstem choroby ojca podjąłby jakąś niemądrą decyzję.

Teraz, kiedy sułtan walczył ze śmiercią, „środki zapobiegawcze” oznaczały dla Abdullaha wysłanie wiadomości do shehzade Bajazyda, by jak najszybciej wyruszył w drogę z Amasji do stolicy.

– Nie zgadzam się – odburknął wielki wezyr. – Chcecie pochować sułtana, zanim umrze? Środki zapobiegawcze podejmują w tej chwili medycy. Tym razem są pełni nadziei.

Optymistyczne słowa rozproszyły smutek i zaniepokojenie do tej pory panujące wśród wezyrów i paszów.

– Mają nadzieję? – zapytał jeden z mężczyzn. – Co dokładnie mówią medycy? Powiedz, wezyrze!

– Yahya Pasza przygotował dla naszego pana szербet-i fariğ^[51]. Kiedy trochę przestygnie, zaczną mu go podawać. Są pewni, że syrop uzdrowi sułtana.

Oczywiście było to kłamstwo. Niektórzy ze znajdujących się w jurcie uwierzyli, inni nie, ale wielki wezyr zyskał na czasie. Wiedział, że jeśli stan sułtana nie poprawi się, już nie mówiąc o śmierci, nie da rady zatrzymać tu żadnego z nich. Wszyscy popędzą za zyskiem i korzyściami. Większość była gotowa uznać zwierzchnictwo Bajazyda.

On miał jednak inny plan.

„Niech no zobaczę najpierw działanie tego szербet-i fariğ” – rozmyślał. – „Jeżeli faktycznie uzdrowi sułtana, nie będzie trzeba stosować żadnych środków zapobiegawczych”.

*

Tak się jednak nie stało. Syrop przygotowany przez dwóch żydowskich medyków zamiast przynieść sułtanowi Mehmedowi ukojenie, pogorszył jego stan. Sułtan zaczynał

tracić świadomość. Kiedy na równinie, gdzie stacjonowały wojska, rozległo się wieczorne wezwanie na modlitwę, próbował podnieść głowę z poduszki.

– Wezyrze...

Głos sułtana Mehmeda trudno już było nazwać nawet szeptem. Lacapo od razu podbiegł do niego, jednak wielki wezyr odepchnął medyka.

– Czy to ty jesteś wezyrem, efendi?

Mężczyzna chciał coś powiedzieć, lecz kiedy dostrzegł groźne spojrzenie Mehmeda Paszy, odsunął się w kąt.

Wielki wezyr ukląkł tuż przy głowie sułtana. Schylił się, by móc usłyszeć jego słowa.

– Tutaj jestem, mój panie.

Rzęsy Mehmeda drgnęły. Wielki wezyr poczuł przeszywający serce ból.

„Wolałbym umrzeć, niż widzieć w tym stanie sułtana Mehmeda Zdobywcę, który zburzył mury Bizancjum” – pomyślał.

– Dlaczego medycy targnęli się na moje życie, paszo?

Co? Czyżby źle usłyszał? Zaczął panikować.

Czy naprawdę sugerował coś takiego?

By zyskać pewność, zbliżył się jeszcze bardziej. Jego ucho niemal dotykało teraz warg sułtana.

– Co takiego, mój panie?

– Dlaczego... medycy... targnęli się... na moje życie, paszo?

Wzdrygnął się i przerażony odsunął do tyłu. Mój Boże! Trucizna!

Otruli sułtana Mehmeda!

Tysiące razy próbowali go zabić i w końcu im się udało.

Od razu przypomniał sobie szepty medyków:

– Koniecznie potrzebny jest szerbet-i fariğ – upierał się Lacapo, chociaż inni medycy go błagali.

– Yahya Paszo, proszę tego nie robić, ten syrop jest niebezpieczny. Ma wiele działań ubocznych. Jeżeli organizm sułtana go nie przyjmie, to, niech Allah strzeże, zamieni się w truciznę.

Jednak Lacapo i Valco uparcie obstawali przy swoim.

– Sprawdziliśmy to. Organizm naszego pana może być leczony tym syropem. Sami widzieliście, dziesiątki razy go badaliśmy. Na waszych oczach przeprowadziliśmy analizę krwi, moczu, żółci, a nawet płwocin. Bądźcie spokojni.

Jednak żaden z pozostałych medyków, oprócz dwóch Wenecjan, nie wyglądał na przekonanego. Stali i kiwali głowami na boki.

Nagle usłyszał w głowie głos Lacapo:

– To wszystko, co mogę zrobić. Jak widać, nie darzycie mnie zaufaniem. Teraz nie mamy już innego wyjścia. Jednak musicie wiedzieć, że jeżeli nie podacie sułtanowi szerbet-i fariğ, otrujecie go, ponieważ jego organizm sam zaczął się już zatruci. Oczywiście możecie nie podać mu syropu, weźcie jednak pod uwagę konsekwencje, włącznie ze śmiercią. To wszystko z mojej strony.

Śmierć? Kto w obliczu zagrożenia życia sprzeciwiłby się i nie podał sułtanowi leku? Kiedy Lacapo i Valco własnymi rękami poili sułtana szerbet-i fariğ, inni tylko się modlili. Nikt nie podszedł do nich, nie wyrwał im z rąk zatrutego syropu i nie powiedział: „Zabierzcie ręce od sułtana Mehmeda. Jeżeli umrze, bo tego nie wypił, to proszę bardzo, zabijcie mnie!”.

„Ja też nic nie zrobiłem” – jęknął w duchu Mehmed Pasza.

Teraz było już po wszystkim. Wyślizgnął się do tylnej części namiotu. Wyrzął na zewnątrz.

– Jedź – szepnął do spahisa czekającego na zewnątrz na grzbiecie konia. – Byle szybko. Bądź ostrożny. Wróg nigdy nie śpi.

Nie powiedział żołnierzom, że sułtan Mehmed przed chwilą wydał ostatnie tchnienie. Nie wiedział, jak długo uda mu się utrzymać to w tajemnicy.

Potrzebował tylko trochę czasu. Troszeczkę.

Kiedy zapadł zmrok, z koszar po cichu wyruszyło dwóch jeźdźców. Jeden z nich prędko niczym wiatr pędził w stronę Karamanu. Drugi udał się do stolicy.

Spahis wysłany do Karamanu miał przy sobie wiadomość napisaną na skrawku papieru przez wielkiego wezyra, Mehmeda Paszę: „Każda sekunda spóźnienia będzie drogo kosztować”. Çiçek Hatun będzie wiedziała, co miał na myśli.

Spahis skierował konia na drogę, która prowadziła w głąb Anatolii. Nie rozumiał, dlaczego wielki wezyr kazał mu uważać. „Co wróg miałby robić na tym pustkowiu?” – zaśmiał się w duchu.

Za późno usłyszał świst przesywanego powietrza. Strzała przebiła jego szyję na wylot. Taka była cena nieostrożności. Nie zdążył nawet pomyśleć, że inni również zapłacą za jego błąd.

Z ciemności wyłoniły się dwa cienie, które zbliżyły się do leżącego na ziemi martwego ciała. Jeden z nich sięgnął po skrawek papieru z zapisaną wiadomością i podał ją drugiemu.

– Jak najszybciej przekaz to bejlerbejowi Anatolii Abdullahowi Paszy.

[51] Szerbet-i fariğ – syrop powstrzymujący ból.

*Pałac w Karamanie**7 maja 1481*

Dziedziniec wypełniły odgłosy podków. Na początku nie zwróciła na to uwagi. Bardzo często śniło jej się, że jeździ konno. Kiedy rozległy się krzyki, otworzyła oczy. To nie był sen. Usiadła na łóżku. Teraz słyszała także pośpieszne kroki. Wstała, by wyjść na korytarz. Kiedy chciała zarzucić coś na koszulę nocną, z dołu rozległ się krzyk:

– O matko!

Stało się coś złego. Coś bardzo złego!

Ferimah rzuciła na łóżko okrycie, które trzymała w ręku, i w samej koszuli nocnej wybiegła z pokoju.

Słyszała coraz więcej krzyków.

– Niech spoczywa w pokoju!

– Mój Boże!

Ferimah wychyliła się za barierkę i spojrzała w dół. W świetle pochodni stajenni próbowali uspokoić dwa konie, którym z pysków kapiała piana. Dwóch mężczyzn biegło do góry po schodach, a za nimi podążali pachołkowie z pochodniami w rękach.

– Obudźcie się! – krzyczał jeden z mężczyzn. – Niech wszyscy się obudzą. Niech Al-Osman powstanie. Sułtan Mehmed Zdobywca...

Nie dokończył. W głowie Ferimah rozległ się krzyk. Szezhade...

Pędziła, ile sił w nogach. Była tuż za pachołkami niosącymi pochodnie.

– Szezhade! – krzyczała.

– Obudźcie się! Wstawajcie!

Uderzali pięściami we wszystkie mijane drzwi.

– Sułtan Mehmed nie żyje!

– Sułtan nie żyje!

Kiedy Ferimah była dokładnie na wysokości pokoju Çiçek Hatun, drzwi się otworzyły. Valide, nieokryta i z potarganymi włosami, stała w progu, rozglądając się z przerażeniem.

– Co się dzieje?

Ferimah nie zatrzymała się.

– Sułtan – wykrztusiła, mijając ją. – Sułtan nie żyje! Nie żyje! Nie żyje!

– Mój Boże!

Çiçek Hatun tak jak stała wybiegła na korytarz. Nie włożyła nawet butów.

– Szehzade, shehzade! Dżem!

Krzyki dochodzące z dołu zamieniły się w płacz i lament. Pałac w Karamanie rozpacział po zmarłym sułtanie.

Ferimah dotarła do drzwi komnaty shehzade Dżema. Zatrzymała się, by złapać oddech. „Boże, miej go w opiece” – błagała w myślach. Gdyby przed laty ktoś jej powiedział, że któregoś dnia z jej ust padną takie słowa, wyśmiałaby go. Teraz w modlitwę wkładała całą swą duszę. Chroń mojego shehzade!

Nie musiała już pukać do drzwi. Otworzyły się i ukazał się w nich Dżem w nocnej szacie. Za nim stała Nada. Pierwszy raz zobaczyła ją bez zaplecionych i zebranych w kok włosów.

– Ferimah – powiedział Dżem. Jego głos zdradzał panikę. Nie zapytał, co się stało. Wystarczył wyraz twarzy dziewczyny, przerażenie jego matki oraz krzyki dochodzące z dołu.

– Mój ojciec!

Çiçek Hatun odepchnęła Ferimah i stanęła naprzeciw syna.

– Twój ojciec nie żyje, shehzade. Zmarł zdobywca Konstantynopola.

W tamtej chwili stało się coś, czego nikt się nie spodziewał.

Ferimah podeszła do balustrady. Podniosła ramiona i rozłożyła je na boki. Głosy krzyjących i szlochających, którzy znajdowali się na dziedzińcu w morzu pochodni, zaczęły cichnąć. Dziewczyna pod białą koszulą nocną była zupełnie naga. W świetle pochodni jej ciało wyglądało jak rzeźba z kości słoniowej.

– Sułtan Mehmed! – krzyknęła, wciąż trzymając ramiona w górze. – Sułtan Mehmed nie żyje. Niech żyje sułtan Dżem!

Tłum wypełniający dziedziniec i korytarze na chwilę zamarł.

Głos Ferimah jeszcze raz rozdarł noc.

– Sułtan Mehmed nie żyje. Niech żyje sułtan Dżem!

Kilka chwil później pałac w Karamanie zaczął rozbrzmiewać krzykami radości:

– Niech żyje sułtan Dżem! Niech żyje sułtan Dżem! Niech żyje sułtan Dżem!

Na dziedzińcu, kilka minut wcześniej pogrążonym w martwej ciszy, tańczyły teraz pochodnie.

Odwróciła się i spojrzała za siebie.

Płomienisty Książę!

Dżem stał pośród żółtych, pomarańczowych i czerwonych płomieni. Tak jak wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy.

*

Uwagi Ferimah nie uszła niechęć posłańców, którzy wzbraniali się przed dołączeniem do radosnych okrzyków i owacji.

– Moja pani – powiedziała do Çiçek Hatun, wskazując na dwóch mężczyzn. Z radości miała ochotę jak motyl wzbić się w powietrze.

Valide od razu zrozumiała, o co chodzi, i klasnęła w dłonie.

– Prędeej, na dół. Otwórzcie największą salę. Niech przemówią ci, którzy przynieśli wieści.

Tak właśnie się stało. Jednak już po chwili okrzyki radości ucichły. Gülizar pobiegła po szklanę wody dla Çiçek Hatun. Twarz shehzade Dżema, który nawet na moment nie puścił ręki Nady, nagle pobladła.

– Trucizna? – wymamrotał Dżem. – Mój ojciec został otruty?

Starszy z posłańców odparł:

– Tak powiedzieli, shehzade.

Shehzade?

Ferimah zaczęła uważniej się przysłuchiwać. Pytanie, które cały czas chodziło jej po głowie, sprawiło, że jej entuzjazm opadł. Coś szło nie tak. Skoro ludzie krzyčili: „Niech żyje sułtan Dżem!”, dlaczego ten mężczyzna uparcie nazywał go „shehzade”?

Rozejrzała się dookoła. Nikt nie zwrócił uwagi na ten szczegół. Wszyscy zajęci byli roztrząsaniem, w jaki sposób sułtan został zamordowany. Tymczasem jej zupełnie nie obchodziło, w jaki sposób się to stało i kto się za tym krył. Przecież nie ona!

– Widziano, jak żydowski lekarz Lacapo, zwany Yahya Pasza, dosypywał coś do szerbet-i fariğ, który podał później sułtanowi – kontynuował posłaniec. – Nim sułtan wydał ostatnie tchnienie, zapytał wielkiego wezyra, dlaczego medycy targnęli się na jego życie.

– Mój Mehmedzie. Mój sułtanie...

Nikt nie zareagował na jęk Çiçek Hatun, który powoli przerodził się w lament.

– Co dalej? – powiedział Dżem głosem zdradzającym gniew. – Co zrobiono z tym Żydem?

– Spotkał go los, na jaki zasługuje zdrajca. Załatwiono to od razu. Tak samo rozprawiono się z tymi, którzy wiedzieli o jego zamiarach, ale nikogo nie ostrzegli. Wiele się wydarzyło, ale wiele jest też niewiadomych, shehzade.

Znowu shehzade!

Tym razem również Dżem zwrócił na to uwagę. Dopiero wtedy przyszło mu do głowy pytanie, które już dawno powinien zadać.

– Agowie, ile dni minęło, odkąd mój ojciec odszedł na wieczny spoczynek? Muszę to wiedzieć, żeby odpowiednio wykonać swoje obowiązki i należycie się przygotować.

– Dziś... – Z wahaniem wymamrotał starszy z posłańców. – Jeśli policzymy też dzisiaj...

– Powiedz, którego dnia, ago.

– Sułtan Mehmed odszedł od nas trzeciego dnia maja po wieczornym wezwaniu...

– Co takiego?

Głos należał do Çiçek Hatun. Nagle się ożywiła.

– Czyli minęły już cztery dni, odkąd nasz pan umarł?

Dżem poczuł chłód. Çiçek Hatun była przerażona, a Nada zaczęła się trząść. Ferimah czuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

Cztery dni!

Od śmierci sułtana Mehmeda minęły cztery długie dni. A oni nic o tym nie wiedzieli. Kto wie, co wydarzyło się przez ten czas. Dżem przechylił głowę i spojrzał na swoją matkę.

– No i co, valide? – zapytał wyraźnie zraniony. – Wielki wezyr miał nas natychmiast poinformować. Czy to znaczy...

Młodszy z posłańców zakaszłał.

– Wielki wezyr bezzwłocznie wysłał jednego z żołnierzy z wiadomością do Karamanu, shehzade. Ciało naszego pana jeszcze nie zdążyło ostygnąć, gdy...

– No i co, posłaniec paszy zgubił się po drodze, ago? Cztery dni?

Tym razem zakaszłał starszy posłaniec.

– Po drodze został zabity, shehzade, a kartka z wiadomością skradziona.

Wielkie nieba! Wszystko poszło nie tak. Cały misternie ułożony plan na nic. A może nawet...

Ferimah spojrzała na Dżema. Aż trzął się ze złości.

– Czyżby więc tron Al-Osman od czterech dni stał pusty?

Oczy Dżema płonęły. Obaj mężczyźni patrzyli przed siebie.

– Prędeż, mówcie. Co, nagle zapomnieliście języka w gębie? Czy Al-Osman zostało bez władcy?

– Nie – wydusił z siebie w końcu starszy z mężczyzn. – Wielki wezyr próbował ukryć przed żołnierzami śmierć sułtana. Jednak kiedy wrócił do stolicy, Stambuł powstał. Ktoś dowiedział się o śmierci sułtana i ogłosił to wśród ludu. Rebelianci zaczęli podkładać ogień pod domy. Wielkiego wezyra Mehmeda Paszę zabili, kiedy próbował ich powstrzymać. A shehzade Bajazyd...

Çiçek Hatun nagle wzdrygnęła się.

– Bajazyd jest w Dersaadet?

– Nie... Jednak, jak wiesz, pani, jego syn, shehzade Korkut, przebywa w pałacu. Żołnierze go odnaleźli, a Bejlerbej Anatolii Abdullah ogłosił shehzade Korkuta regentem do czasu przybycia z Amasji i objęcia tronu przez jego ojca Bajazyda. Żołnierze przychodzą i oddają mu hołd.

– Uznali zwierzchnictwo dziecka? – Çiçek osunęła się na ziemię.

– No pięknie – powiedział Dżem. Po chwili jednak dodał szeptem, który usłyszała tylko Ferimah. – Wilk.

– Jaki wilk, shehzade?

Dżem pokiwał głową.

– Rdzawy wilk. W ten sposób uwolniłem się od niego.

Ferimah spojrzała na niego kątem oka. Na twarzy Dżema malował się dziwny uśmiech. Opowiedział jej o wydarzeniach sprzed wielu lat: o spotkaniu z derwiszem i rdzawym wilkiem w górach Kastamonu, o zabiciu bestii i radach starca. Całymi latami obawiał się powrotu wilka, ale nie potrafił uwolnić się od dumy i rządu, ulegał więc swoim ambicjom. To dlatego teraz w duchu się ucieszył. „Tron został zajęty. Już nic nie mogę zrobić” – pomyślał. Mimo to wiedział, że kryje się w nim jeszcze inny Dżem, który teraz na pewno krzyknie: „Nie! Powinieneś walczyć!”.

Ferimah poczuła w sercu zawieruchę panującą w duszy Dżema. Cierpiała, widząc go pokonanego i bezsilnego. Przegrana oznaczała śmierć, a walka – nadzieję.

– To ty jesteś wilkiem, shehzade.

Dżem usłyszał te słowa, ale tylko spojrział na nią z uśmiechem. Odwrócił się do matki, rozłożył ramiona na boki i powiedział:

– Nie pozostało nam nic innego, jak czekać na wyrok sułtana Bajazyda, valide.

– Nie!

To był głos Nady.

– Nie możesz tego zrobić. Na co chcesz czekać? Na katów? Aż Bajazyd każe zabić ciebie, mnie, naszego syna, twoją matkę? – Po kolei wskazywała palcem osoby znajdujące się w sali. – Aż zabije całą twoją służbę?

Shehzade zwrócił się do niej:

– Co w takim razie mam zrobić? Stanąc przed jego obliczem, ucałować jego szatę i błagać o darowanie życia?

– Nigdy. Na tronie zasiada dziecko. Natychmiast wsiądź na konia i pędź do stolicy. Strąć chłopca z tronu, jakbyś zupełnie słusznie go karcił. Kiedy żołnierze cię ujrzą, shehzade, od razu staną po twojej stronie. No już, nie traćmy czasu.

Nada klasnęła w dłonie i skierowała się w stronę wyjścia.

– Hej, wy tam! Powiedzcie stajennym, żeby przygotowali konia shehzade i cały oddział strażników. Prędszej, prędszej, bez ociągania!

Çiçek Hatun zamyśliła się. Próbowwała pozbierać myśli.

– To byłoby samobójstwo.

Co? Nada z prędkością błyskawicy odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos. Kto śmiał się jej sprzeciwiać?

Zobaczyła stojącą pośrodku sali Ferimah.

– Czy... Czy to ty się odezwałaś?

– Tak. Powiedziałam, że wyjazd do stolicy to samobójstwo.

Z tłumu dało się słyszeć jeszcze jeden głos:

– Ma rację.

Wszyscy odwrócili się w tamtą stronę. Ich oczom ukazał się derwisz, który od miesięcy spotykał się w posiadłości z shehzade Dżemem.

– Nawet gdybyśmy byli ptakami i mogli latać, nie będziemy w stanie dotrzeć do Stambułu przed shehzade Bajazydem. Być może nawet przypasał już miecz i zasiadł na tronie – powiedział Ebu heyr Rumi.

„I już dawno wysłał po nas katów” – pomyślała Çiçek Hatun. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć lub zrobić.

– W takim razie my postawimy tron w innym miejscu. – Po Sali znów rozniósł się głos Ferimah.

Nada nie spuszczała z niej wzroku. Nagle tupnęła nogą o ziemię i zwróciła się do Dżema:

– Tracimy tylko czas. Będziemy słuchać dobrych rad jakiejś służki i tego... tego podstarzałego derwisza? Czekasz, aż nas zamordują?

– Wilk powrócił!

Wszyscy byli zaskoczeni. Wśród tłumu byli nawet tacy, którzy myśleli, że w panicznym strachu przed śmiercią Dżem postradał zmysły.

– Niech wraca! – krzyknęła Ferimah. – Niech wilk wraca. Niech rdzawy wilk wraca! – Nie mogła się powstrzymać i zaczęła klaskać.

Dżem wybrał walkę. Nikt nie zrozumiał, o co chodzi, a on nie miał czasu tego tłumaczyć. Nagle wstał.

– Wyślijcie wiadomości do wszystkich bejów w sandżaku – rozkazał. – Ja jestem Dżem, syn świętej pamięci sułtana Mehmeda Zdobywcy. Zatajenie przede mną śmierci mego ojca i zabójstwo posłańców oznacza tylko jedno: spisek. Być może za medykami, którzy otruli sułtana, stoją jeszcze inni zdrajcy. Tron Al-Osman został skradziony. Nawet jeśli zasiadłby na nim jakiś aga lub pasza, nie uznaję go.

Wszyscy zamilkli. Nagle Dżem wskazał dłonią na swoich ludzi.

– Dzisiaj jest czas, kiedy muszę poznać swoich przyjaciół i wrogów. Kto uważa mnie za przyjaciela, niech wystąpi i stanie po mojej stronie. Bej, aga, rzemieślnik, rolnik

czy wieśniak – niech wszyscy, którzy chcą poświęcić się walce o skradziony tron mojego ojca, wiedzą, że na nich czekam.

Spojrzał na tłum, który w ciszy i z zapartym tchem słuchał go jak zaczarowany.

– Jeśli skradziony tron Al-Osman znajduje się w podbitym przez mojego ojca Islambolu, to kiedy, jak nie dziś, sięgnąć trzeba po tron Osmana Gazi i Orhana Gazi w Bursie? Przybędę do miejsca, gdzie pochowany jest mój przodek Murad, i wyzwolę Bursę. Będzie to wiadomość dla całego Al-Osman – nadchodzi ocalenie!

Z tłumy zaczęły dochodzić głosy: „Allahuekber!”.

– Dalej! – zagrzemiał Dżem. – Niech odważni pokażą, na co ich stać! Niech ci, co nas kochają, pójdą za nami! Wyruszamy na wojnę!

Niektórzy zaczęli płakać. Çiçek Hatun już dawno przestała powstrzymywać łzy.

„To jest właśnie mój shehzade!” – pomyślała. – „Mehmedzie, popatrz! To jest właśnie twój syn!”

W pośpiechu zaczęły się przygotowania. Na czele biegło czterech sprzymierzeńców Dżema. Derwisz Ebu heyr Rumi. Służąca Ferimah. Valide Çiçek Hatun. Serbka Nada!

Ferimah nie wierzyła w to, co się stało, ani w to, co sama zrobiła i powiedziała.

„Czy naprawdę to uczyniłam? Ja?” – pytała w duchu samą siebie. – „Czy to ja sprawiłam, że wyrusza sięgnąć po tron sułtana Mehmeda? Czy to ja jestem osobą, która martwi się o niego, razem z nim dzieli smutek, pragnąc, by podniósł sztandar zwycięzcy? Jeśli tak, to gdzie podziało się moje prawdziwe »ja«?”

Wybiegła na dziedziniec. Pochodnie falowały jak morze.

Shehzade, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy, dosiadł rumaka z płomieni. Gorejący koń stanął dęba. Na ostrzu miecza, który Dżem uniósł do góry, tańczyły tysiące czerwonych świateł.

„Wilk powrócił” – zabrzmiał w jej głowie głos. – „Niech będą dzięki, wilk powrócił!”

Nic więcej nie miało już w tej chwili znaczenia. Prawo należy się temu, kto naprawdę je posiada. Tym kimś był jej Płomienisty Książę, to wszystko.

Ferimah pobiegła w stronę Dżema. Zapomniała, że cały czas ma na sobie tylko lnianą koszulę nocną, która plątała się między nogami. Złapała ją jedną ręką i podwinęła aż do kolan, nie dbając o to, że wszyscy mogli zobaczyć jej łydki. Przecież była tylko służącą!

Na kogoś wpadła, kogoś potrąciła. Jakiś mężczyzna się przewrócił. Nie obchodziło ją to. Pędziła dalej, cały czas krzycząc, ile sił w płucach:

– Niech żyje sułtan Dżem!

Głos jak echo podniósł się ze wszystkich stron posiadłości.

– Niech żyje sułtan Dżem!

Rzym, pałac papieża

Wiosna 1481

– Wskaż mi drogę – wyszeptał do Jezusa na krzyżu. – Co mam robić?

Francesco della Rovere znajdował się w komnacie, w której, jak wielu chciało wierzyć, dusza papieża oddala się z tego świata i wznosi się do nieba, by porozmawiać z Bogiem i otrzymać od niego natchnienie.

Kolana bolały go od wielogodzinnego klęczenia. Bał się.

„Dlaczego miałbym się nie bać?” – pomyślał. – „Turcy zmierzają na północ. Do mnie. Do Rzymu”.

Gdyby nie opór Neapolu, już dawno stanęliby u bram miasta. Na szczęście tam, gdzie zawiedli europejscy królowie, z pomocą przyszli zwykli mieszkańcy. Mężczyźni, kobiety, dzieci – wszyscy zaangażowali się w obronę. Podpalali swoje wsie i pola, by wędrujący na północ Turcy nie mieli zaopatrzenia. Zatruli studnie.

Jednak papież Sykstus IV nie miał powodu do zadowolenia. Siedział jak na szpilkach. Sułtan Mehmed wraz ze swoim wojskiem opuścił Konstantynopol. Nie panikowałyby tak bardzo, gdyby wiadomość ta wyszła tylko z jednego źródła. Jednak zarówno ambasador Genui, jak i ambasador Wenecji przekazali Rzymowi identyczne informacje w odstępie zaledwie jednego dnia.

– Armia osmańska maszeruje. Z sułtanem na czele!

Boże, dokąd Mehmed wybierał się tym razem?

Osiem lat temu jego szpieg z sułtańskiego pałacu przekazał wiadomość o wymarszu wojsk z Konstantynopola, co wszystkim spędziło sen z powiek. Tak jak on bali się, że Osmanowie zmierzają na zachód. Kiedy Europa pogrążyła się w coraz większej panice, Mehmedowi udało się wszystkich zmylić – udał się na wschód, gdzie odniósł kolejne wspaniałe zwycięstwo. Wszystkie przygotowania poszły na marne, chociaż dzięki nim do Rzymu całymi strumieniami płynęły pieniądze. Dokąd tym razem zmierzał Mehmed? Na Rzym? Na Rodos? Gdzie?

Na Rodos?

Papież wzdrygnął się. Skąd przyszedł mu do głowy Rodos? Wcześniej w ogóle o tym miejscu nie myślał. A teraz nagle... A może faktycznie ta komnata miała w sobie jakąś boską moc? Czy było to ostrzeżenie, które zesłał mu Bóg?

A może atakiem na Otranto Turcy chcieli ich tylko zmylić? Może właściwą flotę Mehmed ukrył gdzieś na południowych wybrzeżach, a statki, które wylądowały w Italii, miały nagle skierować swoje stery na południe? Razem z sułtanem Mehmedem mieli zaatakować swój właściwy cel: Rodos!

– Czy Roma, czy Rodos – powiedział, patrząc się na ukrzyżowanego Jezusa. – Co za różnica? Na Rodos też są twoi rycerze.

Owszem, Rodos nie mógł równać się z Rzymem, jednak był dla chrześcijan bardzo ważny. Templariusze, którzy spieszyli na pomoc Jerozolimie, schronili się na wyspie po zajęciu miasta przez Saladyna. Pewnego dnia mieli wsiąść na statki i popłynąć na ratunek Jerozolimie.

Nagle jakby usłyszał głos króla Francji, nie wiadomo którego już z kolei Ludwika:

– Jeżeli Bóg zechce.

Pomimo całego strachu i zgryzoty zaśmiał się. Jeżeli sułtan Mehmed zaatakuje Rodos, Rzym będzie uratowany. Przynajmniej za jego panowania. Nie przejdzie do historii jako „papież, który uciekł, zostawiając Rzym na pastwę niewiernych”.

A co, jeśli myśl, która narodziła się w jego głowie w tej boskiej komnacie, była zwodnicza? Jeżeli Mehmed wcale nie zmierza na Rodos, tylko faktycznie do Rzymu?

– Boże – wyszeptał. – Jest tyle rzeczy, których się obawiam. Od lat rozdaję złoto na prawo i lewo, żeby ktoś w końcu zabił Mehmeda, tymczasem on nadal żyje, a ja umieram tutaj ze strachu.

Powieki zaczęły mu ciążyć. Sen spadł na niego z całą swoją mocą. Nie opierał się. Położył się na marmurowej posadzce w nadziei, że Bóg we śnie ukaże mu rozwiązanie sytuacji. Nawet jeśli się tak nie stanie, to gdy wyjdzie z komnaty, oznajmi kardynałom owoc boskiego natchnienia.

*

Mój Boże.

Papież Sykstus IV poderwał się ze strachem.

Co się dzieje? Z zewnątrz dochodziły odgłosy kul armatnich. W głowie Francesco zabrzmiał krzyk: „Matko! Turcy!”.

Kule armatnie Wielkiego Turka, które zburzyły Konstantynopol, teraz uderzały o mury Rzymu. Został uwięziony w czterech ścianach. Nie miał dokąd uciec. Kiedy otworzy drzwi, ukaza mu się zapewne przerażający Turcy z palami w dłoniach^[52].

– A niech to szlag! – przeklinał głośno. – Utknąłeś tutaj. I co teraz zrobisz?

Odgłosy kul armatnich wydawały się coraz bliższe. Uderzały dokładnie w miejsce, gdzie znajdowała się komnata boskiego natchnienia.

– Wielki Jezu, Święty Piotrze, wszyscy święci! – krzyknął. – Nie dokończyłem jeszcze kaplicy na waszą cześć. Gdybym chociaż mógł ją zobaczyć!

Niewierni na pewno ją zniszczą i zburzą. Teraz jednak nie dbał już o nic, ani o Kaplicę Sykstyńską, ani o Rzym, ani o Rodos. Osmańska armia przeprowadzała atak. W tej chwili nic nie było ważniejsze od jego życia. Zaczął biec w stronę drzwi.

– Co, do jasnej...! – syknął. Papieski kaftan oraz długa, ciężka szata wkładana pod spód nie pozwalały mu na szybki bieg. Złapał szatę rękami, z obu stron unosząc ją do kostek, i ruszył w kierunku wyjścia.

Kule armatnie huczały. Wielkie drzwi z brązu całe się trzęsły. Boże! To nie były odgłosy kul armatnich. Ktoś uderzał w drzwi z całej siły.

Taran!

Czyżby wyważyli drzwi do pałacu i w ten sposób dostali się do środka? W takim razie drzwi do komnaty nie będą dla nich żadną przeszkodą. Zabiją go.

Nie mógł nic zrobić. Zginie. Powinien chociaż zginąć jak bohater. Może kiedyś ogłoszą go świętym? Zostałby świętym Franciszkiem. W jego imieniu odprawiano by msze, na jego cześć wznoszono by kościoły. Oczywiście, jeżeli chrześcijaństwo przetrwa.

Włożył w zamek przewieszony przez szyję klucz. Przekręcił go i przymknął oczy.

Drzwi zaczęły się otwierać. Nic nie widział. Czekał na cios pali, która rozplata mu głowę, oraz kopii, która przeszyje pierś.

Ale nic takiego się nie stało.

– Wasza Świątobliwość!

Kogo wołali? Czyżby jego?

– Przynosimy dobrą nowinę! – krzyczał ktoś inny. Poznał jego głos. Był to Baccio Pantenelli, jeden z dwóch architektów Kaplicy Sykstyńskiej.

Kiedy rozchylił powieki, zauważył klęczącą przed nim postać. „To Giovanni de Dolci” – pomyślał. – „Drugi z architektów kaplicy”.

– Dobra nowina! – wołali wszyscy naokoło.

Ponieważ jego umysł nie do końca uwolnił się jeszcze od paniki, z trudem pojmował, co się wokół niego dzieje. O jakiej dobrej nowinie mówili ci wszyscy ludzie?

– Mehmed nie żyje!

Co? Kto umarł?

– Sułtan Mehmed nie żyje!

Francesco della Rovere dopiero w tamtej chwili odzyskał pełną świadomość.

Umarł? Czyżby Wielki Turek umarł? Czyli jego szpiedzy w końcu na coś się przydali. Był uratowany. Rzym też.

W jednej chwili zrzucił z twarzy resztki oznak strachu. Spojrzał na kardynałów, dostojnie okazujących mu szacunek, na strażników i na dwóch architektów.

– Bóg ogłosił mi dobrą nowinę w komnacie boskiego natchnienia – powiedział zimnym jak lód głosem. – Nasz ojciec Jezus polecił mi przekazać ją wszystkim wierzącym.

Sprzed pałacu dochodził narastający z każdą chwilą hałas.

– Co się dzieje, ojcze Cybo? – zapytał kardynała Giovanniego Batistę.

– Chrześcijananie – odpowiedział z entuzjazmem. – Tysiące, dziesiątki tysięcy chrześcijan przybyło, by zobaczyć Ojca Świętego.

– Moja tiara.

Książ, który sprawował pieczę nad papieskim nakryciem głowy, od razu wsunął ją papieżowi na czoło.

– Pastorał.

Duchowny podał mu również pastorał.

– Chodźmy.

Powoli wszedł po schodach. Kiedy strażnicy otworzyli drzwi, wielotysięczny tłum wypełniający plac nagle ucichł.

Papież Sykstus IV powoli zrobił dwa kroki i ukazał się zebranym. W jednej chwili cisza została przerwana. Rozległ się niebywały krzyk. Modlitwy, oklaski i wołania mieszały się ze sobą.

„Jakim cudem ci ludzie dowiedzieli się o śmierci sułtana przede mną?” – zastanawiał się.

– A co ci do tego? – wyszeptał. – Jakoś musieli się dowiedzieć. Nieważne. Przeszedłeś do historii jako papież, który odpłacił się za podbój Konstantynopola.

Francesco della Rovere podniósł pastorał i zrobił jeszcze jeden krok. Tłum kipiał z ekscytacji.

– Rzymianie! – Jego głos był zachrypnięty, lecz silny.

– Chrześcijanie! Zemsta się dokonała! Nie żyje sułtan, który skradł tron Wielkiego Konstantyna.

Plac znów wypełniły wiwaty.

– Rzymie, Jerozolimo! Wielki Turek nie żyje. Wschód, Zachód, Południe i Północ, usłyszcie mój głos. Wielki Turek nie żyje!

Tłum był coraz bardziej rozgorączkowany. Krzyczeli, modlili się, wyciągali w jego stronę krzyże, tupali. Ziemia pod stopami tysięcy ludzi zaczęła się trząść. Siedem wzgórz Rzymu ogarnął zgiełk, który niósł się daleko, sprawiając wrażenie, jakby pękała ziemia.

Papież jeszcze raz podniósł swój pastorał. Prawą dłonią pobłogosławił zebranych na placu ludzi.

– Bogu niech będą dzięki. Zemściłem się na Mehmedzie za podbój Wschodniego

Rzymu!

Wielki dzwon z brązu, znajdujący się w niedokończonej jeszcze Kaplicy Sykstyńskiej, zabrzmiał po raz pierwszy, aby ogłosić śmierć sułtana Mehmeda Zdobywcy, który zrównał z ziemią Bizancjum.

Nagle wszystkie dzwony w całym Rzymie, zarówno małe, jak duże, zaczęły bić. Ich dźwięk niósł się po całej Italii, później po całej Europie, aż w końcu dotarł do każdego zakamarka chrześcijańskiego świata.

Kiedy Rovere schodził po schodach do kaplicy, aby wziąć udział w mszy dziękczynnej, na korytarzu rozległy się odgłosy kroków oraz szczęk broni.

– Wasza Świątobliwość.

„Co znowu?” – pomyślał z niezadowoleniem.

Na końcu korytarza dostrzegł oddział strażników. Wśród nich szedł dowódca, porucznik Dipietro.

– Mój panie, niesiemy dobrą nowinę!

– Już słyszeliśmy – odburknął papież. – Cały Rzym aż huczy, a ty dopiero teraz się dowiadujesz?

Z trudem łapiąc oddech, porucznik uklęknął przed nim. Schylił głowę.

– Przynoszę wieści od Don Alfonsa.

Wszyscy pobledli. Nikt nie odważył się zapytać, z jaką wiadomością walczący w Otranto z Osmanami diuk Kalabrii, Don Alfonso, przysłał porucznika.

– Turcy zaczęli się wycofywać, Wasza Świątobliwość. Czmychają na wszystkie strony. Żołnierze wracają do Otranto. Paszowie w najbliższym porcie wsiedli na jeden z galeonów i uciekli jako pierwsi.

^[52] Pala – szabla turecka, używana w czasach Imperium Osmańskiego; miała dość szeroką głownię zakrzywioną pod dużym kątem, zazwyczaj wykutą ze stali damasceńskiej; jej rękojeść wykonana była z czarnego dębu lub rogu; służyła wyłącznie jako broń piechoty, w szczególności janczarom.

Nowy Pałac, komnata spotkań rady dywanu

Nikt nie zdobył się na odwagę, żeby zabrać głos. Wezyrowie, którzy przybyli na poranną radę dywanu, nie wiedzieli, co usłyszą, a tym bardziej, co powiedzą. Nie zdążyli się jeszcze otrząsnąć po stracie sułtana Mehmeda, a na tron wstąpił już szehzade Bajazyd.

Wszyscy byli zdezorientowani.

Bali się, że państwo pozostanie bez władcy, tak jak po śmierci Bajazyda I Błyskawicy. Osmanowie panicznie bali się bezkrólewia.

Za to teraz państwo miało dwóch władców. Nikt nie odważył się tego powiedzieć, wszyscy tak jednak myśleli. Czyżby imię „Bajazyd” zostało przeklęte? Hodźowie mówili, że to bzdury, jednak oczywistym było, że potajemnie sami tego nie wykluczali. Nawet jeśli to imię nie było przeklęte, miało w sobie coś dziwnego. Czyż po śmierci pierwszego Bajazyda jego czterech synów nie szarpało przez czternaście lat Al-Osman, które było niczym statek bez steru, pochłaniany przez wzburzone morze?

Teraz dwóch synów sułtana Mehmeda toczyło walkę o tron. W rzeczywistości to teść Bajazyda, bejlerbej Anatolii Abdullah, podstępem otworzył mu drogę do władzy, jednak młody szehzade z Karamanu nie uznawał jego panowania.

Zrobili wszystko, by nie wydało się, że sułtan Mehmed został otruty, jednak na próżno. Był wprawdzie bardzo chory, jednak tak nagła śmierć stała się przedmiotem narastających z dnia na dzień plotek. Podsyczał je Dżem, który o maczanie palców w śmierci ojca oskarżał jeśli nie swego brata osobiście, to z całą pewnością bejlerbeja Anatolii Abdullaha.

Wezyrowie, uczeni, ulemowie, a co najgorsze, również wojsko – wszyscy dzielali te obawy. Nawet dodatkowe pieniądze nie uspokoiły nastrojów panujących wśród żołnierzy. Koszary janczarów, marynarki i spahisów aż huczały od plotek. W głowach pojawiały się dziesiątki, setki pytań.

Jeżeli Mehmed faktycznie został zabity, kto mógł za tym stać?

Kto przygotował zatruty syrop? Kto stał za medykiem Lacappo, który podał go sułtanowi? Rzym?

Czy przypadkiem śmierć zabrała sułtana, gdy stacjonował z armią w Gebze, szykując się na wyprawę przez Peloponez do Italii? Czyżby Kościół, który poprzysiągł

zemstę za podbój Bizancjum, po dziesięciu próbach zabójstwa sułtana Mehmeda, za jedenastym razem odniósł sukces?

A może choroba sułtana wzmogła ambicje szehzade Bajazyda, który chcąc prędzej zasiąść na tronie, wplątał się w coś, co nie powinno mieć miejsca?

Wezyrowie, którzy znali pobożność sułtana Bajazyda, mówili: „Nigdy! Bajazyd jest dobrze wychowany, ma idealne maniery; nie potrafiłby nawet krzywo spojrzeć na swojego ojca. Możemy zagwarantować, że nic takiego się nie wydarzyło”. Ale im również nikt nie wierzył. Kto traktowałby serio takie poręczenia, kiedy wszyscy gonili za wysokimi pozycjami, stanowiskami oraz pieniędzmi i prześcigali się, chcąc zaimponować nowemu sułtanowi?

Przygnębiony İshak Pasza westchnął:

– Niech Allah sprawi, by dobrze się to dla nas skończyło. Dalej brak wieści od gońców, których sułtan wysłał do szehzade Dżema.

Kiedy Ayas Pasza wymamrotał coś niezrozumiałego, İshak Pasza wystąpił krok naprzód.

– Nie uprawiaj tutaj brzuchomówstwa, Ayas. Powiedz tak, żeby wszyscy słyszeli.

Błada jak ściana twarz Ayasa nagle zapłonęła czerwienią.

„Zapamiętam to” – pomyślał. – „Nie myśl sobie, że puszcę ci to płazem tylko dlatego, że kiedyś byłeś wielkim wezyrem sułtana Mehmeda”.

Żeby nie dać po sobie poznać złości, nie odwrócił się w stronę İshaka Paszy, tylko odpowiedział, patrząc na ścianę, jakby zwracał się do niej:

– My tu sobie gawędzimy, ale w każdej chwili do sali może wejść sułtan, dlatego szeptałem, to wszystko. Nie uprawiam żadnego brzuchomówstwa. – Zamilkł na chwilę.

– Nic to – westchnął. – Powiedzieliście, że nie ma wieści od gońców wysłanych do Dżema. A mnie chodziło właśnie o to, że są, İshak Paszo.

Nagle oczekujący na pojawienie się sułtana wezyrowie zaczęli szeptać między sobą:

– Są? Jak to? Są wieści od posłańca?

– No i? – przerwał im Kodża Davut Pasza. – Co powiedział szehzade? Mam

nadzieję, że posłaniec sułtana powrócił z dobrą nowiną, która zakończy ten spór.

„Oszuści” – pomyślał Ayas. – „Wszyscy są szpiegami Dżema. Kiedy mowa o sułtanie, wszyscy milkną, ale kiedy pojawia się temat shehzade, oczy aż im się świecą. Jaki shehzade? To buntownik”.

Doznał uczucia, jakby wyciągnął miecz i szykował się do ścięcia stojącego przed nim mężczyzny. Zrobił krok do przodu.

– Goniec wysłany przez najjaśniejszego sułtana nie wrócił. Dżem nawet go nie wysłuchał. Kazał zabić biedaka na oczach wszystkich.

Wezyrowie zamarli. Teraz sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej. Zabicie posłańca sułtana oznaczało koniec jakichkolwiek nadziei na porozumienie. Shehzade Dżem spalił za sobą wszystkie mosty.

Ayas Pasza z zadowoleniem westchnął, widząc reakcje Kodży Davuta Paszy oraz İshaka Paszy:

– Buntownik. Nic już do niego nie trafia. Jedyne wyjście to prawo wydane przez sułtana Mehmeda, dla zapewnienia jedności...

– Ayasie – ostro przerwał mu Kodża Davut Pasza. – Zwykłym śmiertelnikom nie przystoi wypowiadać się bez znajomości tematu, i to jeszcze w chwili tak trudnej dla Al-Osman. Mówisz o shehzade wspomnianego przez ciebie świętej pamięci sułtana Mehmeda. Uważaj na słowa.

– Paszo – Ayas również nie dawał za wygraną.

Zbliżyli się do siebie, niemal stykając się pięściami. Jednak Ayas nagle złagodniał:

– Skoro tak, niech będzie chociaż shehzade buntownik.

Gdyby w tym momencie strażnik stojący przy drzwiach nie odezwał się, do walki o tron doszłaby jeszcze kłótnia wezyrów.

– Jego wysokość sułtan Bajazyd.

Sułtan Bajazyd wszedł do sali, stawiając duże kroki. Głowę miał schyloną i nawet nie spojrzał na pozdrawiających go wezyrów. W ręku trzymał książkę, którą położył na małym stoliku. Usiadł na dywanie, jedno z kolan podciągając pod brodę. Siedział tak przez chwilę, przerzucając bursztynowy tespih^[53] o dziewięćdziesięciu dziewięciu paciorkach.

Pyk. Pyk. Pyk.

– Gdzie jest Gedik? – zapytał nagle i spojrzał na siedzących przed nim wezyrów. Jego pulchne usta poruszyły się. Myśleli, że chce coś powiedzieć, ale nie odezwał się. Zamiast tego jeszcze trzy razy przerzucił paciorki tespih.

Pyk. Pyk. Pyk.

– Czyli nie wrócił. Czyżby mój rozkaz do niego nie dotarł? Czyżby powrót z Otranto był rzeczą zbyt trudną?

– Mój panie – odezwał się İshak Pasza i wystąpił krok do przodu. – Z rozkazu waszego ojca Gedik w końcu kwietnia wyruszył z Otranto na północ. – Umilkł i zakaszłał.

Kodża Davut Pasza próbował kontynuować, jednak İshak mu nie pozwolił.

– W stronę Rzymu – dodał znaczącym głosem. – Gdy tylko otrzymał rozkaz sułtana, wyprawa natychmiast została zatrzymana. Część żołnierzy została w twierdzy Otranto, a pasza wsiadł na pierwszy statek i wyruszył w drogę powrotną.

Bajazyd spojrzał na niego kątem oka. Mężczyzna mówił tak szybko, że nie mógł teraz złapać tchu.

Kodża Davut Pasza skorzystał z okazji i odezwał się:

– Powrót Gedika Paszy jest bliski, mój panie.

Sułtan wskazał na wezyrów ręką, w której trzymał tespih. Znów poruszył wargami, jednak z jego ust nie padły żadne słowa.

– Maszallah^[54] – powiedział po chwili. – Iluż to sprzymierzeńców wśród członków dywanu ma Gedik Pasza.

Wezyrowie spojrzeli po sobie. Te słowa nie mogły oznaczać nic dobrego. Sułtan postanowił dokładniej przyjrzeć się i samemu Gedikowi Paszy, i jego popiecznikom. Ale dlaczego?

İshak Pasza odwrócił się powoli w stronę Ayasa Paszy. Wzdrygnął się, widząc w oczach mężczyzny satysfakcję. To był właśnie powód podejrliwości sułtana.

„Nie dość, że twoja matka podburza cię przeciw wszystkim?” – pomyślał,

z powrotem odwracając się do sułtana. – „Ayasa też słuchasz, Bajazydzie? Jego nie zaspokoi nawet rozlew krwi!”

Bajazyd nagle sięgnął po książkę, którą wcześniej położył na stoliku. Otworzył ją na zaznaczonej stronie.

– Allah nam świadkiem, że do tej pory wybaczyliśmy mu wszystko. Jest młody i ma w sobie dużo entuzjazmu. Podjął decyzję pod wpływem chwilowego gniewu. Wiemy, że kiedyś wysłuchał podszeptów szatana i zachował się równie niedojrzale wobec naszego ojca. Byliśmy cierpliwi, myśleliśmy, że kiedy zazna nieco spokoju, to zrozumie swój błąd.

Podniósł głowę i spojrzał na wezyrów.

– Czemu milczycie, agowie? Czyżbyście na własne oczy nie widzieli tego, czego świadkiem był Allah?

Davut Pasza w jednej chwili wystąpił krok do przodu.

– Słudzy Allaha też byli tego świadkami, mój panie.

Kilku wezyrów pokiwało głowami. Dało się również słyszeć szepty: „Byliśmy świadkami”.

Bajazyd ponownie schylił głowę i spojrzał w tekst.

– Jednak czara goryczy została przelana. Mój brat kazał zabić gońca, którego wysłałem do niego razem z mnóstwem podarków, podarł i spalił moją wiadomość. Jakby tego było mało, nasłał na mnie swoje wojsko. Nie pozostawia mi wyboru.

Wziął książkę w dłonie i podniósł ją w stronę wezyrów.

– To, że wstąpiłem na tron mojego ojca, nie znaczy, że zapomniałem o dekrete.

İlyas Pasza chciał coś powiedzieć, nie dał jednak rady. Kodza Davut Pasza uniesieniem brwi dał mu znak, by siedział cicho.

– Skoro zostałem pobłogosławiony tronem Al-Osman i skoro mój brat nie uznaje mojej władzy, nie przybył i nie ucałował ani mej dłoni, ani mej szaty...

Sułtan Bajazyd znalazł w książce odpowiedni fragment i, wskazując pulchnym palcem jeden z wersów, przeczytał:

– Którykolwiek z moich synów zostanie pobłogosławiony i zasiądzie na tronie, ma prawo zabić swoich braci w imię jedności władzy w państwie. Wszyscy ulemowie stwierdzili, iż jest to dozwolone.

Zamknął książkę jednym ruchem dłoni, w której ją trzymał.

– Skoro prawo ustanowione przez mojego ojca ma poparcie ulemów, to czyż błędem będzie postępować według dekretu o utrzymaniu jedności władzy w sytuacji, w której się znajdujemy?

Ayas Pasza natychmiast wysunął się naprzód:

– Oczywiście, że nie, mój panie. Zabicia buntownika wymaga od nas nasza religia.

Kilku wezyrów wymamrotało coś pod nosem:

– Tak... Tak jest.

– Skoro tak, podejmijcie właściwe kroki. A buntownik, który wysłał wojsko na Al-Osman, w odwecie musi zostać spoliczkowany.

Bajazyd zamilkł. Wezyrowie jeden po drugim zaczęli wychodzić z sali. Wzrok sułtana zatrzymał się na Ayasie Paszy.

– Pokaż, na co cię stać, Ayasie. Zmieć z powierzchni ziemi armię tego buntownika. Nie waż się wracać, zanim wykonasz wyrok.

Podekscytowany Ayas padł sułtanowi do stóp i ucałował jego szatę. W środku aż gotował się na myśl o urzędzie wielkiego wezyra.

„Zostaniesz wielkim wezyrem, Ayasie! Zetnij głowę temu chłopakowi i rzuć ją sułtanowi pod nogi” – pomyślał.

Bajazyd popchnął Ayasa czubkiem stopy i podniósł się. Wyszedł, jak zwykle stawiając duże kroki.

Zapomniał zabrać książkę.

^[53] Tespih – muzułmański sznur modlitewny przypominający różaniec; najczęściej składa się z 33 lub 99 paciorków, które pomagają w wymówieniu najpiękniejszych imion Allaha.

^[54] Maszallah (tur. *maşallah*) – „wspaniale”, „jak Bóg pozwoli”; formuła arabska wymawiana dla okazania podziwu, ale także dla oddalenia nieszczęścia, przeciw złemu urokowi. Może być również noszona w formie pisanej jako talizman.

Bursa, Yeszilova

27 maja 1481

Zwiadowcy, których wysłał w trzy różne strony, jeszcze nie wrócili.

Czy był to dobry znak? Czyżby Bajazyd nie wysłał na niego swojego wojska? A może zwiadowcy wpadli w pułapkę i podzielili los posłańca wielkiego wezyra Mehmeda Paszy z Karamanu, który niósł wieść o zabójstwie jego ojca?

Niepewność działała mu na nerwy. Dżem był niespokojny, brakowało mu już cierpliwości. Chciał, żeby, cokolwiek miało się wydarzyć, stało się teraz, natychmiast i dobiegło końca. Potrafił się do tego przyznać nawet sam przed sobą, ale odczuwał strach.

Każdego dnia dołączało do niego coraz więcej ludzi. Niektórzy z dwudziestoma, trzydziestoma konnymi, inni w pojedynkę. Nie było wiadomo, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Kim byli ci, którzy przyłączali się do niego, jako broń biorąc ze sobą wszystko, co mieli pod ręką, ci, którzy zapewniali, że gotowi są oddać za niego życie? Mężczyźni o wyrazie twarzy barbarzyńców rzucający szaleńcze spojrzenia? Między nich mogli wmieszać się szpiedzy Bajazyda, a co gorsze, nawet wysłani przez niego kaci. Mogli obrać taktykę potajemnego zbliżenia, by niespodziewanie zadać śmiertelny cios.

Swoim pięciu najbardziej zaufanym ludziom polecił obserwować wszystkich, którzy niedawno dołączyli do jego wojska. Ale dokąd to wszystko zmierzało? Jego armia liczyła już około czterech, pięciu tysięcy konnych. Nie wydawało mu się, żeby polowanie na szpiegów i katów w takim tłumie mogło przynieść jakiś skutek.

„Wszystko jedno” – powiedział w duchu Dżem. – „Niech będzie tak, jak chce tego przeznaczenie”.

Przez cały dzień jechał na czele wojska. Mijał już piąty dzień. Bardzo zdziwiły go obrazy, które ujrzał w mijanych po drodze miejscach. Wieśniacy padali na ziemię, mówiąc: „Przybył nasz sułtan”. I nie robili tego, uznając go za prawowitego sułtana. Niektórzy brali go jeszcze za Murada, a inni za jego ojca.

Na stepie ludzie żyli odcięci od upływającego czasu i zmieniającego się świata. Nie dbali o żadną z tych rzeczy. Co ich to obchodziło? Jedyne, czego potrzebowali, to ziemia oraz deszcz, który przynosił obfitość urodzajów dla ich zwierząt.

Kładli dłonie na czołach, by osłonić się od słońca, i w ciszy przyglądali się wojsku. Żadnych oklasków, żadnej reakcji. Jakby przejście uzbrojonych mężczyzn o przeraźliwych wyrazach twarzy było częścią ich codziennego życia. Derwisz Rumi, który zauważył ogromne zdziwienie Dżema, powiedział:

– Te ziemie to kibla^[55] wojny.

– Kibla wojny, mówisz?

– Owszem. Odkąd Allah stworzył świat, nie ma drugich ziem, po których zamiast pługów przejeżdżałoby tyle tysięcy konnych i które doświadczyłyby więcej wojen. Jeżeli stałeś się mostem, po którym przybywający przechodzi, a przechodzący wraca, jedyne wyjście to schylić głowę. Tylko pomyśl, niejeden pędził tędy po zwycięstwo, wielu pierzchało, gdy poznali gorzki smak porażki. Jedni dbali o swoją ojczyznę, wkładając wiele pracy w poprawę warunków życia tych ludzi, inni w imię zemsty niszczyli wszystko, co spotkali na swej drodze. Przodkowie tych, którzy teraz oddają ci cześć, niegdyś padali do stóp Dariuszowi, Krezusowi, Hammurabiemu, Hattusili, Muvatalli^[56], faraonowi, Aleksandrowi, sułtanowi Alp Arslanowi i Timurowi. Gdyby jutro przeszedł tędy Bajazyd, skłoniliby się i jego nazwali sułtanem. Nieważne, czy ktoś jest hanem, emirem, sułtanem czy bejem. Tymi słowami chcę cię ostrzec, żebyś nie zbłądził, mój panie, i nie chlubił się, że nazywają cię sułtanem. Nie martw się również, że wzięli cię za kogoś innego. Tylko oni sami wiedzą, kto jest ich prawdziwym władcą.

Dżem od pięciu dni, pod łopoczącymi na wietrze proporcami, jechał na grzbiecie konia ramię w ramię ze swoimi żołnierzami. Powódź ludzi podążała za nim przez wzgórza, lasy i doliny rzek. Na samym końcu, kiwając się na boki, jechały wozy, którymi podróżowały kobiety. Valide i Nada na Allaha przyrzekały: „Nigdy! Prędzej zginiemy, niż zostawimy cię samego! Allah nam świadkiem!”. Dżem nie chciał tracić czasu na sprzeczki, więc zgodził się. Oğuz Han został w Karamanie razem z opiekunkami. Po przybyciu do Bursy jego syn do nich dołączy.

Przed odjazdem Dżem szepnął pacholkom, by przygotowali jeden wóz dla Ferimah. Jednak dziewczyny nie było w pobliżu. Grał na zwłokę w nadziei, że się pojawi, jednak na próżno. Tamtego ranka na dziedzińcu pałacu w Karamanie, tuż przed odjazdem, po głowie krążyła mu tylko jedna myśl.

„Ferimah nie wyrusza ze mną na wyprawę, w której stawką jest tron albo śmierć”.

Okazało się, że go porzuciła. Tylko dlaczego czuł tak ogromną pustkę z powodu braku służącej, która wcześniej była zwykłym niewolnikiem? Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

„Czyżby Ferimah postanowiła uciec przy pierwszej lepszej okazji?” – pytał

w myślach sam siebie tamtego ranka. – „Przez tyle lat mi służyłaś, stałaś się moim przyjacielem i powiernikiem, a potem... Czy wczorajsze okrzyki na moją cześć, które tak wszystkich rozemocjonowały, były tylko podstępem?”

Ta myśl sprawiła, że poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

„Dlaczego miałyby jechać?” – mamrotał w głowie przytłumiony, jakby dochodzący z bardzo daleka głos. – „To nie jest jej przeznaczenie, to nie jej wojna”.

Miał rację. Mimo to czuł, że coś w nim pękło i rozsypało się na drobne kawałki.

Miał przed oczami tamten dzień. Wkładając nogę w strzemię, wzrokiem cały czas szukał jej w tłumie. Gdy dosiadł już Pioruna i wyprostował się, przepelniała go samotność. Tysiące osób gotowych wyruszyć za nim na śmierć, siedząc na koniach i przekrzykując się, stały jedna obok drugiej po obu stronach dziedzińca.

Wszyscy tam byli i spoglądali na niego. Brakowało tylko jej. Żołnierze czekali, aż dziedziniec wypełni jego grzmiący głos. To była właśnie TA chwila.

„Tymczasem ja jestem jak złamana strzała” – pomyślał wtedy Dżem, głaszcząc konia po grzywie. – „Jedna część mnie jest tutaj, na twoim grzbiecie, Piorunie, druga zaś pędzi za Ferimah”.

Minęło pięć dni. Powoli posuwali się pod palącym, majowym słońcem, ale wciąż nie nastąpił atak. Starał się przez jakiś czas o niczym nie myśleć, ale nie dał rady. W żaden sposób nie był w stanie wyrzucić z pamięci dnia, w którym Ferimah zdecydowała się go porzucić.

Nagle Dżem podskoczył jak strzała wystrzelona z dziedzińca pałacu w Karamanie.

Ferimaaah!

Była tam! Na samym przedzie kolumny!

Dziewczyna siedziała na koniu, który uderzał kopytami o ziemię i rżąc, stawał dęba.

„Gdzie ona nauczyła się tak jeździć konno?” – przeszło Dżemowi przez myśl w chwili radości. Ferimah wyglądała jak wojownik, który od lat walczy w siodle podczas różnych wojen. Jeszcze te manewry, które wykonywała – każdy był w stanie przysiąc, że jest zawodowym żołnierzem. Jej kasztanowy koń znów stanął dęba, zarżał i stojąc w miejscu, okręcił się w koło, a Ferimah nawet na chwilę nie straciła równowagi.

Dżema opanowało szczęście.

„No dalej, podjedź!” – wołał do niej w myślach. Chwilę później zrozumiał, dlaczego wstrzymywała konia. Czekala na niego. Czekala, aż on podjedzie i stanie na czele swojej armii.

„Skoro tak... Daleeej!” – pomyślał. Uniósł się w strzemionach, odwrócił i krzyknął:

– Dalej, moi śmiałkowie! Dalej, moi odważni! Jeśli zginiemy, staniemy się męczennikami, jeśli przeżyjemy, będziemy bohaterami!

Wśród krzyków: „Allahuekber!”, wznosząc tumany kurzu, minął na grzbiecie Pioruna Ferimah i jej kasztanowego konia.

Już nie czuł się jak złamana strzała.

Od pięciu dni Ferimah jechała kawałek za nim, po lewej stronie. Kiedy Dżem spoglądał do tyłu przez ramię, mógł dojrzeć wplecione w jej włosy długie, białoniebieskie wstążki powiewające na wietrze. Tylko dlaczego wybrała te kolory?

*

Gdyby mógł, Dżem spędziłby na grzbiecie konia całą noc. Tak samo jak Ferimah. Obydwoje nie mogli spać. Przecież gdyby nie zatrzymywali się na noc, dotarliby do Bursy zdecydowanie wcześniej. Jednak Derwisz Rumi wyszeptał Dżemowi do ucha: „To nie będzie właściwe. Zmęczeni żołnierze nie mogą walczyć”.

Naturalnie miał rację. Jego ambicja i zniecierpliwienie nie powinny brać góry nad rozumem.

– Stój! – krzyknęli dowódcy do swoich oddziałów, kiedy zapadły ciemności i nie dało się kontynuować marszu. Jednak żołnierze nie rozstawiali namiotów i nie zapalali ognisk. Wozy ukryli w osłoniętym miejscu. Cztery tysiące mężczyzn i co najmniej tyle samo koni w każdej chwili gotowych do wymarszu zapadało w płytki sen. Buntownicze wojsko Dżema niknęło w nocnym mroku.

Ferimah nie spała w przygotowanym specjalnie dla niej wozie. Kładła się na gołej ziemi pod wozem Çiçek Hatun i tam spędzała całą noc.

Tamtego wieczoru Dżem jak zawsze dyskutował do późnych godzin nocnych z İvazem Paszą, którego mianował na subaszego, İlgin Beyem Aleattinem oraz Emirem Dżanpolatem z rodu İsfendiyaroğlu, którego w zeszłym roku jego ojciec wysłał do

Karahisar. Rozważali, dlaczego do tej pory nie natknęli się na żadne ślady obecności Bajazyda.

– Jeszcze się z nim spotkamy – powiedział na koniec Dżanpolat. – W końcu wypełźnie ze swojej kryjówki. Może rozstawił żołnierzy po dwóch stronach i czeka, aż wyruszymy, żeby nas okrążyć?

Jeśli tak było, to czemu w takim razie zwiadowcy nie natrafili na jego armię?

– Może powinieneś się trochę przespać? – wymamrotał İvaz Aga. – Mam przecucie, że rano słońce się do nas uśmiechnie.

Czy tak właśnie będzie? A może promienie słońca oświetlą ich martwe ciała? Tak czy inaczej, pozostawało tylko czekać. Nawet gdyby Bajazyd się nie pokazał, jutro wieczorem dotrą do bram Bursy.

Dżem wstał i poszedł na przechadzkę. Tysiąc myśli kłębiło mu się w głowie. Usiadł, oparłszy się o duży kamień, i wpatrywał się w ciemność.

Nie chciał zasnąć. Gdy choć na chwilę przymykał oczy, widział Czerwoną Skalę i białobrodego starca, który starał się coś mu powiedzieć, ale Dżem nic nie słyszał. Skoro zdecydował się pójść tą drogą, nie miał po co rozpamiętywać jego porad. Wymazał z pamięci jego głos i wszystkie słowa.

Późnym popołudniem tamtego dnia ukazały im się wysokie, ostro zakończone skały Sivridžehisar. Ci, którzy je znali, nie kryli radości:

– Po drugiej stronie jest Bursa. Niebawem będziemy na miejscu.

Skoro już prawie dotarli do Bursy, gdzie podziewał się Bajazyd? Chyba nie podarowałyby Dżemowi siedziby ich przodków bez walki. Czyżby jego wojsko pod osłoną nocy schowało się w dziesiątkach zagłębień i jaskiń pomiędzy ostrymi skałami wznoszącymi się w ciemnościach niczym zjawy?

„Gdzie jesteś, ago?” – zawołał w myślach Bajazyda. – „Nazywasz się prawowitym sułtanem, do którego należy tron ojca, przypasałeś miecz, ale nie potrafisz wyjść naprzeciw swojemu młodszemu bratu i jak mężczyzna walczyć o władzę?”

Zaczął nasłuchiwać. Nie dochodziły do niego żadne dźwięki poza wyciem szakali i pohukiwaniem sów.

Coś musiało się stać. Cisza nie wróżyła nic dobrego. Wysłał zwiadowców w trzech kierunkach: na zachód, północny zachód i południowy zachód.

Uważał, że wyprawienie kolejnego zwiadowcy na wschód nie jest konieczne. Przecież nie zaatakowałby ich od tyłu. Nagle podskoczył jak oparzony.

Błąd. Ogromny błąd. Jego brat był bejem sandzaku Amasji. Może Bajazyd nadchodził ze wschodu, kiedy on myślał, że wejdzie do Bursy, nie napotykając na żadne przeszkody? I zaatakuje ich od tyłu właśnie teraz, kiedy mają przed sobą Sivridžehisar, przez które w żaden sposób nie da się przejść?

„O matko!” – słyszał w głowie krzyki. – „Wpadłem w pułapkę. Utkniemy tutaj”.

Przed nimi góra, za nimi wojsko składające się z Bóg raczy wiedzieć ilu tysięcy ludzi. Brat zaatakuje jego cztery tysiące ochotników doświadczoną armią, która brała udział w wielu wyprawach, w niejednym podboju Osmanów.

Była jeszcze jedna możliwość, która spędzała Dżemowi sen z powiek. Bajazyd mógł przybyć nie ze wschodu, czego się obawiał, tylko z południowego zachodu, tak jak się tego spodziewał, ale ukryć się po drugiej stronie Sivridžehisar. Wychodziło na to samo. Wpadną w pułapkę, kiedy tylko po przejściu wąskiej doliny wyjdą na równinę po drugiej stronie góry. Zostaną zmiażdżeni między armią jego brata z jednej strony a górą z drugiej. Wszyscy zginą.

Byli w niewłaściwym miejscu. Powinni pomaszerować drogą na północ albo na południe, a nie skrótem przez Sivridžehisar. W ogóle nie powinno ich tutaj być. Nawet jeśli nie odważy się natychmiast zebrać wszystkich ludzi i uciec, może sam powinien się stąd oddalić?

Od razu wyrzucił tę myśl z głowy.

„Strzała została wystrzelona z łuku” – westchnął w myślach. – „Jeżeli na końcu tej drogi czeka śmierć, nie ma od niej ucieczki”.

Zresztą dlaczego miałby uciekać? Dokąd? Kiedy cały dzień siedział na grzbiecie Pioruna, co jakiś czas odwracał się i patrzył na jadących za nim ludzi. On wybrał śmierć w imię walki o tron. „Ale oni?” – szeptał. – „Za co oni mają zginąć?”

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Władza, potęga, siła – właśnie tak to wyglądało. Ty podejmujesz decyzję, a twoi poddani muszą ginąć. Za twoją władzę, za twoje zwycięstwo, za twoją chwałę!

Tysiące ludzi zdecydowało się pójść za nim. Potajemne wyslizgiwanie się z obozu to zachowanie niegodne syna sułtana Mehmeda Zdobywcy. Gdyby to zrobił, czy ktokolwiek jeszcze by w niego wierzył, ufał mu i nazywał „moim sułtanem”?

On sam mówił przecież, iż woli zginąć na polu walki jak bohater niż skonać uduszony przez katów.

Nagle poczuł, że ogromny ciężar, który dotąd go przygniatał, nagle zniknął. Dżem poczuł w sobie niezwykłą lekkość. Przymknął oczy, lecz zorientował się, że zaczyna przegrywać ze snem. Walczył. Musiał walczyć.

„Pułapka czy nie, rano przejdziemy przez Sivridžehisar i zapukamy do drzwi Bursy” – pomyślał. – „Jeżeli na moim czole^[57] zapisano koronę Stwórcy i tron, nie zmieni tego nawet tysiąc Bajazydów ze swoimi armiami. Wezmę koronę i włożę ją na głowę”.

Nagle pojawił się on.

Rdzawy wilk!

Dżem pędził za nim na koniu.

Wilk miał potężny i długi ogon, a w oczach płomienie. W pewnej chwili odwrócił się, by sprawdzić, czy Dżem go ściga. Jakby oczekiwał, że będzie go gonił. *Podążaj za mną. Zabieram cię w miejsce, gdzie znajdziesz koronę.*

Dżem ścisnął konia łydkami. Piorun już nie bał się wilka. Pędził za bestią.

^[55] Kibla (tur. *kibla*, ar. *qiblah*) – kierunek wskazujący meczet Al-Kaba w Mekce, święte miejsce islamu, w którego stronę muzułmanie powinni zwracać się podczas modlitwy.

^[56] Hattusili, Mutavalli – władcy hetyccy.

^[57] W islamie wierzy się, że przeznaczenie każdego człowieka zostało przez Boga zapisane na jego czole.

28 maja 1481

– Mój panie, mój panie.

Dżem obudził się i aż podskoczył. Zawstydział się, jakby ktoś go przyłapał na gorącym uczynku.

– Przysnąłem na chwilę – wybąkał.

– Wrócili, mój panie. Zwiadowcy wrócili.

Nagle znaleźli się naprzeciw niego.

– Nadchodzą z północnego zachodu. – powiedział jeden z mężczyzn. – Rozłożyli obóz. Na ich czele stoi Ayas Pasza. Poznaliśmy go po fladze na jego namiocie.

Ayas Pasza!

Kto to był? Nowy wielki wezyr?

Dżem już miał spytać, czy są bardzo liczni, jednak zwiadowca zrozumiał go bez słów.

– Po rozpalonych ogniskach można wywnioskować, że jest ich mniej więcej dwa razy tyle, co nas.

İvaz Aga i Emir Dżanpolat podbiegli do niego, tak samo Ferimah i Derwisz Rumi.

– Jak daleko stąd stacjonują? – zapytał Dżanpolat.

– Mniej więcej godzinę drogi.

Dżem skierował wzrok na Ferimah. Z podniecenia nie mogła ustać w miejscu.

– Godzina – zamyślnym głosem wymamrotał Derwisz Rumi. – Czyli jeżeli wyruszymy od razu, dotrzemy tam jeszcze przed świtem, prawda?

– To zależy od naszego tempa – odpowiedział żołnierz.

Dżem skierował się do miejsca, w którym przywiązany był jego koń. Słyszał za

sobą odgłosy kroków Ferimah.

– To dobrze – powiedział, odwracając się do żołnierzy. – Spadniemy na nich jak grom z jasnego nieba.

*

Tak też zrobili. Jak grom runęli na pogrążone we śnie wojsko Ayasa.

Kiedy kawaleria Dżema wyskoczyła z nocnych ciemności, Ayas śnił, że przechadza się po pałacu w szacie wielkiego wezyra. Panowało ogromne zamieszanie. Gdy obudził się i wyszedł przed swoją jurte rozstawioną na szczycie jednego ze wzniesień, zobaczył, co dzieje się na dole i wpadł w panikę. Namioty żołnierzy stanęły w płomieniach. Kawalerzyści Dżema manewrowali pomiędzy nimi, skręcając raz w prawo, raz w lewo. Większość ludzi Ayasa zostawiła miecze oraz tarcze i rzuciła się do ucieczki.

– Dokąd uciekają ci zdrajcy? – wrzasnął do biegającego w szoku to tu, to tam agi janczarów. – Nawet nie stanęli do walki z wrogiem.

Ze złością tupnął nogą o ziemię.

– Przekłęci zdrajcy. Ludzie tego buntownika zaatakowali ich z mieczami w rękę, a oni co?

– Nic – powiedział aga janczarów. – Spójrz, paszo. Czy któryś z nich ma miecz?

– Łucznicy! – krzyknął Ayas w panice. – Gdzie są moi łucznicy? Są chyba od tego, żeby ratować nas z takich opresji.

Gdy aga janczarów zrozumiał, że wydawanie rozkazów w żaden sposób nie uchroni ich przed porażką, stanął przed paszą i syknął:

– Jeśli łucznicy zaczną teraz strzelać, trafią również w swoich ludzi.

– A niech ich zabijają. To tylko zdrajcy, mogą zginąć. Niech celują w uciekinierów, którzy porzucili naszego pana.

– Jest już zdecydowanie za późno, paszo – wymamrotał mężczyzna. – Zostaliśmy pokonani.

– Gdzie on jest? Widzisz go?

Aga janczarów zrozumiał, o kogo chodzi, jednak udał, że nie wie.

– Kogo?

– Jego! Buntownika Dżema – odparł, po czym wrzasnął, plując na wszystkie strony: – Ha! Oczywiście. Co miałby tu robić? Pewnie siedzi na jakimś wzgórzu i wszystkiemu się przygląda.

Aga janczarów pokiwał tylko głową i wskazał palcem na miejsce, gdzie toczyła się najbardziej zaciekle walka.

– Tam – powiedział. – Zaraz obok kawalerzysty z biało-niebieskimi wstążkami. Widzi pasza?

Ayas Pasza dostrzegł Dżema, jednak wzrok utkwiał właśnie w kawalerzyście.

– A to kto? Znasz go?

Aga wzruszył ramionami.

– Nie. Ale gdyby pasza spytał żołnierzy, powiedzieliby, że to duch.

Ayas zaśmiał się ze złością.

– Tak, jasne. Jaki duch? Nie wygaduj głupstw.

– Żołnierze mają rację. Proszę tylko spojrzeć. Jest jak wiatr. Widział pasza kiedyś takiego żołnierza? Nie ma ani miecza, ani tarczy, ale jest wszędzie. To na wzgórzu, to na dole, wszędzie widać powiewające wstążki. Nasi krzyczeli między sobą, że żaden miecz go nie dosięga. Wołali, że po stronie Dżema stoją duchy i nadprzyrodzone moce, rzucali broń i zaczęli uciekać.

Ayas Pasza nie wiedział ani co ma powiedzieć, ani co zrobić. Żeby nie upaść, oparł się o wejście do jurty. Wszystkie jego misternie układane w głowie marzenia i plany spełzyły na niczym. Zamiast szaty wielkiego wezyra przywdzieje strój skazańca czekającego na wyrok śmierci. Przez chwilę rozważał, czy się nie poddać.

– To już koniec – powiedział aga janczarów, widząc niezdecydowanie paszy. – Nie ma bezpiecznego miejsca. W każdej chwili mogą nas tutaj zaatakować i zabić albo wziąć w niewolę.

„Ach, gdyby tak mnie otoczyli, gdybym mógł się poddać i zostać wzięty do

niewoli” – pomyślał Ayas.

– Chodźmy stąd – nalegał aga janczarów. Jego głos zdradzał, że jest zdecydowany zostawić paszę, jeśli ten nie ruszy się z miejsca.

Dał znak dwóm stajennym, którzy czekali za namiotem. Nie czekając na Ayasa, podążył w ich kierunku. Wsiadł na konia i usłyszał głos paszy:

– Już idę!

*

Zanim nastał świt, było już po wszystkim.

Dżem rozkazał poszukiwania Ayasa Paszy. Nie było go wśród poległych. Jeden z żołnierzy wziętych w niewolę szydził:

– Nawet ptak by za nim nie nadążył. Tak popędzał konia, że na pewno już dawno dotarł do stolicy i padł do stóp swojemu panu.

I zwycięscy, i przegrani zaśmiali się.

Niedługo potem na horyzoncie pojawiły się wozy Çiçek Hatun i Nady. Çiçek, słysząc, jak cała dolina wypełnia się okrzykami: „Niech żyje sułtan Dżem!”, nie mogła powstrzymać łez. Jej syn, który przez całe lata żył w strachu przed pojawieniem się katów, pokonał armię, którą wysłał na niego jego brat uzurpator. Po tej porażce nikt nie będzie już patrzył na Bajazyda jak na sułtana.

Prawowity władca był tutaj. Stał przed nią.

Sułtan Dżem, syn sułtana Mehmeda Zdobywcy, syna sułtana Murada! Nowy przywódca Al-Osman będzie dążył do celu postawionego przez jego ojca – położy słońce obok półksiężyca.

– Synu – wyszeptała. – Sułtanie.

Nie mogła w to uwierzyć, że jej niedoścignione marzenie, by tytułować swego syna sułtanem, kiedykolwiek się spełni. Ale oto stał przed nią!

Z dumą prężył pierś. Z radości aż zakręciło mu się w głowie. Spojrzała na syna, który krzyczał do żołnierzy padających mu do stóp i całujących jego szatę:

– Niech wasza wojna będzie święta!

„Mój Boże” – pomyślała. – „Chroń go od złych uroków. Tylko spójrz. Stoi tak prosto, że zaraz dotknie głową chmur!”

Nada cieszyła się, że w końcu będzie mogła używać tytułu „sultan”.

– Nada Sultan – wyszeptała pod nosem. Twarz jej się rozjaśniła. – Na pewno wymyślą dla mnie jakieś osmańskie imię.

Ona sama już od dawna wiedziała, jakie to będzie imię. Nadide Sultan. Poczwała przepelniającą ją ekscytację.

Promieniała aż do chwili, w której ujrzała ją u boku Dżema. Odwróciła się do Çiçek Hatun, która stała z przodu wozu i klaszcząc, krzyczała: „Niech żyje sułtan!”.

– Czego ta dziewczyna szuka u boku sułtana?

Çiçek nie zwróciła na nią uwagi. Nada wysiadła z wozu i ruszyła w stronę Dżema. Jej twarz cały czas zdobił uśmiech, jednak oczy miały błyskawice.

– Ojciec mojego shehzade – powiedziała rozentuzjasmowanym głosem i schyliła się do stopy Dżema tkwiącej w strzemieniu. – Pozwól mi być pierwszą, która odda ci cześć jako sułtanowi.

Dżem uśmiechnął się do niej z grzbietu Pioruna.

– Zrobiła to już Ferimah. – Dżem aż się wzdrygnął, widząc płomienie w jej oczach. – Ale załóżmy, że ty byłaś pierwsza. Zresztą, jakie to ma znaczenie?

Jednak zdążył się zorientować, że dla Nady była to sprawa najwyższej wagi.

„Dżem, zapamiętaj sobie dobrze ten wyraz twarzy, to zachowanie” – przeszło mu przez myśl. – „Nie wróży to nic dobrego”.

Potem oddał się świętowaniu zwycięstwa, złapał Pioruna za wodze i oddalił się z grupą żołnierzy.

„Musisz przepędzić tę wiedźmę” – rozkazała Nada sama sobie. – „Nosisz teraz tytuł »sultan«. Masz władzę. Przegoń ją!” – Ze złością odwróciła się w stronę, gdzie przed chwilą stała Ferimah.

Nie było jej. Zobaczyła konia, wjeżdżającego galopem na wzgórze, które

znajdowało się naprzeciwko. Do turbanu jeźdźca przywiązane były biało-niebieskie wstążki, które powiewały za nim jak flaga.

Ferimah!

Kiedy dotarła do szczytu, koń stanął dęba i przednimi kopytami zaczął uderzać powietrze. Dziewczyna trzymała zwierzę prosto. Jej prawe ramię było w powietrzu. Nadzie przez chwilę wydawało się, że widzi przed sobą posąg. Posąg, który pokazuje sułtanowi drogę do Bursy.

– Do Bursy!

Co? Nada była zaskoczona. To był głos Dżema. Podniósł miecz. Flagi i proporce powiewały na wietrze, jakby chciały uczcić jego zwycięstwo.

– Nasi przodkowie nas oczekują! – krzyknął w stronę żołnierzy. – Musimy dotrzeć do miasta i zanieść modlitwy!

*

Mieli przed sobą górę Uludağ, na której szczycie, mimo lejącego się z nieba żaru, wciąż leżał śnieg. Zaczęli jeszcze bardziej popędzać konie. Przesuwali się w tumanach pyłu, wznoszonego przez tysiące uderzających o ziemię podków.

Dżem był podekscytowany. Kiedy upojenie zwycięstwem minęło, pograżył się w rozmyślaniach.

„Czyżbym za wcześnie zaczął się cieszyć?” – pytał siebie w myślach. Czy po zwycięstwie nad armią, którą wysłał jego brat, naprawdę wszystko się ułożyło? Czy faktycznie nie stała już żadna przeszkoda na drodze do władzy, a Bajazyd zamierzał porzucić tron i koronę? A może to zwycięstwo było tylko początkiem walki?

Zatrzymali się, gdy z daleka dostrzegli minarety meczetów oraz kopułę Zielonego Türbe^[58]. Dżem stanął w strzemionach i krzyknął do wojska, które jak skrzydła orła rozpościerało się po obu jego stronach:

– Jest! Zielona Bursa, dziedzictwo moich przodków: Osmana Gazi^[59], Orhana Gazi i sułtana Murada.

Pomiędzy krzykami dało się słyszeć głos muezzinów, rozpoczynających modlitwę. Dżem postanowił odepchnąć od siebie negatywne myśli. Nieważne, czy był to początek, czy koniec. Znalazł się tutaj i nie ma już drogi powrotnej. Nawet jeśli Bajazyd nie da za wygraną, on i tak jedną ręką trzyma się tronu.

Derwisz Rumi podjechał do niego na swoim koniu i powiedział spokojnym głosem:

– Gdybyście zdecydowali, panie, by nie wjeżdżać do miasta razem z całym wojskiem...

– Dlaczego? Oni na to zasłużyli.

– Ale Bursa na to nie zasłużyła. Powinniście wkroczyć do miasta jako shehzade sułtana Mehmeda Zdobywcy, a nie jako dowódca podbijającej je armii.

Shehzade?

Dżem spojrział derwiszowi głęboko w oczy.

– Czy powiedziałeś „shehzade”, Rumi? – Odwrócił się i wskazał na mężczyzn, którzy niecierpliwili się, by w końcu dotrzeć do Bursy. – Oni nazywają mnie sułtanem. Krzyczą: „Niech żyje sułtan Dżem!”.

Mężczyzna pochylił się w jego stronę.

– Dwie głowy, jedna korona – wyszeptał. – Czyli zdecydowaliście, shehzade, że to krzyki żołnierzy czynią z was sułtana? – powoli wyprostował się na grzbiecie konia. – Obawiam się, że Al-Osman nie będzie chciało dwóch sułtanów.

– Ja też tego nie chcę, Rumi. Czyż prawa do tronu nie ma zwycięzca? Ja wygrałem. Bajazyd został pokonany. W takim razie sprawiedliwym będzie, jeśli przegrany się wycofa.

Dżem z oczu Derwisza Rumiego wyczytał, że nie podziela jego zdania.

– Czy to nie ty radziłeś mi, żebym nie puszczał tego, co złapałem? – zapytał. – Właśnie to trzymam, Rumi. Jedną ręką chwyciłem już tron. Nie żądaj ode mnie, żebym go teraz puścił.

Mężczyzna przez krótką chwilę wpatrywał się Dżemowi w oczy. Srogi wyraz jego twarzy powoli złagodniał.

– Skoro tak – powiedział – po wejściu do Bursy ogłóście przynajmniej swoje wstąpienie na tron podczas kazania w meczecie. Rozdajcie pieniądze. Oznajmijcie wszystkim, że Bajazyd nie jest prawowitym władcą i że Al-Osman ma tylko jednego sułtana – sułtana Dżema, syna sułtana Mehmeda Zdobywcy.

– Zrobię, jak mówisz, derwiszu. Nie martw się. Wiedz, że nie pozwolę na to, by

państwo miało dwóch władców. Będę walczyć o swoje prawo do tronu, ale jeśli zobaczę, że do jednej korony pretenduje więcej niż jedna głowa, zetnę ją, nawet jeśli byłaby to moja własna głowa.

Derwisz Rumi zamyślony przytaknął.

– Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał wspomnieć tych słów, shehzade.

Kiedy zobaczył, że Dżem zmarszczył brwi, uśmiechnął się.

– To z przyzwyczajenia, sułtanie. Wybacz swojemu słudze. Uważam jednak, że powinieneś być sobą. Nie wchodź do Bursy jako najeźdźca.

[58] Türbe – turecki grobowiec, mauzoleum, które budowano dla prominentnych osobistości (sułtanów, wodzów, przywódców religijnych).

[59] Gazi – termin z języka arabskiego, oznaczający wolnych wojowników, obrońców wiary i sprawiedliwości.

*Bursa**Maj 1481*

Dżem dotrzymał słowa danego Derwiszowi Rumiemu. Żołnierze rozbili obóz przed miastem, a on wraz z niewielkim oddziałem udał się do Bursy.

Ludzie czekali na niego na ulicach. W mieście od dawna nie było tak doniosłego dnia. Wiele osób biegło obok nich, by na własne oczy zobaczyć z bliska shehzade sułtana Mehmeda Zdobywcy. Grzmiały bębny i grały surmy^[60].

Zgromadzeni na ulicach kobiety i mężczyźni pokazywali sobie nawzajem Dżema.

– Ależ on młody. Mówią, że ma dopiero dwadzieścia dwa lata.

– Jego świętej pamięci ojciec w tym wieku podbił Bizancjum, aga.

– Czyli to on zostanie teraz sułtanem?

– Już nim jest, aga! Ach, mój ty lwie; tylko spójrzcie na ten majestat. Jest taki sam, jak jego ojciec!

Zaśmiali się.

– Czyżbyś widział kiedyś sułtana Mehmeda, skoro tak mówisz, Lütfullah Czelebi?

Mężczyzna nie odpowiedział i nie dołączył do śmiejących się towarzyszy.

Wszyscy plotkowali między sobą, nie spuszczać wzroku z Dżema jadącego na czele oddziału.

– Czyli jak mamy go teraz tytułować? – zapytał ktoś. – „Shehzade” czy „sułtan”?

– Ależ efendi, cóż to za pytanie? Czyżbyś był głuchy? Wszyscy dookoła krzyczą: „Niech żyje sułtan Dżem!”. Nie słyszysz?

– A co ja tam mogę wiedzieć? To teraz krzyki robią z człowieka sułtana?

Mężczyzna zdenerwował się.

– Nie odwracaj kota ogonem, aga. Jakie krzyki? Czy nie pokonał armii, którą wysłał na niego własny brat? Pokonał. Czyż połowa armii sultana nie dołączyła do Dżema? Dołączyła. Co dalej? Co zostało Bajazydowi? Nie może rządzić w ten sposób.

– Tak mówisz? A jeśli nie ustąpi?

Mężczyzna spiorunował go wzrokiem.

– Co to za pomysł, kolego? Popatrz na mnie, czyżbyś był po stronie Pobożnego Szezhade?

– Spokojnie, nie denerwuj się. To był tylko przykład. Co, jeśli Bajazyd nie odpuści i powie: „Zostałem pokonany, ale co to zmienia? Ja jestem starszym shehzade i tron należy się mnie”?

– Wtedy biada całemu Al-Osman.

– Biada nam, czelebi! – do rozmowy włączył się ktoś jeszcze.

– Tak, tak. – Pokiwali głowami. – Niech Allah strzeże.

Nagle jakaś kobieta stojąca za nimi wyciągnęła rękę i wskazała na konnego jadącego obok Dżema.

– A to kto? Ktoś go zna, ktoś wie, kim jest? Czy to żołnierz? Nie widziałam nigdy, żeby wojskowi przywiązywali do turbanu wstążki.

Nikt nic nie widział. Ktoś z tłumu zarechotał:

– Jak myślicie, to Adam czy Ewa? Nie wiadomo, bo nie ma nawet zarostu!

Zaśmiali się.

– Może i nie ma zarostu, ale skoro jedzie tak blisko shehzade, musi być kimś naprawdę ważnym.

Jakiś starszy mężczyzna przewrócił oczami i zwrócił się do nich:

– Ciii – uciszył ich. – To grzech, nie wolno tak! Przestańcie plotkować i zacznijcie oklaskiwać naszego nowego sultana. Będziecie później opowiadać swoim dzieciom i wnukom, że z bliska widzieliście jego wysokość.

Mężczyzna odwrócił się i krzyknął do Dżema, który akurat w tym momencie przejeżdżał dokładnie przed nimi.

– Sułtan Dżem, syn sułtana Mehmeda Zdobywcy! Niech Allah da ci długie życie, niech twoje panowanie będzie wieczne!

Dżem usłyszał go. Uśmiechając się, spojrział w stronę starca. Pozdrowił go, przykładając dłoń najpierw do ust, a potem do czoła.

Gest władcy jeszcze bardziej rozentuzjzmował tłum, który coraz bardziej się ożywiał.

– Niech żyje sułtan! Niech żyje sułtan!

*

Dżem od razu udał się do türbe Osmana Gazi.

– Czy możecie mnie na chwilę zostawić samego? – poprosił towarzyszących mu dowódców.

Kiedy podążali w kierunku Bursy, myślał o wielu rzeczach, które chciał powiedzieć Osmanowi Gazi. Teraz jednak miał w głowie pustkę. Przejechał dłonią po stojącym na sarkofagu wspaniałym kavuku.

– Osmanie – zaczął. – Poznałem historię Sarı Saltuka. Allah pobłogosławił mnie synem, a na imię dałem mu Oğuz. Złożyłem przysięgę: jeżeli splamię ręce krwią mego brata, niech rozłamie się nieboskłon, niech rozstąpi się ziemia.

Nie dał rady powiedzieć nic więcej. Wycofał się w kierunku drzwi i zaczął się modlić. Kiedy na znak końca modlitwy wykonał ruch, jakby przemywał dłońmi twarz, powiedział:

– Pomóż mi, Osmanie. Jestem samotny i boję się.

Po popołudniowym wezwaniu na modlitwę w meczetach ogłoszono, że sułtanem jest Dżem. Wszyscy zebrani, razem z imamem, najpierw zwrócili się na północ i krzyczeli:

– Mieszkańcy północy, usłyszcie nas. Władcą Al-Osman jest sułtan Dżem.

Później zwrócili się na południe.

– Mieszkańcy południa, usłyszcie nas. Władcą Al-Osman jest sułtan Dżem.

Następnie wołali na wschód.

– Mieszkańcy wschodu, usłyszcie nas. Władcą Al-Osman jest sułtan Dżem.

Na końcu wszyscy zwrócili się na zachód.

– Mieszkańcy zachodu, usłyszcie nas. Władcą Al-Osman jest sułtan Dżem.

Następnie imam podszedł do Dżema, który siedział w pierwszym rzędzie. Schylił się przed nim. Dżem ucałował dłoń hodży i przyłożył ją do czoła. Mężczyzna rozłożył ramiona.

– Sułtanie – zaczął podniesionym głosem. – Niech twa władza będzie wieczna. Niech nasz Pan pomaga ci, a nasz Prorok będzie twym przewodnikiem. Nie zbaczaj ze ścieżki sprawiedliwości i prawdy. Bądź orłem pól bitewnych i gołębiem niosącym pokój i porządek.

Kiedy dookoła wznosiły się okrzyki: „Amin”, w części meczetu wydzielonej dla kobiet Çiçek Hatun płakała. W oczach siedzącej obok niej Nady odbijał się blask tysięcy kolorowych kamieni szlachetnych.

– Nada Hatun – wyszeptała jedna z dwórek. Kobieta oburzyła się.

– Nie! Nie ma już Nady. Od dzisiaj będziecie nazywać mnie „Nadide” albo „Nadide Valide Sultan”.

Ferimah usłyszała jej słowa, mimo że siedziała przy drzwiach.

„Próżniaczka” – pomyślała. – „Chcesz być valide sultan, a nawet nie potrafisz uśmiechać się do ludzi”.

Ferimah czuła się przygnębiona. Zmąconym wzrokiem wpatrywała się w podłogę. Miała wiele obaw.

„Czułam się tak samo w dniu, w którym góra zaczęła iść” – westchnęła w myślach. – „Niech Allah sprawi, by moje przeczucia okazały się mylne”.

Wzdrygnęła się.

Jej nieszczęście zaczęło się, gdy góra przemówiła.

*

Następnego dnia przygotowano dokument, który oficjalnie stwierdzał, że Dżem jest sułtanem. Zaczęto również wybijać monety z jego imieniem.

Nadeszła kolej na przekonanie Bajazyda, by ustąpił z tronu, nie dopuszczając do rozlewu krwi. Jeżeli abdykuje dobrowolnie, skończy się to dla niego dobrze. Jeżeli dalej będzie się uważał za prawowitego władcę, sułtan Dżem będzie zmuszony użyć siły.

W nocy Nada poradziła mu, żeby natychmiast wyruszył w drogę do stolicy.

– Musisz tam dotrzeć, zanim płomień zwycięstwa się wypali, sułtanie.

Çiçek Hatun podzielała jej zdanie.

– Jednak – zaczęła szeptem – uważam, że najpierw powinieneś, mój synu, zorientować się, kto stoi po twojej stronie.

– Też tak myślę, valide – powiedział i nie przejął się, że Nadzie zrzędnęła mina. – Muszę się dowiedzieć, czy wszyscy wezyrowie popierają Bajazyda. A wojsko? Jak będzie wyglądała sytuacja w koszarach janczarów i spahisów, gdy ogłoszę wstąpienie na tron i jak przypaszę miecz? Kogo poprą dowódcy floty? Co myślą ulemowie? Bez tych informacji nie mogę zacząć działać.

Nada z wściekłością spojrzała na siedzącą tuż przy drzwiach Ferimah.

„Żmija” – pomyślała. – „To ty wbijasz do głowy mojemu sułtanowi wszystkie te dziwne pomysły”.

Dżem wstał. Zatraskany przechadzał się po pokoju w tę i z powrotem.

– Zapytajmy jeszcze o zdanie Derwisza Rumiego. Potem podejmę decyzję.

Derwisza jednak nigdzie nie było. Nikt go nie widział. Dżem ostatni raz spotkał go podczas odgrywania scen z bitwy, przygotowanych przez młodzież z Bursy. Nie pojawił się na kolacji ani na porannej modlitwie.

Przeszukano całe miasto metr po metrze. Zapukano do każdych drzwi. Nigdzie go nie było. Derwisz Rumi zniknął. Tak niespodziewanie, jak niepostrzeżenie pojawił się w pałacu w Karamanie.

Dżem przypomniał sobie nieprzyjemną rozmowę przed wkroczeniem do Bursy. Derwisz wprost radził mu, żeby nie ogłaszał od razu swojego wstąpienia na tron. Kiedy zrozumiał, że dla Dżema nie było już odwrotu, niechętnie przyznał mu rację.

Derwisz Rumi, który opowiedział mu historię o Sarı Saltuku, w tamtej chwili zniknął z jego życia. Gdy przypomniał sobie jego pełen nieufności wzrok, zrozumiał, że wtedy widzieli się po raz ostatni w życiu.

Ich drogi się rozeszły.

Dżem poczuł w sercu ucisk. Wyszedł do ogrodu, by przez chwilę odetchnąć w chłodzie nocy. Ferimah opuściła komnatę przed nim. Stała w cieniu wierzby płaczącej, której gałęzie dotykały ziemi.

Dżem podszedł do niej. Dziewczyna w pośpiechu pozbiierała się i ukloniła mu się.

– Mój panie... Sułtanie... Proszę mi wybaczyć, nie widziałam, że podszedłeś.

Dżema zupełnie zaskoczyła jej reakcja. Po chwili przypomniało mu się, że jest sułtanem. Czy tak miały teraz wyglądać ich relacje? Ferimah będzie się kłaniać aż do ziemi, a on już nigdy nie spojrzy w jej twarz tylko dlatego, że była służącą? Dokładnie tak, jak chciała tego Nada.

– Słyszałaś?

Ferimah nie odpowiedziała. Cały czas stała pochylona.

Tymczasem Dżem tak bardzo potrzebował teraz spojrzeć jej w oczy.

– Rumi nas porzucił.

Ferimah delikatnie pokiwała głową.

Dżem wziął głęboki oddech.

– I to w takim dniu...

Dziewczyna znów milczała.

– Nawet na mnie nie spojrzysz?

Dalej panowała cisza. Chwilę później Ferimah, cały czas wbijając wzrok w ziemię, odezwała się:

– Służącym nie wolno patrzeć w twarz waszej wysokości.

Dżem nagle się zdenerwował.

– Na litość boską, Ferimah, dla mnie to nie tak.

„A jak?” – zapytała w duchu. – „Że niby nie jestem służącą?”

Nic nie odpowiedziała.

– Wiesz co? – wymamrotał Dżem z niezadowoleniem. – Rumi nie chciał, żebym został sułtanem.

– Wiem.

– Ale dlaczego? Czyż to nie on obudził drzemiącego we mnie wilka? Gdyby nie opowiedział mi o Sarı Saltuku, za żadne skarby nie myślałbym o wstąpieniu na tron. Dlaczego? Dlaczego nie chciał?

– Ponieważ cię kocha, sułtanie.

Dżem był wstrząśnięty. Podszedł do niej.

– Ale ty tego chcesz. Jestem twoim dłużnikiem. Ty zawsze chciałaś, żebym został sułtanem. Dlaczego?

– Ponieważ... – Nie dała rady dokończyć zdania.

Ponieważ co?

Ferimah odsunęła się od niego. W tamtej chwili chciała zanurzyć się w nocnych ciemnościach i zniknąć. Albo zapaść się pod ziemię.

– Ferimah.

Dziewczyna zatrzymała się.

– Kto to słyszał, żeby pytanie zadane przez sułtana pozostało bez odpowiedzi? – Jego głos zdradzał gniew.

Ale ona wiedziała, że tak nie było.

– Tamtej nocy w pałacu w Karamanie – kontynuował Dżem. – Kiedy dowiedzieliśmy się o śmierci mojego ojca, ty jako pierwsza krzyknęłaś: „Niech żyje sułtan Dżem”. Derwiz Rumi nie chciał, żebym został sułtanem, ponieważ mnie kocha... To rozumiem, ale dlaczego ty tego chciałaś, Ferimah? Co kryje się za twoim „ponieważ”?

– Ponieważ... Ponieważ... – Głos dziewczyny był jeszcze cichszy i słabszy od szeptu. Chciała krzyknąć: „Ponieważ cię kocham”, ale wiedziała, że musi trzymać język za zębami. Westchnęła. – Ponieważ nie chciałam, żebyś zginął, mój panie.

Czuła na sobie wzrok sułtana. Czy zorientował się, jak było naprawdę?

– Kiedy twój brat wstąpił na tron... – zaczęła stłumionym głosem, ale po chwili zrezygnowała. Teraz już żadne słowa nie miały znaczenia.

Dżem zrobił kilka kroków, mrużąc coś pod nosem. Ferimah nie zrozumiała ani jednego słowa.

Odwrócił się do niej, jakby chciał coś powiedzieć, jednak odszedł bez słowa, splatając z tyłu ręce. Duszę Płomienistego Księcia trawił ogień.

Ferimah poczuła, jakby coś utraciła. Płomienisty Książę? Dżem był teraz sułtanem. Dystans pomiędzy nim a służącą, wziętą niegdyś w niewolę, stał się jeszcze większy niż kiedyś.

Kto wie, ile dziewcząt pięknych jak Nada, a może nawet jeszcze piękniejszych od Serbki, zostanie umieszczonych w jego haremie?

A jej miejsce, jako służącej sułtana, będzie na siedzisku pod drzwiami.

Kiedy patrzyła na oddalającego się od niej Dżema, poczuła napływające do oczu łzy.

„Niech będzie. Zgadza się” – pomyślała.

– Sułtanie – nagle zwróciła się do niego szeptem.

Dżem w jednej chwili odwrócił się.

Ferimah dojrzała w jego oczach błysk i nadzieję.

– To znaczy... – Schyliła głowę. – Powinieneś wiedzieć, panie, kiedy iść, a kiedy się zatrzymać.

Dżem ze zdziwieniem spojrział na nią. Blask w jego oczach zgasł nagle.

– Zatrzymać się?

– Tak, zatrzymać.

Dżem stanął przed nią. Dłonią uniósł jej podbródek i spojrział głęboko w oczy.

– Proszę wybaczyć śmiałość skrybie historii o Sarı Saltuku. Jeżeli sobie życzysz, każ mnie udusić. Nie będę miała sułtanowi za złe. Jeśli jednak nie powiem teraz tego, co zamierzam, a wszystko skończy się źle, i tak umrę.

– Co to za łamigłówka? Powiedz otwarcie, w czym rzecz.

– Mój panie, góra... Góra przemówiła.

Co? Dżem zdumiony patrzył na nią.

– Góra przemówiła?

– Błagam, sułtanie. Proszę, wysłuchaj swojej sługi przez wzgląd na te ostatnie osiem lat. Możesz uznać, że to bzdury, ale ja w to wierzę... Wczoraj w nocy... Góra przemówiła.

Dżem podniósł głowę i spojrział na górę Uludağ, której ośnieżony szczyt w nocnych ciemnościach mienił się jak srebro.

– Czy góra może przemówić, Ferimah? Na litość boską, co ty opowiadasz? Chyba wojna pomieszała ci w głowie. Miałas jakiś sen?

Nie było ratunku. Pokiwała głową, żeby uniknąć kolejnych pytań ze strony Dżema.

– Tak... W moim śnie góra przemówiła.

Dżem nie dał rady ukryć uśmiechu.

– No i? Co powiedziała ta góra?

Ferimah przygryzła usta, żeby ukryć gniew, który nagle ją ogarnął.

„Ale z ciebie głupek!” – pomyślała. – „Góra próbuje cię ocalić”.

Też spróbowała się zaśmiać.

– Góra mówi: „Powinien wiedzieć, kiedy iść, a kiedy się zatrzymać. Ten, kto nie potrafi się zatrzymać, bardzo się natrudzi. Powiedz sułtanowi Dżemowi, żeby za nic nie udawał się do stolicy, do swojego brata. Jeżeli będzie chciał, sam do niego przyjedzie. Niech Dżem wyśle gońca z wiadomością...”.

Nie przejęła się jego drwiącym wyrazem twarzy.

– Mój panie – powiedziała. – Jeżeli on jest sułtanem, tak samo ty nim jesteś. Jeżeli on jest sułtanem Bajazydem, ty jesteś sułtanem Dżemem.

Dziecinny wzrok stojącego przed nią mężczyzny nagle spoważniał. Przed Ferimah stał teraz władca.

– Ta twoja góra – powiedział po chwili namysłu – ma rację. Najlepiej będzie wysłać gońca. Znajdźmy go od razu i przygotujmy wiadomość.

Ferimah z emfazą ukloniła się i pozdrowiła go:

– Sułtanie...

Dżem odwrócił się i zrobił dwa kroki.

– Ta twoja góra – spojrzał na nią znad ramienia – jest bardzo mądra. Jak to dobrze, że znasz górę, która przemawia.

Uśmiechnął się i mrugnął do niej. Odkręcił się i udał w stronę pałacu.

Ferimah przyglądała mu się, dopóki nie straciła go z oczu.

– Kiedy góra przemawia, trzeba słuchać – wyszeptała. – Bo inaczej rozgniewa się i ruszy z miejsca. Wierz mi, Płomienisty Książę. Na własne oczy widziałam, jak góra idzie. Kiedy to się stanie, czeka cię nieszczęście!

[60] Surma (tur. *zurna*) – instrument muzyczny z grupy instrumentów dętych drewnianych.

Nowy Pałac, harem

Czerwiec 1481

– Na Allaha, nie wiem, co powiedzieć.

Starsza kobieta, która siedziała, opierając się na mnóstwie podłożonych pod jej plecy poduszek, poruszyła się. Jej twarz wykrzywił grymas bólu.

– No, no, no – wymamrotała i powoli wyprostowała na dywanie jedną nogę.

Kobieta o grubych kręconych włosach, wystających spod nakrycia głowy, z wyraźnie udawanym zaniepokojeniem klasnęła w dłonie.

– Poduszki! – zawołała do swoich dwórek. – Przynieście natychmiast więcej poduszek. Czyż nie mówiłam wam, że te nie wystarczą? No już. Przynieście też naszej Hala^[61] Sultan coś do położenia nogi.

– Nie chcę – ucięła stara kobieta. Przez chwilę masowała nogę, którą trzymała na dywanie.

– Mam już siedemdziesiąt cztery lata, Gülbahar Sultan. Myślisz, że ból, na który nie pomagają nawet medykamenty, nagle minie od kilku twoich poduszek?

– To znaczy... – odezwała się Gülbahar Sultan. – Ja tylko powiedziałam, żeby...

– Doprawdy? – zapytała kobieta, dalej masując nogę. – Co to w ogóle było? Zaczęłaś chyba od: „Nie wiem, co powiedzieć”. Tak mi się wydaje.

„Ach, ty podstępna zmijo!” – przeszło w tamtej chwili przez myśl Gülbahar. – „Kto twierdzi, że już zniedołężniała? Umysł ma jeszcze jasny!”

– Mówiłam, Hala Sultan, że jego wysokość...

– Gülbahaaar! – syknęła nagle Hala Sultan. Jej ręka, którą masowała nogę, nagle znalazła się w powietrzu. – Przestań używać tych dziwacznych pałacowych określeń. Ten, którego nazywasz „jego wysokością sułtanem”, to twój syn.

– Tak, ale...

Kobieta znów jej przerwała.

– Czyżby nie przechodziło ci przez gardło mówienie do sułtana „mój synu”? Nie bój się. Nikt nie usłyszy. Jesteśmy tu tylko my.

Gülbahar w myślach przeklinała ją, ale mimo to udało jej się uśmiechnąć.

– Ależ gdzie tam, czego miałabym się bać, Hala Sultan? Tak jak powiedziałaś, mój syn jest sułtanem. A ja jestem teraz Valide Sultan. Gülbahar Valide Sultan...

Kobieta zaśmiała się. Przypomnienie komuś, że to ona jest teraz Valide Sultan, w obyczajach pałacowych brzmiało jak groźba: „Bądź ostrożna, kiedy ze mną rozmawiasz, starucho. Naprzeciwko ciebie siedzi Valide Sultan”.

– No i? – burknęła. – Co z tym sułtanem?

Gülbahar udała, że nie przejęła się drwiącym tonem jej głosu. „Wytrzymaj, Gülbahar” – powtarzała w myślach.

– Ponieważ dopiero co objął władzę, sułtan Bajazyd jest w ostatnich dniach bardzo zajęty. Pochłaniają go sprawy państwowe. Spotkania, rady, doradztwa. Ma też sporo utrapień, sama wiesz.

– Czyli?

– Oznacza to, Hala Sultan, że bardzo ucieszy się na twój widok, jednak może się z tobą już dzisiaj nie spotkać.

– Jutro?

– Tak jak wspomniałam wcześniej, Hala Sultan. Nie wiem, co powiedzieć.

– Zaraz, zaraz. Czy to nie ty jesteś jego matką? Przed chwilą mówiłaś o sobie „Gülbahar Valide Sultan”. Bajazyd spełni każdą prośbę swojej valide.

Gülbahar Sultan ze znużenia i złości uderzała lekko dłonią w dywan, na którym siedziała.

– Nie jestem nawet pewna, czy ja sama będę mogła zobaczyć się z własnym synem.

– Jeśli nie będziesz się z nim widzieć, przekaż wiadomość jego kobiecie.

– Ach, Hala Sultan. To nie przystoi.

– Spotkaj się z nim w takim razie.

– Jeżeli jego wysokość sułtan powie, że masz czekać, co mam mu odpowiedzieć?

Hala Sultan wyprostowała drugą nogę i nagle wstała ze zwinnością, której nikt by się po niej nie spodziewał.

– Gülbahar, powiedz swojemu synowi, że przybyła zobaczyć się z nim córka jego pradziadka Czelebiego Mehmeda, siostra jego dziadka sułtana Murada, stryjenka jego ojca, sułtana Mehmeda Zdobywcy, siedemdziesięcioletnia Selçuk Sultan, i że ma mu coś do powiedzenia. Zobaczymy, czy wtedy Bajazyd powie: „Niech poczeka”.

Gülbahar Valide Sultan przestała powstrzymywać się przed okazywaniem zdenerwowania.

– Czy to ta kobieta cię tu przysłała? – zapytała, zbliżając się do staruszki. – Jeżeli przybyłaś tu przekonywać sułtana do bzdur, których nagadała ci ta żmija, Çiçek, to nie oczekuj ode mnie żadnej pomocy. Wiedz, że każde drzwi, do których zapukasz w tym pałacu, zostaną przed tobą zatrzaśnięte. Bez urazy.

Selçuk Sultan w ogóle nie przejęła się jej słowami.

– Przekaż swojemu synowi to, co powiedziałam. A pukanie do drzwi zostaw mnie. Otworzę każde, które będę chciała, Gülbahar. O to się nie martw.

*

– Valide. – Bajazyd przerwał Gülbahar Sultan. – Nie byłoby właściwe kazać Hala Sultan czekać.

Brwi Gülbahar Sultan powędrowały do góry. Zaraz potem znów je zmarszczyła.

– Nie powiedziała nawet, jaki jest cel jej wizyty. Mam nadzieję, że nie spodziewasz się gratulacji z okazji wstąpienia na tron.

Sułtan zaśmiał się.

– To ty powiedziałaś, że ma już siedemdziesiąt cztery lata. Osobą w tym wieku mogą kierować różne powody. Tak czy inaczej, przybyła, by się ze mną zobaczyć.

Zamilkł na chwilę. Pulchnymi palcami przerzucał w zamyśleniu bursztynowe paciorki tespihu.

– Ha! – prychnęła Gülbahar Sultan. – A jaki może mieć powód? Ta rozpuszczona Serbka już powiedziała, co miała do powiedzenia, podnosząc rękę na jedność państwa.

Bajazyd skarcił ją wzrokiem.

– Wybacz, mój panie – wyszeptała Gülbahar. – Nie panuję nad sobą. Gdy tylko pomyślę o tej kobiecie, nie mogę się powstrzymać. Zapominam o wszystkim.

– Jedną z osób, o których zapominasz, jest mój świętej pamięci ojciec, valide.

– Sułtan nie wie, co ta kobieta mi uczyniła. – Gülbahar z czułością spojrzała na twarz syna, którą pokrywał zarost. – Byłeś jeszcze mały, mój dzielny sułtanie. Zrobiła wszystko, żeby twój świętej pamięci ojciec ode mnie odszedł, nie było podłości, której by nie spróbowała.

Znudzony Bajazyd odwrócił głowę. Podczas lat spędzonych w Amasji wysłuchał tej historii chyba z tysiąc razy. Obwiniła matkę Dżema o usunięcie jej z pałacu. Wierzyła, że gdyby nie pojawienie się Çiçek Hatun, do końca życia zostałaby faworytą sułtana Mehmeda. Za każdym razem, kiedy zaczynała opowiadać, Bajazyd myślał, że to nieprawda, ale pozwalał jej mówić. Takie były prawa rządzące haremem. To wszystko. Kilka miesięcy po urodzeniu syna Çiçek Hatun została zmuszona do opuszczenia haremu, ponieważ wtedy serce sułtana skradała akurat piękność o imieniu Eflak. Ale nie, jego matka wciąż powtarzała: „Gdyby ta Serbka nie stanęła pomiędzy nami, sułtan Mehmed nigdy by mnie nie opuścił”.

Ze względu na swój błąd Gülbahar zdecydowała, że wobec sułtana używać będzie oficjalnego języka, nawet jeśli był to jej własny syn.

– Jeśli pytasz nas o zdanie, mój sułtanie – powiedziała – to uważamy, że to Çiçek Hatun przysłała Selçuk Sultan. I to w tak podeszłym wieku.

– Tak sądzisz?

Bajazyd wolałby, żeby przysłał ją jego brat. Dla przyszłości Al-Osman ważniejsze było, co do powiedzenia miał Dżem, a nie jego matka.

Gdy Gülbahar zauważyła zadumę syna, wstała z dostojnością godną Valide Sultan i przeszła po pokoju, kołyszając się lekko.

– Ciężko stwierdzić, co ta kobieta zamierza. Jeden Allah wie, ale może będzie

chciała zażądać, byście ustąpili z tronu. Dotarli już do Bursy. Nawet kazała swojego wnuka Oğuz, czy jak mu tam, przywieźć tam z Karamanu.

– Czy Hala Sultan przybyła z Bursy aż tutaj zupełnie sama? – zapytał nagle Bajazyd.

Gülbahar oczekiwała od niego raczej reakcji na swoje ostatnie słowa, więc to pytanie zdumiało ją.

– Przydzielili jej kilku konnych. Podali swoje imiona, ale nie zapamiętałam. Co to ma do rzeczy? Selçuk Sultan przyszła do mnie sama.

„Czyli przysłał ją mój brat” – pomyślał Bajazyd. Nie zdziwiło go to. Selçuk Sultan z nich wszystkich najbardziej kochała Dżema. Ile razy w dzieciństwie Bajazyd słyszał, jak karciała bawiącego się Mustafę: „Nie rób takiego hałasu!”. Bał się jej. Żeby przypadkiem jej nie podpaść, zamiast bawić się, siedział gdzieś po cichu. Tymczasem kiedy Dżem swoim krzykiem podnosił na równe nogi cały pałac, Selçuk Sultan śmiała się niemal do rozpuku, mówiąc: „Tylko spójrzcie na niego! Zawsze wydziera to, co uda mu się złapać!”.

„Tym razem nie uda ci się niczego wydrzeć, Dżem” – przeszło przez myśl Bajazydowi. – „Gratuluję, wybrałaś sobie wspaniałego posłańca, ale nic z tego, nie dostaniesz tronu. To ja złapałem go pierwszy”.

– Skoro tak – powiedział Bajazyd, prostując się. – Nie każmy Hala Sultan dłużej czekać.

– Oczywiście wy wiecie lepiej, sułtanie, ale... – Gülbahar Valide Sultan próbowała jeszcze raz wyrazić swój sprzeciw, jednak Bajazyd kierował się już do drzwi.

„Dokąd on się wybiera?” – pomyślała Gülbahar. – „Wyjdzie i krzyknie do strażników, żeby ją wezwali, czy co?”

– Czy mogłabym zapytać, mój panie, dokąd się wybieracie?

Bajazyd odwrócił się do matki. Wyglądał na zdziwionego jej słowami.

– Do Hala Sultan, valide. Chyba nie każę jej fatygować się tylko dlatego, że jestem teraz sułtanem. Zobaczę się z Selçuk Sultan, odbiorę jej gratulacje i wysłucham jej modlitwy.

Gülbahar nie wiedziała, co ma powiedzieć i zrobić.

„To nie do przyjęcia. Nie do przyjęcia” – wymamrotała w myślach, idąc za swoim synem.

*

Selçuk Sultan, w komnacie specjalnie dla niej wydzielonej, spotkała się z Mevlaną Ayasem oraz Ahmedem Czelebim, którym Dżem dał za zadanie jej towarzyszyć. Kiedy przekazała im, co powiedziała Gülbahar Valide Sultan, Ahmed Czelebi westchnął.

– W takim razie Bajazyd nie przyjmie nas wcześniej niż za tydzień.

Dokładnie w tym momencie ktoś w pośpiechu otworzył drzwi.

– Sułtan – wykrztusiła jedna z dziewcząt przydzielona im do służby, jakby zaraz miała się udusić. – Przybył sułtan Bajazyd.

Obaj mężczyźni z zaskoczeniem popatrzyli po sobie. Natomiast Selçuk Sultan nie wyglądała na zdziwioną. Jakby przywidywała, że tak się stanie.

Kiedy sułtan Bajazyd wszedł do pokoju, Selçuk Sultan stała; po jej prawej stronie zobaczył Mevlaną Ayasa, a po lewej Ahmeda Czelebiego. Znał ich obu. Kiedy był jeszcze młodym szehzade, Mevlana Ayas zaliczał się do grona doradców jego ojca. Należał do najbardziej szanowanych i doświadczonych ulemów. Ahmed Czelebi był natomiast synem Müverriha Szükrullaha, któremu kiedyś przydzielono spisanie historii państwa.

„Popatrz, jaki chytry jest ten twój mały braciszek” – pomyślał Bajazyd. – „I na posłańca, i na jego towarzyszy wybrał mądrych ludzi”.

– Hala Sultan. – Z wymuszonym uśmiechem wyciągnął ramiona w jej stronę.

Kobieta najpierw delikatnie schyliła głowę i z takim samym sztucznym uśmiechem zwróciła się do wchodzącej do pokoju valide sultan:

– Gülbahar, popatrz tylko. To sułtan Bajazyd miał mnie powitać, a tymczasem ja przyjmuję go w swojej komnacie. Witaj, bratanku.

Nie powiedziała ani „szehzade”, ani „sułtanie”. Starła się nadać tej wizycie rodzinny charakter.

Selçuk Sultan z manierami godnymi właściciela domu wskazała swojemu bratankowi miejsce do siedzenia.

Bajazyd spoczął.

– Musisz być zmęczona. – Pokazał kobiecie miejsce obok siebie. Jednak Selçuk Sultan nie usiadła. – Jaki jest cel tak dalekiej wizyty, Hala Sultan?

– Przybyłam, żebyście nie przelewali braterskiej krwi.

Uśmiech zastygł na twarzy Bajazyda. Pomimo zarostu widać było, że jego blade policzki nagle zapłonęły. Gülbahar Valide Sultan chciała coś powiedzieć, jednak Bajazyd dłonią nakazał jej milczenie.

– I komu ty to mówisz, Hala Sultan? Czy to ja ją przelałem? Czy nie przysłał cię tutaj główny winowajca?

Selçuk Sultan próbowała dojrzeć pomiędzy gęstymi rzęsami jego oczy. Nie wyczytała z nich żadnych uczuć.

– Nie powiedziałam, żebyś to ty nie przelewał braterskiej krwi, ale żebyście wy tego nie zrobili. Tak brzmi moja wiadomość. Zaczyna się tutaj, w Dersaadet, a kończy się oczywiście w Bursie.

– Dlaczego nie uznaje mojej władzy? Z twoich ust także ani razu nawet nie padło słowo „sultan”. Nie pogratulowałaś mi nawet ani nie pomodliłaś się.

Gülbahar Sultan każde słowo swojego syna aprobowala kiwnięciem głowy.

– Gdybym zachowała się tak, jak tego ode mnie oczekujesz, postąpiłabym niesprawiedliwie wobec drugiego z moich bratanków, który mnie tu przysłał. Posłaniec tylko przekazuje wiadomości. Jeżeli zacznie mieszać do tego swoje własne zdanie i osąd, źle się to wszystko skończy, Bajazydzie.

Z rozmowy nic nie wynikało.

„Dobrze” – pomyślał Bajazyd. – „Zrobiłem to, co wypadało. Okazałem szacunek starszej kobiecie. W takim razie...”

Wstał. Próbując się uśmiechnąć, spojrzał na stojącą naprzeciwko niego Selçuk Sultan.

– Możecie odpocząć kilka dni i dopiero potem wyruszyć w drogę powrotną.

Chciał ją wyminąć i wyjść. Kobieta zrobiła jeden krok w bok i przeszkodziła mu.

– Zobaczyłam, co miałam zobaczyć, ale nie skończyłam jeszcze mówić. Nie przelewajcie braterskiej krwi. Al-Osman jest ogromne, a Dżem jest twoim bratem. Nie ma w życiu osoby bliższej niż brat. Macie różne matki, ale to sułtan Mehmed zasiał w nich swoje ziarno. Nie utopcie jego państwa we krwi. Niech...

Selçuk Sultan odchrząknęła.

– Niech Rumelia będzie twoja – powiedziała nagle. – Niech Rumelia będzie twoja, a Anatolię zostaw Dżemowi.

„Ach, Dżem” – pomyślał Bajazyd. – „Tym razem gotów jesteś wyrzeć tylko połowę tego, co złapałeś?”

Z uśmiechem na ustach podszedł do Selçuk Sultan. Wziął ją za rękę, głaszcząc pomarszczoną dłoń kobiety.

– Już dobrze, Hala Sultan. Wiem, że posłańcy zawsze są niewinni. Szanuję cię nie tylko jako posłańca, ale przede wszystkim jako siostrę mego ojca. Oczekujesz ode mnie teraz odpowiedzi, którą przekażesz mojemu bratu.

Zamilkł. Selçuk Sultan kątem oka spojrzała na Gülbahar Valide Sultan.

„Gdybym miała lepszy słuch, na pewno usłyszałabym przyspieszone bicie twojego serca, Gülbahar. Uspokój się trochę” – westchnęła w myślach. Zdawała sobie jednak sprawę, że jej serce wcale nie biło wolniej.

– Moja odpowiedź brzmi tak, Hala Sultan – zaczął Bajazyd. – *La rahim bejn al-muluk!*

Zmarszczki w kąciakach oczu Hala Sultan w jednej chwili się pogłębiły. Ściągnęła brwi.

– Co to ma znaczyć?

– To arabskie przysłowie. Bardzo adekwatne w tej sytuacji. A oznacza ono: „Wśród władców więzy krwi są bez znaczenia”.

Wyrwała dłoń z ręki Bajazyda.

– Widzę, że mój bratanek daje posłuch przysłowiom przodków. Tak samo, jak ja. Dodam więc jedno od siebie: „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”.

Spodziewała się krzyków i wybuchu gniewu sułtana, jednak nic takiego nie

nastąpiło. Pokiwał tylko głową i zaśmiał się.

– Na Allaha, Hala Sultan, to ciebie powinno się wysłać do niewiernych. Może przemówiłabyś im do rozumu.

Potem nagle spowaźniał.

– Tak była widać wola Allaha, Hala Sultan. Zwrócił nas przeciwko sobie. Nie chciałem, żeby tak się stało. Wiem, że on również... Takie jest nasze przeznaczenie. Jeden z nas przegra. I nie sądzę, że bym to był ja.

Odwrócił się i skierował do wyjścia. Gülbahar Sultan energicznym obrotem w kierunku drzwi okazała zadowolenie z odpowiedzi udzielonej przez jej syna. Ruszyła za sułtanem.

Bajazyd zatrzymał się w progu i dodał:

– Hala. Powiedz Dżemowi, żeby zrezygnował z walki o tron. Niech nie sądzi, że ma do niego jakiegokolwiek prawo. Ale może być spokojny, nie mam zamiaru wykonywać postanowień dekretu. Niech żyje w szczęściu i spokoju.

^[61] Hala (tur.) – stryjenka, siostra ojca; tutaj oznacza tytuł siostry ojca sułtana Mehmeda Zdobywcy.

*Pałac w Bursie**20 czerwca 1481*

Sułtan Dżem w złości podniósł głos.

– Kto? Kto zaatakował nas tym razem?

Posłaniec schylił głowę. Nie wiedział, jaką reakcję wywoła imię, które miał powiedzieć.

– Mów, no już! Wiesz, że dolina Yeniszehir została zaatakowana przez tysiące żołnierzy, ale nie wiesz, kto nimi dowodzi?

Dżem zastanowił się przez chwilę.

– A może Ayasowi Paszy nie wystarczyła poprzednia porażka?

Dżem wiedział, że Bajazyd nie ma zielonego pojęcia o wojsku i prowadzeniu wojny. Razem z ich ojcem brał udział w bitwie pod Otlukbeli, jednak ani razu nie wsiadł na konia i nie wziął udziału w ataku na wroga. Kiedy on przyglądał się bitwie ze wzgórza, towarzyszący mu paszowie musieli radzić sobie sami. Jeżeli jednak mimo wszystko Bajazyd stanął na czele swojej armii, morale jego żołnierzy mogło spaść.

„Ci, którzy dwadzieścia dni temu przeszli na moją stronę, widząc, jak Ayas Pasza opuścił ich na polu bitwy, teraz mogą porzucić mnie, widząc naprzeciwko swego dawnego dowódcę” – pomyślał Dżem. – „Kto raz uciekł, może to zrobić ponownie”.

Takie rozproszenie mogłoby spowodować wybuch paniki.

Gdy Emir Dżanpolat zrozumiał, że posłaniec nic więcej nie powie, wymamrotał:

– Gedik.

– Co ty mówisz? Myślisz, że wysłał na nas Gedika Ahmeda Paszę?

Dżanpolat schylił głowę.

To była bardzo zła wiadomość.

Gedik Pasza był jednym z najbardziej lubianych przez żołnierzy dowódców. Przez ponad trzy lata pełnił funkcję wielkiego wezyra jego ojca. Podporządkował sobie Adriatyk i wylądował na wybrzeżach Italii. Jeżeli Mehmeda nazywano Zdobywcą Konstantynopola, Gedik był Zdobywcą Otranto.

Dżem spojrzął na zatrwożonych mężczyzn zgromadzonych w pokoju. Zmusił się do uśmiechu.

– Widać mój brat musiał się nieźle przestraszyć. Nasłał na nas Zdobywcę Otranto!

Pokój wypełniły szepty, ale nikt nie wydawał się rozbawiony.

Nagle Dżem przypomniał sobie wiadomość, którą ze stolicy przyniosła Selçuk Hala Sultan. Bajazyd przekazał, że ma zrezygnować z walki o tron i nie obawiać się wykonania postanowień dekretu. Pozwoli mu bezpiecznie żyć. Czy nie przyrzekł, że puści w niepamięć to, co stało się w Bursie? Miał przecież zapomnieć o dekreście. Miał pozwolić mu żyć. Czy tak dotrzymywał słowa sułtan?

Naciągnął cięciwę i wypuścił strzałę. Nie było odwrotu. Nikt nie może już zatrzymać biegu wydarzeń. Albo przetrwa jego rdzawy wilk, albo Bajazyda. Świat jest za mały dla dwóch wilków.

– Ach. – Położył dłonie na kolanach. – Mój szacunek do Gedika Paszy jest niezaprzeczalny. Nie chciałem, aby syn Zdobywcy musiał rzucać się z mieczem na innego Zdobywcę. Nie mam jednak innego wyjścia. Zażądałem, żeby zrzekł się tronu, ale nie zrobił tego. Wysłałem do niego Hala Sultan z propozycją: „Niech Rumelia będzie twoja, a Anatolia moja. Nie przelewajmy braterskiej krwi”. Jego odpowiedź brzmiała: „Wśród władców pokrewieństwo nie ma znaczenia”.

Dżem zamilkł i przybrał zamyślony wyraz twarzy, chociaż nie był w stanie na niczym się skupić. W jego głowie kłębiły się setki, tysiące myśli; może było ich nawet więcej niż gwiazd na niebie, ale on nie mógł złapać żadnej z nich.

„Derwiszu, gdzie jesteś?” – zapytał po cichu. – „Ach, Rumi, tak bardzo potrzebuję teraz twojej rady. Przez moje ambicje rdzawy wilk powrócił, jednak strzała już go nie dosięga. Jest coraz silniejszy. Musisz zdążyć, Rumi, musisz. Tak jak Kultegin, jak Tekin Alp, jak Gündüz Buğra; napnij łuk, jak mój przodek Osman Gazi, i wypuść strzałę z cięciwy. Zabij mojego wilka, Rumi”.

Wiedział, że Derwisz Rumi już nie wróci, a on stał oko w oko z rdzawym wilkiem. Nic nie mogło go już powstrzymać. Było za późno. Wilk zdążył nim zawładnąć. Możliwe, że w jego żyłach płynęła już wilcza krew.

„Zatem” – pomyślał Dżem. – „Takie jest prawo miecza. Niech rozum zamilknie, a przemówi stal”.

Dżem wymazał z pamięci Rumiego. To nie był moment na rozliczenia z przeszłością. Nadszedł czas, kiedy miało dokonać się przeznaczenie. Nie dając po sobie nic poznać, spojrzął na przyglądających mu się mężczyzn. Wyglądali na zmartwionych i zdenerwowanych.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że pokonanie wojska, na którego czele stoi Gedik Ahmed Pasza, nie będzie łatwym zadaniem. Szczególnie że miał do dyspozycji armaty oraz prawie pięć razy więcej żołnierzy niż oni.

Dżem usłyszał nagle w swojej głowie wycie.

Wstał.

– Skoro wśród władców więzy krwi nie mają znaczenia, mnie nie pozostał już żaden krewny – wycedził przez zęby Dżem.

*

Wszystkie trzy znajdowały się w jednym pokoju.

Çiçek Hatun spoczęła na siedzisku i patrzyła przez okno. Nic jednak nie widziała. Myślami była przy swoim synu.

Nada wzięła się pod boki i chodziła w kółko od jednego końca pokoju do drugiego. Była podenerwowana, zmartwiona i zamyślona. Myślała o ojcu swojego syna, o mężczyźnie, który od dwudziestu dni był sułtanem i ojcem dziecka, które nosiła w łonie.

Nada powiedziała Dżemowi, że jest w ciąży w dniu, w którym wszedł do Bursy i ogłosił się sułtanem.

„Mój panie, nasz shehzade oczekuje rodzeństwa”.

Tego samego dnia Oğuz Han wyruszył w drogę z Karamanu. Nie dbał o to, że został shehzade i że wkrótce będzie również starszym bratem. Gdy tylko uwolnił się od opiekunki, z którą spędził podróż, zaczął biegać w poszukiwaniu nowych miejsc do zabawy.

Ferimah była wściekła. Siedziała w kącie i przygryzała usta.

Powodem wcale nie była Nada i jej druga ciąża, tylko jej Płomienisty Książę.

„A niech to szlag” – pomyślała. – „Miał tego nie robić. Miał nie odchodzić beze mnie”.

Nawet wspomnienie uśmiechu Dżema nie złagodziło jej złości.

„Która to już złamana z twojego powodu przysięga?” – westchnęła w duchu. – „Przysięgałam, że nie zostanę nigdy w tyle, gdy ci, których kocham, pójdą do boju. Już raz tak postąpiłam i nie zamierzam powtórzyć tego błędu”.

Przed oczami Ferimah stanęła scena pogromu.

Kiedy usłyszała krzyki, zrozumiała, że się pomyliła. Myślała, że tym razem Dżem się zatrzyma. Powinien był zrezygnować z walki z tak silną armią i zaakceptować warunki postawione przez Bajazyda. Powinien był powiedzieć: „Niech tron będzie twój, a życie moje”. Ale kolejny raz posłuchał rdzawego wilka. Zdecydował się walczyć z własnym bratem.

Gdy Ferimah poznała jego decyzję, zerwała się na równe nogi. Zaczęła nerwowo szukać turbanu z biało-niebieskimi wstążkami, jakby nie miała w tamtej chwili nic ważniejszego do zrobienia. Nie mogła ich znaleźć.

Kiedy wybiegła na zewnątrz, zobaczyła wszechobecny zamęt. Konie rżały i stawały dęba, żołnierze biegali w pośpiechu, dowódcy wydawali rozkazy.

– Kawalerzyści, uformować skrzydła.

– Armaty ciągnąć jedna po drugiej.

– Łucznicy! Gdzie się podziali łucznicy?

Çiçek Hatun przyglądała się wszystkiemu z góry, oparta o jedną z kolumn przy balustradzie. Trzęsła się, a jej wargi drżały. Modliła się.

Nada też tam była. Jej blond włosy tak jak zwykle zaplecione były w dwa ciasno upięte na karku warkocze.

„Pasuje do niej ta fryzura” – pomyślała Ferimah. – „Tylko tak potrafi stłumić w sobie kobiecość i pokazać ambicje”.

Kobieta krzyczała, jakby straciła nad sobą panowanie:

– Mój sułtanie! Zniszcz go! Zdobądź tron! Masz do niego prawo! Ty jesteś sułtanem. Niech żyje sułtan Dżem!

Jednak nikt nie kwapił się, by do niej dołączyć. Ferimah też nie miała zamiaru tracić na to czasu. Wszędzie panowało zamieszanie. Gdzieś poza jej zasięgiem wzroku zagrzmiały bębny zwiastujące zbliżającą się walkę.

Bum!

Bum, bum!

Bum, bum, bum!

„Dżem!” – w głowie Ferimah rozległ się krzyk. – „Gdzie on jest?”

Wtedy go zobaczyła. Siedział na grzbiecie konia. Ruszyła w dół schodami prowadzącymi na dziedziniec. Na dole schodów stało co najmniej dziesięciu strażników. Co tam robili?

Na początku Ferimah nie zrozumiała. Kiedy jej nie przepuścili, a drogę zagrodzili skrzyżowanymi kopiami, zaczęła panikować. Boże, Płomienisty Książę tym razem ruszał na wojnę bez niej.

– Nie zostawiaj mnie tutaj! – krzyczała, szarpiąc się z próbującymi ją zatrzymać strażnikami. – Nie zostawiaj mnie!

Teraz żałowała. Trzeba było ruszyć niebo i ziemię, żeby go zatrzymać. Powinna była to zrobić.

Nic już nie powstrzyma dwóch braci przed skoczeniem sobie do gardeł. Nic. Tylko ona mogła tego dokonać. Powinna krzyczeć: „Nie idź! Góra ruszy z miejsca!”.

Znów by jej nie wysłuchał. Zaśmiałyby się. Ale nie powinna rezygnować.

– Nie idź, mój panie! Góra ruszy z miejsca! Jeśli za wszelką cenę chcesz walczyć, nie zostawiaj mnie tutaj! Jeśli mamy zginąć, to tylko razem. Jeśli mamy przeżyć, także we dwoje.

Ale on zostawił ją i wyruszył.

Ona zaś złamała kolejną przysięgę.

Bała się, że zginie. Trzęsła się i nie mogła zmusić się do myślenia. Przepęniała ją gorycz.

„Boże!” – wołała w myślach. – „Dlaczego każesz mi przeżywać to wszystko raz jeszcze? Czyżbym zgrzeszyła? Nie żyłam jeszcze wystarczająco długo, żeby móc zgrzeszyć”.

Wystraszyła się swojego buntu przeciwko samemu Bogu.

– Wybacz mi – wyszeptała po chwili. – Wybacz mi. Niech tym razem skończy się to inaczej. Proszę. Niech koniec będzie inny!

Rozejrzała się dookoła, próbując uspokoić buzujące emocje. Nic to jednak nie dało. Wręcz przeciwnie, jej serce zaczęło bić jeszcze mocniej.

„Płomienisty Książę walczy, a ja siedzę tutaj i zastanawiam się, czy góra ruszy z miejsca”. A jeśli naprawdę tak się stanie? Jeżeli znów się rozwścieczy? Albo zacnie krzyzczeć? Jeżeli nieszczęście znów spadnie na nią jak czarna chmura? Nie, tym razem nie będzie czekała beczynnie.

– Çiçek Valide – wyszeptała.

Kobieta podskoczyła, jakby wyrwana ze snu.

– Co, co takiego?

– Czy pozwolisz mi pani do siebie podejść?

Nada spiorunowała ją wzrokiem.

– Chodź. Coś się stało? – Çiçek przywołała ją gestem dłoni.

Ferimah podeszła, podpierając się na kolanach, i spoczęła na siedzisku w jej nogach. Z dołu spojrzała na Çiçek Hatun.

– Gdybyśmy tak nie czekały?

Kobieta zdziwiła się.

– Jak to? A co innego możemy zrobić?

Ferimah przysunęła się jeszcze bliżej. Çiçek Hatun bezwiednie schyliła się w jej kierunku. Nada, która, jak się okazało, podsłuchiwała, syknęła:

– Sultan Valide, nie wierz w żadne słowo tej służącej.

Wzrok Çiçek spotkał się ze wzrokiem dziewczyny.

Dostrzegła w nim płomienie.

– A jeśli góra ruszy z miejsca? Chyba oszalałaś. Czy góra w ogóle może iść?

– Może.

– Oszalała – rzuciła Nada. – Zupełnie oszalała. Trzeba ją zakuć w kajdany.

Ferimah nie przejęła się jej słowami. Wzrok skierowała na valide Dżema wpatrującą jej się głęboko w oczy. Nawet nie mrugnęła. Ponieważ pod nieobecność sułtana decyzje podejmuje jego valide.

– Hej, ty. Spójrz na mnie. – Nada podeszła i trąciła ją. Ferimah przechyliła się i niemal upadła, ale w ostatniej chwili udało jej się złapać krawędź siedziska.

Nada klasnęła w ręce i krzyknęła w stronę strażników:

– Wyrzućcie stąd tę służącą! Później się z nią policzę. Kiedy nasz pan wróci wraz ze zwycięskim orszakiem...

– Nie będzie żadnego zwycięstwa – powiedziała Ferimah i aż wzdrygnęła się na dźwięk swojego własnego głosu. – Tym razem nie będzie zwycięstwa. Góra zacznie iść.

– Niech Allah strzeże! Ty kłamliwa żmijo. Mój sułtan powróci zwycięski. Wtedy każę cię wyrzucić ze służby. Poczekaj, zobaczysz dopiero, co zrobię. Na początek każę odciąć ci język.

Kiedy zauważyła, że strażnicy nawet nie drgnęli, tupnęła nogą.

– Nie słyszeliście, co powiedziałam? Wyrzućcie stąd tę służącą. Natychmiast. Kłamliwa żmija.

Kiedy kilku strażników skierowało się do Ferimah, Çiçek Hatun podniosła rękę na znak, by się zatrzymali.

Jednak Nada nie miała zamiaru dać za wygraną.

– Patrzcie, co ta obłąkana wygaduje. Góra zacznie iść! – Nagle zamilkła. – Taaak,

oczywiście – odezwała się po chwili, tym razem drwiąco. – To nie żadna góra zacznie iść, tylko mój sułtan, gdy pokona Bajazyda, ruszy do stolicy.

Ferimah ani razu nie odwróciła się i nie spojrzała na Nadę. Jej wzrok cały czas spoczywał na Çiçek Hatun.

– Trzeba zachować się rozważnie. Musimy go uprowadzić. On musi uciekać.

– Uprowadzić? – Çiçek Hatun była zdezorientowana.

– Nie słuchaj tego, moja pani – wysyczała Nada przez zęby. – Ona... Ona jest szpiegiem Bajazyda. Zdrajcą. Najpierw podburzyła mojego sułtana, żeby walczył o tron. Teraz chce, żeby odpuścił i zostawił go bratu.

– Nada!

Głos Çiçek Hatun nie był podniesiony, ale ostry jak miecz.

Zaczerwieniona od emocji twarz Nady nagle pobladła. Pragnęła, żeby wszyscy zwracali się do niej „Nadide Sultan”, ale nikt się tym nie przejął. Çiçek Hatun również.

Spojrzała na matkę swojego wnuka.

– Ona może mieć rację. Możemy nie mieć innego wyjścia.

– Przeklęta wiedźma – burknęła Nada i ruszyła w stronę Ferimah, jednak Çiçek Hatun zagroziła jej drogę. – Na mnie nie działają twoje czary! – krzyczała, wymachując rękami. – Valide, pokaż jej, pani, gdzie jej miejsce. Mój sułtan... Ojciec mojego shehzade... Sułtan Dżem stoi na czele Al-Osman. Nie może zrezygnować z tronu... Nie... Nie pozwolę...

Nie dała rady dokończyć. Schowała twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Chwilę później zarzuciła ramiona na szyję Çiçek Hatun.

– Valide, valide... – szlochała. – Proszę na to nie pozwolić. Niech mój sułtan nie ucieka z pola walki...

Kiedy Çiçek Hatun próbowała uspokoić Nadę, spojrzała w kierunku Ferimah i powiedziała:

– Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Mój syn ogłosił, że jest sułtanem, zaczęli wybijać monety z jego imieniem. Wiesz, co to znaczy, prawda? Był shehzade Dżemem, stał się sułtanem Dżemem. Tysiące ludzi padło mu do stóp i uznało jego zwierzchnictwo.

Wierz mi, jeżeli ktoś, kto ogłasza się sułtanem, dwadzieścia dni później porzuca wszystko i ucieka, nie ma mowy o prawie i porządku.

– No dobrze – zaczęła Ferimah z miejsca, w którym siedziała. – Ja tylko mówię, że powinien uciekać właśnie dlatego, że jest sułtanem, valide. Jeżeli tego nie zrobi, zabiją go. – Przynęła się do Çiçek Hatun i wzięła w dłonie krawędź jej szaty. – Jeśli sułtan zginie, wtedy właśnie znikną prawo i porządek. Ale jeżeli ucieknie, będzie mógł dalej toczyć walkę o tron. Zbierze swoje siły. Wróci z większą armią. Powie wtedy: „Prawo jest moje, do mnie należy praworządność, to ja jestem sułtanem”. A jeśli nie...

Miała jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia, ale nagle podniosła się i nadstawiła uszu. Po chwili podbiegła do okna. Otworzyła je i zaczęła nasłuchiwać.

– Słyszycie?

Çiçek Hatun pokręciła głową. Nie dochodził do niej żaden dźwięk.

– Matko... – wyszeptała Ferimah. – Góra ruszyła z miejsca...

*Dolina Yeniszehir**21 czerwca 1481*

Dżem nie mógł uwierzyć własnym oczom. Góra zmierzała w ich kierunku, jakby wezbrana rzeka wystąpiła z brzegów.

Od razu pomyślał o słowach Ferimah.

„Kiedy góra zacznie iść, nie wolno stać jej na drodze”.

Góra szła.

„Jeżeli góra przemówi, jeżeli krzyknie...” – szeptała mu tamtej nocy. – „Nie trać czasu i uciekaj”.

Pomyślał wtedy, że to jakieś bzdury, że dziewczyna oszalała. Ale góra przemówiła. Krzyczała.

Kiedy dotarli do przesmyku, po którego obu stronach wznosiły się wysokie i ostre skały, İvaz Aga i Emir Dżanpolat zatrzymali się.

– Co się stało? Widzicie coś?

Obaj mężczyźni zaniepokojeni wpatrywali się w skały.

– Ta góra – powiedział İvaz Aga. – Wygląda podejrzanie, sułtanie. Zastanawiam się, czy jeżeli zdecydujemy się przejść przez przesmyk, nie wpadniemy w pułapkę.

– W pułapkę?

– Co, jeśli Gedik kazał swoim żołnierzom pochować się między skałami i da im sygnał do ataku, kiedy będziemy tamtędy przechodzić?

– Nawet kozy nie są w stanie utrzymać się na tak stromych skałach. Jak miałyby się pomiędzy nimi ukryć całe wojsko? Pytałem o to kiedyś Gedika Paszę. Woli walki na otwartych przestrzeniach. Formuje żołnierzy tak, by z łatwością mogli wykonać manewr oskrzydający.

Oni jednak cały czas pełni byli obaw. Dłońmi zasłaniali oczy przed rażącym słońcem i przyglądali się skałom. Sprawdzali, czy nie widać gdzieś błysków światła odbijającego się od zbroi, które potwierdziłyby ich domysł, ale nic nie dostrzegli. Szkoda. Gdyby kryli się tam żołnierze, jeden z tysięcy mieczy lub jedna z tarcz z pewnością rozbłysłyby blaskiem słońca. Nikogo tam nie było.

– No dalej – Dżem starał się uspokoić swoich dowódców. – Gedik na pewno czeka na nas na równinie za przesmykiem.

Podniósł prawe ramię. Na jego znak siedem tysięcy stojących z tyłu żołnierzy zaczęło formować kolumny szerokości przesmyku. Na przedzie miała kroczyć kawaleria.

W momencie, kiedy Dżem chciał ruszyć, Emir Dżanpolat złapał za wodze Pioruna.

– Mój panie, gdybyście tak zostali tutaj, na tym zboczu?

– Ja zawsze prowadzę moich żołnierzy, Dżanpolat.

Jednak jego to nie przekonało. Tak samo jak İvaz Agi i pozostałych dowódców. Wszyscy uważali, że powinien zostać.

– Sułtan powinien trzymać się z tyłu. Jeżeli nam się coś stanie, niech Allah strzeże, to jak utrzymamy żołnierzy?

Sprzeczenie się z nimi byłoby tylko stratą cennego czasu.

„Może i mają rację” – pomyślał Dżem. – „Warto działać roztropnie”.

Zgodził się. Wziął ze sobą stu konnych, których sam, jednego po drugim, wybrał jeszcze w pałacu w Karamanie, i wjechał razem z nimi na wzgórze wskazane przez Dżanpolata. Stąd z łatwością mógł obserwować wszystko, co działo się na polu walki.

Żołnierze przesuwali się w stronę przesmyku w oddziałach uformowanych tak do przejścia. Na początku szła kawaleria, a za nią maszerowała piechota. Większość mężczyzn ubrana była w stroje janczarów. Janczarzy mieli bić się z innymi janczarami i zabijać ich.

Dżem odetchnął głęboko.

„Przeznaczenie” – pomyślał.

Żołnierze zaczęli znikać w przesmyku, który okalały czarne, wysokie, złowrogie skały. Przesuwali się szybko.

Nie doszło do tego, czego się obawiali. Miał rację, między skałami nikt się nie ukrył.

– Czy Gedik Pasza to jakaś koza, żeby skakał po skałach? – zaśmiał się pod nosem.

Jednak jego radość nie trwała zbyt długo. Kiedy tumany pyłu, które zostawiła za sobą kawaleria, opadały na przesuwaną się za nią piechotę, usłyszał świst dochodzący sprzed wejścia do przesmyku.

Dżem zobaczył dziesiątki tysięcy strzał lecących nad doliną.

– Pułapka! – krzyknął.

Kiedy lawina strzał spadała na jego żołnierzy, przed wejściem do przesmyku, w którym chwilę wcześniej zniknęła kawaleria, rozpoczęła się walka wręcz.

Spahisowie!

Gedik Ahmet Pasza chciał odciąć im drogę powrotną. Zostali otoczeni. Czekala ich tylko śmierć.

Świst ustał. Kiedy Dżemowi przeszło przez myśl, że w końcu ustał śmiertelny deszcz, nad polem bitwy ukazała się kolejna fala strzał.

Potem kolejna. I jeszcze jedna.

Za każdym razem dolinę wypełniały rozzwierające powietrze krzyki.

Ściągnął wodze i chciał popędzić Pioruna, ale subaszy zagroził mu drogę.

– Co robisz? – krzyknął do niego Dżem.

– Mój panie. – Subaszy złapał za wodze konia. – Możesz odebrać mi życie, jeśli chcesz, ale nie przepuszczę cię, sultanie.

Mężczyzna przeciągnął konia Dżema w bardziej osłonięte miejsce.

– Ty łotrze! Jak śmiesz? Jak ci nie wstyd? Nie boisz się Allaha? Tam na dole giną twoi towarzysze, z którymi rano siadałeś do śniadania. Jak możemy się chować, słysząc ich przeraźliwe krzyki? Zejdź mi z drogi albo...

Nie wykonał jego rozkazu. Inni strażnicy także zbliżyli się, zagradzając mu drogę.

W jednej chwili Dżema ogarnął strach. Czy to także była pułapka?

Czyżby ludzie, których sam wybrał i którym ufał, okazali się szpiegami Bajazyda? Tak ja Emir Dżanpolat, który powiedział, że ma poczekać akurat na tym wzgórzu? Czyżby wpadł w śmiertelną pułapkę tak samo jak jego żołnierze? Który z nich miał go zabić? Subaszy? A może ten mężczyzna o zdradzieckim spojrzeniu, który swoim koniem stał na drodze Pioruna?

Nagle subaszy wyciągnął miecz.

*

Czyli to on okazał się katem. Teraz zetnie mu głowę, wyśle ją jego bratu na srebrnej tacy i będzie czekał na wypełnioną po brzegi złotem sakiewkę.

Bajazyd nie przejmował się ani prawem, ani zasadami praworządności, ani obyczajami. Miał nie przelewać krwi Osmanów? Trudno. Popłynie krew najmłodszego syna sułtana Mehmeda Zdobywcy.

Subaszy podjechał do niego.

– Powiedz mojemu bratu, zdrajco – wycedził Dżem przez zęby – że nie ugiąłem się i przyjąłem śmierć z podniesioną głową, że nawet się nie wzdrygnąłem ani nie błagałem o litość. Powiedz, że kiedy spuszczałeś miecz na moją szyję, krzyknąłem: „Utopisz się w mojej krwi, Bajazydzie!”.

Mężczyźni wyglądali na zaskoczonych. Dżem zdjął sarik, który miał na głowie, i schylił się w stronę subaszego.

– Dalej, morderco! Dokończ dzieła.

Konie strażników wyglądały na zaniepokojone. Subaszy wyminął kilka z nich i zbliżył się do Dżema. Padające na jego miecz promienie słońca rozpraszały wokół blask rubinów i szmaragdów.

Podniósł miecz do góry.

Dżem okręcił głowę w stronę doliny, z której dochodziły krzyki żołnierzy.

„Przynajmniej nie zostawiam ich samych” – przeszło mu przez myśl.

Subaszy spojrzał na Dżema, który wypowiadał słowa szahady^[62].

Miecz zastygł w powietrzu.

– Mój panie?

– Nie zatrzymuj się, zdrajco – syknął do niego Dżem. – No już, opuść miecz i pozbaw mnie życia.

– Sułtanie?

Popatrzył na niego kątem oka.

Co?

Subaszy schylił głowę i podał mu pochwę miecza. Tak samo jak pozostali strażnicy. Wszyscy wyciągali ręce w jego stronę.

– Mój panie. – Z szacunkiem uklonił się subaszy. – Nauczono nas, że jeżeli sługa nie będzie posłuszny swojemu sułtanowi, to powinien stracić życie. Dopóki żyję, nie otworzę naszemu panu drogi na śmierć. Ale jeżeli sułtan nalega, proszę, by nie zbrukał swego miecza krwią sługi. Oto moja broń. Zabij mnie i utórz sobie drogę.

– Z nami będziesz musiał postąpić tak samo, panie – odezwali się pozostali żołnierze.

Dżem nie wiedział, co ma powiedzieć. Było mu wstyd. Do oczu napłynęły mu łzy.

„Czym zgrzeszyłem, Allahu, że spotkało mnie coś takiego?” – westchnął w duchu.

– Schowajcie miecze – powiedział łamiącym się głosem. – Czy stoi przed wami sułtan, że chcecie oddawać życie?

Mężczyźni patrzyli na niego zdziwieni.

– Byłem sułtanem ledwie przez dwadzieścia dni.

Gdy z powrotem wkładali miecze do pochew, Dżem robił rachunek sumienia.

„Zostałem pokonany. Popełniłem błąd. Nie słuchałem niczyich rad. Kierowałem się ambicjami”.

Jeden z mężczyzn zsunął się z grzbietu konia, podniósł sarik, którym przed chwilą Dżem cisnął o ziemię, i podał mu go. Zewnętrzzną częścią dłoni próbował strzepnąć

z niego pył.

– Wyrzuć go – odezwał się Dżem. – Nie jestem godzien sułtańskiego sarika.

Wszyscy pochylili głowy i wzrok utkwili w ziemi.

Góra dalej przemawiała.

Dżem usłyszał czyjś krzyk:

– Atakujcie, moi dzielni! Dalej, na nich!

Poczuł w piersi ból, jakby sam został ugodzony strzałą.

Czyli to miał być koniec? Jedni będą atakować drugich. Kto podburzał braci, by się nawzajem zabijali? Czyżby Gedik Ahmed Pasza?

„A jakie to ma znaczenie?” – zapytał głos w jego głowie. – „Czy ty nie krzyczałbyś tak samo, gdybyś ramię w ramię walczył ze swoimi żołnierzami?”

Krzyczałby. I to jak!

To był właśnie ten dzień. Dzień, w którym dwaj bracia skoczyli sobie do gardeł.

Góra przemawiała, krzyczała, ryczała i grzmiała.

– Allah! Allah!

– Nie ma boga prócz Allaha!

– W imię Allaha!

– Uderzaj! Uderzaj!

– Uderzaj w imię sułtana Bajazyda!

Wtedy nagle góra ruszyła z miejsca. Ziemia trzęsła się pod ich nogami od uderzeń podków tysięcy pędzących koni. Kawaleria Gedika Ahmeda Paszy ruszyła na Bursę. Spomiędzy wysokich, ostrych skał jak krew wylewali się ubrani na czerwono janczarzy.

Z daleka dało się słyszeć maszerującą orkiestrę wojskową.

Góra szła.

W głowie rozbrzmiał mu głos Ferimah.

„Kiedy góra ruszy z miejsca, nie wolno stać jej na drodze”.

Ściągnął wodze. Piorun niechętnie stanął dęba.

– Chodźmy – zwrócił się do mężczyzn.

Jednak wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę chciał powiedzieć: „Uciekajmy”.

*

Pędzili bez wytchnienia. Żaden z nich nie odwrócił się i nie spojrział, ale wszyscy wiedzieli. Góra była tuż za ich plecami. W końcu wyjechali na równinę. Ujrzeni przed sobą Bursę.

„Stój!” – zagrzemiał głos w jego głowie.

Dżem tak mocno pociągnął za wodze, że Piorun aż zarżał z bólu, a jego przednie kopyta wystrzeliły w górę.

„Dokąd to?” – zapytał głos. – „Zostawisz wszystko i tak po prostu uciekniesz?”

A co innego mógł zrobić? Góra szła. Czy ktoś kiedykolwiek odważył się stanąć jej na drodze?

„Nic z tego! Nie możesz uciec, Dżem! Walcz o prawo do tronu!”

Jak miał to zrobić?

Gedik Ahmed Pasza przyłączył do swojej armii jego oddziały, które zostały w tyle, i szedł na miasto.

„Jak mam walczyć?” – zapytał głos w swoim sercu.

„Pięściami!”

Dżem nagle się wzdrygnął. To nie był głos jego serca. Przemawiał rdzawy wilk. Przejął nad nim kontrolę.

W tamtej chwili zrozumiał. Nie było dla niego ratunku. Nawet ucieczka nie była

rozwiązaniem.

– Ktoś nadjeżdża!

Dżem otrząsnął się, słysząc krzyk jednego ze strażników. Od strony Bursy zbliżała się do nich chmura pyłu.

Kiedy była już blisko, pierwszą rzeczą, którą dostrzegli, były biało-niebieskie wstążki.

– Ferimah! – zawołał Dżem. – Zawracaj! Idą po nas!

Puścił wodze Pioruna. Koń jak strzała ruszył w stronę chmury pyłu. Strażnicy popędzili za nim.

Potem stało się coś dziwnego. Ferimah nagle się zatrzymała. Popatrzyła na nich. Później skrzyła głowę konia w lewo i popędziła go.

– Co ona wyprawia? – wymamrotał subaszy. – Czyżby wzięła nas za wroga?

Nie było czasu na dyskusje. Dżem był pewien, że dziewczyna go rozpoznała. A nawet jeśli nie, to przecież na pewno dostrzegła chorągwie i proporce wiedzione przez strażników. Nie, ona próbowała im coś powiedzieć. Jakby dawała znak, że powinni jechać w tamtą stronę.

Ruszyli za nią.

Kwadrans później zdołali ją dogonić. Dżem podjechał do niej.

– Ferimah – powiedział. – Góra ruszyła z miejsca, Ferimah. Góra zaczęła iść.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego. Nigdy nawet przez chwilę nie pomyślała, że będzie musiała oglądać swojego Płomienistego Księcia w takim stanie. Siedział skulony na koniu, cały w pyłe. Nic nie odpowiedziała. Nie dała rady.

Trochę zwolnili.

– Co tutaj robisz? – krzyknął Dżem. – Dlaczego przyjechałaś?

Znów milczała.

– Bursa jest w przeciwnym kierunku.

Ferimah nagle pociągnęła za wodze.

– Nie zmierzamy do Bursy, mój panie – odrzekła, odwracając się w jego stronę. – Bursa nie stoi już po naszej stronie.

– Co? Jak to? Dlaczego?

Ferimah spojrzała mu głęboko w oczy.

– Bursa nie jest już bezpiecznym miejscem, sułtanie.

Dżem poczuł wstrząs.

– Co ty mówisz, Ferimah? Bursa, która ogłosiła mnie władcą, teraz zwróciła się przeciwko mnie? W ciągu jednego dnia wszyscy zmienili zdanie?

Dziewczyna pogłaskała konia po szyi.

– Nie traćmy zbyt wiele czasu – powiedziała. – Valide wyruszyła w drogę. Zabrała ze sobą Nadę, waszego syna, paru służących oraz kilku zaufanych ludzi. Ja odłączyłam się od nich, by przekazać wiadomość, zanim zawrócicie do Bursy. Jeżeli się pośpieszymy, przed wieczorem ich dogonimy.

Dżem nagle obrócił głowę konia w przeciwnym kierunku.

– Chcesz, żebym uciekał? Jedźcie. Ja nie mogę zbiec. Wracam do Bursy.

Koń Ferimah stanął dęba, zagradzając mu drogę.

– Nie chcę, żebyś uciekał, tylko żebyś walczył! – krzyknęła nagle.

– Nie można walczyć w ten sposób. Śmierć albo życie, Ferimah. Nie ma innego wyboru.

– Jest. – Zbliżyła się do niego, próbując uspokoić konia. – Można być górą.

Dżem zdziwił się. Spojrzał w oczy dziewczyny. Dostrzegł w nich płomień.

– Czym? Górą?

– Tak. Kiedy już się nią staniesz, panie, powrócisz.

– Trzeba to wszystko dokładnie przemyśleć.

– Teraz chodźmy.

– Ale dokąd? Dokąd możemy się udać?

– Do miejsca, z którego przybyłeś, sułtanie. Do Karamanu. Tam wszystko przemyślimy.

^[62] Szahada (tur. *şahada*) – muzułmańskie wyznanie wiary, będące jednym z pięciu filarów wiary, które brzmi: „Nie ma boga prócz Boga (jedynego), a Mahomet jest jego Prorokiem”.



KSIĘGA II



*Ucieczka**Lipiec 1481*

Wszystko poszło nie tak.

Gedik Ahmed Pasza, o którym myśleli, że nie dotrze dalej niż do Bursy, nie zatrzymał się. W Karamanie los odwrócił się od Dżema tak samo jak w Bursie.

Na karamańskiej drodze każdego dnia otrzymywał wieści od tylnych oddziałów.

- Gedik Pasza się zbliża.
- Gedik Pasza minął Sivricehisar.
- Gedik Pasza dotarł do Karamanu.

Wszyscy byli w szoku. W czasie krótkich postojów Dżem zbierał swoich ludzi i wspólnie dyskutowali o całej sytuacji. Zdruzgotały go nowiny przekazane przez ocalałych z zasadzki w wąwozie. Ivaz Aga padł dopiero trafiony dziewiętnastą strzałą. Nikt nie widział Emira Dżanpolata. Nie było pewne, czy zginął, czy przeżył.

Sinan Aga, Kadi Kasym i subaszy stali się teraz najbliższymi pomocnikami Dżema. Rozmawiał z nimi na każdy temat, pytał o zdanie i słuchał rad.

- Mój panie – odezwał się pewnego wieczora Sinan Aga, gdy zebrali się przy ognisku – obawiam się, że Gedik Pasza nie zrezygnuje z pościgu.
- Właśnie, właśnie – wyszemrało jeszcze kilku mężczyzn. – Gedik nie spocznie, póki nie wykona zadania.

Zadanie! Chodziło o to, by złapać Dżema i zawlec go do stolicy albo na miejscu oddać katowi pod sznur.

- Musimy jak najszybciej dotrzeć do Konyi – powiedział Dżem tego wieczora. – To ostatni postój. Później nie będziemy robić przerw. Karaman nas kocha.
- Nieważne, dokąd się uda, Gedik Pasza z pewnością nie zaprzestanie pościgu, mój panie – burknął Kadi Kasym. – Jeśli zostaniemy w Konyi, przystąpi do oblężenia.

– No dobrze – stwierdził Dżem. – Jak tylko dotrzemy na miejsce, zbierzecie żołnierzy, a ja przygotowuję miasto do obrony. Z Bożą pomocą na pewno wytrzymamy.

Dwaj mężczyźni wpatrywali się w jego twarz. W ich oczach czaiło się dręczące myśli pytanie: „Jak długo wytrzymamy?”.

Nie było jednak innego wyjścia. Musiał wkroczyć do Konyi i walczyć aż do śmierci lub zapuścić tam korzenie. Zaplanował każdy środek ostrożności, każde zadanie do wykonania. Każdy wiedział, co ma robić.

*

Została tylko jedna rzecz, której nie wzięli pod uwagę: ludzki charakter.

Już na przedmieściach zauważyli, że sprawy nie szły tak, jak powinny. Ludzie nie patrzyli może wrogo, ale z ich spojrzeń wyzierała apatia, obojętność, zniechęcenie i rezygnacja. To nie było to samo miasto, które jeszcze miesiąc temu zostawił za sobą Dżem. Tamto zniknęło, a na jego miejsce, w środku płowych równin, pojawiło się nowe. Dawniej, gdy przechodził, ludzie wysypywali się na ulice. Teraz okolice ziały pustkami.

Kilka osób, które dojrzał pod murem, odwróciło się do niego plecami, gdy przejeżdżając obok, uniósł rękę, aby je pozdrowić.

Dzieci biegające za jego koniem, żeby otrzymać bakszysz, także gdzieś zniknęły, a chłopców, gdzieniegdzie wałęsających się po ulicach, matki w popłochu przeganiały i zamykały w domach. Z trzaskiem zamykano przybyszom drzwi przed nosem.

Oznaczało to, że i tutaj zmieniły się nastroje. Twarze wszystkich zwrócone były nie na Dżema, ale na Bajazyda.

– Mój panie – wyszeptał Kadi Kasym, podjeżdżając do Dżema – tego się nie da obronić.

Sinan Aga podzielał jego zdanie.

– Według mnie nie powinniście się tu nawet zatrzymywać, panie. Wszystko może się wam przytrafić, niech Bóg broni.

Wyjechali z miasta tak szybko, jak do niego wjechali.

*

Nikt nie miał ochoty na rozmowy.

– A gdybyśmy tak jeszcze raz spróbowali dogadać się z sułtanem?

Wszyscy obrócili się, spoglądając na mężczyznę nazywanego Czarnym Kadirem. Nie był Murzynem, ale jego skóra miała wystarczająco ciemną barwę. Czarny Kadir patrzył na nich z niemym pytaniem: „Czy powiedziałem coś złego?”.

Dżem wiedział, że to pytanie każdemu chodzi po głowie. Nie chciał się do tego przyznać, ale pojawiło się również w jego myślach.

„Co też mówisz, panie Czarny?”

To była Nada.

Wydawało się, że jej brzuch wciąż rośnie. Twarz kobiety, pociemniała od długiej i męczącej podróży, z gniewu stała się całkiem czerwona.

– Sułtan jest tutaj – syknęła. – Stoi przed tobą. To ma być rada, jakiej udzielasz padyszachowi? – Naokoło rozległy się pomruki. – Może jeszcze powinniśmy być wdzięczni? Zawsze mogłeś doradzić naszemu panu, żeby złożył hołd temu, który ukradł mu tron.

– Co innego można poradzić w takiej sytuacji? – pytał ktoś, nie podnosząc głowy.

– Ha! – drwiąco zakrzyknęła Nada. – Nie uciekać, walczyć.

Walczyć? Jak mieli walczyć? Jakimi siłami? Parła na nich ogromna armia. Miasta, wsie i miasteczka, które, jak im się wydawało, stały po ich stronie, gdy tylko pojawiły się trudności, jedno po drugim zwróciły się ku stolicy.

– Nie ma już powrotu. Jednakże – Sinan Aga zatoczył krąg rękoma – jest nas tylko tyłu, ilu widać.

Wszyscy, których wskazał, mieli zwieszane głowy.

– Nada – szepnął Dżem, dając jej znak, by zamilkła.

Sytuacja nie należała do przyjemnych. Większość tych mężczyzn wiernie trwała u jego boku. To właśnie z jego powodu przypięto im łatkę buntowników, dla niego ryzykowali życie. Byli głodni, zmęczeni i pozbawieni nadziei. Nie mieli ochoty

wysłuchiwać próżnych połajanek, tym bardziej z ust kobiety!

– Pamiętajcie – odezwała się nagle Nada, mimo znaku Dżema – jak ktoś tu powiedział, że gdy góra ruszy z miejsca, nic jej nie zatrzyma. Gdzie teraz jest? – Jej palec wskazywał siedzącą u boku Çiçek Hatun Ferimah. – Czy ci, którzy radząc mojemu panu, by „stał się górą”, rzucili go na bezdroża, nie mają już nic do powiedzenia? Co innego pozostaje, jeśli nie walka?

– Można stać się lawiną!

Ferimah wstała, spoglądając na Çiçek Hatun, jakby pytała o pozwolenie. Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku.

Dżem zdawał sobie sprawę z sytuacji. Ludzie kochali Ferimah, jakby była jedną z nich. Jej słowa nie wyprowadzały ich niepotrzebnie z równowagi. Nienawidzili za to Nady. Ona zresztą nie kochała nikogo prócz siebie samej.

– Stać się lawiną, dziewczyno? – spytał Kadi Kasym. – A cóż to znaczy?

– Cząstka śniegu odrywa się od szczytu góry i spada na dół. O, taka malutka – pokazała mężczyznom czubek palca – toczy się. Najpierw staje się jak orzech laskowy. Leci dalej i jest już jak orzech włoski. Im dłużej się toczy, im staje się większa, tym prędzej potężnieje. Kula zamienia się w górę. Zmiata wszystko, co stanie na jej drodze. To właśnie mam na myśli. Jedyne wyjście to z orzecha laskowego uczynić lawinę.

Mężczyźni w ciszy potakiwali. Dżem poczuł ogarniającą go ekscytację. Poprzedniej nocy usłyszał te same słowa od matki. Czyj był ten pomysł: Çiçek Hatun czy Ferimah? Nie wiedział, ale nie miało to znaczenia. Najważniejsze to znaleźć sposób, by kulkę śniegu przemienić w lawinę.

Spytał o to Sinan Aga.

– To mądre słowa, ale... Śnieg sam z siebie staje się lawiną, a w jaki sposób ma to osiągnąć samotny człowiek?

– Wytrwałością. Musi iść dalej.

– Jak długo?

– Aż stanie się orzechem laskowym i nikt już nie będzie patrzył na naszego pana krzywym okiem.

Nada prychnęła.

– Głupia dziewczyna. Myślisz, że znajdziesz takie miejsce w kraju?

Dżema nagle ogarnął gniew.

– Jeśli nie ma go w mojej ojczyźnie, to trudno. Opuścimy ziemie Osmanów.

Wstał i podszedł do swojego wierzchowca. „Kroc przedemną, rdzawy wilku” – powiedział w myślach. – „Już nie możemy się zatrzymać. Aż staniemy się lawiną, aż staniemy się górą, nie wolno się nam zatrzymać”.

Gdy się odwrócił, ogarnęło go zdziwienie. Wszyscy mężczyźni siedzieli już w siodłach. Powozy były przygotowane.

Podjechał na Piorunie do pojazdu Nady.

– Jeśli jeszcze raz – wysyczał, patrząc w oczy kobiety – wejdiesz mi w słowo...

Nie dokończył. W błękitnych oczach matki swoich dzieci wyczytał, że zrozumiała resztę.

Uniósł ramię i ściągając wodze, postawił konia dęba.

– Z Bogiem! – zagrzmał. – Stańmy się lawiną!

*

Gdy wkraczali na ziemie Ramazanoğlu, do oczu Dżema napłynęły łzy.

Nie wiedział, co myśleć. Przez całą drogę bez przerwy pytał samego siebie, czy przypadkiem nie popełnił błędu. Może to wszystko od początku było pomyłką? Sprzeciwił się losowi, starszemu bratu i ojcu. Pewien swoich racji ogłosił się padyszachem. Ale teraz...

Uciekał w stronę granicy.

Czekało go wygnanie.

Umykając przed wojskiem Bajazyda, sam skazał się na tułaczkę.

Nagle zrozumiał, dlaczego Gedik Ahmed Pasza podąża za nim z takim uporem. Wcale nie miał zamiaru go złapać. Chciał go wyrzucić poza granice Imperium

Osmańskiego. Krok po kroku, powolutku, chytry wezyr pozbył się go i wymiół z zasięgu wzroku.

Gdyby było inaczej, na pewno rzuciłby się na niego z armią i gdzieś w końcu przyparł do muru. Może nawet nie musiałyby go łapać i sprowadzać do stolicy. Zbłąkana strzała załatwiłaby sprawę. Dżema wypełniła zaprawiona nutą goryczy wdzięczność. Tak wyrażała się przyjaźń kompana jego ojca. Darował mu życie, a może nawet sułtanat.

Dżem westchnął bezgłośnie.

– Ojczyzno – z drżącym sercem wyszeptał ku niebu – czy jeszcze kiedyś cię zobaczę?

– Mój panie.

Wziął się w garść, słysząc ciche ostrzeżenie Ferimah. Dyskretnie przetarł wilgotne oczy.

– W porządku – powiedziała łagodnie. – Nikt nie zauważył.

Odwrócił się. Spojrzał na pozostawione z tyłu rozciągające się za kamieniem granicznym ziemie.

– Ciekawe, czy jeszcze kiedyś tam wrócę.

– Na pewno, panie.

– Gdy staniemy się lawiną, prawda?

– Tak, mój panie, gdy staniemy się lawiną.

„Jak dobrze, że ją mam” – pomyślał już chyba tysięczny raz. Nie wiedział do końca, kim albo czym była. Gdy tylko Dżem poruszał ten temat, dziewczyna natychmiast go zmieniała.

– Skąd mogę wiedzieć. Jestem tylko zwykłą służącą. Co może się kryć w służącym?

Ale Dżem czuł, że coś jest na rzeczy.

W Ferimah kryła się tajemnica, o której nie miał pojęcia i której nie potrafił rozwiązać.

Czasem kobieta z pałacu lub wierna służka, innym razem przyjaciel albo doradczyni. Czasem nawet... sekretna ukochana, w której czarnych oczach topił się i znikał.

Może była to miłość, do której sam się przed sobą nie przyznawał?

„Mogę się mylić” – myślał, gdy w niektóre noce przychodziła mu do głowy Ferimah. – „Jestem tak samotny, że biorę żywione do niej uczucia za miłość”.

Po śmierci Dilrūby nie obdarzył kobiety uczuciem. Obiecał sobie, że nikogo nie pokocha. Ale w tej dziewczynie tkwił jakiś czar, który sprawiał, że jego złamane, pokonane serce dostawało skrzydeł.

*Państwo Mameluków**Lipiec 1481*

Dżem nie zabawił długo w bejliku Ramazanoğlu.

Bej dobrze ich ugościł, ale nie ukrywał, że nie chce pogorszenia stosunków z Osmanami.

Jego ludzie przynieśli wiadomość, że armia Gedika Ahmeda Paszy zatrzymała się na granicy, jednak nie miała zamiaru zawrócić. Pasza zbudował obozowisko. Z pewnością podejrzewał Dżema o chęć powrotu. Być może zażąda od władców Ramazanoğlu wydania Dżema pod groźbą przekroczenia granicy i ataku.

Po dwóch dniach wypoczynku, podczas którego Nada mogła nieco odetchnąć, pozostała garstka żołnierzy uporządkowała szyki i wyruszyła na drogę prowadzącą do krainy Mameluków. Trzy dni później przekroczyli granicę. Po godzinie spotkała ich nie lada niespodzianka. Mamelucki sułtan Kajytbaj wysłał wielkiego wezyra ze swą pałacowych gwardzistów, którzy mieli powitać Dżema i towarzyszyć mu aż do Kairu. W ten sposób jednocześnie demonstrował swoją siłę oraz szacunek do przeciwnika. Mameluccy żołnierze w żółto-czarnych strojach, z zakończonymi szpicem hełmami owiniętymi w czerwone kefije i z długimi tarczami przykuwali wzrok.

Dla Dżema zbudowano wspaniały pawilon, jego towarzyszącom wzniesiono namioty. Zapewniono też służbę, jadło i napitki zgodnie z pałacowym porządkiem. Wszystko było na rozkaz zbuntowanego szejzade Osmanów, których Mameluccy uznawali za największe zagrożenie dla swojej władzy. Wielki wezyr uklonił się przed Dżemem.

– Mój panie – powiedział.

W tych słowach kryło się, rzecz jasna, przesłanie. Kajytbaj, przemawiając nie własnymi ustami, tylko głosem swego człowieka, dał do zrozumienia, że uznaje go nie za księcia, ale za sułtana.

– Pan tego świata, wielki Kajytbaj, przesyła pozdrowienia.

To także była wiadomość. Władca mamelucki przekazywał, że jest ponad sułtanem Osmanów. Wielki wezyr rzucał na Dżema ukradkowe spojrzenia. Patrzył na niego kątem

oka, jakby pytając, czy tamten zrozumiał ukryty przekaz.

Zrozumiał. I to bardzo dobrze.

– Mój panie, wielki Kajytbaj pragnie, abyś wiedział, że jego ziemia jest twoją ziemią. Jesteś w rękach przyjaciół godnych zaufania. Wszyscy, których tutaj widzisz, są na twoje rozkazy. Gdy powiesz: „Stać”, zatrzymają się, gdy rozkażesz ruszyć, pójdą naprzód.

Dżem wybrał pierwszą możliwość. Odpoczywali przez trzy dni. Później nakazał wymarsz. Przy dźwiękach trąb i bębnow wraz z mameluckimi żołnierzami obrali kurs na Kair.

Niestety wszyscy szli jak przez płomień. Sierpniowa spiekota niweczyła wysiłek dwóch konnych z wachlarzami, którzy na krok nie odstępowali Dżema.

„Właśnie to nazywają pustynią” – przeszło mu przez myśl.

Pierwszego wieczora, gdy we wzniesionym pośpiesznie namiocie Ferimah postawiła przed nim mrożony sorbet, Dżem zaśmiał się.

– Straciłem już nadzieję, że zostanę lawiną.

– Dlaczego, mój panie?

– Cały śnieg się roztopił.

Obydwoje zanieśli się śmiechem. Po dniach pełnych strachu, nerwowości i zmęczenia właśnie tego wieczora po raz pierwszy byli spokojni i do pewnego stopnia radośni.

Nagle Ferimah ogarnęło dziwne uczucie. Gdy odwróciła głowę ku odgradzonej części namiotu przeznaczanej na sypialnię Dżema, włosy stanęły jej dęba. Ktoś był w środku. Widziała go wyraźnie.

Nada ukryła się za draperiami i obserwowała ich.

Wpatrywało się w nich dwoje zimnych jak lód oczu. Ferimah poczuła nagły chłód i zadrżała.

*

Nie poszła spać od razu po powrocie do swojego namiotu. Płonąca w ciągu dnia pustynia nocą zionęła lodowatym chłodem. Mimo to dziewczyna położyła się na ziemi. Spojrzała na gwiazdy mrugające srebrnozłotym blaskiem na tle całkiem czarnego nieba. Wydawało jej się, że słyszy głos matki.

– Każdy ma własną gwiazdę, córko.

Ciekawe, która z nich należała do niej.

Ta tutaj? A może jej gwiazda była tak daleko, że nie mogła jej dostrzec?

Powoli zaczęła marznąć. Oczy same się przymykały, a sen zaciążył na powiekach. Weszła do namiotu i padła na rozłożone na podłodze posłanie. Zasnęła.

Miała koszmar. Góra tonęła w płomieniach. Góra krzyczała. Góra kroczyła. Dziesiątki tysięcy postaci spływały z gór niczym fala wody. Doprowadzone do szaleństwa, ostrzeliwane bez litości ranne konie galopowały dziko i potykając się lub padając bez życia, staczały się w dół. Setki innych, które się z nimi zderzały, upadały, by już nigdy nie powstać. Błękitne chorągwie płonęły. Mrowiący się pod nimi żołnierze wyrzucali w powietrze uprzęże, pompony i okazałe czapraki koni ciągnących puste już zaprzęgi. Zwierzęta rozpaczliwie rzucały się to na lewo, to na prawo i roztrzaskiwały zdobione wozy o skały w desperackich próbach ratunku. Po polu toczyły się koła. Jedno z nich spadło na głowę żołnierza, który ukryty pod skałą sądził, że uratował życie. Jego czaszka rozprysnęła się na drobne kawałki.

Z góry zbiegały setki płonących niczym pochodnie ludzi i koni. Wiele wozów także stanęło w ogniu.

To nie była przenośnia. Góra naprawdę płonęła.

Płakała.

Krzyczała.

Kroczyła.

Miażdżyła wszystko na swojej drodze.

Ferimah stała przed górą, która szła w jej stronę. Zbliżała się... Jeszcze chwila, a wciągnie ją pod spód.

Dziewczyna głuchła od wrzasków, mimo to usłyszała coś. Jakiś stłumiony odgłos.

Ten dźwięk nie pasował do jej koszmaru. Szuranie. Jakby ktoś chodził na czworakach, ciągnąc coś po piasku. Może worek albo małą skrzynię? Później rozległ się inny dźwięk. Szelest, który jeżył włosy na ciele.

Ferimah poczuła, jak jej skórę owiewa powietrze z zewnątrz. Czyżby ktoś uniół połę namiotu? A może tylko jej się tak wydawało?

Dźwięki ucichły bez uprzedzenia. Chwilę później coś znowu sunęło po piasku, jednak świeże powietrze już nie muskało jej skóry. Wyczuła, że ktoś oddalił się na czworakach, tym razem niczego za sobą nie ciągnąc. Cokolwiek to było, najwyraźniej się tego pozbył. Tylko gdzie?

Ferimah otworzyła oczy. W jednej chwili oblał ją zimny pot. To nie był sen. Ktoś zakradł się do jej namiotu i włożył coś do środka.

Włosy stanęły jej dęba.

Nie była już sama w namiocie. I wiedziała, co przyszło z zewnątrz: śmierć!

Zaszeleściła tkanina. Coś się poruszyło i wypełzło z worka.

Nie miała innego wyjścia. Mogła przez to zginąć, ale musiała spróbować. Jej ręka zwinnie wsunęła się do ukrytej w szarawarach kieszeni. Zamarła, gdy poczuła dotyk zimnej stali. Palce chwyciły rękojeść małego kindżału, który latami udawało jej się ukrywać. Ale czy zdąży go wyciągnąć?

Nawet jeśli będzie leżeć w bezruchu jak martwa, miała słabe szanse. Ferimah знаła to stworzenie. Właśnie sprawdzało teren, starając się wybać, czy dochodzący go zapach zapowiada coś interesującego. Skupiło wzrok, by wychwycić najdrobniejsze szczegóły. Za moment zwinie się jak sprężyna i w mgnieniu oka rzuci do ataku.

Ferimah poczuła najdrobniejszymi komórkami ciała, że na piasku coś porusza się wijącym ruchem. Usłyszała dźwięk sunących po nim łusek.

„Nadchodzi” – pomyślała.

Mogła wyczuć drzenie ręki i bicie serca przyśpieszające z każdą mijającą sekundą.

Naraz chrzęst łusek ucichł. Zatrzymał się i nasłuchuje albo...

W umyśle Ferimah uchylila się zasłona i zobaczyła twarz mężczyzny.

– Kiedy się zwinie jak sprężyna, sama też musisz się naprężyć, Periszehr!

Periszehr?

Tak! Periszehr!

W myślach wróciła na miejsce pożaru. Ile lat minęło, od kiedy ostatnio słyszała ten głos? „Papak” – jęknęła w duchu. „Kochany Papak”.

W tamtym czasie posiwiały mu już nawet brwi. On sam śmiał się, że jego imię znaczy ni mniej, ni więcej tylko „młody ojciec”. Zresztą nikt nigdy nie widział go zasępionego.

Tym razem w wizji Ferimah pojawiła się malutka dziewczynka radośnie biegająca po zielonej łące. Pokrzykując, goniła Papaka, a stary mężczyzna uciekał, zanosząc się od śmiechu.

Ferimah poczuła wypełniające ją szczęście. Ucieszyła się. Nawet gdyby miała teraz umrzeć, ostatnim, co zobaczy, będzie właśnie ta scena.

„Papak” – zawołała ducha w swojej głowie. – „Czy zachowałeś życie? A może umarłeś? Ja... Ja jestem na krawędzi życia i śmierci. Ale popatrz, naprężyłam się. I teraz... Tak, jak mnie nauczyłeś...”

Ferimah rozwinęła sprężynę. Nie było odwrotu. Zerwała się jak błyskawica i stanęła oko w oko z wrogiem.

Szahmeran! Król węży!

Stworzenie znajdowało się metr od niej. Rozciągnięte na całej długości uniosło łeb. W złowrogich, wlepionych w nią żółtych oczach płonął drapieżny ogień. Paszcza rozwarła się. Wydobywał się z niej, oprócz rozdwojonego języka, obrzydliwy smród. Śmiercionośne kły zalsniły jak dwa sztylety.

Ciało węża wygięło się do tyłu.

Zakrzywiony sztylet Ferimah uprzedził śmierć.

*

Ferimah jak kot wyskoczyła z postania. Jej całe ciało drżało. Poczekała, aż się uspokoi. Była pewna, że zabiła węża, ale nie zdecydowała się podejść i sprawdzić. Chwilę później opuściła namiot i wciągnęła w płuca pustynny chłód. Gdy wróciła do środka,

spojrzała na leżącą na piasku śmierć. Wbiła sztylet dokładnie tam, gdzie uczył ją Papak. Tam, gdzie płaska głowa łączyła się z grubą szyją. Policzki zwierzęcia napuchły od gotowego do użycia jadu. Obmierzły łeb przypominał w tym stanie nietoperza z rozpostartymi skrzydłami. Takim zastał go koniec.

Wąż miał ponad półtora arszyna^[63] długości. Ferimah pociągnęła go za ogon. Nawet nie drgnął.

„W końcu możesz przejść do rzeczy” – powiedziała do siebie w myślach.

Wyciągnęła kindżał, a później, zgodnie z naukami Papaka, ucięła grubą szyję węża. Nie traciła czasu, gdyż jej broń nie przecięła jeszcze kręgosłupa. Jedną ręką trzymając głowę, a drugą szyję zwierzęcia, pociągnęła z całej siły. Usłyszała trzask kości. Oderwany od korpusu łeb rzuciła na piasek.

W głębi namiotu znalazła worek, w którym przyniesiono stworzenie.

– Włóż, skąd przyszedłeś – powiedziała i wrzuciła głowę do środka.

Wróciła i zaczęła grzebać w piasku. Zakopła bezgłowe ciało węża, a następnie zamaskowała rozkopane miejsce. Wyprostowała się i ramieniem starła z czoła pot. Podniosła z ziemi worek, w którym znajdował się odcięty łeb kobry.

– A teraz zaniesiemy cię twojej właścicielce – wyszeptła. – Jestem pewna, że za tobą tęskni.

Wyszła na zewnątrz. Poza kilkoma wartownikami Mameluków i Dżema wszyscy spali. Prześlizgnęła się pomiędzy namiotami i podkrađła z tyłu pawilonu Dżema. Zostawiła worek w widocznym miejscu i czym prędzej się oddaliła.

Nareszcie mogła zasnąć.

*

Obudził ją krzyk. To był głos Nady.

Spojrzała z uśmiechem na miejsce, w którym zakopła węża.

– Nie smuć się już – syknęła Ferimah. – Twoja pani znalazła twoją głowę.

Wyszła z namiotu. Jak się domyślała, wokół pawilonu stłoczyli się ludzie. Mówili jeden przez drugiego.

- Co się stało? – spytała podenerwowanych żołnierzy z udawanym przestraczem.
- Kobieta sułtana znalazła przy pawilonie worek – odpowiedział jeden z nich.
- Co w nim takiego było, że postawiła wszystkich na nogi?

Mężczyzna spojrział na nią spode łba.

- Podobno ogromna głowa kobry.

Krzyknęła, udając przerażenie.

- Boże litościwy! Kto mógł się dopuścić takiego okropieństwa?

Przeszła pomiędzy żołnierzami. Dżem był w szoku. Rozmawiał ze swymi ludźmi. Kilka dwórek usiłowało podnieść Nadę. „Litości, po co od razu mdleć” – pomyślała drwiąco Ferimah. – „To tylko łeb martwego węża!”

Twarz Nady pożółkła, przybierając kolor ropy. Albo wężowego jadu.

Ich spojrzenia spotkały się i na twarzy Ferimah pojawił się uśmiech.

Wszyscy stracili humor. Nie znaleziono winowajcy, który rzucił uciętą głowę węża przed namiot sułtana. Brakowało jakichkolwiek poszlak.

Spochmurniały Dżem jeszcze przed południem zarządził wymarsz. Miał mętlik w głowie i przez całą drogę rozmyślał o sprawie z wężem. Kobra z odciętą głową! Co to miało znaczyć? Czemu ktoś zostawił ją w pobliżu jego pawilonu? Kto to zrobił? Czy jeden z jego ludzi? A może któryś z Mameluków? Czy mógł to być przypadek? Czy raczej ukryta wiadomość?

„Mój los” – pomyślał – „rozstrzygnie się w Kairze”.

[63] Arszyn – miara osmańska odpowiadająca 68 lub 75 centymetrom.

Kair

Sierpień 1481

Stolica Mameluków opustoszała. Na ulicach nie było praktycznie nikogo. Dowódca oddziału pośpieszył konia. Trzymali jego tempo.

Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Z jednego z minaretów zaczęły dobiegać dźwięki sali.

Ośłupieli. Dżem, nie kryjąc niepokoju, zatrzymał Pioruna. Obrócił się na koniu i spojrzał na swoich ludzi. Wszyscy byli równie zszokowani jak on.

Co to mogło znaczyć? Salę recytowano, gdy ktoś umarł lub przed piątkową modlitwą. Tyle że to nie był święty dzień. Zresztą zbliżał się już wieczór.

Może tutaj panowały inne zwyczaje? Czy była to jedna z ukrytych wiadomości Kajytbaja? Niewykluczone, że chciał poza serdecznością pokazać swoją groźną stronę.

Dlaczego stolica sułtana, który z taką pompą powitał ich na granicy, ziała pustkami? Czemu przemykali ulicami niemal po kryjomu? Gdzie byli ludzie? Czyżby pospólstwo nie chciało zobaczyć jednego z Osmanów? W dodatku ta sala!

Nerwy Dżema, nadszarpnięte od czasu afery z wężem, teraz były napięte do granic wytrzymałości. Obrócił się do jadącego u jego boku wielkiego wezyra.

– Czy ktoś umarł?

– Najwyraźniej. – Mężczyzna próbował się uśmiechnąć. – W mieście pojawiła się choroba. Śmierć zbiera swoje żniwo. Recytacja sali w chwili, gdy zaszczyciłeś, panie, Kair swoim przybyciem, jest smutnym zbiegiem okoliczności.

Słowa wezyra nie wydały się Dżemowi zbyt przekonujące.

– To jakaś poważna choroba? Może plaga, nie daj Boże? Czarna...

– Nie, nie – wszedł mu w słowo mężczyzna. – To nie czarna śmierć. Upał zatruwa źródła. Kto nie pije czystej wody, choruje.

Spojrzał na Dżema.

– Nie martw się, panie. W pałacu będziesz bezpieczny.

„Czyżby?” – zastanawiał się w myślach Dżem. – „Czy człowiek może być bezpieczny z dala od własnego kraju?”

– Jedźmy dalej – odezwał się wielki wezyr do dowódcy oddziału.

Ruszyli pędem, niczym błyskawice.

Miasto zostało z tyłu.

– Ach, właśnie – odezwał się po dłuższym czasie wielki wezyr. – Oto tętniące źródło siły Mameluków – Nil.

Nie widzieli go dotychczas przez wysokie sitowie. Rzeka, zakręcając, ciągnęła się w dal po ich lewej stronie.

– Bez Nilu nie ma Egiptu – zamruczał wielki wezyr. – Rzeka jest jak kobieta. Nosi w sobie życie. Bywa zazdrosna i kapryśna. Czasem szaleje, wylewa. Przynosi śmierć i nieurodzaj. Ale tak jak nie ma życia bez kobiety, nie ma Egiptu bez Nilu.

Dżem słuchał, starając się wyglądać na zainteresowanego, chociaż jego oczy błądziły pośród zieleni wzgórza wznoszącego się nad brzegiem rzeki.

Wielki wezyr zauważył, gdzie spogląda przybysz.

– A oto – powiedział – serce Mameluków. Pałac Kajytbaja, sułtana sułtanów!

Cały pochód się zatrzymał. Zbudowany z wapiennych bloków i wypalanych cegieł mamelucki pałac ocieniały daktylowce, figowce i drzewa palmowe. Dach z wysokim frontonem na całej długości podtrzymywało czternaście marmurowych kolumn z czerwonymi, niebieskimi i żółtymi żyłkami. Były tak grube, że objąć je zdołałoby dopiero trzech trzymających się za ręce mężczyzn. Między filarami o głowicach w kształcie figowych liści trzymało wartę dwóch strażników: jeden z włócznią, drugi z łukiem. Ubrani byli inaczej niż żołnierze, których wysłał Kajytbaj, by towarzyszyli Dżemowi. Nosili czerń, pod kolor swojej skóry. Kefije na ich głowach były tej samej barwy. Na ciemnym tle odcinały się jedynie ich czerwone pasy.

Trójkątny fronton na samym środku przedniej części pałacu podtrzymywały dwie kolumny, jeszcze większe i bardziej ozdobne od pozostałych. Po każdej stronie obydwu ogromnych filarów czuwało pięciu strażników. Towarzyszyły im dwa zapierające dech

w piersiach potwory: lwy.

Wiedzieli, jak się nazywają, wiele słyszeli o ich potędze i drapieżności, ale po raz pierwszy je ujrzeli. Swoimi wspaniałymi grzywami wywoływały zarówno szacunek, jak i przerażenie. Dopiero po bacznej obserwacji można było zauważyć, że zwierzęta przypięto do kolumn grubymi łańcuchami.

Brama pałacu znajdowała się pomiędzy dwoma filarami, gdyż właśnie tam kończyły się marmurowe schody, stopień po stopniu wylaniające się z Nilu. Po ich obydwu bokach także stróżowały lwy, tym razem kamienne.

Na lwią drogę w pośpiechu wysypali się stajenni i służący. Dżem zsiadł z konia. Członkowie orszaku pomogli Çiçek Hatun i Nadzie wydostać się z powozów. Nada, poprawiając strój, szepnęła do jego valide. Dżem nie słyszał, co powiedziała matka jego syna, ale był niemal pewien, że wychwalając piękno pałacu, stwierdziła: „W sam raz dla mego pana”. Potwierdzało to skinięcie Çiçek Hatun. Dżem wiedział jednak, że w głębi ducha Nada pomyślała: „Jest w sam raz dla mnie”.

Wzrokiem odszukał Ferimah. Stała wśród schodzących z wierzchowców ludzi. Ręce złożyła na brzuchu, a wzrok utkwiała w postawionym na wzgórzu pałacu. W oczach dziewczyny zauważył niecodzienny błysk. Przepych pałacu Kajytbaja olśnił wszystkich, tylko nie ją. Jakby spoglądała na coś dobrze znanego.

Nagle dało się słyszeć tupot obutych stóp. Spomiędzy drzew wypadł oddział włóczników w czerwonych strojach. Z boku maszerował wyglądający na dowódcę mężczyzna z szablą w ręku. Żołnierze, rozstawieni w odstępach dwóch kroków, mocno uderzając o ziemię prawymi stopami i trzymanymi prosto drzewcami włóczni, wygrywali dziwaczny rytm. W Dżemie rozbudziło to ogromne emocje. Poznał je od razu: był to strach. Zdawało mu się, że żołnierze przybyli, by go schwytać i wyprowadzić. To uczucie miało go już nigdy nie opuścić. A gdyby tak wyglądała prawda? Gdyby go złapali i wrzucili do lochów, co mógłby zrobić? Nic. Znajdował się już w obcej krainie, która choć sprawiała wrażenie przyjacielskiej, w rzeczywistości nie dawała tego odczuć. Był na wygnaniu, bardzo daleko od swojej ojczyzny.

Wielki wezyr zjawił się u jego boku, dając do zrozumienia, że musi czekać, aż przybędą żołnierze. Czekał. Wojownicy w czerwonych strojach wybijający rytm włóczniami i stopami stali tuż przed nim. Ich dowódca w mgnieniu oka uniósł szablę, jakby zamierzał zaraz ściąć mu głowę.

Wygłosił długą przemowę, z której Dżem nie zrozumiał ani słowa.

– Przekazuje pozdrowienia – wyjaśnił wielki wezyr – i wita cię, panie.

„Taka tyrada dla kilku słów?” – pomyślał ze zdenerwowaniem.

W końcu dowódca cofnął broń i przesuwając się w prawo, obrócił się do Dżema plecami. Włócznicy ustawili się po jego bokach.

Nada natychmiast postąpiła do przodu. „Moje miejsce jest u boku mojego mężczyzny” – zdecydowała w duchu. – „To sułtan Dżem, a ja jestem sułtanka Nadide”. Usiłowała przedostać się do niego między żołnierzami, ale włócznie twardo broniły przejścia.

– Damy poczekają – wyszeptał do Dżema wielki wezyr. – Prowadząca do mego pana droga pośród lwów jest błogosławiona. Nie mają do niej przystępu kobiety.

Çiçek Hatun przyciągnęła do siebie Nadę, której twarz w jednej chwili oblała się purpurą.

– Nie wychodź przed szereg – syknęła. – Nic nie wiemy o tym miejscu. Rób, co każą.

W chwili gdy dowódca postawił stopę na marmurowym schodku, znowu powstało zamieszanie. Spomiędzy stojących przy kolumnach strażników wyszli trębacze i zaczęli dmuchać w długie żółte instrumenty, jakby chcieli poruszyć niebo i ziemię.

– To dla ciebie, panie – powiedział łagodnie wielki wezyr.

Dżem kroczył ciężko po drodze kamiennych lwów między dwoma rzędami strażników.

Czuł się jak prowadzony do lochu skazaniec.

*Pałac Mameluków**Sierpień 1481*

Gdy wysokie drzwi, do których dotarł, otworzyły się na dwie strony, Dżem zadrżał na wibrujący dźwięk spiżowego gongu. Jeszcze nie ucichło brzęczenie brązu, gdy niewidoczna postać z całych sił zakrzyknęła:

– Pan światów... Najszlachetniejszy Miecz Wiaaary, Wieceelki Sułtan, Najjaśniejszy Kajytbaaj!

„Nareszcie” – przemknęło Dżemowi przez głowę. – „W końcu cię zobaczę”.

Wielki wezyr, gdy tylko usłyszał imię sułtana, rzucił się na ziemię. Próbował pociągnąć za sobą Dżema, ale ten się oparł. Gdy tamten rozpląszczył się na posadzce, Dżemowi udało się ustać na nogach. Nie wiedział, jak powinien się zachować w obecności mameluckiego sułtana. Czy miał się mu ukłonić? Naraz przypomniał sobie słowa, które wypowiedziała Ferimah, gdy radziła mu, by nie kłaniał się Bajazydowi.

– Jeśli on jest padyszachem, to ty też, mój panie. Jeśli to jest sułtan Bajazyd, to ty jesteś sułtanem Dżemem.

„Właśnie tak” – stwierdził w myślach. – „To jest Kajytbaj, a ja jestem Dżem. Jeśli on jest sułtanem, to ja też”.

Drzwi się otworzyły. Tego się nie spodziewał. Myślał, że ujrzy Kajytbaja zasiadającego na tronie w oczekiwaniu, aż Dżem zbliży się do niego i uklęknie. Ale sułtan stał, podobnie jak wachlujący go z boków dwaj czarnoskórzy olbrzymi. „Ma z siedemdziesiąt lat” – przemknęło Dżemowi przez myśl. Mimo to zdawał się bardzo żywotny. Był wystrojony w perły, paciorki i brylanty. Jego przesadnie wielki turban zdobiły owinięte w koło trzy rzędy różowych pereł. Ubrany był cały na biało, od widocznych między kolanami a kostkami szarawarów, przez przykrywającą je szatę aż po kaftan. Bez wątplenia uszyto je z najłżejszych, najbardziej drogocennych tkanin. Wszystko, co na miał sobie, łącznie z pasem i zatkniętym zań handżarem we wspaniałej, wysadzonej diamentami pochwie z kości słoniowej, było koloru białego, tak jak jego gęsta broda i spływające znad ust wąsy. Niezakryta część twarzy Kajytbaja ukazywała nadzwyczaj smagłą cerę. Jego skóra odcinała się wyraźnie na tle bieli, dzięki czemu starzec wydawał się potężny. Utkwił w przybyszu zupełnie czarne oczy, jakby próbując przewiercić go wzrokiem. Jedyłą barwną plamę na tle stroju Kajytbaja stanowiły

wykonane z cieniutkiej czerwonej skóry pantofle z wywiniętymi noskami, pokryte złotymi haftami.

Gdy tylko Kajytbaj ujrzał Dżema, otworzył ramiona, jakby chciał powiedzieć: „Chodź do mnie, przyjacielu”.

– Witaj w moim pałacu, synu Osmanów.

Miał tubalny, ciepły głos. Rozświetlający jego twarz uśmiech także promieniował serdecznością.

Dżem lekko pochylił głowę. On także szeroko rozwarł ramiona w oczekiwaniu.

Sułtan Kajytbaj zawahał się przez chwilę. Bez wątpienia spodziewał się, że to Dżem się do niego zbliży, jednak kiedy Osmanin ani drgnął, tamten ruszył w jego kierunku.

– Mam nadzieję, że znajdziesz w swojej drugiej ojczyźnie spokojną i bezpieczną przystań, synu.

Zwracając się do Dżema jak do syna, przypominał mu o jego pozycji. „Jestem od ciebie wyższy rangą i starszy wiekiem”. Tak naprawdę znaczyło to tyle co: „Znaj swoje miejsce”. Ale osmański sułtan zdawał się tego nie zauważać.

– Wiem, że znajdujemy się wśród przyjaciół, sułtanie.

Dżem specjalnie zwrócił się do mężczyzny tymi słowami. Sądził, że gdyby powiedział „mój panie”, oznaczałoby to akceptację jego wyższości.

Kajytbaj spojrział na przybysza kątem oka. „To jeszcze dziecko, mówili. Łatwo będzie kierować takim nieopierzonym młokosem” – pomyślał. – „Może i jest młody, ale na pewno nie nieopierzony. Spójrzcie na niego! Nazwać mnie panem to zbyt wiele dla jego języka. Zdaje sobie sprawę, że te słowa potwierdziłyby moją przewagę”.

– Twoich prawdziwych przyjaciół, sułtanie Dżemie – powiedział.

Chwycił go za ramiona, a Dżem odwzajemnił ten gest. Spojrzeli sobie w oczy, uśmiechając się powściągliwie. Potem przysunęli się do siebie, uścisnęli i po chwili oderwali.

Byli sobie równi.

Sułtan Kajytbaj nie dał po sobie poznać, że to spoufalanie się było dlań ością

w gardle. Jednak stało przed nim największe poręczenie bezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek w historii uzyskali Mamelucy, największy skarb, jaki udało im się zdobyć. Nieco poświęcenia dla tej sprawy nie mogło chyba przynieść szkody.

Choć etap pozdrowień już minął, wielki wezyr nadal trwał rozplaszczony na podłodze. Kajytbaj lekko dotknął ręki mężczyzny czubkiem pantofla.

Dostojnik na chwilę podniósł głowę, sprawiając wrażenie, że chce wstać z kolan, wykonał jednak jeszcze jeden pokłon. Powtórzył ten ruch trzy razy. Kajytbaj machnął ręką, jakby odganiał muchę.

– Odejdź – mówiąc to, spojrzał na Dżema. – Zostaw mnie samego z moim bratem.

Kiedy wielki wezyr, cofając się krok po kroku, zniknął z pola widzenia, Kajytbaj odezwał się słodkim głosem:

– Chodź, sułtanie Dżemie. Zjemy coś, wypijemy, porozmawiamy. Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Szli ramię w ramię pod dziwaczными wachlarzami, którymi dwaj olbrzymi słudzy machali nad ich głowami. Ogromne dwuskrzydłowe drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem. „Drzwi więzienia” – przemknęło przez myśl Dżemowi. – „Zatrzasnęła się za mną brama więzienia”.

– Dziękuję za twoją gościnę, sułtanie Kajytbaju.

Tamten wybuchnął śmiechem.

– Nie jesteś gościem, synu. Ziemia Mameluków to twoja ojczyzna. Czuj się na niej jak u siebie w domu.

Miał serdeczny głos. Ale czy jego serce było równie ciepłe jak słowa? Dżem nie miał pewności.

– Osmanowie to moi bracia – ciągnął mężczyzna. – Gdy odnoszą zwycięstwo, świętujemy je w każdym zakątku państwa Mameluków. Obchodziliśmy każdy triumf chana Fatiha^[64] jak nasz własny.

W momencie gdy usiedli na pękatych poduchach, rozłożono przed nimi wspaniałą, wysadzaną macicą perłową tacę. Służący, który pojawił się nagle nie wiadomo skąd, poczęstował ich zimnym sorbetem w szklanych kielichach.

– Tak po prawdzie – powiedział Kajytbaj, sprawiając wrażenie człowieka, który

niczym się nie przejmuję – martwią mnie problemy, których przysparzają Dulkadiroğlu i Ramazanoğlu... – Pod pretekstem wypicia łyku sorbetu nie dokończył zdania. Unosząc kielich do ust, spojrział ukradkiem na drugiego mężczyznę, jakby sprawdzając, czy tamten zrozumiał, że Mameluków gniewała protekcja, którą nad tymi dwoma bejlikami roztaczali Osmanowie. Dżem, rzecz jasna, nie chciał ujawniać swoich odczuć. Leciutko kiwał głową z delikatnym uśmiechem na twarzy. „Spójrz no tylko” – zaśmiał się w duchu Kajytbaj, widząc wyraz jego oczu. – „Chłopak uparł się, żeby zrobić na mnie wrażenie”.

Ale udało mu się uchwycić jego spojrzenie. „Jasne, że zrozumiał” – powiedział do siebie w duchu, przełykając sorbet. – „Przebiegły dżin z tego Osmanina, dżin. Jak miałby nie zrozumieć?” Nagle ogarnęły go wątpliwości. „A co jeśli przejrzał moje intencje?”

Dżem przyglądał mu się uważnie. Kajytbaj odwzajemnił uśmiech. „Nie, niemożliwe” – pocieszył się. – „Sam jeszcze nawet nie jestem pewien swojego kolejnego ruchu”.

– Ach – westchnął – cóż począć. Matka to jedno, ojciec drugie, ale nawet między braćmi dochodzi czasem do kłótni i nieporozumień. Czyż nie, synu?

Dżem zachwyił się łatwością, z jaką mężczyzna, wspominając o kłopotach Osmanów i Mameluków, skierował rozmowę na spór o tron, który toczył ze swoim starszym bratem, Bajazydem.

– Masz rację – zawahał się na chwilę. – Z pewnością o wszystkim już słyszałeś. Nie chciałbym tracić twojego czasu, samemu zabierając się za opowiadanie.

Mamelucki sułtan naraz spochmurniał.

– Słyszałem, słyszałem – powiedział. – Bądź pewien, że zapłacą za swoje zniewagi i błędy.

– Zniewagi? – Dżem nie był w stanie ukryć zdziwienia. – Błędy?

Mężczyzna pokiwał głową. Czarne oczy płonęły gniewnie.

– Nie inaczej. Głowa węża przed namiotem mojego osmańskiego brata...

Dżem wzdrygnął się. Wąż? „O co znowu chodzi temu mężczyźnie?” – mruknął w myślach. Z przejęcia nie usłyszał części wypowiedzi.

– ...tak nie może być – ciągnął sułtan, a Dżemowi znowu udało się skupić. – Szpieg, który to zrobił, zostanie odnaleziony.

– Szpieg?

– A któż by inny? Nie wiemy, czyj szpieg, czyj wróg ani czyj przyjaciel. Jeszcze... Ale jeśli przed sułtana Dżema rzuca się głowę węża, to musi coś znaczyć.

Osmanin kiwnął głową.

– Kto za tym stoi?

Tym razem głos sułtana był jakby trochę wyższy, domagający się wyjaśnień.

– Czemu znaleziono odciętą głowę? Ponieważ szpieg chciał, by tak się stało. Dobrze, ale gdzie jest bezgłowy wąż? Nie ma go. Dlaczego?

Dżem także zadawał sobie te pytania przed przybyciem do pałacu, ale nie znalazł odpowiedzi.

Kajytbaj przyglądał się mu, przegryzając winogrona zerwane z kiści leżącej na znajdującym się przed nim złotym talerzu. Z pewnością starał się wyczytać z twarzy przybysza wskazówki.

– Ktokolwiek to zrobił – ciągnął, jakby mówił sam do siebie – musi mieć nerwy ze stali.

Wrzucił do ust jeszcze kilka winogron.

– Weź trochę – powiedział do Dżema. – Pochodzą z moich winnic w Aleksandrii.

Młody sułtan zrozumiał w końcu, że popełnił błąd, lekceważąc tego mężczyznę. Powinien być ostrożny. I to bardzo. Ciągłe zmiany tematu nie były objawem starości, ale umyślną strategią, która miała na celu go zaskoczyć. Kajytbaj nachylił się ku przybyszowi. Zamrugnął. Na jego twarzy pojawił się diabelski uśmiešek.

– Co na to powiesz, synu Osmanów? Czy za tym czynem stać może Osmanin?

– Osmanin?

Sułtan uderzył jedną dłonią o drugą, jakby przyznając się do błędu.

– Ten drugi Osmanin, rzecz jasna. Bajazyd. Może to jego sprawka?

Mężczyzna spojrział w prawo i lewo.

Ta ewentualność przyszła już wcześniej Dżemowi do głowy. Tylko po co jego starszy brat miałby robić coś takiego? Czemu miałby rozkazać, by przed jego namiot rzucono worek z odciętą głową węża? Gdyby chciał go zabić, wprowadziłby kobrę do środka i po cichu załatwił problem.

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami. – W kraju takie sprawy załatwia się przy pomocy katów, a nie węży.

Kajytbaj się roześmiał.

– To jest wojna, sułtanie. Walczysz bronią, którą akurat masz pod ręką. Miecz, strzała, włócznia, armata, strzelba. Wąż to wąż, a jad to jad. Poza tym może... – udał, że się zastanawia – może to nie on wybrał węża, tylko ten, kogo posłał. Ze wszystkich rzeczy to właśnie węża najłatwiej tu znaleźć. Jest cichy i śmiertelnie niebezpieczny. – Sułtan dalej się namyślał. – Tylko dlaczego nie wrzucił ci tego węża chociażby do łóżka, synu Osmanów? Czemu uciął mu głowę i zostawił w miejscu, gdzie z łatwością ją znajdziesz? To właśnie jest zagadką.

Jeszcze bardziej zbliżył się do gościa.

– Jeśli sprawy zaszły tak daleko, sułtanie Dżemie – wysyczał mu prosto w twarz – to będziesz potrzebował całej masy ludzi, którzy zechcą dla ciebie walczyć.

– Owszem. – Głos młodszego mężczyzny był słaby, jakby poddawał się beznadziei. – Lecz to trudna sprawa, sułtanie Kajytbaju. Kto wesprze wygnańca?

– Ja.

Co? Całymi dniami pogrążał się w czarnych myślach, rozważając, jak przekona tego mężczyznę, by mu pomógł. A teraz on sam przysięgał, że go poprze. Przybysz starał się nie dać po sobie poznać ekscytacji.

– Ale potrzebnych mi jest wielu ludzi... Nie zbiorę przecież armii, która pokona wojsko Bajazyda.

Kajytbaj zachichotał.

– Za to ja tak.

Gdy Dżem chciał już coś powiedzieć, sułtan wstał.

– Będzie jeszcze dużo czasu, aby o tym porozmawiać. Najpierw powinieneś przez kilka dni solidnie wypocząć. Później zostawisz tu swój harem i...

– Harem, sułtanie? Ja nie mam haremu.

Kajytbaj zaśmiał się rubasznie.

– A powinieneś. Tak młodemu sułtanowi przystoi posiadać wiele nałożnic.

Mężczyzna znowu zmieniał bieg rozmowy. Dżem się zirytował. „Po co on teraz wyciąga te sprawy, gdy już zaczęliśmy mówić do rzeczy?” – narzekał w myślach.

– Mówiłeś, że zostawię tutaj mój harem. Wybacz, sułtanie, przerwałem ci i nie dokończyłem.

Kajytbaj nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– Pojedziesz do Al-Kaby, pomodlisz się przed obliczem naszego szlachetnego proroka i staniesz się hadżim^[65].

Dżem w końcu nie wytrzymał. Co też opowiada ten mamelucki sułtan o błędzącym umyśle?

– Sądziłem, że masz na myśli wojnę – mruknął ze zdenerwowaniem.

Sułtan Kajytbaj zlustrował go wzrokiem. Dżemowi zdawało się przez chwilę, że jego oczy stały się jeszcze ciemniejsze. Na twarzy starego mężczyzny pojawił się wyraz, którego przybysz dotychczas nie zauważył. Sułtan przypominał teraz lisa.

– Ależ właśnie to robię – burknął. – Kto nie zechce walczyć u boku pierwszego hadżiego spośród Osmanów?

No jasne!

„Idiota” – ofuknął się w myślach Dżem. – „Dlaczego o tym nie pomyślałem?” Kto nie stanie murem za sułtanem-hadżim? Kto nie odpowie na wezwanie pierwszego Osmana, który zwrócił twarz ku Al-Kabie?

Sułtan uśmiechnął się, dostrzegając zawstydzenie w oczach Dżema.

– Nie smuć się, mój młody bracie. Jak tylko wrócisz z Al-Kaby, tak upragniona przez ciebie armia będzie już tutaj na ciebie czekać. – Zbliżył się i spojrzał w oczy przybysza. – Podobnie jak pieniądze.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, ale Dżem nie słuchał już uważnie mężczyzny.

Myślami był przy armii, która miała na niego czekać po powrocie z Al-Kaby. W jego głowie panował mętlik. Co to będzie za wojsko? Mameluckie? Czy miał pomaszerować na kraj Osmanów na czele oddziałów Mameluków? Czy to właśnie jeden z nich miał posadzić go na należącym mu się zgodnie z prawem tronie?

Naraz w jego głowie pojawił się pomruk niezadowolenia. „No proszę, synu Zdobywcy, chana chanów. Kim się staniesz? Padyszachem czy narzędziem Mameluków? Co na to twoje sumienie?”

„Wysłuchaj się w swoje myśli” – odpowiedział natychmiast inny głos. – „Byle tylko przekroczyć most. Idź i odbierz mu tron. Reszta będzie prosta!”

Dobrze już znał ten drugi głos. Należał do rdzawego wilka, który spętał jego duszę.

Kajytbaj powstał. Dżem zastanawiał się, czy tamten zauważył, że rozmówca go nie słucha, a jego myśli krążą w zupełnie innych rejonach. Jeśli miał przekroczyć most, nie wolno mu było stracić Kajytbaja. Natychmiast podniósł się na nogi.

– Starość – odezwał się Kajytbaj przyjaźnie. – Muszę iść się położyć. Zaprowadzą cię do twoich apartamentów, synu Osmanów. Dobrze wypocznij. Przed tobą długa i żmudna droga.

Czy miał na myśli pielgrzymkę? A może wspominał o wojnie, którą Dżem miał toczyć ze swoim bratem, Bajazydem?

Sułtan ruszył w kierunku schodów prowadzących do podestu z tronem.

– Jest u nas takie powiedzenie – rzucił – nie karm nadziei, niech ona karmi ciebie.

Skinął głową. Kajytbaj, zmęczony, zatrzymał się na ostatnim stopniu.

Oparł się o zdobioną klejnotami poręcz złotego tronu i odetchnął głośno. Wbił wzrok we wspaniały, usłany błyszczącymi gwiazdami sufit, jakby chciał sobie coś przypomnieć.

– Słuchaj – powiedział łagodnie do Dżema.

Czego byś miał nie robić, za młodu to rób,

Przejmij prawo swoje, gdy czasu jest w bród

Dni podliczasz, mówiąc, jeden, jeszcze jeden

Gdy czekasz na tytuł, inny złapie siedem.

Kajytbaj, niczego więcej nie mówiąc, uchylił zdobną zasłonę znajdującą się za tronem i zniknął.

Dżem patrzył za sułtanem, póki nie zjawił się służący i nie złożył mu pokłonu.

Gdy mężczyzna prowadził go do komnat, umysł Dżema krążył wokół wyrecytowanego przez władcę czterowiersza. Jakby te linijki odcisnęły w jego głowie trwale piętno. Szczególnie ostatnia.

„Gdy czekasz na tytuł, inny złapie siedem”.

„Słusznie” – pomyślał. Gdy on czekał w karamańskim pałacu, Bajazyd już dawno złapał swój tron.

Nie będzie się dłużej ociągał.

*

Gdy sułtan Kajytbaj wyszedł tajnymi drzwiami za tronem, wielki wezyr już na niego czekał. Mężczyzna padł przed nim na ziemię.

– Chodź – syknął Kajytbaj do swojego sługi. – Mamy wiele do zrobienia. Napiszę listy do wszystkich królów niewiernych.

Na twarzy wielkiego wezyra pojawił się lisi uśmiezek.

– A ten drugi Osmanin?

– Bajazyd, powiadasz? – Zatrzymał się na chwilę, a po chwili jakby rozpromienił. – Zostawmy go na razie, niech się jeszcze trochę potrwoży.

Kajytbaj przeszedł jeszcze kilka kroków, powiewając jedwabną szatą. Przystanął nagle.

– Znaleźli węża?

– Znaleźli, panie. Zakopano go w piasku.

Sułtan powoli obrócił się ku wezyrowi. Jego oczy nabrały złowieszczonego wyrazu.

– W piasku?

– Tak, mój panie. W jednym z namiotów, które tamtej nocy stały nieopodal pawilonu.

– Namiot, tak? Wiadomo czyj?

Wielki wezyr spojrział na swego pana kątem oka.

– Kobiety – wyszeptał. – Służącej Osmanina.

– Zajmij się tą sprawą – odparł cicho Kajytbaj, jakby mówił sam do siebie.

– To, że węża podrzucono do namiotu służącej, jest pewne. Na piasku były jeszcze ślady.

Sułtan pogładził opadającą mu na pierś szpakowatą, przyciętą w szpic brodę.

– Kobra wrzucona do namiotu służącej. Służąca, która zabija kobrę i ucina jej głowę.

Obrócił wzrok ku wezyrowi.

– Przynieśli węża?

Wielki wezyr wyjął zza poły kaftana duży worek. Rozsupłał węzeł u góry. Kajytbaj spojrział do środka.

– Służąca zwinniejsza od dwuarszynowej kobry – zamruczał. Po chwili obrócił się i odszedł. – Dobrze ją schowaj – rzucił, wychodząc. – Któregoś dnia się o to upomnę.

[64] Prawdziwe imię Mehmeda II Zdobywcy brzmiało Mehmed Al-Fatih (przyp. red.).

[65] Hadżi – tytuł honorowy osób, którym w miesiącu hadżdż udało się odbyć pielgrzymkę do Mekki.

*Harem pałacu Mameluków**Grudzień 1481*

Nada podeszła i zatrzymała się przed valide, która obserwowała ją od dłuższej chwili.

– Zaraz oszaleję.

Çiçek Hatun pokiwała głową.

– Mówię ci, córko: odpocznij trochę. Jeśli nie z litości dla siebie, to dla życia w twoim łonie. Od dłuższego czasu nic tylko chodzisz w kółko. Kręci mi się w głowie od samego patrzenia.

– Nie jestem w stanie usiedzieć, valide. Nie mogę spać. Ta cisza, ten upał doprowadzają mnie do szaleństwa. I jeszcze dziecko w moim brzuchu.

Çiçek westchnęła.

– Masz rację. Przyszedł grudzień, a nadal jest bardzo upalnie. Przynajmniej w tym zakątku ogrodu trochę wieje. – Spojrzeniem była gdzie indziej. Odetchnęła. – U nas już dawno spadł śnieg.

Znajdowały się w jednym ze wspaniałych ogrodów pałacu Mameluków z widokiem na Nil. Çiçek Hatun i Gülizar siedziały w altanie zbudowanej na ocienionej przez szerokolistne drzewa otwartej przestrzeni. Za to Nada ze zdenerwowaniem odmierzała kroki wokół budyneczku, co jakiś czas tylko podchodząc i siadając przy nich, by zaraz znowu wstać i dalej chodzić dokoła.

Nagle wymierzyła sobie siarczasty policzek. Pozostałe kobiety spojrzały na nią ze zdumieniem.

– Córko – zawołała Çiçek Hatun. – Uszkodzisz sobie twarz!

– Co mam robić, valide? Nie mogę tego wytrzymać. Na moim ciele nie ma ani jednego miejsca, którego nie pogryzłyby te ohydne komary. Moskitiera i tym podobne zabezpieczenia wcale nie pomagają. Tylko spójrzcie, latają ich całe roje.

Gülizar uśmiechnęła się do Nady ze swojego siedziska.

– Masz rację. Jeśli zatrzymamy się tu trochę dłużej, nie zostanie nam ani kropla krwi. Mnie też pokąsały.

Nada spojrzała na nią, nic jednak nie powiedziała. Nie będzie strzepić języka na służącą, nawet jeśli to dwórka Çiçek Hatun. Popatrzyła na teściową przymrużonymi oczami. „To wszystko twoja wina, pani matko” – burknęła w myślach. – „Tak to jest, jak się ciągle ustępuje. Potem dyktują ci, gdzie masz stać, co jeść i mówić”.

Zamknęła temat komarów, jakby nie słysząc Gülizar.

– Oczywiście tęsknota jest jeszcze gorsza. Bez wytchnienia czekam na naszego pana. Cierpię za każdym razem, gdy Oğuz Han pyta w nocy o ojca. A co, jeśli urodzę, zanim powróci?

Czekała na jakąś reakcję. Gdy kobieta milczała, zasyczała:

– Wszystko przez tę służkę. – Twarz wykrzywiła jej nienawiść. – Gdyby nie uległ podszeptom tej wiedźmy i nie przyjechał tutaj, siedziałby teraz nie na pustyni, tylko we własnym pałacu, na tronie. A ja swobodnie... – zamilkła, wskazując na swój brzuch.

Çiçek pokiwała głową.

– Gdyby tylko mogło się tak stać, córko. Ale nie było takiej możliwości. Dżemowi nie zostało już wystarczająco dużo wojska, by stawić czoła Bajazydowi. Jak miałyby walczyć?

Nada znowu zaczęła nerwowo krążyć wokół altany.

– Lud kocha mojego pana. Gdyby nie uciekł, na pewno by do niego dołączyli.

Çiçek zmęczyło obracanie głowy w kierunku dziewczyny.

– Dżem nie uciekł. – Wyprostowała się, a jej głos stał się ostry. – Przybył tutaj, aby zapewnić sobie wsparcie sultana. Jak tylko zbierze armię, wróci, by się z nim zmierzyć. Zobaczysz. Znam mojego syna, córko.

– Oby – burknęła Nada. – Rzecz jasna, o ile ta służąca znowu nie namiesza mu w głowie.

– Nada!

Çiçek o ton podniosła głos.

– Na miłość boską, córko. Dość już tego. Chodź tutaj i usiądź. Od kręcenia głową boli mnie szyja. I przestań się przejmować tą dziewczyną. Jesteś sułtanką. Czego chcesz od tej biedaczki?

Nada, tupiąc, weszła do altany.

– Ha – zaśmiała się, siadając. – Nasz pan myśli zupełnie tak jak ty, pani. Czego ja chcę od tej biednej dziewczyny? Wcale nie jest taka biedna. Przynosi pecha. Od kiedy się zjawiała, ciągle towarzyszą nam nieszczęścia. Nie zauważyłaś, pani?

Çiçek wbiła wzrok w kobietę swojego syna. „Przyszłaś do nas tego samego dnia co Ferimah, Nado” – przemknęło jej przez myśl. – „Zatrzymałam cię i posłałam synowi, bo jesteś moją rodaczką, ale już sama nie wiem, która z was przynosi szczęście, a która pecha”.

Wymieniła spojrzenie z Gülizar. Çiçek w jednej chwili zrozumiała, że w głowie dwórki kłębią się te same myśli. By zachować cierpliwość, zacisnęła szczęki aż do bólu.

Gülizar dostrzegła lekkie drganie policzków swej pani. „A niech to” – pomyślała. Był to zwiastun burzy. Jeszcze chwila i Çiçek Hatun wybuchnie.

– Mam też inne zmartwienia, valide – stwierdziła cicho Nada, starając się, by nie usłyszała jej Gülizar.

– Co to za troski, córko?

– Na pewno się domyślasz, pani.

– Nie mam pojęcia. Jesteś chora?

– Harem. – Nada odetchnęła głęboko. – Sułtan uparł się, żeby stworzyć dla naszego pana harem. Chce mu podarować dziewczęta.

Çiçek roześmiała się mimo zdenerwowania.

– Niewolnice – poprawiła ją. – Słyszałam. Najjaśniejszy Kajytbaj zdziwił się, że mój syn ich nie posiada. Podobno nie ma sułtana bez haremu. A ja przyznaję mu rację.

– Ale one... One...

Çiçek zdała sobie sprawę, że jej cierpliwość jest bliska wyczerpania.

– Co z nimi, córko?

– Może... Mojego pana... – Nie była w stanie wykrztusić nic więcej. Cała się zaczerwieniła.

– Może wejdą do łóżnicy mojego syna, tak?

Nada pochyliła głowę. Ją z kolei do szaleństwa doprowadzała beztroska valide.

– Jeśli mój syn je weźmie, to jasne, że wejdą, Nado. Po to są haremy. Twoja ciąża się rozwija, a potem jest jeszcze połóg. Mężczyźni nie lubią tyle czekać.

– Ale ja... Ja...

– Ty – Çiçek wstała – jesteś najważniejszą kobietą w haremie. Jego faworytą. Matką jego syna. Ciekawe, kto zajmie drugie miejsce.

Zdawało się, że przy najmniejszym dotknięciu Nada zalałaby się łzami..

– Czy ja... – jęknęła. – Czy to znaczy, że ja też jestem niewolnicą?

– Chciałabym się przejść – powiedziała Çiçek do Gülizar.

Dwórka natychmiast stanęła na równe nogi i ruszyła w ślad za swoją panią. Zostawiły w altanie Nadę ze zwieszonymi ramionami i udały się prosto do ogrodu, gdzie wielobarwne róże roztaczały czarowne zapachy.

– Głupia dziewczyna – sapnęła gniewnie Çiçek. – Myśli, że ja nie wariuję od jej tępoty i zazdrości? Skręca ją nawet na widok służącej.

Gdy weszły do ogrodu różanego, zobaczyły nadchodzącą z naprzeciwka Ferimah. Odkąd Dżem wyjechał, dziewczyna zmizerniała, zostały z niej niemal sama skóra i kości. Mimo to gdy je dostrzegła, starała się uśmiechnąć.

– Spójrz na nią – wyszeptała Çiçek do ucha Gülizar – i popatrz na kobietę, która dała potomka mojemu synowi.

Ferimah skłoniła się przed Çiçek Hatun.

– Valide – powiedziała cicho ze słodkim wyrazem twarzy – minęło już dziewięćdziesiąt dni.

Kobieta się zaśmiała. To było zadanie, które powierzyła Ferimah, kiedy Dżem wyruszył na pielgrzymkę. Miała liczyć dni i i informować ją o zmierzchu.

– Minęły trzy dni, valide.

– Dwadzieścia pięć dni.

– Już pięćdziesiąt sześć...

Çiçek Hatun wiedziała, że dziewczyna z radością oddaje się temu obowiązkowi. Kobieta zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę to Ferimah liczy dni, wypatrując jej syna.

Wiejący od strony rzeki gorący wiatr poruszył zasłony na ich głowach.

– Wracajmy – powiedziała Çiçek. – Będziecie się śmiać, ale aż przechodzą mnie ciarki od tych piekielnych podmuchów.

Ich ciała, rozpalone upałem, marzły przy najłżejszym powiewie.

Zmierzając do pałacu, w pewnym momencie obróciły się i popatrzyły za siebie.

Nada szła ich śladem. Çiçek pomachała jej ręką.

– Chodź, córko, czekamy. Wolałabym, żebyśmy weszły do środka, zanim pożrą nas komary.

Gülizar nie była w stanie powstrzymać chichotu. „Chodź, chodź” – pomyślała. – „W środku pożrą cię niewolnice!”

*

Zauważyły, że Nada depcze im po piętach, nie spostrzegły jednak dwóch mężczyzn, którzy obserwowali je ze skąpanego w złocistym blasku wieczornego słońca pałacowego okna.

Sułtan Kajytbaj wskazał palcem.

– Ta – powiedział – na przedzie. Matka Osmanina. Znam ją. Widziałem raz czy dwa.

Wielki wezyr kiwnął głową na potwierdzenie.

– Ta blondynka to kobieta Dżema. To ona urodziła chłopaka. Widać gołym okiem, że za kilka miesięcy wyda na świat kolejnego.

– Nazywa się Nada. Jest Serbką.

– Serbką? Znaczą niewierną?

Wielki wezyr nic nie odpowiedział.

– Czyli syn Osmanów, którego już wkrótce uczynimy padyszachem, ma dziecko z niewierną.

– Właśnie tak, mój panie.

– Ten Osmanin to zagadka. Bierze sobie niewierne... Doprawdy wstyd...

– Ponoć robią z nich muzułmanki.

– Takie tam gadanie. Skąd wiedzą, co się kryje w sercu kobiety? Co to, wystarczy tylko powiedzieć „jestem muzułmanką”?

Tym razem wielki wezyr, zamiast wyrazić aprobatę słowami, zgiął się wpół.

Palec Kajytbaja znowu powędrował ku szybie.

– A tamta? Ta, która rozmawia z matką Dżema? Kto to?

– Służąca.

Sułtan się zdziwił.

– Służąca? Służąca, która cała w skowronkach rozmawia z valide syna Osmanów... Do czego to dochodzi?

Jeszcze chwilę przyglądał się czterem kobietom.

– To ta?

– Ta.

Kajytbaj pogładził swoją wyciętą w szpic brodę.

Wielki wezyr spojrział na niego kątem oka. „Znowu coś planuje” – przemknęło mu

przez myśl. Dobrze znał swojego władcę. Zawsze tak robił, gdy w jego głowie zaczynały się splatać pierwsze wątki intrygi.

– Tylko na to popatrz – powiedział Kajytbaj. – Służąca przyjaźni się z matką sułtana, a serbska faworyta nie ma złudzeń, że zostawiły ją w tyle.

Sułtan kilka razy szturchnął palcem wskazującym pierś wielkiego wezyra, jakby chciał ją przebić.

– Chyba już wiem, kto wpuścił węża do namiotu służki.

Skierował się do drzwi.

– Uważaj na nią, wezyrze. Niech jej włos z głowy nie spadnie.

Początkowa obawa przerodziła się już niemal w panikę. Ferimah wlokła się przez komnaty haremu w pałacu Mameluków.

Gdy powiedzieli, że pierwsza dama czeka na nią w haremie, serce podeszło jej do gardła.

Pierwsza dama? Dlaczego? Czego mogła chcieć od prostej służki wybranka potężnego sultana Mameluków?

Od dnia, w którym rozpoczęła pałacowe życie, o kobiecym okrucieństwie nauczyła się równie wiele co o męskim prostactwie. Szczególnie gdy poznała Nadę. To płeć piękna była tą niebezpieczniejszą.

„Ciekawe, jaka ona jest?” – spytała samą siebie. – „Czy należy do tych groźnych i przewrotnych?”

Otworzyła drzwi komnat haremu. W środku krzątało się ponad dwadzieścia zabieganych dziewcząt.

Jedna z nich zbliżyła się przymilnie. Była bardzo piękna i bardzo młoda. Niemal nie miała jeszcze uformowanej talii. Umalowane kholem^[66] ogromne oczy, lekko zadarty nosek, pełne usta, co najmniej do połowy wystające zza dekoltu piersi, lekko wypukły brzuch i długie nogi.

Dziewczyna zatrzymała się przed Ferimah i wzięła się pod boki. Nieco obróciła głowę na bok i przez chwilę mierzyła ją wzrokiem.

– Kim jesteś, czarnooka?

Ferimah wyczuła w jej głosie wrogość. Czemu żywiła ją do osoby, którą widzi pierwszy raz w życiu? Odpowiedź była oczywista: rywalizacja. Wszystkie te dziewczyny były dla siebie konkurentkami. Przeciwniczkami. Takie było prawo haremu. Gdy jedna wpadała w oko, druga traciła blask.

– Jestem Ferimah, a ty?

– Czy jesteś tak stara jak twój głos? – Dziewczyna musiała dostrzec w jej oczach błysk, bo zdjęła ręce z pasa. – To tylko żarty – dodała. – Nie osądzaj od razu. Jesteś bardzo piękna, wiesz o tym, prawda?

– Też jesteś bardzo piękna, ale jeszcze nie powiedziałaś, jak się nazywasz.

– Lejla. Jestem Kananejką, a ty?

Ferimah udała, że nie słyszy.

– Wezwała mnie pierwsza dama.

Na twarzy Lejli zamarł uśmiech.

– Będziesz odaliską?

– Odaliską?

– To właśnie ona wybiera dziewczęta.

Ferimah chciała przejść, ale dziewczyna jej nie puściła.

– Jeśli nie chcesz, to nie patrz jej w twarz.

– Czemu?

– Bo twoje oczy są przepiękne.

Razem z Lejlą przemierzyły trzy sale. W końcu zatrzymały się przed jakimiś drzwiami.

– Dalej musisz iść sama – powiedziała dziewczyna. – Mam nadzieję, że się jej nie spodobasz.

*

Chłodny podmuch owiał jej twarz. Znajdowała się w długim i szerokim korytarzu z arkadami splatającymi się na szczytach wyrastających po obydwu stronach kolumn. Z każdego łuku aż do podłogi spływały poruszające się lekko zasłony. Być może to właśnie z nich wydobywał się powiew, który pogładził jej oblicze, gdy otworzyła drzwi.

W przeciwieństwie do sali, w której rozmawiała z Lejlą, to miejsce było pełne harmonii. Szmer znajdującego się na środku komnaty basenu z fontanną, otoczonego czterema marmurowymi stopniami, mieszał się z melodiami wygrywanymi na udzie^[67] przez jedną z zajmujących puchate siedziska dziewcząt.

Panował tu spokój, który rozpraszał jej obawy. Siedzące naokoło wodotrysku

piękności nawet nie obróciły głów, aby na nią spojrzeć.

W porządku, ale gdzie była wielka pani?

Gdy tak stała przy drzwiach, usłyszała czyjś głos.

– Chodź.

Czy to była ona? Wzrokiem szukała kobiety, ale jej nie dojrzała. Zeszła po czterech stopniach i ruszyła w kierunku basenu. Jedna z dziewcząt wstała, gdy Ferimah przechodziła obok, i głową dała jej znak, że powinna za nią podążać. Poszły na sam koniec korytarza z arkadami.

Zatrzymały się przed komnatą z cudownie rzeźbionym portalem, ukrytą za warstwami leciutkiego bladobłękitnego tiulu spływającego z sufitu ku podłodze na podobieństwo wodospadu.

Dziewczyna się skłoniła. Ferimah również. Wtedy jak przez mgłę ujrzała kobietę za tiulowym oparem.

Leżała na sofie u szczytu wysokiego podestu, trzymając na widoku jedną nogę. Cztery na wpół nagie dziewczęta orzeźwiały swoją panią wielkimi wachlarzami.

Przewodniczka dziewczyny uchyliła nieco zasłonę.

Gdyby Ferimah nie zakryła ust ręką, z pewnością by krzyknęła.

Sądziła, że zobaczy bardzo starą kobietę, jednak naprzeciwko znajdowała się być może największa piękność świata. W dodatku młoda. Nie widziała wcześniej sułtanki, słyszała jednak, że jest wiekową kobietą. Trudno się było nie dziwić, że taka młódka jest wybranką tak starego mężczyzny.

„Głupia” – skarciła samą siebie w myślach. – „Co w tym niezwykłego? Ten mężczyzna to sułtan!”

Kobieta po drugiej stronie tiulu powoli się poruszyła. Jej oczy spoczęły na przybyłej.

Przypomniała sobie słowa Lejli: „Tylko nie patrz jej w oczy”.

Nie podnosząc głowy, przywarła do ziemi tuż przed zasłoną.

– To ty jesteś służącą Ferimah.

Nieznacznie skinęła głową.

– Teraz rozumiem, dlaczego ojciec chciał, żebym cię zobaczyła.

Co? Jej ojciec?

– Cóż to – powiedziała kobieta. – Zdziwiłaś się?

Jednak dała to po sobie poznać. Z osłupieniem przyjęła jej słowa. „Teraz rozumiem, dlaczego chciał, żebym cię zobaczyła”.

Dlaczego sułtan chciał, aby przyjrzała się jej jego córka? Ferimah poczuła ogarniający ją lęk. To był zły znak.

– Nikt ci nie powiedział, że jestem córką sułtana Kajytbaja?

– Nie, pani.

– Dobrze, a co ty myślałaś? Że jestem niewolnicą sułtana?

Usłyszała, że kobieta się śmieje, ale nie wyprostowała się.

– Czemu na mnie nie patrzysz?

Ferimah była zdecydowana nie unosić głowy.

– Spójrz, niech no ci się przyjrzę.

Ferimah wymruczała coś niezrozumiałego. Za tiulem rozległy się śmiechy. Kobieta wstała. Nie miała na sobie nic poza długą lnianą tuniką z dekoltem w łódkę, który całkowicie ukazywał jej ramiona. Na jednym z boków widniało niemal sięgające pasa rozcięcie, przez które przy każdym kroku widać było jej nogę.

Zbliżyła się i zatrzymała naprzeciwko dziewczyny. Pochyliwszy się lekko, uniosła ku sobie jej podbródek. Ferimah w jednej chwili zamknęła oczy.

– Dlaczego to zrobiłaś?

W końcu musiała się odezwać.

– Powiedzieli, żebym nie patrzyła.

Kobieta się zaśmiała. Za tiulem także rozległy się chichoty.

– A powiedzieli też, dlaczego masz nie patrzeć?

– Owszem. Podobno to ty wybierasz odaliski.

– Właśnie. A ty jesteś tu po to, aby zostać wybraną. Mój ojciec nie znosi kobiet o brzydkich oczach.

Córka Kajytbaja minęła ją jak zjawą.

– Chodź ze mną.

Ferimah wstała i podążyła za cudownym zapachem roztaczanym przez kobietę.

– Spodobałaś się mojemu ojcu. Stwierdził, że też powinnam cię zobaczyć.

Ferimah poczuła obrzydzenie. „On ma niemal osiemdziesiąt lat” – burknęła w myślach. – „Córka wybiera ojcu... Wstyd, wstyd...”

– Jeśli mnie też się spodobaś – powiedziała, idąc dalej, kobieta – mój ojciec poprosi sultana Dżema, aby podarował cię pałacowi Mameluków. A ten pewnie nie odmówi. Wtedy będzie to twój nowy dom.

Ferimah zadrżała. Tutaj, z dala od Płomienistego Księcia! Czy to było w ogóle możliwe? Co miałyby tu robić?

– Dlatego – rzekła kobieta – spójrz mi teraz w twarz. Chcę zobaczyć twoje oczy w innym świetle.

Ferimah nie spojrzała.

– Czyżbyś nie chciała dołączyć do haremu mojego ojca?

Słowa, które miała wypowiedzieć, mogły mieć bardzo wysoką cenę. Ale musiała zdobyć się na odwagę.

– Nie chcę.

– Ty głupia dziewczyno – syknęła kobieta.

Nie wiedzieć czemu nie wyczuła w jej głosie drwiny, pogardy ani groźby.

– Tylko idiotka może nie chcieć dołączyć do mameluckiego haremu. I co, zostaniesz na zawsze osmańską służącą? Gdybyś tu trafiła, stała się jedną z nas...

Córka sułtana ruszyła w kierunku arkadowej komnaty na samym końcu korytarza.

– Chodź.

Ferimah ją obserwowała. Kobieta zatrzymała się przed pomieszczeniem. Było inne niż pozostałe. Nie otaczały go tiule, ale zasłona z aksamitu.

– Tak – zamruczała. – O czym to ja mówiłam? Jeśli z nami zostaniesz... Jeśli zostaniesz odaliską... mojego ojca... – zaśmiała się dziwnie. – O nie, tak to nie. Nie bój się, nie ma mowy o czymś takim. Ale oddamy cię komuś wysoko urodzonemu, komu się spodobaś i kto tobie także przypadnie do gustu i będziesz żyć w dostatku, czy to takie złe? No dalej, spójrz na mnie.

Ferimah wiedziała, że nie zatrzyma rosnącej w jej wnętrzu fali. „Musisz z tym natychmiast skończyć” – odezwał się głos w jej głowie. – „Natychmiast, bo inaczej...”

– Proszę... – uklękła przed córką Kajytbaja – błagam. Nie róbcie tego. Nie zmuszajcie mnie...

– Do czego mamy cię nie zmuszać? – spytała kobieta. Zdawała się gniewać, ale głos zdradzał spokój. To była udawana wściekłość. Zaciekawilo ją, że jak na zwykłą służącą dziewczyna jest dobrze wychowana. – Powiedz, do czego?

Ferimah uniosła głowę i spojrzała z dołu w twarz kobiety. Jej czarne oczy błyszczały jak ciemne winogrona. Córka Kajytbaja długo się w nie wpatrywała, ale wbrew obawom Ferimah nie dostrzegła w nich piękna, za to dojrzała coś innego. „Mój ojciec znowu ma rację” – stwierdziła. – „Ta głupia dziewczyna jest zakochana w Osmaninie”.

– To znaczy – powiedziała – że błagasz, abyśmy nie zabierali cię od sułtana Dżema?

Z całej siły pokiwała głową.

– Tak, błagam.

– Nie słyszałam. Powiedz trochę głośniej.

– Błagam.

– Nie zostawisz go.

Znowu pokiwała głową.

– Nie zostawię.

– Co? Mów głośniej. Nie odejdiesz od Dżema?

„Dlaczego zmusza mnie, żebym wrzeszczała?” – wymamrotała w myślach Ferimah.

– Nie odejdę – krzyknęła. – Nie odejdę, umrę.

W jednej chwili spostrzegła, że świat wali się jej na głowę. „Co ty wyprawiasz?” – ofuknęła samą siebie. – „Odkryłaś swoje serce przed obcą. A co, jeśli ta kobieta pójdzie do Çiçek Hatun i jej opowie? Jeśli dotrze to do uszu Dżema?” Byłaby pośmiewiskiem i naraziłaby się na hańbę. Ale co się stało, to się nie odstanie.

– A co, jeśli syn Osmanów cię porzuci?

Ferimah poczuła, jak opadają jej ramiona. Aż do tej chwili nigdy nie przyszło jej to do głowy. Właśnie. Co robi, jeśli Dżem już nie będzie chciał jej trzymać u swojego boku? „Kto wie, do czego podburza go Nada” – przeszło jej przez myśl. – „Nie, nie zrobi tego” – odparło z drżeniem jej serce. – „Mój Płomienisty Książę mnie nie oddali”.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? A co, jeśli cię porzuci?

Pochyliła głowę.

– Wtedy umrę. – Głos wydobył się spomiędzy jej warg na podobieństwo jęku.

– Co? Co zrobisz?

Ferimah straciła nad sobą panowanie.

– Wtedy umrę! – krzyknęła. – Umrę, rozumiesz? Umrę. Umrę!

Córka Kajytbaja złapała ją za nadgarstek i zaciągnęła ku zasłonie.

– Umrzesz, co? Przecież ostatniej nocy, gdy tu jechaliście... w namiocie... byłaś już bliska śmierci, czyż nie, dziecino?

Boże litościwy!

Ferimah zaczęła się trząść. Próbowwała się powstrzymać, zaciskając zęby, ale to nie pomogło. Drżała tylko jeszcze mocniej. Usiłowała coś powiedzieć, słowa jednak uwięzły jej w gardle. „Ona wie” – krzychało coś w środku. – „Ta kobieta wszystko wie!”

– Żeby ci tylko nie przeszło do głowy mnie okłamywać. – Machnęła ręką. – Przynieść.

Jedna z dwórek zbliżyła się z wielką drewnianą skrzynią w ramionach. Zatrzymała się u boku sułtańskiej córki.

– Jeśli wiesz, co jest w środku, nie zrobię z ciebie odaliski. – Z uwagą spojrzała na Ferimah. – Nie, to by było niesprawiedliwe. Za nic w świecie nie zgadniesz. Najlepiej będzie, jeśli to ja powiem. – Wyciągnęła rękę ku zamknięciu skrzyni. – Chcesz zobaczyć?

Ferimah obróciła głowę.

– Znaczy, że nie chcesz. Słusznie. To przecież obrzydliwe. – Skinęła dłonią. – Odnieście to bezgłowe truchło. – Córka Kajytbaja zamilkła na chwilę. – Wiesz, kto wpuścił węża do namiotu, czyż nie?

Nie miała wyjścia. Pokiwała głową na potwierdzenie.

– Mimo że masz aż tak groźnego przeciwnika, nie chcesz porzucić Osmanina i do mnie dołączyć, tak?

– Tak.

– Zdajesz sobie sprawę, że ona się nie podda, prawda?

– Tak.

– Może ci się nie poszczęścić jak tamtej nocy.

Pokiwała głową.

– Tym razem wybierze broń, której nie będziesz mogła odciąć głowy. Nawet nie zobaczysz, skąd nadejdzie śmierć. Ani się obejrzysz...

Ferimah jeszcze mocniej machnęła głową. Przepytywanie zamieniło się w tortury. Mało brakowało, a krzyknęłyby: „Dość! Czego ode mnie chcesz?”.

– Wiesz, że ta kobieta chce cię zniszczyć, a mimo to godzisz się, by zostać, czy tak?

– Tak.

Córka sułtana z tajemniczym wyrazem twarzy spojrzała na atlasową zasłonę. Zelżał uścisk palców na nadgarstku Ferimah.

– Jeśli tak – wyszeptała – to w końcu możesz na mnie spojrzeć bez strachu, albowiem harem Mameluków już cię nie chce. Odejdź.

Ferimah z wdzięcznością spojrzała w oczy kobiety. Przeszło jej przez myśl, żeby ucałować niewidoczną pod pierścieniami i bransoletami dłoni, ale zrezygnowała. Zamiast tego skłoniła się głęboko.

– Idź – szepnęła piękność. – Niedługo wróci.

Ferimah wycofała się, idąc tyłem aż do basenu z fontanną. Potem się obróciła i biegiem pokonała cztery stopnie. Otworzyła drzwi, wypadła na korytarz. W głowie miała setki pytań. „Co teraz?” – pytała samą siebie. – „Córka sułtana jest przyjacielem czy wrogiem?”

Wzruszyła ramionami. „Niech się dzieje jej wola” – pomyślała. – „Wypuściła mnie. Powiedziała, że on niedługo wróci. Darowała mi życie”.

*

Córka sułtana odczekała chwilę po wyjściu Ferimah.

– Słyszałeś, panie? – wyszeptała w kierunku atlasowej zasłony.

Uchyliwszy ją, weszła do środka.

Sułtan Kajytbaj rozsiadł się na sofie. Miał tajemniczy wyraz twarzy i pociągając za brodę, spojrzał na córkę.

– Słyszałem.

– Miłość jak z baśni – odetchnęła głęboko. – Jest gotowa dla niego umrzeć.

Sułtan pokiwał głową.

– Ale nie umrze.

– Ta kobieta nie pozwoli jej żyć, mój panie. Zwłaszcza jeśli syn Osmanów stanie się dzięki tobie padyszachem.

– Kobieta zostanie tutaj, a dziewczyna odejdzie. Chcesz, żebym do tego doprowadził, prawda?

Twarz dziewczyny rozpromieniła się z radości.

– Tak. A Dżem? Co się z nim stanie?

Kajytbaj myślał przez chwilę.

– Jego los zależy od niego samego.

– Czemu? Czy coś się stało?

– Jego starszy brat uznał goszczenie go na ziemiach Mameluków za akt wrogości. Za żywego bądź martwego daje milion złotych dukatów.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Gdyby wiedział, jak zmienił się jego brat, nie dałby nawet złamanego miedziaka.

– Ach tak?

– Podobno gdy Dżem odwiedził Al-Kabę i stał się hadżim, dostał pomieszenia zmysłów. W ostatnim liście pisze, że jest zupełnie innym człowiekiem. Nie wie, czemu przejmował się tronem, po co mu była korona. Nie w głowie mu już armia czy jakaś tam wojna. Najwyraźniej chce się całkowicie oddać Allahowi. Ciągłe wspomina o jakimś wilku. Rdzawym wilku. Podobno zabił tę bestię. Co to ma niby znaczyć?

Sułtan lisim wzrokiem popatrzył na córkę.

– To mój skarb. Nikt go nie dostanie, dopóki Kajytbaj nie odbierze swojej należności.

– Ale milion dukatów to dobra cena.

– Czyżby? – mruknął. – Kto by nie chciał przyjąć buntowniczego syna sułtana Fatiha, który zniszczył wschodni Rzym? Muszę koniecznie przekonać go do walki. Jeśli ruszy do boju, cena wzrośnie.

– A co, jeśli umrze?

Kajytbaj udał, że nie słyszy.

– Chce go frankijski^[68] król. Rycerze z Rodos, władca Neapolu również. Myślą, że jestem głupcem. Cała trójka kupi mój skarb za bezcen i sprzeda po wyższej cenie mężczyźnie, którego nazywają papieżem, głowie wszystkich niewiernych zasiadającej w Rzymie.

– A co, jeśli Osmanin zginie na wojnie, mój panie?

Mężczyzna wzruszył ramionami i wstał z sofy. Zbliżył się do córki.

– W takim wypadku obydwaj stracimy. On życie, a ja mój skarb.

Obrócił się i skierował do drzwi za komnatą z arkadami.

– Ale przedtem muszę go wysłać na wojnę. Niech zostawi tutaj swoją matkę i tę blondynkę, stanie na czele armii i pod bojowym sztandarem ruszy na Anatolię.

Gdy już miał wychodzić, spojrzał na córkę.

– Niech mu przyprowadzą trzy dziewczyny, które wybrałem jako podarunek.

^[66] Khol – tradycyjny kosmetyk używany do zdobienia oczu.

^[67] Ud – instrument strunowy podobny do lutni.

^[68] Słowo *Frenk* oznaczało ogólnie Europejczyków, ale tutaj odnosi się głównie do Francuzów.

*Zamek w Halikarnasie**Lipiec 1482*

Dżem spoglądał z najwyższej baszty na rozciągający się przed nim nieskończony błękit. Morze było dzisiaj wzburzone. Spienione fale przetaczały się na podobieństwo kłód i rozbijały o masyw zamku.

Był tu od dziewięciu dni. Gdy wydawało mu się, że nie zniesie otaczających go kamiennych murów, niewiarygodnego gorąca, a przede wszystkim tej drażniącej niepewności, przychodził tutaj i wbijał wzrok w horyzont.

Tu kończyła się jedna droga, a zaczynała kolejna. Wszystko zależało od tego, czy pojawi się wyczekiwany od dziewięciu dni statek. Może przyplynie z tej strony? A może z tamtej?

– Z południowego zachodu – powiedział kawaler Demistokles – choć nie ma, rzecz jasna, pewności. Jeśli przyjdzie sztorm, to niewykluczone, że morze zmusi kapitana, by przybył od południa lub zachodu. Tutaj wszystko zależy od wody i wiatru – dodał.

Jego życiem i tak targały wichry.

Nie sądził, żeby tym razem Bajazyd czekał, tak jak podczas ucieczki Dżema do krainy Mameluków. Już się przekonał, że gdy zwleka, jego brat zyskuje wsparcie i staje się mocniejszy. Z pomocą Kajytbaja stworzył armię i przekroczywszy granicę, zaczął oblegać Konyę. Kto wie, może gdyby starszy brat od razu rzucił wojsko na Mameluków, Kajytbaj osobiście przekazałby go Bajazydowi martwego lub żywego?

Tym razem Bajazyd nie zamierzał zwlekać.

Gedik Ahmed Pasza miał przystąpić do oblężenia twierdzy, gdy tylko otrzyma rozkaz ze stolicy. Być może czekał gdzieś, wypatrując armii: sułtańskiej armady z morza, janczarów z lądu. A Demistokles na pewno nie będzie się zastanawiał, czy powinien go wydać. Mężczyzna nie zaryzykuje utraty zamku dla jakiegoś uciekającego księżątka Osmanów.

Wypełniał go żal.

Kiedy wrócił z hadżdżu, czuł się niczym anioł oczyszczony z wszelakich pragnień.

Przez całe dni wzbraniał się, gdy sułtan Kajytbaj podarował mu trzy dziewczęta, mówiąc:

– Od dziś to twoje odaliski.

– Ależ ja jestem hadzim, sułtanie. Nie dla mnie pożądanie, haram^[69]!

Mężczyzna zaśmiał się gromko.

– Odaliski są dozwolone. Bez nich nie ma sułtana. Poza tym kobiety... Sam rozumiesz...

W końcu zgodził się, aby do jego apartamentów trafiły trzy dziewczęta – jedna piękniejsza i młodsza od drugiej. Sądził, że Nada wpadnie we wściekłość, ale zaskoczyła go. Zamiast urządzić awanturę, spytała, jak się nazywają, i podjęła rozmowę. Uznał, że najwyraźniej w jej oczach jest już padyszachem. Pewnie sądziła, że skoro jej pan jest władcą, to oczywiście, że będzie miał własny harem. Była jednak jedyna w swoim rodzaju. Sułtanka Nadide, która urodziła monarsze potomka, a wkrótce miała wydać na świat kolejnego.

Jedną z dziewcząt była Egipcjanka Ajsza. Kolejna, Nubijka Szarazad, miała ciemną, niemal czarną skórę. Kręcone włosy nosiła prawie tak krótko jak mężczyźni. Najmłodszą z nich była Dalila z Babilonu.

Dżem ani razu na nie nie spojrział, ale Nada od pierwszego dnia zaczęła przekonywać dziewczęta, by jej służyły. Wieczorami kazała Dalili śpiewać.

Nie wiedzieć czemu przypomniał mu się wzrok Ferimah, gdy ujrzała dziewczęta w jego apartamencie. Nie spoglądała na inne kobiety, ale na niego. Nie obchodziło ją, czy są piękne i młode, dbała tylko o jego uwagę. Gdy się na nią zapatrzył, pokręciła głową w obie strony i zaśmiała się.

Z odaliskami nie zamienił ani słowa. Nawet teraz, w tym małym, ciasnym zameczku, gdy spędzali ze sobą niemal każdą minutę, ani razu nie odezwał się do dziewcząt.

Po powrocie z pielgrzymki matka nie wierzyła własnym oczom, kiedy go zobaczyła. A zwłaszcza gdy usłyszała, co mówi.

– Czy to ty? – mruknęła. – Czyżbyś zapomniał, jaka jest cena rezygnacji? – pytała.

Nie zapomniał. Jak mógłby zapomnieć? Czyż nie żył z tym strachem od dzieciństwa? Porządek Świata. Sznur kata. Śmierć!

Lecz przez jakiś jakby uwierzył, że starszy brat mu wybaczy.

Wysłał mu z Al-Kaby wiadomość: „Nie pragnę już władzy. Weź ją i rządz, bo ja największy majestat znalazłem tutaj. Nie podążam za tronem i koroną, ale za łaską Boga i posłannictwem Proroka”.

Dopiero po powrocie do Kairu poznał odpowiedź Bajazyda: „Jeśli tak, to czemu zostawiasz mnie z braterską tęsknotą?”.

Oznaczało to: „Wróć”.

Ale co po powrocie? Nic, nic właśnie. Dżem nie sądził, żeby zaproszenie brata było pułapką. Może wysłałby go gdzieś z dala od stolicy, ale na pewno by mu przebaczył. A przynajmniej tego właśnie pragnął Dżem.

Kiedy wyraził chęć powrotu, Nada o mało nie zwariowała.

– Zabije cię – lamentowała kobieta. – Zabije!

Za to Çiçek Hatun prawie w ogóle już z nim nie rozmawiała, płakała tylko.

A Ferimah? Ona jedna milczała. Z każdym jego pytaniem nieśmiało spoglądała mu w twarz.

– To ty jesteś sułtanem – mówiła cicho. – Jakikolwiek wydasz rozkaz, Ferimah zna swoje miejsce.

Dżem na chwilę porzucił rozmyślenia i zaczął przysłuchiwać się pokrzykiwaniom krążących nad głową mew.

„Co za hałaśliwe stworzenia” – pomyślał.

Sułtan Kajytbaj właśnie w ten sposób wrzeszczał mu w twarz.

– Dotrzymałem słowa, osmański synu. – Przy każdym słowie podnosił głos. – I ty też dotrzymaj!

Dżem przekazał Kajytbajowi odpowiedź swojego brata.

– W tej sytuacji stwierdzam, że nie ma pożytku z bratobójczej walki. Najlepiej uznać władzę Bajazyda i doprowadzić do zgody. Pojechać do stolicy, ucałować skraj jego szaty to najśłod...

Wrzask mężczyzny zagłuszył dalsze słowa.

– Co? Czy to mówi Osmanin, który schronił się w moim pałacu, błagając o ratunek? Sułtan, który prosił mnie: „Potrzebuję wojska i pieniędzy. Pomóż mi odzyskać tron”?

– Ja tylko...

– Posłuchaj uważnie. – Mężczyzna skoczył na równe nogi. – Powiedziałeś „wojsko”, proszę, oto i wojsko. „Pieniądze”, mówiłeś, „dużo pieniędzy”. Weź je sobie. Dotrzymałem słowa, i to za cenę wrogości Osmanów. A ty co robisz? Kulisz się w kącie jak przestraszony dzieciak, którego zrugął starszy brat. Tak mi się odpłacasz?

To były mocne słowa. Nigdy wcześniej nie słyszał podobnych. Ale sułtan miał rację. Oszukał go. Kajytbaj zawierzył jego przysięgom i zaryzykował wrogość Bajazyda, a Dżem zostawił go w pół drogi, mówiąc, że nie obchodzi go już tron ani korona.

Był bliski utraty przyjaźni Kajytbaja, a to było przynajmniej tak samo niebezpieczne jak niełaska starszego brata.

– Nie rozumiem ani wilka, ani owcy – krzyknął Kajytbaj któregoś wieczora. – Za wydanie cię Bajazyd zaoferował mi milion złotych dukatów. Za martwego lub żywego. Rozumiesz? Martwego lub żywego. A co ja zrobiłem? Odepchnąłem go. Dlaczego? Bo słowo tylko raz wychodzi z ust mężczyzny. A Kajytbaj jest mężczyzną. Przysięga to przysięga, powiedziałem. Ale skoro przysięgi nic już nie znaczą...

Nie był bezpieczny w Kairze. Pałac Mameluków stał się dla niego śmiertelną pułapką.

Za martwego lub żywego... milion złotych dukatów...

*

W końcu Kajytbaj uciął wszelkie dyskusje.

– Walcz. Nie przejmuj się, że chwilowo porzucasz matkę, dziecko oraz swoją kobietę. Zostaną tutaj. Twój syn jest jeszcze całkiem mały. Kobieta urodzi. Są teraz pod opieką Mameluków. Ruszaj na czele armii, jedź i obejmij swój tron. Wyślę je do twojej stolicy z wielbładami i wozami pełnymi złota, rubinów, brylantów i szmaragdów.

Dżem przypomniał sobie, jaki gniew ogarnął go w tamtym momencie. Co to miało znaczyć? Czemu ten starzec chce, żeby zostawił własną rodzinę? To wtedy w jego głowie

zaczęła kielkować myśl o nieczystych intencjach sułtana.

Kajytbaj wziął jego matkę, syna Oğuz Hana, Nadę i nienarodzone jeszcze dziecko za zakładników. Zresztą dopóki nie tańczył, jak tamten mu grał, sam pozostawał jeńcem w rękach sułtana. Więźniem, który martwy lub żywy wart był milion złotych dukatów.

„Idź” – mówił wyraźnie mężczyzna. – „Idź i walcz albo...”

Nada mówiła z nim jednym głosem. Może razem sprzysięgli się przeciwko niemu?

– „Lepiej jest umrzeć, niż żyć w takim tchórzostwie”. – Całe dni wysłuchiwał narzekań. – „Ponoć jesteś nawet na językach pałacowej służby. Powiadają, że Osmanin ma zajęte serce, Dalila sama słyszała. Zanosila się od płaczu, biedaczka”.

Czemu Dalila, która nigdy nawet nie zobaczyła z bliska jego twarzy, miałyby płakać, bo zarzucali mu tchórzostwo?

– Kajytbaj was nie wypuści. Kiedy ja odjadę, wy zostaniecie tutaj. Będziecie zakładnikami. Wiesz poza tym, w jakim jesteś stanie.

– Cóż z tego? Jakby tu nie było akuszerok. Z łatwością uwiną się przy porodzie. Nie myśl o nas. Poza tym co z nas za zakładnicy? Jaką mamy władzę, na której można coś zyskać? Najjaśniejszy sułtan po prostu chce, żebyś miał na wojnie spokojny umysł.

Czy naprawdę tak właśnie było?

*

Dżem w tamtych dniach zdał sobie sprawę, że jego opór z wolna słabnie.

Minął miesiąc od powrotu z hadżdżu. Nie wiadomo, czy stało się to za sprawą ogólnej presji, lecz znowu zaczął słyszeć w głowie odgłosy wilczych łap.

– Valide – powiedział w końcu. – Co powinienem twoim zdaniem zrobić? Wśród Mameluków zaczyna się robić niebezpiecznie. Bajazyd wyznaczył milion złotych dukatów za moją głowę. Zaczynam się obawiać, że sułtan nas wyda.

– Dopiero teraz? Jeśli twierdzisz, że jesteś padyszachem, to idź i weź swój tron. A jeśli myślisz: „Nie, niech się dzieje, co ma się dzieć”, to sam wiesz, jakie tego będą konsekwencje. Cokolwiek zamierzasz, w końcu to zrób, synu.

Tego dnia Dżem zdał sobie sprawę, że od dłuższego czasu matka nie zwracała się

do niego „mój panie” czy też „mój książę”. Dla Çiçek Hatun był już tylko „synem”.

„Czyż nie ma racji?” – zapytał podnoszący się w jego wnętrzu głos. – „Bo kim ty właściwie jesteś?”

Czy jest w tym coś złego, gdy książę staje się tylko synem? Nie miał pojęcia.

– Mam nadzieję, że nie pożałujesz swojej decyzji, synu.

To były ostatnie słowa jego matki.

A teraz żałował, że tak jak chcieli wybrał wojnę.

Pozwolił, żeby rdzawy wilk, którego, jak mu się wydawało, zabił, znowu wytyczał jego szlaki.

*

Na początku wszystko szło po jego myśli.

Jadąc na czele stworzonej dzięki złotu sułtana Kajytbaja armii, niczym burza spadł na Anatolię.

Przed jego wojskiem kroczyły inne oddziały. Bum, bum, bum. Bijąca w bębny armia heroldów – bum bada, bum, bum.

Kazał im rozgłaszać po wsiach i miasteczkach.

Bum, bum, bum!

– Hej, ludu! Sułtan Dżem...

Bum, bada, bum, bum!

– ...najukochańszy syn świętej pamięci chana Fatiha dotarł do czcigodnej Mekki i stanął naprzeciw Al-Kaby!

Bum, bum, bada, bum, bum!

– Słuchajcie, słuchajcie! Przekażcie tym, co nie słyszeli!

Bum! Bum! Bum!

– Pierwszy hadži z rodu Osmana, sułtan Dżem, wrócił do kraju!

Okazało się, że Kajytbaj miał rację. Słyszając nawoływania heroldów, ludzie, przekonani, że państwu Osmanów potrzeba świętego padyszacha obdarzonego łaską Proroka, zostawiali swoje pola i stada, by dołączyć do jego armii.

Nie napotkawszy oporu, rozpoczął oblężenie Konyi. Sądził, że miasto podda się w trzy do czterech dni.

Tak się jednak nie stało.

Gdy tylko rozeszła się wieść, że Gedik Ahmed Pasza nadchodzi z pięćdziesięcioma tysiącami ludzi, oblężeni zaczęli walczyć. Zresztą sam Dżem podupadł na duchu, słysząc imię Gedika Paszy.

„Czy nie ma od ciebie ratunku, panie Ahmedzie?” – zastanawiał się w bezsennej noc. Następnego dnia przerwał oblężenie i skierował się ku Engürü.

„To przeznaczenie” – szeptał wilk w jego wnętrzu. – „Tamerlan pokonał twojego przodka, Bajazyda Błyskawicę, właśnie na polach Engürü, a teraz ty maszerujesz tam, żeby pokonać kolejnego władcę tego imienia, czyż nie tak?”

Otóż nie. Miał przecucie. Przez trzy noce z rzędu widział we śnie Rumiego. Derwisz nie odezwał się do niego ani jednym słowem.

Gdyby mógł, Dżem najchętniej wróciłby do Kairu, ale domyślał się, że nie będzie w stanie tego zrobić. Lęk rozrywał mu serce. Już opuszczając miasto, miał wrażenie, że po raz ostatni widzi Oğuz Hana. Czuł, że nie będzie już miał okazji przytulić go i poczuć jego zapachu. Wiedział też, że nigdy więcej nie ucałuje dłoni swojej valide. Nigdy więcej ich nie zobaczy. Nady i ich nienarodzonego dziecka także. Ciekawe, czy znowu powije chłopca. Właściwie wolał, żeby to była dziewczynka.

Kajytbaj, żądając, by pozostawił rodzinę w Kairze, proponował mu zabranie odalisek. Kiedy zobaczył zdziwienie Dżema, uśmiechnął się tajemniczo, gładząc brodę:

– Żaden sułtan nie ruszy na wyprawę bez haremu. Żołnierze muszą widzieć w swoim władcy mężczyznę, żeby mieli siłę ruszać szablą.

Dlatego musiał je ciągnąć za sobą. Przy tym nie opuszczało go pytanie, o co tak naprawdę chodzi. Może niewolnice były szpiegami Kajytbaja? Na to wyglądało. Niewykluczone, że miały i inne zadania.

Być może miały go zabić.

Spotkało go wszystko, czego się lękał.

Tym razem to Bajazyd został zwycięzcą na polach Engürü. A właściwie rzucił się na niego Gedik Pasza. Znowu go przeganiał. Ani się nie oddalał, ani za bardzo nie zbliżał, ciągle jednak deptał mu po piętach.

Rok wcześniej miał w głowie Ramazanoğlu, a później krainę Mameluków, gdzie planował zacząć wszystko od początku. A co teraz? Nie było już żadnego miejsca, do którego mógłby się udać, ani żadnego zaufanego przyjaciela, u którego mógłby się schronić. Tak mu się przynajmniej zdawało aż do wieczora, gdy do jego namiotu sprowadzili jakiegoś kudłatego jegomościa.

– Pewien giaur chce się z tobą widzieć, panie.

Mężczyzna miał na sobie zbroję. Zdjął hełm z głowy i włożył go pod pachę. Dżem po raz pierwszy w życiu widział przyłbicę. Na linii wzroku znajdowała się metalowa zasłona. Jak mógł cokolwiek widzieć? Gdy Dżem zobaczył dziurki pokrywające płytę, najwyraźniej służącą ochronie oczu, mimo wszystkich dręczących go zmartwień zachciało mu się śmiać.

Do czego to zmuszał ludzi strach? Czyż on sam nie przybył tutaj w lęku?

Z pasa mężczyzny zwisał ogromny miecz, a jego pancerz oblekała pozbawiona rękawów koszula, niegdyś zapewne biała, na której środku widniał czerwony krzyż.

– Jestem posłańcem mistrza rycerskiego zakonu z Rodos, Pierre’a d’Aubussona – powiedział przybysz, klękając na jedno kolano. – Kawaler d’Aubusson kazał mi przekazać, że z dumą zapewni wam, panie, gościnę na wyspie.

Rodos!

„Najpierw Kair” – przeszło mu przez myśl, gdy słuchał mężczyzny – „teraz Rodos”.

Wiedział już, gdzie znajduje się jego nowe miejsce wygnania.

„Porzuć to swoje czarnowidztwo” – zagrzemiał wilk w jego wnętrzu. – „To Rodos, o którym mówią, że leży tuż obok twojej ojcowizny. Stamtąd usłyszają twoje wołanie. Czego jeszcze chcesz? Otwierają się przed tobą drzwi, zza których dociera światło. Nie rozumiesz tego?”

Oczywiście, że to rozumiał. Każde schronienie oznaczało dla niego nadzieję. Koniec końców miał wreszcie dokąd pójść.

– Kawaler d'Aubusson jest zaszczycony, mogąc was zawiadomić, że gotów jest walczyć w waszej sprawie wszystkimi dostępnymi siłami, panie. Jeśli przyjmiesz jego zaproszenie, wyśle statek, który zabierze was i wszystkich waszych ludzi.

– Statek? Niby dokąd?

– Na zamek w Halikarnasie. Dowódca, kawaler Demistokles, będzie do waszych usług.

Wilk w jego wnętrzu wpadł w ekscytację. „Na wyspie przyszykujesz się na wojnę, Dżemie. Będą cię słuchać wszyscy chrześcijańscy królowie. Gdy tylko będziesz gotowy, runiesz na ląd i tym razem zmiażdżysz Bajazyda”.

^[69] Haram (ar.) – w islamie oznacza rzecz zabronioną przez prawo muzułmańskie.

Czas rozliczenia z rdzawym wilkiem nadszedł i minął.

„Odejdź” – charczał w duchu Dżem. – „Prędeej, wyłaż z mojej głowy. Już cię nie chcę”.

Odpowiedział mu rechot. To był śmiech rdzawego wilka: „Nie oszukuj się, sultanie! Będziemy razem do śmierci!”.

Miał rację. Sam siebie okłamywał. Wiedział, że nigdy się od niego nie uwolni. Wilk był jego sędzią, panem i władcą. Dżem robił wszystko, cokolwiek tamten mu rozkazał. Znów będzie tak samo. Był potworem stworzonym przez straszliwe widmo Porządku Świata, które nawiedziło jego umysł, gdy był jeszcze maleńkim dzieckiem, by już więcej go nie opuścić. Nieśmiertelnym potworem.

Przynajmniej nie rozmyślał teraz o wojnie, lecz o Ferimah. Zrozumiał już, że nie dane mu będzie zwyciężyć. Jego potyczki z losem nie miały znaczenia. Być może podejmie ostatnią, ale koniec i tak był już bliski. Mógł jednak uratować dziewczynę.

Ciągle miał przed oczami dzień, w którym ją zobaczył. Opuszczali Nowy Pałac. Dostrzegła go w jednej chwili i przepychając się przez tłum, starała się do niego przedostać. Jakże się zdziwił, gdy później zobaczył ją na drodze do Kastamonu niosącą wodę do powozu jego matki.

„W pewnym sensie razem dorastaliśmy” – przeszło mu przez myśl. – „Byłem jeszcze dzieckiem, tak samo jak ona”. Ile minęło lat? Pięć, dziesięć, sto?

Nagle ogarnął go ból. Przypomniawszy sobie nieporadność Ferimah podczas podróży powozem w dniu, w którym zaprowadził Dilrübę na Czerwoną Skałę.

Lojalność i hart ducha nie powinny pozostać bez nagrody. Ilu z tych, których uznawał za odważnych mężów, zostawiło go w pół drogi i uciekło? Na własne oczy widział, jak jego ludzie rozpierzchali się na polach Yenişehir, w Konyi i Engürü. Jego skryba, przepisująca *Saltukname*, była dzielniejsza od nieprzeliczonych mężczyzn, z którymi walczył ramię w ramię. Zasłużyła na wolność. Na życie. Dżem postanowił, że przy pierwszej okazji, gdy tylko trafią w bezpieczne miejsce, oswobodzi Ferimah.

Teraz znajdowali się właśnie w takim miejscu. Jeśli tylko zjawi się tak wyczekiwany przez niego statek, wsiądzie razem z odaliskami, a Ferimah zostawi tutaj. Nie miał prawa ciągnąć jej ku własnej, niewiadomej przyszłości.

– Idź – zamierzał powiedzieć. – Ratuuj się.

Dżem poczuł ogarniającą jego serce pożogę, jakby wpadło między rozżarzone węgle.

– Och, Ferimah – wyszeptał. Jego głos poszybował na skrzydłach wiatru.

– Słucham, mój panie.

Co?

Dżem odwrócił się do tyłu.

– Ferimah!

Dziewczyna stała za jego plecami. Nie usłyszał, jak podeszła. Dziki wiatr rozwiewał jej włosy na wszystkie strony. Jakże była piękna pomimo zmęczenia i bólu.

– Czy mój pan czegoś sobie życzy?

Tyle nosił w sobie ukrytych pragnień. Które miał wypowiedzieć?

Ponownie zwrócił wzrok w stronę horyzontu.

– Każą nam czekać, nie sądzisz? Od tylu dni już tu tkwimy i ciągle nic!

– Przyplyną.

– Kiedy, Ferimah? Gedik Pasza stacjonuje nie dalej niż na odległość strzału z łuku.

– Wciąż jednak nie puszcza cięciwy.

Dżem zaśmiał się bezwiednie.

– Przyjaciel ojca – wymamrotał – lituje się nade mną.

– Czy ty się nad nim zlitujesz, panie? Gdy znowu obejmiesz tron?

– A czy ty – zaczął Dżem, a jego usta wykrzywił gorzki uśmiech – nadal wierzysz, że do tego dojdzie?

Dziewczyna już miała odpowiedzieć, gdy przerwał jej krzyk wartownika z zachodniej baszty.

– Staaatek na horyzoncie!

W jednej chwili ze schodów prowadzących na wieżę, na której stali, dobiegł ich głos kawalera Demistoklesa.

– Gdzie?

Rycerz podszedł do nich, pobrzękując mieczem.

Obserwator rzucił odpowiedź z baszty naprzeciwko:

– Tam! Na południowo-wschodnim skraju Kos.

– Kos?

– Stąd nie jesteśmy w stanie zobaczyć tej wyspy. – Demistokles obrócił Dżema we właściwym kierunku. – Po tamtej stronie. Statek właśnie stamtąd nadpłylnie. Patrzcie, oto i on!

Daleko, bardzo daleko, w miejscu, gdzie morze łączyło się z niebem, Dżem dojrzał czerwoną plamę.

– To on?

– Tak.

– Kiedy tutaj dotrze?

– Powinniście się przygotować. Porządnie wieje, a to miejsce nie należy do najbezpieczniejszych. Sądzę, że admirał nawet nie zarzuci kotwicy. Zawróci, gdy tylko was zabierze.

*

Ośmiu najlepszych łuczników trwało na stanowiskach. Ustawili się na odległość strzału, pozostając niewidoczni dla rycerzy z zamku. Nie było pocisku, który nie trafiłby celu z tej odległości. Patrzyli to na kamienne nabrzeże przed zamkiem, to na Gedika Ahmeda Paszę, który schronił się w wiatraku na wzgórzu nieopodal przystani. Mieli zwolnić cięciwy na znak dowódcy.

Gedik Ahmed Pasza przejrzał zamiary Dżema, zanim ten zdążył obrócić swojego konia w stronę Menteşe.

Jego celem było skierowanie buntownika w kierunku południowym. Nie powinien znowu uciekać na wschód, do Mameluka. Tym razem Kajytbaj na pewno uciąłby mu głowę i wysłał Bajazydowi. Dlatego też zablokował mu drogę ucieczki do Egiptu. Na zachodzie i północy shehzade nie miał czego szukać. Nie miał wyjścia – musiał skorzystać z trasy, którą pozostawił mu pasza. Na południe. Tam właśnie skierował się Dżem. Jechał z garstką ludzi, którzy jeszcze przy nim trwali.

Jednak gdy na horyzoncie pojawiły się góry Menteşe, Dżem wykonał manewr, który zaskoczył starego wojownika. Pasza sądził, że księżę zwróci się do Alaiye, ale zamiast tego ruszył na zachód. Co się tam znajdowało?

„Wilk” – pomyślał Gedik Pasza, zanosząc się śmiechem.

Dżem podążył do Anatolii, ku ostatniej twierdzy znajdującej się jeszcze w rękach bluźnierców. Do Halikarnasu.

Zamkiem władali joannici. Było jasne, dokąd się stamtąd skieruje: na Rodos albo na Cypr. Jeśli tylko znajdzie się statek gotowy go przewieźć.

– Na Rodos – mamrotał gorączkowo pasza, jakby nie mógł dosłyszeć własnych myśli.

„Płyn na Rodos, synu! Nie ma już dla ciebie życia na tej ziemi”.

Nagle wzniósł się okrzyk marynarza obserwującego morze ze szczytu wiatraka.

– Staaatek!

Gedik Ahmed Pasza wstał z kamienia, na którym siedział. Osłaniając oczy ręką, starał się dostrzec banderę widniejącą na żaglu fokmasztu zbliżającego się okrętu. Doświadczony oczy natychmiast wypatrzyły czerwony krzyż.

Rodos!

„Dokładnie tak, jak sądziłem, dokładnie tak, jak chciałem” – pomyślał.

Joannici wysłali statek, który miał zabrać Dżema. Ucieszył się w duchu. Nawet jeśli zdrada shehzade nie była wymierzona w imperium, to na pewno godziła w Bajazyda. Mimo to Gedik nie miał najmniejszej ochoty łapać syna sułtana Zdobywcy i odsyłać go drugiemu na śmierć albo, co gorsza, samemu zakończyć sprawę.

„Ach, nieszczęsny chłopaku!” – powtarzał w myślach. – „Gdybyś tak nie był

potomkiem sułtana Fatiha, tylko synem tego młynarza”.

Jeszcze niecała godzina i okręt zarzuci kotwicę, a po zabraniu Dżema odpłynie. Jedyne, co musiał zrobić, to dać znak łucznikom, gdy dostrzeże księcia.

Sam nie wiedział, czy będzie w stanie to zrobić. Na pewno tak, gdyby w księdze losu Dżema zapisano taką śmierć, a w jego własnej wypuszczenie strzał na syna chana Fatiha, za którego sprawą doświadczył tylu dobrodziejstw.

Mógł też własnymi rękoma włożyć na swoją szyję sznur zdrajcy. Już wcześniej stracił w oczach sułtana Bajazyda, gdy podczas poprzedniej wyprawy pozwolił Dżemowi się wymknąć. Tyle że mężczyźni nie starczyło sił, by ukarać w ten sposób ulubionego paszę. Był jeszcze zbyt młodym władcą. Ale teraz...

Statek z Rodos się zbliżał. Na pokładzie sylwetki marynarzy poruszały się na linach. Łuki ośmiu żołnierzy rozmieszczonych pod różnymi kątami na przeciwległym wzgórzu były gotowe do strzału.

*

Dowódca zamku miał rację.

Statek z Rodos, który przybył, aby go zabrać, nie dobił do brzegu. Okręt stał na morzu. Dżem musiał dotrzeć do niego łodzią. Nie miał pojęcia, jak wspiąć się na tego olbrzyma.

Gdy Demistokles zapukał do drzwi, Dżem sprawiał wrażenie gotowego, ale tak naprawdę ogarniała go panika.

W końcu przyszedł moment, którego najbardziej się obawiał.

Czas rozłąki z Ferimah.

Jak miał powiedzieć dziewczynie, że nie weźmie jej ze sobą? Jak miał się mierzyć z życiem, w którym jej zabraknie?

Rycerz skłonił się przed nim z szacunkiem.

– Kobiety wysłano na przedzie. Jeśli jesteś gotowy, panie, możemy ruszać.

Kobiety? Czy to znaczyło, że Ferimah już trafiła na statek?

Dżem starał się zdusić kielkującą w nim radość. „Podjąłeś decyzję” – ofuknął się w myślach. – „Nie krzywdź jej już bardziej. Jeśli ją wysłali, to niech ją stamtąd zabiorą. Zostanie tutaj”.

– Kobiety? – wyrzekł z wolna. – Ile kobiet, dowódco? Oby się nie pomylili.

„My tu myślimy o jego życiu, a on zajmuje się niewiastami” – westchnął Demistokles w myślach. Starał się nie okazywać zdenerwowania.

– Trzy kobiety, Wasza Wysokość.

To znaczyło, że nie wysłali Ferimah albo dziewczyna zajęła miejsce którejś z odalisek. Jeśli przejrzała jego zamiary, na pewno tak zrobiła.

– Dobrze więc – powiedział niecierpliwący się rycerz. – Skoro jesteś gotowy, możemy ruszać, panie.

Gdy zeszli na wybrzeże, czekała na niego niespodzianka. Dwudziestu zamkowych strażników ustawiło się w szeregi po jego obu stronach. Gdy tylko Dżem przekroczył próg, tarczami osłonili jego głowę.

– Należy zachować ostrożność – powiedział Demistokles. – Na wzgórzach mogą kryć się łucznicy.

Gdy Dżem ruszył pod osłoną tarcz, za plecami usłyszał dźwięk znajomych kroków. Ferimah biegła w ślad za nim. Nic jej nie powie. Nie będzie w stanie. Nie miał nawet siły, żeby się pożegnać. Zostawi ją, odejdzie i tyle.

– Mój panie!

Dżem udał, że nie słyszy wołania dziewczyny. Przyśpieszył kroku.

– Mój panie!

Znowu nie usłyszał. Do łodzi zostały zaledwie trzy czy cztery kroki.

– Dżem!

Na Allaha! Ferimah po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Jak mógłby zignorować ten wyrwany z głębi serca krzyk?

Zatrzymał się i obrócił. Osłaniający go rycerze także zamarli.

Ferimah w biegu opadła na kolana i wyciągnęła rękę w jego kierunku.

– Nie opuszczaj mnie.

Łzy spływające po jej policzkach lśniły w słońcu jak sznurki pereł.

– Nie zostawiaj mnie, mój książę.

– Nie będzie już powrotu – wymamrotał Dżem, z trudem przelkując ślinę.

Coś ugrzęzło mu w gardle. Gdyby nie obecność rycerzy, podbiegłby do dziewczyny, podniósł ją z ziemi, przytulił i ucałował jej dłonie.

– Przecież wiesz, Ferimah. To podróż w jedną stronę.

– Nie opuszczaj mnie.

Ręka Ferimah nadal trwała zawieszona w powietrzu.

– Nawet jeśli na końcu czeka śmierć?

– Nawet wtedy.

Dżem wyskoczył spod ochronnego parasola tarcz i podbiegł do Ferimah. Rycerze nie wiedzieli, co robić.

*

Strzelcy byli zaskoczeni. Napięli łuki gotowe w każdej chwili wypuścić strzały.

Ale nadal nie było znaku.

Od trzymania broni zaczęli już dostawać skurczów. Na co jeszcze czeka Gedik Ahmed Pasza?

Książę-buntownik bez ostrzeżenia wybiegł spod rycerskich tarcz. Właśnie pomagał podnieść się komuś, kto upadł na ziemię. Dżem stał przed nimi bez żadnej ochrony. Wystarczyłaby jedna strzała.

Po raz kolejny spojrzeli na paszę trwającego w bezruchu przed wiatrakami na przeciwległym wzgórzu.

Nic.

Z miejsca, w którym się znajdowali, nie mogli zobaczyć, że zwycięzca spod Otranto, Gedik Ahmed Pasza, płacze.

Rodos, port Mandraki

30 lipca 1482

Choć wielki mistrz Pierre d'Aubusson starał się wyglądać na spokojnego, zdawał sobie sprawę, że mu to nie wychodzi. Co rusz wstawał z miejsca i spoglądał przez okno na morze.

Pałac Wielkich Mistrzów znajdował się w najpiękniejszym miejscu Collachium, ale d'Aubusson postanowił, że zaczeka w Bramie Wielkiego Mistrza, która wyrastała z zamku niby wyrzucona przez fale. Usadowiła się pomiędzy dwiema tak grubymi wieżami, że mogłoby je objąć dopiero siedemdziesięciu trzymających się za ręce ludzi. Pod każdą z baszt były dwa ukryte przejścia, prowadzące do Pałacu Wielkich Mistrzów, oraz niezliczone piwnice. Za to na piętrach urządzono składy oleju, spiżarnie, dormitoria strażników i wypełnione od podłogi po sufit zbrojownie. Na samym szczycie widniał taras, z którego roztaczał się widok na morze i wąską plażę. To tutaj trzymano w gotowości strzały i włócznie oraz olbrzymie kotły, które w razie oblężenia służyły do wylewania gorącego oleju na głowy forsujących bramę przeciwników. Niektóre odcinki wybrzeża były jednak tak wąskie, że wysłanie tam żołnierzy i zmuszenie ich do wspinaczki po stromych ścianach zdawało się niemal niemożliwe.

Na najwyższym piętrze prawej wieży mieściła się komnata wielkiego mistrza. Miotający się jak ryba w sieci d'Aubusson wyglądał na morze z okna obserwacyjnego, snując rozważania. Powinien przywitać go bardzo serdecznie. Pierwsze wrażenie będzie kluczowe dla powodzenia całej operacji. Osmanin powinien uwierzyć, że Pierre jest jego przyjacielem i zaufanym sojusznikiem. Trzeba działać powoli. Nie wywoływać niepokoju. Krok za krokiem poruszać się do przodu.

Miał co do joty wypełnić zalecenia papieża Sykstusa IV zawarte w odpowiedzi na jego list: „Bądź szczodry. Daj mu trochę swobody. Aby drzewo wydało owoce, trzeba je obficie podlewać”.

Tak właśnie zamierzał zrobić.

Spojrzał na morze z okna obserwacyjnego. Już sam nie wiedział, który raz w ciągu tego dnia. Rozciągał się przed nim błękitny bezmiar, za którym niemalże dostrzegał wybrzeża Karii.

Za to morze było całkowicie puste!

– Jeszcze się nie pojawił?

Pierre d'Aubusson wzdrygnął się na dźwięk głosu kardynała Georgeosa Dimitriusa. Znał odpowiedź, z pewnością więc dopytywał tylko po to, żeby jeszcze bardziej wyprowadzić go z równowagi.

Dimitrius spojrział na niego kątem oka. Odkąd tu trafił, irytowało go ciągle przyglądanie się, jak rycerz po raz setny wstaje od stołu, stukając butami mija go, podchodzi do okna i wreszcie wraca na swoje miejsce.

Pierre d'Aubusson zatrzymał się, splatając ręce za plecami, i spojrział na księdza.

„Co za tępy typ” – zachnął się w myślach. – „Nawet jeśli statek się pojawi, co tu po mnie?”

– Nie, nadal go nie ma.

– Już niedługo... – Ksiądz nie był w stanie mówić dalej. Zakasłał charkotliwie. – Zaraza – wystękał, gdy trochę się uspokoił. – Ten kaszel mnie zabije.

Mistrz odszedł od okna i usiadł przy małym stoliku. Dłonie złożył na blacie. Spytał od niechcienia, wyraźnie nie bardzo interesując się zdrowiem duchownego:

– Co mówią lekarze?

– A co mają mówić? Ciągle wlewają we mnie jakieś syropy, każdy gorzki jak trucizna. Gdyby to jeszcze przynosiło dobre efekty, ale jest tylko gorzej. Niech im Bóg wybaczy. Myślę sobie nawet, że mnie podtruwają, d'Aubusson.

Rycerz nie był w stanie powstrzymać śmiechu. Słowa kardynała brzmiały, jakby chciał powiedzieć: „Ach, gdzie się podziały dawne dni”.

Kardynał Dimitrius obrócił głowę i wybałuszył na niego oczy. Wiedział, że Pierre d'Aubusson go nienawidzi, ale nic sobie z tego nie robił. W imię Boga nosił na barkach pięciusetletnie dziedzictwo.

Tak samo jak do Kościoła, a może nawet bardziej, przywiązany był do tradycji Rycerskiego Zakonu Szpitalników, którego idea było odnowienie i doprowadzenie do świetności królestwa Jerozolimy. Niegasnącym obowiązkiem rycerzy św. Jana było umieszczenie swojego sztandaru...

Zresztą to był przede wszystkim obowiązek Pierre'a d'Aubussona. Tyle że wielki

mistrz Rycerzy Szpitalników zdawał się o wiele mocniej przywiązany do rezydującego w Rzymie Ojca Świętego niż do rytuałów i zadań zakonu. Wierzył, że dopiero papież będzie w stanie uwolnić Jerozolimę od barbarzyńskich niewiernych.

Georgeos Dimitrius także sobie tego życzył, ale Rzym zboczył ze ścieżki Chrystusa. Od tysiąca lat nie dawali sobie rady. Całe szczęście, że zakon joannitów trwał na stanowisku.

Morze było całkiem puste. Tak samo jak pięć minut wcześniej.

– Żeby tylko nie natknęli się na wrogą flotę.

Włosy rycerza stanęły dęba. „Co za pesymista” – pomyślał.

– Niech Bóg broni – zamruczał, nie odrywając oczu od okna. – Niech lepiej ojciec nie myśli o takich rzeczach.

– Kiedy tak się nie da. Samo przychodzi do głowy. Wszystko przez to spóźnienie.

– W pobliżu nie ma statków sułtana.

– Jeszcze gorzej. Są jak duchy. Ponoć nie wiadomo nigdy, skąd się pojawiają. Ludzie mówią, że na wybrzeżach Karii jest mnóstwo zatoczek, w których mogą się skryć.

Wiedział i o tym, rzecz jasna. Pierre d'Aubusson wiedział o wszystkich zatoczkach, o każdej wyrwie i morskiej pieczarze. Cztery czy pięć osmańskich galeonów ukrytych w jednej z nich mogło niepostrzeżenie przeciąć drogę jego galerze. I choć ufał admirałowi Cezarowi oraz jego działom, to statki niewiernych dzięki swojej lekkości szybciej manewrowały na wodzie.

– Niech Bóg broni – powtórzył.

Georgeos Dimitrius wstał i zamiatając skrajem sutanny kamienną podłogę, podszedł do rycerza.

– Ale ty też się boisz, czyż nie?

Pierre d'Aubusson spojrzał na niego z ukosa.

– Boję się, że całe złoto, które zapłaciliśmy sułtanowi Kajytbajowi, pójdzie na marne.

Mężczyzna w zamyśleniu pokiwał głową.

– Oczywiście. Milion złotych dukatów. Ojcu Świętemu serce pęknie, jeśli coś się stanie Osmaninowi.

Rzucił rycerzowi ukradkowe spojrzenie, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jego słowa. „To raczej twoje serce przestanie bić” – przeszło przez myśl d’Aubusson. Czy papież Francesco della Rovere pozostawiłby przy życiu kogoś, kto przepuścił milion należących do Kościoła złotych dukatów? Mistrz już miał powiedzieć „niech Bóg broni”, ale się powstrzymał. Kiedy rozmawiał z kardynałem, zmuszony był ciągle to powtarzać, bo z ust mężczyzny nie wychodziło ani jedno pozytywne słowo.

– Jeśli go przejmie, milion złotych monet będzie bez znaczenia. Wie o tym ojciec.

Kardynał przybliżył się i też wystawił głowę przez niewielkie okno. Jego twarz prawie dotykała brodatego policzka d’Aubussona.

– Gdzie patrzysz, eminencjo?

– Na Mandraki.

– Statek nie zawinie do portu.

Mężczyzna wzruszył ramionami z obojętnością.

– Wiesz, co mi chodzi po głowie? Szkoda, że Kolos Rodyjski nie stoi nadal na swoim miejscu.

Pierre d’Aubusson zdziwił się.

– Ojciec...

– Tylko pomyśl: gdyby tak jedna noga olbrzymiego, poświęconego bogu słońca Heliosowi posągu Charesa z Lindos stała, tak jak w opowieściach, na tamtym występie, a druga naprzeciwko...

Mistrz był w głębokim szoku.

– Przecież to pogański bożek, ojciec. Chyba...

Mężczyzna pokiwał głową.

– Nie jest grzechem marzyć. A może i tego zakazał Rzym? Pomyśl, d’Aubusson.

Twoja galera przyływa stamtąd, ogromny statek pomiędzy nogami olbrzymiego spiżowego Heliosa wydaje się tylko maleńką łódeczką. Przeciska się, zatrzymuje w wewnętrznym porcie, a król Jerozolimy wychodzi na ląd.

– Król Jerozolimy?

Kardynał zachichotał. Odszedł i usiadł na swoim krześle.

– Jeśli wymyśliło mi się „król Jerozolimy”, to, rzecz jasna, tylko żartem. Człowiek, któremu wmówimy, że uczynimy go władcą całego chrześcijańskiego świata.

Wielki mistrz się zdenerwował. „O czym bredzi ten idiota?” – wyrzekając w myślach, wrócił na swoje miejsce.

– Ile razy już rozmawialiśmy z ojcem o tej sprawie? To muzułmanin. Według informacji przekazanych przez sułtana Kajytbaja udał się do ich świętego miejsca i został hadżim. Nigdy nie zgodzi się porzucić wiary.

Georgeos Dimitrius pokiwał głową na znak, że wie. Spochmurniał.

– Litości, mistrzu kawalerze. Nawet nie pozwalasz się człowiekowi rozmarzyć. Na przykład... ten wasz uciekający Osmanin, z boskiego natchnienia i przy naszej zachęcie, rzecz jasna, zostaje chrześcijaninem. Rycerze św. Jana ogłaszają go tutaj, na Rodos, królem Jerozolimy. Czy to się godzi, żeby król był z dala od swego państwa? Władca podnosi święty krzyż. Wszyscy królowie, wieśniacy, rzemieślnicy, kobiety, dzieci, młodzież i starcy, wszyscy chrześcijanie zbierają się pod tym błogosławionym znakiem. Ta wielka armia, której dotąd nie widziała jeszcze historia, oswobadza Jerozolimę.

– Czyli wyobraża sobie ojciec, że jakiś niewierny w imieniu chrześcijan uwolni znajdujące się w rękach innych niewiernych święte miasto, dobrze rozumiem? Wasza ekscelencja wybaczy, ale tego się nawet marzeniem nie da nazwać.

– Powiedziałem „na przykład”, kawalerze. Jakże niewinne słowo, jeśli mu się tak bliżej przyjrzeć, nieprawdaż? Na przykład... Każda budząca ludzki podziw wielka sprawa zaczęła się od maleńkiego „na przykład”, d’Aubusson. „Na przykład” to najbardziej tajemnicze ze słów Boga.

„Nie Boga, tylko szaleńca” – przeszło przez myśl wielkiego mistrza. Wstał z przygnębieniem i znowu skierował się do okna. Wyrzwał na morze.

– Mój Boże!

Kardynał nawet nie podniósł głowy.

– Nadchodzi. Galera wraca.

Georgeos Dimitrius nie wydawał się wcale poruszony.

– Poczekajmy jeszcze. Nie wiadomo, czy niewierny jest na statku.

– Rób, co chcesz – syknął Pierre d’Aubusson – ale nie popsujesz mojej radości, ojcze. Na maszcie powiewa zielony gałgan.

– Zielona?

Obojętnego jeszcze przed chwilą kardynała ogarnęła zgroza. Podtrzymując skraj czerwonej sutanny, przypadł do okna.

– Na miłość boską, d’Aubusson. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że kazałeś wznieść flagę niewiernych u boku chwalebnej chorągwi Zakonu Szpitalników?!

– To nie flaga, ojcze!

Tym razem w głosie rycerza pobrzmiwał karcący ton. Otworzył drzwi.

– Rozkazałem admirałowi Cezarowi zawiesić na maszcie coś zielonego, jeśli zgarnie tamtego, żebym mógł się przygotować. Gałgan wisi, a zatem on nadchodzi, ojcze. Dżem jest na statku. To tu, na Rodos, odmieni się los chrześcijaństwa.

Z tymi słowy, nie czekając na kardynała, rzucił się w dół krętymi schodami.

*

Wszystko wyglądało cudownie.

Sułtan Dżem.

Wielki Mistrz Rycerski Pierre d’Aubusson.

Wysokie wiatraki, które rozpościerały swoje długie białe płócienne skrzydła, jakby chciały go objąć.

Rodos o zboczach tonących w kalabryjskich sosnach.

Dwie setki rycerzy w pełnych zbrojach, którzy wyszli mu na spotkanie.

Najbardziej niedostępny zamek, jaki kiedykolwiek widział.

Działa, których wystrzałami go pozdrawiano.

Oklaski witających go ludzi.

Rodyjskie dziewczęta rzucające mu pod nogi czerwone róże.

Prześcigające się w pocałunkach z ostrym wiatrem niezliczone chorągwie...

Wszystko, ale to naprawdę wszystko było wspaniałe.

Przypomniał sobie wjazd do Kairu. Przed oczami stanął mu dzień, w którym jak błyskawica, w niemal zupełnym sekrecie przemknęli przez puste ulice i dotarli na brzeg Nilu, gdzie znajdował się pałac.

Rodos nie przywitało go jak uciekiniera, tylko jak króla.

Sułtan Dżem ściągnął na rodyjskiej galerze pozostały mu z wojny strój i założył najświetniejszy z ubiorów, jakie mieli pod ręką.

Musiał się prezentować jak przystało na osmańskiego padyszacha. W jego wyglądzie nie mógł pozostać żaden ślad ucieczki, wygnania ani klęski.

Strój przygotowała Ferimah, gdy tylko wkroczyli na pokład. Od turbanu na głowie po pantofle na jego stopach to właśnie ona wyciągnęła wszystko z załadowanych na statek skrzyń.

– Złoty i czerwony bardzo do ciebie pasują, panie.

– Naprawdę?

– To znaczy... dają wrażenie siły. Myślę, że pod kaftan nada się czerwona, a na wierzch ta żółta koszula w pasy.

– A pod spód zielone jedwabne szarawary.

– Twój biały kaftan z gronostajów.

– Czerwone pantofle.

– Pas w złotym kolorze.

Ferimah podała mu do zatknięcia za pas wysadzany klejnotami handzar, który lata temu – Dżemowi zdawało się, jakby od tamtego czasu minęły wieki – podarował mu ojciec, składając pocałunek na jego czole. W tamtym dniu został namiestnikiem wielkiego wezyra.

Gdy Dżem przytrzymał ostrze, wydało mu się, że zobaczył twarz chana Fatiha. Do oczu napłynęły mu łzy. Natychmiast obrócił się plecami do dziewczyny.

Ferimah naraz podeszła do stołu i udała, że zajmuje się ozdobami.

– Co powiesz na te cztery sznury pereł, panie? Czy ta diamentowa brosza otoczona przez szmaragdy i rubiny wydaje ci się odpowiednim dodatkiem do turbanu? Gdy uderzy w nią słońce, będziesz olśniewał oczy.

Dżem był w tak dobrym nastroju, że zaczął się przekomarzać z dziewczyną.

– To by znaczyło, że olśniewam odbitym blaskiem.

Ferimah spąsowiała, gdy spojrzał w jej twarz, i pochyliła głowę. Jej usta się poruszyły:

– Mój panie – wyrwał się szept.

A przecież Dżem tak bardzo pragnął, żeby wymówiła jego imię. Tak jak wtedy, gdy krzyknęła na kamienistym wybrzeżu Halikarnasu: „Dżem!”.

Ferimah przez całe godziny mocowała się z turbanem, żeby równo i stylowo zawiązać materiał.

W końcu oddalił się o kilka kroków i spojrzał na nią, zamiast zapytać, jak wygląda. Wyraz twarzy dziewczyny wyrażał uznanie. A jeśli podobało się jej, to znaczy, że było właściwie.

Jego szabla z rękojeścią i pochwą inkrustowanymi brylantami oraz rubinami leżała na stole. Miał ją przypasać, gdy już dotrą do celu.

Admirał Cezar był gotów, aby go zabrać. Mężczyzna zatrzymał się na chwilę i spojrzał na Dżema. Czy był to ten sam wrak człowieka, który trafił na jego galerę?

Dżem powoli wspiął się po wiodących na pokład schodach. Ferimah podążała za nim, jednocześnie starając się wygładzić zagniecenia na kaftanie.

Gdy jego głowa pojawiła się w drzwiach wychodzącej na zewnątrz kabiny, ujrzał swoich dowódców: Halil z Menteşe, Abdullah z Küre, Szaleniec Kırkpınar, Kadir Aga, czawusz^[70] Ali z Tavasusu i subaszy Davud oraz Czarny Kasym, którzy od dnia, kiedy uratowali go przed pułapką na równinie Yenişehir, nie odstępowali go na krok.

Wspiął się na kolejne dwa stopnie. Znow zatrzymali się na otwartym morzu.

W końcu stanął na pokładzie. Uniósł rękę, by pozdrowić witających go mężczyzn. Powoli wyprostował głowę.

Rodos!

Zdobna w promienie wieczornego słońca wyspa wyłaniała się przed nim na podobieństwo zalotnej panny młodej.

„Kolejne więzienie” – przez chwilę przemknęło mu przez głowę.

„Nie” – powiedział w myślach. – „Nie poddam się pesymizmowi”.

Słońce niby czerwona piłka chyliło się nad horyzontem, jakby miało za chwilę wpaść do morza, zalewając złocistym pożarem fale, mury fortecy i wszystko dokoła. W obliczu całego tego bogactwa nie było miejsca na czarne myśli, cieniste koszmary i mroczne pułapki. Wszystko szło jak należy.

To światło napełniało nadzieją.

To nie był kolejny loch, ale nowy początek.

Marynarze szykowali się do rzucenia kotwicy. Wspinali się na maszty, zwijali żagle i ześlizgiwali po linach, by trafić na pokład. Tutaj we wszystkim, w każdym szczególe, wibrowało życie.

Admirał Cezar podszedł do niego i zaprowadził go do relingu na prawej burcie. Wskazał kłębiące się na wybrzeżu oczekujące go tłumy. Dżem uniósł rękę, by je pozdrowić.

Dotarła do nich wrzawa wznoszących się z przystani okrzyków.

– Hurraaa! Hurraaa!

Gdy wchodził na łódź, by popłynąć do brzegu, nie uległ namowom załogi i mimo kołysania nie usiadł. Stojąc na tyle szalupy, szeroko rozstawił nogi, a lewą rękę położył na rękojeści szabli. Spoglądał na plażę jak wypatrujący ofiary orzeł. Nikt nie zauważył

jego modlitw, by nie wypaść za burtę, wznoszonych w miarę jak morze pogrywało sobie z łódką. Błada od nerwów Ferimah usiadła na dziobie. Bez wątpienia bała się, że Dżem straci równowagę i wyląduje w wodzie. Obawy siedzącego u boku dziewczyny subaszego Davuda były podobne. Podczas wojny gnający na oślep w objęcia śmierci mężczyzna lękał się wzburzonej wody pod pokładem i z całej siły wbijał palce w reling. Dżem miał ochotę się roześmiać, ale natychmiast się opanował. To byłoby nie na miejscu. Ponownie obrócił oczy ku tym, którzy mieli wyjść mu na spotkanie.

W szalupach za jego plecami znajdowali się pozostali członkowie orszaku, w tym, oczywiście, harem.

Najpierw zobaczył mężczyznę z wywiniętym do tyłu barwnym piórem na czapce. „Ciekawe, co to za pióro” – pomyślał przez chwilę i zaraz skojarzył. – „To musi być ten kawaler Pierre jakiś tam, który mnie tu zaprosił”. Nie licząc pióra i dziwaczego nakrycia głowy, on także wyglądał wspaniale. Na piersi nosił kirys, spod którego wylaniały się bufiaste rękawy dubletu w żółte, fioletowe i zielone pasy. Spodnie miał z czarnej skóry, a cholewy jego butów otwierały się ponad kolanami na podobieństwo kwiatów.

U jego boku stał mężczyzna w długiej czerwonej szacie. Przypominająca odwrócony talerz czapka na jego głowie była tego samego koloru. Nachylał się ku rycerzowi i szeptał mu coś do ucha.

Oczywiście Dżem nie usłyszał, jak kardynał Georgeos Dimitrius mówi do wielkiego mistrza:

– Oto nowy kolos rodyjski.

Kiedy łódź przybiła do brzegu, jeden z wiosłujących przeskoczył na ląd i przyczepił ją do ogromnego żelaznego koła. Gdy mężczyzna z piórem i ten w czerwieni z uśmiechem ruszyli ku Dżemowi, rycerz w zbroi wyciągnął rękę, aby pomóc mu przedostać się na ląd.

Nie miał wyjścia. Musiał chwycić tę dłoń. Joannita pociągnął go ku górze i syn Mehmeda Zdobywcy, brat osmańskiego padyszacha Bajazyda, sułtan Dżem stanął na Rodos.

W tej samej chwili zabrzmiały dzwony we wszystkich, zarówno małych, jak i dużych kościołach.

Ding! Ding! Ding, dong!

Donggg... Donggg! Donggg!

[70] Czawusz (tur. *çavuş*) – goniec w wojsku osmańskim.

*Rodos, Pałac Wielkich Mistrzów**1 sierpnia 1482*

Komnaty, które oddano do jego dyspozycji w pałacu, wychodziły na morze. Szczególnie osobisty apartament sprawiał wrażenie, jakby otaczała go woda. „Szkoda, że nie jest z drugiej strony” – westchnął w myślach Dżem. Jego ojczyzna była gdzieś tam, hen, w oddali, a on nie mógł nawet spojrzeć w jej kierunku, odwracając głowę.

Przez dwa pierwsze dni pozwolili mu odpocząć, a on, tak samo jak jego towarzysze, przyjął to z wdzięcznością. Większość zachorowała z powodu morskiej podróży, do której nie byli przyzwyczajeni.

Dżem przez dwa dni nie opuszczał swoich komnat. Spał i rozmyślał. Później znowu spał i znowu rozmyślał. Bezustannie rozważał wady i zalety planu, który zaczął kiełkować w jego głowie. Nie widział ani nie wezwał nikogo ze swojego otoczenia. Nawet Ferimah.

Nikt też nie zapukał do jego drzwi. Oznaczało to, że wszyscy zalegli we własnych łóżkach.

Tylko rodyjscy służący przewijali się przez jego apartament. Jadł dania i owoce, które przynosili. Gdy jedna dziewczyna zobaczyła jego wahanie przed zjedzeniem podanego mięsa, uśmiechnęła się. Nie wiedząc, jak powiedzieć „jagnię”, służąca zaczęła meczeć, aby go uspokoić. W rzeczywistości nie było to jagnię, ale jeleń z Rodos, Dżem zjadł go jednak, przekonany, że konsumuje baranka.

Nie tknął wina.

– Nie ma wody? – spytał posługaczkę.

– Wody, Wasza Wysokość? To... To rodyjskie wino!

Najwyraźniej bardzo się zdziwiła, że odmówił wyspiarskiego specjału.

Dawniej na pewno by się zezłościł, ale tutaj czuł się oczyszczony z całej swojej przeszłości, z wszystkich emocji, z każdej rzeczy, która szarpała jego nerwy. Tak naprawdę tego właśnie sobie życzył. Przynajmniej na chwilę.

Tak bardzo potrzebował uciec od samego siebie.

– Niech sobie będzie najlepszym winem – odparł, uśmiechając się – a ty przynieś mi rodyjskiej wody.

*

Trzeciego dnia przyszedł do niego ubrany na czarno człowiek. W dziwaczny sposób skłonił się aż do ziemi. Wszyscy mężczyźni tak go tutaj pozdrawiali. Nagle kierowali do przodu jedną rękę, lekko wyrzucali nogę w tym samym kierunku, zginali się nad nią w pasie, a wystawionym wcześniej ramieniem wykonywali osobliwy ruch, jakby ścinałi zboże.

Jakież to było skomplikowane!

„Moja ty wytęskniona ojczyzno” – pomyślał, gdy po raz pierwszy zobaczył to powitanie. – „U nas zginasz się w pasie i koniec. Po co tyle zachodu!”

Mężczyzna wyprostował się i odezwał śpiewnie.

– Jeśli Wasza Wysokość nie ma nic przeciwko, wielki mistrz Pierre d’Aubusson chciałby mu złożyć wizytę.

Coś przeciwko? Dom należał do tego człowieka. Mógł sobie chodzić, dokąd i kiedy mu się żywnie podobało. On był tylko gościem. Dziś przybył, jutro odejdzie.

Rodos stanowiło tylko przystanek na drodze do wypełnienia jego nowego planu. Chciał w pewnym momencie stamtąd wyskoczyć i wylądować w Rumelii. Jego gwiazda nie znalazła szczęścia w Anatolii, tym razem więc planował ruszyć na stolicę od strony Europy. Liczył na poparcie bałkańskich wielmożów. Pomóc w tym miał serbski rodowód jego matki oraz Nady. Gdy tylko swoją aprobatę wyrażą ich pobratymcy, w ślad za nimi pójda Chorwaci, Czarnogórcy i Albańczycy. Sądził, że będzie też w stanie zapewnić sobie pomoc Wołoszczyzny i Mołdawii. Oczywiście wsparliby go w zamian za odpowiednią rekompensatę. Nie zdoła od razu ich wynagrodzić. Dopiero po zrzuceniu Bajazyda z tronu i objęciu urzędu padyszacha będzie mógł spełnić ich żądania. Zgodzi się na nie, rzecz jasna. A przynajmniej sprawi takie pozory, a po przejęciu władzy ofiaruje, co będzie mógł, a o reszcie zapomni.

– Niech przyjdzie – powiedział do ubranego na czarno mężczyzny. – Spotkanie z szanownym kawalerem napełni mnie radością.

Po tym jak Pierre d’Aubusson powitał Dzema znanym mu już dziwaczny

sposobem, przytrzymał go za ramiona i ucałował w policzki.

Zachowywał się, jakby łączyła ich czterdziestoletnia zażyłość.

Wzrok Osmanina spoczywał na rapierze^[71] mężczyzny. Jeśli miał tak wąską pochwę, to co znajdowało się wewnątrz? Jak daleko sięgał pamięcią, nigdy nie ufał broni niewiernych. Jeśli coś ma być godne miana oręża, to przy zamachu powinno odcinać głowy, odrywać ręce i nogi. Ten najwyraźniej nadawał się najwyżej do wiercenia dziur.

Wielki mistrz zaśmiał się, gdy spostrzegł, że Dżem patrzy na jego rapier.

– Widzę, że ciekawi cię biała broń, Wasza Wysokość.

– Chyba tak już jest, kiedy się przeżyło wiele bitew. Nie mogę się nadziwić, jak też tym walczyacie. Nasze...

– Ach, wasze – przerwał mu d'Aubusson – są przerażające. Nie wydaje mi się, żebym był w stanie posługiwać się taką bronią. To musi być okropnie męczące.

– Czy ja wiem? – mruknął Dżem. – Nigdy o tym nie myślałem. Z czasem człowiek się przyzwyczaja.

Pierre d'Aubusson nagle powstał i ze szczękiem wysunął rapier u swego pasa z pochwy. Podał mu rękojęść. Wyglądał jak kupiec starający się sprzedać towar.

– Potrzyмай, Wasza Wysokość, i wypróbuj. Zobacz, jaki jest lekki.

Dżem także wstał i chwycił broń. Naprawdę była jak piórko. Cofnął się i wykonał dwa ruchy. Stal świsnęła w powietrzu.

– Tak – powiedział, jakby mu się spodobało. – Musi być bardzo użyteczna, ale jak na wojnę niedostatecznie...

– Śmiercionośna, chciałeś pewnie powiedzieć, Wasza Wysokość. Niech cię nie zwiodą pozory, najjaśniejszy sułtanie. W rękach, które wiedzą, jak go użyć – mało brakowało, a powiedziałyby „jest niczym miecz krzyżowca”, w ostatniej chwili powstrzymując język – jest równie niebezpieczny co osmańska szabla.

Po kilku kolejnych machnięciach Dżem zwrócił broń właścicielowi.

– Dziękuję. Wolę własną.

Rycerz znowu ze szczękiem umieścił rapier w pochwie i usiadł, wysuwając jedną

nogę do przodu.

– Przeszedłem tutaj – odezwał się łagodnie – aby spytać czcigodnego sułtana, jak też możemy być mu pomocni.

– Najpierw pozwól, że ci podziękuję, panie rycerzu. Okazałeś nam przychylność, a ja nigdy tego nie zapomnę. Z czasem zobaczysz, jak szcudrym potrafię być przyjacielem. Osmanie będą żyć w wiecznym pokoju z Rodos, ich sojusznikiem w czarnej godzinie.

– Wasza Wysokość jest szcudry nawet w przysięgach. Kto wie, jak głęboka i silna będzie jego przyjaźń. Rycerze św. Jana także chętnie będą widzieć sułtana Dżema jako ich wiekuistego towarzysza i sprzymierzeńca. – Odchrząknął ze dwa razy. – Najjaśniejszy sułtanie, czy mógłbyś mi powiedzieć, jakie są twoje plany?

Dżem spojrział mężczyźnie głęboko w oczy.

– Odebrać bratu należny mi tron, rzecz jasna.

– Ach tak – mruknął rycerz. – A czy mógłbym spytać, jak zamierzasz to uczynić?

Osmanin wstał, zmęczony nieco udawaną uprzejmością.

– Możesz mnie pytać, o co chcesz – powiedział twardo. – Skoro już na początku stwierdziliśmy, że jesteśmy przyjaciółmi, to rozmawiajmy jak przyjaciele. Otwarcie. Bez żadnych gier.

– Masz rację, panie. Ja też nienawidzę owijania w bawełnę.

– Najpierw zobaczymy, jakie mamy atuty – stwierdził Dżem, przechodząc aż na drugi skraj komnaty. Naraz obrócił się ku d'Aubussonowi. – Do mnie należą tron i korona. Ty zaś masz siłę.

Wielki mistrz się uśmiechnął.

– Naprawdę jesteś szcudry, panie. Odwdzięczę się tym samym. Tak, tron i korona. Do kogo jednak należą? Twoje ręce są puste. Co do mnie, owszem, mam siłę. Ale nie brakuje mi też tronu i korony, najjaśniejszy sułtanie.

Dżem się zdziwił.

– Tron i korona? Mówisz o tej wyspie? Z kilkuset ludźmi...

– Mam nadzieję, że nie umniejszasz znaczenia Rodos, Wasza Wysokość. – W głosie Pierre’a d’Aubussona pobrzmiwał lekki żal. – Tak, wyspa ma swój tron i koronę. Można powiedzieć, że trony i korony wszystkich królów Europy należą do rycerzy św. Jana.

– Nie chciałem cię urazić.

Rycerz machnął ręką.

– Wiem, wiem. Ja zaś chciałem tylko wspomnieć o sile Rodos, to tyle. Święty Jan może ci zapewnić moc i potęgę każdego z tych władców, panie.

– W zamian za co?

– W zamian za twoją przyjaźń.

Tym razem to Dżem machnął ręką.

– Gdzie się podziała otwartość? Dlaczego wspomniani przez ciebie królowie mieliby pomagać uciekinierowi z rodu Osmanów? Ich wsparcie musi mieć jakąś cenę.

– Nie jestem w stanie – mruknął Pierre d’Aubusson – mówić w imieniu monarchów. Spotkam się z nimi jednak. Do każdego napiszę list. Oczywiście na samym początku zwrócę się do Jego Świątobliwości. Utrzymujemy dobre stosunki. Zapewnić sobie pomoc Sykstusa IV to jakby uzyskać ją od całego świata, wiesz o tym, panie, czyż nie? Czego sobie życzysz, co oni mogą dać i czego żądają w zamian? Wszystko to możemy ustalić na drodze listownych negocjacji. Oczywiście trochę to potrwa, nic to jednak, gdy w międzyczasie uszczęśliwisz nas swoim towarzystwem. Na końcu, zgodnie z umową, przejdziesz do działania. Jednak mogę...

– Co: jednak?

– Mogę mówić tylko w imieniu Rycerzy Szpitalników, najjaśniejszy sułtanie.

– A czego oczekują Rycerze Szpitalnicy w zamian za swoje wsparcie?

– Ach – westchnął d’Aubusson. – W zamian za to, co mamy do zaoferowania, chcielibyśmy otrzymać tylko kilka maleńkich wysepek. Tych, które odebrał nam twój ojciec, sułtan Mehmed. Są duszą i krwią Rodos. Jeśli przekażesz nam z powrotem wyspy, będziesz na wieczność cieszył się naszą przyjaźnią i wsparciem.

„Są twoje” – przemknęło przez myśl Dżemowi. – „Gdy tylko sprawy zajdą na tyle daleko, naradzę się z paszami. Oddam, ile będę w stanie. A co do tych ważniejszych, to

już się znajdzie jakiś sposób”. Spojrzał na rycerza.

– Domyślam się, że to nie wszystko.

– Masz rację, panie. Wszystkie te działania będą oznaczać ogromne wydatki. Pokryję je z naszego skarbcza z myślą, że we właściwym czasie okażesz wdzięczność.

– Ile, panie kawalerze?

Wielki mistrz udał, że się zastanawia.

– Ile...? Ile...? Wydaje mi się... że sto pięćdziesiąt tysięcy dukatów wystarczy.

– Zgoda. Przybiję pieczęć pod taką umową, rycerzu.

Mężczyzna podszedł i pochylił głowę przed Dzemem.

– Jeśli tak, natychmiast przystępuję do działania. Skrybowie przygotowują porozumienie, a ja rozkażę spisać pierwsze wersje listów. Później znowu się zobaczymy.

– Jest coś jeszcze – powiedział nagle Dżem. – Co będzie moim poręczeniem, panie kawalerze?

– Jakim poręczeniem, mój panie?

Dżem pociągnął za skraj wąsów.

– Gwarancją, że mnie nie sprzedacie.

Pierre d'Aubusson poczuł, jak żyły wypełnia mu lód. Tego się nie spodziewał. Próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie pozbierać myśli.

– Mój starszy brat rozdaje złoto na prawo i lewo, żeby się mnie pozbyć. Jaką cenę wyznaczy za mnie Rodos? Ile milionów dukatów wystarczy, żebyście wyparli się tej przyjaźni? Bajazyd zaoferował Kajytbajowi milion złotych dukatów za wydanie mnie żywego lub martwego. Jednak ten odmówił.

„Dalej tak sobie myśl” – odpowiedział rycerz w duchu. – „Nie przyjął złota Bajazyda, ale za milion dukatów sprzedał cię mnie. Jak sądzisz, czemu tak nalegał, żebyś ruszył do Azji Mniejszej? Czemu żołnierze, których ci ofiarował, przy pierwszej okazji uciekli? Wszystko tylko po to, żeby cię tu ściągnąć, dotąd tego nie pojąłeś?”

Ale jeszcze nie przyszła pora, żeby wygarnąć mu to wszystko prosto w oczy.

– Sułtanie – powiedział cicho – jesteś w tej chwili tak drogocenny, że wątpię, aby w skarbcach Imperium Osmańskiego pomieściło się złoto, które stałoby się rękojmą. Twoim poręczeniem jest słowo Pierre’a d’Aubussona, wielkiego mistrza Rycerzy Szpitalników.

Lekko pochylając głowę, skierował się ku drzwiom.

– Przekonasz się, panie, że to słowo jest cenniejsze niż złoto. A teraz, za pozwoleniem, oddalę się. Wieczorem znowu się zobaczymy.

– Czyżby? Z jakiej okazji?

Wielki mistrz uderzył się ręką w czoło.

– Ach, wybacz, panie. Miałem to powiedzieć na samym początku, ale zesłaliśmy na ważne tematy i zapomniałem. Chyba się starzeję. Rycerze Szpitalnicy wyprawiają tego wieczora ucztę na twoją cześć.

– Ja...

– Usiądziesz przy stole pana domu, Wasza Wysokość. Otrzymasz pozdrowienia kawalerów. Zbiorą się tam wszyscy możni Collachium... – przez moment wydawało się, że d’Aubusson się waha, ale chwilę potem dokończył, mrugając okiem – ...ze swoimi pięknymi i kuszącymi żonami, rzecz jasna. Zjawią się też oczywiście zarządcy z Burgo.

– To, o czym mówisz... Collachium... Burgo... Co oznaczają te słowa?

– Ach, jaki jesteś spostrzegawczy, mój panie. Nic nie umknie twojej uwadze. Królów, którzy będą się z tobą targować, czeka ciężki orzech do zgryzienia.

Wielki mistrz zaśmiał się gromko.

– To dwie części Rodos. Dzielnicę, w której mieści się Pałac Wielkich Mistrzów, określa się mianem Collachium. Zamieszkują ją rycerze, właściciele ziemscy, bogaci kupcy winni i kościelni dostojnicy, za to Burgo jest obszarem, na którym żyje lud.

Przez chwilę patrzył na Dżema, aby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły na nim jego słowa.

– To będzie wspaniała noc – dodał – ponieważ opowiem o historycznej umowie, którą zawarliśmy, panie.

Pierre d'Aubusson otworzył drzwi i wyszedł. Dżem na jakiś czas pogrążył się w głębokich rozmyślaniach. Po wielu godzinach stwierdził, że na tym etapie nie przyniesie to zbyt dużo pożytku.

„Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem” – przeszło mu przez myśl. – „Więcej się go do dzbana nie należy”.

Otrzeptał ręce. Musi się przygotować do wieczornej uczty. Powinien wszystkich olśnić. Tylko jedna osoba była zdolna to sprawić.

Rodyjski sługa wszedł do środka.

– Zawołaj Ferimah.

Mężczyzna się zdziwił. No tak, skąd miał wiedzieć, kim jest Ferimah. Nagle Dżema ogarnęło dziwne uczucie, jakby rozpadał się od środka.

– Moją służącą.

Nawet on sam nie usłyszał własnego głosu.

^[71] Opis, który zamieściła autorka, przywodzi na myśl szpadę, która jednak pojawiła się dopiero około 200 lat później. Poprzednikiem szpady był właśnie rapier, który Dżem mógł dostrzec u kawalera d'Aubussona, jednak wątpliwe, czy wymachiwałby nim jak piórką, gdyż ta broń, wbrew obiegowej opinii, wcale nie była lekka (przyp. red.).

Nowy Pałac, dywan

Stało się niemal zwyczajem, że na porannych naradach wszyscy mają zły humor.

Taka była właśnie jedna z nich.

Po wyjściu z jutrzniowej modlitwy wszyscy stłoczyli się na dywanie. Padyszach nie zszedł do nich, aby chwalić Pana. Nic nie wskazywało też na to, aby miał dołączyć do zgromadzenia. Gdyby sułtan zamierzał się pojawić, żołnierze przygotowaliby dla niego drogę, a oddział bostandżych^[72] stanąłby na warcie. W pobliżu nie było widać żadnego z nich.

„Dobrze” – stwierdził w myślach Gedik Ahmed Pasza. – „Wygląda na to, że tego ranka również nie dane nam będzie oglądać twarzy jego wysokości padyszacha”.

Spojrzał na wezyrów.

Nie chcąc, aby plotkowano za ich plecami, że są już starzy i nie mogą ustać na nogach, dokonywali nadzwyczajnego wysiłku, aby sprawiać wrażenie uważnych i rześkich. Ale po każdym jak na dłoni widać było senność i zmęczenie.

Po każdym, z wyjątkiem Wielkiego Davuda.

„Patrz no tylko, jest jak dżin” – mruknął bezgłośnie Ahmed. – „Widać, że jego wielki nos znowu coś wywęszył”. W gruncie rzeczy byli rodakami, bo Davud także pochodził z Albanii. Mimo to Gedik nie uznawał go za jednego ze swoich. Zresztą doskonale zdawał sobie sprawę, że mężczyzna go nienawidzi.

Dopóki Bajazyd nie został sułtanem, był tylko jednym z wielu, ale gdy władca uczynił go bejlerbejem Rumelii, Davud się zmienił.

Ostrzył sobie pazury na stanowisko wielkiego wezyra.

Gedik Ahmed Pasza obrócił się i spojrzał na sadrazama^[73], Ishaka Paszę. „A niech to!” – pomyślał. – „Że też wcześniej nie zauważyłem. Jakże się ten Ishak postarzał”.

Pomimo całego zmęczenia, niewyspania i zasepienia zaśmiał się w duchu.

„Stolica i ciebie psuje, Gedik” – chichotał bezdźwięcznie. – „I ty zacząłeś obmawiać ludzi za plecami, wytykając im starość”.

Źle się poczuł. Żałował tego, co pomyślał o paszy Ishaku, mimo to stwierdził, że nie powinien się obwiniać. „To się nie liczy jako plotka. Przecież nikogo nie podgryzam, nie kopię żadnych dołów” – zarzekał się we własnej głowie.

Ale Davud Pasza kopał dla Ishaka Paszy dół.

Z pewnością myślał, że skoro sułtan uczynił z niego bejlerbeja Rumelii i połowa imperium Osmanów znajdowała się pod jego pieczęcią, jego samego zaś nazywano „Wielkim”, a Ishak Pasza już się zestarzał, to nadszedł czas, by sułtańska pieczęć trafiła w jego ręce.

Pasza sadrazam z wszystkiego zdawał sobie sprawę. Już dawno temu zorientował się, że Davud knuje jakiś spisek, ale nic go to nie obchodziło. Zupełnie jakby się wycofał i pogodził z tym.

Odetchnął świeżością poranka. To była właśnie nagroda za służbę dla imperium – trafić na języki i stać się obiektem spisków.

Ishak Pasza dopiero poznawał te niedogodności. Minęły za to wieki, od kiedy ta prawda dotarła do Ahmeda.

Zrozumiał wszystko pewnego poranka, gdy Bajazyd wrzasnął mu w twarz:

– Paszo, paszo, co to ma być za służba? Czyżbyś nie słyszał o mojej koronacji? Powrót sporo ci zajął.

– Byliśmy na wyprawie, mój władco. Jak tylko usłyszałem o odejściu twojego ojca, niech spoczywa w pokoju, przerwałem działania wojenne i postawiłem żagle. Ale takie jest morze. Nie wie, co to pośpiech.

Bajazyd machnął ręką, przerywając mu, a przecież miał jeszcze dodać: „Woda nie wie, co to takt, i nie słucha rozkazów”. Dokładnie tak, morze wprowadzało w życie tylko własne plany. Kiedy nie było wiatru, cały trud spadał na ludzkie barki, a wtedy wszystko zależało od siły ramion galerników.

Po służbie dla sułtana Mehmeda Zdobywcy trudno było zgiąć kark przed padyszachem, który z wraskiem ucinął wypowiedź człowieka w wieku jego ojca. Gdyby chociaż Bajazyd zamiast tego uciął mu głowę. Przynajmniej umarłby raz a dobrze. Śmierć nie robiła najmniejszego wrażenia na człowieku, który na polach bitwy kroczył z nią ramię w ramię niby do paszczy lwa. Obraza była jednak czymś kompletnie innym. Z wolna wgryzała się w umysł Gedika.

„Hej ty, wielki chanie Fatihu” – odezwał się w duchu Ahmed Pasza. – „Powstań i zobacz, jakich zostawiłeś po sobie synów. Żaden cię nie przypomina. Jeden nie wie, co to ogląda, drugi nie zna swojego miejsca. Starszy dybie na życie młodszego, a młodszy na tron starszego”.

Z nagle poczuł na sobie wzrok Wielkiego Davuda Paszy. Szybko obrócił głowę. Nie mylił się. Podczas gdy Davud wymieniał szeptem uwagi z wezyrami w pobliżu, jego chytre oczy wpatrzone były w Gedika. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Davud pozdrowił go z lekkim uśmiechem, a Ahmed mu odpowiedział. Zupełnie jakby w powietrzu zderzyły się miecze, a naokoło poleciały stalowe iskry.

Z rozmysłem odwrócił się i podszedł do ledwo powstrzymującego sen Ishaka Paszy.

– Niech twój poranek będzie błogosławiony, Wasza Czcigodność, sadrazamie paszo.

Białobroda twarz Ishaka się rozświetliła.

– Dobrze, że przyszedłeś, Gedik. Mało brakowało, a jak tu stoję, osunąłbym się i zasnął. Przynajmniej zamienimy ze dwa słowa.

Ziewnął, odwracając głowę, a następnie przybliżył się do Ahmeda Paszy.

– Opowiedz mi o tamtej sprawie.

– Jakiej sprawie, czcigodny paszo?

– No jak to? Tej sprawie ze strzałą. Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi, bo pogłoska już się rozeszła. Czy shehzade naprawdę stał na odległość strzału?

Pokiwał głową.

– Tak było.

– I łucznik też był gotowy. Tak mówią.

– Nie jeden, ale ośmiu stało z gotowymi łukami, sadrazamie paszo.

– To co, nie widzieli celu?

– Sułtan Dżem...

Ishak Pasza w panice wyciągnął rękę.

– Ciii. Oby się nie rozniosło, że nazwałeś go sułtanem. Czcigodny padyszach od razu by się dowiedział.

– A ty nie nazywaj go czcigodnym – syknął.

Wielki wezyr zmrużył oczy. Minęło nieco czasu, zanim je otworzył.

– No, to o czym tu mówiliśmy?

– Widać go było jak na dłoni.

– Na Boga, w takim razie czemu nie kazałeś go ostrzelać?

Gedik Ahmed Pasza długo wpatrywał się w całkowicie białe, niemal zakrywające oczy brwi wielkiego wezyra.

– Nie miałem serca.

Ishak Pasza nie był w stanie przełknąć śliny. Obrócił głowę.

– Chcesz mnie w tym wieku doprowadzić do płaczu, Gedik? – westchnął. – Nieszczęsny chłopak.

– Biorąc pod uwagę, że dostał się w ręce bluźnierców, musi rozumieć, że nie ma już po co walczyć.

Wielki wezyr odciągnął go na bok.

– Tak mówisz? Ale nawet jeśli zrozumiał, że to już koniec, to czy ten tutaj zostawi go w spokoju?

Gedik nie był co do tego przekonany.

– Wszystko w rękach losu – wymamrotał Ishak Pasza. – Pożyjemy, zobaczymy, jaki wyrok wyda Allah. – Zamilkł na chwilę. – Strzeż się, Gedik – szepnął. – Ty nie miałeś serca go zabić, ale tamtego nic nie powstrzyma. Obu was wykończy. Z pewnością wszystko wyolbrzymili.

Gedik Ahmed Pasza uśmiechnął się.

– Ty też – wskazał brodą Wielkiego Davuda – bacz i na żmiję, i na siebie.

Ci, którzy dostrzegli, jak z sułtańskiej galerii wbiega na dywan jedno z pacholąt władcy, nagle przerwali podszepty. Wszyscy utkwili w nim wzrok.

Chłopiec szybko wszedł po schodach i przypadł do paszy Davuda. Pozdrowił go zgodnie ze zwyczajem, a następnie powiedział mu coś do ucha.

Nawet czarna broda Wielkiego Davuda prawie całkiem poczerwieniała z ekscytacji. Unosząc ku górze poły kaftana, pobiegł w ślad za dzieckiem.

– Co mu tam właśnie powiedział? – wystękał Ishak Pasza.

Jedna z brwi Ahmeda Gedika Paszy wygięła się niczym łuk.

– Sądząc po radości paszy, nic dobrego dla nas.

*

Z jedną nogą podciągniętą pod brodę, a drugą zgiętą sułtan Bajazyd siedział na sofie przed wychodzącym na morze oknem. Jego bursztynowy tespih jak zwykle zwiślał z kolana, przy którym trzymał twarz. Za każdym razem, gdy Bajazyd przesunął je między palcami, od przebijającego się przez szkło słonecznego światła paciorki z jantaru pobłyskiwały na podobieństwo wzburzonych ognistych kropli.

Pyk. Pyk. Pyk.

– Tak mówisz, paszo – powiedział do zgiętego przed nim w ukłonie Wielkiego Davuda.

– Stanie się, co rozkażesz, mój sułtanie, ale takie jest zdanie twojego biednego niewolnika. Świętojański giaur nie odda go z powrotem.

– Zaoferowałem Kajytbajowi milion dukatów. Jeśli tamtym napomkniemy o dwóch milionach, czy mimo to go nie wydadzą?

– Nie, mój panie.

Bajazyd przesunął kolejny paciorek tespihu.

Pyk.

– Ale dlaczego? Czyżby życie mojego brata było dla niewiernych warte więcej niż

dwa miliony złotych dukatów?

„A ten jeszcze pyta” – przeszło przez myśl paszy Davudowi, choć nie dał po sobie nic poznać.

– Czcigodny panie, zdajesz sobie sprawę, że dla rycerzy buntownik jest cenniejszy niż złoto.

Kolejny paciorek spadł na tespihu. Pyk.

Davud Pasza spojrział na Bajazyda kątem oka. Nie sądził, żeby tamten nie był w stanie pojąć podobnych spraw. „Może wystawia cię na próbę, Davudzie” – odezwał się głos w jego wnętrzu. – „Testuje, by sprawdzić, czy nadajesz się na wielkiego wezyra”.

Nigdy nie wiadomo. Musiał być ostrożny jak tańczący na linie akrobata.

– Jak ci wiadomo, czcigodny sułtanie, istnieją dwie ważne dla bluźnierców sprawy. Pierwszą jest odzyskanie podbitych przez twych przodków terenów w Europie, drugą zaś usunięcie półksiężyca z Jerozolimy.

Bajazyd słuchał beznamiętnie.

– Z tego też powodu – zamruczał pasza Davud – obawiam się, że rycerze zechcą wykorzystać buntownika przeciwko tobie, panie, właśnie w tych dwóch celach.

Z tespihu spłynęła kolejna bursztynowa kropla.

Pyk.

Później jeszcze jedna.

Pyk.

– Twierdzisz więc, że giaur będzie nas szantażował, czy tak, paszo?

– Na to wychodzi, mój władco.

– I sądzi, że się przestraszymy?

– Pewnie zapomniał, że czcigodny padyszach jest synem sułtana Fatiha. Kto wie, jakie jeszcze diabelskie sztuczki szykuje.

Bajazyd zwrócił głowę ku oknu. Milcząc, na wiele minut pogrążył się

rozmyślaniach. W końcu odezwał się cicho, nie patrząc na paszę.

– No dobrze, ale jak jeszcze możemy się zabezpieczyć?

Mało brakowało, a Wielki Davud podskoczyłby z radości i przypadł do nóg i rąk padyszacha. Przecież to nie jego powinien pytać o metody działania! Jeśli z samego rana przywołuje go i rozmawiają na takie tematy, podczas gdy Ishak Pasza...

Przeraził się, że serce przestanie mu bić z ekscytacji. Jego oddech stał się płytki. Mężczyzna kilka razy otworzył lekko usta jak łykający powietrze ptak.

– Rozkaz – jęknął. – Będzie, jak rozkażesz, mój sułtanie.

Bajazyd rzucił tespih na siedzisko.

– Może to i ja rozkazuję, ale potrzebuję porady. Zapobiegliwość ciąży na karku niewolników.

Davud Pasza upadł na kolana.

– Kark niewolnika jest cieńszy niż włos, mój władco.

– Nie potrzebuję karków, tylko myśli.

Davud stwierdził, że dość już słodzenia. Zrobił już wszystko, co miał zrobić, i powiedział, co miał powiedzieć. Musiał wreszcie wymyślić jakiś środek zaradczy. Starł się zabrzmieć tajemniczo.

– A gdybyś to jego przekupił, mój panie?

– Kogo?

– Buntownika.

– Paszo! – Sułtan Bajazyd zaryczał gniewnie, zrywając się z miejsca. – Myślisz, że o tym nie myślałem, ago Davudzie? – Wyciągnął kawałek pergaminu spod poduszki i rzucił paszy. – Czytaj. *Pokryję wszystkie twoje wydatki. Weź swoją rodzinę, życie spokojnie w Jerozolimie.* Tak napisałem. A teraz popatrz, co odpisał.

Wycelował i rzucił kolejny pergamin w głowę Davuda.

– Dalej! Co pisze? No czytajże, człowieku. Czytaj, a ja posłucham.

Wielki Davud Pasza wyciągnął rękę po znajdujący się na ziemi list i przebiegł po nim wzrokiem. Składał się z dwóch wersów:

*Gdy ty leżysz w uśmiechach na łożu różanym,
czemu miałbym gnić ja w dole spopielatym?*

– Widziałeś? Spójrz na odpowiedź, którą wysłałem mu na Rodos. – Z wściekłością szukał czegoś pod poduszką. – Z niego jest poeta, a ze mnie co? Też umiem składać rymy, paszo.

W końcu odczytał wiersz zapisany na znalezionym przez siebie rulonie:

To mnie od wieków przeznaczono władać.

Czemu przed losem nie pochylisz głowy?

Jeśli na hadźdzu oczyściłeś serce,

skąd ta tęsknota do świata połowy?

Bajazyd uniósł głowę i spojrzał na paszę.

– I co, dobrze mu powiedziałem?

– Genialnie. Utrafiłeś w sedno, mój panie – wymamrotał nieskładnie Davud Pasza, ale Bajazyd nawet go nie słuchał.

– Przecież w końcu to mój brat, niech będzie, złożę mu ostatnią ofertę, powiedziałem i tym razem kazałem Ishakowi Paszy wysłać wiadomość: „Damy milion akcze^[74]. Chan Bajazyd zrezygnuje z Porządku Świata, a ty z roszczeń do tronu”. – Wziął kolejny pergamin i wyciągnął do nadal klęczącego Davuda. Mężczyzna chciał wziąć list, jednak Bajazyd się rozmyślił. Otworzył go i sam przeczytał. – Słuchaj: *Jeśli to ty dajesz słowo, wiedz, że je poważamy. Jeśli jednak za przysięgą stoi Bajazyd, nie ma ona dla mnie najmniejszej wartości.* Słyszałeś, paszo? Mój brat ufa słowu Ishaka, ale mojemu już nie. Dawno temu podjęliśmy starania, żeby rozwiązać sprawę. Teraz pytam cię: co jeszcze możemy zrobić?

Gdy zauważył, że mężczyzna naprzeciwno jest bliski omdlenia ze strachu, podszedł do okna, usiadł na sofie i przybrał poprzednią pozycję. Podciągnął kolano pod brodę i złapał tespih z bursztynu. Wypuścił pierwszy paciorek.

Pyk.

– Teraz odejdz, paszo. Przynies mi rozwiązanie, dzięki któremu mój brat już nigdy więcej nie postawi stopy na naszej ziemi, a odbiorę pieczęć Ishakowi i uczynię cię wielkim wezyrem.

Davud na kolanach przypadł do sułtana.

– Mój władco, mój panie.

Złapał skraj spływającej z sofy szaty Bajazyda, ucałował go i przycisnął do czoła.

Padyszach, obserwując, jak mężczyzna wycofuje się tyłem, spytał, jakby nagle przyszło mu to do głowy:

– Jak się miewa Gedik Pasza?

Nie dał jednak mężczyźnie szansy na odpowiedź i ruchem ręki nakazał mu odejść.

[72] Bostandży – członek pomocniczej służby pałacowej.

[73] Sadrazam – inaczej: wielki wezyr.

[74] Akcze – w Imperium Osmańskim drobna srebrna moneta.

*Rodos, Pałac Wielkich Mistrzów**Noc z 1 na 2 sierpnia 1482*

Sułtan Dżem wpadł w zachwyt, gdy wraz z wielkim mistrzem Pierre'em d'Aubussonem wkroczył do oświetlonego pochodniami ogrodu.

Setki rycerzy ustawiły się w dwa szeregi. Ich zbroje płonęły gwałtownie w migotliwym tańcu żagwi i umieszczonych na drzewach ogromnych świeczników. Wszyscy wyjęli miecze, które uniesione w górę stykały się ponad ich głowami.

Joannita umieścił go po swojej prawej stronie. Razem szli tunelem pod ostrzami. Gdy rycerze zaczęli obijać miecze jeden o drugi, stał podjęła przejmującą pieśń. Jakiś głos zaanonsował najpierw jego, a później d'Aubussona. Z ogrodu popłynęła fala oklasków i wiwatów.

Dżem jako pierwszy wyszedł spod ostrzy, natomiast kawaler d'Aubusson, choć ciągle mu towarzyszył, został nieco z tyłu. To był pokaz, którego każdy szczegół dopracowano, by uszczęśliwić, zwieść i oczarować przybysza, jednak Dżem nie był w nastroju, aby o tym myśleć. Z pełną uwagą wpatrywał się w składający przed nim ukłony tłum. Były to najpiękniejsze kobiety, jakie dotychczas widział... Poza tym... Poza tym... Przez chwilę nie wiedział, jak się zachować... A może nie wypadało mu patrzeć? Były niemalże nagie... Miały głębokie dekolty, a ponieważ stanęły przed nim w pokłonie...

Podczas gdy sułtan Dżem usiłował zdusić powstające w nim wrzenie, wielki mistrz odezwał się z wolna:

– Chodźmy dalej.

W miarę jak szli, tłum rozpiezchał się na dwie strony. Kobiety we wspaniałych sukniach dygały, gdy je mijali, a później szeptem wymieniały uwagi.

Dżem wiedział, że wygląda świetnie. Nie miał wątpliwości, że wszystkie kobiety są nim oczarowane. W szykownym stroju, ze swoimi podkreconymi wąsami, opaloną skórą, czarnymi oczami patrzącymi spod zakrzywionych na podobieństwo łuków brwi z pewnością olśniewał wzrok.

Ustawione w kształt litery U stoły biesiadne jaśniały w blasku grubych świec

osadzonych na złotych kandelabrach i rozmieszczonych dokoła pochodni.

Wielki mistrz nagle się zatrzymał.

– Wasza Wysokość – powiedział – jeśli pozwolisz, przedstawię ci przywódcę Collachium, Nikolausa.

Stanęli przed mężczyzną o ogromnym brzuchu.

I...

Nikolaus uklonił się Dżemowi z najserdeczniejszym uśmiechem, ale ten nawet go nie zauważył. Nie mógł oderwać wzroku od stojącej u jego boku dziewczyny, oczekującej na prezentację.

Był urzeczony.

Rycerz nie miał wątpliwości, że ta wojna będzie wygrana, mimo to spojrzął na Dżema kątem oka. „Tak” – zachichotał w duchu. – „Forteca padła”.

Postąpił krok w stronę dziewczyny.

– Mój panie – powiedział – ta młoda dama to córka Nikolausa, Helena.

Dygnęła. Dżem wbił wzrok w ziemię, aby nikt nie dostrzegł, że jego oczy błędzą po odkrytych ramionach, szyi i piersiach tej wspaniałej piękności.

– Helena. Czy i ty jesteś Trojanką, pani?

– Nie. – Miała głęboki, zachrypnięty głos. – Pochodzę z Rodos.

Dżem poczuł, że drży. Jakże łatwo głos ten wzbudzał pożądanie.

– A więc Helena rodyjska – uśmiechnął się. – Mógłbym przysiąc, że jesteś piękniejsza od trojańskiej, pani.

Helena ukloniła się z uśmiechem.

– Wasza Wysokość jest bardzo szczodry w komplementach. Gdyby nie twój wiek, panie, można by pomyśleć, że widziałeś Helenę trojańską osobiście.

Wielkiego mistrza i Nikolausa nagle zmroziło. „Co ta dziewczyna wyprawia” – mruknął w myślach d’Aubusson. Ze strachu, że przez nietaktowną odpowiedź Heleny

cały plan może spalić na panewce, gwałtownie się wtrącił.

– Najjaśniejszy sułtanie, pokazałeś, że jesteś nie tylko odważny i mądry, ale i zalotny z ciebie poeta... Będziecie mogli we dwoje rozwinąć ten temat podczas uczyty.

– Uczyty?

– Owszem. Helena będzie wam towarzyszyć.

Towarzyszyć? Dżem nagle spanikował. „Niech to szlag” – zaklął w myślach. Nie wiedział, co ma zrobić ani jak się zachować.

Dziewczyna była bardzo piękna. I skąpo odziana.

Wśród Osmanów byłoby nie do pomyślenia, aby jakaś kobieta w takim stroju przechadzała się pośród mężczyzn. On zaś nie był przyzwyczajony do towarzystwa tak cudownego stworzenia. Szczególnie w takim negliżu. O czym mogli rozmawiać? Co robić? Co miał zjeść, a czego nie brać do ust? Walczył z całą masą niewiadomych, a tu jeszcze ta... Ta...

„Boże litościwy” – pomyślał. Nic gorszego nie mogło się już przydarzyć.

Ale się przydarzyło.

Helena naraz wyciągnęła do niego rękę. Co miał uczynić? Chwycić ją? Dżem dotknął opuszkami palców dłoni dziewczyny. Modlił się, by nie zauważyła jego drżenia. Na całe szczęście mistrzowskim ruchem uwolniła rękę od palców mężczyzny. Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy, i położyła swoją dłoń na dłoni Dżema.

Kątem oka rozejrzał się wokół. Dłonie wszystkich kobiet przykrywały dłonie mężczyzn u ich boków.

„Pierwsza lekcja” – stwierdził. – „Zobaczmy, jaki wstyd czeka na mnie przy stole”.

Przechodzący obok nich ludzie pozdrawiali ich. Piękna, nie, oszałamiająco piękna dziewczyna, a u jej boku tajemniczy, egzotyczny, osmański mężczyzna. Przystojny. Elegancja będąca dziełem Ferimah. Dżem nagle poczuł, że się rozluźnia.

Dziewczyna mogła uchodzić za nimfę. Ale on był przecież sułtanem.

„Uspokój się” – rozkazał sobie. – „Jesteś tutaj gościem, to nie oni mają dostosować się do twoich zwyczajów, tylko ty do ich. Smakuj życie i baw się dobrze”.

Jego honorowe miejsce znajdowało się na samym środku stołu. Pachołkowie podbiegli i przysunęli mu krzesło z wysokimi oparciami. Wielki mistrz rycerzy św. Jana Pierre d'Aubusson usiadł po jego prawej, Helena zaś po lewej stronie. Widziany przez niego na przystani człowiek w czerwonej szacie zajął kolejne krzesło obok kawalera. Dopóki nie usiedli na swoich miejscach, wszyscy zaproszeni stali.

Słudzy nalali wina do kielichów.

„Rodyjskie wino” – powiedział w myślach Dżem. – „Czy nie ma rodyjskiej wody?”

Zdławił chichot.

Pomylił się. Obecność dziewczyny wcale mu nie przeszkadzała. Wręcz przeciwnie, z każdą mijającą minutą czuł się coraz weselszy, mimo że oczy wszystkich obecnych były zwrócone na niego.

Ta beztroska nie trwała jednak długo. Wielki mistrz wstał bez ostrzeżenia. W ręce trzymał kielich z winem, w który uderzył małą łyżeczką. Kryształ zadźwięczał.

Zgromadzeni zamilkli, a słudzy stanęli w bezruchu.

– Wasza Wysokość – powiedział d'Aubusson, uśmiechając się do Dżema – jesteśmy wdzięczni, że zechciałeś zaszczyścić naszą wyspę i tę ucztę swoją obecnością – tu odwrócił się do zebranych. – Moi przyjaciele, kawalerowie – ciągnął – żołnierze Jezusa Chrystusa! Dziś w nocy jestem niezmiernie szczęśliwy, ponieważ... – odczekał chwilę, aby stworzyć napięcie – ponieważ Rycerze Szpitalnicy wraz z Jego Wysokością sułtanem Dżemem postanowili razem ruszyć ku wielkiemu zwycięstwu. Niech każdy usłyszy radosną nowinę, że oto rycerze św. Jana i sułtan Dżem zdecydowali, aby wspólnie zmienić historię. Od dziś zaczynamy ramię w ramię budować nowy świat.

Rozległa się burza oklasków.

Wielki mistrz uniósł kielich w stronę Dżema. Tłum kobiet i mężczyzn za stołami także poderwał się na nogi.

– Wielki osmański sułtanie, Wasza Wysokość sułtanie Dżemie, wznoszę kielich na twoją cześć. Oby ziściły się wszystkie twoje zamierzenia.

– Amen – zakrzyknęli zebrani. – Niech się ziści!

Dżem poczuł, że włosy stanęły mu dęba, a jednocześnie ogarnęła go panika. Co powinien teraz zrobić?

Na pomoc ruszyła mu rodyjska Helena, wkładając mu w dłoń kielich.

– Nie piję wina.

– Ale proszę.

Dziewczyna utkwiała w nim zamglony wzrok. Dżem był bliski utraty zmysłów.

– Jestem muzułmaninem – rzekł ostatnim wysiłkiem. – Wino jest zakazane. Ponadto jestem... – Miał powiedzieć „hadżim”, nie był jednak w stanie. Helena zbliżyła się i nachyliła ku niemu.

Dżem zauważył, że od zapachu dziewczyny, całego jej piękna i widoku bijących go po oczach piersi kręci mu się w głowie.

– Ale ja tak proszę...

Wszyscy stali. Kielichy zawisły w powietrzu. Wielki mistrz, nadal się uśmiechając, bezustannie nachylał ku niemu swoje naczynie. Musiał w końcu coś zrobić. Gdyby tylko miał pusty kielich, to właśnie by go podniósł. Ale nie miał.

Helena wzięła dłoń Dżema pomiędzy swoje, jak gdyby pomagała mu trzymać puchar.

– No, dalej – uśmiechając się, szepnęła do niego głębokim, przyprawiającym o szaleństwo głosem. – Zrób to dla mnie, mój panie. Za Helenę rodyjską.

Nie mógł odmówić. Czy księżę Troi Parys potrafiłby oprzeć się spojrzeniom pięknej Heleny? Jej rodyjska imienniczka była jeszcze bardziej zniewalająca.

Wstał nagle i uniósł kielich w kierunku d’Aubussona.

– Ja również – powiedział głośno – wznoszę kielich na cześć rycerzy. Za naszą przyszlą przyjaźń!

*

Dżem zaczął się w końcu zastanawiać, jaki będzie finał tej nocy.

Gdy wychylił czwarty podany przez Helenę kielich, zauważył, że zaczyna mu się plątać język. Nie mógł sobie przypomnieć, ile jeszcze rodyjskiego wina wypił. Ale czuł

się dobrze. Jak naostrzony miecz.

Przez całą noc z uśmiechem obserwował urządzone dla niego przeróżne pokazy i skoczne tańce, którym towarzyszyła żwawa muzyka. Zapasy dwóch rycerzy mocno podekscytowały obecnych. Gdy Dżem stwierdził, że jeden z nich jest wspaniałym zawodnikiem, rozległy się brawa. Zdecydowano, że któryś z rodyjskich rycerzy powinien walczyć z zapaśnikiem Dżema. Ten był pewien, że Szaleniec z Kırkpınar, Kadir Aga, swoim potężnym chwytem na szyję powali na łopatki nie tylko tych dwóch słabeuszy, ale co do jednego wszystkich rycerzy.

Zastanawiał się tylko, co zrobi, gdy wstaną od stołu z Heleną. W głębi serca pragnął, aby rycerze zaplanowali zakończenie tej nocy wedle jego marzeń. Pożądanie objęło całe jego jestestwo. Nie zdawał sobie sprawy, jak patrzy na dziewczynę, ale widział, z jaką ochotą ona sama pożera go wzrokiem. Nozdrza drgały jej w uniesieniu. Pod wpływem wina oczy oblekła jej mgła, co nadało im jeszcze bardziej czarowny wyraz. Dżemowi zdawało się, że ma pełniejsze usta. „Tak” – stwierdził. – „Noc powinna zakończyć się tym, czego pragnę”.

Czekało go jednak rozczarowanie.

Brzuchaty Nikolaus wstał z za stołu i nastrój prysł.

– Jaka szkoda, że jest tak późno – powiedział z szerokim uśmiechem mężczyzna przy pożegnaniu. – Jeśli Wasza Wysokość pozwoli, wraz z rodyjską Heleną musimy się oddalić.

Dżem nie wiedział, co powiedzieć, ale Helena już wstała i posłała mężczyźnie ostatnie rozmarzone spojrzenie. I poszli.

Poczuł się opuszczony. Kręciło mu się w głowie. Czyżby to był koniec zabawy?

Spojrzał przed siebie. Nawet przezierający z za liści wysokich palm pałac w poblasku gasnących po kolei pochodni wydał mu się nagle zagadkowy, upiorny i ponury.

Gdyby nie zielone gałęzie drzew, Dżem mógłby zauważyć, że z jednego z okien przygląda mu się jakiś cień.

Nie zobaczył jednak Ferimah, choć ta stała w jednym miejscu od wielu godzin, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Płomienistego Księcia.

*

Gdy Dżem chwiejnie wstał z krzesła, Ferimah cała aż zadrżała z troski.

Upadnie!

Ale nie upadł. D'Aubusson rozmawiał obok z kilkoma osobami, po czym w towarzystwie któregoś rycerza zniknął pośród drzew.

Ferimah zaczęła wyczekiwać pod drzwiami.

Minęła dłuższa chwila i usłyszała dźwięki kroków.

„Idzie” – pomyślała.

Ucieszyła się, że mimo ogromnej ilości wypitego wina Dżem nadal jest w stanie wspiąć się po tych niekończących się schodach.

Odgłosy obutych stóp nasiliły się.

Był coraz bliżej.

Stuk... i nagle zatrzymał się przed drzwiami.

Ferimah wstrzymała oddech z podekscytowania.

„Boże litościwy” – pomyślała. – „A gdyby tak...”

W jednej chwili poczuła przemożną chęć, by otworzyć drzwi, wyskoczyć na zewnątrz i rzucić się w ramiona Płomienistego Księcia.

Nie musiałyby już trzymać się na uwięzi. Mogłaby mu wszystko opowiedzieć. Wyznać każdy sekret. Może wszystko by się zmieniło...

Właśnie stał przed jej drzwiami.

Dzieliły ich tylko drewniane drzwi. I tyle. Tylko jedne drewniane drzwi.

„Dżem” – wyszeptała w myślach z dziką radością – „mój Płomienisty Książę...”

Jej ręka powędrowała w kierunku klamki.

Nagle stało się coś strasznego. Dżem ruszył z miejsca.

Ferimah sparaliżowało.

Kroki się oddalały. Odchodził. Dźwięki stóp ucichły.

„Zatrzymał się” – pomyślała. – „Nie idzie, zatrzymał się”.

A może wróci? Przecież i jego rozsadzały emocje. Wahał się. Zaraz do niej wróci. Tym razem ona nie pozwoli czekać swojemu księciu.

Ferimah obróciła klamkę i lekko uchyliła drzwi.

Nagle zgrzytnęły inne.

Tuż obok znajdował się pokój najmłodszej spośród podarowanych Dżemowi przez sułtana Kajytbaja niewolnic, Dalili. To jej drzwi zadźwięczały.

Dało się słyszeć rozespany, wypełniony strachem cienki głosik:

– Kto tam?

– Ciii. Nie bój się, to ja.

Drzwi znowu zaskrzypiały, by za chwilę się zamknąć.

Płomienisty Książę, zaklinający się, że na nic mu harem, w końcu poniósł klęskę.

Ferimah bezgłośnie zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Wpadające przez okno tajemnicze światło nocy roziskrzyło deszcz gwiazd w jej oczach.

Na Rodos nic nie pozwalało, by Dżem pogрузił się w błogim lenistwie. Ani cięża Dalili, ani zawody w pałacowych ogrodach, ani wyczyny Szaleńca Kırkpınara, Kadira Agi, który podczas zapasów w jednym momencie powalał na ziemię dwóch rycerzy, złapawszy ich pod ramię za głowy, ani słodki język rodyjskiej Heleny.

Nie zauważał nawet, że z każdym mijającym dniem Ferimah coraz bardziej zapada się w sobie i marnieje. Od kiedy trafiła na wyspę, dziewczyna z nikim nie rozmawiała, o ile nie była do tego zmuszona. Nawet z nim. Z początku Dżem złożył to na karb nieznajomości języka, którym posługiwano się na Rodos. Skoro tak, to dlaczego z nim też była w stanie zamienić tylko kilka słów?

– Czy wieczorem znowu jest uczta, panie?

– Czy zechciałbyś, aby tym razem towarzyszyła ci Dalila, panie?

– Czemu jesteś taki posępny, czy coś cię zasmuciło, panie?

– Czy przyszła jakaś wieść z Kairu?

On też odpowiadał na jej pytania zdawkowo.

– Nie.

– Nie wiem.

– Nie przyszła.

Czy na coś się obraziła? A może czymś ją rozgniewał? Czy mogło chodzić o Helenę albo Dalilę?

Nie wiedział. Właściwie nie chciał wiedzieć. Miał w głowie mętlik. Od ilu to miesięcy przebywał na Rodos, podczas gdy jego sprawy stały w miejscu? Jakby wyspa stanowiła wydarty ze świata, zupełnie inny wymiar. Różniło się tu powietrze, woda, kolory, zapachy, a nawet kobiety.

Każdego dnia spotykał się z wielkim mistrzem rycerzy, Pierre'em d'Aubussonem, a ten po kolei czytał mu każdy z listów, które napisał do papieża i chrześcijańskich królów.

Jego zdaniem wśród wypełnionych po brzegi stronic tylko jeden fragment zawierał mowę, która nie byłaby trawą:

Jego Wysokość Sultan Dżem, prawowity spadkobierca zajętego przez uzurpatora tronu osmańskiego, przebywa na Rodos jako honorowy gość Rycerzy Szpitalników. Najjaśniejszy sultan razem z nami czyni starania mające na celu zbudowanie rzeczywistego i trwałego pokoju. Jesteśmy całkowicie przekonani, że Wasza Królewska Mość wesprze nasze zamierzenia.

Długo walczył, by ostatecznie zdanie przyjęło taką formę i w napisanym przez d'Aubussona tekście wyrażona została pewność Dżema co do królewskiego poparcia.

– W żadnym wypadku. Nie przyjmuję tego.

Wielki mistrz się zdziwił.

– Nie? Dlaczego? Czyżbyś nie chciał ich wsparcia, panie?

– Do czego to doszło, żeby królowie mieli wspierać Osmanów. Nawet na wygnaniu nie życzymy sobie pomocy ani aprobaty.

– Ale... Życzysz sobie, panie, musisz...

– Nie – powiedział Dżem, uderzając palcem w pierś mężczyzny. – Trzeba to tak ubrać w słowa, aby czytający list myślał, że prośba pochodzi od was.

W końcu d'Aubusson napisał fragment według wskazówek Dżema. Sultan bezustannie walczył piórem, a później aż do nadejścia odpowiedzi przez całe tygodnie nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Gdy tylko przychodziła wiadomość, Pierre d'Aubusson lotem błyskawicy zjawiał się u boku Dżema.

– Wasza Wysokość, możemy świętować. Przyszedł list od króla Francji.

– Odpowiedź władców Kastylii i Aragonii, królowej Izabeli i króla Ferdynanda, przed chwilą trafiła w moje ręce.

Dżem nie popadał już w ekscytację, zastanawiając się, co odpowiedzieli. Wiedział bowiem doskonale, co napiszą.

Bracie Rycerzu, prosimy o przekazanie Jego Wysokości Sultanowi Dżemowi najgłębszych wyrazów uznania dla jego planów stworzenia wiecznotrwałego pokoju.

Najgłębsze wyrazy uznania!

Nie czekał na uznanie, tylko na wsparcie. Potrzebował żołnierzy, broni i pieniędzy! Statków, które zabrałyby go do Rumelii.

Dżem powtarzał joannicie, że jak tylko się tam dostanie, sam załatwi resztę. Dotrze na serbskie ziemie, stworzy armię i zdobędzie Sztambuł.

Miał tak jak jego ojciec zostać zdobywcą miasta. Ale spośród listów królewskich nie dało się wyczytać żadnej nadziei czy nawet wzmianki dotyczącej tego tematu.

Wielki mistrz znowu rzucał się z piórem na papier, by później odczytywać to, co napisał:

Jego Wysokość Sultana uznaje za dogodnie zaatakować jego brata uzurpatora z terenów bałkańskich. Naszym zdaniem również byłoby to właściwe, jednakże na potrzeby wojny konieczne jest zapewnienie tego, tego i tamtego...

A potem od nowa zaczynała się męka oczekiwania. Nadchodzące wiadomości niewiele się jednak różniły od poprzednich.

Czcigodny Wielki Mistrzu, pragniemy powiadomić, że uznajemy plany Jego Wysokości Sultana Dżema za pokrzepiające i jesteśmy przekonani o jego sukcesie.

Nie był się w stanie powstrzymać i krzyczał na wielkiego mistrza:

– Kretyni, idioci, wszyscy co do jednego, kawalerze! Są ślepi. Bajazyd nigdy się nie domyśli, że mogę go zaatakować od zachodu. Lud Rumelii wesprze mnie, a nie jego.

„Co mam robić?” – myślał d’Aubusson, słuchając Osmanina. – „Na więcej kłamstw mnie nie stać”.

Nikom nie wysyłał czytanych Dżemowi listów, których zdania ten poprawiał słowo po słowie. Pierre d’Aubusson wymienił korespondencję z papieżem i królami, zanim przybysz w ogóle trafił na wyspę.

Jeśli uda nam się sprowadzić syna Wielkiego Turka na Rodos, zyskamy niesamowitą okazję, by poprowadzić chrześcijaństwo ku zwycięstwu. Sprawię, że zgodzi się do nas dołączyć, nie mam co do tego żadnych wątpliwości, bo potrzebne jest mu nasze wsparcie. Popierając go, możemy wciągnąć Osmanów w wojnę domową. Wojsko krzyżowców bezpowrotnie wyrzuci półksiężyc z naszych ziem. Kawalerowie Szpitalnicy wierzą we wsparcie Waszych Królewskich Mości dla tego błogosławionego zamiaru.

Wiadomości, które doprowadzały Dżema do szaleństwa, również nie były prawdziwymi listami władców, ale zmyślonymi odpowiedziami na niewysłane przez d'Aubussona fałszywki.

W rzeczywistości otrzymywana przez niego już wcześniej rzeczywista korespondencja wypełniona była mniej więcej takimi samymi frazesami. Były to informacje, które wywoływały u Pierre'a d'Aubussona ogromny zawód. Ze wszystkich ust dobiegał ten sam głos – każdy chciał, aby to jemu przekazano Dżema.

Król Francji Ludwik XI wraz z władcą Neapolu Ferdynandem mówili „natychmiast”:

Niebezpiecznym jest, aby Dżem przebywał na wyspie znajdującej się tak blisko ziem Osmanów. Możemy ponieść klęskę dokładnie w chwili, w której go przechwyciliśmy. W każdym momencie grozi wam atak, którego nie będziecie w stanie odeprzeć. Poza tym mogą go porwać i zabić, a wtedy twoje plany staną się bezwartościowe. Chrześcijaństwo straci historyczną szansę. Wyślij go tu natychmiast.

Królowa Kastylii Izabela przynajmniej wyprawiła posła, który przekazał, że „w razie potrzeby zapewni wsparcie morskie”.

Z kolei król Sycylii Ferdynand Katolicki, zupełnie jakby miał własną armię i wpływy, poinformował Pierre'a d'Aubussona, że gdy nadejdzie czas, stanie u jego boku.

Nie było jednak listu bardziej zaskakującego niż ten, który wysłał papież. Po całych stronach modlitw i cytatów z Ewangelii, Sykstus IV przechodził wreszcie do rzeczy:

Ochrzcij go, niech się stanie katolikiem, d'Aubusson. Niech dostąpi stanu błogosławionych. Jeśli Ci się powiedzie, historia zapisze w swoich annałach zwycięstwo krzyżowców, jakiego świat jeszcze nie widział, a Kościół Cię wyświęci i będzie odprawiał msze na Twoją cześć.

Jakie były na to szanse? Jak mógł to zaproponować sułtanowi?

Gdy tylko kardynał Georgeos Dimitrius usłyszał zalecenia papieża Sykstusa, o mało nie zemdlął z wrażenia. „Oto prawdziwy wierzący” – mówił do siebie w myślach. Gdy rycerz czytał list Ojca Świętego, duchowny przypomniał sobie dzień, w którym czekali na Dżema. „A teraz patrz” – grzmiał bezgłośnie. – „Śmiałeś się, gdy mówiłem, że marzę o tym, by niewierny stał się chrześcijaninem, choć była to tylko pewna idea. I co? Jego Świątobliwość myśli tak samo jak ja”.

Kiedy wielki mistrz stwierdził: „To się nigdy nie uda”, Dimitrius odparł:

– Są pewne szanse. Postraszmy go trochę, d'Aubusson.

– Mam mu grozić, ojczy? Czym?

– Wszystkim. Na przykład skończmy z jego królewskim życiem. Wyrzucmy go z apartamentów, niech sobie mieszka gdzieś na tyłach pałacu. Może w którejś z wież? Niech się poczuje trochę jak więzień, a nie jak gość. Wtedy zobaczymy. Głupi nie jest. Zrozumie, że dla jego własnego dobra tak będzie najlepiej.

Kawaler d'Aubusson miał tego wieczora poruszyć ów temat z Dżemem.

Być może rodyjska Helena też byłaby w stanie coś zdziałać.

Zdawał sobie sprawę, że sułtan Dżem usycha dla tej kobiety z pożądania, lecz dotychczas do niczego między nimi nie doszło. Może tej nocy Helena byłaby w stanie wywołać burzę namiętności i wyszeptać mu do ucha boskie posłannictwo:

– Proszę, mój panie... Dla Heleny. Za miłość rodyjskiej Heleny.

Ale wydarzyło się coś takiego, że nawet gdyby wysłał ją kompletnie nagą do apartamentów Osmanina, na nic by się to nie zdało.

*

Dżem niezmiernie się martwił o pozostawionych w Kairze syna i matkę. Jego kobieta także przebywała w pałacu sułtana. Rodzicielka jego potomka. Od kilku miesięcy nie miał wieści o ich losie. Wcześniej dwa razy otrzymał list Çiçek Hatun. W pierwszym pisała do Dżema następująco:

Allah zesłał mojemu synowi księżniczkę. Sułtan Kajytbaj nadał twojej córce imię Gevher Melike.

Oczy Dżema wypełniły się łzami. Miał w końcu także córkę. Podobało mu się też jej imię, choć przez głowę przechodziło mu Tomris albo Gülçiçek^[75]. Jego matka sama mówiła, że pachniała jak róże.

W swoich dwóch listach Çiçek Hatun opowiadała, co słyhać, wyliczała psikusy Oğuz Hana, po czym przechodziła do rzeczy.

Znalazłam wyjście – pisała. – Posłałam kogoś do krewnych z miejsca, z którego pochodzę. W tamtych okolicach aż wrze, synu. Jest pewien bardzo ważny bej, nazywa się Bregorović. I jeszcze jeden, Slobodan. Jeśli możesz tam dotrzeć, znajdź ich. Są gotowi

pójść za tobą. A jeśli użyłam słowa „bej”, to tylko dlatego, że nie mogę powiedzieć „król”.

Dżem upajał się tymi wieściami.

Wszystko było gotowe. Rumelia na niego czekała. A on ugrzęzł na jakiejś wysepce. Naokoło nic tylko morze i morze, a dopóki rycerze nie dawali mu statku, nie miał szans jej opuścić.

Napisał do Çiçek Hatun z pytaniem, gdzie może znaleźć wspomnianych przez nią bejów Bregorovicia i Slobodana. Czekał rozemocjonowany, nie nadchodziła jednak żadna wiadomość. Listy jego matki przepadły jak kamień w wodę.

Był rozdrażniony i czuł, że wkrótce puszczą mu nerwy.

Przy każdym spotkaniu z wielkim mistrzem rzucał żartobliwie:

– Ha, któregoś dnia skała mojej cierpliwości pęknie z ogromnym hukiem.

D'Aubusson, zmęczony już ukrytymi pogroźkami, aby zająć czymś uwagę Dżema i zyskać na czasie, wysłał do pałacu Mameluków kawalera Jeana Philippe'a Descampa, który popłynął do Aleksandrii galera admirała Cezara, stamtąd zaś zamierzał dotrzeć do Kairu i zobaczyć się z matką sułtana Dżema.

Tego ranka statek z kawalerem na pokładzie wrócił na Rodos.

Rycerz zrozumiał, że stało się coś złego, gdy tylko Descamp wszedł do jego pokoju. Było już jednak za późno, bo gdy d'Aubusson zobaczył, że galera zawija do portu, od razu posłał do Dżema sługę z wieścią o powrocie posła z Kairu.

– Co jest? – przywitał go drżącym ze zdenerwowania głosem. – Niedobre wieści?

Descamp pokiwał głową.

– Niedobre, mój panie – Jean Philippe wyciągnął ku niemu zwój. – List od jego matki.

D'Aubusson wziął wiadomość. Podszedł do drzwi i zawołał majordoma.

– Odwołaj ucztę i przekaż Helenie, że sprawę, o której rozmawialiśmy, trzeba przełożyć na inny dzień.

*

Gdy wielki mistrz przyszedł, Dżem siedział w swoim pokoju, a Ferimah przygotowywała stroje na wieczór.

Pierre d'Aubusson bez słowa wyciągnął ku mężczyźnie przyniesiony przez Descampa list od Çiçek Hatun. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Rycerz nie wytrzymał i uciekł wzrokiem w bok. Ferimah pochwyciła jego spojrzenie.

„Boże” – pomyślała. – „Chyba stało się coś złego”.

Dżem podszedł do okna i rozwinął rulon. Rozpoznał pismo matki.

– To od mojej valide – powiedział do Ferimah.

Jego twarz przybrała dziwny wyraz, jakby spodziewał się, że treść listu dogłębnie go zrani. Już od pierwszego wersu wyczuł zapowiedź katastrofy.

Mój drogi, drogi synu. Mój najśladzszy, najukochańszy synu. Dumo mojego pana, chana Mehmeda, mój dzielny synu. Od tak dawna nie pisałam. Wiem, to ogromne przewinienie, ale moja ręka, język i serce nie były w stanie, synu.

Ferimah utkwiała wzrok w Dżemie. Zdało się, jakby jej Płomienisty Książę połykał słowa i litery.

Być może, powołując się na Porządek Świata, można odebrać życie istocie, której dane było zobaczyć dopiero trzy wiosny, ale jak można zmusić rękę, by o tym napisała, synu?

Dżem opuścił wzdłuż boku dłoń, w której trzymał list Çiçek Hatun. Obrócił głowę ku szybie.

Ferimah nie wiedziała, co zawiera wiadomość, ale w powietrzu dało się wyczuć tragedię. Krzyknęła w myślach: „Boże litościwy!”. Natychmiast podbiegła do Dżema.

– Mój panie... – Miała spytać, czy przyszła zła wiadomość, nie była jednak w stanie.

Dało się zauważyć, że wieści są najgorsze z możliwych.

– Czytaj – powiedział Dżem, nie obracając się, by spojrzeć na dziewczynę. Głos mu drżał. – Czytaj dalej.

Dziewczyna wzięła list. Najpierw obrzuciła go wzrokiem, po czym dyskretnie

spojrzała na rycerza. Mężczyzna stał z pochyloną głową.

– Czytaj, Ferimah!

Przeczytała.

– *I choć...*

– To już czytałem. Dalej.

Przeskoczyła zdanie, ale wewnątrz wypełnił jej żar. Zalała się łzami. Z trudem dostrzegła litery poprzez krople zbierające się w kącikach oczu.

Któregoś ranka wzięłam twoją córkę, Gevher, i poszłam do pokoju, który Nada dzieliła z Oğuz Hanem. Chciałam, żeby nakarmiła dziecko. Nie było ich. Spytałam mameluckich służących. „Poszli” – powiedzieli. „Dokąd, na Allaha?” – spytałam cała przerażona. Synu... Synu, mój najdroższy synu. Kiedy na granicach pojawiło się osmańskie wojsko, sultan w sekrecie przekazał nocą Oğuz Hana i jego matkę wysłanemu przez Bajazyda posłowi... Mieli powiedzieć, że zaprowadzą ich do stolicy... Ach, synu...

Ferimah nie mogła czytać dalej. Zamilkła i przełknęła ślinę. Wierzchem dłoni przetarła oczy.

– Czytaj – syknął Dżem. – Czytaj, spal serce tego zdradzieckiego ojca. Niech goreje ciało, dusza i umysł nędznika, który zostawił swojego Oğuz Hana w rękach obcego, bo w głowie była mu tylko władza.

Dziewczyna odetchnęła i wznowiła lekturę.

Oby ich ogień piekielny pochłonął... Kaci na rozkaz twego brata, Bajazyda... pozbawili życia twojego syna, księcia Oğuz Hana, moje dziecko...

Ferimah pomyślała, że zaraz się udusi. Zamilkła, nie mogąc oddychać. Złapała się stołu.

– Czytaj! – Głos Dżema przeciął powietrze niczym miecz.

„Boże” – pomyślała dziewczyna i ostatnim wysiłkiem ciągnęła:

...niech spoczywa w pokoju. Oby Bóg umocnił cię w obcej ziemi... Twoja córka, Gevher, jest ze mną. Dobrze się miewa. Całuje twoje ręce. Znaleźliśmy mamkę, która ją karmi... A teraz, mój synu, ojciec męczennika... Możesz sobie zostać sultanem albo i nie, to zupełnie bez znaczenia... Masz moje błogosławieństwo. Jeśli jednak odejdę z tego świata,

nie zobaczywszy, jak mścisz się na stryju mojego wnuka, który dopiero co opuścił kołyskę, to wiedz, że będę patrzeć na ciebie z góry. I jeśli dołączysz do mnie na Sądzie Ostatecznym, nie wzięwszy pierwej odwetu za Oğuz Hana, bądź przeklęty...

Atak szłochu nie pozwolił Ferimah doczytać reszty.

Zresztą co by więcej wyczytali?

Jakie słowo mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie, jak mogłoby przynieść ukojenie, gdy ich serca płonęły bólem utraty dziecka, zabitego nim jeszcze przeżyło swoją czwartą wiosnę?

W komnacie nie rozlegał się żaden dźwięk poza łkaniem Ferimah.

– A co z jego matką? – Słowa Dżema dochodziły jakby z innego świata. – Czy wielki i szlachetny padyszach zamordował ją razem z moim księciem?!

Ferimah pociągnęła nosem i spróbowała przemknąć wzrokiem po pozostałych wersetach.

– Nie wspomina o niej – tylko tyle była w stanie z siebie wydusić.

Minęła dłuższa chwila, zanim Dżem podszedł do wielkiego mistrza Pierre’a d’Aubussona. Oczy miał zamglone. Zdawało się, jakby jego podkrecone wąsy opadły smętnie, a twarz się zapadła.

– Rycerzu – powiedział złamanym głosem – nie miej nam za złe, ale nie możemy dziś przyjść na ucztę. Jesteśmy w żałobie.

*

Tego dnia po południu z jednej spośród wież Bramy Wielkiego Mistrza wybrzmiały tony, które po raz pierwszy słyszano na Rodos.

Gdy tylko doszły do uszu kardynała Georgeosa Dimitriusa, ten od razu podbiegł do okna i otworzył je na oścież. Pokój wypełnił głęboki i mocny, ale jakże smutny męski głos.

– *Allahuekber... Allahuekber... Allahuekber... Allahuekber!*

Sułtan Dżem stał na szczycie jednej z baszt. Prawą rękę przystawił do ucha, zwrócony był ku morzu, na południowy wschód.

– *Aszhadu ana la ilaha illa'llah...*

To był pierwszy wygłoszony na wyspie ezan^[76].

Garstka ludzi, którzy razem z nim przybyli na wyspę, stała za mężczyzną.

„Co wyprawia ten człowiek” – pomyślał Dimitrius. – „Chce się rzucić na dół, czy co?”

W hysterii wyskoczył na korytarz, krzycząc:

– D'Aubusson! D'Aubusson!

Gdy wbiegł do pokoju rycerza, brakowało mu tchu.

– Dżem zwariował – zakrzyknął. – Musisz coś zrobić, d'Aubusson, bo zaraz rzuci się z wieży!

Joannita zachował spokój. Okno miał otwarte. W jego komnacie głos przybysza rozbrzmiewał o wiele wyraźniej.

– *Aszhadu ana la ilaha illa'llah...*

– Nie – powiedział z wolna wielki mistrz. – Nie bój się. Nie skoczy.

– To po co tam stoi? Co on wyprawia na tej wieży? I co to za piosenka?

– To nie piosenka, Dimitriusie. Raczej rodzaj psalmu. Mówią na to ezan. Jest wezwaniem do modlitwy. W ich wyznaniu...

– Co? Wielki Boże, wybacz nam. Przecież to jeszcze gorzej. W tej chwili rozkażę, żeby zagrały dzwony. Ten dźwięk musi zniknąć z rodyjskiego nieba. Natychmiast.

Ruszył do drzwi.

– Stój – huknął Pierre d'Aubusson za jego plecami. – Zostaw ich w spokoju!

– Ale... Ale czemu?

– Dżem robi to, co zrobiłby każdy ojciec, któremu zabili trzyletniego syna, eminencjo. Żali się Bogu. Pozwól mu na to.

*

Tego samego dnia Dżem późno w nocy wezwał Ferimah.

Jego pokój tonął w niemal całkowitych ciemnościach i nie zauważył, że oczy dziewczyny napuchły od płaczu.

– Zapal świecę – odezwał się łagodnie. – Weź pióro i zapisz, co powiem.

Dziewczyna natychmiast wykonała jego polecenie. Z piórem w ręku wbiła wzrok w Dżema i czekała. Przeszywał ją ból. Zdawało się, że z jej Płomienistego Księcia znowu została tylko kupka popiołu.

– Pisz – szepnął Dżem.

Zaostrzony koniec pióra rozpoczął wędrówkę po pergaminie.

Raduj się, Bajazydzie, niechaj twój czas płynie,

lecz myli się, kto mówi: władztwo nie przeminie.

[75] Gülçiçek (tur.) – kwiat róży.

[76] Ezan – muzułmańskie wezwanie na modlitwę (przyp. red.).

*Rodos**Trzy miesiące później*

– Mój panie... Wielki mistrzu...

Pierre'a d'Aubussona zbudził szept majordoma, który stał u jego wezgłowia.

– Dżem? – wyrzekł panicznie, jeszcze nie otrząsnąwszy się z sennego zamroczenia. – Zrobił sobie coś?

To była pierwsza myśl, która przyszła mu do głowy. Każdego dnia widział, jak Osmanin wspina się na wieżę Bramy Wielkiego Mistrza i wpatruje w morze.

Cierpienie uczyniło go kompletnie innym człowiekiem. Jego oczy stały się puste. Joannita obawiał się, że tak dojmujący ból mógłby go pchnąć do samobójstwa.

– Nie – powiedział majordom. – Przybył poseł wielkiego wezyra sułtana Bajazyda. Chce się natychmiast spotkać.

– O tej godzinie?

– Tak, mój panie. Przekonywałem go, żeby zaczekał do rana, ale...

– Czy ja dobrze słyszę? Powiedziałeś przed chwilą „poseł wielkiego wezyra”?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Osmanin lubi się wywyższać – mruknął d'Aubusson, wstając z łóżka. – Założę się, że to sam padyszach wysłał człowieka, ale udaje, że nie zwraca się do mnie bezpośrednio, ale przez wielkiego wezyra. Chce poniżyć mnie i rycerzy św. Jana.

– Jeśli sobie życzysz, natychmiast go odprawię, panie. Gdybyś rozkazał, mogę nawet...

– Uspokój się – fuknął wielki mistrz. – Nie zaciętrzewiaj się tak od razu. Bajazyd może się unosić, ile mu się żywnie podoba, ale to ja mam kartę przetargową.

Założył swoją kurtę.

– Przechodzimy teraz bardzo krytyczny okres, François – powiedział. – Musimy ostrożnie stawiać każdy krok i postępować według rozumu, a nie zagniewanego serca.

François podał mu miecz i nic nie mówiąc, spojrzął na mężczyznę. Pierre bez słowa sprzeciwu przypasał broń. Majordom wręczył mu również wszystkie jego odznaczenia, a d'Aubusson je przypiął. Nie przejął się też, gdy drugi rycerz założył mu na wierzch stroju kirys i mocno zaciągnął rzemienie.

– Jak ktoś mnie zobaczy, pomyśli, że nie idę przyjmować emisariusza, tylko wybieram się na wojnę, François.

Oczy majordoma błyszczały w na poły ciemnej komnacie.

– Ale masz rację – uraczył mężczyznę wypowiedzią. – Może gdy Bajazyd usłyszy, że wyszedłem na spotkanie jego posłańca w zbroi i przy mieczu, pomyśli, że szykujemy się do walki, i ogarną go wątpliwości.

Gdy wszedł do sali audiencyjnej, osmański emisariusz już na niego czekał. Połowa jego twarzy niknęła pod brodą i wąsami, a jako że drugą zakrywał turban i krzaczaste, poskręcane, czarne brwi, widoczne były jedynie spory nos oraz para niepokojących oczu.

Wielki mistrz powitał go jedynie lekkim skinieniem głowy. Następnie podszedł do swojego fotela, usiadł i przez dłuższą chwilę mruczał coś do swojego majordoma, jakby opowiadał mu o niezmiernie ważnej sprawie. Niektóre słowa mówił specjalnie głośno, aby dotarły do uszu mężczyzny:

– Wielkie działa.

– Flota papieska.

– Pokłady armatnie.

– Król Francji.

– Pięć tysięcy ludzi? Natychmiast zapewnić zakwaterowanie.

– Doża wenecki.

Poseł udawał, że w ogóle go to nie zajmuje, ale rycerz był pewien, że notuje w głowie każde słowo. Gdy zdecydował, że dość już tego przedstawienia, obrócił głowę i spojrzął na emisariusza, jakby po raz pierwszy dostrzegł jego obecność.

– Czy to ty jesteś wysłannikiem sultana?

– Nie – zabrzmiał grubiańsko. – Jestem posłem jego dostojności sadrazama paszy.

– Czyżby?

Obrócił się ku majordomowi, udając zdenerwowanie.

– Następnym razem słuchaj porządnie. Ten tutaj jest wysłannikiem wezyra, nie sultana. Zamiast mnie budzić, mogłeś sam go przyjąć.

Przyzwyczajony do tego rodzaju gierk majordom wybąkał przeprosiny. D'Aubusson spojrział na posła z góry.

– Co zrobić. Skoro już wstałem, to przynajmniej cię wysłucham. Wezyr...

– Sadrazam – poprawił grubianin. Mężczyzna wyjął zwój z rękawa kaftana i wyciągnął w stronę d'Aubussona.

Kontynuując grę, w jego miejsce przejął go majordom.

– Czytaj, François. Co tam napisano?

Drugi joannita złamał czerwoną pieczęć i otworzył list. Wielki mistrz kątem oka dostrzegł wielki szkarłatny znak u dołu pergaminu.

– *Ja – przeczytał François – jestem Wielkim Davudem Paszą, sadrazamem Przywódcy Wiernych, Władcy Gazich^[77] i Mudżahidów^[78], Głosiciela Szariatu, jego Wiary i Wyznania, Krzewiciela Islamu, Wspomożyciela Muzułmanów, Sultana i Chana Bajazyda.*

„No proszę, proszę” – powiedział w myślach wielki mistrz. – „Tylko patrzcie: taka masa słów, żeby się wydać ważniejszym”.

– Pomiń tę gadaninę – zrugął majordoma głosem ciężkim od znudzenia.

– *Ty – czytał dalej François – jesteś Pierre d'Aubusson.*

To by było na tyle.

„Co oni sobie myślą!” – Rycerz buntował się w środku, ale udało mu się utrzymać nerwy na wodzy.

Powiadam ci: Imperium Osmańskie niezadowolone jest, że w tak bliskiej jego posiadłości forticy znalazł schronienie wichrzyciel. I powiadam też, że niebezpieczne jest dla wojowników św. Jana udzielanie mu opieki. Z tych powodów najkorzystniej będzie dla was, jeżeli buntownik niezwłocznie i bezwarunkowo zostanie wydalony z waszej forticy.

Wielki mistrz oczekiwał pogrózek w tym stylu.

Zdawał sobie sprawę, że sprowadzając Dżema na Rodos, igra z ogniem, i przewidział, że osmański padyszach będzie go próbował zastraszyć.

Nie brał jednak pod uwagę, że cała sprawa tak się wydłuży. Sądził, że Rzym natychmiast przejdzie do działania i nim minie miesiąc, zażąda wysłania sobie Dżema.

Tymczasem papież oczekiwał, że d'Aubusson uczyni z Osmanina chrześcijanina, królowie, także biorąc pod uwagę wielkie niebezpieczeństwo, ścigali się, kto jako pierwszy przejmie jego skarb.

Bajazyd miał rację. To, że Dżem przebywał na Rodos, tak blisko sułtana, było ogromnym zagrożeniem zarówno dla uciekiniera, jak i dla jego dobroczyńców.

Sułtan Mehmed nie ukrywał chęci zdobycia wyspy. Dlaczego jego starszy syn nie miałby wznowić przerwanych w pół drogi działań ojca, aby złapać swojego brata?

Widząc, że jego pan pogrążył się w myślach, majordom przerwał czytanie. Zakaszłał znacząco, aby przypomnieć o swoim istnieniu. Pierre d'Aubusson zreflektował się:

– Ha, a więc to tak – burknął. – Coś jeszcze? Czytaj.

Imperium Osmańskie zdecydowane jest zlikwidować powód swojego niezadowolenia i ma możliwości, aby natychmiast zrealizować to zamierzenie. Jednakże macie ostatnią szansę, żeby bezkonfliktowo rozwiązać problem. Wysłanie wiadomego buntownika do Francji zapewni wam utrzymanie pokoju i w takim wypadku rycerzom każdego roku wypłacana będzie kwota czterdziestu pięciu tysięcy złotych dukatów. Jeżeli jednak zamiast tego mąciciel przejdzie do działania, to wiedźcie, że...

Joannita nie chciał słuchać reszty.

– Dość – powiedział do François ostro. Wiedział, co byłoby dalej:

Wojna!

„I to by było na tyle” – pomyślał rycerz. – „Bajazyd naprawdę boi się Dżema”.

Pokazał to już zresztą, zabijając trzyletniego synka swojego brata. Teraz jednak zwracał wzrok w kierunku Rodos. A Pierre, trzymając Dżema tak blisko sułtana, wsadzał kij w mrowisko.

Wstał, nawet nie spojrzawszy na posła, i skierował się ku drzwiom.

– Odpowiedź!

D’Aubussonowi zdało się, że nagle krew zastygła mu w żyłach. Stał osłupiały. Nie przywykł, żeby ktokolwiek śmiał na niego pokrzykiwać. Był wielkim mistrzem Zakonu Rycerzy Szpitalników. Nikt nie podnosił na niego głosu.

Jego prawa ręka powędrowała w kierunku rękojeści miecza. Rozbrzmiał szczepek stali.

Obrócił się ku wysłannikowi i do połowy wysunął broń z pochwy.

– Odejdź – syknął – i powiedz swojemu padyszachowi, że jeśli nie całkiem wyciągnąłem miecz, to tylko przez wielką wartość, jaką ma dla nas pokój.

– Odpowiedź – powiedział znowu osmański poseł.

– Oto odpowiedź: Rodos nie porzuci pokoju. Aby to udowodnić, z samego rana wyślę emisariusza do mego brata Ludwika, króla Francji. Sułtan zrozumie tę odpowiedź. Idź teraz i przekaż, że tak brzmią nasze słowa.

Pierre d’Aubusson wyszedł, nie dając mężczyźnie okazji, by otworzył usta. Całe jego ciało drżało z gniewu.

– Przyślij do mnie admirała – powiedział majordomowi. – Niech nie zwleka. Oczekuję też ojca Dimitriusa.

Po powrocie do swojej komnaty przez dłuższą chwilę spoglądał przez okno na morze, aby się uspokoić. Dzień powoli wstawał. Nocna czerń fal zaczęła przechodzić w granat, a na wschodzie niebo ozdobił różowy pas.

Przez niedbalstwo Kościoła i królów nie mógł już dłużej czekać.

Rodos znajdowała się w niebezpieczeństwie, a on musiał natychmiast oddalić je od wyspy.

Zabrzmiało pukanie do drzwi.

Do środka wszedł admirał Cezar.

– Bądź gotów, by podnieść kotwicę, admirale.

– Kiedy ruszamy?

– Za kilka godzin.

Admirał wyraził zaskoczenie.

– Za kilka godzin, mój panie? To galera i...

– Rób, co mówię, Cezarze. Weź swój statek i za kilka godzin wyjdź na morze.

– Dokąd płynąć?

– Do portu najbliższej Rzymu.

Admirał stuknął obcasami i wyszedł.

Wykonał pierwszy krok. Musiał dokończyć drugi, zanim pojawi się kardynał Dimitrius. Usiadł za biurkiem, rozwinął przed sobą rolkę pergaminu i zanurzył pióro w atramencie. Miał napisać list, ale nie do króla Francji.

Do Jego Świątobliwości Papieża Sykstusa Czwartego...

*

Kardynał Georgeos Dimitrius czytał list z zamyślonym wyrazem twarzy.

„Co za kretyn” – pomrukiwał w myślach Pierre d’Aubusson. – „Jakby się uczył na pamięć. Skończ już to czytanie!”

Minęła dłuższa chwila i Dimitrius podał mu pergamin.

– Niech zostanie u ciebie – odparł kawaler.

Mężczyzna się zdziwił, ale nie oponował.

– I co o tym sądzisz?

– Dobry.

– To wszystko, co masz do powiedzenia, ojcze?

– Powinieneś był napisać to miesiące temu, d’Aubusson. Wiesz, że ja...

Wszedł kardynałowi w słowo.

– Nie mam czasu, ojcze. Wystarczająco jasny i stanowczy?

– Sądzę, że tak.

– Dżem myśli tylko o wyprawie do Rumelii. Od miesiący zwodzę człowieka, przekonując, że się tam uda. „Niech no tylko odpowiedzą na ten list, poczekamy, co powie na to papież”. Któregoś dnia, tylko po to, żeby rzucić mu piaskiem w oczy, wezwałem nawet Cezara i spytałem, który z portów jest najbliżej terenów zwanych Rumelią. Podobno wybrzeża Wlony są najdogodniejsze. Dżem ma przejść stamtąd do Serbii. Myśli, że lud Bałkanów go wesprze, bo jego matka i rodzicielka jego syna są Serbkami.

– Próżne marzenia.

– Właśnie, ale on w nie wierzy. Nie napisałem o tym w liście, opowiesz wszystko Ojcu Świętemu.

– A co, jeśli Dżem nie zechce udać się do innego miejsca niż ta jego Rumelia?

Wielki mistrz uniósł ramiona.

– Będzie myślał, że trafi do Rumelii.

– Moim zdaniem o tym też powinieneś napisać Jego Świątobliwości.

Pierre d’Aubusson doszedł do wniosku, że nie będzie już tracił więcej czasu. Zapomniał, że Georgeos Dimitrius ma w zwyczaju krytykować każdą jego decyzję. Wstał, a razem z nim kardynał, który ponownie wyciągnął pergamin w jego stronę.

– Zatrzymaj go. To ty zanieśiesz wiadomość Ojcu Świętemu.

Mężczyzna był wyraźnie zszokowany i przez krótką chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Ja? – odezwał się w końcu.

– Tak. Jesteś najwyższą statusem osobą, jaką Rycerze Szpitalnicy mogą wysłać do Ojca Świętego w charakterze posła. Poza tym tylko ty możesz opowiedzieć, jak wielkie grozi nam niebezpieczeństwo. Jak przez głupotę królów – o mało co, a dodałby „i Rzymu” – stoimy na krawędzi przepaści.

– Kiedy wyruszam?

– Natychmiast. Zaraz. Podniesiecie kotwicę, jak tylko admirał skończy przygotowania.

*

Wzrok wielkiego mistrza spoczywał na łódce, która właśnie wypływała z wąskiego gardła portu Mandraki. Kardynał Dimitrius siedział na rufie, kurczowo trzymając ręce po obydwu stronach szalupy. Czterech wioślarzy wiodło go ku kołyszącej się na falach galerze. Niedługo potem dało się słyszeć szczeł łańcucha kotwicznego wyciąganego kabestanem z morza^[79].

Galera z wolna obróciła się ku zachodowi. Opuszczono żagiel na grotmaszcie, a gdy marynarze go umocowali, dołączono także pozostałe.

Gdy tak Pierre d’Aubusson wodził nieobecny wzrokiem za odpływającą galerą, wśród unoszących się w jego umyśle wspomnień pojawiła się nagle twarz.

Był to sułtan Dżem.

Jakby usłyszał pytanie, które tamten zadał podczas pierwszej wizyty w jego komnacie:

„Jaką mam gwarancję, że mnie nie sprzedacie, rycerzu? Mój starszy brat rozdaje złoto na prawo i lewo, żeby się mnie pozbyć. Jaką cenę wyznaczy za mnie Rodos? Ile milionów dukatów wystarczy, żebyście wyparli się tej przyjaźni?”

A później usłyszał własny głos:

„Twoją gwarancją jest słowo Pierre’a d’Aubussona, wielkiego mistrza Rycerzy Szpitalników”.

Joannita spojrział na swoje odbicie w szybie. Na jego twarzy było widać i smutek, i chytry wyraz biegłego w intrygach lisa.

„Cóż mam robić, sułtanie Dżemie?” – powiedział w myślach. – „Tutaj kończy się słowo wielkiego mistrza Rycerzy Szpitalników Pierre’a d’Aubussona”.

[77] Gazi – walczący w imię islamu.

[78] Mudżahid – również walczący w imię islamu.

[79] Kabestan – urządzenie na statkach służące do wybierania bądź luzowania lin.

Nowy Pałac, Galeria Sułtańska

Gdy Wielki Davud Pasza zjawił się na dziedzińcu Galerii Sułtańskiej, wyglądał na spanikowanego. W pośpiechu pokonał schody i zamiatając połamami szaty posadzkę, wszedł przez drzwi, które otworzyło dwóch bostandżych.

„Miejmy nadzieję, że czcigodny padyszach nie każe mi czekać” – przeszło mu przez myśl. Jednak o wiele bardziej niż na wiadomości, którą przynosił, zależało mu na jego własnych życzeniach.

Nowinę przekazał przybyły z Rodos bez zapowiedzi rycerz. Padyszach spytał, co jeszcze mogą zrobić, a Davud, zgodnie z wymyślonym po długich rozważaniach planem, zażądał, by bezbożnicy od św. Jana wyrzucili jego brata z wyspy.

Jeśli plan się powiódł, to dzięki niemu. Była to wspaniała okazja, aby spełniło się jego pragnienie. Po jednej stronie stał wierny sługa państwa, po drugiej zaś współwinny zdrady.

Davud zdecydował, że najwyższy czas doprowadzić do końca tę historię. Sułtan mylił się, jeśli sądził, że Gedik Ahmed Pasza siedzi beczynn timer. Z pewnością sekretnie kontaktował się z Dżemem. Bo po cóż innego odwołany przez Bajazyda z urzędu Ishak Pasza upierał się, żeby wysłać go do Rumelii? Gedik i stary sadrazam bez wątpienia spiskowali z Dżemem. Najwyższy czas to ukrócić. Należało powziąć odpowiednie środki. To było zadanie dla niego.

A jeśli władca zignoruje wiadomość, mówiąc: „Giaurzy i tak robią, co im każemy, niczego więcej nie potrzeba”, to Davuda i tak będzie miał coś jeszcze do powiedzenia.

Kroczył długim korytarzem, rozmawiając ze sobą, jakby stał naprzeciw padyszacha:

– Nie jestem już w stanie dalej dźwigać tego brzemienia na plecach, panie.

– Brzemienia?

– Owszem, mój panie. Przeczucie podpowiada mi, że szykuje się spisek wymierzony w mego sułtana.

Bajazyd na pewno straci nad sobą panowanie.

– Co ty wygadujesz, paszo? Jaki spisek? Kto za nim stoi? Mówże szybko, trzeba natychmiast strącić z karków zdradzieckie głowy.

Za żadne skarby nie wolno mu było podać imion. Jak tylko powie, że to Gedik i Ishak, padyszach pomyśli, że usiłuje pozbyć się rywali. Tak właśnie było, ale Bajazyd nie musiał o tym wiedzieć.

– Współwinni zdrady, mój czcigodny padyszachu. Brama Imperialna aż roi się od pomagierów zbiegłego buntownika. Nie pytaj mnie, kim są, panie. To może być każdy, nawet twój niewolnik. Nie ufam nawet sam sobie, mój chanie. Wszystkich podejrzewam, bo wszędzie widzę cienie i słyszę szepty. Moje serce drży z obawy, że w tym stanie nie będę mógł służyć Waszej Wysokości. Służba Imperium Osmańskiemu będzie kosztowała Davuda życie. Weź pieczęć, a życie zostaw.

„Dobre sobie” – Davud Pasza prychnął w myślach. Co za pompatyczna gadanina. Całą noc rozmyślał, by ułożyć tę wypowiedź, ale wiedział, że nie będzie w stanie powtórzyć ani jednego słowa. Wszyscy sądzili, że Bajazyd przysypia na swojej sofie, ale on wiedział, że to nieprawda. Nawet gdy miał przymknięte oczy, padyszach wszystko obserwował, czytał w ludzkich myślach. I tym razem zrozumie, co chciał przekazać.

Gdy tylko szambelan zobaczył, że Davud nadchodzi, odwrócił się i zniknął za grubą atlasową zasłoną, by przekazać sułtanowi, że wielki wezyr się zjawił.

Nie minęła minuta, a przywitał go zgodnie ze zwyczajem i dopuścił do władcy.

Davud Pasza z rękoma skrzyżowanymi na piersi i głową złożoną na lewym ramieniu zgiął się wpół na progu pomieszczenia.

Choć Bajazyd zdawał sobie sprawę z jego obecności, nie odezwał się, tylko dalej grzechotał swoim tespihem.

Sadrazam mógł tak czekać w nieskończoność. Tak zresztą rozwijała się sytuacja. Usta padyszacha bezustannie się poruszały. „Wygląda na to, że się modli” – zauważył Davud. Odczekał jeszcze chwilę, po czym zakaszła lekko, próbując przypomnieć o swoim istnieniu.

– Przyszła jakaś wiadomość, Davudzie Paszo?

Wielki wezyr wyprostował się pośpiesznie.

– Z Rodos, mój panie.

Stało się to, czego oczekiwał. Padyszach, gdy tylko usłyszał nazwę wyspy,

otworzył oczy i obrócił głowę w jego kierunku.

– Przecież nasz wysłannik przekazał już nowiny od rycerzy, paszo. Masz jakieś nowe?

– Tak, mój panie.

– Czyżby niewierni udawali, że postępują według naszych żądań, a tak naprawdę mają własne plany?

– Przybysz to zaufany człowiek joannity, mój panie. Niejaki Descamp.

– Co takiego powiedział?

– Emisariusz przypomniał, że mój władca obiecał co roku płacić Rodos czterdzieści pięć tysięcy złotych dukatów. Jego pan, wielki rycerz, pyta, kiedy byłaby...

Na policzkach Bajazyda wykwitły czerwone plamy.

– Zuchwalcze! Za kogo się uważasz, że zawracasz mi głowę paplaniną bezbożnika? Nikt cię, prostaku, nie nauczył taktu?

Wielki Davud Pasza wyglądał, jakby miał się zaraz przewrócić.

– Ja... – Nie dopowiedział reszty.

– Ty! – Wściekł się tym razem sułtan. – Rozsiadłeś się i tak po prostu wysłuchałeś człowieka, który powążył się rozliczać z obietnic twojego władcy? A może nie wiedziałeś, jak się wyrzuca posła, który śmie wypytywać o to, kiedy sułtan dotrzyma słowa? – Z wściekłością sapnął kilka razy. – Pewnie nawet nie byłeś w stanie go skarcić? Do czego to doszło, żeby jakiś bezbożnik podważał moją prawdomówność?!

Davud odetchnął płytko. Gniew padyszacha, nawet jeśli tylko w znikomym stopniu, powoli przeniósł się z niego na emisariusza. Wezyr zgiął się w ukłonie.

– Czy tak źle myślisz o swym słudze, panie? Giaur szydzi z mojego padyszacha, a Davud spokojnie słucha? – Jego głos przypominał jęk. – Jeśli tak, to zasługuję na spotkanie z katem. Niech mi dadzą czarny chałat^[80], mój sułtanie.

Karmin na twarzy Bajazyda nieco przybladł, ale sułtan nadal mówił podniesionym głosem.

– Mówże, paszo: jaką odpowiedź dałeś posłowi?

– „Idź, jeśli ci życie miłe” – zgromiłem go od razu. Rzuciłem się na niego i zacząłem bić go listem po głowie. „Powiedz swojemu panu, że człowiek, który chce rozliczać sułtana Imperium Osmańskiego z przyrzeczeń, powinien władać większą od niego potęgą. Co to za siła, która pozwala władcy nie większej od palca wysepki tak zaciekle ujadać? Jeśli padyszach powiedział, że zapłaci, to zapłaci. A kto wie, może jeszcze zobaczycie, jak przybywa na Rodos, by wypełnić testament swego świętej pamięci ojca, sułtana Mehmeda, i osobiście wyrównuje rachunki!”

„Tak!” – pochwalił się w myślach pasza Davud. – „To była niezła przemowa”.

Oczy padyszacha błyszczały.

– Arogancki giaur. Za kogo się uważa? Zamiast dziękować, że nie zburzyłem tego jego zameczku, mimo że dał schronienie mojemu bratu, jeszcze będzie mi wypominał moje własne słowa. Niech pilnuje swoich przyrzeczeń, a wtedy ja... Niedoczekanie...

– Wygląda na to, że dotrzymają słowa, mój panie. Rycerz z Rodos zakończył wszelkie konieczne przygotowania i powysłał listy. Wyrzuca mąciciela z wyspy.

– I o to tak naprawdę chodziło. Zostawiasz ważną wiadomość na koniec, a przekazujesz mi gadaninę, od której krew się w żyłach gotuje. Wstydz się, paszo.

– Błagam o wybaczenie, mój panie. Gdy usłyszałem zniewagi tego posła, z wściekłości zapomniałem, jak należy przemawiać przed obliczem Waszej Dostojskości.

Nadszedł ten moment. Albo teraz poruszy temat, albo do końca swych dni będzie żył w strachu przed Gedikiem Paszą. Oczywiście o ile tamten nie targnie się na jego życie.

– Jest jeszcze jedna kwestia – dodał nagle.

Sułtan Bajazyd już dawno temu nauczył się, że jeśli w pałacu wypowiedź zaczyna się od „jeszcze jednej kwestii”, nigdy nie wróży to nic dobrego.

– Słucham, Davudzie Paszo.

– Tak się zastanawiam, mój panie... Może trzeba powziąć nowe środki ostrożności?

W czujnych oczach Bajazyda odbijały się obawy i wątpliwości.

– Przeciwno czemu?

– Zgodnie z twoim rozkazem, panie, niewierny ma teraz wyrzucić zbuntowanego

księcia. Temu giaurowi Descampowi wyrwało się, że twój brat, sułtanie, skomle, aby go zabrano do Rumelii.

– Do Rumelii?

– Oczywiście Dżem sądzi, że tam popłynie, ale... Wczoraj, gdy rozmyślałem w nocy, do głowy twego niewolnika przyszła...

– No paszo – przerwał mu Bajazyd, wstając z siedziska. – Wyduś to z siebie wreszcie.

– Rumelia cieszy się ostatnio sporym powodzeniem. Nadzwyczaj wzrosło zapotrzebowanie na tamtejsze nominacje, mój władco.

Padyszach zbliżył się do wielkiego wezyra.

– Mówisz o Ishaku, Davudzie?

„Tak” – odparł, tyle że w myślach. Zmrużył oczy.

– Brak mi dokumentu czy dowodu wystarczającego, aby kogokolwiek oskarżyć, ale zadaniem twojego nędznego sługi, panie, jest pilnować, by tve panowanie przebiegało w spokoju i dobrobycie. W danej sytuacji mam prawo się obawiać, że buntownik utrzymuje kontakty z niektórymi spośród nas.

– Mów, o co ci chodzi, Davudzie Paszo.

– Wspólnicy zdrajcy mogą być bliżej, niż sądzimy. Kto by pomyślał, że nawet paszowie, których okrzyknięto zdobywcami, mogą pewnego dnia zwołać łuczników i nie dać rozkazu do wystrzału...

Tym razem twarz Bajazyda z różowej stała się po kolei czerwona, fioletowa, zielona, by w końcu znowu marsowo spurpurowieć.

– Nie jestem pewien co do Ishaka, paszo. W końcu oddaliśmy mu córkę. Jeśliby się poważył na zdradę wobec teścia, znaczyłoby, że życie mu zbrzydło. Jednakże...

„Właśnie” – pomyślał Davud. Po tym „jednakże” na pewno nastąpi wyczekiwany przez niego rozkaz.

– ...jeśli chodzi o Gedika Paszę, to nie mogę mu ufać. Mówi jedno, a robi co innego. Mnie także nie daje spokoju ta sprawa z łucznikami. Każ go natychmiast pochwycić i wtrącić do lochu, sadrazamie paszo. A skoro już... – Gdyby Davud Pasza się nie

powstrzymał, klasnąłby w ręce z radości. Wyglądało na to, że padyszach zaraz zażąda głowy Gedika. – ...Skoro martwisz się o Rumelię – ciągnął Bajazyd, wbijając w niego wzrok – to na co czekasz? Zwołaj armię i ruszaj na wyprawę. Zdobędziesz Bośnię i wrócisz.

Tego się nie spodziewał.

„Nieważne” – pomyślał. – „Gedik skończy w lochu, a tam już każę się nim odpowiednio zająć”.

[80] Chałat (tur. *hilat*) – wykonany z drogocennych tkanin bądź futer kaftan przekazywany przez sułtanów jako nagroda i symbol poddaństwa obdarowanego. Czarny chałat oznaczałby tu z kolei niełaskę.

Gdzieś na Morzu Śródziemnym

Dżem, opierając ręce o reling na lewej burcie rodyjskiej galery, obserwował morze, a konkretnie próbował wypatrzeć przeciwległy brzeg.

„Już niemal ją widzę” – powtarzał w głowie. – „To Rumelia!” Wypełniający żagle szalony wiatr na podobieństwo ptaka wiódł go po falach do celu. Gdzieś tam zaczynała się droga, która miała go doprowadzić do tronu.

Jego włosy były odsłonięte. Już w czasie podróży z Halikarnasu na Rodos nauczył się, że wędrowni po pokładzie w wielkim turbanie na głowie nie należą do najłatwiejszych. Wiatr kilka razy porywał nakrycie głowy, które raz złapała Ferimah, a często posyłał za nim rodyjskich marynarzy. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych scen.

Zresztą w ogóle miał dobry humor, choć zostawił na wyspie swego ogiera Pioruna, kilku wiernych towarzyszy, a przede wszystkim syna. Dalila urodziła mu różowiotkiego bobasa. Od tamtej chwili nie minęło nawet czterdzieści dni. Drugiemu synowi nadał imię Murad, po swoim dziadku.

Wyrecytował ezan do ucha dziecka, po czym powiedział:

– Nadaję ci imię Murad. Chanie Muradzie, życzę ci, abyś był mężny jak twój pradziad, chan chanów Murad, zwycięski jak twój wielki dziad, Mehmed Zdobywca, i tak jak twój ojciec...

Nagle słowa zamarały mu na ustach. Co miał powiedzieć o sobie? Jakich słów miał użyć? „Obyś nie miał pecha, nie trafił na wygnanie i nigdy nie był zmuszony uciekać przez obce kraje?”

Życzył Muradowi długiego życia. Żeby nie przybył na ten świat, by zaraz z niego odejść, tak jak Oğuz Han. W myślach dodał nawet: „Jeśli mi się nie uda, to ty pomścisz swojego brata”.

Kawaler Pierre d'Aubusson powiedział do Dżema:

– Nie ciągnij ich ze sobą.

– Mam porzucić kolejnego księcia, rycerzu?

– Wasza Wysokość, niemowlę jest jeszcze bardzo małe. Niech tu zostanie wraz z matką. Wyślemy go, jak tylko trochę podrośnie. Słowo Rycerzy Szpitalników.

Miał rację. Brać ze sobą Murada znaczyło narazić go na śmierć. Zwiesił bezradnie głowę. Zresztą gdy tylko usłyszał radosną wieść: „Jutro wyruszacie”, nie miał już siły się opierać.

Co by zrobił, gdyby joannita odpowiedział: „Skoro tak, panie, niech twój syn trochę podrośnie i wtedy odejdziecie”.

Musiał czym prędzej wydostać się z tej złotej klatki.

– Gdzie? Dokąd wyruszamy, kawalerze?

– Do upragnionego miejsca Waszej Wysokości. Do Rumelii.

Boże litościwy!

Wreszcie spełniało się jego marzenie. Po tylu cierpieniach, katastrofach i długim oczekiwaniu w końcu ruszał.

„Rumelio, nadchodzę” – z całą mocą krzyczał w myślach. – „Wypatruj mnie”.

Wielki mistrz Pierre d’Aubusson rozejrzał się dookoła i powiedział cichutko:

– Wasza Wysokość... – Jego głos brzmiał tajemniczo. – Jeśli poczujesz, że znalazłeś się w niebezpieczeństwie, otwórz drzwi i wyszeptaj do wartownika te słowa: „Non cantabit gallus”. Zrozumiałeś?

– Co? – zdziwił się Dżem. – „Zanim kogut zapieje”? To jakieś hasło?

Wielki mistrz syknął:

– Ciii. Powoli, zaraz wyjaśnię – zniżył jeszcze głos. – Odpowie ci: „Donec ter me neges”. Potem czekaj. Rycerze Szpitalnicy ruszą ci z pomocą.

Dżem ekscytował się perspektywą wyprawy do Rumelii i zachichotał.

– Ha, zanim kogut zapieje, trzy razy się mnie wyprzesz. Proszę, proszę, co za bezsensowne słowa.

– Mają głębokie znaczenie, Wasza Wysokość. To z Ewangelii. – Zmrużył oczy. – „Odpowiedział Mu Piotr: »Choćby wszyscy zwątpili w Ciebie, ja nigdy nie zwątpię«.

Jezus mu rzekł: »Zaprawdę, powiadam ci: Jeszcze tej nocy, zanim kogut zapieje, trzy razy się Mnie wyprzesz«^[81]». Hasło i odpowiedź pochodzą właśnie z tego fragmentu.

– Skąd będę wiedział, że człowiek, do którego się odezwę, to jeden z was?

Twarz D'Aubussona spochmurniała.

– Rycerze Szpitalnicy są wszędzie, Wasza Wysokość. Od Golgoty w Jerozolimie aż po zakątki świata prawie nieznanie człowiekowi. Wszędzie. Tak było niegdyś, tak jest teraz i będzie aż do końca świata.

Słowa mężczyzny nie zrobiły na Dżemie większego wrażenia. Były to jedynie puste przechwałki, które w duchu wyśmiał. Kolejne piękne kłamstwo.

Uścisnął rękę joannity i oddalił się. Nie było jednak łatwo pożegnać się z synem. Wziął go w ramiona i długo wdychał jego zapach.

– Już niedługo ty też wyruszysz, mój książę – wyszeptał do gaworzącego malca. Musnął wąsami szyję niemowlęcia, które radośnie zakwiliło od łaskotek.

W tamtej chwili przysiągł, że nie zapomni zapachu ani śmiechu Murada. Nawet nie wiedział jeszcze, jaką woń roztaczała Gevher. Może nigdy nie ucałuje swojej córki, nigdy nie poczuje jej zapachu.

Tego samego dnia spośród dziewcząt podarowanych przez Kajytbaja do haremu wyzwolił Szarazad i Ajszę.

Dalila była w szoku i płakała.

– Wy też przyplyniecie – starał się pocieszać młodą matkę, która sama była jeszcze dzieckiem. – Kawaler dał swoje słowo. Gdy tylko Murad trochę podrośnie, wyśle was do mnie.

– A jak złamię obietnicę?

– Wyśle, wyśle. Dał słowo Rycerza Szpitalnika. Ma Boga w sercu. Może i giaur z niego, ale dotychczas spełnił wszystkie swoje przysięgi. Powiedział, że wyśle mnie do Rumelii, patrz właśnie wyruszam.

Swoim ludziom przekazał, że kto zechce, może łatwo wrócić z wyspy w rodzinne strony. Nikt nie miał zamiaru zostać, kiedy jednak okazało się, że nie będzie mógł wziąć ze sobą wszystkich, stanął przed koniecznością wyboru.

– Nareszcie, Bogu niech będą dzięki! – Szaleniec Kırkpınar, Kadir Aga, przywarł do ziemi, gdy tylko usłyszał, że trafia do Rumelii. – Allah wysłuchał mych próśb: idziemy na Rumelię, znaczy, znowu przyjdzie się bić jak mężczyzna, jak za dawnych lat. – Spojrzał na Dżema. – Och, mój sułtanie – dodał – czy ty wiesz, co Szaleniec tutaj przeżywał? Na Boga, drżałem ze strachu, że coś mi pęknie za każdym razem, gdy chwytałem któregoś z tych niewiernych rycerzyków.

Wszyscy zaśmiewali się, słuchając Kadira Agi.

Dżem nie spytał Ferimah, czy zostanie na Rodos, bo wiedział, że tego nie zrobi. Któregoś dnia dowódca gwardzistów, Mustafa Aga, który codziennie przychodził go golić, zbliżył się i odezwał cicho:

– Mój panie, ta dziewczyna, twoja służąca, przygotowała swoje tobołki i mi je dała. Co mam robić?

Nie był w stanie powiedzieć: „To nie jest moja służąca”. Bo jeśli by spytali: „Kim w takim razie jest dla ciebie?”, nie wiedziałby, co odpowiedzieć.

– Ferimah – powiedział tylko jej imię – płynie z nami. Zanieś jej rzeczy na statek, ago.

Rozstanie z bliskimi, których tu musiał zostawić, było trudne, ale konieczne.

Właśnie wypływali z portu. Galera unosiła się na falach.

– Przybywam, Rumelio – wyszeptał.

Niemal widział, jak jego głos szybuje na skrzydłach wiatru do przeciwległego brzegu, a ludzie rozbiegają się dookoła z nowiną: „Sułtan Dżem nadchodzi”.

*

Podszedł do relingu na prawej burcie. Dzień chylił się już ku końcowi, a słońce za jego plecami zniżało się ku morzu. Wzrokiem odszukał wyspę Rodos. Wyglądała jak bardzo odległy, purpurowy pas na powierzchni wody, ale i on miał wkrótce zniknąć.

A razem z nim przeszłość Dżema.

Za to przyszłość czekała w Rumelii.

– Admirale – odezwał się, podchodząc do Cezara. – Jak idzie? Wszystko

w porządku?

Mężczyzna stęzał na chwilę i odpowiedział jednym słowem:

– Tak.

Chciał odejść, ale Dżem zagroził mu drogę.

– Widzisz tamto miejsce? – Palcem wskazał horyzont.

Oczywiście niczego nie było widać.

Admirał pokiwał głową.

– No dalej, dalej – odezwał się radośnie. – Niech pan przyzna, że niczego nie widzi.

– Tak jest w istocie, Wasza Wysokość, nic nie widzę.

– Ale ja widzę. Rumelia... Tam jest Rumelia.

– Ach tak, oczywiście – wymruczał Cezar z powątpiewaniem. – Myślałem, że pokazujesz co innego, panie.

– Przecież nie ma niczego innego – uśmiechnął się. Nawet jego wąsy zdawały się bardziej ożywione. Ich podkreślone końce bezustannie igrały na wietrze. – Kiedy dotrzemy na miejsce?

Admirał Cezar czekał na to pytanie. Dżem zadał je nawet później, niż mężczyzna się spodziewał.

– Nie ma pewności – powiedział dodającym otuchy głosem. – Jesteśmy uzależnieni od wiatru. Wszystko w jego mocy.

– A jeśli utrzymamy obecne tempo, admirale?

– Powiedzmy, że za jakiś tydzień.

„W końcu” – odetchnął Dżem. – „Jeszcze tydzień i wykonam pierwszy krok w przyszłość”.

*

Zjadł kolację w swojej kajucie, a później znowu wyszedł na pokład. Była pełnia. W świetle księżyca odbijającego się pośród morskich ciemności biała piana fal uderzała o przecinający wodę kadłub i wystrzeliwała na obie strony niby kaskada brylantowych drobinek.

Ktoś przed nim wynurzył się z kabiny. Była to Ferimah.

Stała wyprostowana przy relingu i wpatrywała się w gwiazdy oraz księżyc zawieszony na niebie niby złoty talerz.

Czy to powietrze z każdym dniem stawało się coraz chłodniejsze, czy to podmuchy wiatru sprawiały takie wrażenie? Dżem sam już nie wiedział. Dziewczyna skuliła ramiona, jakby zrobiło się jej zimno. Jej włosy powiewały jak szalone.

Choć zbliżał się powoli, Ferimah go nie zauważyła.

Naraz dziki wiatr uniósł jej włosy i rzucił jedwabistą falą wprost na twarz Dżema. Poczuł, jak od tego niesamowitego dotyku i niebiańskiego zapachu kręci mu się w głowie. Ferimah, która podniosła rękę, by je pochwycić, uderzyła w niego i zaskoczona krzyknęła.

– Dżeeem! – Natychmiast się jednak pozbierała. – Mój panie.

Już drugi raz jego imię wymsknęło się z ust dziewczyny. Mógłby przysiąc, że nikt nie wypowiadał go w tak piękny sposób.

– Ferimah – wyszeptał – przestraszyłem cię.

Spojrzała na niego przez ułamek sekundy. „Głuptasie” – pomyślała. – „Nigdy mnie nie wystraszyłeś. I nigdy tego nie zrobisz, to niemożliwe”.

– Nie, wcale nie – powiedziała, obracając się ku niemu. – Nie przestraszyłeś mnie, panie. Po prostu gdy kogoś nagle dotknęłam... Wybacz, proszę.

Od miesiący nie rozmawiali tak długo.

– Mogę cię o coś spytać?

Ferimah się zdziwiła, ale nie spojrzała na niego.

– Nie trzeba prosić o pozwolenie, by zadawać pytania służącym. Nasz pan może pytać, o co chce, mówić i czynić, co mu się podoba.

– Ferimah.

Dziewczyna zwróciła głowę ku gwiazdom, jakby ktoś z nieba szeptał jej imię.

– Jesteś na mnie zła?

– Mój sułtanie...

Dżem zrozumiał, że chciała przez to powiedzieć „nie”.

– Czy powiedziałem coś, co cię zasmuciło?

– Panie nasz...

To najwyraźniej również znaczyło „nie”.

– Czy uraziło cię, że nie chciałem, abyś trafiła na Rodos? Ja tylko...

– Nie – powiedziała tym razem Ferimah.

– Jeśli tak, to dlaczego od miesiący rozmawiasz ze mną tylko półsłówkami? Nie przychodzisz niewzywana, jak robiłaś to dawniej. Co się stało?

– Panie...

– To z mojego powodu? Nie myśl, że nie zauważyłem. Zmieniłaś się po uczie w pałacowym ogrodzie.

Tym razem dziewczyna milczała. Pochyliła głowę i spojrzała na rozbijające się o kadłub okrętu szalone fale.

– Czy to przez Helenę z Rodos?

Ferimah nadal milczała.

– Ale ona tylko... tylko... Jak by to powiedzieć... Nie wydarzyło się nic poza tą uczcią.

„Nie trafiła do mego łóża” jakoś nie przeszło mu przez gardło.

Nie był też w stanie spytać, czy to przez Dalilę. Ile razy już to podejrzewał? „Ale czemu?” – powtarzał ciągle. Co komu do tego, że sułtan sypia ze swoją odaliską?

Zamilkł na dłuższą chwilę. Nie był w stanie zdecydować, czy poruszyć sprawę Dalili, czy nie.

– Zostawiłem tam także Murada. Już za nim tęsknię.

Ferimah pokiwała głową.

– Ja też, mój panie – szepnęła. – Ja też tęsknię.

– Ty zajmujesz inne miejsce w moim sercu. Wiesz o tym.

Dziewczyna się nie odezwała.

– Hej – powiedział Dżem zniecierpliwiony – znowu milczysz? Nie będziesz ze mną rozmawiać, Ferimah?

Obróciła się z wolna. W świetle księżyca twarz Dżema jaśniała promiennie, zupełnie jak tamtego poranka, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Ich spojrzenia się zetknęły. Ferimah w ostatnim momencie powstrzymała kaskadę włosów po raz kolejny porwaną przez wiatr w stronę twarzy Dżema. Zaśmiali się. „Będę” – powiedziała sobie Ferimah. – „Któregoś dnia opowiem ci, co przemilczałam. Wyznam wszystko. Ale jeszcze nie teraz. Na pewno nie teraz”.

– Czego ode mnie oczekujesz, Ferimah? – Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi. – Wiesz, czasem ogarnia mnie wrażenie, że zniknęła gdzieś prawdziwa ty. Jakbyś była innym ciałem i innym duchem. Kim naprawdę jesteś, Feri...

Dłoń dziewczyny nagle się uniosła, zakrywając usta Dżema, powstrzymała jego słowa.

Obydwoje zadrżeli od tego dotyku.

Natychmiast cofnęła rękę i obróciła oczy ku gwiazdom.

„To twoja sprawka” – zrugła w myślach księżyc w pełni – „i wasza” – powiedziała do gwiazd. – „Wasz blask zastawił na mnie pułapkę. Mało brakowało...”

Mało brakowało, a rozdarłaby i odrzuciła zasłonę tajemnic.

Wszystko by upadło.

Gdyby Płomienisty Książę poznał złożoną przez nią przed laty, choć niedotrzymaną obietnicę, od razu by ją znienawidził.

Na pewno by ją wyrzucił. Nie zniosłaby tego.

– Ja – odezwała się łagodnie – jestem szczęśliwa, że mogę trwać u twego boku, panie. Nie szukaj niczego więcej. Jestem Ferimah. Branka z jasyru. Łup wojenny. Służąca, która całym sercem poświęca się twemu zadowoleniu. Pragnę od ciebie tylko jednego, panie. Nie zostawiaj mnie.

Dżem zadrżał.

– Nigdy – powiedział – aż do śmierci.

Ferimah powtórzyła jak echo.

– Aż do śmierci.

Sułtan Dżem się zaśmiał.

– Ale mam jeden warunek.

– Warunek, panie?

– Tak, warunek. Zadam pytanie, a ty na nie odpowiesz. Tylko jedno, ale oczekuję całkowicie szczerzej odpowiedzi.

Ferimah pokiwała głową.

– Ten... waż... Wiesz, kto go tam rzucił?

– To byłam ja.

Dżem nie wyglądał na zaskoczonego.

– I to ty ucięłaś mu głowę, prawda?

– Tak.

– Dobrze, zatem ostatnie pytanie. Kto podrzucił węża do namiotu?

Ferimah zwróciła oczy ku Dżemowi. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Mój pan mnie oszukał – wyrzekła. – Powiedział „jedno pytanie”, a to już trzecie.

Po czym w jednej chwili uniosła głowę ku gwiazdom.

– Ja też mam pytanie. Ta Rumelia, o której mówisz. Gdzie leży? Jaki to kierunek?

Dżem wycelował palec do przodu.

– Północ.

– Jeśli tak, to dlaczego zmierzamy tam, gdzie zachodzi słońce?

^[81] Mt 26,34–35; cytat za: *Biblia Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań2003.

Wrzaski i krzyki Dżema niczego nie zmieniły. Admirał Cezar nie zmienił kursu z zachodu na północ.

– Ty psie niewierny! – krzyknął prosto w twarz mężczyzny. – Co ze słowem, które mi dano? Jeśli powiedziano „Rumelia”, to znaczy, że mamy płynąć do Rumelii.

Admirał wzruszył ramionami. Na jego twarzy nie było już dawnego, pełnego szacunku wyrazu.

– Nie wrzeszcz – syknął, przybliżając się do Dżema – i nie podnoś na mnie więcej głosu, bo nie wypuszczę cię z kajuty aż do końca podróży, a twoich ludzi wrzucę na samo dno statku.

Mimo to Dżem się nie przeląkł.

– Ty, ty... – Wymierzył palec w pierś mężczyzny.

Miał powiedzieć jeszcze: „Jak śmiesz tak się do mnie odzywać”, ale sytuacja była jasna jak słońce.

Oszukano go. Znowu. Sprzedano go. Kolejny raz. Był już niczym. Tamten mógł się do niego odzywać, jak mu się żywnie podobało.

– Jestem żołnierzem – dokończył admirał. – Robię, co mi każą. Niech twoi ludzie oddadzą broń.

– Nigdy tego nie zrobią.

– Skoro tak, sami ją weźmiemy. Kto będzie stawiał opór, wie, co go czeka.

Utkwił wzrok w wystającej z za pasa Dżema pochwie handżara.

– Pozwalam ci to zatrzymać, panie, ale resztę broni musicie oddać.

Stojąca nieopodal Ferimah starała się podsłuchać rozmowę dwóch mężczyzn. Słyszący, że obcy krzyczy na ich dowódcę, marynarze porzucili swoje zajęcia i zbliżyli się. Ich spojrzenia i zachowanie nie wyglądały przyjaźnie.

Płomienisty Książę stał się jeńcem. Groziło mu jednak jeszcze większe niebezpieczeństwo. Zdawał sobie z tego sprawę. Ramiona mu opadły, ale starał się trzymać prosto.

– Dokąd mnie zabieracie?

Gdyby zapytał o to jeszcze dzień wcześniej, admirał Cezar złożyłby sięgający ziemi ukłon i odpowiedział: „Tam, dokąd każesz, Wasza Wysokość”, ale teraz tylko się zaśmiał.

– Tam, gdzie chcą, żebyście trafili, panie.

*

Wszyscy znajdowali się w ciasnej kajucie Dżema. Halil z Mentese, Abdullah z Küre, Szaleniec z Kırkpınar, Kadir Aga, czawusz Ali z Tavas, subaszy Davud, Czarny Kasym, dowódca gwardzistów Dżema Mustafa Aga i Ferimah.

Przed wezwaniem swoich ludzi Dżem długo rozmyślał, wpatrując się w morze przez okno swojej kabiny. Musiał w końcu stawić czoła prawdzie. To właśnie teraz zaczynało się właściwe wygnanie. Miało go rzucić hen, gdzieś daleko, w nieznane.

Nie można było nic zrobić.

Posłał Ferimah, aby zwołała towarzyszy niedoli. Walczył, by zrzucić z twarzy wyraz pokonanego, pogrążonego w beznadziei człowieka. Wyprostował ramiona i przywdział maskę sułtana Dżema, syna Zdobywcy.

Mówił krótko, ale klarownie. Dał się wmanewrować. Nie płynęli do Rumelii, ale do jakiegoś nieznanego miejsca, i admirał oczekiwał, że każdy z nich podporządkuje się jego zaleceniom.

– Zalecenia? – zagrzemiał Szaleniec z Kırkpınar, Kadir Aga. – A kim jest ten przeklęty parch, że mój sułtan miałby wypełniać jego rozkazy?

– Powiedział, że jesteśmy wolni i możemy swobodnie poruszać się na statku.

– Phi – odezwał się Czarny Kasym. – Słowo giaura!

Pozostali, pomrukując, poparli przyjaciela.

Ale prawdziwa tragedia zaczęła się, gdy przyszło do oddawania broni.

– Ejże – ryknął subaszy. – Czy mężczyzna oddaje miecz, nim jego głowa spadnie na ziemię?

– Nie oddaje! – zakrzyknęli.

– Niech no przyjdą, a zobaczymy, ile rąk i nóg poleci w powietrze.

Dżem wiedział, że nie rzucają słów na wiatr. Mogli oddać życie, ale nie zamierzali porzucać broni. Wszyscy spoglądali mu w oczy, czekając na ostatnie słowo.

– Jednakże – ciągnął – wszyscy oddacie oręż. Nie dlatego, że tak sobie życzy niewierny, ale dlatego, że ja tak rozkazuję.

I znów Kadir Aga, Szaleniec z Kırkpınar, rozproszył dopadający ich ponury nastrój.

– Coście tacy skwaszeni, towarzysze? Co to, nie ma mężczyzny bez miecza u pasa? – Naraz zacisnął pięść i uniósł ramię do góry. – Oto moja pięść. Wielka jak osmańskie ziemie! Co, może nieprawda, ha? Szykujcie się!

Ręce towarzyszy uniosły się na podobieństwo powstańczych sztandarów.

– No, niech Allah strzeże – zaśmiał się Kadir Aga. – Mamy pięści wielkie niczym Osmańskie Imperium. Gdy opadną, to jakby sam błogosławiony Husajn Gazi^[82] zarzucił buławę^[83]. Pękną czerepy niewiernych!

– Niech żyje Szaleniec Kadir – odezwał się czawusz Ali z Tavas. – Właśnie tak, druhowie, gdy miecze upadną, mamy przecież jeszcze pięści, nieprawdaż?

Sułtan Dżem włączył się do rozmowy, aby skorzystać z nowo rozbudzonej atmosfery uniesienia.

– Mogę zatrzymać mój handzar. Admirał prosi, abyśmy nie zmuszali go do powzięcia innych środków ostrożności.

Natychmiast podchwycili.

– Giaur ma rację – syknął Halil z Mentese. – Trzeba coś przedsięwziąć.

I znowu, pomrukując, pokiwali głowami.

– Mam dla was pewną radę, panowie – odezwał się Mustafa Aga. – Od tej chwili nasz sułtan ani na chwilę nie powinien być sam. Nie zostawimy go.

– Dobrze mówisz – potwierdził czawusz Ali z Tavas. – Nie zostawimy. Ani w kajucie, ani na pokładzie. Odtąd gdzie nasz pan, tam i my.

– W kajucie? – Dżem starał się uśmiechnąć. – Co? Zostaniecie ze mną nawet tutaj? To nie do pomyślenia.

Zdziwili się. Sułtan miał rację. Po pierwsze, kto to widział, żeby niewolnicy przestawali z władcami. Po drugie, jak niby tylu mężczyzn miało się zmieścić w ciasnej kabinie?

Popatrzyli po sobie w nadziei, że któryś znajdzie wyjście. Wszyscy mieli mętlik w głowie.

– Hmm – mruknęła Ferimah. – Zdaje mi się, że kompani mają na myśli wartę, mój panie. Każdego dnia jeden z nich będzie ci tutaj towarzyszył.

Twarze mężczyzn się rozpromieniły.

– Ha, słusznie. Warta, warta! – rzucili wszyscy naraz.

– To mamy na myśli, właśnie.

– Odtąd będziemy trzymać wartę.

– Na Allaha, będziemy tu czatować.

Czarny Kasym podsumował:

– Co tam, możemy tu nawet wszyscy zostać.

Dżem pokręcił głową.

– Nie ma mowy, panowie. Pomyślą, że się ich boję. Nie potrzebuję strażnika, sam umiem o siebie zadbać.

– To nie może być!

Gdy wszyscy podnieśli przed sułtanem głos, ten spojrzał na subaszego Davuda:

– Pamiętaj, z kim rozmawiasz, ago! – wściekł się Dżem. – Co to, własne słowo stawisz ponad moim?

– Tak – odrzekł subaszy.

Co? Wszyscy wstrzymali oddechy. Towarzysze popatrzyli po sobie, jakby mówili:

„Chyba zaszkodziło mu słońce”.

– Jeśli chcesz, odbierz mi życie, mój panie – ciągnął subaszy, opadając przed Dżemem na kolana – lecz po tym, co się stało, nie powinieneś zostawać sam. Jeśli giaur dopuścił się bezbożnego czynu, znowu się na to poważy. Zgódź się tylko, a każdego dnia jeden z nas – wskazał miejsce tuż za drzwiami kajuty – położy się tam i będzie czuwał.

– Położymy się – zaczęli się przekrzykiwać. – Będziemy czuwać!

– Bóg nam świadkiem, że nie będziemy przeszkadzać. Nawet nas nie zauważysz, panie.

Wszyscy, łącznie z Dżemem, zaśmiali się na te słowa. Przypomnieli sobie noc, kiedy rodyjscy rycerze, usłyszawszy po raz pierwszy chrapanie Davuda, postawili na nogi cały zamek, sądząc, że przypuszczono na nich atak. Także z jego powodu na galerze zostali przez marynarzy skierowani na najgłębszy pokład statku.

Dżem wiedział, że jego towarzysze mają rację. Jeśli sprawy zaszły tak daleko, to bezkrytyczna ufność w słowa niewiernych byłaby głupotą.

– Ech – mruknął. – Skoro tak mówicie, to róbcie, jak uważacie za stosowne. – Spojrzał po kolei na każdego z nich. – Ale jak któryś będzie chrapał, to zgarnie ode mnie niezłego kopniaka!

Jeden po drugim wybuchnęli śmiechem, popadając nawet w przesadę.

Zaśmiewali się raz po raz. Wszyscy wyczuli, jaką to miało wymowę. Gdy wróg usłyszy salwy ich śmiechu, pomyśli, że za nic mają sobie świat.

*

Tak się właśnie stało. Rechot grubych męskich głosów poniósł się z rodyjskiej galery prosto w bezbrzeżne morze. Marynarze porzucili swoje zajęcia i nadstawili uszu.

Admirał Cezar rozmawiał w kajucie z podkomendnymi. Zirytował się, gdy usłyszał dochodzące ze znajdującej się pod lewą burtą kabiny sułtana Dżema głośnie śmiechy. „Co ci łajdacy wyprawiają?” – oburzył się.

Jego podwładni się zdziwili.

– Na miłość boską – mruknął jeden z nich. – Co to ma znaczyć?

– Osmanie – powiedział inny.

– To wiemy – syknął admirał, spojrzawszy na rozmówcę z ukosa. – Co mnie obchodzi ich rehotanie?

Przez dłuższą chwilę przysłuchiwali się odgłosom. Gdy zagniewany admirał zauważył, że śmiech jeszcze się wzmacnia, spojrzął na drugiego oficera.

– Pozbądź się któregoś z nich, Emanu. – Otrzepał ramiona. – Co zrobić, sami się o to proszę.

Drugi oficer pochylił głowę.

– Którego?

Admirał westchnął.

– Sam wybierz. A dwa dni później jeszcze jednego.

^[82] Husajn Gazi – syn Alego ibn Abi Taliba, zięcia Mahometa, walczący z kalifami Umajjadów przywódca szyicki, który zginął w bitwie pod Karbalą. Czczony jako męczennik.

^[83] Buława – broń obuchowa składająca się z trzonu zakończonego ciężką gałką.

Sycylia – Nicea

– Mój panie, mój panie!

Dżem natychmiast się wyprostował. Głos dochodził z dolnego pokładu.

– Kto tam? – krzyknął Dżem. – Co się dzieje?

Ścieląca mu łóżko Ferimah również się wzdrygnęła.

– Przypominał głos Abdullaha Agi.

– Mój panie – podniósł się jeszcze raz okrzyk z zewnątrz. – Chodź! Prędko! Katastrofa!

Dżem wstał z miejsca.

Katastrofa? Co jeszcze mogło się wydarzyć?

Twarz Ferimah zrobiła się biała jak ściana.

Ze schodów prowadzących do miejsca, w którym spali ludzie Dżema, doszedł do nich tupot butów. Drzwi bez uprzedzenia otworzyły się z impetem i gdyby trzymający wartę Halil z Mentеше się nie uchylił, uderzyłyby go w twarz.

Abdullah z Küre stał na progu. Był tak roztrzęsiony, że zapomniał nawet o pozdrowieniach. Jego pierś wznosiła się i opadała na podobieństwo kowalskiego miecha.

Dżem ruszył ku niemu.

– Co się stało, Abdullahu?

– Pa... – stracił dech. Z oczu strzelały mu płomienie. – Kirkpınar... – zdołał z siebie wydobyć pomiędzy dwoma oddechami.

– Czy coś się stało Kadirowi Adze? Mówże.

Mężczyzna pokiwał głową, przetykając ślinę.

– Szalo... ny z Kırkpı... nar... On chyba...

Nie był w stanie nic więcej powiedzieć. Wszyscy razem pobiegli na dolny pokład, a po drodze Abdullah starał się opowiedzieć:

– Na ziemi... tam... Na ziemi...

Kompani stłoczyli się dokoła leżącego w bezruchu pod swoim hamakiem Kadira Agi.

– Rozejść się – rzucił Dżem. – Żyje?

Nie odpowiedzieli. Nikt nie miał siły wykrztusić nawet pół słowa.

Halil z Mentese przepchnął się do Kadira i klęknął przy jego głowie. Nasłuchiwał oddechu.

– Kadirze – odezwał się – słyszysz mnie?

Nie poruszył się. Halil znowu starał się wyczuć jego oddech, dotknął też szyi, próbując znaleźć tętno. Po dłuższej chwili podniósł głowę i spojrzał na Dżema:

– Niech Allah da wam długie życie, panie.

– Nie żyje – zaczęli szeptać.

– Ach, mój wariacie, och, mój bracie – zaczął się szarpać Halil.

Sułtan Dżem uklęknął przy zwłokach Szaleńca z Kırkpınar.

– Mój druhu – jęknął. Cierpiał męki. – Nie było nam nawet dane się rozliczyć, bracie Kadirze. Nie miałeś u mnie żadnego długu, a ja tyle ci zawdzięczałem, och, Kadirze. Cóżeś zrobił, dlaczego nas zostawiłeś?

Wszyscy zebrali się wokół nich i również uklękli.

– Jak to się stało? Co się dokładnie wydarzyło, czy ktoś z was wie? – spytał Dżem. – Kto go znalazł i dlaczego leży na ziemi?

– Ja. – Subaszy Dursun wychylił głowę spomiędzy przyjaciół. – To z mojej winy, panie.

Wszyscy byli w szoku, ale nikt nie zadawał pytań.

– Obudziliśmy się rano – zaczął opowiadać subaszy. – Patrę, a nasz wariat nie wstaje. „Na nogi, leniu”, powiedziałem i poruszyłem jego hamakiem. – Głos wielkiego mężczyzny łamał się. Starał się przełknąć ślinę. – Spadł – wysapał. – Mój brat spadł i już tak został.

„Od kiedy to ginie się po upadku z hamaka?” – w jednej chwili przeszło wszystkim przez myśl. I to jeszcze taki olbrzym jak Szalony Kadir? Było jednak pewne, że subaszy oskarża siebie o śmierć przyjaciela.

– Nie – wyrzekł łagodnie Dżem. – To na pewno nie przez upadek, subaszy. Musiał już wcześniej nie żyć. Ty tylko ruszyłeś...

Do smutnych oczu mężczyzny wróciło nieco życia, ale w jednej chwili blask jego spojrzenia znowu uciekł.

– I co z tego – wykrztusił. – Ja go... Ja... – Nie mógł dalej mówić i wstał. Zniknął w ciemnościach dolnego pokładu.

Usta Dżema się poruszały. Modlił się za Szaleńca z Kırkpınar, agę Kadira.

*

– Idźcie tam i dowiedźcie się, o co chodzi – rozkazał słyszący wrzaski drugi oficer Emanuel.

Doskonale zdawał sobie sprawę, co jest powodem zamieszania, ale i tak nie mógł się powstrzymać przed pytaniem: „Po co ten cały hałas?”.

Dziesięciu uzbrojonych w kordelasy i pistolety członków załogi pobiegło sprawdzić. Gdy zobaczyli mężczyzn na klęczkach, jeden z marynarzy ze skwaszoną miną krzyknął:

– Co tu się dzieje?

Dżem rzucił mu spojrzenie ponad ramieniem.

– Mamy zmarłego. – Jego głos świsnął jak bat. – Jeden z naszych towarzyszy nie żyje.

Niektórzy przeżegnali się i cofnęli przestraszeni.

– Rozejść się, rozejść, mówię – odezwał się ten z wykrzywioną twarzą. – Nie dotykać. Niech Bóg broni. Na morzu śmierć to niebezpieczeństwo. – W panice obrócił się do kompanów. – Niech ktoś zawoła medyka. Powiedzcie, że mamy nieboszczyka. I dajcie znać admirałowi.

Nie było takiej konieczności, bo Cezar, drugi oficer Emanuel i okrętowy lekarz już się tam zjawili.

– Odejdźcie od niego – odezwał się admirał do Dżema. – Niech wszyscy ustawią się tutaj. Nie wolno wam niczego dotykać, zanim nie poznamy przyczyny śmierci.

Medyk zbliżył się nieco do zwłok Kadira Agi i prędko spojrzał na niego z góry. Zalękniony wyraz w jednej chwili zniknął z jego twarzy.

– Nie ma się czego bać – powiedział do admirała. – To nie czarna śmierć.

Podenerwowanie, które starał się okazać Cezar, znikło jak ręką odjął. Członkowie załogi uspokoili się i popatrzyli po sobie.

– To morska gorączka – stwierdził lekarz. – Zmarł od gorączki.

– Morska gorączka?

Medyk okrętowy obrócił się do Dżema.

– Tak, widać wyraźnie, że to ona. Często się zdarza u nieprzyzwyczajonych do długich rejsów.

– Jak to? – powiedział Dżem. – Jeszcze wczoraj wieczorem był całkiem zdrowy.

– O, widzę, że ty też jesteś lekarzem, panie – uśmiechnął się mężczyzna drwiąco. – To morska gorączka. Jestem pewien.

Nie mieli nastroju, chęci, a przede wszystkim argumentów do dyskusji.

– Natychmiast zabrać się do przygotowań – rozległ się rozkaz admirała Cezara.

Gdy drugi oficer Emanuel skierował się ku schodom wraz z kilkoma marynarzami, Cezar podszedł do Dżema.

– Musimy go bezzwłocznie pogrzebać.

– Pogrzebać? Ale gdzie?

Rodyjski admirał wyglądał na zaskoczonego pytaniem Dżema.

– W morzu, rzecz jasna.

– Nie mogę się na to zgodzić.

– Zgodzić? Nie prosiłem cię o zgodę.

Sytuacja się zaogniła, słychać było podniesione głosy. Mogli nie rozumieć, czego dotyczyła rozmowa, ale towarzysze Dżema zauważyli, że ich pan bliski jest wybuchu. Zacisnęli pięści. W ich oczach dało się zobaczyć złość. Każdy obrał sobie za cel kilku ludzi z załogi stłoczonych za admirałem. Może by ich poturbowali, ale koniec mógł być tylko jeden. Garstka wojaków wytrzymałaby jakiś czas pod naporem niewiernych żołnierzy i póki by żyli, nie daliby tknąć ostrzom giaurów sułtana Dżema.

– Admirale – wycedził Dżem przez zęby. Widać było, że ledwo powstrzymuje wściekłość. – W zgodzie z naszymi wierzeniami oddamy Kadira Agę ziemi.

Cezar się uśmiechnął.

– Gdybyż tylko mogło tak być! Ale to niemożliwe. Nie ma mowy o utrzymaniu zwłok na statku. Nigdy. Mamy przed sobą jeszcze dwa dni drogi. W tym gorącu... – pokiwał głową na dwie strony. – Nie, to niemożliwe. Morze go zabrało, więc morzu trzeba go oddać. Takie są zasady.

Odwrócił się do niego plecami, powiedział coś cicho do swoich ludzi i skierował w stronę wyjścia.

– Admirale.

Cezar zatrzymał się.

– Słucham. – Starał się, aby jego głos nie zabrzmiał zbyt ostro.

Ferimah też z trudem nad sobą panowała. Nie rozumiała nawet jednego słowa z ich rozmowy, ale wystarczyło, że usłyszała błagalny ton w słowach Płomienistego Księcia, by jej serce rozpadło się na kawałki.

– Jeśli tak – odezwał się Dżem – to przynajmniej pozwólcie, byśmy wcześniej poczynili niezbędne przygotowania.

Mężczyzna trwał przez chwilę w bezruchu. Myślał.

– Ale bardzo szybko – powiedział w końcu.

*

Owinięte przez nich w białe płótno ciało Szaleńca z Kırkpınar, Kadira Agi, leżało na wystającej z pokładu desce.

Dżem pełnił funkcję imama. Garstka stojących za nim Osmanów odmówiła pogrzebową modlitwę.

Ferimah wystawiła głowę zza schodów prowadzących na dolny pokład. Ramiona jej drżały, ale z ust nie wydobywały się żadne dźwięki, z oczu nie spłynęła nawet jedna łza.

A przecież w jej wnętrzu rozpętała się burza, a myśli goniły niczym wichry. „Dość!” – krzyczała w środku. – „Już wystarczy tego bólu. Co ci zrobiliśmy, że tak się na nas uwzięłeś? Nie wystarczy ci śmierć trzyletniego dziecka? Czy krew nieprzeliczonych mężów, co zginęli na polach walki, też nie zaspokoila twych żądz? Dość, dość już, błagam. Oszczędź mi choć jego”.

Marynarze chodzili w tę i z powrotem po pokładzie, przyglądając się im. Najpierw się zaśmiewali, by później pokrzykiwać:

– Hej, Turki!

Nie potrzebowali jednak wiele czasu, by zrozumieć, że nikt ich nie słyszy, a nawet jeśli słyszy, to się nie przejmuje. W końcu podniósł się czysty głos Dżema. Niczego nie rozumieli, ale harmonia i melodia jego modlitwy wpłynęła na wszystkich. Ucichły śmiechy i szepty. Stali się bezgłósnymi świadkami ostatniej podróży Szaleńca z Kırkpınar.

– Czy zaręczacie, że zmarły był godnym człowiekiem i nie zostawił u was żadnego długu? – spytał trzykrotnie.

– Zaręczamy – odparli trzykrotnie jego towarzysze.

Z tyłu, zza kłapy prowadzącej do wnętrza okrętu, do przepelnionych smutkiem, lecz mocnych męskich głosów dołączył cieniutki żeński tembr.

– Zaręczamy.

Admirał Cezar stał przy znajdującym się na rufie sterze. Jego ręce spoczywały na ogromnym kole, za to myśli sięgały ku znajdującym się na dole Osmanom. Sądził, że jak tylko skończy się obrządek, Dżem wróci do swojej kajuty albo zażąda pomocy w zrzuconiu ciała do morza.

Nie uczynił jednak ani jednego, ani drugiego. Dowódca zauważył, jak tamten wykonuje dłońmi modlitewny gest przed twarzą, mówiąc:

– *Amin*.

Pozostali odpowiedzieli mu pomrukami:

– *Amin*.

Później wszyscy razem zbliżyli się do relingu i ustawili w rzędach po bokach deski, na której spoczywało ciało Kadira Agi.

– Z Bogiem! – odezwał się Dżem.

– *Bismillah*^[84]! – odpowiedzieli inni.

Z wolna przygięli kładkę ku morzu, a Kadir Aga, Szaleniec z Kırkpınar, osunął się po niej, najpierw niespiesznie, później coraz szybciej, aż wreszcie poleciał. Rozbijające się o dziób fale, okolone grzywą białej piany, jakby nie życząc sobie, by zatonął i zniknął, jednym ruchem wzięły go w ramiona.

Przez chwilę spoglądającemu wraz z towarzyszami w dół Dżemowi wydało się, jakby Kadir Aga ułożył się na wodzie. W końcu zaczęła go przykrywać. Poczekali, aż zwłoki pogrążą się w otchłaniach błękitu. Gdy tylko Szaleniec Kırkpınar zniknął im z oczu, rzucili się sobie w objęcia. Dżem, ruszając do swojej kabiny, uniósł głowę i spojrzał na obserwującego go zza steru admirała Cezara.

Dowódca się zdziwił. Spodziewał się ujrzyć łzy na policzkach Osmanina, ale w oczach tamtego dostrzegł jedynie pożogę.

– Emanuelu – szepnął do stojącego u jego boku drugiego oficera – wstrzymaj się z kolejnym. Wystarczy nam już morskiej gorączki.

*

Od tamtego dnia Dżem nie opuścił swojej kajuty. Na nic nie zdały się błagania Ferimah:

– Zaczepnij trochę świeżego powietrza, panie. Niech Bóg strzeże, a co, jeśli ty też złapiesz morską gorączkę?

Spędzał czas z towarzyszami pełniącymi wartę przy jego drzwiach. Ferimah również bezustannie była obok niego. Nocami sypiała tam, gdzie akurat zmorzył ją sen.

Trzeciego dnia rzucili kotwicę.

Sułtan Dżem nie okazał żadnego zainteresowania. Skoro ich celem nie była Rumelia, jakie niby miało znaczenie, dokąd płyną? Ferimah przekazała mu, co zobaczyła zza okna kajuty.

– To jakaś zatoczka otoczona skałami, mój panie.

– Sycylia – poinformował go admirał Cezar. – Zostaniemy tu przez kilka dni. Możesz wyjść i trochę się przespacerować. Oczywiście z kilkoma rycerzami u boku.

Dżem milczał.

– A jeśli spytasz, ile dni tu zostaniemy...

– Nie spytam.

– I tak bym nie odpowiedział, bo sam nie wiem – zadrwił Cezar. – Zaczekamy na wiadomość z miejsca, do którego cię zabieramy, a nie wiadomo, kiedy dotrze.

Obrócił się do niego plecami i wyszedł.

*

Minęło dziesięć dni, zanim ponownie usłyszeli, jak z góry dobiegają dźwięki rozmów i brzęczących łańcuchów. Tym razem admirał nie pofatygował się nawet poinformować ich, że przyszła wiadomość i ruszają.

Po opuszczeniu Rodos Dżem liczył każdą spędzoną na morzu noc aż do chwili, gdy pojął, że zmierzają nie na północ, ale na zachód. Później tego zaprzestał. Dni dłużyły się niemiłosiernie, a on nie wiedział, co ze sobą zrobić. Takim sposobem jego starszy brat wyrzucał go na drugi kraniec świata.

Dali się złapać burzy, a trzy dni później zawinęli do portu. Tym razem galera dobiła do brzegu.

Gdy admirał przybył, aby go zabrać, Osmanie przed drzwiami ustawili się w rzędzie. Niczego nie powiedział, tylko nacisnął klamkę, a Dżem już stał naprzeciwko, gotowy.

– Koniec trasy – powiedział admirał, śmiejąc się pod wąsem. – Tutaj się pożegnamy.

Dżem ruszył.

– Czy możesz już powiedzieć, gdzie jesteśmy?

– Ach tak. Ty nie wiesz, prawda? Znajdujesz się we Francji, a to jest port w Nicei.

– Czy właśnie tu zostanę?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Powie ci to ten tutaj monsieur.

Cezar usunął się na bok, odsłaniając innego mężczyznę. Na głowie miał śmieszoną czapkę z piórem, a na grzbiecie kapiącą od ozdób kurtę o bufiastych rękawach i wąskim pasie. Była tak ciasna, że wydawało się, iż przy byle ruchu mogą puścić jej szwy. Spodnie kończyły się na kolanach, a dalej ciągnęły się krwistoczerwone pończochy. Stopy mężczyzny okrywały zapinane na klamerki buty z obcasami.

Ferimah wydało się, że ubiór ten pasowałby raczej do kobiety.

Obcy postąpił krok w stronę Dżema i nagłym ruchem zerwał zabawne nakrycie głowy. Szeroko otworzył ramiona i zgiął się w pasie aż do ziemi, by pozdrowić przybysza. „Boże” – pomyślał trzymający akurat wartę Abdullah z Küre. – „Zaraz mu pękną galoty!”

Nie doszło jednak do tego, za to mężczyzna w śmiesznej czapce obrócił się tym razem ku Ferimah i, zamiatając podłogę nakryciem głowy, znowu wykonał ukłon.

– Madame.

Osmanie ze zdumienia otworzyli usta. Twarz dziewczyny w jednej chwili spąsowiała. Po raz pierwszy mężczyzna zniżał się przed nią, aby ją pozdrowić.

„Co on o tobie pomyślał?” – odezwał się głos w jej głowie. – „Że jesteś kobietą Płomienistego Księcia?”

Gdy przybysz się wyprostował, podszedł do admirała.

– Jak my się z nim dogadamy? To, co mówię...

– Z łatwością – powiedział Dżem. – Rozumiem wasz język. – Głos miał twardy.

– Wasza Wysokość mnie zaskoczył. – Mężczyzna wyglądał na przyjemnie zdziwionego. Uśmiechał się przyjaźnie, jakby rozmawiał z dobrym znajomym, po chwili się jednak zreflektował. – Przybyłem tu w miejsce markiza Marceau, zapraszającego was w imieniu króla Francji Jego Wysokości Ludwika i następcy tronu księcia Karola do Lyonu.

Dżem się uśmiechnął.

– Wymieniłeś tyle imion, sam zapominając się przedstawić. Kim jesteś?

– Nazywam się Jacques d'Armagnac, mój panie. Osobisty sekretarz markiza Marceau.

– Zdaje mi się, że twoje obowiązki tutaj nie ograniczają się do zadań sekretarza.

Jacques d'Armagnac skłonił się, tym razem nie tak głęboko.

– Nie. Podczas pobytu Waszej Wysokości w Nicei mam mu zapewnić jak najlepszą gościnę i...

– Jeszcze nie dotarliśmy na krańce świata?

Głos i pytanie Dżema zaskoczyły Armagnaca.

– Wasza Wysokość wybaczy – czy ja się nie przesłyszałem? Powiedziałaś, panie, „na krańce świata”?

– Dobrze zrozumiałaś, dokładnie tak się wyraziłem. Chciałem przez to powiedzieć, że nasza podróż jeszcze się nie zakończyła.

Osobisty sekretarz markiza Marceau starał się uśmiechnąć.

– Wasza Wysokość jest bardzo dowcipny. O czym to ja mówiłem? Ach tak, oprócz zapewnienia wygody Waszej Wysokości moim zadaniem jest towarzyszenie wam aż do Lyonu.

– Ile tu zostaniemy?

D'Armagnac znowu szeroko rozwarł ramiona.

– Tego nie wiadomo. Czekamy, aż przyjdzie rozkaz, ale jestem pewien, że nie potrwa to długo.

^[84] *Bismillah* (z ar. w imię Boga) – tzw. besmela, inwokacja stosowana przez wyznawców islamu przed różnymi czynnościami w życiu codziennym.

Nicea, Francja

Pobyty w Nicei przebiegał bez zakłóceń, nie licząc napięcia podczas opuszczania galery. A i do tego by nie doszło, gdyby subaszy nie wystąpił przed drugiego oficera Emanuela i nie zażądał zwrotu broni.

Oddali szable, handzary, noże i wszystko inne, co można było nazwać orężem, ponieważ tak brzmiał rozkaz sułtana, słowem się nie zająknęli, gdy przeszukiwano ich samych oraz ich dobytek. Został tylko handzar, który Dżem nosił u boku, i ukryty przez Ferimah zakrzywiony sztylet, którym dziewczyna odcięła głowę wężowi. Rodyjczycy nawet nie spojrzeli na nią, sądząc, że nie ma co szukać broni u kobiety. Skąd mieli wiedzieć, że służąca sułtana zawsze ją przy sobie nosi?

– Oddaj mi szablę. – Subaszy wyrósł przed drugim oficerem, a w jego oczach igrały płomienie.

– Szablę? – zaśmiał mu się w twarz Emanuel.

Davud złapał mężczyznę za kołnierz i podciął mu nogi. W chwili gdy towarzysze Dżema i marynarze bliscy już byli rzucenia się sobie do gardeł, ktoś krzyknął:

– Stać!

To był Jacques d'Armagnac. Zarówno członkowie załogi, jak i Osmanie nie spodziewali się po Francuzie takiego zachowania. Stanęli więc zdziwieni.

D'Armagnac, zamiatając podłogę kapeluszem z piórem, skłonił się przed Dżemem aż do ziemi.

– Broń, Wasza Wysokość? Odtąd należy do was cała broń Francji.

To były magiczne słowa. „Odtąd należy do was cała broń Francji”.

Pozostawiając za sobą oręż, który widział tyle wojen, odebrał tak wiele żyć i tyle razy uratował ich od śmierci, stanęli na nicejskiej przystani.

Jedynymi ostrzami, które im pozostały, były wysadzany klejnotami handzar przy pasie Dżema oraz sztylet Ferimah, o którym nikt nie wiedział i którego nikt nigdy nie widział. Tylko tyle.

Za to odtąd należała do nich cała broń Francji!

*

Po tygodniach spędzonych na galerze splatająca się w uścisku z morzem Nicea nieco złagodziła zgryzoty dręczące serce Dżema.

Jego towarzysze również przeżywali sielankę, bo choć ból straty po Szaleńcu z Kırkpınar nadal pulsował gdzieś w głębi serc, to każdy wiedział, że życie musiało toczyć się dalej.

Gdyby nie niekończące się wyjaśnienia Jacques'a d'Armagnaca, które zaczęły się od niewinno: „Wasza Wysokość, wieża, którą tu widzisz...”, Dżem czułby się o wiele spokojniej.

Było mu wygodnie w apartamencie składającym się z dwu przylegających do siebie ogromnych komnat, znajdujących się na najwyższym piętrze użyczonej mu przez markiza trzykondygnacyjnej budowli. Do wychodzącego na morze pokoju przylegał nawet niewielki półkolisty balkon, na który prowadziły dwuskrzydłowe drzwi. Nie było, rzecz jasna, rodyjskiego wina, ale to nie przeszkadzało, ponieważ w piwnicach rezydencji nie brakowało trunków.

– Wasza Wysokość – mówił, cmokając, d'Armagnac, pokazując mu wyciągniętą przez siebie zakurzoną, pokrytą pajęczynami butelkę – musisz koniecznie tego spróbować. Zrobiono je z najrzadszych winogron Bordeaux. Rocznik siedemdziesiąty pierwszy.

– Musiały się już zepsuć – pokpiwał sobie Dżem.

Obudził się któregoś poranka, otworzył podwójne drzwi i wyszedł na balkon. W tamtej chwili poczuł się niemal jakby szybował nad morzem.

Skąpany w słońcu, unoszący się ponad błękitem wygnaniec!

„Całkiem niezłe jak na miejsce zesłania” – przeszło mu przez myśl.

Wciągnął do płuc wilgotne, przywiane znad wód powietrze, ale gdy ujrzał, jak przechodzący u dołu ludzie podnoszą głowy do góry i śmieją się, jego nastrój się popsuł.

Czemu chichoczą na jego widok?

„Czy aż tak po mnie widać nędzę i rozpacz?” – pomyślał. Jednak nie minęła chwila,

a odkrył powód ich rozbawienia.

Śmiali się oczywiście z wielkiego turbanu na jego głowie. Z pewnością po raz pierwszy w życiu widzieli ten osmański zawój.

Pomachał ręką wesołkom, po czym ściągnął czapę i rzucił ją na łóżko. Skoro znalazł się w tak odległych krainach, to mógł już bez niej żyć. „Kto wie, może nawet znajdę takie śmieszne pierzaste dziwadło, jak to, które nosi Jacques d’Armagnac, i sam się w to ubiorę – śmiał się do siebie tamtego poranka.

Nie, nigdy by tego nie zrobił.

Owszem, był wygnańcem. Przeganiany to tu, to tam niby jesienny liść płacił cenę za bunt wobec losu. Zostawił dwójkę dzieci, a nieszczęsnego pierworodnego malca wydał na pastwę Porządku Świata, ale mimo tego wszystkiego powinien nadal żyć jak Osmanin. W tych dzikich, obcych krainach powinien się zachowywać jak przystało na osmańskiego padyszacha. Nie wolno mu było się do nich upodobnić, stać się jednym z nich, porzucić swoje prawdziwe oblicze.

Chociaż chichoty popsuły mu nieco nastrój, balkon dalej otwierał się przed nim niczym okno na wolność. Mógł wlecieć z niego i na podobieństwo ptaka pofrunąć do Rumelii.

Jednak spokój i rozluźnienie nie potrwały długo.

Jacques d’Armagnac przybiegł do niego w panice i wciągnął go z balkonu do środka, po czym zamknął dwuskrzydłowe drzwi. Zdenerwowanie malujące się na twarzy mężczyzny zadziwiło Dżema.

– Nie powinieneś tego robić, Wasza Wysokość. To bardzo... bardzo niebezpieczne.

– Niebezpieczne? Ale czemu?

Tamten spojrzał na niego, jakby mówił: „Czyżbyś nie wiedział?”.

– Wasza Wysokość... Szpiedzy! Zamach!

To by znaczyło, że obawiają się zabójców wysłanych przez jego brata.

„Dość już” – powiedział w myślach Dżem. – „Nie wystarczyło, że Bajazyd Aga przegnał mnie na drugi koniec świata? Będzie jeszcze teraz wyprawiał na mnie myśliwych?”

Nagle zdał sobie sprawę, że spodobało mu się to wyrażenie.

Bajazyd Aga!

Skoro nie uznawał go za padyszacha, najlepiej będzie właśnie tak określać starszego brata: Bajazyd Aga.

Zastosował się do zaleceń Jacques'a d'Armagnaca.

Dżem, nie myśląc o przeszłości ani przyszłości, chciał żyć obecną chwilą. Dawne dni wypełniały ból, rozłąka, strach i katastrofy, a jutro nie istniało. Jeśli tylko zostawał sam ze sobą, powtarzał: „Jakaż przyszłość może czekać wygnańca?”.

– Święty spokój – odezwał się do Ferimah któregoś dnia. – Już niczego więcej nie pragnę. Zrozumiałem, że dla rodzaju ludzkiego nie ma większej fortuny niż beztroska. – Spojrzał na dziewczynę. – I co, nic na to nie powiesz? Nie zgadzasz się ze mną?

Nie, nie zgadzała się. Dla niej największym szczęściem było trwanie u boku ukochanego. Mimo to odparła łagodnie:

– Oczywiście, że się zgadzam.

*

Na twarz Ferimah wróciły kolory, ciągle promieniała radością. Uśmiech znów pojawił się na jej ustach, a dołeczki nie znikwały z policzków.

Spała w małym pokoju na strychu trzypiętrowego budynku, który przekazał im markiz. Spadzisty dach, zniżający się równo po obu stronach domu, uniemożliwiał używanie niemal połowy pomieszczenia, ale dziewczyna nie miała zamiaru narzekać. Okna wychodziły na dwie strony. Z tylnego mogła obserwować zielony gaj. Za to z frontowego widziała ciągnące się jak okiem sięgnąć plażę i morze, Siadywała na fotelu i patrzyła, jak fale z szumem rzucają się na żółty piasek, a później wycofują, jak gdyby zawstydzone. Zdarzało się, że na wiele godzin odpływała, zatopiona w tym widoku. Nachodziły ją wtedy głupie rozważania. Rozmyślała o Nadzie. O wężu. Zdawało jej się, że słyszy śmiech rodyjskiej Heleny. Później przypominała sobie, jak Dżem cichutko uchylił na Rodos drzwi Dalili. Jego szept: „Ciii, nie bój się, to ja”. Następnie Murad, który praktycznie urodził się na jej oczach... W tamtych dniach przez towarzyszący im lęk i chaos nie była w stanie dobrze rozważyć swoich uczuć. Tutaj zaś, gdy siedząc przy oknie, rozmyślała o tamtych dniach i wpatrywała się w fale, każda rzecz zyskiwała zupełnie inne znaczenie. Trzymała w rękach mokre i nagie malutkie ciało. Drący się co sił w płucach chłopczyk udawał jej, że nic nie jest takie, na jakie wygląda. Jakby

mówił: „To właśnie jest życie, piękna ciociu”. Móc oddychać, otworzyć oczy, widzieć świat. Zanosić się śmiechem, gdy powiedzą ci „gugu”. Wrzeszczeć szaleńczo, gdy tylko przyjdzie ci na to ochota, tak jak teraz, przed nikim się nie wstydząc. Płakać.

„A ty, Ferimah?” – rozliczał ją wewnętrzny głos kilka dni po przybyciu do Nicei. – „Jak ty się mierzysz z życiem?”

Śmiała się gorzko, udzielając sama sobie odpowiedzi. Strach. Wojny, spory, krew, intrygi, kłamstwa i zdrady. Rywalizacja i miłość.

Nieodwzajemniona, niemożliwa, szalona, bezowocna, zduszona w zarodku, nierozkwitła miłość.

Pewnej nocy Ferimah obudził odgłos kroków. Trzeszczały prowadzące do jej pokoju schody. „Ktoś nadchodzi” – pomyślała i uniosła się na łóżku, a jej ręka powędrowała do ukrytego pod poduszką kindżału. Tak jak oczekiwała, ostatni stopień zaskrzypiał głośniejsze niż pozostałe.

Jej serce zaczęło bić jak oszalałe.

Kto stoi na zewnątrz? Może głupkowaty posługacz, który uśmiechał się szeroko za każdym razem, gdy ją widział?

Lekkie pukanie do drzwi.

Puk, puk, puk.

– Kto tam? – Z wrażenia przycichł jej głos.

– Ciii. To ja, nie bój się.

Boże litościwy!

Dżem!

Ferimah jakby na nowo przeżywała tamtą noc na Rodos. Odgłosy kroków. Drzwi, pukanie. Drżący, przestraszony głos Dalili, pytający: „Kto tam?”. Szept Dżema: „Ciii. To ja, nie bój się”. Drzwi uchylone z lekkim skrzypieniem.

Ale jej własne drzwi nadal się jeszcze nie otworzyły. A przecież wcale nie były zamknięte.

„Głupia” – fuknęła nagle w myślach Ferimah, wyskakując z łóżka. Płomienisty Książę czekał, żeby to ona go wpuściła. Gdy uświadomiła sobie, że jest niemal naga, jej panika jeszcze wzrosła. Poszukała wzrokiem jakiegoś okrycia, ale ze zdenerwowania nie mogła niczego znaleźć. Podbiegła do drzwi.

– Mój panie?

– To ja, Ferimah. Otwórz.

Przypadła do łóżka, ściągnęła z niego prześcieradło i przytrzymała przy piersiach.

– Sułtanie mój... – Zdziwiła się, że nie padła trupem. Wychodziło na to, że stanie

się to dopiero, gdy otworzą się drzwi i zobaczy go na progu. – Nie są zamknięte.

Klamka się obróciła. Powstała wąska szpara, przez którą wychyliła się głowa Dżema.

We wpadającym przez okna mdłym nocnym świetle jego wzrok odnalazł Ferimah.

Była przekonana, że jej serce zaraz przestanie bić albo wyskoczy z piersi i odfrunie. Stała w bezruchu, pochylając głowę w ukłonie.

Płomienisty Książę znajdował się w jej pokoju.

Gdyby odrzuciła trzymane w dłoni prześcieradło, byłaby niemal naga.

A on? Nie podnosząc głowy, spojrzała na niego kątem oka.

Miał odkrytą głowę i rozpuszczone włosy. Nosił sięgającą kolan białą nocną szatę z krótkimi rękawami. Kołnierz osunął się na bok i wyglądały spod niego mocna męska pierś oraz jedno ramię. Był boso.

– Ferimah – powiedział bez tchu.

– Mój panie.

„Szlag by to” – odezwał się diabeł w jej wnętrzu. – „Krzyknij »Dżem« i rzuć mu się w ramiona!”

Dżem ją uprzedził. Zbliżył się o dwa kroki i przytrzymał jej rękę. Ferimah wiedziała, że nie zdoła podnieść wzroku i spojrzeć mu w oczy. Poczula jego oddech na swojej twarzy. Przeszło jej przez myśl, żeby oprzeć głowę na jego ramieniu. „Zrób to” – podpowiadał diabeł. – „Zrób. No dalej. To ta chwila. Połóż mu głowę na ramieniu. Poczuj jego zapach”.

Ale w jednej chwili czar przysł.

– Ferimah – odezwał się nagle Dżem – wilk odszedł.

Co? Poczula się, jakby spalający ją od środka ogień został bez uprzedzenia brutalnie zgaszony. Zupełnie się tego nie spodziewała.

– Wi... wi... wilk, mój panie?

– Tak – sapnął Dżem z radością. – Wilk z Czerwonej Skąły. Opowiadałem ci,

prawda? Rdzawy wilk, który mieszkał w moim umyśle, snach i marzeniach.

„Głupia służąca” – odezwał się tym razem diabelski podszept. – „Jak mogłaś uwierzyć, że weźmie cię w ramiona jak Dalilę?”

– Wi... wilk... – wyjąkała mimo woli. – Co się stało, pa...

– Odszedł, Ferimah... Wilk odszedł. Zostawił mnie. Nie ma go.

Dżem był tak rozemocjonowany, że nie dostrzegł zawodu i smutku w oczach dziewczyny.

– Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że nie widziałem go, od kiedy trafiliśmy do Nicei. Nie ma go w moich snach. Nie prześladowa moich marzeń. Nie mogłem uwierzyć, Ferimah. Przymknąłem oczy i wezwałem go. „Chodź, chodź, przybywaj. Prowadź mnie od tragedii do tragedii”, mówiłem. Mimo to nie przyszedł. Jego wycie już nie podburza mnie do walki. Nie przekonuje, że należy mi się tron i moje prawa.

Z radości prawie tańczył, kręcąc się w kółko jak śmiesznie ubrani ludzie, których widzieli w Nicei. Jego ekscytacja nie miała jednak absolutnie żadnego związku z widokiem półnagiej dziewczyny. Może nawet nie zdawał sobie sprawy, że tak bardzo była odkryta.

Prześcieradło, którym starała się osłonić ciało, wyslizgnęło się z jej rąk i upadło na ziemię.

– Jestem uratowany, Ferimah. – Dżem podbiegł do okna, otworzył je i krzyknął w kierunku morza. – Słuchajcie mnie, fale! Zbudźcie się, mewy! Wy też bądźcie świadkami, jak sułtan Dżem wyswobodził się od swoich ambicji. Koniec z wilczą niewolą!

A później zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Ze schodów dochodził głos:

– Dżem jest uratowany. Koniec z wilczą niewolą! Rdzawy wilk opuścił Dżema!

*

Nie była to jednak prawda. Może i rdzawy wilk zniknął, ale Dżem żył teraz w zupełnie innej niewoli. Bo choć Jacques d'Armagnac twierdził, że ich oczekiwanie długo nie potrwa, to mijały dni, tygodnie i miesiące, a list, w którym markiz Marceau miał

zawiadomić o wyjeździe do Lyonu, nadal nie nadchodził. Poza tym d'Armagnac również ni z stąd, ni z owąd jakby zapadł się pod ziemię.

Dżem, choć wymazane zostały jego przeszłość i przyszłość i powinien cieszyć się życiem, jakie wiódł w Nicei, chciał wiedzieć, co się wokół niego dzieje.

Niekończąca się niepewność szarpała mu nerwy, a nie pozwalano mu nawet wyjść z domu i przejść się po plaży. Nie mógł również pokazywać się na balkonie. Gdy burknął pod nosem coś na temat gościnności, następnego dnia d'Armagnac przekazał mu radosną nowinę, że oto Jego Wysokość król polecił przekazać mu karocę, którą Dżem może się poruszać po mieście.

– Oczywiście będę towarzyszył Waszej Wysokości.

Był jeszcze jeden warunek: Osmanin miał pod żadnym pozorem nie opuszczać powozu.

– Wasza Wysokość sam wie. – Mężczyzna zbliżył się ku niemu. – Szpiedzy i zabójcy.

Miał pod żadnym pozorem nie uchylać czarnych tiulowych zasłon. Wszystko miało się odbywać za ciemną kurtyną.

Dżem uśmiechnął się, gdy to usłyszał.

„Czy nie tak właśnie wygląda moje życie?” – przeszło mu przez myśl. – „Oglądam je przez czarną zasłonę”.

Ale się zgodził.

– W takim razie ruszajmy – powiedział. – W drogę!

Wyjechali na ulicę z czterema czy pięcioma konnymi strażnikami depczącymi im po piętach. Już na pierwszej wycieczce zaczęły się tortury, które zwiastowało pamiętne zdanie Jacques'a d'Armagnaca: „Wasza Wysokość, to, co właśnie widzisz...”. Od wyjaśnień mężczyzny Dżem nie stawał się nawet o jotę mądrzejszy, a mimo to wysłuchiwał ich w milczeniu.

Któregoś dnia, korzystając z tego, że siedzący naprzeciwko Francuz akurat patrzy w inną stronę, Dżem uchylił nieco zasłonę. Zanim sekretarz zauważył, co się dzieje, i zasunął ją z powrotem, kilka osób zdążyło rzucić się za karocą z okrzykiem „Dżem, Dżem” na ustach. Jacques d'Armagnac się zasępił.

– Niedobrze się stało.

– Bez przesady, cóż to takiego?

– Rozpoznali powóz Waszej Wysokości. Odtąd będzie go ścigał każdy żebrak i nędzarz Nicei.

– Czemu?

– Żebyście rzucili mu pieniądze, rzecz jasna.

– Ale ja nie mam pieniędzy.

Sekretarz markiza Marceau długo się w niego wpatrywał, ale nie powiedział ani słowa.

Tak czy inaczej Dżem nie mógł już więcej urządzać wycieczek, bo bez d'Armagnaca nie pozwalano mu wychodzić. Z każdym mijającym dniem gościna coraz bardziej przypominała niewolę.

Jedyną różnicę pomiędzy nim a jakimś skazańcem stanowiło samo więzienie – jego tonęło w przepychu, miał miękkie łóżko i nie brakowało mu jedzenia ani napitków.

Znaczyło to, że Francja tak właśnie opiekuje się jeńcami swojego króla.

*

Któregoś wieczora, w chwili, gdy słońce wpadało znad horyzontu do morza, odezwały się dzwony pobliskiej katedry.

Dong!

To był głęboki, głuchy dźwięk. Gdy drżący odgłos rozszedł się falą i ucichł, młot po raz drugi uderzył w spiż.

Donggg!

Od czasu Rodos Dżem był przyzwyczajony do dźwięku dzwonów, więc nie uznał go za powód do niepokoju. Później w innym miejscu rozbrzmiał kolejny brązowy klosz.

Donggg!

On także dźwięczał głucho i głęboko. Wkrótce cała Nicea zaczęła drżeć od głosu dzwonów.

Dong!

Donggg!

Ding!

Dong!

W dniu, w którym Dżem zjawił się na wyspie, również odezwały się wszystkie dzwony rodyjskich kościołów. Tutaj ich dźwięk był jednak inny.

Dzwony Rodos śpiewały radośnie, dźwięczały w ożywieniu. Niosły w sobie wesołość, nastrój święta, szczęście. Te były ciężkie, ponure, przerażające.

Ludzie, żegnając się, biegiem uciekali do kościołów.

– Chyba stało się coś złego – zamruczał.

– Czy chcesz, bym się dowiedziała, co się dzieje, mój panie? – spytała Ferimah.

Dżem pokręcił głową.

Jeśli stało się coś złego, to on już nie chciał tego wiedzieć.

Trzy dni później Jacques d'Armagnac tak nagle, jak zniknął, pojawił się znowu. Pozdrowił Osmanina, ale oblicze miał marsowe.

– Nareszcie – odezwał się Dżem. – Wygląda na to, że skoro wróciłeś, możemy już jechać do Lyonu, czyż nie?

– Nie – odparł szorstko d'Armagnac.

– Dlaczego?

– Ponieważ zmarł król Ludwik. Nie słyszałeś dzwonów, panie?

Choć udająca, że zajmuje się przecieraniem szklanek, Ferimah nie rozumiała ich słów, wyczuła, że mężczyzna przyniósł niepomyślną wiadomość. Twarz Dżema w jednej chwili stała się biała jak kreda.

- Zmarł?... I... co się teraz stanie?
- Poczekamy na rozkaz Najjaśniejszego Króla.
- A kiedy nadejdzie?
- Na pewno nie wcześniej niż po koronacji Jego Wysokości Karola.

Korona... Tron... Te słowa niczym złote igły wbijały się w mózg Dżema.

- Karol. Czyli tak nazywa się mój nowy pan. Kiedy?
- Koronacja? Jeszcze nie wyznaczono daty. W ciągu najbliższego miesiąca na...
- Dość tego!

Od ryku Dżema zadrżały szklane drzwi balkonu. Z wściekłością skoczył i uderzył tyłem dłoni stojące na tacy kielichy. Trzy czy cztery sztuki poleciały na ziemię, roztrzaskując się na kawałki.

– Niech się Wasza Wysokość uspokoi. – W głosie d’Armagnaca także dało się wyczuć napięcie.

– Nie będę spokojny – syknął Dżem. – Nie chcę być. Mam już dość czekania, niepewności i przemykania ukradkiem. Nawet nie mogę wystawić głowy zza okna.

– Wasza Wysokość...

– I odpuść sobie w końcu tę sztuczną uprzejmość. Żadna ze mnie „Wysokość”. Trzymacie mnie tu nie jako gościa, tylko jako więźnia. Król, który wziął mnie na jeńca, umarł, a teraz zostanę...

Wybałuszał oczy jak szaleniec. Utkwił wzrok w jedynym, jakimś cudem ocalałym kielichu. Widać było, że zaraz go złapie i rzuci nim o ścianę.

– Mój panie!

Dżem obrócił się ku krzyczącej Ferimah.

– Co się stało?

Jego oczy rzucały błyskawice.

– Krew!

Krew?

Dziewczyna podbiegła do niego w panice.

– Twoja ręka... krwawi, panie.

Dżem spojrzał na swoją prawą dłoń. Z głębokiego rozcięcia lała się krew.

Lyon, Francja

Wezwany w pośpiechu lekarz przypadł do Jacques'a d'Armagnaca.

– Trzeba zaszyć tę ranę, i to natychmiast. Może umrzeć od utraty krwi.

Mężczyzna zwrócił się do Osmanina:

– Jestem zmuszony zaszyć twą ranę, monsieur Dżem. To trochę zaboli. Czy jesteś w stanie wytrzymać, panie?

Dżem spojrzał na medyka zamglonym wzrokiem.

– Ból? Jak bardzo będzie bolało? Bardziej niż strata dziecka?

Spojrzał na Ferimah.

Dziewczyna płakała.

– Wino – powiedział. – Daj mi wina.

Wypił jeden po drugim dwa kielichy, po czym wyciągnął do lekarza rękę, którą Ferimah po oględzinach owinęła ręcznikiem.

– Niech cię nie martwi mój ból. Jestem do niego przyzwyczajony. Cierpienie to mój towarzysz. Zajmij się swoją robotą.

Z jego ust nie wyrwał się nawet najlżejszy jęk. Tylko z oczu niby deszcz płynęły słone krople.

Ferimah otarła policzki Dżema jedwabną chustką. Przez chwilę dotykała palcami łez mężczyzny, po czym obróciła się i w ukryciu je ucałowała.

„Dżem” – jęknęła w myślach. – „Ach, gdybym tylko mogła umrzeć, żebyś ty nie cierpiał”.

*

Któregoś dnia, gdy rana na jego dłoni już zaczęła się goić, kościelne dzwony znowu

zaczęły bić, tym razem radośnie.

Dang!

Ding!

Dong!

Ding, dong! Ding, dong!

„Jak te na Rodos” – przemknęło przez myśl Dżemowi. – „Weselne dzwony. Czemu mieliby świętować?”

– Widzę, Karolu – mruknął – że wsadziłeś już koronę na głowę i zająłeś tron.

Dla niektórych ludzi właśnie tak proste było życie. Władali, rozporządzali potęgą. Nie musieli walczyć o swoje prawa. Nie musieli też za nic płacić.

Na końcu języka miał wersety z jednego z listów, które wysłał mu Bajazyd.

To mnie od wieków przeznaczono władać.

Czemu przed losem nie pochylisz głowy?

„Jak to czemu, mój Bajazydzie Ago?” – drwiąco odezwał się w myślach Dżem. Właściwie było tak, jakby szydził nie ze starszego brata, ale z samego siebie. – „Wszystko przez rdzawego wilka. Czyżbyś go nie znał?”

Gdzie mieliby się poznać? Brat z pewnością nie musiał słuchać wilczych szeptów. Podobnie jak Karolowi, Bajazydowi od zawsze przeznaczone było władać.

A on ośmielił się zmienić los i samemu pisać swoją dolę. Podczas bezsennych nocy setki razy pytał sam siebie:

– Hej, Dżemie, czy to przypadkiem nie jest bunt wobec Stwórcy?

„Nie” – podnosił wtedy łeb rdzawy wilk. – „Nie bunt, ale dochodzenie należnych ci praw!”

Nie było już wilka, lecz Dżem nadal płacił własnym życiem za płonący w nim rokosz.

*

Wydawało się, że po koronacji Karola fortuna znowu uśmiechnęła się do Dżema. Jacques d'Armagnac niemalże biegiem wpadł przez drzwi.

– Jutro wyruszamy – powiedział z radością.

Osmanin starał się nie okazywać zadowolenia, ale gdy tylko usłyszał hasło „wyruszamy”, wstał z miejsca.

– Posłaniec Jego Wysokości dwa dni temu przybył do Lyonu. Najjaśniejszy Karol powiedział Jego Dostojności markizowi: „Przyjaciel mego ojca jest moim przyjacielem. Możecie zaprosić Zizima do Lyonu”.

Dżem nagle wpadł w konfuzję.

– Zizim? A to kto?

Choć bardzo się starał, d'Armagnac nie mógł ukryć uśmiechu.

– To wy, Wasza Wysokość. Lud zaczął was tak nazywać.

„Jak akrobatę z jarmarku”. – Poszedł prosto ku drzwiom, żeby nie dać po sobie poznać, co kryje się w jego myślach. Radość Dżema w jednej chwili przysłoniły cienie. Nie spodobało mu się to słowo. Brzmiało jak zniewaga albo drwina.

– A co to znaczy „Zizim”?

– Nic – rzucił d'Armagnac, nie odwracając się. – O świcie wyruszamy.

Następnego poranka na Dżema czekała już okazała karoca.

Jacques d'Armagnac otworzył przed nim drzwi, a na jego twarzy rozkwitł szeroki uśmiech.

– Markiz Marceau przekazał ci ten powóz, panie Zizim.

– Nazywam się Dżem, monsieur, już zapomniałeś?

Mężczyzna nic nie odpowiedział, tylko nadal się uśmiechał.

Gdy wsiadał, nagle ogarnęły go wątpliwości. Poza powozem z czarnym tiulem z tyłu znajdowało się jeszcze pięć czy sześć karoc.

– A Ferimah – zapytał cicho – w którym będzie powozie?

Mężczyzna się zdziwił.

– Kto?

Dżem przypomniał sobie rodyjskiego sługę i przygryzł wargi, żeby nie powiedzieć „moja służąca”. Był pewien, że dziewczyna wsiadła do jednego z pojazdów jeszcze przed pozostałymi jego towarzyszami.

Wszedł do karocy i zaczął na d’Armagnaca.

– A ty nie idziesz, monsieur?

– Usiądę w jednym z powozów z tyłu, Wasza Wysokość.

– Czemu? Na krok mnie nie odstępowałeś. Czyżby już nie groził mi zamach?

– Wręcz przeciwnie, Najjaśniejszy Panie, zagrożenie wzrosło. W drodze będzie nam towarzyszył oddział żołnierzy, a u twego boku zasiądzie ktoś inny niż ja.

Nie miał czasu, aby spytać, kto, bo d’Armagnac się cofnął i na stopień karety padł cień.

– Ferimah.

Dziewczyna weszła do środka, patrząc przed siebie. Od chwili gdy mężczyzna w śmiesznym kapeluszu pociągnął ją za rękę i przyprowadził do karocy, w której miał podróżować Dżem, czuła się jak we śnie. Dokądkolwiek pojedą, będzie to wspólna podróż.

Po raz pierwszy od dnia, w którym przed laty wyciągnęli z Kastamonu umierającą Dilrübę, aby ją zabrać na szczyt Czerwonej Skały, miała przebywać z Dżemem w jednym powozie.

A czekała ich długa droga.

Kilka godzin po opuszczeniu Nicei znaleźli się jakby w zupełnie innym świecie. Pośród głębokiej doliny płynęła rzeka, tak szeroka, że przepływały ją wciąż w jedną i drugą stronę ogromne promy. Krajobraz tonął w soczystej zieleni. Gdy podnosili głowy, za lasem widzieli góry o ośnieżonych szczytach.

Ferimah pragnęła, aby ta podróż nigdy się nie kończyła.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, ile minęło godzin od momentu, w którym wyruszyli, jednak ani razu nie uniosła głowy, aby spojrzeć na siedzącego naprzeciwko Dżema.

– Ferimah.

Głos miał łagodny.

„Panie Boże” – błagała dziewczyna w myślach. – „Tym razem nie daj mi wspomnieć o wilku i owcy”.

Jej modły zostały wysłuchane.

Dżem właśnie wbił wzrok w sufit, jakby szukał w powietrzu odpowiednich słów. Jego usta bezustannie się poruszały. „Czyżby się modlił?” – przeszło przez myśl Ferimah. Nagle Dżem odezwał się cicho:

– Czy to miesiąc święta...

– Przepraszam, mój panie, czy czegoś sobie życzysz?

Dżem jakby odpłynął do odległej krainy, gdzie nie dochodził jej głos, jednak już po chwili spotkały się ich spojrzenia.

Czy to półksiężyc miesiąca świętego, czy to łuk twych brwi?

Tak czy tak zgodę daję, by serce swoje złożyć na ofiarę.

„Boże litościwy” – krzyknęła Ferimah w duchu. Czy dobrze słyszała? Dżem, patrząc na nią, układał wiersze? Przytrzymała się czegoś, żeby na miejscu nie zemdlec i nie upaść do stóp sułtana. Bo czy jej brwi nie były zakrzywione na podobieństwo łuków? Tym razem to dla niej tworzył Płomienisty Książę.

– Twe słodkie wargi... – ciągnął Dżem.

Aż do wieczności powiodą mnie twe słodkie wargi,

Jak dzień policzki twe rozjaśnią się lśniące.

– Panie...

Jej głos wyrwał się z ust na podobieństwo jęku. Dżem patrzył na nią nieprzytomnie, jakby został nagle obudzony z głębokiego snu. Jakby po raz pierwszy ją zobaczył. Po dłuższej chwili spytał:

– Jest może w powozie coś do pisania?

Ferimah się zdziwiła. W głosie sułtana nie było ciepła uczuć, które pobrzmiwały w nim jeszcze przed momentem.

– Bo zaraz zapomnę i odleci, ech... Byłabyś to w stanie zapamiętać?

„Na całe życie” – odparła Ferimah w myślach. – „Aż do ostatniego tchu”.

Spojrzała na niego.

– Zapamiętam, mój panie.

Rozczarowanie z całą mocą odbiło się echem w jej głosie.

*

Przeżycia, które stały się jego udziałem na Rodos oraz tutaj, we Francji, odbierały Dżemowi spokój. Czasem Frankowie traktowali go, jakby naprawdę był padyszachem, a zaraz potem stawał się jeńcem, uciekinierem i wygnańcem. Raz darzyli go szacunkiem jak władcę, po chwili jednak zawsze mówili bądź robili coś takiego, że stawał twarzą w twarz z prawdą.

Darmozjad.

Tak właśnie wyglądała rzeczywistość. Cokolwiek by robił, był dla obcych pasożytem.

Taki na przykład markiz Marceau. Mężczyzna bardzo serdecznie go powitał, ale Dżem nie mógł mieć pewności, ile potrwa ta fala uczuć.

Arystokrata był pulchnym, dobrodusznym człowiekiem. Chodził drobnymi kroczkami, unosząc ramiona w powietrze i lekko chwiejąc się przy tym na boki. Miał różowe policzki, a na głowie ogromną białą perukę. Na twarzy widać było radość, jakby po długich latach spotkał się w końcu z kimś bardzo wytęsknionym.

– Monsieur Zizim, witaj w Lyonie – powiedział, po czym zbliżył się, nachylił policzek do jego policzka, a gdy poczuł dotyk wąsów przybysza, zachichotał i się

odsunął. – Aj, pańskie wąsy, Zizim... Załaskotało... Jakież to urocze.

Marceau zachowywał się tak, że Dżem tylko w myślach był w stanie mu się sprzeciwić. „Nie Zizim, monsieur, tylko sułtan Dżem. Albo po prostu Dżem. Ale nie Zizim”.

Markiz każdej nocy urządzał ucztę na jego cześć. Przechadzali się po ogrodach i pływali na rzece prywatnym promem Marceau. Mężczyzna ani razu nie spytał o jego plany, a choć Dżem kilka razy sprowadzał rozmowę do tematu walki ze swym starszym bratem, markiz jakby w ogóle tego nie zauważał. On zaś zdecydował, że nie będzie o tym więcej wspominał. Po co miałby to robić? Nie było już powrotu do Rumelii. Bajazyd wygrał, a on przegrał.

Jedyne, czego pragnął, to zobaczyć przed śmiercią pozostawione w Egipcie valide i córkę, Gevher Melike, którą Nada urodziła po jego wyjeździe z Kairu, oraz syna Murada, porzuconego na Rodos. Ciekawe, czy Gevher była piękna? Czy miała blond włosy jak jej matka? A może przypominała jego? W pierwszym liście, w którym pisała o porodzie Nady, Çiçek Hatun nazwała ją „pączkiem róży”. „Bo roztacza zapach róż”.

Ale jemu nie dane było jeszcze go poczuć. „Kto wie, jak wyrosła” – przeszło mu przez myśl. Na jego twarzy zagościł przepęnlony melancholią uśmiech. Poczł żal na myśl, że Murad nie zmieściłby się pewnie w jego dłoni. Kogo będzie przypominał? Ogarnął go nieopisany smutek. Jego rodzina była w rozsypce. W cudzych państwach i obcych krainach. Nie wiedział, czy to wszystko było cokolwiek warte, czy gdyby zdał się na los, uniknąłby tych przeżyć. Czy on i jego dzieci uszliby z życiem, gdyby został w Imperium Osmańskim? Nie był tego taki pewien.

Lyon mu się spodobał. Widoczne z jego okna wspaniałe ośnieżone Alpy przypominały góry Küre, w których dostał swój bejlik. W miarę upływu miesięcy zaczął się zastanawiać, czy mógłby ściągnąć do siebie Çiçek Hatun i Gevher, a może nawet Murada z jego matką. Człł się swobodnie. Nie wyobrażał sobie lepszego miejsca na wygnanie. Ferimah była milcząca, ale szczęśliwa. Jego towarzysze mogli się swobodnie poruszać i spacerować. Za pomocą kilku frankijskich słów, których się nauczyli, flirtowali z posługaczkami w pałacu markiza i rozśmieszali kobiety do łez.

– No, panowie – powiedział do nich któregoś dnia – wygląda na to, że dotarliśmy do ostatniego przystanku wygnania w naszym życiu. A sądząc po tym, że o Bajazydzie Adze ani widu, ani słyhu, zabrakło mu pomysłu, dokąd nas przepędzić.

Tak przynajmniej sądził do pewnego poranka.

– Mój panie – Ferimah z uwagą wpatrywała się w dziedziniec pałacu. Zbladła i wydawała się złękiona.

Dżem natychmiast do niej podszedł.

– Co się stało?... Gdzie...?

Zamilkł, bo i on dojrzał powód trwogi Ferimah. Na dole stały dwa powozy. Czterech mężczyzn w turbanach wyciągało skrzynie z tylnego pojazdu. Pomagali im frankijscy pachołkowie. Nagle przypomniał sobie, że widział już tę karocę z przodu. To w niej przyjechał z Nicei do Lyonu. W pojeździe, który markiz Marceau przeznaczał dla ważnych gości. Jego drzwi były zamknięte do momentu, w którym jeden z miejscowych posługaczy biegiem podstawił do niego schodki.

Kto mógł być w środku?

Ferimah jakby zrozumiała, co chodzi mu po głowie.

– A może – mruknęła – to z pałacu Mameluków...

Nie. Nie tak wyglądały mameluckie turbany. Ci mężczyźni byli Osmanami.

Gdy sługa przymocował schodki, ktoś zbiegł po stopniach prowadzących do pałacu prosto ku powozowi.

Jacques d'Armagnac! Osobisty sekretarz markiza Marceau. W ręku trzymał swój kapelusz z piórem. Sługa otworzył drzwi i usunął się na bok. Przez chwilę nikt nie wychodził ze środka.

W końcu z powozu wyskoczył ktoś, kogo się najmniej spodziewali. Dżem widział go u boku kawalera Pierre'a d'Aubussona w dniu, w którym trafili na Rodos.

Kardynał Georges Dimitrius.

Ferimah krzyknęła.

– Czerwona czapka! – Dziewczyna natychmiast przysłoniła usta rękoma.

Dżem również był w szoku. Co ten człowiek tu robi? Zaczęło mu dźwięczeć w uszach.

Widać było, że to nie na niego czeka d'Armagnac. Gdy kardynał wyszedł z powozu i stanął u jego boku, mężczyzna uklonił się, machając kapeluszem. Zgiął się tak głęboko, że jego nakrycie głowy omiotło ziemię. To by znaczyło, że prawdziwie wyczekiwany przybysz jest gotowy do opuszczenia pojazdu.

Najpierw ich oczom ukazała się stopa obuta w pantofel z ostrym noskiem. Później pojawił się ogromny turban z ciasno okrytym zawojem i czarnym czubkiem, a na samym końcu masywny korpus szacownie wyglądającego mężczyzny.

Jacques d'Armagnac nadal trwał pochylony, za to kardynał stał u jego boku z beznamytnym wyrazem twarzy. Przybysz uniósł głowę dopiero wtedy, gdy pochylając się, opuścił powóz.

– Hercegowińczyk!

Ferimah rzuciła Dżemowi pytające spojrzenie.

– Ahmed Pasza z Hercegowiny. Arcyszpieg Bajazyda Agi.

– Dlaczego miałby tutaj przyjeżdżać?

– Nie wiem, ale nie wróży to nic dobrego

– A ten drugi? W czerwonej czapce?

Dżem wzruszył ramionami.

Oczy Ferimah były szeroko otwarte z lęku i zdumienia, a gdy ujrzała wyraz twarzy Dżema, jej obawy przerodziły się w czysty strach.

– A co, jeśli – szeptał Dżem, jakby rozmawiał sam ze sobą – od samego początku byliśmy jeńcami rycerzy?

*

Dwa dni później jeden z pałacowych sług odwiedził go, aby zawiadomić, że poseł sułtana Bajazyda pragnie się z nim widzieć.

Drzwi były otwarte. Dżem wiedział, że Ahmed Pasza czeka tuż za nimi.

– Nie mam nic do powiedzenia podnóżkowi mojego brata – podniósł głos – a już w szczególności, jeśli wozi ze sobą księdza niewiernych. – Umilkł na chwilę. – Niedoczekanie – zagrzmiał. – Co to, czyżbym kiedykolwiek usłuchał Bajazyda Agi, żeby teraz nadstawić ucha przed jego sługą? Tak czy inaczej już niedługo wkroczę do stolicy. Jeśli jego pan ma mi coś do powiedzenia, zaproszę go wtedy na audiencję, pozwolę ucałować mą szatę i wysłucham. A teraz powiedz temu podnóżkowi, żeby wziął swojego

klechę i odszedł, skąd go przywiało.

Oczywiście pałacowy sługa niczego nie zrozumiał i zszokowany patrzył na Dżema, co rusz mrugając oczami. Co innego jednak prawdziwy adresat tych słów.

– Ha! – huknął z zewnątrz Ahmed Pasza z Hercegowiny. – Patrzcie no, jak stroszy piórka buntownik. Ciekawe, skąd ta jego pewność siebie. Przecież wszyscy jego stronnicy już smażą się w piekle. Chan Bajazyd kazał Gedikowi Paszy zapłacić za swą zdradę i wręczył mu czarny chałat. Nie wypuścił strzały na renegata, więc musiał oddać głowę.

Zamilkł. Odczekał, aby sprawdzić, jakie wrażenie wywrą jego słowa.

– „Niech to” – pomyślał Dżem. – „Mój biedny Ahmedzie Paszo. Zginałeś z mojej winy, tak?”

Nie odezwał się jednak.

Nie słysząc żadnej reakcji, Hercegowińczyk ciągnął dalej, jakby rozmawiał z kimś twarzą w twarz. Teraz każde słowo wypowiadał niby zemstę, każdym zdaniem wymierzał cios.

– Sen mąciela o Rumelii też się nie ziścił. Mój padyszach dokończył podbój Bośni i wyrznął tych serbskich buntowników, którym zdrajca tak zawierzał. Bregorović zginął od jedenastu strzał, a drugi bluźnierca wpadł do bagien Sawy podczas ucieczki, by więcej nie powstać.

Dżem zwiesił ramiona. Nawet gdyby dotarł do Rumelii, nie było już drzwi, do których mógłby zapukać. Może i nie dopuścił do siebie Ahmeda Paszy z Hercegowiny, ale ten powiedział, co miał do powiedzenia, i wylał swój jad.

Po szeleście tkaniny i stukaniu pantofli o nagi kamień rozpoznał, że pasza obrócił się i oddalił z wściekłością. Czyżby Bajazyd Aga posłał Hercegowińczyka tylko po to, aby poinformował go o śmierci Gedika Paszy i dwóch serbskich książąt? Dżemowi nie wydawało się to prawdopodobne.

Za tą wizytą musiało się kryć jakieś inne plugawe łajdactwo.

Minął jeszcze tydzień, zanim je poznał. Stało się to pewnego wieczora, kiedy niepokazujący się nigdzie od czasu przybycia Ahmeda Paszy markiz Marceau cały w nerwach wpadł do jego apartamentów.

– Zizimie, Zizimie. Och, będę za tobą tęsknił, Zizimie.

– Będziesz tęsknił? Wybierasz się gdzieś?

– To ty wyjeżdżasz, panie. *Oh là là!* A tak się do ciebie przyzwyczaiłem. Cóż jednak robić, królewski rozkaz... Jego Wysokość sądzi, że grozi ci tu niebezpieczeństwo.

– Rozkaz króla? – odezwał się Dżem spokojnie. – A może rozkaz Rodyjczyka d'Aubussona, który każe się nazywać wielkim mistrzem?

Markiz Marceau spojrzał mu w twarz, jakby po raz pierwszy słyszał to imię.

– Joannita, Zizimie?

Nie odpowiedział. Jego życiem znowu miały sztormowe fale. Przyjacielski, serdeczny Marceau w jednej chwili stał się jeśli nie wrogiem, to chłodnym markizem. To by znaczyło, że Bajazyd Aga znalazł w końcu kolejne, jeszcze bardziej odległe miejsce, do którego mógłby go wywieźć.

– Dokąd mnie przepędzacie?

Markiz spurpurowiał.

– Kto tu mówi o przepędzeniu? – odezwał się po dłuższej chwili. – *Oh là là!* Jakie wypędzenie? Osiądziesz w miejscu, gdzie będziesz bardziej bezpieczny. Jutro wyruszasz do Delfinatu. Zamek Le Pouet jest bardzo...

Nie słuchał dalej, bo w jego głowie odezwał się właśnie inny głos. Zawył wilk. Rdzawy wilk w końcu wrócił.

„Ostatnia wola twojej matki” – powtarzał bez przerwy. – „Porzucasz tron i koronę, w porządku, ale co z zemstą za maleńkiego Oğuz Hana? Nie uszanujesz jej? Nie wolno ci umrzeć, dopóki nie odplacisz się Bajazydowi”.

Kiedy ujrzał z daleka zamek Le Pouet, za którym wznosiły się ośnieżone szczyty, w jednej chwili zrozumiał. „Hej, Dżemie” – powiedział w myślach. – „Teraz zaczyna się prawdziwa niewola”.

Delfinat, zamek Le Pouet

„No proszę, Bajazydzie Ago” – burknął w myślach, gdy tylko ujrzał z oddali zamek. – „W końcu znalazłeś miejsce, żeby mnie pogrzebać”.

Sądził, że za Niceą nie ma już innych krain, mylił się jednak. Tak naprawdę to tutaj znajdował się kraniec świata. Nie mogła istnieć większa dal od tej.

Tak właściwie Le Pouet nie było niczym więcej, jak tylko malutką wsią nieopodal zamku. Jakby urwiste zbocza oraz nieprzystępne skały, na których je zbudowano, jeszcze nie wystarczyły, zamek otaczały grube i wysokie mury. W ich trzech rogach znajdowały się strzelające w niebo wieże. Przed fortyfikacjami rozciągała się również wypełniona wodą fosa. Po wyjściu z powozów przez ponad godzinę wspinali się, aż dotarli do rowu. Dostali się do środka dopiero, gdy prowadzący krzykami dogadali się z wartownikami na górze i ze szczękiem łańcuchów opuszczono wielki drewniany most przysłaniający zamkową bramę. Ich oczom ukazał się spory plac. Prócz kilku wozów z sianem Dżem dostrzegł w pobliżu rozmieszczone to tu, to tam stosy ogromnych głazów, które w razie ataku można było zrzucić z baszt. Poza tym na samym środku placu mieściły się dwie wielkie katapulty. „To nimi muszą wyrzucać głazy” – przeszło mu przez myśl. Gdy tak obserwował otoczenie, a przechodzący nieopodal wieśniacy patrzyli na przybyszów, most za plecami Dżema ponownie uniósł się z łoskotem łańcuchów i Le Pouet odcięto od świata.

Nie tylko przeciwnicy, ale nawet kozy nie dałyby rady wspiąć się na te mury. Tylko orły, jastrzębie i sokoły były zdolne wlatywać nad zamkowe wieże.

W fortecy znajdował się niewielki garnizon. Gdy Dżem zobaczył żołnierzy, wątpliwości, które rozbudzili wysiadający w Lyonie z powozu rodyjski kardynał Dimitrius i posłany przez Bajazyda Ahmed Pasza z Hercegowiny, znowu odżyły.

Wartownicy nosili kirysy, zupełnie jak rycerze na Rodos, a ich hełmy z zasłonami przypominały przyłbice tamtych. Na koszulach bez rękawów, które zakładali na zbroje, na wysokości serca znajdowały się czerwone krzyże. Może i nie okrywały całej piersi jak u joannitów, ale nadal były to symboliczne krucyfiksy.

A jeśli Le Pouet było zamkiem rycerzy? Rodyjska forteca w krainie Franków! Czy coś takiego było możliwe?

Oddali mu komnatę na ostatnim piętrze najwyższej wieży. Nad nim wznosiło się tylko błękitne niebo. Gdyby przez swoje małe niczym otwór strzelniczy okno widział

morze, mógłby sądzić, że znowu trafił do zamku joannitów w Halikarnasie, jednak w dole rozciągała się tylko głęboka, mroczna dolina. Widział wszystko z lotu ptaka, co było całkiem na miejscu, zważywszy że przed jego oknem latały rozkrzyczane jastrzębie.

Przy wejściu do wieży i przed jego drzwiami trzymano straż.

Kwatery dla jego towarzyszy zorganizowano na mieszczącym koszary wartowników i stajnie dziedzińcu. Po łózkach w Nicei i Lyonie spanie na wypełnionych sianem posłaniach musiało być dla nich trudne, nikt się jednak nie skarżył.

Pokój Ferimah znajdował się piętro niżej i był bardzo mały: wysoki na dziesięć kroków, a szeroki na sześć. Nie było tam nie tylko okna, ale nawet najdrobniejszej dziurki, przez którą mogłaby wyglądać na zewnątrz. Dziewczyna jednak nie narzekała. Była nawet szczęśliwa, bo z tego ciasnego, dusznego pomieszczenia mogła się wspinać po wąskich schodach wprost do niego.

Dżem nie spytał nikogo, ile tam zostaną, odpowiedź była bowiem oczywista: w nieskończoność. Umrze tu, nie wypełniwszy zemsty za Oğuz Hana.

Minęła pierwsza zima.

Wraz z nadejściem drugiej któregoś dnia rozbrzmiał malutki dzwon wioskowego kościółka.

Dang!

– Czemu bije ten dzwon? – spytał.

Powiedziano mu, że umarł papież Sykstus IV.

Kiedy miesiąc później ten sam dzwon wydzwonił swoje „dang”, Dżem już nic nie mówił. Domyślił się, że wybrano kolejnego Ojca Świętego. Zadał tylko jedno pytanie:

– Kto?

– Kardynał Giovanni Battista Cybo został papieżem. Ojciec Święty nosi odtąd imię Innocenty VIII.

Dżem nie odczuwał już nawet potrzeby, żeby wyglądać przez swoje strzelnicze okienko. I tak znał widok na pamięć.

Trzeciego roku pozwolono mu na przechadzki wewnątrz zamku, pod warunkiem że nie opuści obrębu murów. Jak miałby wyjść bez podnoszenia mostu?

W niektóre dni wraz z Ferimah, subaszem Davudem i dowódcą gwardii Mustafą schodził do wsi na plac, gdzie urządzano jarmarki. Na początku mieszkańcy przerzucali się szeptami „Zizim, Zizim”, gdy tylko go widzieli, i niezmiernie ich dziwiły pozdrowienia Dżema. Byli to chłopcy, którzy uznawali witanie buntowników za swój obowiązek, ba, wierzyli nawet, że w tym właśnie celu stworzył ich Bóg. Nieufność z pierwszych dni z czasem zniknęła. Gdy Dżem pojawiał się na placu, kobiety, dziewczęta i młodzieńcy pozdrawiali go lekkim ukłonem, a on odpowiadał im, machając ręką. Gdy Ferimah brała jakieś produkty i wrzucała je do trzymanego przez siebie małego koszyka, zaraz obskakiwały ją kobiety ze wsi i starając się porozumieć, przerzucały się śmiechami.

Czwartego roku doszło po kolei do kilku wydarzeń, które wszystkich zasmuciły.

Subaszy Davud Aga zachorował i płonął gorączką, a jako że w zamku nie było lekarza, przysłano kogoś ze wsi. Po uważnym zbadaniu Davuda pokiwał tylko głową i odszedł. Trzy dni później stracili subaszego, a na początku września odszedł Halil Aga z Mentese.

Gdy oddali go już ziemi, Dżem westchnął z bólem.

– Nawet nie wiedzieliśmy, co ich trapiło.

– Tęsknota.

Obrócił się ku Ferimah.

– Tęsknota?

Dziewczyna skinęła głową.

– Tak, mój panie. – Z trudem można było usłyszeć jej głos. – To właśnie nazywają tęsknotą za ziemią rodzinną. Powiadają, że jak raz uczepli się człowieka, nie puści, póki mu życia nie wydrze.

Dżemowi spodobała się mądra wypowiedź dziewczyny.

– A ty skąd możesz o tym wiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu wiem.

– Podejdź tutaj – odezwał się Dżem. – Zbliź się.

Ferimah stanęła obok niego ze zwieszoną głową. Mężczyzna wyciągnął dłoń i przytrzymał jej ręce.

– Spójrz na mnie.

Nie zrobiła tego.

– Powiedziałem, żebyś na mnie spojrzała, Ferimah.

Uniosła głowę, a Dżem zobaczył w kącikach jej oczu diamentowe pobłyski.

– Skąd pochodzisz, Ferimah?

Dziewczyna opuściła głowę. Wydawało się, że coś wybąkała.

– Proszę? Nie usłyszałem.

– Już mówiłam. Nazywają tę krainę Chaldią^[85]. – Odpowiadała mu niechętnie. – A ja pochodzę z Bagbartu.

Dżem długo patrzył na nią bez słowa. Ferimah miała rację. Wiele razy zadawał jej już wcześniej to pytanie i za każdym otrzymywał tę samą odpowiedź, jednak z jakiegoś powodu nie był w stanie w nią uwierzyć.

– No dobrze, ale czy nie tęsknisz za ojczyzną?

Dziewczyna nagle uniosła wlepione dotychczas w ziemię oczy.

– Nie. – Dżem po raz pierwszy słyszał, żeby jej głos zabrzmiał tak twardo. – Już lata temu pozbyłam się nostalgii, mój panie... W przeciwnym wypadku...

– W przeciwnym wypadku co?

– W przeciwnym wypadku... – Widać było, że nie jest w stanie dopowiedzieć reszty. W końcu rzuciła jednak: – Inaczej to ja bym zniknęła. Moja tęsknota odeszła. Wyrzuciłam ją z głowy i z serca.

Dżem puścił ręce dziewczyny. Wstał i podszedł do wąskiego okna. Na zewnątrz widać było ciężkie, czarne chmury. W głębokiej dolinie lało jak z cebra.

– A co ja mam zrobić, Ferimah? – mruknął. – Jak mam się pozbyć mojej tęsknoty?

Zapadła cisza przerywana tylko odgłosami deszczu. Dżem z nagłą obrócił ku niej zamyśloną twarz. Ferimah już знаła to spojrzenie. Jej Płomienisty Książę znajdował się w zupełnie innym świecie. Wzięła kawałek pergaminu z szuflady biurka, naostrzyła czubek pióra i zanurzyła go w atramencie.

– Jestem gotowa, panie.

– W takim razie pisz.

Ciemność mi ze świata jasnego uczyniło

skrzydłami deszczu, czarnochmure niebo.

W kpiel frankijską mnie niecnieś rzuciło.

Z oczu mi płynie krwiste morze, niebo.

^[85] Chaldia – historyczna kraina w północno-wschodniej części Azji Mniejszej, nad Morzem Czarnym.

Piątego roku zima z furją uderzyła w zamek Le Pouet. Opuściły go nawet orły, jastrzębie i sokoły. Przy takiej pogodzie z pewnością uciekły do swoich schronień. Było ich więc troje w wielkiej wieży – Dżem, Ferimah i strażnik przy drzwiach.

Deszcz od trzech dni bez przerwy uderzał o kamienne mury. Wilgoć sprawiła, że zimno stało się jeszcze bardziej nie do wytrzymania. Małe palenisko w pokoju także nie spełniało swojej funkcji. Każdego dnia Ferimah zносиła drewno skąd tylko mogła i z pięcioma czy sześcioma kawałkami w ramionach wspinała się po schodach, żeby rozpaść ogień. Ziąb był jednak tak dojmujący, że drwa wygasły w kilka godzin później.

Prośenie o opał dowódcę garnizonu także nie przynosiło skutku, bo w zamku nie ostała się już żadna sucha rzecz. Z tego też powodu rozpalanie drew przyniesionych przez Ferimah było mocno problematyczne. Gdy już zapłonęły, gęsty dym sprawiał, że nie widzieli dalej niż czubek własnego nosa.

Mimo to Dżem zaliczał się do szczęśliwców. Mieli przynajmniej własne palenisko. Jego towarzysze, którzy schronili się w koszarach żołnierzy, nie odczuli poprawy sytuacji, bo i ten budynek znajdował się w opłakanym stanie. Dach przeciekał, a siano kompletnie przemokło, przez co zdawało się, że leżą na lodzie. Nie było w zamku ludzi, którzy by bezustannie nie kasłali.

Od dwóch dni brakowało opału. Ferimah przeszukała skrzynie i ubrała Dżema we wszystko, co znalazła, warstwa po warstwie. Sprzeciwiał się co prawda, dziewczyna była jednak głucha na jego protesty. Zniknął podział na panów i sługi. Mróz miazdżył wszystko na swojej drodze, na równi bogaczy i biedaków, królów i poddanych.

I choć Dżem nosił dwa założone przez Ferimah kaftany, jeden na drugim, odczuwał zimno w całym ciele. Za to dziewczyna nie miała żadnej porządnej, grubej rzeczy. Od ziąbu czerwieniały jej policzki, a gdy mówiła, z ust unosiły się kłęby pary.

Dżem wstał i podszedł do skrzyń. Wiedział, że Ferimah obserwuje go kątem oka. Uchylił wieko ogromnego mebla, który dziewczyna trzymała zamknięty, aby nie uległ wpływowi kurzu i wilgoci. Wyciągnął kaftan z futrem z gronostajów zakładany na oficjalne uroczystości, audyencje i tym podobne okazje.

– Ferimah.

– Słucham, panie.

Rozchylił poły ubrania i wyciągnął w kierunku dziewczyny.

– Chodź, weź to i załóż.

Ferimah podskoczyła, jakby usiadła na igle. Najpierw zdało się, jakby na jej twarzy wystąpił ciepłutki uśmiech, po chwili jednak uniosła jedną brew.

– Nie ma mowy.

– Mówię przecież.

Głos miał twardy, ale dziewczynie zdał się łagodny jak bryza.

– Za żadne skarby... Ja go... Ja...

– Ty go co?

– Ja go... – Nie była w stanie mówić dalej.

Dżemowi skończyła się cierpliwość.

– Ferimah – burknął – zakładaj to, ale już.

Dziewczyna pokiwała głową, ale jej oczy patrzyły z wdzięcznością.

– Nie mogę – powiedziała momentalnie. – To twój... Chowam go na dzień, w którym wrócisz do stolicy i zasiądziesz na tronie, mój panie.

Zimno i wilgoć naraz znikły. We wnętrzu Dżema rozlało się ciepło.

Nie było już żadnego tronu ani stolicy, ale dziewczynę nadal przepęniała nadzieja. Jakby przejęła marzenia swojego sułtana. To ona wyobrażała sobie teraz ich powrót do Stambułu, dzień, w którym Dżem obali Bajazyda Agę i zostanie padyszachem, przypasawszy miecz w meczecie Ajjub Sultana.

W gardle stanęła mu wielka gula. Starał się przełknąć, ale na próżno.

– Ja... – powiedział. Nie wyszło. Zakaszłał.

W końcu wyciągnął kaftan w jej kierunku i zamachał nim w powietrzu.

– Niech będzie – wykrztusił w końcu – ale teraz ty go masz nosić. Później coś się poradzi. – Zezłościł się, widząc, że dziewczyna nadal się waha. – No dalej!

Tym razem jego głos naprawdę był ostry jak u sułtana.

Ferimah pochyliła głowę i podbiegła. Wyciągnęła rękę, aby wziąć strój, Dżem nie podał go jej jednak.

– Załóż.

Bardzo się zdziwił, gdy zobaczył, jak na przyjęciach w pałacu markiza Marceau w Lyonie mężczyźni podsuwają kobietom płaszcze do założenia, a teraz to on miał przyodziać w kaftan Ferimah.

Policzki dziewczyny całkiem spąsowiały, ale nie ukrywała już uśmiechu na twarzy. Było w nim wszystko – szczęście, zadowolenie i wdzięczność. Odwróciła się plecami do swojego Płomienistego Księcia. Dżem ułożył kaftan na jej ramionach, a ona włożyła ręce do środka. Boże, jakie to było miękkie i jakie ciepłe! Od razu się rozgrzała. Nagle Ferimah uczyniła coś, czegoś się Dżem nie spodziewał i czego ona sama nie ośmielała się wyobrazić nawet w marzeniach. Obróciła się, w jednej chwili złapała go za rękę i złożyła na niej pocałunek.

Zawstydzila się. Wysoko uniosła brzegi stroju, aby nie zamiatać nimi podłogi, i zbiegła po schodach. Dżem długo patrzył w stronę jej pokoju. Później spuścił spojrzenie na rękę, którą pocałowała.

– Wariatka – mruknął. – To nie służąca, tylko wariatka.

*

Tamtej nocy Dżema obudził dźwięk łańcuchów. Opuszczano zamkowy most.

Kto mógł się zjawić o tak późnej godzinie i przy takiej pogodzie?

Gdy przebrzmiał łoskot, usłyszał donośny stukot podków na zawieszonym nad przepaścią drewnianym moście. Koni musiało być więcej niż tylko jeden.

Wstał pośpiesznie. Może i przez swoje okienko strzelnicze nie widział całości mostu, ale przynajmniej część ukazała się jego oczom. Wartownicy po stronie, na którą patrzył, unieśli włócznie, a czterech żołnierzy z pochodniami w rękach czekało na frontowym placu.

Najpierw w mdłym świetle dojrzał dwóch jeźdźców z kopiami. Byli kompletnie przemoczeni. Hełmy na ich głowach zajaśniały na chwilę na podobieństwo złota.

Później ukazał się tylko jeden, potężny koń. Prawdziwy rumak bojowy

z metalowym naczółkiem. Jego czerwono-błękitno-białą uzdę trzymała dłoń w skórzanej rękawicy.

W końcu pojawił się jeździec siedzący na siodle z wysokim oparciem. Tonął w czarnej skórzanej pelerynie, której ramiona okrywał szeroki kołnierz. Jako że przez deszcz kaptur miał nasunięty mocno do przodu, nie dało się zobaczyć jego twarzy. Czerwone i żółte blaski ogni tańczyły na mokrym okryciu niby złowrogie, tajemnicze cienie. Za konnym w płaszczu jechało jeszcze dwóch ludzi. Gdy już dostali się na plac, szcęknał łańcuch i most zamkowy z wolna się podniósł. Z łoskotem uderzył w kamienną ścianę. Le Pouet znowu pograżyło się w ciszy przerywanej wyłącznie głosem bijącego o mury deszczu.

Dżem nie był już w stanie spać. Podeszedł do stołu i usiłował zapalić stojącą na nim świecę. Nie udało mu się.

– Szlag by to trafił – mruknął gniewnie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zawołać Ferimah, ale zrezygnował. Ona też z pewnością się obudziła, ale nie przyszła do niego. Może sądziła, że śpi.

Usiadł na łóżku. Uniósł krawędzie wszystkiego, czym okryła je Ferimah, i wszedł pod tę stertę, aby się ogrzać. Niezliczone pytania przypuściły atak na jego umysł.

Kim jest ten człowiek? Co robi w zamku przy takiej pogodzie? Jaka niecierpiąca zwłoki sprawa spowodowała, że nie mógł poczekać do rana albo do ustania deszczu?

Jeździec z czterema strażnikami.

Naraz przypomniał sobie zbroję wierzchowca mężczyzny w pelerynie. A później lejce. Czemu nie miał zwykłej skórzanej uprzęży jak pozostałe, tylko ozdobną, czerwono-błękitno-białą? Z pewnością był kimś ważnym.

Potem w umyśle pojawiły się czubki włóczy strażników. Z początku ich nie zauważył. Czterej jeźdźcy trzymali broń pionowo opartą na lewym ramieniu. Czerwono-błękitno-białe pasy materiału zwisające z grotów umknęły jego uwadze, ponieważ opadły pod ciężarem wody. Lecz po czasie, gdy przypominał sobie scenę ze szczegółami...

Kim jest ten mężczyzna? Czemu tutaj przyjechał? Naraz usłyszał dźwięk stóp wbiegających po schodach. Jacyś ludzie wspinali się na górę. Nieśli pochodnie, a światło zaczęło przenikać do wnętrza przez szczelinę pod drzwiami. Odgłosom kroków towarzyszył brzęk metalu.

Miecze.

Broń dźwięczała u boku biegnących mężczyzn. Zdał sobie sprawę, że strażnik po drugiej stronie drzwi puścił się pędem w dół, gnając po stopniach wieży. Dlaczego?

Dźwięki stóp nagle ucichły, rozległy się za to pokrzykiwania. Później znowu zaczęły się wspinać. Odgłosy stopniowo się przybliżały.

Dżem przypomniał sobie nagle ostrzeżenie Jacques'a d'Armagnaca: „Niebezpieczeństwo, zamach”. Jeśli to był atak, jak miały się bronić? Malutkim handzarem, który trzymał pod poduszką? Przeszukał pokój wzrokiem. Poza dwoma krzesłami nie znalazł nic, czym mógłby uderzyć. Nie miał wyboru. Złapał jedno z siedzeń.

– Mój panie?

Dżem obrócił się z prędkością błyskawicy.

Ferimah stała tuż za jego plecami. Oczy miała szeroko otwarte, a ramię uniesione.

Boże litościwy! W jej dłoni spoczywał zakrzywiony sztylet. Perski kindżał!

Do paniki, która opanowała go już wcześniej, dołączył jeszcze większy strach. Pot lał mu się po plecach. Nawet nie usłyszał jej kroków. Stała tuż za nim, a dłoń, w której trzymała ostrze, wisiała w powietrzu. A jeśli... Jeśli...

Nijak nie był w stanie rozwikłać tajemnicy dziewczyny. Już od dawna ją podejrzewał, ale nigdy w ten sposób. Ani razu nie przyszło mu do głowy, że mogłaby być szpiegiem lub zabójcą. Dla niego była kimś zupełnie innym. Dziwną, nieopisaną istotą. Jego służącą, ale przecież zupełnie inną niż wszystkie. Ile to razy myślał, że sposób, w jaki się wysławia, jak siedzi i się porusza, i jej rozległa wiedza, przywodzą na myśl kobiety z pałacu. Ale i co do tego nie miał pewności, bo jednocześnie była niesamowitym wojownikiem, z którym ramię w ramię walczył i jeździł po polach Yeşilovy i Yenişehir, podczas oblężenia Karamanu i w bitwie na Engürü.

To tym kindżałem ucięła niegdyś łeb straszliwej kobry. Jeśliby tylko chciała, miała dość sił, by jednym ruchem zatopić go w jego sercu i rozpruć wnętrze.

Jeśli jednak naprawdę chciała go zabić, to przecież w ciągu tylu lat znalazłaby z tysiąc okazji. Czy wybrała akurat tę złowieszczą noc, aby odebrać mu życie?

Zdawał sobie sprawę, że bredzi w histerii. W ostatnim ataku wątpliwości pomyślał, że mogła współpracować z człowiekiem w czarnej pelerynie, ale prędko odrzucił tę myśl. Mimo to warknął:

– Co ty tu robisz? Czego szukasz za moimi plecami? I skąd to masz?

Jego wzrok spoczywał na ostrzu.

Ferimah, przykładając palec do ust, nakazała mu milczenie.

– Stań za mną, panie. Jesteś w niebezpieczeństwie.

Dźwięki stóp, chrzęst oręża i szelest ubrań słyhać już było piętro niżej. Blask spod drzwi stał się mocniejszy.

– Nikt cię nie tknie – powiedziała Ferimah, ukrywając się za drzwiami. Dżemowi zdało się nagle, że dziewczyna przypomina tygrysa szykującego się do skoku na myśliwych. W jej oczach czaiło się szaleństwo. Nie było wątpliwości, że nie podda się napastnikowi bez walki.

Stanęli przed wejściem.

– Zizimie, otwórz drzwi.

Rozpoznał głos strażnika. Czemu ten wiecznie pokrzykujący mężczyzna nagle zaczął szeptać? Dżem spojrzał na dziewczynę, jakby pytając, co dalej. Ferimah gestem nakazała mu milczenie. Uniosła dłoń, w której tkwił kindżał. Stała napięta niby gotowy do strzału łuk.

– Zizimie, na miłość boską, otwieraj.

Wartownik znowu zniżył głos. Przed drzwiami rozległy się niewyraźne pomrukiwania. Jakby ktoś gniewał się na strażnika. Trzy razy głośno zapukano do drzwi.

Puk! Puk! Puk!

– Zizimie – odezwał się z zewnątrz ktoś inny – racz otworzyć drzwi. Muszę z tobą pomówić.

Kto to był? Kobieta? Usłyszał cienki, choć starający się brzmieć grubo głos, nawykły jednak do wydawania rozkazów.

– Kim jesteś?

Na chwilę zapadła cisza.

– Królem Francji!

Dżema zamurowało.

– Królem?

Szepnął do Ferimah, która spoglądała na niego, próbując zrozumieć, co się dzieje:

– To król.

Dziewczyna się zdziwiła, mimo to nie wyszła z za drzwi, a kindżał nadal spoczywał w jej dłoni.

– Czy możesz już otworzyć?

Znów ten głos. Może monarcha był chory? A może na zewnątrz stoi kobieta starająca się mu wmówić, że jest królem?

Dżem wciągnął na plecy leżący u stóp łóżka kaftan.

– Nie są zamknięte.

Ciężkie drewniane drzwi ze zgrzytem otworzyły się na całą szerokość. W tamtej chwili Dżem pomyślał o schowanej za nimi Ferimah.

Na wprost niego stał człowiek w skórzanej pelerynie.

W świetle trzymany przez strażników za jego plecami pochodni okrywający twarz kaptur nadał obliczu przybysza przeraźliwą barwę.

Mężczyzna w płaszczu się poruszył, a okrycie zsunęło się na jego ramiona.

Boże litościwy!

Dziecko. A może powinien powiedzieć „młodzieniec”?

Peleryna, którą nosił, sprawiała, że wydawał się olbrzymem z legend, ale Dżem mógłby przysiąc, że w środku kryje się wiotkie i cherlawe ciało chłopca.

Zdało mu się, jakby widział samego siebie w tym wieku, z tą różnicą, że włosy spływające na ramiona dzieciaka były rude. Nie miał pewności, czy naprawdę był ryż, czy tylko wydawał się taki w świetle pochodni.

– Monsieur Zizim – odezwał się. Dziecko znowu próbowało nadać głosowi gruby ton, ale na próżno. Dobrze znał to uczucie. On też starał się mówić gardłowo, aby wydobyć z siebie jako tako męskie dźwięki, ale cokolwiek by zrobił, tembr jego głosu wciąż należał do małego chłopca. – Wygląda na to, że cię zaskoczyłem.

– Owszem.

– Najwyraźniej nie uwierzyłeś, kim jestem, bo naprzeciw widzisz tylko dziecko. Po władcy spodziewałbyś się kogoś dojrzałego, może nawet starca, ale ja mam trzynaście lat i naprawdę jestem królem, monsieur Zizimie, synem Ludwika XI, za którego sprawą tutaj trafiłeś.

Usta chłopaka się poruszały, ale Dżem już go nie słyszał.

„Trzynastoletni król” – pomyślał.

Przypomniawszy sobie, jak słysząc dzwony Lyonu obwieszczające wstąpienie Karola na tron, pozazdrościł mu ogromnego szczęścia.

Gdy on był w wieku tego dziecka, wzdrygał się na każdy odgłos kroków, spodziewając się przybycia katów. Nie miał nawet pewności, czy dożyje czternastej wiosny. A tu proszę – trzynastoletni syn gajura Ludwika został królem, nie obawiając się śmierci i nie wsłuchując w dźwięki kroków.

To było niesprawiedliwe. Czy tak właśnie toczyły się koleje losu?

„Ależ Dżemie” – odezwał się głos w jego głowie. – „W wieku trzynastu lat ty też posmakowałeś nieco władzy”.

Prychnął w myślach. Przed oczami stanęły mu dywany, które zwoływał w tamtych dniach pod wpływem goniących za prestiżem, pozycją i urzędem szczurów.

– Na Boga, mój książę. Chan Fatih z pewnością poległ na polu bitwy. Tron Imperium Osmańskiego nie może stać pusty.

I te noce, spędzone w oczekiwaniu na katowskie sznury, które mieli mu owinąć wokół szyi po szczęśliwym powrocie jego ojca z wyprawy. Chwile, w których porzucił wszelką nadzieję.

„A co z Bursą?” – nalegał głos. – „Przecież w Bursie ogłosiłeś się padyszachem”.

W duchu zaśmiał się gorzko: „To także spartaczyłem”.

– Zadumałeś się, monsieur – wyrwał go z rozmyślań dziecięcy głos. – Jestem królem. Królem Francji Karolem VIII.

– A ja – odparł, kłaniając się nieznacznie – jestem sułtan Dżem, syn zdobywcy Konstantynopola, sułtana Mehmeda II.

„Dżem Pierwszy” – zachichotał głos wewnątrz niego.

– Nazywają cię Zizimem.

– Owszem, jednak wcale mi się to nie podoba, królu.

Karol rozejrzał się za miejscem do siedzenia.

– Jak zatem się do ciebie zwracać? Język przyzwyczaiał mi się już do Zizima... Ach, wybacz, monsieur... Ja tylko...

– Mów mi Dżem. Albo: sułtanie.

– Dżem – zaśmiał się. – Ech, nie jest złe. Wolę to imię niż tamto drugie.

Schowana za drzwiami Ferimah nie zrozumiała ani słowa z tego, o czym mówili, jasne było jednak, że nie potrzebowali już kindżału. Próbując go schować, potrafiła drzwi, które zaskrzypiały.

Karol nie obrócił się. Jego twarz rozjaśnił uśmiech psotnego dziecka.

– Powiedz swojemu człowiekowi za drzwiami, że może stamtąd wyjść. Nie grozi ci niebezpieczeństwo. Przynajmniej w tym momencie.

– Wyjdź stamtąd, Ferimah.

Opuściła kryjówkę.

Karol, spodziewając się ujrzeć rosnącego Osmanina, na widok chudziutkiej, przypominającej nimfy z mitów dziewczyny powiedział:

– Dżemie, teraz to ty mnie zaskoczyłeś. Jaki piękny strażnik – po czym obrócił się ku Ferimah i skłonił się przed nią. – Madame...

Ferimah odpowiedziała dygnięciem, które podpatrzyła u dam z Rodos, Nicei i Lyonu. „Jakim cudem ona może być służącą?” – zapytał się jeszcze raz Dżem. Wszystko wiedziała lub prędko się uczyła. Znała już nawet kilka słów w języku Franków.

Karol zdjął pelerynę. Strażnicy pośpieszyli, aby ją przejąć, ale ten wolał oddać okrycie Ferimah, która wyciągnęła po nie rękę.

– Wybacz, królu – powiedział Dżem rozważnym, serdecznym tonem. – Dysponuję krzesłem, na którym możesz usiąść, nie mam jednak niczego, czym mógłbym cię poczęstować.

Tak jak się spodziewał spod płaszcza wynurzył się tyczkowaty chłopak. Nosił mocno ściśniętą w pasie atłasową fioletową kurtę z watowanymi ramionami. Bardzo wąskie żółte spodnie niknęły w cholewach wysokich aż po łydki butów.

Karol usiadł na krześle. Dla wygody przesunął na bok miecz.

– Tak – odetchnął głęboko. – Wydaje mi się, że możemy już zacząć spotkanie.

„Teraz będę się targował z dzieckiem” – sarknął Dżem w myślach. – „Po tych wszystkich upokorzeniach jeszcze na koniec to”.

– Słucham, królu.

Karol roześmiał się serdecznie.

– Sanuto! – odezwał się nagle, a później obrócił ku Osmanowi. – Czyś nie pomyślał, że jestem jeszcze dzieckiem, Dżemie?

Naraz w drzwiach pojawił się podstarzały mężczyzna. Długie szpakowate włosy związał nad karkiem ogromną kokardą.

– Sanuto Laurent – powiedział król, wskazując dłonią lekko kłaniającego się przed nimi jegomościa – mój doradca. Właściwie był doradcą mego ojca, ale obecnie służy mnie. – Zachichotał. – To on ci o wszystkim opowie.

Dżem poczuł, że nieco się uspokaja. Tak wolał, bo o czym miał niby rozmawiać z tym chłoptasiem? Mężczyzna z kolei wyglądał na doświadczonego.

– A ty opuścisz komnatę, królu?

– Wyjść? Niby czemu? – znowu się zaśmiał. – Ja też posłucham Sanuta. Na pewno wiele się nauczę.

Dżem wyprostował się. Obudziły się wątpliwości, od nieprzeliczonych dni gnębiące jego umysł.

– Najpierw chciałbym się czegoś dowiedzieć. Mam pytanie, które nie daje mi spokoju.

Karol spojrział na swojego doradcę. Przenikliwe oczy Sanuta Laurenta spoczywały na Dżemie od momentu, w którym mężczyzna przekroczył próg pokoju.

– Pytaj, monsieur.

Dżem wstał. Wykonał trzy kroki w głąb pokoju, a później zawrócił i stanął przed przybyszami.

– Ten zamek – wyszczał w kierunku króla, jednocześnie pochylając się ku jego mentorowi. – Czyim zamkiem jest Le Pouet, królu? Twoim czy rodyjskich rycerzy...

Nie dokończył pytania.

– Monsieur – przerwał mu Sanuto, po czym podnosząc głos, rozkazał: – Zamknąć drzwi. – Strażnicy na zewnątrz z łoskotem zatrzasnęli ciężkie podwoje. Tym razem oczy doradcy spoczęły na Ferimah. Spojrział na Dżema. – A ta pani?

– Nie zna waszego języka.

Starzec, poznając po tonie Dżema, że nie pozwoli, aby dziewczyna wyszła, wstał.

– Ten zamek, monsieur Zizimie, jest własnością królestwa Francji... – Gdy już Osmanin gotował się, aby spytać, co w takim razie robili w nim joannici, doradca Karola uniósł rękę, aby go uciszyć. – Jednak Rycerze Szpitalnicy zawsze byli przyjaciółmi króla Ludwika XI, a jednocześnie naszymi sojusznikami. Jego Wysokość Ludwik pozwolił, aby kawalerowie, w pewnych sytuacjach, korzystali z zamku w Le Pouet. Nasz król – spojrział na Karola – wiernie kontynuuje politykę swego ojca.

Dżem zaśmiał się nerwowo.

– Najwyraźniej jestem jedną z „pewnych sytuacji”, o których właśnie wspominałeś, sądząc po tym, że się tutaj obecnie znajduję. – Nagle wychylił się ku mężczyźnie. – Uważaj teraz, monsieur, oto pytanie, które chciałem zadać: jestem jeńcem Francji czy joannitów? Powiedz mi bez ogródek.

Sanuto Laurent zadrżał. Na twarzy Karola malowała się powaga uważnie przysłuchującego się lekcji ucznia.

– Zizimie – mruknął królewski doradca.

– Dżemie – poprawił Karol, jednak jego poddany nie zwrócił na to uwagi.

– Z woli Ich Świątobliwości papieża Sykstusa IV oraz naszego obecnego Ojca Świętego Innocentego znajdujesz się tutaj pod opieką kawalerów rodyjskich. Jesteś również gościem Francji.

– Ha! – drwiąco podniósł głos Dżem. – Mam rozumieć, że Francja przyjmuje swoich gości na górskich szczytach?

– Zizimie – doradca również podniósł głos – zapominasz o jednej rzeczy. To nie za naszą sprawą się tutaj znalazłeś. To nie my wciągnęliśmy cię w wojnę o tron. Nie my stoimy za twoimi porażkami, podobnie jak za decyzją o schronieniu się u rodyjskich rycerzy. Nie jest też naszą winą, że twój starszy brat płaci setki tysięcy złotych dukatów, aby przepędzać cię coraz dalej. Oczywiście nie chcieliśmy jego majątku w zamian za trzymanie cię tutaj, jednak nie mogliśmy odmówić, gdy w grę wchodziły podobne sumy. Czy mam wymieniać dalej, monsieur? Również nie z naszego powodu sułtan posyła za tobą katów.

Oto i cała prawda! Nieustannie krążyła w jego umyśle, ale jeszcze nigdy nie została tak bezlitośnie wypowiedziana. Taka była rzeczywistość. Życie pluło mu w twarz za sprawą jakiegoś bezbożnika, który najwyraźniej czerpał z tego faktu ogromną przyjemność.

Doświadczone oczy Sanuta Laurenta od razu spostrzegły, jak druzgocący wpływ wywarły jego słowa na rozmówcy.

– Ponadto, monsieur – ciągnął – to za twoją sprawą Europa od lat balansuje na ostrzu noża w strachu. To przez ciebie królowie skaczą sobie do gardeł. Wszyscy chcą cię zdobyć. Rzym nie może zaznać snu, lękając się osmańskiego ataku. Przyznaję, że Francja, w obawie, by nie przejęli cię Habsburgowie, zgodziła się przyjąć ofertę sułtana i pozwoliła, by umieścili cię tu joannici. Teraz wszyscy gonią za tobą – Bajazyd chce cię zabić, a królowie pragną przejąć i wykorzystać. Z tego powodu mogą się nawet poważić na wojnę. Bądź pewien, że ściągnąłeś na chrześcijański świat niemałe nieszczęścia.

– Jeśli tak, to pozwólcie, że was od nich uwolnię. Puśćcie mnie, chętnie odejdę.

Stary doradca wstał i zbliżył się do Dżema. Ten poczuł na twarzy śmierzdzący winem oddech mężczyzny.

– Nie możemy tego zrobić, nawet gdybyśmy chcieli. Jest już za późno. Bez zgody papieża nigdzie nie pojedziesz.

– Skoro tak, zrzucicie mnie z tych murów!

Sanuto Laurent przybliżył się jeszcze bardziej.

– Tego z kolei nie musimy robić, monsieur. Któregoś dnia sułtan zajmie się tym za nas. Najpierw chciał cię wygnać gdzieś daleko, a teraz obsypuje złotem zabójców. Jak myślisz, dlaczego ściągnęliśmy cię do tego zamku? Podąża za tobą śmierć. Woleliśmy nazywać cię gościem, ale masz rację. Tak naprawdę jesteś jeńcem, lecz to nie my cię uwięziliśmy, ale ty sam.

Tego było już za wiele. Dżem spojrział na Karola z wściekłością.

– Królu – odezwał się chłodno – przyszedłeś tutaj, żeby pozwolić swemu słudze wygadywać takie rzeczy?

Sanuto Laurent odpowiedział za Karola.

– Nie, monsieur. Aby złożyć ci ofertę, dzięki której się uratujesz.

Był gotowy wysłuchać wszystkiego, co zawierało słowo „ratunek”.

– W takim razie słucham.

– Najpierw mam pytanie, Zizimie – odezwał się Sanuto Laurent. – Co zamierzasz zrobić później?

Zamiary? Nie miał już przecież żadnych zamiarów.

Naraz w jego wnętrzu odezwał się rdzawy wilk: „Nie wyglupiaj się, Dżemie! Nie przegap tej okazji. Człowiek pyta cię, czego pragniesz. »Tronu«, powiedz, »żąda korony«. Żołnierzy... wojska... No mów, dalej!”.

– Wrócić... – Tylko tyle był w stanie z siebie wykrztusić.

– Wrócić? Chcesz się poddać? Wspominasz najwyraźniej o ugodzie z bratem. Obawiam się, że to niemożliwe, bo cierpliwość Bajazyda już się wyczerpała. Teraz złota, dzięki któremu rycerzom udało się ściągnąć cię aż tutaj, używa, by sprowadzić na ciebie śmierć. Żąda od nas, od joannitów, a nawet od Ojca Świętego w Rzymie, aby cię zmieść z powierzchni ziemi.

– I jaką cenę ustaliliście za spełnienie jego pragnienia? – Głos Dżema był zimny jak lód.

Starzec spojrział na króla. Wydawało się, że Karol uśmiecha się spokojnie. Wzruszył tylko ramionami.

– Nie ustaliliśmy żadnej – odparł Laurent. – Jeśli przyjmiesz naszą ofertę, my zaciągniemy dług wobec ciebie.

– Dług?

– Owszem. Będziemy ci dłużni tron i koronę, monsieur.

*

Tron i korona!

Dżem się wzburzył. Co też mówi ten mężczyzna?

Rdzawy wilk skoczył do przodu, machając ogonem.

– Bądź pewien, panie – ciągnął tamten – że Francja wywiązuje się ze swoich zobowiązań.

Dżem udał przez chwilę, że się zastanawia, aby odetchnąć i zapytać ze spokojem:

– Jak brzmi wasza oferta?

– Połączyć cele Francji z twoimi.

– Nie znam celów Francji.

Karol znowu wymienił spojrzenia ze swoim doradcą. Król pokiwał głową na znak, by tamten się odezwał.

– Jerozolima – wyszeptał starzec. – Król Karol chce wyzwolić Jerozolimę.

„Od muzułmanów” – przeszło przez myśl Dżemowi, choć nie dał tego po sobie poznać. Uśmiechnął się.

– Tylko król? Sądzę, że wszyscy chcą tego samego. Joannici, ten ksiądz, którego nazywacie papieżem... i może inni również.

– Nie – zaprzeczył Sanuto Laurent. – To tylko pozory. Nic ich to nie obchodzi. Jedynie Francji zależy, by zrealizować to zamierzenie.

– Nie bardzo rozumiem, gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla mnie.

– Zizimie – odezwał się Laurent – król Karol chce stworzyć wielką armię krzyżowców i ruszyć na Jerozolimę. Papież Innocenty się tego obawia, gdyż jeśli to się uda, żadna siła nie powstrzyma naszego władcy, a Ojciec Święty stanie się bezbronny. Lęka się, że przez te plany Osmanie i Mamelucy utworzą sojusz i ruszą na Rzym. Za to rycerzy obchodzi jedynie złoto...

– Nie przeciągaj. Czego ode mnie chcecie?

– Żebyś współpracował z Francją. Dołączył do armii, którą utworzy król Karol, i razem z nim...

– Dość! – Spojrzał ostro na nadal uśmiechającego się monarchę. – Jak w ogóle śmiecie mi to proponować? Jak możecie oczekiwać, że dołączę do armii, która wyprawi się, aby mordować moich braci w wierze?

Karol odezwał się po raz pierwszy.

– Właśnie tak. Ruszymy jako dwaj królowie, ramię w ramię. Król Francji Karol VIII i król osmański Dżem I. Ogłoszę, że uznaję cię za sułtana, a za mną podąży cała masa bałkańskich krain cierpiących okrucieństwo Neapolu, Kastylii i Bajazyda.

– Ojciec Święty – wtrącił się Sanuto Laurent – również będzie zmuszony uznać, że to nie twój brat, ale ty jesteś padyszachem.

– Chcecie, żebym zdradził moją wiarę.

– Nie – zawołał spanikowany doradca. – Jerozolima nie jest świętym miejscem wyłącznie dla muzułmanów, Zizimie. Jezus Chrystus... Mojżesz... Gdy tylko wkroczycie do miasta na czele wojska krzyżowców, ogłosisz je stolicą trzech wyznań. Ty, sułtan Dżem I.

Na te słowa Osmanin wstał.

– Ferimah – powiedział – otwórz drzwi. Król wychodzi.

Gdy dziewczyna wykonała rozkaz, Karol i Sanuto Laurent zrozumieli, że spotkanie dobiegło końca. Uśmiech zamarł na ustach francuskiego monarchy.

– Czy to znaczy, że wybierasz śmierć?

– Tak – wychrypiał Dżem. – Wolę to niż zdradę wobec współwyznawców.

Dwaj mężczyźni ruszyli do drzwi, przy których stała Ferimah.

– Madame. – Tym razem uśmiech na twarzy króla Karola wyglądał na wymuszony. Gdy już miał wychodzić, zrobił coś kompletnie nieoczekiwanego. Prędko przyłożył dłoń do szyi i mrugając do Ferimah, wykonał gest, jakby ścinał sobie głowę. Później obrócił się w kierunku Dżema i powtórzył ten ruch.

– Szkoda – stwierdził Sanuto Laurent, idąc w kierunku schodów. – Nie zostawiłeś sobie wyboru. Teraz pozostaje ci tylko przypaść do stóp Jego Świątobliwości i błagać o zmiłowanie.

– Mylicie się – krzyknął za nimi. – Nadal mam jeszcze jedną szansę.

Już podczas rozmowy z królewskim doradcą zdecydował, że z niej skorzysta.

Słowa wyszeptane na Rodos przez wielkiego mistrza Pierre’a d’Aubussona, gdy opuszczał wyspę, ciągle dźwięczały mu w uszach.

„Wasza Wysokość, jeśli poczujesz, że znalazłeś się w niebezpieczeństwie, otwórz drzwi i szepnij do wartownika te słowa: »Non cantabit gallus«. Zrozumiałeś? A on odpowie ci: »Donec ter me neges«”.

Miał powiedzieć mężczyźnie: „Zanim kogut zapieje”, a ten miał udzielić odpowiedzi: „Trzy razy się mnie wyprzesz”. Czy można było skwitować to inaczej niż śmiechem? Z trudem się powstrzymał, ale wielki mistrz mówił poważnie.

– Zaczekaj wtedy cierpliwie, Wasza Wysokość. Rycerze Szpitalnicy ruszą ci na pomoc.

Głupia sprawa, do której tamtego dnia nie przywiązywał wagi. „To tylko próżne gadanie” – pomyślał. Co, może miał wierzyć w hasło, w którym padały słowa „wyprzeć się”? Zresztą co może zrobić wartownik na jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi górze?

Ale i na to przygotował odpowiedź d’Aubusson.

– Rycerze Szpitalnicy są wszędzie, Wasza Wysokość. Od Golgoty w Jerozolimie aż po zakątki świata, w których nie powstała noga człowieka. Wszędzie. Tak było niegdyś, tak jest teraz i będzie aż do końca świata.

Za każdym razem gdy w ciągu kolejnych dni przypominało mu się to hasło, śmiał się gorzko. Jak miałby uwierzyć komuś, kto go zdradził i zamiast wysłać zgodnie

z obietnicą do Rumelii, wsadził na okręt, żeby wydać Frankom? Lecz teraz nie miał już niczego do stracenia.

Stał przy Ferimah do momentu, gdy oddaliły się odgłosy kroków króla, doradcy i ich czterech strażników. Zniknęło światło pochodni, a schody pogrążyły się w ciemności, lecz nie minęła chwila, a na nowo się rozjaśniły. Słuchał, jak z trudem wspina się jego wartownik. Gdy już pokonał kręte, kamienne stopnie i zobaczył Dżema wyczekującego przed drzwiami, momentalnie się zawahał.

– Zizimie – wymruczał.

– *Non cantabit gallus.*

Mężczyzna spojrział na niego z zaskoczeniem i przeżegnał się.

– *Donec ter me neges.*

Dżem nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tak się zdziwił. Czyżby ten przygięty wiekiem strażnik, który nie mógł wejść po schodach bez wzdychania i stękania, był tak naprawdę rycerzem?

Zamknął drzwi.

– Co mu powiedziałaś, mój panie?

– Zanim kogut zapieje.

– A co on odpowiedział?

– Trzy razy się mnie wyprzesz.

Zostawił dziewczynę w niedowierzaniu.

– Nie pozostało już nic innego jak czekać – mamrotał, jakby mówiąc do siebie. – Gdy następnym razem otworzą się drzwi, wejdzie przez nie albo ocalenie, albo śmierć.

Nie nadeszło jednak ani ocalenie, ani śmierć, a ich niewola w zamku Le Pouet trwała dalej. Doznali jednak nowej straty.

Jakieś siedem miesięcy po śmierci subaszego Davuda i Halila z Mentese odszedł kolejny przyjaciel – czawusz Ali z Tavasuu. Wziął sprawy we własne ręce i którejs nocy wspiał się na jedną z baszt, by rzucić się w dół. Znalaziono go trzy dni później u stóp murów.

Nie wiedzieli, czy i jego dopadła tęsknota. Może dość już miał tkwienia wśród murów, w zawieszeniu między ziemią a niebem? Może w duchu powiedział sobie: „Skoro nas tu trzymają, to znajdę inny sposób – polecę”? I Ali z Tavasuu odfrunął. Z pewnością już dawno temu trafił z powrotem w rodzinne strony.

„A ja?” – myślał Dżem. – „Co ja zrobię?”

Najpierw, zgodnie ze słowami Ferimah, zamierzał stać się górą. „Nawet kopczyk z ciebie nie wyrósł, Dżemie” – utyskiwał w duchu, gdy postanowił rozliczyć się z przeszłością. Później pragnął z kulki śniegowej przekształcić się w lawinę. Miał się toczyć i toczyć, aż stanie się wielki. Skutek był taki, że miał już nigdy nie zobaczyć swoich dzieci, matki ani kobiet. Prawdę widział jak na dłoni. Liczył, że zetrze wszystko, co stanie mu na drodze, a z każdym tygodniem sam się roztapiał. Któregoś dnia otworzą drzwi i zobaczą, że została z niego jedynie kropla, malutka jak łza, błyszcząca na łóżku.

Mógł jeszcze wziąć los we własne ręce, jak czawusz Ali.

Nie uznawał już tego czynu za grzech. Stał się powodem śmierci tylu ludzi, że targnięcie się na własne życie nie wydawało się aż tak straszną karą. Miał jednak Ferimah. „Co się z nią stanie, gdy mnie zabraknie?” – myślał, kątem oka patrząc na krzątającą się po pokoju dziewczynę.

Kto wie, jakich doznałaby krzywd?

„A czy została jeszcze jakaś krzywda, która by jej nie spotkała z twojego powodu?” – odzywał się jego wewnętrzny głos.

Może uczepiła się nadziei tamtej nocy, gdy przekazał hasło wartownikowi? Po raz pierwszy od miesięcy, nie, od lat, z ufnością zasnęła w swoim zimnym pokoiku. Może we śnie biegła po zielonych łąkach albo marzyła, jak opierając się o reling wielkiego statku z wydętymi przez wiatr żaglami, wracają do stolicy?

Nie zostały im już jednak żadne sny ani nadzieje. Nie było ratunku. Jedyne ocalenie

stanowiła śmierć, ale brakowało mu odwagi, by się z nią zmierzyć. Bezradny po odejściu króla Karola i jego doradcy szeptem przekazał stojącemu pod drzwiami wartownikowi hasło, choć miał pewność, że było oszustwem.

„Skąd w takim razie strażnik miałby znać sekretne słowa, które lata temu przekazał mi d’Aubusson?” – narzekał za każdym razem, gdy przychodziło mu do głowy, że padł ofiarą oszustwa. – „Dał przecież odpowiedź bez chwili zastanowienia”.

„Trzy razy się mnie wyprzesz”.

Czy był to tylko kolejny element gry?

Mijały miesiące, zmieniały się pory roku, a Dżem przestał się już nawet złościć, że znowu dał się nabrać.

„Przypuśćmy, że to nie było oszustwo” – mówił w myślach, gdy ten temat akurat przychodził mu do głowy. – „Któregoś dnia te drzwi naprawdę się otworzą, do środka wejdzie rycerz i powie, że idziemy”. Świetnie, ale skąd będzie wiedział, że czeka go ocalenie? Jakim cudem ratunek miał nadejść od joannitów, którzy sprzedali go Bajazydowi Adze i zesłali na to diabelskie wygnanie?

A gdy już zostanie uratowany, dokąd go zabiorą? Na Rodos? Ach, gdyby tylko! Dołączyłby do Murada. Może do Kairu, do niewidzianej nigdy córki Gevher Melike i wypatrującej go z pałacu Kajytbaja matki, Çiçek Hatun? Ach, gdyby mogło tak być!

Usiłował ożywić ich obraz w pamięci, ale przecież gdy zostawiał Murada, malec nie ukończył nawet jednego miesiąca, z córką zaś wcale się nie spotkał.

„O, niebiosa!” – jęczał bezgłośnie nocami. – „Pożałowałyście mi nawet możliwości spotkania z potomstwem”.

Jedynе dziecko, którego twarz nadal prześladowała jego myśli, zmarło męczeńsko.

„Och, Oğuz Hanie!” – lamentował często. – „Och, Oğuz Hanie! Oby Bajazyd Aga smażył się w piekle! Czego chciałeś od trzyletniego dziecka? Jak mogłeś odebrać życie mojemu Oğuz Hanowi? Oby któregoś dnia twoje własne dzieci posłały cię na tamten świat”.

A jeśli zakonspirowany rycerz, wchodząc do jego pokoju, spyta, tak jak wielki mistrz na Rodos: „Dokąd chciałbyś się udać, Wasza Wysokość?”. Co odpowie? Do Rumelii?

Dżem gorzko zaśmiał się w duchu. Nie miał już dokąd iść: ani do swojej Rumelii,

ani do stolicy, ani na najmniejszy skrawek osmańskiej ziemi.

Chowając dumę do kieszeni, zapukał nawet do papieskich drzwi. Wysłał listy zaczynające się od słów: „Ciebie, Jego Świątobliwość Papieża Innocentego VIII, ja, syn Sułtana Mehmeda, Sułtan Dżem...”. Wszystkie pozostały bez odpowiedzi.

Jednak nie żałował rzuconego w chwili rozpacz do wartownika „Non cantabit gallus”. W tamtym momencie potrzebował światła, które rozjaśniłoby ducha podłamanego przez słowa króla Karola i jego doradcy. Kłamstwo, oszustwo – nieważne, przyjął je za dobrą monetę.

Musiał tylko wypowiedzieć słowa:

„Zaim kogut zapieje”.

W odpowiedzi chciał usłyszeć: „Trzy razy się mnie wyprzesz”. W ten sposób mógł sobie wmawiać, że jego grzechy nie są wystarczająco ciężkie, by popaść w równie głęboką rozpacz.

*

Po mroźnej, zimowej nocy, której przybył do zamku Karol, król-dziecko, nadeszły wiosna, lato, jesień i jeszcze jedna zima. Teraz kolejna wiosna przemieniała się w lato.

Minęły prawie dwa lata.

Pewnego dnia Dżem postanowił zejść do wsi. Towarzyszyła mu Ferimah.

Wieśniacy, którzy wcześniej na ich widok chichotali i szeptem wymieniali się ploteczkami, teraz nawet ich nie zauważali. Bo też nie było już żadnej różnicy pomiędzy nimi a Zizimem i jego piękną służącą.

Dżem wyprzedzał ją o krok, ręce trzymał splecione za plecami. Nie założył turbanu, nosił za to swoją lekką szatę, która w wielu miejscach zaczęła się już pruć. Co prawda Ferimah stale ją cerowała, ale bliska była chwila, gdy tkanina się rozpadnie. Jednak Dżema to nie obchodziło. Jeśli będzie taka konieczność, wyrzuci strój i przyodzieje spodnie oraz koszulę, jak wieśniacy.

Ale przecież nawet na wygnaniu był sułtanem.

„Sułtanem bez grosza przy duszy” – zagrzmiął w myślach.

Spojrzał na dziewczynę sponad ramienia. Cierpiał za każdym razem, gdy widział ją w świetle dnia. Nadal była piękna, ale smutki, których doznawała, i problemy, którym musiała stawić czoła, zaczęły odbijać się na jej twarzy. Na skroniach pojawiły się kępki srebrzystoszarych włosów, a przy oczach kilka bruzd, które miały się z czasem pogłębić.

Gdy tylko Ferimah dostrzegła, że na nią patrzy, budziła się z zamyślenia i starała przybrać pogodny wyraz twarzy. Zdawało się, że uśmiech do nikogo nie pasuje bardziej niż do niej. Rozjaśniała duszę Dżema.

„Ach” – wzdychał do siebie w myślach. – „Co by było, gdyby i ona była córką króla bądź padyszacha? Albo gdybym ja był sługą? Takim jak jeden z tych chłopców”.

Nie mieliby wtedy żadnych problemów. Nie wydarzyłoby się to wszystko, inny los byłby im pisany. Nie śmiałyby nawet myśleć o żadnym tronie!

Dżem poczuł, że piękno tego marzenia odbija się na jego twarzy, i znów spojrzał na Ferimah, by zobaczyć, że on też się uśmiecha.

Odwrócił się jednak także z innego powodu. Obudziło się w nim dziwne uczucie. Jego umysł uchwycił pewien szczegół, gdy tuż przed chwilą patrzył na Ferimah, lecz nie potrafił go nazwać. Teraz już wiedział.

Mnich.

Stał tuż za dziewczyną, tak samo jak chwilę wcześniej, gdy spojrzał na Ferimah po raz pierwszy. Jego twarz była ukryta pod zgrzebnym kapturem brązowego habitu naciągniętego głęboko na głowę.

Dziwne. Po co chowa twarz w takim upale? Ręce trzymał złączone na brzuchu, dłonie ukrył zaś w szerokich rękawach szaty.

Gdy szedł, drewniany krzyżyk na długim, okręconym wokół jego pasa sznurze kołysał się miarowo. Dżem nagle zwolnił, a Ferimah dostosowała do niego krok. Mężczyzna nie minął ich, wręcz przeciwnie, przyhamował.

Dżem po chwili przyśpieszył, to samo uczyniła dziewczyna, a w ślad za nimi mnich. Dżem nabrał pewności, że mężczyzna ich śledzi.

Gdy zaczęli zbliżać się do jakiejś stodoły, zakonnik wyprzedził Ferimah i tuż przed drzwiami budynku, nie dając Dżemowi szansy na jakiegokolwiek pytania, wepchnął go do środka. Pociągnął też za ramię dziewczynę.

– Hej, co to ma znaczyć?

– Zizimie!

Mnich zrzucił kaptur, a oni w jednej chwili z osłupieniem wykrzyczeli to samo imię:

– Emanuel!

– Ciii, spokojnie.

Zakonnik był tak naprawdę drugim oficerem rodyjskiej galery. Uśmiechał się szeroko, zupełnie jak na statku.

– Czy zdążyłem, nim zapał kogut?

Boże litościwy!

Dżem nie wiedział, co powiedzieć. To by znaczyło, że nie został oszukany. Tym razem joannici go nie zdradzili. Emanuel powiódł ich głębiej, w zacienione miejsce stodoły.

– Nie mamy czasu. Musimy w tej chwili ruszać.

– Dokąd?

– Wasza Wysokość... W tej chwili, rozumiesz mnie? Natychmiast... Nie powinniśmy zwlekać nawet minuty.

– Zapytałem „dokąd”, Emanuełu.

Drugi oficer pokręcił głową w bezradnej wściekłości i przeżegnał się.

– Do Rzymu.

*

Dżem z nadmiaru emocji musiał się czegoś złapać. Ferimah nie zrozumiała ani słowa, więc szepnął jej:

– Ruszamy do Rzymu.

– Do Rzymu? – zabłyszczały oczy dziewczyny.

– Jeśli będziemy w stanie tam dotrzeć, rzecz jasna – burknął Emanuel. Podniósł kopczyk siana i otworzył ukrytą pod nim skrzynię. Rzucił Dżemowi wyciągnięty z niej tobolek.

– Załóż to.

– Czekaj – powiedział, odpychając dłoń mężczyzny. – Czy dobrze słyszałem? Powiedziałeś: „Jeśli będziemy w stanie tam dotrzeć”?

Drugi oficer, nie odpowiadając na pytanie, cisnął w Ferimah drugim materiałowym tłumoczkim.

– Ty też.

– Odpowiedz mi. Co znaczą te słowa?

– To oznacza, Wasza Wysokość – jeszcze bardziej zniżył głos – jeśli patrole Karola cię nie złapią... I mnie też, oczywiście.

„Co za bzdury” – przeszło przez myśl Dżemowi. Ta atmosfera tajemnicy, hasła, szyfry i przebrania. Czemu rycerze chcieli go stamtąd porwać?

– Ale dlaczego? Czy nie jest królem, który przyjął mnie tutaj w gościnę?

– Ach – odburknął Emanuel niechętnie. – Karol nie chce, żebyś opuścił Francję. Poprzedni papież, podobnie jak twój brat sułtan, uznawał twoją obecność tutaj za dogodną, ale teraz sytuacja się zmieniła, a wielki rycerz przez lata dwoił się i troił, żeby do tego doszło. Przekonał nowego Ojca Świętego do złamania umowy z królem Ludwikiem i unieważnienia ustaleń z Karolem oraz... Na miłość boską, o czym ja gadam... Proszę, załóż to natychmiast, Zizimie...

Stroje, które im dał, okazały się mnisimi habitami, takimi samymi jak ten noszony przez drugiego oficera. Gdy spoglądali na siebie z wahaniem, Emanuel stracił cierpliwość.

– Teraz albo nigdy. Zakładajcie to, w tej chwili.

– Moi towarzysze... Muszę ich zawiadomić. Po tylu latach czekania tych kilka godzin chy...

– Nie możemy czekać, Wasza Wysokość. Daję słowo, że twoi towarzysze dołączą do nas później. Szpiegdy króla w każdej chwili mogą odkryć moją tożsamość, a wtedy

wszystko będzie skończone.

Dżem z pomocą Ferimah naciągnął szatę zakonnika na swój kaftan.

– Szpiedzy króla... Niczego nie rozumiem.

Emanuel pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

– Król chce za wszelką cenę cię tu zatrzymać – powiedział opryskliwie. – Nowy papież wysłał czterech posłów. Mieli go przekonać, żeby wyprawił cię do Rzymu. Bez skutku. Teraz Ojciec Święty gra na zwłokę. Albo wypełnisz jego rozkazy, albo umrzesz.

*

Kilka minut później ze stodoły zamku Le Pouet, zamiatając ziemię skrajami habitów, wyszło trzech mnichów. Pozornie kroczyli spokojnie, ale pod szatami płątały im się nogi.

– Prosto na most – wyszeptał Emanuel do ucha Dżema.

– Ale wartownicy...

– Wasza Wysokość!

W głosie mężczyzny pobrzmiwała złość.

Skręcili dwukrotnie, w końcu zaś zeszli w dół zbocza, prosto na plac. Na spadzistym terenie ich kroki stały się jeszcze szybsze. Przechodzący obok ludzie spoglądali na nich dziwnie.

– Szkoda, ktoś pewno umarł – usłyszał Dżem jakąś kobietę.

Wprawdzie żadnego nieboszczyka nie było, ale jeśli strażnicy nie opuściliby mostu, pojawiłoby się aż troje.

Drewniana konstrukcja okrywająca wielką zamkową bramę wznosiła się naprzeciwko nich. Czterech strażników czekało przy mechanizmie opuszczającym i wciągającym most za pomocą łańcuchów.

– Na rany Chrystusa, Zizimie, nie zatrzymujcie się – szepnął Emanuel, wyczuwając, że Dżem i dziewczyna zwolnili kroku.

Szli dalej.

– Hej, André – odezwał się nagle drugi oficer.

Uzbrojona od stóp do głów czwórka wartowników obróciła się w ich stronę.

– Długo mamy tutaj czekać, aż spuścisz ten cholerny most? Co ja powiem opatowi? Że spóźniłem się z powodu czterech leniwych żołdaków?

– Nie rzucaj się tak – krzyknął jeden ze strażników. – Już opuszczamy.

Zaczęli obracać koło mechanizmu. Rozbrzmiały straszliwe trzaski i szcęk łańcuchów. Znajdowali się już przed mostem, od ocalenia dzieliło ich jeszcze kilka kroków.

– No dalej, dalej – rzucił opryskliwie. – Co to, nie staje wam sił w ramionach? Założę się, że nie machniecie mieczem więcej niż dwa razy.

– Kto jest z tobą? – Jeden z żołnierzy jednocześnie popychał koło i wpatrywał się w Dżema oraz Ferimah.

„Złapali nas” – pomyślał Dżem. Starał się ze wszystkich sił nie spanikować. Dobrze, że dziewczyna nie rozumiała ich mowy. Mogła wpaść w popłoch i popełnić jakiś błąd.

Most opadł jeszcze trochę w dół.

Mechanizm zgrzytał, łańcuchy szczękały, pochodnie na przeprawie buzowały, a nerwy Dżema napięły się do granic ostateczności.

– No mówże – naciskał żołnierz. – Nie było ich z tobą, kiedy wchodziłeś do zamku.

– Przecież ci opowiadałem – zdenerwował się Emanuel. Dżemowi przeszło przez myśl, że całkiem nieźle odgrywa rolę kapitana. – Do klasztoru w Delfinacie trafił nowy ksiądz. Ponoć wcześniej służył w katedrze w Fourvière. Ja tam nie wiem, jak to było naprawdę, w każdym razie ciągle nam coś wynajduje do roboty. Trzech mnichów ma czuwać u wezłowania umierającego, zanim odejdzie, więc zabieram tę dwójkę. Oczywiście jeśli nie odda ducha, zanim opuścicie most.

Ten obniżył się już do połowy.

– Niech was Bóg wspomůže – powiedział jeden z żołnierzy – i przekazaj Ojcu Świętemu nasze wyrazy szacunku. Mam też nadzieję, że nie zapomnicie, jakich wysiłków

dokładali André i jego towarzysze, żebyście zdążyli.

Most opadł z wielkim hukiem.

– Bóg z wami – rzekł Emanuel do wartowników. – Wszyscy troje opowiemy księdzu, jacy byliście pracowici. Jestem pewien, że pomodli się za was podczas wieczornej mszy.

Obrócił się ku Dżemowi i Ferimah.

– No dobrze, idźcie przede mną – szepnął dyskretnie do Dżema. – Nie biegnijcie tylko. Powoli i spokojnie.

Bez pośpiechu szli po drewnianej przeprawie.

– I tak będziemy szli aż do Rzymu? – spytał Dżem mimo drżącego serca.

Emanuel nie przejął się drwiną w jego głosie.

– Gdy tylko zostawimy za sobą skały, wsiądziemy na muły. Tak dotrzemy aż do doliny. Później pojedziemy wozem.

Most się skończył. Drugi oficer obrócił się i pomachał ręką w kierunku zamku.

– Bądźcie zdrowi!

Odpowiedzi udzielił szcęk zamkowej maszyny. Brama zamku Le Pouet skrzypiała przeraźliwie za ich plecami.

– Chwila, chwila. – Dżem zagroził drogę rodyjskiemu marynarzowi, gdy dotarli do miejsca, w którym przywiązane były trzy muły. – Czy ja dobrze zrozumiałem, że król nic o tym wszystkim nie wie? Mam na myśli naszą ucieczkę.

– Oczywiście, że nie wie – uśmiechnął się szeroko. – Jeśli naprawdę udało nam się uciec, rzecz jasna. Opuściliśmy zamek, ale czeka nas jeszcze długa droga do portu w Tulonie. W każdej chwili możemy się natknąć na królewskie patrole.

– Chcesz powiedzieć, że będą nas ścigać?

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. – Cofnął się o krok i spojrzał na obydwójce. – Mój Boże, bardzo wam pasują te habity. Nie zdejmujcie ich aż do galery. A ty, Wasza Wysokość, staraj się nie pokazywać tych spiczastych bucików. Mnich w osmańskich pantoflach natychmiast niepotrzebnie przyciągnie uwagę.

– Daleko do tego miejsca, które nazwałeś Tulonem?

– To nieopodal Marsylii.

Ale nie powiedział, ile czasu zajmie droga do Marsylii.

– W Tulonie wsiądziemy na galerę. Admirał będzie na nas czekał na otwartym morzu – dodał Emanuel. – Oczywiście pod warunkiem, że nie rzuci się na nas królewska flota i nie pośle statku na dno.

Dżem czuł, że przez napięcie i nadmiar emocji żołądek podchodzi mu do gardła.

– W takim razie módlmy się – powiedział. – Módlmy się, żeby nie spełniły się twoje słowa.

Rzym, Pałac Watykański

Styczeń 1489

Papież Innocenty VIII obudził się tego poranka z gniewem.

Sam nie wiedział, dlaczego tak się stało. Najpierw pomyślał, że to sprawa koszmaru, który śnił mu się w nocy. Brudnych, obrzydliwych, stępionych kozich rogów z jednym ukruszonym końcem.

„Zaraza”. – Wyskoczył z łóżka. Gdy się zegał, jego serce waliło jak młotem. – „Co to miało być, Giovanni Battisto Cybo?” – spytał jakiś głos wewnątrz niego.

Rogi szatana? Co robiły diabelskie rogi we śnie papieża? Czy był to jakiś znak od Boga? Może powinien zamknąć się w sali, gdzie szukał boskiego natchnienia, i wyspowiadać się z grzechów?

Samo wspomnienie snu przyprawiało Ojca Świętego o przestрах. Koza nie miała głowy. Nie było jej widać. Ale Cybo zdawał sobie sprawę, że pod rogami kryje się łeb. Nie dostrzegał go, czuł jednak jego obecność. Tylko do czego należał? Do jakiegoś głupiego zwierzaka? A może, jak się obawiał, do szatana?

Jeśli tak było w istocie, sen musiał mieć wyższe znaczenie. Papież klęknął na łóżku i zaczął wyliczać swoje grzechy, szybko jednak przerwał. Było ich tak wiele.

Kto jednak jest bez winy? Zresztą na jego głowie spoczywała błogosławiona tiara. Jeśli Bóg chciał go ukarać diabelskim snem, to dlaczego pozwolił, aby został wybrany głową Kościoła po śmierci Francesca della Roverego?

W końcu Giovanni Battista Cybo stwierdził, że rogi należały do kozy z wąską bródką. Znowu się położył i z wzrokiem utkwionym w suficie, którego błękitną połąć artyści upstrzyli złotymi gwiazdami, wyobrażając sobie nieprzeliczone zwierzęce oblicza, starał się wyrzucić z głowy i duszy myśl o szatanie.

Nie, sen nie był powodem jego gniewu i złego humoru. Nie powinien być.

Wstał i zwiesił nogi z wysokiego łóżka. Utkwił spojrzenie w ciemności poranka za oknem. Była już późna godzina, a światło dnia wciąż nie wpadało do komnaty! Niebo okryły ciężkie, czarne chmury.

– Właśnie – burknął. – To ten mroczny poranek tak ściska mi duszę.

Od dziecka nienawidził budzić się w ciemnościach. Nie wiedzieć czemu zawsze miał przeświadczenie, że w ponuro rozpoczynającym się dniu wszystko będzie szło nie po jego myśli.

Cybo wziął kilka głębokich oddechów i odczekał, aż na jego twarzy zagości wyraz godny papieża Innocentego. Spokojne, rozjaśnione Bożym światłem oblicze. Rzecz jasna, nie było łatwo za każdym razem wyglądać, jakby się latało w chmurach z aniołami, należało to jednak do jego obowiązków, stanowiąc jedną z trudnych stron bycia papieżem. Ten, którego nazywano Ojcem Świętym, powinien trzymać nerwy na wodzy i porzucić ziemskie uczucia.

Wyciągnął bose stopy, starając się odszukać kapcie, nie znalazł ich jednak. Jak to, miałby stąpać po zimnym jak lód marmurze? Tego też nienawidził. „Jasna cholera” – zaklął w myślach. Już zaczęły się schody.

– Czy nikogo tam nie ma?

Choć bardzo starał się powstrzymać gniew, ten i tak odbił się w jego wołaniu. Przysypiający za drzwiami młody braciszek pozbierał się na dźwięk głosu papieża i podwijając skraj habitu, zapukał do drzwi, później zaś uchylił je i wsunął głowę do środka.

– Ojcie Świąty?

– Wejdz – powiedział papież Innocenty. – Ubierz mnie.

Zakonnik na tyle szybko, na ile pozwalała mu zapięta na guziki od szyi aż po stopy szata, ruszył w kierunku manekina, na którym zawieszony był codzienny strój papieski.

– Nie w to – burknął za jego plecami.

„Zaraza” – pomyślał. Cybo nienawidził również młodych mnichów. Trzeba im było wszystko strasznie długo tłumaczyć. Jeszcze nie spotkał takiego, który w mig odgadywałby jego pragnienia i według nich zachowywał się, mówił oraz patrzył.

Braciszek spojrzał na niego zawstydzony.

– Tamto – powiedział papież z wściekłością, wyciągając palec. – Weź tamto. Nie, nie chcę dzisiaj purpurowego pasa. Wszystko ma być białe.

W czasie gdy zakonnik dreptał pomiędzy nim a manekinem, żeby skompletować ubiór, Innocenty przymknął oczy. To zawsze robiło na ludziach największe wrażenie. Jakby myśleli: „Jego Świątobliwość znowu stoi twarzą w twarz z Bogiem w swoim wewnętrznym świecie”.

Z nikim się nie widział, myślał tylko o długim korytarzu, którym mieli zaraz przejść.

„Bądź przeklęty, della Rovere” – powiedział w myślach. Co mu strzeliło do łba, że kazał zbudować salę audiencyjną tak daleko od komnaty spokoju? Architekci Baccio Pantonelli i Giovanni de Delci także się temu sprzeciwiali.

– Wasza Świątobliwość, odległość jest bardzo duża. Możemy umiejscowić twoje prywatne pomieszczenia w dogodnym punkcie, tuż za salą audiencyjną.

– Nie ma mowy – odparł Rovere. – Chcę, żeby były daleko. Każdy powinien widzieć i czuć potęgę oraz wspaniałość papieża, gdy będzie kroczył tym długim korytarzem.

Tak, szczególnie jeśli Ojciec Święty był przygarbionym starcem, który mógł stać prosto tylko, podpierając się na swoim pastorał.

Gdy szedł, ludzie nie widzieli majestatu papieża, a jedynie jego niemoc.

„Idiota” – prychnął w myślach Innocenty. – „Może i nie żyjesz, ale nadal się od ciebie nie uwolniłem”.

Cybo nie znosił też schodzenia dwa razy dziennie do krypty pod kaplicą i udawania, że modli się u grobu Francesca della Roverego.

Nienawidził wszystkiego i wszystkich.

Gdy ceremonia ubierania dobiegła już końca, wziął pastorał.

– Teraz odejdz – powiedział szorstkim głosem do zakonnika. – Przekaż kardynałowi Borgii, że musimy pomówić. Niech przyjdzie.

Młody mnich pobiegł przodem. Wolno, podpierając się na berle, w ślad za nim podszedł do drzwi. „Papieska wspaniałość” – narzekając w myślach, wyszedł z komnaty. Stojący po bokach gwardziści pozdrowili go, mocno uderzając halabardami o ziemię.

„Borgii też nienawidzę” – zrzędził dalej Cybo. – „Jak zresztą każdego Hiszpana. Zaczniemy od tego, że już samo jego imię źle się kojarzy: Rodrigo de Lanzol Borgia!”

Miał jeszcze całą masę innych imion i przydomków.

„Cybo” – odezwał się jakiś głos w jego wnętrzu. – „Bóg jeden wie, że to właśnie słowo »Borgia« wywyższyło go do godności kardynała”.

Rodrigo był siostrzeńcem czwartego z poprzedzających go papieży, Kaliksta. „Właśnie tak” – obruszył się w myślach. – „Gdyby nie pochodził z rodu Alfonsa Borgii, to nie dochrapałby się nawet posady zbieracza pomarańczy”.

Nie przeszedł jeszcze nawet połowy korytarza. Zdawało mu się, jakby drzwi sali audiencyjnej oddalały się od niego w miarę jak szedł.

„To jego sny pewnie nawiedza diabeł” – mruknął bezgłośnie. Wyglądało na to, że nie było takiej kobiety, której Rodrigo nie gościłby w swojej łóżnicy. Nic sobie z tego nie robił. Gdy tylko został kardynałem, sprowadził do Rzymu cztery bękarty zmajstrowane z niejaką Vanozzą Cattanei.

Na myśl o dzieciach Borgii Giovanni Battista Cybo zatrzymał się. Właściwie chodziło o jedno z tych dzieci: córkę kardynała Lukrecję.

Oczami wyobraźni widział jej kołyszące się, gdy kroczyła, biodra. W jednej chwili jego serce przyśpieszyło. Przeżegnał się w myślach. Miała dopiero jedenaście lat, ale Bóg z pewnością nigdy wcześniej nie stworzył piękniejszego stworzenia. Te blond włosy i lekko zadarty mały nosek... Rozmarzone zielonkawe oczy... Wilgotne pełne wargi... Szyja, której mogły jej pozazdrościć łabędzie...

Już teraz cała Europa rozprawiała o urodzie córki Rodriga z nieprawego łoża. „Może i jest bękartem, ale całe stado królów kołacze do jego drzwi, żeby się z nią ożenić” – wyrzekł Cybo. – „Nawet Giovanni Sforza”.

Szedł dalej. „Wielki Boże, przebacz mi grzechy” – przemknęło mu przez myśl. – „Wychwalałem służkę pańską”.

Gdy się jednak zobaczyło Lukrecję, nie można było nie zbłądzić. „Zresztą czemu miałyby to być grzechy?” – bronił się. – „Czy to nie nasz Ojciec ją stworzył? Nic nie stoi na przeszkodzie, by ją podziwiać i chwalić”.

Lukrecja była nimfą. Zadrżał na myśl o jej długich kształtnych nogach i prędko rozwijającym się ciele, którego jedwabie i tiule nie były w stanie ukryć. Poczul, że krew w jego żyłach się burzy. „Och, Lukrecjo!” – westchnął bezdźwięcznie. – „Dlaczego tak się spóźniłaś? Dlaczego moja starość nadeszła tak prędko?”

*

Gdy Rodrigo Borgia wszedł do komnaty audiencyjnej, papież Innocenty pogrążony był w zupełnie innych myślach.

„A może się pomyliłem?” – od tygodni pytał samego siebie. – „Czy nadepnałem wężowi na ogon?”

Kardynał Rodrigo się zbliżył. Cybo nie zmienił pozycji. Był lekko przechylony na jedną stronę. Przez swój garb nie był już w stanie stać prosto.

– Ojcze Święty.

Spojrzał kątem oka na skłaniającego głowę mężczyznę.

– Ruszyli?

– Tak – odparł cicho Rodrigo Borgia. – Ruszyli.

– Są bezpieczni?

– Modlimy się, by tak było, Wasza Świątobliwość.

– Czy Karol dowiedział się, że jego ptaszek wyfrunął z klatki?

– Natychmiast.

– Będą ich ścigać?

– Już to robią. – Tym razem w głosie Borgii dało się wyczuć obawę.

Papież po raz pierwszy uniósł głowę, aby spojrzeć w oczy kardynała.

– Czy coś się stało, księżę? Coś, o czym mi nie powiedziałaś?

– Karol żąda, abyśmy natychmiast odesłali go z powrotem.

Tym razem Cybo poczuł, że Borgia uważnie się mu przygląda. „Chce czytać w moich myślach, diabeł jeden” – powiedział bezgłośnie. – „Nie starczy ci na to sił, Rodrigo”.

– Czyli otrzymaliśmy wiadomość od króla?

Kardynał pokiwał głową.

– Nie. Za to przybył jego posłaniec.

– Tak szybko?

– Król rezyduje w Tour. Natychmiast wyprawił emisariusza.

Wyraz twarzy Borgii zdradzał, że poseł był kimś ważnym.

– Kto to?

– Sanuto, Ojciec Święty. Mentor króla Karola.

– No proszę – mruknął papież. – Widocznie dzieciak mocno się zdenerwował.

– Na to wygląda, panie. Jednym ruchem zdruzgotałeś jerozolimskie plany Karola.

Papież wymamrotał coś pod nosem. Widać było, że spodobały mu się te słowa.

– I nie przyjechał tylko Sanuto. Jeszcze trzech innych królewskich wysłanników na łeb, na szyję rzuciło się do Rzymu.

– Patrzcie państwo – odezwał się Cybo, jakby się bardzo zdziwił. – Czterech wysłanników, co?

Usiłował wstać, podpierając się o oparcie tronu. Choć widać było, że bardzo się męczy, kardynał nie próbował mu pomóc, bo taki czyn doprowadzał Ojca Świętego do wściekłości. Ileż razy z gniewem fukał na tych, którzy się na to poważyli: „Zabierzcie te ręce, precz”.

Być może nie chciał wyjść na niedołęznego staruszka albo obawiał się, że zatrują go przy lekkim nawet dotyku. Możliwe, że i jedno, i drugie.

Pomimo bólu w nogach w końcu udało mu się wstać. Wziął pastorał i powoli zszedł z podwyższenia, na którym stał jego tron. Zamyślił się i widać było, że coś go dręczy. Podeszedł do kardynała Rodriga Borgii, a gdy był już bardzo blisko, spytał:

– Co mówi Sanuto?

– Chce, żebyśmy odesłali tamtego z powrotem.

– Oszczędź mi szczegółów. Coś jeszcze?

– Przypomniał o umowach, które podpisał z Karolem.

– Dobrze. A ty z całym prawdopodobieństwem powiedziałeś, że uznajemy je za nieważne?

– Owszem.

Innocenty nabrał podejrzeń, słysząc zdawkową odpowiedź Borgii.

– I co dalej?

– Sanuto przypomniał o pewnym punkcie umowy, mój panie.

– Ha! – Obrócił się i znowu skierował kroki w stronę tronu, ale się zatrzymał. – *A komu przyjdzie złamać umowę, zapłaci pięćset kilogramów złota.*

– Właśnie, Ojciec Święty. Sanuto mówi, że albo Osmanin, albo złoto... Inaczej...

– Inaczej co, kardynale? Na miłość boską, oczekujesz, że będę o wszystko wypytywał? Opowiedz to jak należy.

– Mówi, że ściągniemy na siebie wielkie nieszczęście.

Papież po raz pierwszy spojrzął na Borgię, jakby się zdziwił.

– Nieszczęście? Rzucił groźbę pod adresem Kościoła? Jeśli ekskomunikuję króla...

– Nie odniosłem wrażenia, żeby próbował nas zastraszyć, mój panie – stwierdził Rodrigo Borgia. – Francja obawia się, że sułtan obróci swój gniew przeciwko Rzymowi, ponieważ...

Podniósł rękę, aby uciszyć kardynała. I on długo rozmyślał nad tą możliwością. To właśnie był powód, dla którego od tygodni zastanawiał się, czy nie popełnił błędu.

Oczywiście, że osmański padyszach mógł wpaść we wściekłość i wypowiedzieć im wojnę.

– Rodrigo, musimy przekonać sułtana, że będzie dla niego bezpieczniej, jeśli tamten znajdzie się w Rzymie, w naszych rękach.

Kardynał pokiwał głową na znak zgody.

– Naturalnie wszystko ma swoją cenę, czyż nie, Rodrigo?

Mężczyzna znowu skinął.

– A co, jeśli sułtan się nie zgodzi?

„Właśnie dlatego nie każdy może być papieżem” – pomyślał od razu Cybo. Musiał być nim człowiek, który tak jak on o wszystkim myślał, wszystko planował i realizował swoje zamierzenia. Przez Watykan przewinęły się całe tabuny dobrotliwych bądź aroganckich głów Kościoła, ale on był inny. Zdecydował, że będzie grał o dużą stawkę. Tak właśnie zamierzał postąpić.

Po raz pierwszy od kiedy zaczęli rozmawiać, na twarzy papieża Innocentego VIII pojawił się uśmiech.

– I to będzie miało swoją cenę, rzecz jasna. Jeśli sułtan odrzuci moją ofertę, srogo za to zapłaci.

Tym razem to Borgia się uśmiechnął.

– Rozumiem, ale w takim razie wychodzi na to, że w obydwu wypadkach to sułtan będzie płacił.

– Dokładnie tak, Rodrigo. Tak się właśnie stanie. W pierwszym wypadku zapłaci złotem, w drugim – tronem.

Kardynał nie był w stanie ukryć zaskoczenia.

– Nie pojmuję, Wasza Świątobliwość. Czy powiedziałaś „złotem i tronem”?

– Dokładnie tak. Jeśli padyszach nie przyjmie mojej propozycji i uzna, że trzymanie tutaj jego brata jest wystarczającym powodem do wypowiedzenia wojny, wystawimy przeciwko niemu innego padyszacha. Na przykład na węgierskich równinach... albo w bałkańskich górach. Co ty na to? Czy Osmanin poważy się zapłacić taką cenę?

„Nie wiadomo” – stwierdził Borgia w myślach, uznał jednak, że lekceważenie starca będzie błędem.

– Nie sędzę, mój panie.

Wzrok Innocentego spoczywał na kardynale. Usiłował wyczytać coś z jego oczu.

Przez głowę Borgii przewijały się słowa Sanuta, doradcy króla Karola.

– To, że Dżem nie zasiadł na tronie Imperium Osmańskiego, jest dla świata chrześcijańskiego łaską od Boga, kardynale. Jeśli papież otworzy przed nim tę drogę, Stwórca mu nie wybaczy.

„Ja na pewno do tego nie dopuszczę, kiedy już zostanę Ojcem Świętym” – pomyślał Borgia. – „Nigdy”. Jego oczy nie zdradzały jednak takich myśli.

– A co z przygotowaniem? – spytał Innocenty.

– Idą do przodu, nie martw się, panie.

– Czy d’Aubusson wysłał ludzi, których obiecał?

– Owszem.

– Ilu?

– Czternastu.

– Dobrze... A to, o czym mówiłem? Wykonane?

– Już kończą. Zostało jeszcze kilka dni pracy.

– Muszą zdążyć. Cały Rzym ma ujrzeć syna Wielkiego Turka, Rodrigo. Koniecznie.

*

Cybo, zrozumiał, że nie utrzyma się już dłużej na nogach, zaczął powoli iść. Wszedł na platformę. Starł się nie zważać na skrzywienie swoich kości, ale nie był w stanie powstrzymać bolesnego grymasu wykrzywającego mu twarz. Opadł na tron. Pastorał wyślizgnął mu się z dłoni.

Borgia ruszył w jego kierunku.

– Zostaw – podniósł głos papież. – Niech leży. Sam później podniosę.

Spojrzał na kardynała przepelnionymi zawiścią oczyma.

– Ten twój syn – odezwał się, jakby nagle przyszło mu to do głowy. – Chcę mu dać

pewne zadanie... Jak się nazywa?

Oczy Rodriga Borgii rozbłysły.

– Giovanni, mój panie.

– Nie, nie ten. Ten średni.

Cybo spostrzegł, że światło w spojrzeniu tamtego przygasło.

– Cezar, mój panie.

– Tak, ten. Wygląda na bardzo inteligentnego. To on go powita. Niech się przygotuje.

Machnął ręką, dając kardynałowi znak, że może odejść.

Borgia wycofał się tyłem kilka kroków, po czym wykonał obrót i poszedł do drzwi.

Giovanni Battista Cybo długo patrzył w ślad za nim.

„Patrzcie no” – pomyślał. – „Ojciec, który woli najstarszego syna od średniego. A może powinienem powiedzieć: ten, który boi się średniego?”

Droga do Rzymu

Ich modlitwy zostały wysłuchane. W czasie podróży kilkakrotnie natknęli się na francuskie patrole i za każdym razem serca podchodziły im do gardeł. Nikt ich jednak nie zatrzymał. Nikt nie spytał również, dokąd się wybierają. Wręcz przeciwnie, to Emanuel odzywał się do żołnierzy:

– Hej, dzielni wojacy, niech Bóg ma was w swojej opiece!

Przejeżdżali obok, czasem tylko jeden z nich zwalniał i mówił:

– I was także.

Zachowanie drugiego oficera irytowało Dżema.

– Czemu to robisz? Mogą do nas podejść i nabrać podejrzeń. A jeśli o coś spytają... Ja jeszcze sobie poradzę, ale ona... Przecież nie zna języka Franków.

– Daję im do zrozumienia, że nie mamy niczego do ukrycia, Wasza Wysokość. A jeśli chodzi o dziewczynę... – zachichotał – to przecież można wymyślić jakieś kłamstwo... Wiem: biedaczka jest niemową od urodzenia.

„No tak” – pomyślał Dżem. – „Na tym świecie nie ma większych oszustów od rycerzy”.

Nie zatrzymywali się na noc w zajazdach, tylko sypiali w wozie, na zmianę trzymając wartę. Choć sprzeciwiali się temu i Dżem, i marynarz, Ferimah podnosiła larum.

– Ja też będę stróżować!

Osmanin już wiedział, że opór na nic się nie zda, ale Emanuel starał się postawić na swoim. Oczywiście nic z tego nie wyszło. Poddał się w końcu i zbliżył do Dżema.

– Cofam swoje słowa. Ta dziewczyna jest bardziej uparta od Genuńczyków i ostrzejsza niż Ojciec Święty Sykstus IV.

Żeby choć trochę złagodzić napięcie, którego doświadczali, Dżem przetłumaczył Ferimah słowa mężczyzny. Pragnął ją nieco rozbawić, ale ta nawet się nie uśmiechnęła.

– Ma rację – kiwnęła głową. – Gdy chodzi o mojego pana, jestem twardsza niż skała i ostrzejsza niż miecz.

– Co mówi?

– Nic – odparł. – Może i wygląda na ostrą, ale serce ma miękkie.

Trzeciego dnia stanęli oko w oko z większym niż poprzednie oddziałem konnych. Przy szpicach ich kopii powiewały małe chorągiewki króla Karola, z czerwonym obramowaniem i żółtą lilią na niebieskim tle. W przeciwieństwie do poprzednich jeźdźców wszyscy byli w zbrojach.

Emanuel po raz pierwszy się zdenerwował.

– Kim oni są? – zapytał Dżem.

– Ciii – szepnął Emanuel z kozła. – To oddział osobistych strażników króla.

Natychmiast zatrzymał pojazd. Z przeciwnej strony drogi zbliżały się do nich odgłosy końskich kopyt.

– Siedźcie cicho – rzucił, po czym wstał z miejsca i zakrzyknął ile sił w płucach: – Niech żyje Francja! Niech żyje król Karol!

W miarę jak zbliżali się jeźdźcy, jeszcze bardziej podnosił głos.

– Niech żyje król Karol!

Wydało im się, że konie zwolniły.

– Staaać! – zakrzyknął ktoś. To musiał być dowódca oddziału. Kawaleria się zatrzymała.

Zobaczyli, że Emanuel skłonił się do ziemi.

– Bóg z wami, dzielni żołnierze!

Oficer wymamrotał coś, ale Dżem niczego nie zrozumiał.

– W porządku – powiedział Emanuel. – Widzieliście może jakiś strumień, w którym mógłbym napęłnić tę beczkę?

– Na przedzie, po prawej stronie. Dokąd zmierzasz?

– Ach, nawet nie pytaj, bohaterski kapitanie! – powiedział Emanuel. – Jeden z naszych braci w zakonie odszedł do Pana. Przez zaraźliwą chorobę...

– Zaraźliwą?

Po dźwięku końskich kopyt domyślili się, że oficer oddalił się od wozu.

– Niestety. Zawiozę go i zakopię w jakimś odległym miejscu. Nie powinien spoczywać blisko klasztoru, rzecz jasna. Czyż nie?

– Jedź – odparł mężczyzna – i zakop go jak najdalej i jak najgłębiej.

– Oczywiście, oczywiście – wymamrotał Emanuel, siadając na swoim miejscu. – Niczym się nie martw. Zawiozę mojego brata i zakopię na jakimś wzgórzu...

– Ruszaaać...

Konie ruszyły truchtem.

– Ha – zakrzyknął kapitan do Emanuela. – Tylko bądź ostrożny! Jesteśmy na tropie poszukiwanego przez króla zbiega. Jeśli zobaczycie na drodze kogoś podejrzanego, zgłóście się do najbliższego garnizonu. Taki jest rozkaz Jego Wysokości.

– Boże litościwy, zbieg? Oczywiście, oczywiście.

Wierzchowiec kapitana się oddalił.

Emanuel uchylił połę brezentu i szeroko się do nich uśmiechnął.

– I po sprawie.

Dżem zdziwił się beztroską mężczyzny.

– A jeśli któryś usiłowałby zobaczyć, co jest w środku?

Drugi oficer wybuchnął śmiechem.

– Na ile znam osobistych rycerzy Jego Wysokości króla Karola, nie lękają się niczego, ale jak tylko usłyszą coś o zarazie, przez kilka dni uciekają aż się kurzy.

*

Trzy następne dni obyły się bez przygód.

– Tulon – odezwał się Emanuel, gdy już minęło południe.

Wjechali do miasta. Drugi oficer wciągnął wóz do bocznej uliczki niedaleko portu.

– Zaczekajcie tu – powiedział i zniknął im z oczu.

Choć upłynęło już pół godziny, nadal nie wracał i Dżem zaczął się niepokoić, że przygotowano na nich nową pułapkę.

Czyżby to było kolejne oszustwo?

Co mieli zrobić, gdyby ktoś zwrócił uwagę na pojazd i zapytał, kim są? Co prawda gdy tylko trafili do Tulonu, Emanuel zabrał im habity i gdzieś je zakopał, mówiąc, że patrole wszędzie szukają trzech mnichów, więc każde z trojga wyglądało teraz na frankijskiego wieśniaka. Gdy Dżem założył na głowę chłopską czapkę, Ferimah obróciła się do niego plecami i zachichotała.

Drugi oficer chciał zniszczyć kaftan i bieliznę Dżema, a także wszystko, co mogłoby wskazywać na jego pochodzenie, ale za nic nie mógł przekonać Ferimah. Dotyczyło to w szczególności kaftana, bo choć potrzebowałyby przysięg co najmniej tysiąca świadków, by ktokolwiek uwierzył, że to rzeczywiście sułtańska szata, dziewczyna przekonywała:

– Będziesz musiał go założyć tam, dokąd się wybieramy. Ja załatam dziury, a ty, do czasu aż nie uszyją nowego, poradzisz sobie z tym.

Ukryli wszystko na wozie. Co by się jednak stało, gdyby ludzie z patrolu przeszukali go i znaleźli osmańskie stroje?

Minęła kolejna wypełniona lękiem godzina. Dokładnie w momencie, gdy Dżemowi zaczęła kończyć się cierpliwość, usłyszeli odgłosy kroków. Brezent poruszył się i drugi oficer wsunął głowę do środka.

– Chyba trochę się spóźniłem.

Dżem nic nie odpowiedział.

– Dalej – odezwał się mężczyzna. – Schodźcie, idziemy. Morze jest trochę niespokojne i obawiam się, że was zamoczy, ale nie ma innej rady. Nie możemy dłużej czekać. Niebawem trafią na nasz ślad. Trzymajcie się mocno na łodzi. Jeśli wpadniecie

do wody, nie liczcie, że ktokolwiek was wyciągnie.

„Co za defetysta” – przeszło przez myśl Dżemowi.

Emanuel miał jednak rację. Morze było nie trochę, ale bardzo niespokojne. Burza gwałtownie porywała krople błękitnej wody i rzucała im w twarz. Czasem łódź wznosiła się na fali, jakby wspinając się na górski szczyt, po czym opadała ku bezdennej dolinie.

Dżem starał się za wszelką cenę nie dać po sobie poznać, ale żołądek mu się burzył, a w duszy panował chaos. Przed oczami stanął mu moment, w którym wyrzucili do morza zwłoki Szaleńca z Kırkpınar, Kadira Agi. Pamiętał, jak owinięte w całun ciało zanurzyło się w głębinie i na zawsze zniknęło. Powtarzał sobie w myślach: „Czeka nas taki sam koniec jak Kadira Agę – pochłonięcie przez fale”.

Widzieli galerę, ale wioślarzom brakowało już sił. Przemieszczali łódź do przodu o arszyn po to tylko, by morze cofnęło ją o dwa.

Nareszcie zbliżyli się do okrętu, którego majestatyczny kadłub obiecywał im poczucie bezpieczeństwa. Teraz czekało na ich kolejne zagrożenie. Śmierć, gdy już wydawało się, że są uratowani! Jak mieli wspiąć się na pokład po zrzuconej im z góry sznurowej drabince, jeśli łódź jak szalona to wznosiła się, to opadała? A zwłaszcza Ferimah?

Wciągnięcie dziewczyny nie okazało się jednak problematyczne, gorzej było z nim samym. Ona jak kot wspięła się na galerę, zaskakując admirała Cezara i jego załogę, a przy tym, rzecz jasna, Dżema.

– No dalej, dalej – krzyčeli marynarze z za relingu. – Nie możemy dłużej czekać!

Przymknął oczy.

– Z Bogiem – powiedział, wstał i rzucił się na drabinkę.

Udało mu się ją złapać. Trochę się zmęczył, ale zdołał oprzeć stopę na kolejnym szczeblu. Podjął wspinaczkę, modląc się, żeby fala nie podniosła się nagle i nie porwała go. Kiedy płynęli na Rodos, a później je opuszczali, w ogóle nie zorientował się, jak wysoko położony jest pokład okrętu.

Na szczycie czekał na niego admirał Cezar.

– Wasza Wysokość – uśmiechnął się. – Po siedmiu latach znowu się widzimy.

Siedem lat? Tylko tyle?

Wydawało mu się, że to całe życie minęło.

Gdy Dżem stanął przed admirałem, ogarnęło go dziwne uczucie. Zapomniał już o swoim gniewie i nienawiści, o wszystkim, co przeżył. Miał wrażenie, jakby widział starego przyjaciela. Złapali się za ramiona i uśmiechnęli do siebie nawzajem.

– Witaj na mojej galerze, Wasza Wysokość. – Admirał miał serdeczny głos. – Przesyłam pozdrowienia w imieniu wielkiego mistrza Pierre’a d’Aubussona. Twój syn Murad jest cały i zdrowy.

„Och, Muradzie” – jęknął w duszy. – „Mój synu. Mój księżę. Czy jeszcze kiedyś cię zobaczę? Czy jeszcze kiedyś zdołam cię przytulić?”

*

Jakby tylko na to czekała, burza nagle przycichła po jego wejściu na pokład. Morze niemal zupełnie się uspokoiło. Gdy wiatr dmuchający w żagle nie wystarczył, aby żeglować, cały trud spadł na galerników. Wystające z otworów na obydwu burtach wiosła zaczęły uderzać wodę.

Dziesięć dni później postawili stopy na wybrzeżu Italii. Tym razem towarzyszył im admirał Cezar.

Pożegnali się z Emanuelem. Zamiast podziękować, Dżem poklepał go po plecach.

– Zizimie – odezwał się drugi oficer z tyłu. Obrócił się. Tamten znowu szeroko się uśmiechał. – Niech mówią, co chcą, ale w życiu nie widziałem tak odważnego mężczyzny jak ty ani tak dzielnej kobiety jak ta dziewczyna. Rodos o tobie nie zapomni.

Dżem uniósł rękę na pożegnanie.

– Ja też – odezwał się. – Ja też nie zapomnę o Rodos.

...i Rzym, 14 marca 1489

Jedenaście dni później dotarli na wysokie wzgórze, z którego rozpościerał się wspaniały widok.

– Oto Rzym – powiedział admirał Cezar. – Miasto wielkiego Juliusza Cezara, który doświadczył największej zdrady w historii ludzkości.

„Ciekawe, czy istotnie największej” – zastanawiał się. – „Który z nas przeżył najstraszliwszą zdradę? Cezar, ja, Bajazyd Aga?”

Zdziwił się, że nigdy wcześniej o tym nie pomyślał. Jak zapisze się na kartach historii? Jako buntownik? Sprzedawczyk? Bohater? Może tylko jako książe, z którego los uczynił swoją ofiarę? A może w dziejach ludzkości w ogóle nie znajdzie się dla niego miejsce?

Admirał pokazał ręką wypływającą z miasta serpentynę rzeki.

– A to jest Tyber. Główna arteria Rzymu.

Dżem przypomniał sobie, że podobnych słów użył w Kairze wielki wezyr Kajytbaja, gdy opowiadał o Nilu. Jeśli minęło siedem lat, od kiedy opuścili Rodos, to musiało upłynąć więcej niż osiem, od kiedy nie widzieli krainy Mameluków.

„Boże litościwy!” – zakrzyknął w myślach. – „Gdyby Oğuz Han nadal żył, miałby jedenaście lat”.

To oznaczało, że Murad przeżył już osiem wiosen, podobnie jak jego córka, Gevher Melike.

„A moja matka?” – przeszło mu przez myśl. – „Czy nadal żyje?” Poczul nagły żal.

Nie było większej kary niż tęsknota.

Spojrzał na Ferimah. Widać było po niej zmęczenie, ale twarz dziewczyny wyrażała nieopisane szczęście. Jedną z kopył zwróciła jej uwagę; wskazała tę, która znajdowała się najbardziej na lewo.

– Panteon – powiedział Cezar. – Bardzo stary. Pamiątka po dawnym Rzymie. Poświęcono go wszystkim, bo...

Ferimah nie potrzebowała aż tak długiego opisu.

– A ta druga? – przerwał mu Dżem. – Ta wyższa?

– Kaplica Sykstyńska, Wasza Wysokość. Ukończono ją w zeszłym roku i otwarto podczas uroczystej mszy. To spuścizna po poprzednim papieżu, Sykstusie IV. Zresztą pewnie domyśliłeś się po nazwie.

– To ten ksiądz, który nie chciał mnie wpuścić do Rzymu – mruknął Dżem.

Admirał wzruszył ramionami.

– Wielki mistrz ciągle zwracał się do niego w twojej sprawie. Poseł za posłem, list za listem... – Zniżył głos, jakby ktoś mógł ich podsłuchać. – Pochodził z Genui. Rozumiesz, panie? Nie widziałem bardziej upartego narodu, Wasza Wysokość. Nawet kamienie są od nich miększe. Później...

Dżem miał dość. To nie był moment na wysłuchiwanie o dawnych sprawach. „W końcu trafiłem do Rzymu” – pomyślał. – „To tutaj rzucę ostatnią kość”.

Wskazał admirałowi okrągły budynek, który przyciągał jego uwagę.

– A ta wielka wieża? To zamek czy więzienie?

Cezar pokiwał głową ze śmiechem.

– Jedno i drugie.

– Z tego miejsca wygląda dość ponuro.

– Ponoć są tacy, którzy uznają ją za piękną. Ja nigdy nie widziałem jej z bliska. Zresztą wcześniej tylko raz trafiłem do Rzymu. Sprowadziłem tutaj posła w twojej sprawie, ojca Georgeosa. Zamek Świętego Anioła jest tak olbrzymi, że nikt nie wie do końca, jaka powinna być jego funkcja: czy to pałac, forteca, czy może więzienie. – Obrócił się i spojrzał na Dżema. – Teraz to ty wydasz osąd. Bo właśnie tam zamieszkas, Zizimie.

Wóz, podskakując na kamieniach i kocich łbach, staczał się ze wzgórza. Dżem modlił się w duchu, żeby nie połamały się koła. Każda wydłużająca drogę przeszkoda była niczym niezdojta góra. A on chciał dotrzeć do Rzymu natychmiast, aby zerwać kajdany losu.

„Wóz albo przewóz” – myślał. – „Tutaj wszystko się dokona”.

Powozący pojazdem admirał Cezar także był podenerwowany. Widać było, jak zaciska zęby. Z całej siły uchwycił lejce.

– Trzymajcie się mocno!

– Co? Co się dzieje? – krzyknęła siedząca z tyłu Ferimah.

– Trzymajcie się, mówię!

Starali się jak mogli.

– Dalej, wio! – popędzał konie Cezar.

Dżem zauważył, że para zwierząt przeskoczyła kamienie, ale pomimo całej uwagi admirała jedno z przednich kół i tak uderzyło o sporych rozmiarów głaz. Wstrząsnęło nimi gwałtownie. Wóz przechylał się raz na prawo, raz na lewo, jakby miał zaraz gruchnąć o ziemię. Dziewczyna przeturlała się do tyłu.

– Ferimaaaah!

Łapiąc za sznur okrywającego powóz brezentu, w ostatniej chwili uratowała się od upadku.

„Ach, tego już za wiele” – pomyślał Dżem. – „Gdy uderzymy o ziemię, to wszystko się rozwali”. Przez chwilę trwali zawieszeni w powietrzu. Mogli tylko czekać na upadek. „Szlag by to” – zaklął Osmanin. – „A byliśmy tak blisko”.

Na wozie świat się jednak nie kończył. Jeśli razem z nim nie rozpadnie się na kawałki, dotrze do Rzymu, biegnąc, na piechotę, a nawet czołgając się, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Wóz wylądował na wszystkie cztery koła. Szarpnęło go do przodu razem z zaprzęgiem. Mało brakowało, a całą trójkę w jednej chwili wyrzuciłoby z pojazdu i poszybowałoby w powietrzu. W końcu pojazd odzyskał równowagę i bez wywrotki

potoczył się po równym podłożu.

Siedzący u boku Dżema na miejscu woźnicy Cezar odetchnął głęboko.

– Nadal się modlisz, żeby Bóg nie odrywał twych stóp od lądu? Ja wolę już rozbić się na morzu podczas sztormu niż na jednym z tych przeklętych głazów.

Dżem zachował milczenie. Sam nie wiedział, co gorsze, ale bez wątpienia wolał, żeby nawet jeśli umrze, jego stopy dotykały ziemi. Gdy człowiek wyciągał rękę, miał się czego chwycić. W ten sposób śmierć zdawała się prostsza. Za to na morzu... Wydawało mu się, jakby przerażenie i rozpacz dotkliwiej uderzały w miotających się w środku nicości.

Jechali po krętej ścieżce ciągnącej się pośród soczyste zielonych łąk. Z każdym krokiem koni coraz wyraźniej rysowała się na horyzoncie biało-czerwono-żółta sylwetka.

Spojrzał za siebie. Ferimah masowała ramię. Uderzyła o jeden z podtrzymujących brezent prętów.

– Coś ci się stało?

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jak się czuje mój pan?

Był tak rozemocjonowany i wesoły z powodu zbliżającego się celu podróży, że pozwolił sobie na żart.

– Dobrze, ale z tym giaurem jest nie najlepiej.

– A co mu się stało? Jest ranny?

– To przez wóz. Źle na niego wpływa.

Obydwoje zaśmiali się gromko. Od lat nie zdarzyło im się tak szczerze radować. Nie rozumiejąc ich słów ani nie znając powodu ich radości, Cezar spytał:

– Co się dzieje? Z czego się śmiejecie?

– Z ciebie.

– Ze mnie? Dlaczego?

– No wiesz, postawiłeś wszystkich na nogi, bo uderzyliśmy w dwa kamyki. My wytrzymaliśmy tysiąc fal siedmiu mórz, a nie odezwaliśmy się słowem.

Admirał też by się roześmiał, ale nagle coś przykuło jego uwagę. Podniósł się z miejsca i wbił wzrok w zakręt ścieżki przed nimi.

– Co tam? Co się znowu dzieje?

– Ktoś się zbliża od strony Rzymu. Spora gromada.

– Kto to może być?

– Żołnierze... Miecze obijają się o zady koni. Też to słyszycie?

Uszy Dzema również wychwyciły dźwięk, o którym mówił Emanuel.

Cezar ponownie usiadł na swoim miejscu.

– Musimy uważać.

„Zaraza”. Królewskie patrole z pewnością nie trafiłyby za nimi aż tutaj. Kto to mógł w takim razie być? Co to za ludzie?

*

Zobaczyli ich, gdy wyjechali zza zakrętu.

Domysły Cezara były słuszne. Oddział liczył piętnastu czy dwudziestu żołnierzy. Za nimi posuwał się jeszcze dziwny powóz.

Na czele wojskowych jechał dosiadający nieskazitelnie białego konia młodzieniec w ozdobnym kapeluszu i bogatym stroju. Wszyscy pozostali nosili napierśniki. W kołyszącym rytmie ich wierzchowców coś czerwonego przesunęło się to w górę, to w dół na hełmach żołnierzy. Uwagę Dzema natychmiast zwróciła trójkątna żółta chorągiew z czerwonym bykiem u góry, zwisająca z włóczni konnego posuwającego się za jeźdźcem otwierającym pochód. Co to było, czyżby flaga Rzymu?

Zbliżali się do siebie.

Gdy dzieląca ich odległość zmniejszyła się, mężczyzna w ozdobnym kapeluszu podniósł rękę. Chorągiewy i żołnierze zatrzymali się, ale on nadal jechał przed siebie. Był tuż-tuż. Twarz miał roześmianą i bardzo przystojną. „Jak bardzo jest do nas podobny” –

przeszło przez myśl Dżemowi. Od ośmiu lat tłukł się po świecie, ale jeszcze nigdy nie widział obcego, który do tego stopnia przypominałby jego rodaków. Ani w krainie Mameluków, ani na Rodos, ani w państwie Franków.

Zauważył, że mężczyzna wydaje mu się na swój sposób znajomy.

Ferimah także przyglądała się cudzoziemcowi.

Młody jeździec zatrzymał konia przed wozem, a admirał ściągnął lejce. Rzymianin obrzucił ich spojrzeniem. Zdało się, że na chwilę dopadły go wątpliwości, ale w jednym momencie zwrócił oczy na Dżema i uśmiechnął się serdecznie.

– Najjaśniejszy sułtanie, witaj w Rzymie.

Sułtanie!

Nie Dżemie, nie Zizimie. Sułtanie!

Dżem spojrzał na Ferimah kątem oka. Nawet jeśli mężczyzna niepoprawnie wymówił to słowo, widać było, że przywołało uśmiech na jej twarzy.

Po raz pierwszy od lat ktoś tytułował go w ten sposób.

Osmanin zdziwił się, że przybysz rozpoznał go pomimo zgrzebnego chłopskiego stroju, który miał na sobie. Nie zastanawiał się jednak nad tym zbyt długo. Rozpoznał go i już. Kiwnięciem głowy odwzajemnił pozdrowienie.

– Jestem synem kardynała Rodriga de Lanzol Borgii – odezwał się młody rzymianin. – Nazywam się Cesare Borgia.

Dżem ponownie lekko skinął głową.

– Przybyłem, aby powitać cię w imieniu zwierzchnika wszystkich krain, Ojca Świętego Innocentego VIII. Jego Świątobliwość udzielił mi zaszczytu towarzyszenia ci. Mam nadzieję, że najjaśniejszy sułtan nie zechce mi go odebrać.

Dżem zawsze wzdrygał się przed czczą gadaniną, ale tym razem, z niewiadomego powodu, wypowiedziane przez młodzieńca słowa przypadły mu do gustu. Ratowały od prześladowającego go przez lata poczucia osaczenia. Miał przekonujący głos. Jego mowa nie pachniała dwulicowością ani oszustwem. Nie deklamował z pamięci, przymykając oczy. Borgia naprawdę zwrócił się do niego, jakby był sułtanem.

Odpowiedział mu łagodnym uśmiechem. „Zobaczymy, czy dasz radę mówić jak

władca, Dżemie” – odezwał się głos w jego wnętrzu.

– Musieliście się utrudzić, żeby przybyć aż tutaj.

W czarnych oczach młodzieńca pojawił się błysk.

– Muszę przyznać, że gdy nasz pan powierzył mi to zadanie, miałem pewne wątpliwości. Ale teraz, gdy zobaczyłem Najjaśniejszego Sułtana, wiem, że służba synowi Wielkiego Turka stanie się jednym z największych zaszczytów mojego życia.

– Wielkiego Turka?

– Tak w Rzymie nazywają twojego ojca, Wasza Wysokość.

W tym momencie niebo niemal zważyło im się na głowy.

*

Dzwony!

Dzwony!

Rzym drżał w posadach od ich brzmienia.

Dong!

Wibracje wywoływane przez wielkie spizowe dzwony niemal wwiercały się w mózg Dżema.

Po chwili dołączyły inne, mniejsze.

Dan!

A na koniec zupełnie malutkie, pobrzękujące.

Ding, dong.

Wszystkie dzwony Rzymu śpiewały.

Niektóre konie wystraszyły się hałasu i zaczęły rzeć.

Dannnggg... Ding, dong... Dannn!

Czyżby ktoś zmarł? A może znowu kogoś koronowano?

Nagle Dżem poczuł strach. A co, jeśli... Jeśli zmarł wielki papież, który go zaprosił? Jeśli tak by się stało...

Lecz widząc wyraz twarzy jego i Ferimah, młody rzymianin zaśmiał się. W jego spojrzeniu nie dało się dostrzec ani paniki, ani smutku. Wręcz przeciwnie, wyglądał na szczęśliwego i dumnego.

– Co się dzieje? – W głosie Dżema pobrzmiwało napięcie.

Cesare Borgia nie usłyszał go przez wznoszący się pod niebiosa tumult dzwonów.

– Co się dzieje? – zakrzyknął tym razem. – Czemu wszystkie dzwony dzwonią?

Rzymianin wyciągnął ku niemu rękę.

– Na cześć Najjaśniejszego Sułtana. Rzym cię pozdrawia!

Borgia w teatralnych ruchach wyprzedził wóz i obróciwszy się ku żołnierzom, dał im jakiś znak. Powóz, który przed chwilą zwrócił uwagę Dżema, teraz zaczął się do nich zbliżać.

Ciągnęła go czwórka czarnych koni o kapiących od ozdób uprzężach. Miał odsłoniętą górę. Wyciągnięto boczne i tylne deski, a w ich miejsce wstawiono sięgającą do wysokości pasa poręcz, do której przyczepiono żółte i czerwone wstążki.

Pojazd zatrzymał się przed nimi, a Cesare Borgia, wyciągając rękę, pochylił się na swoim koniu i spojrzał na Dżema.

– Wasza Wysokość...

– Cóż to takiego?

– To dla ciebie, Najjaśniejszy Sułtanie.

– Mam na to wejść?

W jego głosie zabrzmiało zdenerwowanie.

– Tak... – Borgia uśmiechnął się. – To bardzo szczególna robota... Wykonano go specjalnie dla cie...

– Nie jestem błaznem, rzymianinie. – Głos Dżema zadźwięczał jak bat.

Cesare Borgia poczuł rozczarowanie, ale szybko wziął się w garść.

– Cały Rzym jest na nogach. Lud czeka na syna Wielkiego...

– Nie wsiądę.

– Ależ, Wasza Wysokość, Rzym pragnie cię zobaczyć.

– U nas w kraju takich wozów używają błazni i akrobaci chwalcący się swymi umiejętnościami. Wsadza się też na nie zdrajców albo ważnych wojennych jeńców, a później obwozi po ulicach.

– Ale... to... To... wyjątkowy...

– Nie wsiądę. Jeśli będziesz nalegał, nie wjadę do Rzymu, zawrócę.

„Ciekawe dokąd?” – pomyślał, ale jego twarz pozostała niewzruszona jak skała. Postanowił, że nie cofnie się nawet o krok.

– Nieważne, jak wielki jest Rzym – burknął. – Imperium Osmanów przewyższa go sto... nie, tysiąc razy.

– Ale...

Dżem przerwał mu machnięciem ręki.

Nagle przypomniał sobie słowa ojca. „Słuchaj, synu” – powiedział do niego któregoś dnia Mehmed. – „Półksiężyc jest wielki razem z imperium, a imperium z półksiężycem. Lecz dopóki u boku księżycy nie postawisz słońca, giaur nie pojmie, że państwo Osmanów wyrosło na olbrzyma. Półksiężyc to Osmanie, a słońce to Rzym. Porwiesz je i połączysz z księżycem. Takie jest moje marzenie. I jeśli nie będzie mi dane go spełnić, pozostanie spuścizną dla każdego z dynastii”.

„Ach, niebios!” – zebrało mu się niemal na płacz. – „Spójrzcie tylko, jak drwicie z syna Wielkiego Zdobywcy. Przywiodłyście go do bram słońca, aby błagał i skomlał. Jakby tego było mało, chcą go wciągnąć na wóz, żeby niczym błazen zabawiał gawieź. Będą go pokazywać jak małpę, niedźwiedzia czy mordercę”.

Na twarzy Cesarego Borgii zagościł wyraz niepewności.

– Jak cię przekonać, panie? – powiedział łagodnie. – Lud czeka. Ojciec Święty również... Musimy jechać dalej i...

– Zabierz mi ten powóz sprzed oczu, rzymianinie – odezwał się naraz Dżem. – Jeśli tak bardzo chcesz, żebym wjechał do Rzymu, to wjadę. Ale na końskim grzbiecie.

Cesare Borgia miał rację.

Cały Rzym stanął na nogi. Wjechali do miasta przez ogromną bramę.

– Łuk Triumfalny cesarza Tytusa Flawiusza Wespazjana – wyjaśnił Dżemowi Borgia. – Zbudowano go na pamiątkę zwycięstwa imperatora.

Osmanin dosiadał wspaniałego białego konia Cesarego Borgii. Gdy nie mieli już wyjścia, młody rzymianin przekazał mu rumaka, a sam przejął wierzchowca jednego z żołnierzy.

Papież bez wątpienia się wścieknie, gdy Dżem wkroczy do Rzymu na końskim grzbiecie, niczym triumfator. Nie było jednak innej rady. Mógł wepchnąć Osmanina na pokazowy wóz, pod warunkiem że wcześniej złapałby go i przykuł łańcuchem. Albo zabił.

Dżem jednocześnie zachwyił go i zirytował. W jednej chwili wyczuł zastawioną przez Innocentego pułapkę i zniweczył poniżający plan, jakim było ukazanie rzymianom syna Wielkiego Turka jako jeńca lub cyrkowego zwierzątka.

– Przecież nie pozwolę ci wjechać do Rzymu na tym rozpadającym się gracie! – Wskazał wóz, który służył im aż do tamtej chwili. – Nie mam pojęcia, jak inaczej miałbyś trafić do miasta.

Dżem zaśmiał się gromko.

– Ale ja mam.

Jego wzrok spoczął na wierzchowcu Cesarego.

„Rzym porwie ciebie, czy ty porwiesz Rzym?” – zapytywał sam siebie Borgia, zsiadając z konia. – „Jedyne, czego jestem pewien, to że papież nie puści ci tego płazem”.

Dżem rzucił chłopski strój i włożył rzeczy, które siedząca w wozie dziewczyna wyciągnęła z jakiegoś worka. W pośpiechu pozszywana przez Ferimah w wielu miejscach szata była już mocno wysłużona, ale w świetle słońca nadal olśniewała. Pomimo wysiłków dziewczyny turban ciągle przekrzywiał się na jedną stronę. Dżema nic to jednak nie obchodziło.

Z lekkością, jakby od lat na nim jeździł, dosiadł wierzchowca Cesarego, który przypominał mu Pioruna. Wodze trzymał w lewej ręce, prawą zaś oparł na biodrze. Miał

podniesioną głowę. Jego oczy patrzyły prosto przed siebie, w dal. Wkraczał do Rzymu nie jak zdruzgotany ośmioletnią niewolą jeniec, ale jak zwycięzca.

Obie strony drogi zapchane były ludźmi, którzy niemal się tratowali, żeby go zobaczyć.

– *Evviva* sułtan Dżem!

– Niech żyje sułtan!

– *Evviva* Dżem!

Od czasu do czasu odzywały się również głosy skandujące „Zizim”.

Kobiety rzucały mu kwiaty, a Dżem, niczym pozdrawiający swoich poddanych wyniosły imperator, unosił dłoń, by powitać rzymian.

*

Ferimah jechała na podążającym za zbrojną eskortą kierowanym przez admirała wozie. Nie mogła widzieć twarzy Dżema, wiedziała jednak, że jej Płomienisty Książę jest szczęśliwy. Była również pewna, że jego oczy lśnią na podobieństwo bursztynu. Ona także powinna się radować i napełnić serce nadzieją. Tak się jednak nie działo.

W głębi jej duszy czaił się strach.

Może było to uczucie powodowane wieloma latami życia w ciągłej obawie? Jakby lęki zapuściły w niej korzenie, stały się jej częścią. W tej chwili nie było żadnego widocznego powodu, dla którego miałyby się bać. W Nicei i Lyonie musieli niemal ukrywać się przed ludem, a tutaj cały Rzym wyległ na ulice. Jego ożywienia nie dawało się nawet porównać z tym, które dostrzegali na Rodos. Jakby ujrzeli kogoś z dawna wyczekiwanego.

Ale dlaczego?

Czemu Rzym aż tak radował się z wkroczenia Dżema do miasta?

Ferimah nie była w stanie odpowiedzieć na to pytanie, powtarzane w myślach od chwili, gdy zobaczyła wiwatujące tłumy.

Doprawdy dziwne. Może to właśnie było przyczyną kłębiących się w jej wnętrzu lęków?

„Obym się myliła” – powiedziała do siebie w myślach. – „Mam nadzieję, że Rzym jest przyjacielem i naprawdę uczyni mego sultana szczęśliwym”.

Może istniał jakiś nieznaną jej powód, a entuzjazm oraz miłość Rzymu były prawdziwe? Może Dżem miał tu odnaleźć nie zdradę, ale przyjaźń? Taką, która pozwoliłaby mu trafić do Rumelii otwierającej drogę do tronu.

„Ale jeśli są prawdziwymi sojusznikami” – w jej głowie pojawiła się wątpliwość – „to czemu chcieli, by mój pan wsiadł na ten przeklęty powóz?”

To pytanie również pozostało bez odpowiedzi.

Gdyby Dżem pozwolił wziąć się z zaskoczenia i zajął miejsce w pojeździe... Ferimah nie chciała sobie nawet wyobrazić podobnej sceny.

Usiłowała odrzucić zżerający ją strach.

„Niechby chociaż tutaj znalazł spokój” – modliła się. – „Błagam cię, Boże. Ukróć jego cierpienia. Nie pozwól, by go jeszcze kiedykolwiek poniżono”.

*

Wśród krzyków i oklasków wjechali na wyłożoną wielkimi kamieniami drogę, po której bokach ustawiono w rzędach smukłe białe kolumny.

– Oto Forum Romanum – odezwał się Cesare. – Tutaj rezydowały kapłanki West...

Dżem nie słyszał słów rzymianina, jego umysł błądził bowiem zupełnie gdzie indziej. Wyłoniła się przed nimi ogromna okrągła wieża, którą dostrzegli, po raz pierwszy przyglądając się miastu ze szczytu wzgórza. Zamek Świętego Anioła, co do którego nikt nie mógł do końca zdecydować, czy jest lochem, czy pałacem. Jego złowieszczy cień padał na drogę i rzekę, a gdy zbliżali się do fortecy, Dżema ogarnęła nagła zgryzota.

Przyszły mu do głowy słowa admirała: „Będziesz tam mieszkał, Zizimie”.

„Sądząc po tym, że zmierzamy prosto do zamku, tak się pewnie stanie” – pomyślał. – „Admirał powiedział: »Teraz to ty wydasz osąd, czy pałac to, czy loch«”. Do podjęcia decyzji wystarczył sam chłód tłumiącego światło kamiennego masywu. Miejsce, do którego go prowadzili, nie było rezydencją, tylko więzieniem. Kto widział pałac z tak grubymi i wysokimi murami? Był to loch, i to być może najstraszliwszy loch świata. A ten młody rzymianin właśnie go tam prowadził. Do nowej celi.

Skoro tak, to po co ta feta z witającym tłumem? Czyżby wyszli na ulice, żeby zobaczyć człowieka prowadzonego do lochu? Czemu go oklaskiwali? Czemu kobiety rzucały róże i goździki?

Poczuł nagle, jakby ktoś podciął mu skrzydła. W jednej chwili wyparowały radosne oczekiwanie i nadzieja, które w sobie pielęgnował.

Uniósł głowę i starał się dojrzeć czubek Zamku Świętego Anioła.

Patrząc z daleka, nie zauważył tego szczegółu, ale wysoko, bardzo wysoko, w miejscu gdzie kończyły się mury, coś się znajdowało. Marmurowy anioł! Niebiańska istota, która wyciągała szyję ku niebu albo właśnie z niego zstępowała.

To także było dziwne. Co robił anioł w więzieniu? Czy spłynął z chmur, by ulżyć cierpieniom męczonych wśród tych straszliwych ścian ludzi? A może po to, by stać się świadkiem krzyku i bólu biedaków, których szeregi miał niebawem zasilić Dżem?

– Pałac cesarza Hadriana.

– Pałac? Czy nie jest trochę przerażający? Jakby...

Cesare Borgia się uśmiechnął.

– Czyżby Wasza Wysokość podzielał opinię mojej siostry Lukrecji?

– A jakie jest jej zdanie?

– Nienawidzi życia w tym miejscu.

Aby nie dać po sobie poznać zdziwienia, Dżem nachylił się i pogładził grzywę konia.

– To wy mieszkacie tutaj, panie?

– O, tak. Gdy mój ojciec, kardynał Rodrigo Borgia, przybył do Rzymu, Jego Świątobliwość uczynił mojej rodzinie honor i powierzył jej ten pałac. Jednak Lukrecji wcale się tu nie podoba.

– Czemu?

– Mówi, że w niektóre noce słyszy dochodzące spod ziemi jęki i krzyki. Sądzę, że to się zaczęło, gdy usłyszała, że w zamku przechowywane są prochy imperatora i jego

rodziny. Ale wiadomo, to jeszcze dziecko.

– Ile lat ma twoja siostra?

– Jedenaście, choć sama przysięgłaby, że dwanaście.

Gdy Dżem mruknął: „Ciekawe, czy i ja usłyszę w nocy te same dźwięki?”, Cesare odparł:

– Ty zostaniesz w Pałacu Watykańskim, Wasza Wysokość. Ojciec Święty zażyczył sobie, byś przebywał blisko niego.

„Czy powinienem się cieszyć, że nie zamieszkam w tym przerażającym miejscu?” – zapytał sam siebie w myślach. A może powinien zacząć się bać?

Plac Świętego Piotra

Papież Innocenty był podenerwowany. To był dzień, którego długo oczekiwał. Od samego rana bez przerwy powtarzał kardynałowi de Lanzol Borgii:

– Piszę historię od nowa, Rodrigo.

Nie był w stanie usiedzieć w miejscu i od świtu zdążył się już zmęczyć, przemierzając wzdłuż i wszerz korytarze Pałacu Apostolskiego. Mimo to, by zobaczyć wiekopomną scenę swego autorstwa, wyrzwał, uchylając jednej z zasłon, na plac. Był mocno zatłoczony. Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku, z którego miał nadejść syn Wielkiego Turka. Stracił cierpliwość.

– Gdzie oni są?

– Po głosach można stwierdzić, że przejechali most Eliusza.

– Rodrigo, czy wszystko jest gotowe?

– Tak – szepnął stojący nieco w tyle kardynał Borgia. – Gotowe, mój panie.

– Ostatni akt powinien wywrzeć bardzo duże wrażenie.

Tak naprawdę Borgia nie wierzył, że widowisko, którym papież chciał od nowa napisać historię, wywoła oczekiwany skutek. Oczywiście mu tego nie powiedział. „Skoro już chcesz napisać historię, to proszę cię bardzo, pisz i zobacz, co z tego wyjdzie” – powtarzał sobie w głowie. Wcale nie zmiażdży tamtego człowieka, wręcz przeciwnie, tylko go wywyższy. – „Boże, za grosz zrozumienia ludzkiej psychiki, Cybo”. Mimo to uśmiechnął się, skłaniając głowę.

– Z pewnością wywrze, niech się Wasza Świątobliwość nie obawia.

– Mówisz, że Zizim mimo wszystko poczuje się w tym powozie jak sułtan, tak?

Jeśli powiedziała by „tak”, papież by mu nie uwierzył. Na twarzy kardynała pojawił się dziwny wyraz.

– Nie sądzę, żeby był szczególnie szczęśliwy, mój panie. Najważniejsze, co poczuje, gdy wkroczy na plac i znajdzie się w twojej obecności, Wasza Świątobliwość.

Papież wymamrotał coś pod nosem.

– Dokładnie to przemyślałem, Rodrigo. Jeden Bóg wie, że wyliczyłem każde słowo.

Borgia nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości. „Ja również” – pomyślał. – „Przysięgam, że ja też odmierzam każdy krok i każde działanie, które podejmę, aż do dnia, gdy wygodnie rozsiądę się na twoim tronie, Cybo. Mam nawet gotową mowę na dzień, w którym zdechniesz”.

Nagle wśród tłumu na placu zapanowało poruszenie. Cały Rzym aż drżał od okrzyków i oklasków. Papież z pełną uwagą obrócił wzrok ku zakrętowi, zza którego miał wyjechać powóz.

Oto nadchodził. Syn mężczyzny, który zmiażdżył Konstantynopol, zbliżał się na wozie z poręczami, na podobieństwo cyrkowej małpy, żeby przypaść mu do stóp. Cały Rzym miał zobaczyć, jak dokona się zemsta Konstantyna Wielkiego... już za chwilę.

Nagle wpadł w popłoch.

Co to? Boże jedyny!

– Rodrigo – syknął Giovanni Battista Cybo – co to ma znaczyć?

Borgia również był w szoku.

Zizim, niczym triumfator, wjechał na plac na grzbiecie białego konia.

Nie było żadnego powozu. Zgromadzony tłum również wpatrywał się jak urzeczony. Właśnie mieli naprzeciw siebie syna Wielkiego Turka.

– N-nie... – wyjąkał kardynał Borgia. – Nie wiem... Musiało zajść jakieś nieporozumienie...

– Czy to ma być przedstawienie, które przygotowałem, aby go poniżyć? Ten człowiek... On... – Papież pluł z wściekłości. Podszedł do drzwi. – Szlag by to. Natychmiast daj sygnał, Rodrigo... W tej chwili... Zaczynać.

– Jak każesz, Ojcie Świąty.

Innocenty VIII, stukając o podłogę pastorałem, włókł się, ciągnąc za sobą garbaty korpus.

– Przeklęty... przeklęty...

*

Dookoła kłębił się tłum. Jeźdźcy z eskorty wyprzedzili go, aby utworzyć korytarz. Wjeżdżali w grupy ludzi, a ci rozstępowali się na dwie strony.

Dżem zauważył, że oklaski i pokrzykiwania nie są tak radosne jak te na drodze.

Nagle zobaczył, że coś wlatuje w powietrze. Próbował się uchylić, zbyt późno jednak. Jajko rozbiło się na jego twarzy.

Dżema zmroziło. Czas się zatrzymał. Zniknęły wszystkie dźwięki i widoki. Słyszał tylko wrzask jakiejś kobiety:

– *Il figlio del Gran Turco fuori!*

Później rzucono kolejne jajka. I pomidory. Jego twarz, oczy i głowa były w okropnym stanie. Zobaczył ryczących ze śmiechu ludzi.

– *Fuori! Fuori!* – skandowało z czterdziestu czy pięćdziesięciu ludzi po jednej ze stron.

Ta sama kobieta znowu podniosła krzyk, jakby ją rozrywało.

– *Il figlio del Gran Turco fuori!*

Opanowawszy zaskoczenie, Cesare Borgia i strażnicy zwrócili konie w stronę wrzeszczącej. Zaczęły się ucieczki i przekleństwa.

– *Fuori! Fuori!*

Dżem nie mógł uwierzyć. Czy Rzym nie powitał go przed chwilą okrzykami „niech żyje”? Jeśli tak, to dlaczego ta kobieta wrzeszczała: „Precz, synu Wielkiego Turka”? Kim byli ludzie, którzy skandowali razem z nią?

Tym razem zamieszanie zaczęło się po lewej stronie. Nędznie ubrany człowiek wyskoczył przed wierzchowca Dżema z pięścią uniesioną w powietrze. Był obrzydliwy i przerażający.

– *Il figlio del Gran Turco muori!*

– *Muori, muori, muori!*

„Ja już jestem martwy” – przeszło przez głowę Dżema, gdy usłyszał mężczyznę. – „Właśnie umarłem”.

Tym razem Cesare i jego ludzie skierowali konie na tamtą stronę.

– Stać – krzyknął za nimi Osmanin. – Zostawcie ich w spokoju. Jestem tutaj.

Gdy tłum usłyszał, że Zizim mówi w ich własnym języku, zapanowało poruszenie, skandowania ucichły. Dżem stanął w strzemionach. Wodze miał w lewej ręce, a prawą starł spływające mu po twarzy jajko. Uniósł prawe ramię i spojrzał na zgromadzonych.

– Rzymie, bądź pozdrowiony!

Jego dusza płakała, ale twarz miał roześmianą.

Ktoś z ludu zakrzyknął:

– *Eviva!*

I jeszcze jeden:

– *Eviva Zizim!*

– *Eviva! Eviva! Eviva Dżem!*

– *Gran Turco Dżem!*

– *Gran Turco! Gran Turco!*

Cesare Borgia podjechał do Dżema i zeskoczył z konia. Był cały spocony.

– Wy... wybacz, oni... Oni... – Spojrzał z dołu na Osmanina, który nadal stał w strzemionach. – Oni... Kilku z nich... – Gdy Dżem obrócił ku niemu wzrok, młodzieńcowi głos uwięził w gardle. Z oczu Zizima strzelały błyskawice.

– Rzymianinie – odezwał się z góry – ruszaj! Zaprowadź mnie, dokądkolwiek masz mnie zaprowadzić!

*

Ferimah w panice obserwowała wszystkie zdarzenia.

„Właśnie tego się bałam” – powiedziała w myślach.

Spełniły się jej podejrzenia. Rzym miał dwie twarze. Jedną z nich ujrzeli na drodze. Drugie oblicze objawiło się tutaj.

Naraz zobaczyła, że Dżem unosi się na koniu i mówi coś do tłumu. Zaraz potem znów usłyszała dochodzące przodu oklaski i okrzyki „eviva”.

„Niech mnie, ile jeszcze twarzy ma Rzym?”

Nagle Dżem obrócił się w stronę, po której stała.

– Neeee! – krzyknęła, zobaczywszy, że Płomienisty Książę, o którego tak się trwożyła, cały jest w jajkach i pomidorach. – Neeee!

Osunęła się na wóz i ukryła twarz w dłoniach.

Dżem pomiędzy ustawionymi w szeregi wartownikami wraz z Cesarem Borgia wchodził po schodach Pałacu Watykańskiego.

– Tylko na niego spójrz – odezwał się siedzący na miejscu woźnicy admirał Cezar, dotykając ramienia Ferimah. Dziewczyna niczego nie rozumiała, ale czuł, że musi wypowiedzieć głośno swoje myśli. – Choć przeżył tak straszliwą tragedię, nadal kroczy niczym góra. Patrz, jakby jego głowa miała przebić chmury.

Ferimah odjęła ręce od twarzy. Płakała. Spojrzała do tyłu przez zasłonę łez.

– Góra – powiedziała, łkając. – Moja... góra.

*Pałac Watykański**14 marca 1489*

– Wasza Wysokość... Ojciec Święty czeka.

Drzwi sułtana Dżema pozostawały zamknięte.

– Zizimie, proszę.

Z wnętrza nie wydobył się nawet najcichszy dźwięk.

Sala audiencyjna była pełna ludzi. Wszyscy czekali na syna Wielkiego Turka. Kardynałowie ustawili się w rzędzie po prawej stronie papieskiego tronu, na który wchodziło się po trzech marmurowych stopniach. Ci, którzy zazdrościli Borgii powierzonego przez Innocentego VIII zadania powitania Zizima, spoglądali na niego, zaśmiewając się.

Posłowie wszystkich europejskich królów zjawili się w uroczystych strojach. U boku francuskiego emisariusza stał osobisty doradca Karola VIII Sanuto Laurent. Był tam także malarz Pinturicchio. Rozstawił sztalugę, przygotował farby i pędzle, żeby uwiecznić tę scenę. Był ogromnie podekscytowany, jakby przeczuwał, że obraz, który namaluje, przejdzie do historii.

W miarę upływu czasu w komnacie rosło napięcie. Posłowie zaczęli nawet głośno narzekać.

Kardynał Borgia nie był w stanie wytrzymać dłużej i wyszedł na korytarz. Gdy zobaczył swego syna nadchodzącego z naprzeciwka, zamiatając szatą posadzkę, ruszył prosto na niego.

– Czyś ty oszalał? – syknął do Cesarego. – Czemu nie wsadziłeś go na ten wóz?

– Nie wsiadł.

– Co to znaczy „nie wsiadł”?

– Powiedział, że mogę go wsadzić na wóz tylko martwego.

– Módlmy się, żeby Cybo nie wykorzystał twojej nieudolności, by wydalić mnie z Rzymu. – Borgia odetchnął na chwilę. – Czemu jeszcze nie przyszedł? Papież wariuje.

– Wariuje? Przecież on już jest chory psychicznie, ojczy.

– Na miłość boską, Cesare. – Rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie słucha. – Co ten człowiek wyprawia?

– Na pewno się szykuje. Jego strój był cały w nieładzie. Chciałbyś zaprowadzić go w takim stanie przed oblicze wariata?

Na twarzy Rodriga Borgii pojawił się tajemniczy uśmiech.

– Takim właśnie chciał go widzieć nasz wariat, Cesare. Robi wszystko, żeby go poniżyć.

– Ale na nic się to nie zda. Sam widziałeś. Zamiast tego stał się bohaterem. Nazywają go teraz Wielkim Turkiem. Nie boi się, bo prócz życia nie ma już nic do stracenia. A i to go nie obchodzi.

– Nie przestraszymy go, ale możemy wykorzystać. – Spojrzał synowi w oczy. – Szaleniec – szepnął mu do ucha – nie będzie w stanie, ale ja... – Uśmiechnął się. – A teraz idź i przyprowadź go, Cesare.

*

W chwili, gdy Cesare Borgia miał zapukać, drzwi się otworzyły. Dżem olśniewał. Wyczyszczony i ponownie zawiązany turban spoczywał na jego głowie. Kaftan leżał na nim jak nowy. Na ramiona narzucił także futro, a na jego koszuli nie został choćby ślad po plamach od jajek i pomidorów.

– Jeśli on jest gotowy – rzekł Dżem – to ja też. Możemy iść.

Idąc długim korytarzem, nie zamienili nawet słowa. Cesare zatrzymał się przed małymi drzwiami na samym jego końcu. Obrócił się do Osmanina.

– Wasza Wysokość – odezwał się cicho.

– Słucham.

– Jest zwyczajem, że rozmowy w obecności papieża tłumaczone są na język obydwu stron.

– Dobrze, nie namęczę się, żeby zrozumieć.

Cesare zakasłał i spojrział w oczy Dżema.

– Królowie, a nawet cesarze, całują stopy papieża, chcąc zapewnić sobie jego łaskę i modlitwy. Wasza Wysokość również... – Zobaczył, że z oczu tamtego strzelają te same co na placu błyskawice.

– Ja – przerwał mu Dżem, a jego spokojny głos kontrastował z rysującym się w spojrzeniu gniewem – oczekuję łaski jedynie od Boga. Wiedźcie, że nie uczynię niczego, co stanowiłoby wykroczenie wobec mojej wiary. A jeśli zechcecie mnie do tego zmusić, będziecie musieli użyć mieczy. Do jego stóp może paść tylko moje martwe ciało.

Nie czekając na odpowiedź, obrócił się i otworzył drzwi.

*

Papież Innocenty VIII odczekał chwilę, nie patrząc w jego stronę. Dżem wyprostował się i przyglądał swojemu rozmówcy. Nie poruszał się, jednak jego umysł już dużo wcześniej podszeptał mu, że temu garbatemu mężczyźnie nie należy ufać.

„Nie chodzi tylko o ciebie, Dżemie” – brzęczało mu w głowie. – „Nikt nie powinien mu ufać”.

Postawa przybysza wywołała niezadowolenie w sali audiencyjnej. Gdy tylko rozbrzmiały szepty, a nawet gniewne pomruki, papież obrzucił spojrzeniem Dżema, który nie padł mu do stóp i nie pocałował wystawionej przezeń dłoni. „Teraz zgmiotę go jak muchę” – warknął w myślach. – „Tylko poczekajcie”.

– Zizimie... – Jego głos brzmiał jak chropawy gwizd. – Zbliź się.

Młody mnich tłumaczył słowa Ojca Świętego.

Dżem przeszedł dwa kroki i zatrzymał się.

– Nie bój się – zachichotał papież. W komnacie również rozbrzmiały śmiechy. – Nie musisz się już bać swojego sułtana. Stawiłeś się przede mną, reprezentantem Boga na ziemi. Mimo straszliwych nieszczęść, których w przeszłości powodem był twój ojciec, Kościół, okazując wielką łaskawość, przyjął cię pod swoje skrzydła.

– Mój ojciec, sułtan Mehmed Chan, był zwycięzcą. – Głos Dżema był twardy, ale

spokojny. – Chwalebny i czcigodny jest ślad, który po sobie pozostawił. Ja natomiast nie lękam się nikogo prócz Boga, nie potrzebuję też ani nie pragnę innej obrony jak tylko jego. Przybyłem tutaj na wasze zaproszenie.

Powiało chłodem. Dało się słyszeć gniewne i zadziwione pomruki.

Papież jakby nie słyszał jego słów.

– Dzięki mej łaskawości otrzymasz tron i koronę, Zizimie.

– Tylko Bóg jest łaskawy. Nie oczekuję litości od nikogo innego.

– Co ten człek wygaduje! – rozległy się pomruki w komnacie, jednak Innocenty VIII się nimi nie przejmował.

– Umowa – syknął. – Dam ci armię. Zjednoczę dla ciebie wojska wszystkich cesarzy i królów.

Dżem przypomniał sobie słowa doradcy francuskiego króla Karola, Sanuta, wypowiedziane w zamku Le Pouet.

– I dokąd pomaszeruje armia, o której mówisz? Do Jerozolimy?

Ojciec Święty odpowie „tak”, on zaś powtórzy to samo co w czasie rozmowy z Karolem w górskiej twierdzy: „Nigdy”.

Jednak papież powiedział coś nieoczekiwanego.

– Nie.

Dżem zdziwił się.

– Czyż celem wspomnianego przez ciebie wojska nie jest walka? Z kim będzie się bić armia cesarzy i królów? Dokąd pomaszeruje?

Wychylając się do przodu na tyle, na ile pozwalał mu na to garb, papież wlepił w niego wyłupiaste oczy.

– Na węgierskie równiny, Zizimie.

Naraz w głowie Dżema poruszył się ogon rdzawego wilka. „Otwórz oczy” – zawarczał. – „Mówi o węgierskich równinach... Stamtąd do Rumelii... i stolicy...”

Spoczywał na nim wzrok Ojca Świętego.

– Dam ci – wycharczał – światowe imperium, Zizimie... Korona spocznie na twojej głowie, a ty zasiądziesz na tronie.

O czym mówi ten mężczyzna? Posłowie w sali audiencyjnej również byli zdziwieni. Jeden z kardynałów spojrzał ostro na Rodriga Borgię.

– Na miłość boską, Borgia! Co wy wyprawiacie?

– Nie my, tylko on.

– Czyżbyś nie wiedział wcześniej o tym planie?

– Nawet o jednym słowie. Powtarzał tylko ciągle, że od nowa napisze historię.

– Jezu Chryste, od kiedy to koronowanie niewiernego na władcę świata nazywa się pisaniem historii na nowo?

Borgia wzruszył ramionami. Zaczął się obawiać. Kto mógłby odrzucić taką ofertę? Jeśli Zizim się zgodzi, historia świata faktycznie zostanie napisana od nowa. Cybo chyba jednak nie brał pod uwagę jednej rzeczy. Nie będą to już dzieje chrześcijan.

Dżem zauważył, że wśród poruszonego szepczącego tłumu stoi doradca francuskiego króla, Sanuto Laurent. Zakaszłał i obrócił się ku tłumaczowi.

– Spytaj go, jaka jest cena, którą mam za to zapłacić.

W komnacie wstrzymano oddechy. Wszyscy słuchali dragomana^[86].

Na twarzy papieża pojawił się szeroki uśmiech. „Dokładnie tak, jak się spodziewałem” – pomyślał. – „Bezbożnik gotów jest porzucić wiarę dla korony”.

– Nic prostszego – powiedział ochryple. – Tutaj, w Rzymie, oświadczysz przy wszystkich zgromadzonych, że narodziłeś się na nowo dzięki boskiej inspiracji. Podpiszesz oświadczenie, które kazałem przygotować. Wyznasz w nim, że uznajesz przewodnictwo Kościoła, będziesz maszerować pod chorągwią Jezusa Chrystusa i odtąd zrobisz wszystko, aby krzyż wygrał z półksiężycem...

– Nigdy!

Tłumaczenie nie było potrzebne. Każdy zrozumiał odpowiedź.

– Nie żądasz ode mnie zapłaty, tylko życia, księżu. I jeśli sądziłeś, że ten, który zbuntował się przeciwko sułtanowi, sprzeniewierzy się także własnej wierze, to uwierz: źle mnie oceniłeś. Nie jestem jednym z tych, którzy występują przeciwko swojej religii i wyrzekają się własnego losu.

Kiedy tłumacz przekładał słowa Dżema, oczy Cyba rozszerzyły się, jakby miały wypaść z orbit. Chciał napisać historię od nowa, a został poniżony przed obliczem tylu posłów.

– Nie tłumacz mu tego, co teraz powiem – mruknął do dragomana. Położył dłonie na poręczach tronu i wstał z wysiłkiem.

– W takim razie będziesz tu pełzał jak pies!

Gdy tłumacz, nie wiedząc, co zrobić, zaczął pocierać dłonie, Dżem spojrzął z drwiną na Innocentego, który nie miał pojęcia o jego znajomości łaciny, i zaśmiał się głośno.

– Ha! Jakże inaczej. Wszak temu, kto wpadnie w wasze ręce, nie lepiej będzie niż psu, czyż nie?

W tamtej chwili wszystkie konwenanse runęły. Komnatę wypełnił gwar.

– Spalić go! – krzyknął ktoś.

– Nie! Niech mu zmiażdżą głowę młotami!

– Wyrzucicie go stąd, wyrzucicie! Kala dom boży swoją obecnością!

Dwaj strażnicy otworzyli drzwi za jego plecami i chcieli, trzymając Dżema za ramiona, wyciągnąć go z komnaty, wyslizgnął się jednak z ich objęć i spokojnym krokiem skierował do wyjścia.

Z tyłu nadal dochodziły doń krzyki i przekleństwa.

Papież wstał i z wściekłością opuścił komnatę, praktycznie bezwładnie zwieszając swoje garbate ciało na dwóch młodych mnichach. Idąc w ślad za nim, kardynał Rodrigo Borgia na chwilę opuścił swoją grupkę i łapiąc syna za ramię, zaciągnął go w róg.

– Cesare – szepnął gorączkowo – musimy go zdobyć. Zrozumiałeś mnie? Zdobądź go dla mnie.

Po czym, przyspieszając kroku, popędził za papieżem.

[86] Dragoman – tłumacz służący w kontaktach z Bliskim Wschodem.

Zamek Świętego Anioła

1492

Dżem spojrział na Ferimah kątem oka. Dziewczyna była we własnym świecie. Szła coś, ale widział, że jej umysł błądzi zupełnie gdzie indziej.

Od trzech lat zajmowali jedną z kamiennych komnat w Zamku Świętego Anioła.

To ona liczyła czas.

– Jeden miesiąc – powiedziała jakiś czas po sprowadzeniu ich do fortecy. – Jesteśmy tu od miesiąca, mój panie.

Innego dnia półprzytomnie wymruczała:

– Za tydzień minie rok.

Tamtego poranka rzekła:

– Trzy lata. – Było tak, jakby rozmawiała sama ze sobą, choć przecież zwracała się do niego. – Już trzy pełne lata.

Za to Dżem odciął się od rzeczywistości i czasu. Dni, tygodnie, miesiące i lata niczego mu już nie mówiły.

Nie było powrotu ani ucieczki. Nie było ratunku ani nadziei. W tym całym niebycie rachuba dni również traciła znaczenie.

Spoglądając przez swoje małe okno, widział jedynie chmury i dwie kopuły. To wszystko. Gdyby nie otaczające ich zewsząd kamienne mury, Dżem mógłby pomyśleć, że mieszkają wśród obłoków. Któregoś dnia odezwał się ze śmiechem do przybyłego z wizytą Cesarego Borgii:

– Oto kara, którą uraczył mnie mężczyzna nazywany przez was papieżem. Nie mieszkam ani na ziemi, ani w niebie. Nie należę ani do świata, ani do wieczności.

Jako że w okna wprawiono żelazne kraty, nie mógł wystawić głowy i spojrzeć w dół, ku rzece. Wiedział jednak, że tam płynęła. Nocami słyszał fale bijące w zamkowe

mury.

Dżem nie wspomniał Ferimah o pogłoskach, jakoby po zmroku w Zamku Świętego Anioła dało się słyszeć wrzaski i jęki. Czy to naprawdę było więzienie? „Czemu nie?” – powtarzał w myślach. W głębinach fortecy, może nawet poniżej poziomu rzeki, znajdowały się miejsca, gdzie trzymano przestępców i jeńców poddawanych torturom. Nie pozwalali mu schodzić na dół. Znał tylko znajdujący się na nie wiadomo którym piętrze zamkowej wieży pokój, który oddano do jego dyspozycji, oraz przekształcony w okazały ogród dach fortecy, dokąd w dniach odwiedzin wyciągał go na spacer Cesare. Dżem w ukryciu przed dziewczyną nasłuchiwał nocami, jednak nie doszły do niego ani pojękiwania, ani krzyki. Tylko jeden raz późną porą usłyszał gdzieś daleko damski śmiech. Musiała to być niezła kokietka. Albo wariatka. A może tylko tak mu się wydawało? Może nie była to rozbawiona urokami życia kobieta, ale chichoczący wrzaskliwie nocny ptak?

Ostentacyjna przyjaźń papieża przetrwała jeden dzień. Po tym jak odrzucił chrześcijaństwo, nazajutrz wyrzucili go z pełnego przepychu Pałacu Apostolskiego do ponurego zamczyska.

Gdy w towarzystwie strażników opuszczali papieską rezydencję, obserwował ich ukryty za murami cień. Był to podstarzały doradca króla Francji Karola, Sanuto Laurent. Kiedy dwóch żołnierzy próbowało zmusić go, aby się oddalił, ten precyzyjnie przycisnął rękę między nimi i wyciągnął ją w kierunku Dżema, krzyżując:

– Francja nie spuszcza z ciebie wzroku, Zizimie. Wrócisz do nas. Albo spełnisz wolę Karola, albo umrzesz!

„Ha!” – skwitował w myślach Osmanin. Groźby śmierci teraz już tylko go śmieszyły. Jak mógł się jej obawiać człowiek, który od tylu lat kroczył z nią ramię w ramię? „Mam dług życia wobec Boga” – powtarzał sobie w niektóre noce. – „Po prostu go spłacę”.

Tym razem wsadzili ich do pojazdu, który wyglądał, jakby miał się zaraz rozpaść. Z tyłu znajdowały się przeszkłone drzwi, ale okno było szczelnie zasłonięte. Zupełnie niezauważeni przemknęli ulicami, które jeszcze dzień wcześniej powitały ich radosnym ożywieniem, oklaskami, ale też krzykami protestu. Przez Tyber prowadził długi kamienny most połączony z drogą prowadzącą do niemalże wylaniającego się z rzeki Zamku Świętego Anioła. Na końcu drogi znajdowała się brama fortecy. To przed nią wysadzili Dżema i Ferimah eskortujący ich żołnierze.

Gdy zobaczył, że dziewczyna unosi głowę i przygląda się wysokim kamiennym murem, odezwał się powoli:

– Ferimah, wiesz, że nazywają ten grobowiec pałacem?

– Grobowiec, mój panie?

– Ponoć spoczywają tu prochy jakiegoś cesarza i jego rodziny.

Z tymi słowami obrócił się i poczekał, aż z wolna podniesie się brama Zamku Świętego Anioła, przed którą się zatrzymali. „Pasuję tutaj” – pomyślał. – „Bez różnicy, czy to loch, czy grobowiec”.

– Trzy lata.

To znów zabrzmiał głos Ferimah.

*

Trzy lata.

Przez cały ten czas tylko raz pozwolono im wyjść i zobaczyć Rzym, a i to z eskortą oddziału strażników. Szli wąską uliczką. Ci, którzy poznawali Dżema po stroju, pokazywali go sobie palcami, mówiąc:

– Zizim.

W ich głosach i oczach nie było emocji. Po prostu patrzyli.

Dżem i Ferimah wkroczyli na jakiś plac, na środku którego zobaczyli strzelający ku niebu kamień. Nagle Dżemowi do oczu napłynęły łzy. Obrócił głowę. Ferimah też spoglądała przed siebie. Był pewien, że i jej oczy się zaszkliły. Ona także przypomniła sobie stolicę i egipskie kolumny wyrastające z tyłu Nowego Pałacu. „Och, mój ty parszywy losie!” – wyrzekął w myślach Dżem. – „Czemu mi to robisz? Czym zasłużyłem sobie na tyle cierpień?”

„Co?” – zakrzyknął szatan w jego wnętrzu. – „Bunt, tak? Rychło w czas!”

Bunt? W tamtej chwili przyszedł mu do głowy słowa, które wypowiedział do papieża w czasie audiencji: „Jeśli sądziłeś, że ten, który zbuntował się przeciwko sułtanowi, sprzeniewierzy się także własnej wierze, to uwierz: źle mnie oceniłeś”. Wstyd... To nie bunt, to nostalgia. To tęsknota sprawia, że nie chce się żyć.

Nagle dało się usłyszeć czyjś krzyk.

– Śmierć!

Dżem zobaczył, że prosto na niego biegnie człowiek z ogromnym nożem w dłoni, wrzeszcząc:

– Śmierć mu! Śmierć!

Mężczyzna był zaledwie kilka kroków od niego. Ferimah podniosła krzyk i rzuciła się, aby go zasłonić. Dżem zaś zrobił coś całkiem przeciwnego – wyszedł mu naprzeciw. Czterech strażników obstawiło ich włóczniami.

– Won! – huknął jeden z nich. – Zabieraj się stąd, jeśli ci miłe twoje śmierdzące życie!

Tamten się nie przejął.

– Zemsta, zemsta!

Dzieliły go od nich zaledwie dwa kroki. Jeden z żołnierzy wystawił włócznię. Powietrze przecięły krzyki: napastnika, w którego piersi utonął grot, oraz Ferimah.

Dżem usłyszał, jak leżący na ziemi i tonący we krwi mężczyzna, z którego ciała wystawała wielka włócznia, charczy:

– Konstantynopol. Nie zapomnimy Kons...

Gdy zewsząd zaczęli się zbiegać gapie, strażnicy wciągnęli ich do powozu. Błyskawicznie wrócili do Zamku Świętego Anioła.

Nie wolno im już było odwiedzać miasta. Inni mogli sobie nazywać fortecę jak chcieli. Dla Dżema stała się więzieniem.

– Jakie szczęście, że jest Cesare Borgia – mówił Dżem.

Gdy zjawiał się młody rzymianin, wychodzili na szczyt Zamku Świętego Anioła. Dach fortecy zdobił wspaniały, tonący w zieleni ogród. Rosły w nim drzewa wszelkich gatunków, róże i kwiaty, których nigdy wcześniej nie widział. Ptaki ćwierkały w gałęziach.

Ferimah także zachwycała się tym zakątkiem.

– To niebiański ogród – mawiała.

Dżem lubił młodego rzymianina. Przechadzali się po niezwykłym ogrodzie i rozmawiali na każdy możliwy temat.

Cesare pytał o stolicę, a Dżem godzinami opowiadał.

– Stęskniłeś się?

– Bardzo.

– Czy jeśli wrócisz, sułtan cię zabije?

Cesare Borgia potrafił się śmiać nawet wtedy, gdy pytał o śmierć. Dżem długo wpatrywał się w oczy mężczyzny.

– Zabije.

– Czy mimo to chciałbyś wrócić?

– Przecież to niemożliwe. Ten wasz ksiądz mnie nie puści.

– Założmy, że by puścił. Wróciłbyś?

– Jeśli najpierw zobaczyłbym dzieci? Oczywiście.

– Nie boisz się?

– Że mnie zabiją? Czy ty to nazywasz życiem, rzymianinie? Wygnaniec jest już i tak w połowie martwy. Kat w jednej chwili może zabrać resztki mojej doli.

Później przychodziła kolej na pytania Dżema.

– Jakież wieści od papieża?

– Zażądał od sułtana sto tysięcy dukatów na twoje wydatki.

– To ja mam wydatki?

Borgia zachichotał na te słowa.

– Ma cię pilnować za darmo?

Tym razem to on się zaśmiał.

– Coś jeszcze?

– Karol wyprawił kolejnego posła. Chce, żeby cię odesłano z powrotem.

– I co, odeślą?

– Niby po co? Jesteś jego zabezpieczeniem, Zizimie. Ojciec Święty zawsze może szantażować sułtana, że uwolni jego brata. Zresztą nie tylko on cię chce, król Neapolu także.

– Niby czemu?

– Żeby bronić się przed zagrożeniem z Francji. Jeśli wydrze cię papieżowi, od razu odda Karolowi, pod warunkiem że ten nie zaatakuje jego ziem, rzecz jasna.

– I papież odda mnie Neapolowi?

– Nikomu cię nie odda. No chyba że zmienią się okoliczności albo zaoferują za ciebie więcej złota.

– Czyli nie ma stąd ucieczki?

Cesare Borgia zwiesił głowę, niemo potwierdzając słowa Dżema.

*

Któregoś dnia od słowa do słowa rozmowa znowu zeszła na ocalenie.

– Nie ma ratunku – mruknął Dżem z całą zbierającą się w jego wnętrzu

beznadzieją.

Nawet nie spojrział na Borgię. Wiedział, że młody rzymianin skłoni przed nim głowę.

– Jest.

Zdziwił się.

– Jest? Jak to?

Cesare zbliżył się.

– Mój ojciec... To on cię uratuje, Zizimie. Papież jest chory. Niedługo umrze.

– Co mi do tego? Skąd możesz to wiedzieć?

– O jego śmierci? Borgiowie wiedzą wszystko, Zizimie. Papież umrze, a na jego miejsce wybiorą mojego ojca.

– Skąd ta pewność?

Cesare Borgia nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

– Mówimy o Rodrigu de Lanzol Borgii, przyjacielu. Jeśli mój ojciec mówi „umrze”, to znaczy, że umrze. A jeśli powiedział „zostanę papieżem”, tak się właśnie stanie.

Tej nocy Dżem nie mógł zasnąć.

Cesare zasiał w nim ziarno nadziei i odszedł. Ile prawdy kryło się w jego słowach? Do tej pory młodzieniec nie wykonał ani jednego podejrzanego ruchu, nie powiedział ani jednego fałszywego słowa, ale on nie miał już zaufania do nikogo.

– Mój panie, co dziś powiedział ten rzymianin?

Widząc Dżema pogrążonego w głębokich rozmyślaniach, Ferimah w końcu nie wytrzymała.

– Ponoć papież jest chory. Bardzo chory. – Usłyszał, jak dziewczyna mamrocze coś do siebie, coś jakby „nic mnie to nie obchodzi”, nie przejął się jednak. – Jego ojciec ma podobno zostać głową Kościoła.

Jej wzrok spoczywał teraz na nim.

– Cóż z tego?

Sam w to nie wierzył, jednak nie zataił przed Ferimah słów Cezarego:

– Ma nas stąd wydostać.

Tej nocy także Ferimah nie była w stanie zasnąć. Dżem słyszał, że dziewczyna aż do świtu kręciła się po swoim pokoju. Nie wiedział jednak, że pogrążyła się w czarnych myślach: „Biada! Znowu oszukają mojego pana! Kto wie, jakie pułapki zastawią na niego tym razem”.

*

Cesare Borgia wrócił trzy dni później. Był radośniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

– Signorina.

Skłonił się przed Ferimah aż do ziemi. Oczy błyszczały mu ze szczęścia.

– Signor – odparła z uśmiechem dziewczyna.

Po trzech latach nauczyła się wreszcie nieco włoskiego. Spora w tym była oczywiście zasługa Cesarego Borgii.

– Dziś jest bardzo piękny dzień, Zizimie, czyż nie?

– Czy ja wiem? Naprawdę?

– Papież – odezwał się naraz. Po raz pierwszy nie uznał za stosowne szeptać – jest bardzo chory. Jego dni są policzone.

Szli przez chwilę bez słowa. Dżem czekał, aż Borgia poruszy temat ich ratunku. Nie chciał dać po sobie poznać, że uczepił się nadziei. Cesare jednak milczał.

Rzymianin zatrzymał się przy fontannie.

– Ach – odezwał się nagle. – Z przejęcia zapomniałem o tym, co właściwie miałem powiedzieć. – Spoważniał po chwili. – Czy wiesz, Zizimie, że moja siostra, Lukrecja, bardzo się tobą interesuje?

– Mną? Niby czemu? Czyżby nie widziała mnie w deszczu jajek w dniu, w którym przybyłem do Rzymu?

W rzeczywistości także Cesarego zdziwiło nagłe pragnienie jego siostry. Nie zwrócił jednak uwagi na drwinę Dżema i kontynuował.

– Od poprzedniego miesiąca błaga ojca, żeby cię zaprosił. Lukrecja już taka jest. Nagle podejmuje decyzję i zabiera się do dzieła. Koniec końców ona także jest Borgią. Stawia na swoim, bierze co chce i robi to, co mówi.

– To znaczy, że przeforsowała spełnienie swojego życzenia?

– A jakże. Jutro są urodziny Lukrecji. Kończy czternaście lat i mój ojciec urządza przyjęcie na jej cześć. Muzyka, zabawa i wino. Moja siostra zaprasza was, panie.

– Nas?

Cesare wyszeptał łagodnie:

– Tak. Powiedziałem jej, że jesteście nierozłączni.

– Chcesz powiedzieć, że będziemy mogli jutro wyjść z zamku? Dobrze słyszę?

– Ach, Zizimie... Borgiowie także mieszkają w Świętym Aniele, tyle tylko, że w części pałacowej.

– Masz rację – odparł Dżem. – Wy przebywacie w części niebiańskiej, a my w piekielnej.

Zamek Świętego Aniola

1492

Lukrecja Borgia, podekscytowana, oczekiwała przyjścia Dżema.

– Gdzie on się podziewa? Ile jest między nami pięter, na miłość boską?

– Nie pięter, Lukrecjo – powiedział Cesare Borgia. – To, co nas dzieli, przyrównać można do odległości między niebem a piekłem.

– Co to ma znaczyć?

– To jego słowa, kochana siostró. Mieszkamy ponoć w raju, podczas gdy on przebywa w diabelskich czeluściach.

– Och, biedny człowiek.

Rodzeństwo stało na zwieszonym tarasie otaczającym kuliście dużą salę, w której miało się odbyć przyjęcie. Ukryli się za kolumną, żeby nie widzieli ich ludzie na dole.

– Zostaw teraz Zizima – powiedział Cesare. – Pozbawiasz mnie dziś tchu, Lukrecjo.

Dziewczyna wyduła wargi, udając zagniewaną.

– Czy tylko dzisiaj, Cesare? – Jej głos nagle wypełniło pożądanie. – Czy tylko dziś pozbawiam cię tchu?

Gdy Cesare Borgia już miał wciągnąć siostrę za atlasową zasłonę, jego wzrok nagle ześlizgnął się ku dołowi. Lukrecja uchwyciła spojrzenie brata.

– Sforza – syknęła. – To chyba raczej Sofia Sforza zapiera ci dech. – Spochmurniała. – Czyżbym nie wystarczała ci do szczęścia?

– Lukrecjo, to... To, co zrobiliśmy... To grzech...

– Grzech? – Lukrecja wybuchła śmiechem. – Ach tak?

Teraz to ona wpychała brata za zasłonę.

– To był wypadek, Lukrecjo.

– Wypadek... Ile dokładnie, Cesare? – Głos dziewczyny podnosił się stopniowo. – Jeden, trzy, pięć... Przypominasz sobie może, ile dokładnie przydarzyło się tych wypadków? Bo ja pamiętam każdy, Cesare... Wszystkie... Moje krzyki...

– Na miłość boską, Lukrecjo. Ojciec...

Rodrigo Borgia był na dole. Razem z Vanozzą Cattanei witał przybyłych, każdego obdarzając uśmiechem.

– I nasza kochana matka – prychnęła Lukrecja. – Boisz się, że usłyszą? A może się krępujesz, Cesare? Nie wstydzisz się naszych rodziców, którzy zmajstrowali czwórkę bękartów, a uciekasz przede mną, którą z tęsknotą wzięłeś w ramiona?

– Lukrecjo...

– Cesare... – Napierając na jego pierś, wciągnęła go w ciemne zakamarki zasłony. Nikt nie widział ich złączonych pragnieniem ust.

Lukrecja dyszała ciężko, gdy wynurzyła się z ukrycia. Bez uśmiechu rozejrzała się dookoła.

– Przysięgam – syknęła w stronę zasłony – że zabiję tę dziwkę, Cesare.

– A ja – odezwał się jej brat, gdy tylko wyplątał się z kotary – wiem, że to, co robimy, to grzech... Za każdym razem mówię, że to już ostatni raz... ale nie mogę. A teraz i ojciec... Uparł się, żeby wydać cię za Giovanniego Sforzę. Co mam zrobić?

– Sam widzisz, o czym myślisz, drogi bracie... Ja... – Lukrecja nie była w stanie dalej mówić. – Ach, przyszedł właśnie... Przyszedł...

Niczym motyl pofrunęła w kierunku prowadzących na dół schodów.

*

Dżem i Ferimah wolno posuwali się po barwnej marmurowej posadzce. Pozostali goście rozstępowali się, robiąc im przejście. Osmanin miał na sobie jedwabny strój, który Cesare przyniósł mu, twierdząc, że należał do pewnego sycylijskiego Araba. Jego turban jak zwykle przygotowała Ferimah. Dla siebie również coś uszyła, wykorzystując co tylko miała pod ręką. Z jednej strony sądziła, że wygląda bardzo nieciekawie wśród kobiet obecnych na sali, z drugiej jednak przebąkiwała, że za nic w świecie nie ubrałaby się tak

jak one.

Była zadziwiona. Odurzona. Po raz pierwszy od tak wielu lat szła na przyjęcie ze swoim Płomienistym Księciem. Kroczyli niemal ramię przy ramieniu. Nawet stykały się ich ręce. Komnata prezentowała się wspaniale. Kobiety... Boże litościwy... Były niemalże nagie. A mężczyźni śmieszni.

Dżem odpowiadał pozdrawiającym go, przystawiając dłonie do głowy, Ferimah za to nagradzała lekkim uśmiechem lustrujące ją od stóp do głów i wymieniające szepty kobiety. „Są piękne” – myślała. – „Ale ja jestem piękniejsza od wszystkich”.

Miała rację.

– Kto to? – mruzcili mężczyźni, nawzajem ją sobie pokazując. – Czy to kobieta Zizima?

– To pewnie niewolnica – mówili niektórzy.

Dżem zobaczył wysokiego mężczyznę w czerwonej szacie stojącego koło fontanny na drugim końcu pomieszczenia. „To musi być ojciec Cesarego” – przeszło mu przez myśl. – „Przyszły papież. Kardynał, który wie wszystko”. Jego ziarenko nadziei.

U jego boku stała piękna kobieta z odsłoniętymi ramionami. „A to musi być jego matka” – skonstatował. Obydwoje się uśmiechali. Ona do jakichś ludzi, mężczyzna do niego. W chwili gdy Dżem skierował się prosto ku niemu, gdzieś z tyłu powstał nagle zgiełk.

Lukrecja Borgia zbiegała po schodach tarasu.

– Cesare... Drogi bracie – szczebiotała.

„To musi być siostra rzymianina” – pomyślał Dżem. Nie obrócił się jednak, żeby na nią spojrzeć. Jego umysł koncentrował się na mężczyźnie w czerwonej szacie. Usłyszał przeplatany urywanymi oddechami świergot:

– Ależ ty się zestarzałeś... Szybciej, szybciej, Cesare...

Później rozległ się jej donośny śmiech. Dżem go rozpoznał. To było to samo tajemnicze, szalone chichotanie zasłyszane przez niego któreś nocy. Czyli to siostra Cesarego zanosila się tym przyprawiającym o dreszcze śmiechem.

Wszyscy w komnacie zwrócili wzrok w jej stronę.

– Musisz biec, żeby za mną nadażyć, Cesare.

Znów szalony chichot. Radosny głos Lukrecji zachęcał wszystkich, także jego, by śmiać się razem z nią. Był kokietyjny, dziarski, frywolny, zapraszający, namiętny i niebezpieczny.

– Ach, Zizimie... Zizimie...

Dżem nagle nie wiedział, co robić. Człowiek w czerwonej szacie, jego nadzieja, ruszył w ich kierunku. Lukrecja się do niego odezwała.

To Ferimah zachowała się jak należy. Gdy tylko usłyszała, że jakaś kobieta zwraca się do sultana, obróciła się w jej kierunku, a Dżem uczynił to samo.

Na Allaha!

Przestraszył się, że z jego ust wyrwie się krzyk zachwytu.

Czy ta dziewczyna ma czternaście lat?

Ona... była motylem... Hurysą. Leciała ku niemu. Była niewyobrażalnie piękna. Ferimah również nie mogła oderwać od niej wzroku.

Długie blond włosy spływały w miękkich lokach. Różanobiała cera. Oczy, których zieleń przywodziła na myśl oliwki. Policzki zaczerwienione od biegu lub szczypania... Wiśniowe usta... Odkryte ramiona... Ukazująca w całej okazałości piersi suknia...

– Ziziiiiimie!

Jej oddech uderzył w twarz Dżema. Podobnie jak jej skóra roztaczał nieziemski zapach.

Dygnęła przed nim z ręcznie. Naraz przypomniała mu się rodyjska Helena. Ona również kłaniała się w ten sposób, on zaś przeraził się, że zauważą jego wzrok na piersiach dziewczyny, i odwrócił głowę. Tym razem tego nie zrobił.

Lukrecja się wyprostowała.

– Jak dobrze, że przyszedłeś, Zizimie... – rzekła, a do brata, który usiłował złapać oddech, wyszeptała: – Aj, bardzo przystojny.

Dżem jednak usłyszał. Było zresztą jasne, że tego właśnie chciała Lukrecja.

Dziewczyna lekko obróciła głowę w kierunku Ferimah.

– I ty, pani – powiedziała, uśmiechając się. – Witaj. Jaka ty jesteś piękna, kochana.

„Gdyby wiedziała, że ledwie czternastoletnia dziewczyna powiedziała do niej »kochana«, na pewno by się pogniewała” – pomyślał Dżem. Mylił się jednak. Zamiast tego Ferimah zrobiła coś, czego w ogóle się nie spodziewał.

– *Tu* – wymamrotała po włosku. – *Tu... bella... bellissima*. Masz prześliczną suknię.

Nagle Lukrecja ujęła Dżema pod ramię.

– Ależ tu tłoczno. Może się przejdziemy?

Odciągnęła go od Ferimah i Cesarego, prowadząc do jednej z wnęk z arkadami po dwóch stronach. Dżem upajał się pięknem i zapachem dziewczyny. Miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. „To jeszcze dziecko” – podpowiadał mu rozum. „Głupiec” – syknął natychmiast szatan w jego wnętrzu. – „To ma być dziecko? Spójrz tylko na nią”.

Zresztą nie mógł się powstrzymać, by na nią nie patrzeć. Było to niemożliwe. Każdy, kto raz ujrzał Lukrecję, musiał się poddać jej czarowi. Dżem zdawał sobie sprawę, że stracił głowę. Z rozmyślań wyrwał go uwodzicielski głos dziewczyny.

– Opowiedz mi o swoim haremie. Masz dużo odalisek?

– Nie mam haremu.

– Naprawdę? To straszne. – Spojrzała na niego figlarnie. – Co w takim razie robisz, panie?

Lukrecja się okręciła. Idąc, lekko przycisnęła piersi do jego ramienia i zaśmiała się wdzięcznie. Oczy zmrużyła pożądliwie. Nozdrza małego noska przymykały się i otwierały z pragnienia.

– W takim razie ja będę miała swój harem... A ciebie...

Naraz ktoś zagroził im drogę.

Rodrigo Borgia stanął naprzeciwko nich.

– Och – odezwała się Lukrecja z udawanym przestraczem. – Widzisz, jaka pechowa ze mnie córka, Zizimie? Mój ojciec nas przyłapał.

Po czym zaniósła się śmiechem. Był to dźwięczny, czysty trel. Powoli uwolniła się od ramienia Dżema, ocierając się o niego. Gdy przechodziła obok ojca, nie odrywając oczu od Osmanina, powiedziała:

– Tatusiu, nie męcz go za bardzo, dobrze? Bardzo cię proszę.

Po czym zniknęła.

Mężczyzna spojrzął za odlatującym motylem i westchnął, a później obrócił się do Dżema. Uśmiechnął się. Otworzył okratowane drzwi i wszedł do pomieszczenia. Osmanin podążył za nim. Światło przenikało do środka tylko dzięki ażurowemu wejściu.

– Poznajesz mnie?

To by znaczyło, że chciał się z nim spotkać, maskując swój zamiar przyjęciem urodzinowym córki.

– Borgia. Ojciec młodego rzymianina.

– No dobrze, a wiesz, kim jestem?

– Tym, który zna przyszłość i wie, że papież umrze... Czy naprawdę?

– Każdy kiedyś umrze – Rodrigo Borgia zamilkł na chwilę. – Tak.

– Kto zajmie jego miejsce?

– Ja.

W przenikającym do wnętrza świetle Dżem zobaczył płonące w oczach Borgii ogniki.

– I ty... – szepnął.

– I ja... chcę z tobą zawrzeć umowę.

– Cóż – odezwał się drwiąco Dżem. – Umowa... Może i ty zechcesz, żebym został chrześcijaninem?

– Nie. Dasz mi coś innego.

– Co? Nie mam niczego poza duszą i wiarą, Borgia.

W oczach mężczyzny znowu zaczęły rozpalać się i gasnąć płomienie.

– Mylisz się, Osmaninie. Masz. Ziemię.

– Ziemię? Nie jest przecież moja... Ziemia należy do imperium.

Borgia się zaśmiał.

– Czyżby? – Tym razem w jego głosie wyczuwało się prześmiewcze tony.

„Ziemia” – rozległ się złowrogi syk w jego wnętrzu. – „Przecież na Rodos zgodziłeś się przekazać ją rycerzom. I jeszcze tak to sobie wymyśliłeś, że najpierw obiecasz, a później się rozmyślisz. A co teraz masz w głowie?”

Gdy Dżem zastanawiał się nad odpowiedzią, odezwał się Rodrigo Borgia.

– Rozdzielmy się. Poczekaj na dzwon. – Podeszedł do drzwi, którymi przed chwilą weszli. Obrócił się, chwytając za klamkę. – Ach, jeszcze coś, Osmaninie – powiedział. – Wiesz, kto chciał sprowadzić cię do Rzymu?

– Książdz...

– Błąd. Sułtan wysłał papieżowi skrzynie pełne złota, żeby cię tutaj ściągnął.

Dżem był w szoku. Tego się nie spodziewał.

– Ale... dlaczego?

– Dlaczego? – Borgia się zaśmiał.

Otworzył drzwi i wyszedł bez słowa. Gdy przechodził obok Lukrecji, która wychynęła zza pobliskiej kolumny, szepnął:

– Zniewól go.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Jestem gotowa.

– Zawróć mu w głowie swoją miłością. Nie daj mu się wymknąć.

– Moją miłością? – zaświergotała Lukrecja. – Tato, ja... Ja...

Rodrigo Borgia zbliżył się do niej.

– Chyba nie powiesz, że jesteś dziewicą? – Odwrócił się i odszedł.

„Czyli wie” – pomyślała. Zresztą co mogło się przed nim ukryć? „Głupi Cesare” – rzekła bezgłośnie. – „Nadal uważa, że ojciec o niczym nie ma pojęcia”. Lukrecja poczuła, że zapłonęły jej policzki. Sama nie była pewna, czy to od grzechu, który jej wytknięto, czy od wizji tego, co miało się wydarzyć. Podeszła do pokoju z okratowanymi drzwiami. Nie wiedziała, że wystawiająca głowę zza jednej z kolumn Ferimah wszystko obserwuje.

– Ziiiizimie.

Nikt jej nie odpowiedział. Dziewczyna zajrzała do pokoju. Dżem stał naprzeciwko. Gdyby się obrócili, zobaczyliby ciskające płomienie oczy Ferimah. Żadne z nich nie było jednak w stanie dostrzec czegokolwiek. Lukrecja zamknęła drzwi, popychając je stopą. Zbliżyła się do Dżema i objęła go ramionami. Przycisnęła swoje ciało do jego. Zatopiła głowę w ramionach Osmanina. Silne, męskie dłonie zaczęły po niej bładzić.

– Ach, Zizimie, Zizimie – wyszeptała mu do ucha.

Ciepły, mokry język wędrował po jego szyi, uchu, twarzy. Gorący oddech Dżema wydostał się spod jego długich wąsów.

– Twoje wąsy – jęknęła Lukrecja z namiętnością – twoje wąsy mnie rozbrajają.

*

– Czego tu szukasz?

Ferimah wzdrygnęła się ze strachu. Gdy się obróciła, ujrzała roześmiane oblicze Cesarego Borgii.

„W samą porę. Dobrze, że przyszedł” – rzekła do siebie. Chodziło jej po głowie, żeby otworzyć drzwi i wyszarpnąć Płomienistego Księcia z ramion tej małej istotki.

„Dlaczego tak robi?” – zastanawiała się od momentu, w którym Lukrecja zamknęła drzwi. – „Co to miało znaczyć? Co to był za głód? Najpierw Nada... Później, na Rodos, Helena...” Przysięgał nawet, że do niczego z nią nie doszło, ale bardzo trudno było w to uwierzyć. Nawet jeśli nie widziała, to słyszała. Szepty i jęki tej przeklętej dziewczyny, pomruki Dżema... Wszystko... Później Dalila... W Nicei córka ponurego barona Sassenage, Hélène. Nawet służące się zaśmiewały, gdy kobieta niby po kryjomu zjawiała się w domu. Czy Dżem sądził, że wszyscy są ślepi? Może to nawet ta miłosa historyjka była powodem, dla którego wysłali ich do paskudnego Le Pouet? A teraz to... To...

Ferimah była wściekła. Wiedziała, że nie ma prawa się gniewać, ale tak czuła i już. Sułtan, nawet jeśli nie została mu korona ani tron, był, bądź co bądź, sułtanem. Miałyby się krygować przed służącą?

– Cóż to? – Cesare uśmiechnął się szeroko. – Czyżbyś szukała Zizima?

Dopiero w tym momencie Ferimah zdała sobie sprawę z zagrożenia. Czemu przytrafiło się jej to właśnie teraz? Gdyby Cesare zobaczył swoją młodszą siostrę z Dżemem...

„Boże” – przeraziła się w myślach. Musiała natychmiast odciągnąć stąd tego mężczyznę.

– Chodź – powiedziała. – Jest taniec. Ja chcę zobaczyć.

Cesare Borgia się zaśmiał.

– Zabije mnie ten twój włoski – wyrzekł.

Ferimah nie zrozumiała jego słów, ale i tak się odezwała.

– *Bene... bene...*

– Chcesz, żebym nauczył cię tańczyć?

Już wiedziała, jak się to robi. Ileż to nocy przyglądała się tańcom na Rodos, a później w Nicei, w Lyonie... Muzycy grali skoczną melodię. Mężczyźni, uginając ręce przy pasach, szli u boku kobiet, później trzymali je za dłonie, te zaś wykonywały obrót pod ich ramionami. Znowu zaczynał się marsz. Tym razem to mężczyźni przechodzili pod wyciągniętymi rękami kobiet. Te tańce były dokładnie takie same. Z przyklejonymi do twarzy uśmiechami ludzie bezustannie się kręcili. Jaki mogli mieć powód do śmiechu? Przecież ona sama była bliska łez.

Ding!

Wszystkich zmroziło.

Muzycy przestali grać.

Jeszcze przed chwilą rozbrzmiewający śmiechami pokój pograżył się w ciszy.

Dannn!

Rozpoczęła się spanikowana bieganina.

Później zadźwięczał dzwon jakiegoś bliższego kościoła.

Na wiszącym tarasie z widokiem na komnatę pojawił się ubrany na czerwono mężczyzna. Przeżegnał się z płacziwą miną i spojrzał na zebranych u dołu.

– Módlmy się, bracia i siostry.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę.

Zagrzmiał jeszcze bliższy dzwon i cała komnata zadrżała.

Dannn!

To był ogromny spiżowy dzwon Kaplicy Sykstyńskiej. Kilka papierowych latarni, w których wnętrzach płonęły małe świece, przewróciło się od wstrząsów i stanęło w płomieniach. Kobiety rozbiegły się z krzykiem.

– Bracia i siostry! – odezwał się Rodrigo de Lanzol Borgia ponurym głosem. Uniósł ramiona ku górze. – Papież zmarł.

Po komnacie w dole przeszedł szmer szeptów.

– Innocenty VIII przed chwilą połączył się z Bogiem. Módlmy się za jego duszę.

– Niech Bóg oświeca nam noc.

Zapanował chaos. Naraz Ferimah zobaczyła ich dwoje – Dżema i Lukrecję. Unieśli głowy i spoglądali na Rodriga Borgia. Złote loki dziewczyny były w nieładzie. Cesare Borgia także ich zobaczył. Twarz mężczyzny w jednej chwili stała się biała jak ściana.

*

Przez tydzień nie rozmawiali, jeżeli nie zaistniała taka potrzeba.

Wbrew temu, czego spodziewała się Ferimah, Dżem nie próbował zobaczyć dziewczyny. Lukrecja również się nie pojawiła. Ani Cesare Borgia.

Siedem dni później przyszedł urzędnik, po którego stroju znać było wysoką rangę. Skłonił się przed Dżemem.

– Przenosicie się – powiedział. – Jego Eminencja Rodrigo de Lanzol Borgia uznał za właściwe, byście przeprowadzili się do Pałacu Watykańskiego.

Obróciła się i spojrzała na niego. Twarz Dżema rozpromieniła się. „Ten przeklęty rdzawy wilk na pewno już gania w twojej głowie” – wymruczała bezgłośnie Ferimah. – „Znowu rzucisz się w pogoń za nadzieją”.

Następnego dnia przenieśli Dżema z piekła do niebios, które dla Ferimah miały się stać szatańską otchłanią...

– Nie smuć się – powiedział Dżem, gdy tego wieczora jedli kolację. – Dogadam się z tym księdzem. Odejdziemy stąd. Zobaczysz. Już niedługo będziemy wolni.

Pałac Watykański, 1493

Miesiąc po tym, jak przenieśli się z piekła do nieba, Rodrigo Borgia został wybrany na papieża. Odtąd nosił imię Aleksander VI.

Jednym z jego pierwszych działań było mianowanie Cesarego Borgii kardynałem. Młody rzymianin także przywdział szkarłatną szatę, a na głowie umieścił równie czerwoną piuskę.

Sułtan Dżem i Ferimah zamieszkali w okazałym i wygodnym apartamencie. Jedzenie też było wspaniałe. Dżem każdego dnia schodził na dziedziniec za Pałacem Watykańskim i bawił się z Lukrecją w ganianego albo w inną grę, do której dołączały także dwórki dziewczyny – ciuciubabkę. Zakrywały oczy Dżemowi, a ten starał się złapać którąś z nich i odgadnąć jej imię.

Marina? Ach, nie. Sofia? Nie. Lukrecja! Nie wiedzieć czemu zawsze ją rozpoznawał.

Ferimah się niepokoiła. „Jak to możliwe?” – zamartwiała się, obserwując ich z daleka. – „Jak Dżem może być aż tak ślepy?”

Śmiali się paziowie i dziewczki służebne. Wszyscy. Może nawet cały Rzym. Tylko dwie osoby nie wiedziały, co to uśmiech.

Ona i Cesare Borgia.

Ferimah nie zajmowała już pokoju przylegającego do komnaty Dżema. Dali jej pomieszczenie w drugim końcu korytarza. Była to sprawka Lukrecji. Żeby mogła niezauważona przez Ferimah wchodzić do apartamentów Płomienistego Księcia i z nich wychodzić. Ale ona widziała. Wszystko widziała. I słuchała. Wiedziała, co ta dziewczyna robiła jej księciu.

Cesare też na pewno wiedział. Ile to razy Ferimah przyłapała mężczyznę, jak ich obserwował? W jego oczach nie było już przyjaźni, jak niegdyś. Nie była jednak w stanie pojąć, dlaczego Borgia jest aż tak zazdrosny o siostrę.

Pewnego dnia, zupełnie przypadkowo, dowiedziała się i tego. Drzwi jednego z pokojów, obok których przechodziła, były lekko uchylone.

– To ty jesteś głupi – usłyszała szept kobiety. Poczwała, jakby serce miało jej

wyskoczyć z piersi. Był to głos Lukrecji.

– Nie, nie jestem głupi, tylko zakochany.

– Cesare, Cesare... Nie wygłupiaj się, mój drogi. Ja też cię kocham...

– Ale... Ty w jego objęciach... Boże, Lukrecjo, nie wytrzymuję tego.

– Wiesz, dlaczego to wszystko robię, Cesare... Ojciec...

– Ojciec, ojciec... – Głos mężczyzny zabrzmiał jak świst. – Wciąż go tu tylko trzyma. Podobno miał użyć Zizima, pamiętasz? Minął już prawie rok, a jedyne, co zarządził, to przenosiny z zamku. Ach, przepraszam, to przecież ty ściągnęłaś tutaj swojego ukochanego sułtana... Nie mogę w to uwierzyć.

Ferimah także nie wierzyła własnym uszom, ale gdy dyskretnie się wychyliła i zobaczyła, że rodzeństwo się całuje, niebo zważyło jej się na głowę. Upuściła trzymany przez siebie tamborek do szycia.

– Ciii. Słyszałeś coś? – To znowu była Lukrecja. – Czy ktoś jest na zewnątrz? Na Boga, zostawiłeś otwarte drzwi, Cesare.

Ferimah błyskawicznie umknęła.

Boże litościwy! Znajdowali się w ogromnym niebezpieczeństwie. Jakby nie groziło im dostatecznie wiele, pojawiło się jeszcze to. Zagrożenie zbliżało się krok po kroku, by wkrótce bez ostrzeżenia runąć na nich z całym impetem.

Dżem został zaatakowany cztery razy pod rząd. Za każdym razem zabójca zginął, nie wyjawiając, kto go przysłał.

– Bajazyd Aga – mrucał za każdym razem Dżem. – Nie wystarczyli ci kaci, to wynajęłeś morderców?

Krąg wokół niego się zacieśniał. Ferimah przyłapała jednego ze sług, jak dosypuje zielonego proszku do wina jej pana. Podniosła larum. Mężczyznę pochwycono i zmuszono do wypicia alkoholu. Był przerażony. Z trudem go napoili. Nie minęło dziesięć minut, a rzucił się na ziemię. Zginął, wrzeszcząc w męczarniach.

Dżem i jego uznał za wysłannika Bajazyda Agi.

Było to możliwe. Ale jeśli nie? Jeśli za wszystkimi tymi incydentami stało coś innego? Raz czy dwa próbowała go ostrzec, na nic się to jednak nie zdało.

– Och, ty mała, podejrzliwa istotko, nie bój się – odpowiadał.

Ona się jednak lękała. Coś się zbliżało. Ferimah słyszała już kroki.

Za to Dżem przebywał w krainie snów. W ramionach Lukrecji zapomniał o wszystkim. Nawet o upływie czasu.

Już nawet nie wspominał o odejściu. Nie chciał jej zostawiać. Nie wiedział, nie dostrzegał i nie rozumiał, że gdy go opuszczała, rzucała się w objęcia brata, z których znowu wracała do swego sułtana.

*

Gdy Cesare Borgia wszedł do pokoju papieża, Aleksander był pogrążony w rozmyślaniach.

– Wzywałeś mnie, ojczy?

– Wezwałem cię wczoraj w nocy, Cesare. – Przez chwilę patrzył w oczy syna. – Ale zdaje się, że twoje spotkanie z Lukrecją się przeciągnęło.

– Ojczy...

– Nie jest istotne, czy Zizim się domyśli... Ale jeśli Giovanni Sforza zorientuje się w sytuacji, to Bóg jeden wie, co się wydarzy.

– Ojczy.

– Milcz – burknął starszy Borgia. – Mój grzech jest zawsze przede mną. Ten, kto podpala, wie, jak się płonie. Podejdz. – Wyciągnął w stronę syna jakiś pergamin. – Czytaj. To list od sułtana Bajazyda.

Po całej masie kwiecistych formułek padyszach dochodził wreszcie do sedna:

...biorąc pod uwagę, że brat mój prędzej czy później umrze, a także mając na uwadze, że jego życie wśród niewiernych stało się podobne do mąk piekielnych, czcigodny papież może uratować go od tych wieloletnich cierpień i sprawić, by przeniósł się do sprawiedliwszego świata. Temu, kto sprowadzi jego zwłoki, przekaże się trzysta tysięcy dukatów...

– Wielki Boże. Chce, żebyś go zabił.

– Owszem.

– Zrobisz to?

– Jeśli to zrobię, stracę czterdzieści tysięcy dukatów rocznie.

– Ale za jednym razem uzyskasz trzysta tysięcy.

– Ech. – Papież obrzucił syna wzrokiem, a następnie wziął kolejny rulon z pobliskiej tacy i podał mu. – Od Karola. Francja mi grozi.

– Grozi?

– Czytaj!

Stało się już jasne, że papież Innocenty VIII, układając się potajemnie z osmańskim sultaniem, zapomniał o podpisanej z nami umowie i uprowadził Zizima do Rzymu. Utrzymanie w mocy układu z padyszachem przez nowego Ojca Świętego splami dobre imię Kościoła. Jeśli niewierny nie zostanie bezzwłocznie zwrócony tam, gdzie jego miejsce, czyli do Francji, to świętość papiestwa, a nawet jego lojalność wobec wiary w Ojca, Syna i Ducha Świętego zostanie podana w wątpliwość.

Cesare się zdziwił i przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Milczał. To była nie byle jaka groźba. Niebywale poważna. Karol wypowiedział Kościołowi wojnę.

– Co zrobisz?

Aleksander wstał.

– Cała masa królów i kardynałów tylko czeka, żeby podważyć moją władzę, Cesare... Nie będę tego tolerował.

Pokiwał głową.

– Powiesz mu?

– Nie teraz. Może... po ślubie Lukrecji.

Te słowa wstrząsnęły młodym kardynałem.

– Ślubie?

– Za tydzień przybywa Giovanni Sforza. W tych warunkach nie mogę mu kazać dłużej czekać.

Grudzień 1494

Ferimah już wszystko widziała.

Słyszała dudnienie w głębi ziemi. Góra drżała potajemnie. Już niedługo miała ruszyć.

Bardzo się ucieszyła, że Lukrecja wyszła za Giovanniego Sforzę, a mężczyzna ją zabrał i odjechał. Jednak Dżem chorował. Zamknął się w swoich komnatach i przez wiele dni z nich nie wychodził. Zdawało się, jakby już nic go nie obchodziło. Siadał w kącie i pogrążał się w rozmyślaniach.

– Ferimah – odezwał się któregoś dnia. – Ty wiesz, prawda?

Nie zadał pytania, ale rozumiała go bez słów. Pokiwała głową, nie patrząc mężczyźnie w oczy.

– Pocieszało mnie przynajmniej, że jest blisko. A teraz? Jak dusza może wytrzymać tę tęsknotę?

Choć starała się ze wszystkich sił, nie utrzymała języka na wodzy.

– A tęsknota za dziećmi? – wymamrotała.

Dżem uniósł głowę i popatrzył na nią zadziwiony.

– Za dziećmi?

Tego dnia Ferimah zmuszała się, aby spojrzeć w oczy Dżema. Ich blask przygasł.

Już nie był Płomienistym Księciem. W oczach tamtego szalała pożoga. Świetliki pulsowały w źrenicach. Strzelały iskry. Gdy się rozsierdził, trzaskały błyskawice. Lecz teraz... Teraz nie mogła dostrzec nawet wątego płomyka.

Radość Ferimah z wyjazdu Lukrecji nie potrwiała długo, gdyż dziewczyna wróciła dwa miesiące po swoim ślubie. Znowu się zaczęło. Oczekiwanie, strach, wstyd.

Tak się jednak nie stało. Lukrecja Sforza nie przyszła, aby zobaczyć się z Dżemem. Nie zaprosiła go także, choć wyraźnie dał znać, że jej oczekuje, a dwa razy wysłał jej nawet krótki liścik.

Dżem zwariował do tego stopnia, że zażądał, aby Ferimah zaniósła wiadomość takiej treści:

Bliska już była radość, że oto koniec z tęsknotą, choć jednak pani mego serca tak blisko jest, nie mam sił, by przekroczyć góry, które nas dzielą.

Lukrecja wybuchła śmiechem. To wszystko.

Chłód dziewczyny wzbudził nadzieję Ferimah. Może po zamążpójściu skończyła z dawnym życiem?

Nie musiała jednak długo czekać, żeby przekonać się o swojej pomyłce. Podczas jednej z bezsennych nocy zobaczyła, jak Lukrecja Sforza wychodzi po cichu z komnaty swojego starszego brata. Była niemal naga. Nic się nie zmieniło, a jej księżę z własnej woli pozostawał w niewoli tej kobiety. Jeśli powiedziałaaby „przyjdź”, pobiegłby do niej, a jeśli by tego chciała, mógłby nawet umrzeć. Gdyby takie było jej pragnienie, zostałyby z nią na zawsze, czyż nie?

Ferimah nie mogła tego wytrzymać. W nocy bała się zasnąć. Znow prześladował ją dawny koszmar, od którego sądziła, że się już uwolniła. Gdy tylko zamykała oczy, góra zaczynała płonąć. Była tam mała dziewczynka. Krzyczała. A góra szła naprzód. Dziesiątki tysięcy ludzi spływały z niej na podobieństwo powodzi. Ostrzeliwane bez litości, doprowadzone do szaleństwa ranne konie galopowały dziko, potykając się, albo umierając, staczały się w dół, a setki tych, na które wpadały, przewracały się, by nigdy nie powstać. Błękitne chorągwie płonęły. Tysiące ludzi i koni zbiegały z pałacej się na podobieństwo pochodni góry. Słyszała wrzask kobiety.

– Periszehr!

Dziewczynka ją знаła. Kobieta szalała w panice.

– Moja córka! Nie ma jej!

A przecież tam była. Pod przewróconym wozem.

– Tutaj jestem! – krzyczała, lecz jej głos nie był w stanie przebić się przez ryk góry.

– Uciekaj! – wrzeszczał do kobiety jakiś mężczyzna. – Uciekaj, ratuj się, uciekaj, już!

Mała dziewczynka znała także jego.

Ostatni krzyk wydobywał się z ust kobiety.

– Periszehr! Periszehr!

Kobieta zawadziła o coś i upadła. Przetaczały się po niej konie i wozy, a mała dziewczynka płakała: „Matko!”.

Ferimah budziła się z krzykiem, cała spocona.

„Skończ z tym koszmarem” – mówił jakiś głos w głębi niej. – „Raz na zawsze”.

Wiedziała, że koniec jest bliski. Góra przygotowywała się do marszu. Wkrótce ruszy i wszystko się skończy.

Styczeń 1495

Zrobiło się późno. Gdyby nie latarnie, tylny dziedziniec pałacu tonąłby w ciemnościach, ale żółty poblask umieszczonych w nich świeczek dodawał jedynie tajemniczości mrokowi.

Ferimah nie spała. Pomimo zimna otworzyła okno. Nagle zobaczyła, że między kolumnami przemyka jakiś cień. Chował się za nimi i był coraz bliżej. Lukrecja!

Ferimah wiedziała, dokąd zmierza. Do apartamentu na dole.

Tak się zamyśliła, że gdy rozległo się pukanie do drzwi, podskoczyła ze strachu. Podbiegła do nich i otworzyła.

– Ferimah. Pomóż mi. Muszę ją zobaczyć.

Wpadła w panikę. „Boże litościwy” – krzyknęła w myślach.

– Chodź ze mną.

– Panie mój, proszę...

– Ferimah, muszę ją zobaczyć. Nie rozumiesz? Muszę się dowiedzieć, skąd się wziął ten chłód. Już... Już... – Dżem obrócił się do niej tyłem i ruszył. – Chodź ze mną.

– Mój panie! – Ferimah pobiegła w ślad za nim.

– Nie mogę wyjść z pokoju, ale ty... – ciągnął Dżem.

– Mój panie, proszę. Nie rób tego... Stój.

Dżema nie dało się już jednak zatrzymać.

– Powiedz, że czekam w altanie przy stawie z nenufarami i...

– Dżem!

Jej głos zabrzmiał tak twardo, że zatrzymał się na moment, ale zaraz znowu zaczął iść.

– I powiedz jej też...

– Nie ma jej teraz tam, gdzie myślisz!

Tym razem stanął i spojrzał na nią. Wyraz jej twarzy go zaskoczył. Podszedł do Ferimah i złapał ją za nadgarstek.

– Ty płaczesz.

– To boli.

– Co to znaczy, że nie ma jej w pokoju? Gdzie jest?

Naprawdę ją bolało. Starła się uwolnić, ale Dżem tylko mocniej ścisnął jej nadgarstek.

– Gdzie? Gdzie jest Lukrecja?

Nagle podjęła decyzję. „Niech się dzieje, co chce” – stwierdziła. – „Musi w końcu poznać prawdę”.

– Chodź. – Zwróciła się w zupełnie innym kierunku.

– Dokąd?

– Chcesz się dowiedzieć, gdzie jest? Zaprowadzę cię tam.

Dżem szedł za nią najszybciej jak się dało. „Boże” – pomyślała Ferimah. – „To właśnie ma spotkać syna sułtana Mehmeda?”

– Hej – syknął naraz Dżem zza jej pleców. – Co ty wyprawiasz? To komnata

Cesarego.

Pokiwała głową.

– Właśnie. Chodź. – Pociągnęła go do odkrytego przez nią już wcześniej sekretnego pomieszczenia. – Ciii. Bądź cicho. – Uniosła zastępującą im drogę zasłonę i weszła do wąskiego korytarzyka. Znajdowali się na zawieszonym nad pokojem Cesarego Borgii podwyższeniu. Zaciągnęła Dżema prosto do okratowanej łoży, z której potajemnie obserwowała rodzeństwo.

– Patrz – szepnęła. – Popatrz w dół. Właśnie tam.

Dżem nieśpiesznie wszedł do ukrytego pomieszczenia. Spojrzał. Szarpnął nim nagły ból. Zakrył usta dłonią. „Lukrecja!” – krzyknął bezgłośnie. – „Lukrecja!”

Jego ukochana spoczywała w ramionach Cesarego.

23 lutego 1495

Nie było wieści ani od papieża Aleksandra, ani od Cesarego. To samo dotyczyło umowy, którą mu obiecali. Zresztą po tamtej nocy Płomienisty Książę przeistoczył się w zjawę. Nie było pewności, czy duchem jest obecny na tym świecie.

– To już koniec – usłyszała któregoś dnia jego pomruk Ferimah. Może nawet nie zdawał sobie sprawy, że słowa wydobywają się z jego ust. – Tym razem to już naprawdę koniec. Nie ma innego ratunku niż śmierć.

Nie mogła znieść jego widoku w tym stanie. „Czy popełniłam błąd?” – oskarżała się. – „Czy to źle, że pokazałam mu prawdę? Czy to ja przywiodłam go do tego stanu?”

Ale nie mogła już dłużej wytrzymać, gdy poniżał się i wystawiał na pośmiewisko. W ciągu ostatnich dni jej wewnętrzny podszept przerodził się w zawrodoenie.

„Nie bądź szalona. Skończ z tym koszmarem. Zakończ to”.

Ferimah czuła, że dłużej nie wytrzyma.

Nawet gdy poinformowali Dżema, że papież go oczekuje, poszedł na audiencję bez żadnego entuzjazmu.

„Nadszedł ten dzień” – stwierdziła Ferimah w myślach. – „Przygotuj się”.

Dżem wrócił od papieża Aleksandra niczym czarna chmura. Gdy zobaczył, że wyczekiwała go z niepokojem, starał się uśmiechnąć.

– Jedziemy – mruknął. – Znowu czas wyruszyć w drogę.

– Dokąd? Na Rodos czy do Kairu, mój panie?

– Do Neapolu!

– Nieee!

Dżem nawet nie usłyszał jęku Ferimah.

– Król Neapolu przybył, aby mnie zabrać...

– Nieee! Nie! Nie. Nigdy.

„Skończ” – mówił wwiercający się w mózg Ferimah głos. – „Skończ z tym koszmarem!”

„Tak zrobię” – uciszyła go. – „Wszystko się skończy. I dla niego, i dla mnie”.

– Pojutrze wyruszamy.

Ferimah wstała. Podeszła do konsoli naprzeciwko drzwi i ze znajdującej się na niej karafki naląła wina do kielicha Dżema.

– Będzie dobrze, jeśli od razu się przygotujesz, Ferimah.

Wysunęła szufladę i wyciągnęła z niej małą butelkę.

– Ja jestem zadowolony – stwierdził Dżem.

Ale już go nie słuchała.

– Uciekamy z tego ohydneho miejsca... Tak właściwie to nie król Neapolu po mnie posyła... Pamiętasz Karola? To on za tym stoi... Władca Neapolu odda nas królowi Franków. – Dżem nagle odwrócił się w jej kierunku. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Nie słuchała.

– Ferimah, czy słyszałaś, co powiedziałem?

Najwyraźniej nie.

– Ferimah...

– Nie! – krzyknęła dziewczyna.

W jej oczach był blask, którego nigdy wcześniej nie widział.

– Ferimah, co się dzieje? Ferimah!

– Nie, sułtanie. Błąd! Nie Ferimah! Periszehr! Nigdy nie było żadnej Ferimah. Jestem Periszehr.

– Ferimah, proszę, podejdź tutaj. Co ty wyprawiasz?

– Periszehr – mówiła, uderzając go w pierś. – Periszehr! Periszehr!

Jej oczy wypełniały płomień.

Dżem utkwiał w niej spojrzenie. Czyli to był sekret Ferimah.

– Periszehr?

– Jestem Periszehr, córka szaha Akkojunlu, Uzun Hasana, zmiażdżonego przez twojego ojca w dniu, w którym poruszył górę! Jestem Periszehr, córka szahbanu^[87] Hengameh, której ciało rozwłóczyła maszerująca, zanosząca się rykiem góra, żołnierze i konie. Jestem małą księżniczką, która była świadkiem, jak umierała jej matka. Jeśli ty jesteś sułtanem, to ja jestem szahbanu. Jestem córką szaha, Periszehr, która przysięgała, że dokona zemsty na twoim ojcu, sułtanie Mehmedzie, za los swoich rodziców!

– Periszehr? – Tylko tyle był w stanie wyszeptać Dżem. – Szahbanu Periszehr, tak?

– O tak, sułtanie, Periszehr. Szahbanu Periszehr. Biedna Periszehr, która zapomniała o swoim przyrzeczeniu, gdy tylko cię ujrzała. Służąca Ferimah, która cieszyła się, że będzie blisko ciebie, bo tym sposobem, nie mogąc dosięgnąć ojca, mogłaby się odegrać choć na synu za krzywdy rodziców. Choć wiedziała, że u Boga nie ma miejsca dla krzywoprzysięzców, oddała ci serce.

Nagle się uspokoiła. Opowiedziała Dżemowi wszystko. Każdą tajemnicę, którą skrywała przez te długie lata. To, jak uratowała się przed śmiercią. Jak żołnierze uznali, że znajdująca się w okropnym stanie mała dziewczynka w niczym nie przypomina córki uciekającego Uzun Hasana, i zaciągnęli ją przed oblicze sułtana Zdobywcy wraz z innymi jeńcami. Jak rozkazał zabrać ją do stolicy i wziąć na służbę. Jak błagała Boga, by pozwolił

jej zabić Mehmeda. I jak później o poranku zobaczyła Dżema w żółtoczerwonym świetle pochodni.

– Resztę już znasz – skończyła opowieść. – Od tamtej pory jesteś moim Płomienistym Księciem.

– Płomienisty Książę, ha... – Dżem jakby mówił sam do siebie. – Mogłaś mnie zabić... Zemścić się. Miałaś mnóstwo okazji.

– Zabić? Ależ ja cię kochałam, synu Zdobywcy. Wiesz, jak to jest z miłością. Doprowadza ludzi do szaleństwa. Ja także zwariowałam. Nie w głowie były mi przysięgi ani zemsty. Przede wszystkim pragnęłam twojej wygranej. Chciałam, żeby rdzawy wilk wyniósł cię na tron, ale... Ale...

– Ale się nie udało...

– A ty? – zapytała cicho dziewczyna. – Czy choć trochę mnie kochałeś? Czy gdybyś wiedział, że nie jestem służącą, tylko córką szaha, twoje uczucia by się zmieniły?

Dżem długo wpatrywał się w zamglone oczy Periszehr.

– Niebiosa – zamruczał. Znów jakby rozmawiał sam ze sobą. – Igranie ze mną nigdy im się nie nudzi. Na Boga, byłaś najwspanialszą ze służących, ale przeczuwałem, że to nieprawda. A jednak nie mogłem rozwikłać zagadki. Ja, shehzade Dżem, syn sułtana Mehmeda, którego chciałaś zabić, aby dokonać zemsty za swojego ojca i matkę, przysięgam, że... Ja... Ja... Tak naprawdę kochałem moją służącą, tę Ferimah...

Periszehr się uśmiechnęła.

– Ferimah nie żyje – wyszeptała.

Nagle przypomniała sobie małą, trzymaną w dłoni buteleczkę. Spoczywał na niej także wzrok Dżema.

– Oto nadszedł czas zemsty. Czy spełni się za sprawą tej butelki?

Dżem wstał i podszedł do konsoli. Wziął kielich, który chwilę temu napełniła Periszehr. Zbliżył się do dziewczyny i wyciągnął naczynie w jej kierunku.

– W takim razie mścij się... Niech to będzie zapłata za całe zło, które ci wyrządziłem, piękna szahbanu.

Periszehr otworzyła butelkę i szepnęła:

– Nie jest to akt zemsty, Płomienisty Książę, lecz ratunek. Nie pozwolę, żeby zadali ci jeszcze większy ból.

Wlała trzy krople do wina Dżema.

– To twój przydział – rzekła z wolna. – Nie będziesz w ogóle cierpieć, mój panie. Za dwa dni zaśniesz.

Gdy chciał przysunąć kielich do warg, przytrzymała go za rękę.

– Nie śpiesz się – powiedziała. – Ty już wzięłeś swoją część, ale ja... – Naraz wychyliła się w kierunku ust Dżema i złożyła na nich maleńki, lekki pocałunek. Nim się zorientował, co się dzieje, przysunęła małą buteleczkę do warg.

– Periszehr!

Nie dając Dżemowi szansy, by jej przeszkodził, duszkiem wypła truciznę.

– A to przydział szahbanu. Duży łyk. Szybki ratunek.

– Ferimah, Ferimah. Na Boga, czemu to zrobiłaś, czemu?

– Mój Płomienisty Książę – szepnęła – nie smuć się. Ferimah była oszustwem.

Dżem zauważył, że twarz dziewczyny zaczyna blednąć.

– Periszehr...

– Ona umarła już lata temu... W dniu, w którym ruszyła góra.

W kąciку ust zebrała się biała piana.

Dżem miotał się z bezsilności.

– Nie płacz – rzekła cicho szahbanu. – Sułtanowi nie przystoi płacz... – Zamilkła. – Ty... zawsze... Zawsze byłeś moim sułtanem – powiedziała z wysiłkiem. Starła się uśmiechnąć.

„Błagam, Boże” – prosiła w myślach. – „Błagam, pomóż mi się roześmiać. Niech Płomienisty Książę na zawsze zapamięta mój radosny wyraz twarzy”.

– Periszehr, Ferimah! – zawodził Dżem. Nachylił się ku niej i pocałował oczy

dziewczyny. Usta zbliżył do jej ust.

– Nie każ... – wykręciło nią. – Nie każ... mi długo czekać... sułta... – Rozpromieniła się. – Mój rdza... rdzawy wilku – powiedziała, gdy jej oddech z wolna zamierał.

– Ocalenie, przybywaj – szepnął Dżem, przyciągnął kielich do ust i wypił wszystko.

Gdy znowu na nią spojrział, Periszehr się uśmiechała. Oczy miała otwarte.

– Nadchodzę – powiedział. – Zaczekaj na mnie.

Obsypał ją pocałunkami. Na blednący miarowo policzek szahbanu spadła z jego oka płomienista łza.

A później...

Dżem zmarł nagle, w środę 25 lutego 1495 roku, w drodze do Neapolu. Miał trzydzieści pięć lat. Trzydzieści spośród nich spędził na wygnaniu, w wielkiej zgryzocie i żalu. Choć uważa się, że umarł od zatrutej brzytwy cyrulika przysłanego przez papieża Aleksandra bądź sułtana Bajazyda, skrywająca jego śmierć zasłona tajemnicy od pięciuset lat nigdy nie została uchylona.

*

Śmierć Dżema stała się powodem wielkiego smutku w stolicy. Sułtan Bajazyd ogłosił żałobę. Rozkazał odprawić uroczystość pogrzebową mimo braku ciała, a sam na trzy dni zamknął się w swojej komnacie i pogrążył w modlitwie.

*

Król Neapolu przejął zwłoki Dżema i zażądał pieniędzy w zamian za ich zwrot. Sułtan Bajazyd nie przyjął jego warunków.

*

Przebywająca w Egipcie matka Dżema zmarła w Kairze w 1498 roku z powodu dżumy. Jego córka, Gevher Melike, została przeniesiona do Stambułu, gdzie straciła życie w 1505 roku.

*

Bajazyd dopiero po czterech latach, w 1499 roku, podjął starania, aby odzyskać trumnę ze zwłokami brata. Wydał wojnę Królestwu Neapolu. Osmańska flota ruszyła, a na Europę padł strach. Ciało Dżema przetransportowano do stolicy. Pochowano je w Bursie, u boku starszego brata księcia, szezade Mustafy.

*

Syn Dżema, Murad, mieszkał na Rodos. Został chrześcijaninem i przyjął imię Pierre. Poślubił kobietę imieniem Maria Concette Doria. Nadano mu tytuł księcia. Syna nazwał Nicola. Podczas podboju Rodos przez sułtana Sulejmana Wspaniałego walczył w szeregach rycerzy. Zakon Szpitalników jeszcze raz zdradził Dżema. Otóż joannici cali i zdrowi opuścili wyspę na statkach po przekazaniu jej w drodze ugody sułtanowi Sulejmanowi, ale wydali mu swojego „księcia” wraz z synem. Murad i Nicola zostali uduszeni z rozkazu padyszacha 27 grudnia 1522 roku. Syn Dżema miał czterdzieści osiem lat.

*

Rok po ślubie Lukrecja rozwiodła się z Giovannim Borgią. Jakiś czas później urodziła syna, nie wiadomo było jednak, kto jest ojcem dziecka. Jej małżeństwo z aragońskim księciem Alfonsem d'Aragonem również trwało krótko. O wiele później, zgodnie z pragnieniem starszego brata, wyszła za Alfonsa d'Este. Podczas obydwu małżeństw nadal utrzymywała zakazane związki. Doczekała się liczego potomstwa, jednak większość dzieci straciło życie w młodym wieku. Gdy Lukrecja zmarła w 1519 roku, miała trzydzieści dziewięć lat.

*

Papież Aleksander VI zmarł w 1503 roku. Rozeszły się pogłoski, że został otruty przez własne dzieci – Lukrecję i Cezarego.

*

Sułtan Bajazyd rządził przez trzydzieści jeden lat. Pomiędzy jego synami, Ahmedem, Korkutem i Selimem, doszło do sporu o władzę. Pozbywszy się braci,

szehzade Selim pomaszerował na stolicę. Bajazyd abdykował na jego rzecz 24 kwietnia 1512 roku. Chciał się przenieść do Didimoticho, ale jedenasty dzień po intronizacji syna, 26 maja 1512 roku, zmarł w drodze, tak samo niespodziewanie jak jego brat Dżem. Miał sześćdziesiąt dwa lata. Opowiadano, że młody padyszach, sułtan Selim, nazwany później Groźnym, kazał otruć ojca ze strachu, że ten zechce wrócić na tron.

Demet Altinyeleklioğlu

Miami–Bodrum, 30 lipca 2014 roku

[87] Szahbanu – żona szaha lub kobieta-szah.